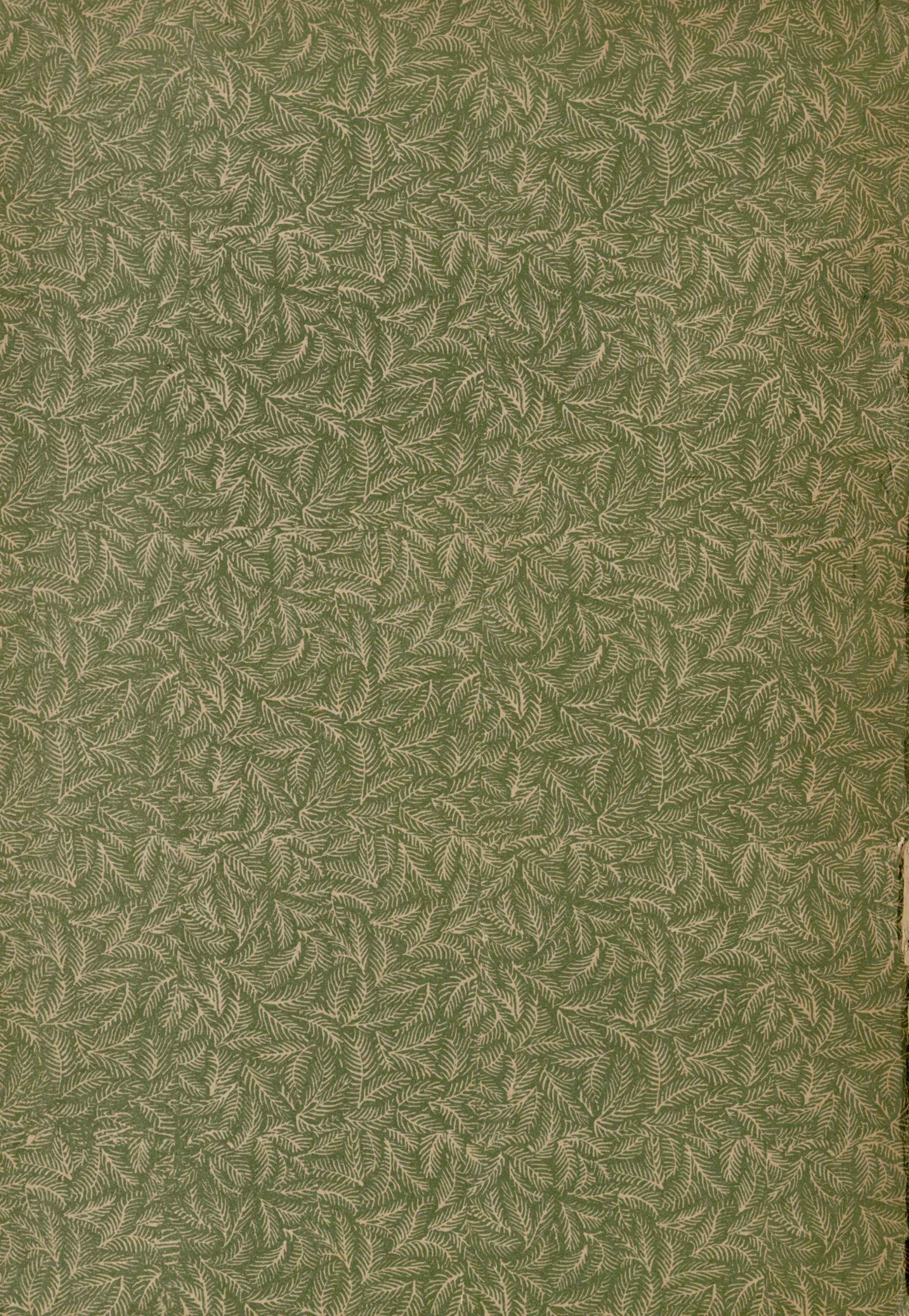
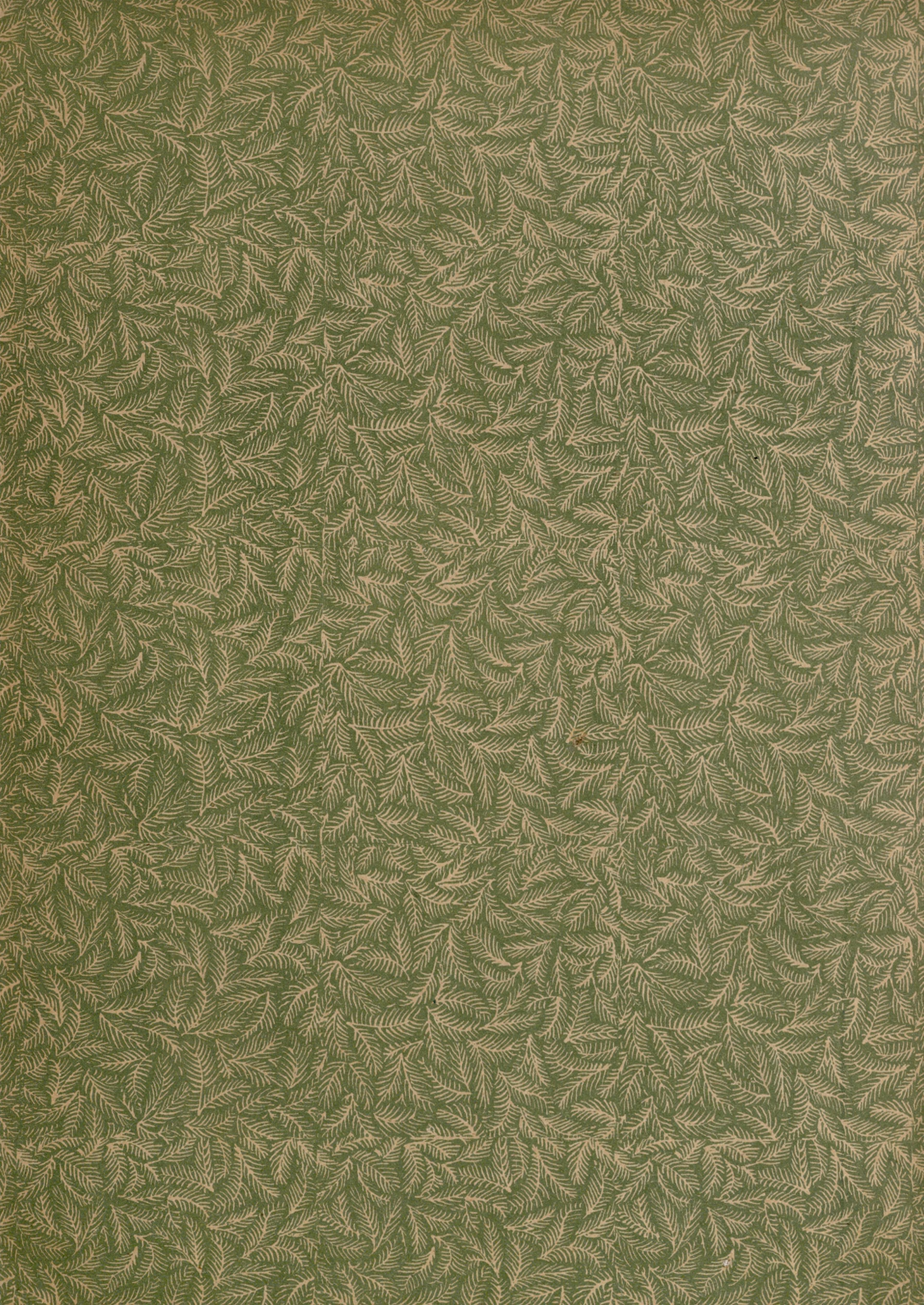
KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI

ROKOKO WE WŁOSZECH



WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA





ROKOKO WE WŁOSZECH

M. Strzyżewskiej.



Alfieri i hrabina d'Albany.

Według obrazu **F. X.** Fabra w posiadaniu hr. Ginori, koło Florencyi.

Fot. Perazzo, Florencya.

M. R. Świdówny

13 lipca 1917

KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI

ROKOKO WE WŁOSZECH

LUDZIE — LITERATURA SZTUKA



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK ▫ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.



DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

1915

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

PRZEWODNIE PRĄDY.

I.

Kultura ośmnastego wieku we Włoszech rozpoczyna się wesołą, miłosną canzoną Metastazya, a kończy poważnym hymnem Foscola, którego tytuł »Sepolcri«, »Groby«. Ale mimo tej smutnej nazwy »Carmen« Foscola jest zapowiedzią nowego życia włoskiego narodu i lepszej przyszłości. Pomiędzy tymi dwoma poetycznymi objawami mieści się cały proces przeobrażenia włoskiego społeczeństwa, niewidziany ferment wyobrażeń, spoważnienie narodowej myśli.

Od chwili, kiedy Metastazyo zanucił w Neapolu pierwsze piosenki, aż do roku 1796, kiedy w Rzymie i w Wenecyi Jakobini tańczyli w około drzewa wolności, ileż to rozmaitych prądów nurtowało na półwyspie, ile powstało nowych idei, które zmieniły zupełnie postać tego społeczeństwa, usypiającego przy odgłosie harmonijnych sonetów Arkadyi!

Na pozór rozprzężenie, upadek, potop mętów, który zdawał się zalewać wszystko, co wieki zbudowały; ale w tych wodach, w tych bagnach kiełkowało życie, z którego mieli wyjść nowi ludzie.

To dziwne społeczeństwo, upudrowane, upstrzone, różnobarwne, grzecznie się kłaniające, a równocześnie rzucające na siebie pociskami zjadliwych wierszy, przyzwyczailiśmy się

przedstawiać sobie pod nazwą »Rococo«, nazwą zapożyczoną od sztuki. Skąd to określenie powstało i czy wogóle było właściwem, w to wchodzić nie będziemy; w istocie rzeczy jednak Rococo było tylko dalszym ciągiem Baroku, zniewieściałym Barokiem.

Gdy osłabły żywotne siły, które stanowiły istotę Baroku, powstały nowe dążenia w europejskiej kulturze. Barok opierał się na potędze arystokracyi i na przewadze duchowieństwa. Możnowładcy potrzebowali do okazania swego despotycznego stanowiska zewnętrznej pompy w architekturze, w stroju, w obyczajach; duchowieństwo, dumne ze zwycięstw kontrreformacyi, pragnęło również zaznaczyć swą potęgę w literaturze, w malarstwie, we wszelkich objawach sztuki.

Ale wiek XVIII zatrząsł temi posadami; arystokracya zubożała, zadłużyła się, zmalała, rzymskie duchowieństwo musiało się bronić przed najazdem »filozofii« i wytężać wszystkie siły, aby utrzymać dawne swe wpływy.

Nieraz mówiono, że Rococo powstało w pałacu pani de Pompadour. Powszechne prądy kulturalne nie rodzą się wszakże w buduarach, choćby przyjaciółek Ludwika XV. Rococo wyrastało wszędzie, gdzie Barok upadał; na ściernisku Odrodzenia kiełkowały nowe rośliny.

Przedewszystkiem tem ścierniskiem były północne Włochy i Neapol, bo tam arystokracya, wybujawszy pod wpływem hiszpańskim, gwałtownie chyliła się ku upadkowi, a nadto wielce podatnem polem do przewrotów w obyczaju i w sztuce stała się patrycyuszowska, bogata Wenecya. Z Włoch przeszła kultura Rococo do Francyi, a stamtąd do północnych krajów.

Francya zachowywała się zrazu odpornie wobec niesfornych dziwactw sztuki, sięgającej jeszcze czasów Berniniego i Borominiego; symetryczny styl Ludwika XIV nie pozwalał na takie nowości. Dopiero, gdy dekorator, Gilles Oppenord (1672—1741), Flamand, urodzony w Paryżu, ale wykształcony we Włoszech, przywiózł z Rzymu całe stosy swych studyów i motywów, branych z rzymskich pałaców i kościołów, gdy zaczął zastosowywać włoskie kartusze, palmety, rocaille we Francyi, smak paryskiej publiczności powoli się przyzwyczajał do zasady, że poza linią prostą, poza powstałemi z niej ra-

mami, może jeszcze swobodnie bujać fantazya architekta-dekoratora. Kierunek Oppenorda rozwinął w Paryżu jeszcze bardziej inny dekorator, Włoch z Turynu, Juste Aurele Meissonier (1695—1750), który wydał wojnę wszelkim regułom logiki i miary w ornamentacyi i miał ogromny wpływ na francuską architekturę. Rozwichrzone włoskie Rococo zmieniło się wprawdzie znacznie w zetknięciu z francuskim zmysłem do symetryi i dekoracyjnego ładu, ale mimo to stanowczo oddziałało na francuską sztukę.

Do rozwinięcia się włoskiego Rococo przyczyniały się także niemało wpływy dalekiego Wschodu. W XVIII wieku udawało się coraz więcej podróżnych, a zwłaszcza Anglików, do krajów tureckich i do Chin, a każdy z nich opierał się z powrotem o Neapol, o Rzym, o Wenecyę lub Genuę. Jezuici, a pomiędzy nimi osobliwie dwóch Niemców, Kircher i Adam Schal, pouczali artystów rzymskich o kierunkach chińskiej i japońskiej sztuki, a kompania Indyi niderlandzkich (Compagnie des Indes neérlandaise), założona jeszcze w roku 1602, zwoziła wszelkiego rodzaju wyroby wschodniego przemysłu i rozszerzała je po całej Europie. Chińszczyzny były w modzie już w ciągu XVII wieku; wschodnie ryciny, wazy i rzeźby, ozdobione arabeskami, tak daleko odbiegającemi od europejskiego smaku, do reszty łamały klasyczną symetryę i zmieniały barokowy ornament. Chińska sztuka odbija się we Włoszech i we Francyi nawet na malarstwie; dość przypomnieć wschodnie postacie we freskach Tiepola, albo wskazać na Francuzów w obrazach Bouchera lub Watteau, poprzebieranych za Chińczyków.

Włochy były właściwą ojczyzną stylu Rococo, a jeżeli później forma peruk, krój robronów lub sposób noszenia fraków przychodził z Paryża do Wenecyi lub do Rzymu, to nie można z tego powodu odnosić początków kultury Rococo do Francyi. Paryż został w czasach Ludwika XV stolicą mody, w ośmnastym wieku przerabiał na swój sposób włoskie Rococo i zwracał je bardzo często w piękniejszych formach Włochom, aniżeli były te, które od nich zapożyczył.

Mody paryskiego Rococo tak opanowały Włochy w ostatnich dziesiątkach XVIII wieku, że kto nie nosił warkocza,

ten był uważany prawie za wyrzutka społeczeństwa, za człowieka niemoralnego, bez religii, za rewolucyonistę. W północnych Włoszech rodziny arystokratyczne wydziedziczały synów, ze szkół wykluczano młodzieńców, którym przyszła fantazya obciąć sobie ową charakterystyczną ozdobę głowy. Warkocze u mężczyzn, a robrony u kobiet stanowiły odznakę dobrego towarzystwa, towarzystwa »Rococo«.

II.

Najulubieńszym wyrazem społeczeństwa drugiej połowy XVIII wieku było słowo »filozofia«. Przez filozofię rozumiano niemal wszystko, co myśl ludzką zajmuje, począwszy od metafizyki, matematyki, geometryi, nauk społecznych, a skończywszy na filozoficznem malarstwie. Jakiś szewc nawet na Merceryi w Wenecyi ogłaszał, że robi buty według filozoficznego systemu, co zapewne miało znaczyć, że jego obuwie odpowiada zasadom hygieny. Filozofia łączyła się, zwłaszcza we Włoszech, bardzo ściśle z poezyą, gdyż arkadyjskie związki jeszcze istniały, a umiejętność pisania sonetów należała niejako do dobrego wychowania.

Typem takiego filozofa-poety, który się zresztą zajmował także malarstwem, architekturą, rzeźbą, strategią i wogóle całym obszarem wiedzy ludzkiej, był hrabia Francesco Algarotti, Wenecyanin, urodzony w roku 1712, przyjaciel Woltera, Fryderyka Wielkiego i najbardziej może znany wówczas uczony włoski w całej Europie. Algarotti otrzymał staranne wykształcenie na uniwersytecie w Bolonii, gdzie szczegółowo studyował matematykę, geometryę i astronomię; przystojny, wymowny, gładki światowiec, pełen zalet towarzyskich, stał się wkrótce ulubieńcem uczonych i pięknych pań. Nazwano go też w Wenecyi zdrobniałem mianem »Algarottulus contulus«. Pisał o wszystkiem popularnie, ślizgał się po umiejętnościach, a w licznych wierszach, którymi obdarzał swoich znajomych, chodziło mu więcej o rytm i symetryę, aniżeli o głębokie myśli.

Charakterystycznem zdarzeniem dla ówczesnych prądów

umysłowych we Włoszech było pojawienie się pierwszej książki Algarottego, którą napisał i wydał jako dwudziestodwuletni młodzieniec (1733). Tytuł jej »Newtonianismo per le Dame«, a treść popularny wykład zasad Newtona o optyce w formie dyalogów, poświęconych paniom.

Wpływ czcicieli Arystotelesa, perypatetyków we Włoszech, coraz bardziej się zmniejszał; nawet pomiędzy Jezuitami, którzy najdłużej głosili zasady fizyki, metafizyki i poetyki greckiego mędrca, zdarzali się już odstępcy; geniusz Galileusza olśniewał umysły, a Lorenzo Mascheroni, młody poeta, tryumfował:

E il divin Galileo che primo infrasse
L'idolo antico; e con periglio trasse
A la natura liberta le menti.

Przez jakiś czas zapanowała we Włoszech francuska filozofia, a mianowicie Kartezyusz, którego zasady szerzyła Krystyna szwedzka w swojej akademii; ale praktyczny umysł narodu zwrócił się na drogę, którą mu wskazał Galileusz, zaczęto uwielbiać Izaaka Newtona (1642—1727), uważając jego naukę za rozwinięcie myśli, rzuconych przez florentyjskiego uczonego.

Włosi studyowali dzieła angielskie o fizyce, geografii i astronomii. Pisma angielskich lekarzy zajmowały medyków w Rzymie i Neapolu, a w połowie XVIII w. był papieskim okulistą Anglik Jan Taylor. Wszędzie głoszono zasługi Anglików, że to opierają swe nauki na doświadczeniu i nie dają się łudzić czczą teoryą i przypuszczeniami; Tomasza Sydenhama sławiono jako nowego Hypokratesa, lekarze włoscy jeździli do Edinburga na studya medyczne.

Podobnie zaczęto się żywo zajmować ekonomią społeczną. Pierwsza katedra tej nauki otwartą została w r. 1754 w Neapolu. Wielu włoskich uczonych tak dalece dążyło do umiejętności praktycznych, że powstawali nawet przeciw starożytnictwu, jako bezpłodnej, nieużytecznej erudycyi. Skarżono się na coraz częściej pojawiające się olbrzymie książki, pełne uwag, odsyłaczy, w których trudno się doszukać jakiejkolwiek nowej myśli, mówiono, że zdrowe głowy topią się w morzu erudycyi.

Zanim wyszła słynna francuska »Encyklopedya«, drukowano już we włoskiem tłómaczeniu w Wenecyi (1728) »Cyclopedię« Anglika, Efraima Chambersa, w dziewięciu tomach, a następnie wydano ją jeszcze powtórnie w Neapolu.

Kierunek empiryczny w naukach obejmował szerokie koła, a w wykształconych kobietach znajdował najsilniejsze poparcie. W buduarach dam włoskich leżały zamiast Dantego i Petrarki dzieła Newtona; profesorka, Laura Bassi, zasłynęła z jasnego wykładu zasad wielkiego Anglika, a o filozofce Maryi Gaetanie Agnesi, młodej medyolańskiej uczonej, powiedział słynny podróżnik, Président de Brosses, że jest to »una cosa piu stupenda«, zjawisko bardziej zajmujące, aniżeli medyolańska katedra. Na przyjacielskiem zebraniu, na którem Francuz był u niej, mówiła dwudziestoletnia wówczas panna Agnesi wyborną łaciną o przyczynach przypływu i odpływu morza, o zasadniczych barwach, o przezroczystości ciał i tak mądrze rozprawiała o krzywych liniach w geometryi, że prezydent, nie świetny zresztą matematyk, nic z tej lekcyi nie rozumiał. Agnesi wydała w r. 1745 książkę pod tytułem: »Instituzioni analitiche«, w której wyłożyła w sposób bardzo jasny naukę Leibnitza. Dzieło to włoskiej uczonej stało się głośnem w całej Europie; cesarzowa Marya Teresa przysłała autorce w uznaniu jej zasług szkatułkę z kosztownym pierścieniem, a Benedykt XIV różaniec z drogich kamieni i dyplom honorowej lektorki nauk ścisłych w uniwersytecie bolońskim. Panna Agnesi, chcąc w zupełnym spokoju oddać się umiejętności, wstąpiła po śmierci ojca do klasztoru, gdzie w roku 1799 umarła.

Nie była ona zresztą wyjątkową kobietą we Włoszech; moglibyśmy przytoczyć cały szereg pań na półwyspie, głośnych w XVIII wieku z nauki. W samym Medyolanie słynęła hrabina Clelia Borromeo nie tylko ze znajomości wielu europejskich języków, ale mówiła nawet po arabsku, »jakgdyby czytała z Alkoranu«; głównem jej zajęciem wszakże było studyowanie nauk ścisłych. Podróżny Lalande i pani de Boccage unoszą się nad Faustyną Pignatelli w Neapolu, księżną di Colobrano, która była »une grande géometre«, a na zagadnieniach z fizyki rozumiała się jak boloński profesor.

Książka więc Algarottego o teoryach Newtona pojawiła się bardzo na czasie; młody hrabia posłał ją jednakże przed wydrukowaniem Wolterowi do ocenienia i otrzymał z Cirey list pełen pochwał i zachęty. Co więcej, markiza de Châtelet, przyjaciółka Woltera, przymówiła się zaraz, aby młody autor ofiarował jej nowe dzieło, gdyż chętnie widziałaby swoje nazwisko »na czele rozpraw pełnych talentu, wdzięku, błysków wyobraźni i głębokiej nauki«. Ale w tej mierze udała się do autora za późno, bo Algarotti obiecał już poświęcić książkę uczonemu Fontenellowi. Pani Châtelet, rada nie rada, musiała się zgodzić na Fontenella, ale z humorem dodała, iż spodziewa się, że Algarotti nie umieści na pierwszej karcie nazwiska »jakiej innej markizy«.

W owych czasach nadzwyczaj sobie ceniono autorskie »dedykacye«.

Dzieło miało ogromne powodzenie, doczekało się mnóstwa wydań i przetłómaczone zostało na kilka języków, a nadto zwróciło na autora uwagę wszystkich mecenasów literatury, a przedewszystkiem Fryderyka Wielkiego, który nazwał Algarottego:

Aimable rejetton de l'antique Ausonie,
En qui l' on reconnoit tout le brillant génie,
L'urbanité, le gout de ces esprits ornés,
Que Rome produisit en ses temps fortunés.

Nie dziw, że człowieka, który pisze o Newtonie, znajdujemy wkrótce w Londynie, gdzie się zaprzyjaźnia z lordem, Baltimore, zwiedza z nim Rosyę i opisuje swe wrażenia z podróży w formie listów do lady Hervey. Gdy Fryderyk zostaje królem, zaprasza Algarottego, bawiącego wówczas w Londynie, do Berlina:

Venez, Algarotti, des bords de la Tamise
Partager avec nous notre destin heureux

i daje mu tytuł hrabiowski. Przez jakiś czas nasz Włoch Francuz Maupertuis i Kaiserling stanowią literacki dwór Fryderyka Wielkiego, mieszkają w szczupłym zamku Mayland koło Cleve na poddaszach, a gdy jeszcze Wolter do nich

przybywa, cały ówczesny aeropag »filozoficzny« gromadzi się w Prusach.

Algarotti staje się doradcą północnych książąt w zakupywaniu włoskich obrazów, zna się wybornie na zabytkach sztuki, co go zbliża do Augusta III. Umie zresztą pochlebiać ówczesnym potentatom, a raz odzywa się do próżnego króla, że gwiazda Medyceuszów w nim znowu odżyła: »Amica al nostro ciel Medicea stella, Ravissavano in Te!« Galerya drezdeńska zawdzięcza wiele arcydzieł pośrednictwu Algarottego.

Głębszym umysłem, który większy jeszcze wpływ wywierał na północnych panujących, aniżeli Algarotti, był Carlantonio Pilati (1733—1802), znakomity prawnik i polityk; rad jego zasięgali nawet Fryderyk II i cesarz Józef II Pilati dużo podróżował, a jak bibliografi utrzymują, on to napisał słynne swego czasu listy: »Lettere scelte del Signor XXX, viaggiatore filosofo«.

Ale najświetniejszym przedstawicielem tego »filozoficznego« kierunku we włoskiem społeczeństwie stał się abate Ferdinando Galiani, Neapolitańczyk, którego co do dowcipu i żywości umysłu porównywają z Wolterem. Galiani była to brzydka, mała figurka, o oczach sypiących iskry geniuszu. Z zadziwiającą dla otoczenia szybkością wszystko zrozumiał i wszystko pojmował. Marmontel powiedział o nim, że to »nadzwyczaj miły Arlekin, z głową Machiavella«. Niezwykły ten człowiek przedstawiał mieszaninę południowo-włoskiej żywości umysłu z zimnym rozumem, zaprawnym ironią i gryzącym sarkazmem. »Błyski jego dowcipu były tak olśniewające, że aż wzrok raziły«. Rozmowy swe przeplatał anegdotami, które się nigdy nie powtarzały. W polityce przyjaciel despotyzmu, a nawet obrońca niewolnictwa, w życiu Epikurejczyk, chciwy dochodów, których miał zawsze za mało, śmiertelny wróg każdego, ktoby go chciał przyćmić dowcipem, ateusz, pociągał i podbijał umysły swą niezrównaną żywością. Jak tylko wszedł do salonu, opanował zaraz rozmowę, a gdy powiedział to, co mu leżało na sercu, znikał z towarzystwa.

Galiani wsławił się osobliwie swemi ekonomiczno-filozoficznemi pismami, jak książką o pieniądzach (Della moneta libri cinque, Napoli 1750), Dyalogami o handlu zbożem (Dia-

loghi sul commercio dei grani. London 1772) i wielu innemi rozprawami, które miały na celu wyjaśnienie bieżących kwestyi z zakresu ekonomii społecznej. Skarbem dowcipu i bystrych spostrzeżeń pozostanie jednak na zawsze jego korespondencya z paniami Necker i Geoffrin, tudzież z pierwszorzędnymi uczonymi Francyi, jak Diderot, Grimm i D'Alembert.

Pomimo, że wiecznie chorował na brak pieniędzy, a miał niemało sposobności przekuć na monetę swój rozum i dowcip, był co do swych zasad człowiekiem niezależnym. Pisał też do jednego ze znajomych: »Nikomu nie potrafię się zupełnie oddać, nawet dyabłu; jestem samym sobą i to przeszkadza mojej karyerze«. Gdy zaś na dwie godziny przed śmiercią przyszedł do niego w odwiedziny pierwszy minister neapolitański, Acton, Galiani z humorem, który go nigdy nie opuszczał, kazał mu powiedzieć: »Nie mogę przyjąć Ekscelencyi, gdyż mój powóz już zaprzężony do odjazdu; a zresztą i kareta pana ministra niebawem będzie gotowa do tej samej podróży«.

Trzeba dodać, że Galiani nienawidził Actona.

Ten kierunek filozoficzny, który zapanował nad wszystkimi umysłami we Włoszech w XVIII w., wydał jeszcze zasłużonego dla nauki człowieka, którego nazwisko każdy prawnik do dziś dnia powtarza. Medyolańczyk, Cesare Beccaria, ogłosił w r. 1764 pomnikowe dzieło »O przestępstwach i karach« (Dei delitti e delle pene), które zaraz nabrało takiej wziętości w świecie naukowym, iż w Paryżu cieszono się, że przecież ruch filozoficzny przekroczył Alpy i rozszerzył się na Włochy, które uważano tam za »siedlisko zabobonu«... Najsławniejsi uczeni francuscy, d'Alembert, Buffon, Wolter i wielu innych słali dziękczynne listy Medyolańczykowi, a tłómacz dzieła Bekaryi, abbé Morellet, »dworzanin« Encyklopedystów, przybył do Lombardyi, aby się dzielić sławą ze znakomitym autorem. Beccaria był to umysł wyższy nad swój czas, a nawet w sześć lat przed Anglikiem Smithem wygłosił zasadę, że bogactwo narodów polega na największej ilości pożytecznej pracy.

Ruch naukowy udzielił się nawet spokojnemu Rzymowi. Piętnastego września 1764 wielkie tam panowało rozciekawie-

nie, bo Ennio Quirino Visconti, chłopak niespełna trzynastoletni, miał zdawać publiczny egzamin, a właściwie odpowiadać na wszystkie postawione mu pytania z najtrudniejszych działów matematyki, trygonometryi i rachunku różniczkowego. Visconti obudził podziw słuchaczów swą nadzwyczajną wiedzą, a popis ten był znakiem czasu. W ogóle w ośmnastym wieku kwitły we Włoszech młodociane geniusze; w Bolonii jakiś dzieciak, mający zaledwie półosma roku, bronił publicznie tez z teologii, filozofii, nauk prawnych, medycyny i innych umiejętności. Gdyby nie portret tego Giacoma z Modeny, który się dotąd przechował, trudnoby wierzyć w istnienie tego »cudownego dziecka«.

Epoka sonetów i arkadyjskich poezyi chyliła się ku upadkowi, nauki ścisłe odżyły w całej pełni.

Niema wątpliwości, że naród włoski w XVIII w. upadł dość nizko pod wielu względami; składały się na to wieki rozmaitych złych rządów. Zaprzeczyć się wszakże nie da, że Włosi, pomimo ekonomicznych klęsk i obcego politycznego ucisku, wpływającego na moralny stan ludu, zachowali jeszcze nadzwyczaj dużo siły, nie tylko odpornej, ale i twórczej, i brali znakomity udział w duchowym ruchu Europy. Żywotność swą zawdzięczali głównie niepospolitej energii umysłu i wrodzonemu, bardzo wybitnemu indywidualizmowi jednostek. Włoch myśli sam za siebie, nie tak łatwo podlega otoczeniu, jak to bywa u narodów północnych, a przedewszystkiem ma w wysokim stopniu rozwinięty instynkt zachowawczy, który mu nie pozwala poddawać się chwilowym, niepraktycznym prądom ze szkodą istnienia narodu. Oprócz wrodzonego usposobienia składały się na wyrobienie tego indywidualizmu stosunki polityczne średnich wieków, owe komuny, które obok wielu wpływów szkodliwych na rozwój społeczeństwa, miały tę zaletę, że wytwarzały silne charaktery, bardzo wybitne i pełne samodzielności.

Otóż według naszego przekonania wielu, nawet włoskich pisarzy, zanadto ostre wydaje sądy o społeczeństwie włoskiem XVIII wieku. Sądy te są najczęściej oparte na zdaniach współczesnych autorów, którzy, pełni bolu nad rozczłonkowaniem ojczyzny, wyrażali się z wielką goryczą o swojem społeczeń-



Portret małego »filozofa«, Giacoma Martino.

Według ryciny w Albertynie.

Do str. 10. Fot. Schramm w Wiedniu.

zofia, a nawet romanse i inne dzieła wyobraźni nadawały sobie umyślnie angielską cechę. Milton, Spencer, Dryden, a za nimi Addison, Swift, Hume byli na ustach i w sercu każdego wykształconego Włocha. Pope jednak przewyższał wszystkich co do popularności. Włosi poznali swój błąd, że uwielbienie Petrarki zanadto despotycznie zapanowało nad włoską literaturą, że naśladowanie Cinquecenta ograniczało zakres poezyi, w której obok miłości i fabuły nie było już miejsca na filozofię.

»Spectator« Addisona miał podobnie, jak we Francyi i w Niemczech, wielkie powodzenie we Włoszech. Zakładano pisma podobne do słynnego angielskiego wzoru. Gozzi wydawał »L'Osservatore«, Verri »Caffe«, Baretti »Frusta letteraria« i wiele innych wychodziło podobnych gazet.

Ogromny wpływ na włoskich poetów wywarły poematy »Fingal« i »Semore«, które Szkot, J. Macpherson napisał w r. 1758 pod pseudonimem starożytnego, kaledońskiego barda, »Ossiana«. Poematy te stawiano wyżej od epopei Homera, a na włoski język przetłómaczył je najprzód Melchior Cesarotti (1730—1808), któremu w wydaniu książki pomógł mecenas angielski, Lord Bute. Zdaje nam się, że z tego tłómaczenia dowiedziano się najprzód w Polsce o Ossyanie. Giuseppe Taruffi monsignor, o którym mówić będziemy, pisał do Cesarottego 7. września 1766 z Warszawy, że znał panienkę, która całego włoskiego Ossyana umie na pamięć.

W Medyolanie wprowadzono Ossyana wraz z portretem Cesarottego w tryumfie do Arkadyi. Michelangiolo Monti, profesor, powitał »szkockiego Homera« w wierszu pełnym uniesienia i akt tej uroczystości »festa pastorale« został ogłoszony drukiem na wieczną pamiątkę. Ba, nawet jakiś perukarz w Parmie bawił swych klientów opowiadaniem o tych poematach.

Mniej wpływu, niż Pope lub Ossyan, miał wówczas we Włoszech Shakespeare; wprawdzie ten i ów literat podziwiał tragedye wielkiego Anglika i utrzymywał, że północny dramaturg jest niedościgniony »nel genere del terribile«, ale w ogóle cudzoziemska tragedya nie znalazła w publiczności entuzyastycznego przyjęcia, dopóki Alfieri nie wlał w nią patryotycznego ducha. Natomiast komedya sentymentalna, płacz-

liwa, jak ją nazywano, więcej odpowiadała duchowi czasu, rodzącym się ideom równości. Podobnie jak we Francyi »la tragédie bourgeoise«, a w Niemczech »das bürgerliche Drama«, tak i we Włoszech świat otaczający człowieka bardziej zaczął zajmować, niż królowie na dalekich tronach.

Kierunek filozoficzno-praktyczny wpłynął także na nowoczesne ukształtowanie się języka i stylu włoskiego. »Cose e non parole«, »dość słów, kolej na rzeczy«, to było hasło całej wykształconej publiczności; »precz z literaturą, która potrzebuje mnóstwo wyrazów, aby nic nie powiedzieć. Dawne piśmiennictwa, dawne wierzenia dość już ludzi nabałamuciły; greckie bogi niech wracają na Olimp, chcemy prawdy i tylko prawdy«, powtarzała filozoficzna szkoła.

W czasach Odrodzenia nazywano średnie wieki czasami barbarzyńskimi, teraz już Renesans otrzymał to miano. To, z czego literatura Odrodzenia najbardziej była dumną, z gładkości formy, zdawało się największym błędem; raziły już skamieniałości stylistyczne. Słownik Odrodzenia i siedmnastego wieku nie wystarczał; brano potrzebne wyrazy, gdzie je znaleziono, nie pytano, czy je używał Dante lub Boccacio, żądano, aby język był praktyczny bez względu na wymagania akademii florentyjskiej »Crusca«, pilnującej tak zwanej czystości mowy. Na czele tego ruchu stanął Cesarotti, który chcąc dobitnie i jasno swą myśl wyrazić, zapożyczał się u prowincyonalnych narzeczy, a nawet u obcych języków. Ba, nawet uczoną rozprawą o filozofii języków, zastosowanej do języka włoskiego, poparł swe zapatrywania. Tak samo postępował Goldoni; każdy wyraz był dlań dobry, jeżeli wiernie oddawał myśl, jeżeli ożywiał dyalog i zbliżał język do potocznej mowy. Powoli pisali już wszyscy literaci, jak Baretti, Ferri, Galiani, Beccaria tym nowym językiem; opozycya wychodziła tylko z Florencyi, która zawsze trzymała się zasady, że jedynie w Toskanii mówi się czysto po włosku, i z Rzymu, ze stolicy »Arkadyi«, która się spostrzegła, że nowy język usuwa podstawy jej istnienia. Okrągłość frazesów, wyszukaną mowę cierpiano jeszcze tylko w dramacie muzykalnym, uznawano, że Metastazyo musi się posługiwać arkadyjskim stylem, aby się pogodzić ze skrzypcami i klarynetem.

III.

Z początkiem XVIII w. utwierdzało się i rozpowszechniało coraz bardziej w Rzymie przekonanie, że zabytki przeszłości są skarbami, które szanować i gromadzić należy. Opinia publiczna zaczęła się oburzać na rody włoskie, sprzedające dawne marmury; wymieniano Giustinianich, Odescalchich, Ficoronich, Barberinich, Ottobonich, którzy za znaczne sumy pozbywali się zebranych jeszcze w czasie Odrodzenia posągów starożytnej greckiej i rzymskiej sztuki.

Starano się więc zastąpić te ubytki i rozkopywać rzymskie gruzy, aby z nich ratować to, co jeszcze z odwiecznych skarbów pod ziemią ukryć się mogło. Wprawdzie w r. 1534 papież ustanowił urząd konserwatora rzymskich starożytności, który miał czuwać nad zabytkami, w ciągu XVII w. Ci dygnitarze nie wiele się jednak troszczyli o swoje zadanie i dopiero w XVIII stuleciu urząd konserwatora nabiera znaczenia. Piastują go już tacy uczeni, jak Venuti, Winckelmann i dwaj Visconti. Słowo »scavi«, wykopaliska, stało się modnem hasłem, a papieże, o ile możności, przeszkadzali wywozowi posągów, co jednak nie na wiele się przydawało. Włoskie marmury przyczyniły się głównie do założenia magnackich zbiorów w Anglii; galerye lorda Pembroke, Piotra Lely, hrabiego Winchelsea, hrabiego Burlington, lorda Leicester, Howarda, powstawały jedna za drugą; zawiązało się nawet towarzystwo »Society of Dilettanti«, którego zadaniem było wykupywać starożytne zabytki sztuki. Aby jaką taką mieć kontrolę nad poszukiwaniami, dawała rzymska kurya osobne w tym celu pozwolenia. »Scavi« mnożą się w XVIII w. i wydają nadzwyczajne rezultaty; w latach 1690—1763 doszła liczba rzymskich marmurów do takiej ilości, że mogło powstać mnóstwo zbiorów prywatnych obok papieskich muzeów. Kopano w willi Hadryana, w Corneto, w Albano, w Grotta Ferrata i wzdłuż via Appia.

Do namiętności poszukiwania przyczyniały się olbrzymie sumy, jakie Anglicy płacili za starożytności, zainteresowanie

się całej Europy, entuzyazm obcych artystów, zwiedzających Włochy. Dziennik »Cracas« zdawał sprawę o każdej niemal nowej zdobyczy wydartej gruzom, a w czasach, kiedy rząd papieski nie pozwalał się otwarcie zajmować ani »filozofią«, ani cudzoziemską literaturą, ani polityką, »scavi« stanowiły najmilsze zajęcie umysłów.

Starożytność wpływała po raz wtóry na ożywienie nowoczesnej kultury. Była to nowa epoka tych odkryć, które się niegdyś głównie przyczyniły do wywołania umysłowego ruchu, zwanego Odrodzeniem. Dawne odkrycia, po większej części odnoszące się do literatury greckiej i rzymskiej, objawiły światu ducha starożytnych pisarzy; wykopaliska XVII i XVIII wieku uwydatniały w sposób plastyczny życie Rzymian, a nadto dodawały jeszcze mnóstwo skarbów do ocenienia dawnej sztuki.

Właśnie w epoce, kiedy ten entuzyazm do »scavi« dochodzi do najwyższej potęgi, odkryto skarby starożytności w Herculaneum (1737), a następnie w Pompei (1748). Fakt ten był zdarzeniem wielkiej, kulturalnej wagi.

Szczęściem, że w czasach robót w Herculaneum zajmował tron Neapolu Karol III Burbon (1734—1759), człowiek pod wielu względami surowy, dziwak, ale umiejący cenić naukę i po swojemu rozmiłowany w sztuce. Król wychował się właściwie w stajni i na polowaniu, był też wybornym jeźdzcem i jak mówiono, pierwszym myśliwym w Europie, co zresztą trudno było udowodnić, gdyż w południowych Włoszech, podobnie jak dzisiaj, nie wiele było zwierzyny i parę zastrzelonych skowronków stanowiło już tryumf łowiecki. Karol III czuł dobrze, że jest nieukiem, dlatego korzystał z każdej sposobności, aby się dowiedzieć coś nowego, a że miał wyborną pamięć, więc powoli zbierał sobie pewien zasób wiadomości. Jak to wszakże często bywa u ludzi, którzy nie otrzymali starannego wykształcenia, obawiał się zdradzić swojem nieuctwem i nadzwyczaj był ostrożnym w rozmowach z »mędrcami«.

Dziwna brzydota była charakterystyczną cechą jego postaci; mówiono, że podobny do barana, a gdy się na wsi albo na polowaniu ubrał w skórzane spodnie, wełniane pończochy

i kaftan z wielkiemi kieszeniami, w których miał cały skład przeróżnych rupieci, to mógł uchodzić raczej za jakiegoś ogrodnika z pod Caserty, aniżeli za panującego. Jedynie krótki warkocz, który nosił według ówczesnej mody, kazał się domyślać, że ten dziwaczny człowiek musi mieszkać w pałacach. Miał on zresztą swe artystyczne zachcianki; nauczył się rysować i lepił z wosku rozmaite figurki, zwiedzał pracownie artystów, nudził ich godzinami, przypatrując się robocie, albo układał plany gmachów, bo architektura była jego najulubieńszą sztuką. Wybudował też operę i muzeum w Neapolu, wystawił ten niezmiernie obszerny gmach królewski w Casercie, nad którym się Goethe unosił, że to pałac godny panujących. Inaczej, prawdziwiej, osądził architektoniczny styl Burbona jeden z dzisiejszych uczonych, nazywając go stylem »najwyższej nudy«, »der allerhöchsten Langweile«.

Otóż król o takich artystycznych aspiracyach, chociaż nie zawsze odpowiadających ideałom piękna, zajął się szczerze wykopaliskami w Herculaneum, uważał je za chlubę swego panowania, a nawet zazdrosny, aby mu tego skarbu nikt nie wydarł, nie dopuszczał zrazu uczonych archeologów do oglądania wykopalisk, chciał niepodzielnie okryć się sławą wskrzesiciela starożytności. Gdy słynny archeolog, Winckelmann, przybył do Neapolu i rad był zobaczyć roboty w Herculaneum, król uczynił zadość jego prośbie tylko pod tym warunkiem, że nie będzie robił ani notatek, ani rysunków. Zresztą zazdrosny król sądził, że sława wydobycia tylu skarbów starożytnych przyczyni się także do wzbogacenia kraju i dlatego czuwał jak umiał nad zachowaniem ich w całości. Raz znalazł w gruzach pompejańskich złoty pierścień z kameą z karniolu, który sobie tak upodobał, że zawsze go nosił na palcu. Gdy jednak wybierał się do Madrytu, aby objąć tron hiszpański, miał sobie za skrupuł zabrać ten pierścień i pozostawił go neapolitańskiemu muzeum.

Wskutek tej zazdrości króla, aby nikogo nie wtajemniczyć w skarby Herculaneum, upłynęło lat dwadzieścia od rozpoczęcia robót, a jeszcze uczeni europejscy nie mieli autentycznego sprawozdania o tem, co tam znaleziono. Wprawdzie król polecił monsignorowi Oktawianowi Bojardi (1695—1758)



Włoski myśliwy.
Karykatura Ghezzi'ego w Albertynie.

Do str. 16.

Fot. Schramm w Wiedniu.

opracować dzieło opisowe o Herculaneum; a ten duchowny zanadto lubił pisać dużo i dokładnie, a dość powiedzieć, że skompilował aż czterdzieści tomów o chronologii Kościoła katolickiego. Otóż ów monsignor zabrawszy się do pracy o Herculaneum, wydał po wielu latach dwa tomy »Wstępu«, w którym cytaty greckie, łacińskie, hebrejskie, chaldejskie i arabskie, tudzież traktaty o miarach i wagach babilońskich, egipskich i perskich, zajęły mu tyle czasu, że umarł, nie doszedłszy do właściwego przedmiotu. Inny uczony, abate Jacopo Martorelli, napisał dwa tomy o »kałamarzu«, znalezionym w Herculaneum, małem naczyniu z bronzu, które prawdopodobnie było tylko solniczką.

Nie dziw też, że jeden z najznakomitszych współczesnych archeologów, Francuz, hr. Caylus, radził kardynałowi Picciardi, aby wykradać powoli tajemnice, które kryje Herculaneum, naśladując kota, który godzinami spokojnie czeka na mysz aby ją ułowić. »Mamy przecież, pisał hr. Caylus, dość cierpliwości, a może i pieniędzy, aby w połączeniu z włoską inteligencyą dojść do celu«.

Nareszcie i król i jego minister, Bernardo Tanucci, poczuwając się do obowiązku, iż należy zaspokoić ciekawość europejskich uczonych i chcąc ogłosić dokładne sprawozdanie o herkulańskich wykopaliskach, zawiązali w tym celu (1755) akademię herkulańską, bo w owych czasach bez akademii obejść się nie mogło. Tanucci zaprosił do tej uczonej korporacyi piętnastu członków, którzy się mieli schodzić co dwa tygodnie na posiedzenia. Każdy z nich dostawał trzy przedmioty wykopane, jako zadanie do wyjaśnienia na następnej sesyi. Po większej części starzy już członkowie akademii uważali pracę tę za ciężką na swe zmęczone umysły, a gdy Karol III pojechał do Hiszpanii, przestali bywać na posiedzeniach. Dopiero człowiek pełen energii, Pasquale Carcani, zachęcony przez Galianiego, zabrał się do rzeczy i wydał siedm tomów, zawierających podobizny fresków i bronzów herkulańskich i w ten sposób skarb ten został dostępnym dla uczonych Europy.

Jednym z najcenniejszych zabytków, jakie znaleziono w Herkulaneum, była biblioteka, składająca się ze zwojów

papyrusów, na którą natrafiono w r. 1750, kopiąc głęboką studnię. W małym pokoiku jakiejś willi stały szafy, mieszczące owe skarby, które wyglądały na spalone kawały drzewa. Antoniemu Piaggi, uczonemu mnichowi zakonu Scolopich, udało się zapomocą wynalezionej przez niego maszynki porozwijać poszczególne arkusze przepalonych, zbutwiałych papyrusów i naklejając je na kartki, przygotować do odczytania. W ten sposób wydobył cierpliwy mnich z zapomnienia przeszło tysiąc greckich woluminów. Karol III nadzwyczaj się zajmował tem odkryciem, często odwiedzał ojca Piaggi i przypatrywał się jego żmudnej robocie. Zakonnik przepisywał zaraz każdy ze skarbów uratowanych, do czego bardzo mu się przydawała jego umiejętność naśladowania dawnych pism.

Do poznania greckiej sztuki przyczyniały się całe zbiory waz, które odkopywano częścią w Herculaneum, częścią w innych miejscowościach południowych Włoch. Następca Karola III, król Ferdynand IV, który po swoim poprzedniku odziedziczył nałóg kolekcyonerstwa, śledził z namiętnością zbieracza każdą nowoznalezioną skorupę, kryjąc w największej tajemnicy swe zdobycze, aby nie zachęcać innych kolekcyonerów do poszukiwań. W tej mierze miał jednak bardzo niebezpiecznego rywala, posła angielskiego. Sir William Hamilton, zamiłowany w umiejętnościach i sportach, był w wielkich łaskach u Ferdynanda, który całe dnie spędzał z nim w lasach albo na łowieniu ryb w Castellamare. Przy tej sposobności wykradał zręczny Anglik królowi niejedną tajemnicę i rozpoczynał robotę na własną rękę. W r. 1766 dowiedział się Hamilton, że w górach, o dziesięć mil powyżej Kapuy, w miejscowości prawie niedostępnej, znajdują się w ziemi etruskie wazy nadzwyczajnej piękności. Hamilton wybrał się tam z żoną, nikomu nic nie mówiąc o swojej wycieczce, i w Casale di Tregghia kazał rozkopywać etruskie groby. Zamieszkał u jakiegoś Carla da Pisa i wywiózł stamtąd mnóstwo cennych zabytków. Ale minister Tanucci dowiedział się o tej »zbrodni«; kazał uwięzić owego Carla da Pisa, nie mógł wszakże przeszkodzić, że Hamilton pozabierał wazy. Czasami jednak dzielił się Anglik z królem kupnami, aby sobie nie zrazić monarchy, a niemiecki malarz, Tischbein, widział razu je-

dnego, jak Hamilton szedł do królewskiego zamku w wielkiej gali, z brylantową gwiazdą na fraku i orderową wstęgą przez piersi, trzymając za jedno ucho koszyk, którego drugie ucho spoczywało w silnej dłoni jakiegoś lazzarona. Kosz zawierał wazy, przeznaczone dla króla, aby go wprowadzić w dobry humor.

Goethe zwiedzał »das geheime Kunst- und Gerümpelgewölbe Sir Williams«, które wyglądało istotnie na tandeciarski kramik. Bez ładu leżały koło siebie marmurowe popiersia, bronzy z różnych epok, sprzęty domowe z sycylijskiego agatu, a Anglik strzegł tych skarbów i pokazywał je tylko ludziom, o których był przekonany, że go przed królem nie zdradzą. Hamilton wydał później dwutomowe dzieło o swych wazach. Nie było zresztą zamożniejszego arystokraty albo uczonego szperacza w Neapolu, któryby nie zbierał, jeżeli już nie waz etruskich, to przynajmniej ułamków marmurowych tablic z napisami. Do szczęśliwszych zbieraczy należał duca di Carafa.

W ogóle zamiłowanie do zabytków etruskich wzmagało się wówczas coraz bardziej; oprócz Neapolu stała się Florencya najgłówniejszą siedzibą »etruskeryi«. Etruskerya była w modzie; panie i panowie z wyższego towarzystwa ubierali się »all' etrusca«, a przynajmniej »alla greca«.

Grecka przeszłość zaczynała ponownie mieć ogromny wpływ nie tylko na malarstwo i rzeźbę, ale i na literaturę, epoka baroku zbliżała się do upadku. Abate Galiani pisał do pani d'Epinay, że starożytni przewyższali nas we wszystkiem; nigdy nie malowali, ani nie rzeźbili śmierci, tej figury brzydkiej, »hideuse, dégoutante, révoltante«, która w niczem nie posuwa naprzód naszych czynności i tylko nam życie zatruwa. Ich tematy na grobowcach są zawsze wesołe, przyzwoite, ich piekło jest otchłanią »de gens de bien et de gout«. Jak bardzo oddaliły się już pojęcia włoskie od czasów Berniniego, od jego kościotrupów na pomnikach ludzi znakomitych!

IV.

Muzyka, śpiew i połączony z niemi teatr, który już w XVII w. doszedł we Włoszech do wielkiego rozwoju, stał się w XVIII stuleciu jednym z najwybitniejszych objawów ducha narodowego, a włoski geniusz z pomocą opery, przez swych kompozytorów, przez swe śpiewaczki i śpiewaków, przez tancerzy i baletniczki, niemały miał wpływ na prądy kulturalne całej Europy.

Cztery wybitne szkoły śpiewu i muzyki: w Neapolu, w Rzymie, w Bolonii i Wenecyi, panowały, że tak powiem, nad muzykalnym światem; najwyżej w pierwszej połowie wieku stanęła szkoła neapolitańska wskutek nadzwyczajnego talentu całej śpiewackiej dynastyi Scarlattich. Domenico Scarlatti (ur. w Neapolu 1683) roznosił sławę włoskiej muzyki po Anglii, Francyi, Hiszpanii i Portugalii; jego wnuk, Giuseppe Scarlatti, przepędził większą część życia we Wiedniu. Śpiewak Farinelli (ur. 1705), także Neapolitańczyk, został grandem hiszpańskim, rycerzem orderu Kalatrawy, był ulubieńcem europejskich dworów i miał nawet wielki wpływ na polityczne stosunki. Marya Teresa pisywała do niego przyjacielskie listy. W latach 1737—1761 dyrygował operą w Madrycie i pobierał pensyę w olbrzymiej na owe czasy sumie dwóch tysięcy funtów szterlingów rocznie.

W drugiej połowie wieku najgłośniejszą była bolońska szkoła śpiewu. Do gwiazd tamtejszych należała słynna Brigida Banti; znana w całej Europie, śpiewała w operach Metastazya w Londynie, w Paryżu, w Wiedniu, w Warszawie, gdzie król Stanisław Poniatowski trzymał do chrztu jej synka. Wróciwszy do Włoch taki umiała obudzić szał swym głosem, że niektórzy wielbiciele przepłacali służbę w osteryach. aby módz spać w pościeli, którą opuściła śpiewaczka, a markiza Bovio w Bolonii używała nawet wszelkich możliwych sposobów, aby przepędzić noc w tym samym pokoju, co Banti. Jeden z jej biografów utrzymuje, że jeżeli raj dantejski ma rozbrzmiewać najpiękniejszą muzyką, to nie może tam brakować głosu Brygidy.

Charakterystyczną cechą umysłów XVIII wieku są pewne niewyraźne pragnienia, pewne nieokreślone uczucia, które się później skrystalizowały w rewolucyi francuskiej. Ostateczności stykały się wówczas wybitniej, aniżeli w każdej innej epoce. Francuski myśliciel, jeżeli się nie mylę, Fontenelle, głosił zasadę, że świat duchowy, podobnie jak fizyczny, jest rządzony liczbą, miarą i wagą. Otóż obok zasad o mechanice świata, obok geometryi, wprowadzonej w dziedzinę ducha, powstawały idee nieograniczonej wolności, obok matematycznej prawdy, sentymentalna poetyczność, która w śpiewie i w muzyce szczególne znajdywała zadowolenie.

W górnych strefach myśli ludzkiej wieją równocześnie, jak po szczytach alpejskich, Bora i Fön, dwa przeciwne sobie prądy: ścisłe rozumowanie i jakieś rozwiane marzycielstwo. Fryderyk Wielki chce całą ludzkość wtłoczyć w wojskowe formy, a równocześnie ckliwe serca, od Palerma do Berlina i od Petersburga do Odessy, rozczulają się nad sentymentalną nutą Metastazya i nad ideami wolności, choćby tylko w słowach. Rzec można, że przez jakiś czas ten czułostkowy poeta jest prorokiem Włoch i całej Europy, trafia w serca pełne tęsknoty, ale nie umiejące sobie jeszcze zdać sprawy do czego wzdychają. W drugiej połowie XVIII wieku te nieokreślone pragnienia już się krystalizują, będą miały jasny cel przed sobą. Po Metastazyu nastąpi Alfieri, dążący do Odrodzenia włoskiego narodu.

Przez cały wiek XVIII aż do czasów przedrewolucyjnych Włosi obok Francuzów są artystycznymi kierownikami dworów północnych. Zwłaszcza dwór wiedeński jest właściwie włoskim. Rodzina panująca mówi ze sobą po większej części po włosku, młodocianą Maryę Teresę uczy Caldara, Porsile (1720—1750) jest nadwornym kompozytorem; Conti (1701—1732) pisze komiczne opery, Karol VI mianuje historyografem rodziny cesarskiej Wenecyanina, znakomitego uczonego Apostola Zeno (1718—1729). Zeno układa teksty do oper i do oratoryów, pisze historyczne dramaty dla wiedeńskiej sceny, panuje nad literackim ruchem stolicy. Od starzejącego się Wenecyanina odbiera Metastazyo (1730) berło dworskiej poezyi i dzierży je aż do śmierci, do roku 1782.

Po Metastazyu przybywa Casti i jako poeta dworu ma pensyę 3000 florenów, a Antonio Frizzi z Udine opiewa każde zdarzenie, tyczące się panującej dynastyi. Wiedeń staje się niejako jedną z literackich stolic Włoch. Do melodramatów Metastazya dorabia w znacznej części muzykę Boncini, współzawodnik Händla, włoskie tancerki zapełniają balet.

Kazania dla dworu miewa padre Granelli, słynny mowca. Cały Wiedeń go podziwia i podnosi niesłychaną przytomność umysłu: gdy w ciągu kazania wchodzi do kościoła jaki członek rodziny cesarskiej, Granelli wita go takim zwrotem mowy, iż zdaje się, że to powitanie stanowi konieczną treść kazania.

W Dreźnie teatrem i sztuką kierują prawie wyłącznie Włosi. Zwłaszcza za Augsta III wpływ włoski zwycięża francuskie kierunki. W operze rozwielmożniła się szkoła neapolitańska Aleksandra Scarlattego; capo maestro Hasse, ożeniony z Wenecyanką, słynną na całą Europę Faustyną Bordoni, dorabia muzykę do librettów Metastazya, Bibiana i Servandoni malują dekoracye i urządzają teatralną maszyneryę; śpiewacy, baletnicy sami prawie Włosi. August III wybornie mówi i pisze po włosku; prawdziwy znawca sztuki, zakupuje obrazy we Włoszech. Ma tam swoich ajentów, a gdy mu przywieziono Madonnę sykstyńską, każe ją ustawić w sali tronowej, mówiąc do dworskich urzędników, którym się trochę dziwnem zdawało, aby tron miał ustąpić obrazowi: »Platz für den grossen Rafael!« Królowa, widząc, czem może monarsze największą sprawić przyjemność, daje mu obrazy na imieniny. Plany do budowy dworskiego kościoła rysuje Chiaveri, Rzymianin (1689—1770), a robotnikami byli sami jego ziomkowie.

Jedyną kobietą, która potrafiła zdobyć serce Fryderyka Wielkiego, była baletniczka, Włoszka, owa piękna Barberina Campanini (ur. 1721 w Parmie), której portrety, pendzla Antoniego Pesne, zdobią do dziś dnia zamek Sanssouci. Barberina wystąpiła na wielkiej scenie europejskiej w Paryżu z takiem powodzeniem, że mogła powiedzieć księciu Carignan, że za sto tysięcy franków nie da mu się nawet w rękę pocałować. Sława tancerki doszła do Fryderyka Wielkiego, który ją kazał zaangażować w r. 1743 do berlińskiego baletu. Barberina zawarła kontrakt, ale tymczasem poznała lorda Stuarta

de Mackenzie, który potrafił pozyskać jej serce. Lord sprzeciwiał się temu, aby jego ukochana poszła »w służbę króla pruskiego«; oboje uciekli do Wenecyi, sądząc, że tam ich nie dosięgnie ręka potężnego monarchy. Stało się jednak inaczej; Fryderyk tak napierał na rzeczpospolitą wenecką, że senat kazał ją uwięzić za złamanie umowy z dworem berlińskim. Poseł pruski w Wiedniu »dostawił« Barberinę do Berlina; ale nawet Fryderyk Wielki nie mógł bezkarnie więzić baletniczek, gdyż zaraz na pierwszem wystąpieniu czarującej Włoszki zakochał się w niej i zaczął ją obsypywać swemi łaskami. Wolter utrzymywał, że Barberina nie z powodu swych wdzięków, ale tylko dlatego podobała się Fryderykowi, ponieważ miała łydki grenadyera. Baletniczka przysporzyła później dużo kłopotów zazdrosnemu o nią królowi, a po długich latach, spędzonych w Prusiech, umarła na Śląsku (1759) jako hrabina de Barschau i przełożona ufundowanego przez siebie konwentu dla szlacheckich panien. Na nagrobku jej napisano: »Virtuti asylum«.

Nie tylko w Wiedniu, Berlinie, Petersburgu i Warszawie odgrywali Włosi niemałą rolę, ale i w Londynie potrzebowano ich, jeżeli chodziło o teatr i muzykę. Emigracya Włochów do Anglii staje się w wieku XVIII dość liczną; uczą tam swego języka w domach arystokratycznych, albo ćwiczą angielskie lady w śpiewaniu madrygałów, canzonett i aryi z włoskich oper. Słynny improwizator, Paolo Rolli, rozczula piękne wyspiarki swoimi wierszami w duchu Metastazya, bo mistrz ten nawet w Anglii w wielkiej był modzie. Jeden z Anglików, Karol Burney, wydał w r. 1796 aż trzech-tomowe dzieło o Metastazyu: »Memoirs of the Life and writtings of the abate Metastasio«.

Obok literatów, artystów, śpiewaczek i baletniczek wędrowało do Londynu mnóstwo Włochów, szukających szczęścia albo wygnanych z ojczyzny. Ci nie zawsze przynosili zaszczyt swemu narodowi. Casanowa przestrzegał poetę Lorenza da Ponte, aby broń Boże nie chodził w Londynie do kawiarń, gdzie się zbierają jego rodacy. Gdy raz mówiono królowi, aby sprowadził Włocha do nauki swej córki, monarcha odpowiedział z niechęcią: »Nie wspominajcie mi ani o Włochach, ani

o katolikach, bo wszyscy niewiele warci«. Ale wówczas także Francuzi i Hiszpanie nie lepszą mieli opinię w Anglii.

W Paryżu może mniejszą rolę odgrywali Włosi, aniżeli w innych stolicach Europy; ale i tam włoski wpływ jeszcze nie ustał i trwał aż do rewolucyi. Jak zawsze teatr i muzyka były najważniejszemi zajęciami, w których się Włosi odznaczali. Baletnika Vestris nazwano »Dieu de la danse«; król baletu, zachwycony tem pochlebstwem, mawiał o sobie, że trzech tylko ludzi stoi na wyżynach stulecia: »Ja, Wolter i Fryderyk Wielki«. Obok Vestrisa działał jednak w Paryżu skromniejszy, ale więcej wart wspomnienia, Goldoni, a Rosalba Carriera swymi pastelami wzbudzała podziwienie.

V.

Typowo arystokratyczną prowincyą była Lombardya. Rządy hiszpańskie starały się o wytworzenie uległej arystokracyi i zapomocą niej zapewniały sobie panowanie nad krajem. Szkoły, powierzone zakonom, pracowały już w tym kierunku; w Medyolanie istniały trzy wyższe zakłady naukowe w rodzaju uniwersytetów: szkoła w Brerze pod kierunkiem Jezuitów, zakład naukowy Barnabitów Sant' Alessandro i »Collegio de' nobili«, którem zarządzali Somaschi. Zadaniem tych szkół było raczej oddalać młodzież od życia praktycznego, aniżeli ją doń przygotować. Chodziło o wykształcenie dobrych łacinników, poetów i ludzi światowych według utartej barokowej modły, o pożytecznych obywatelach nikt nie myślał. Młodzieniec z domu szlacheckiego uczył się jeździć konno, bić na szpady, grać na gitarze, znać wybornie zawiłe przepisy honorowe, a przedewszystkiem wprawiać się w taniec i ukłony. Według rozlicznych stopniowań w ukłonach poznawało się dobrze wychowanego człowieka; inaczej powinno się kłaniać markizie, inaczej księżnie, biskup miał prawo do odmiennych ukłonów, aniżeli namiestnik cesarski. Podobnie zręczność w tańcu otwierała młodzieńcowi najwyższe salony; poeta Ippolito Pindemonte był znany w całej niemal Europie z niezrównanej zgrabności w tańcu. Na balu, danym w r. 1790

u ambasadora neapolitańskiego w Wiedniu, ogłosił go książę saski za najznakomitszego tancerza.

Życie lombardzkie skupiało się w arystokracyi. Szlachta zajmowała wszystkie godności i urzędy, a każda niemal większa rodzina miała jakiś szczególny przywilej. Serbellonim wolno było oddawać dwa głosy w radzie sześćdziesięciu, Confalonieri zajmowali pierwsze miejsce w ingresie arcybiskupa, Marliani mogli zamykać ulicę przed swym pałacem aż do połowy jej szerokości, a wiele rodów wyrobiło sobie z biegiem czasu zwyczaje, które je robiły głośnymi w społeczeństwie. Najdziwniejsza tradycya dziedziczyła się w longobardzkim jeszcze rodzie Pusterlów. W naznaczonym dniu ciągnęła służba Pusterlów ogromnego drewnianego konia od Porta Ticinese w Medyolanie aż do Duomo. Muzyka i cała zgraja klientów rodu otaczała tego »Trojańczyka«. Przed bramą katedry zatrzymywał się pochód, a z wnętrza konia wychodzili posłańcy Pusterlów, niosąc kosztowne dary w hołdzie dla metropolity. W tych czasach wybujałego wpływu arystokracyi przemienił hr. Vitaliano Borromeo nagą skałę, wystającą z Lago Maggiore, w czarującą Isola Bella z dziesięcioma ogrodami, wznoszącymi się jeden nad drugim, i z panującym nad nimi pałacem.

Zbytek, pycha i próżność cechowały tę arystokracyę. Gdy marchese Landi z Piacenzy zaręczył się z Isottą, siostrą poety Pindemontego, położył rodzinie za warunek, aby jeden z Pindemontich wystarał się o krzyż kawalera maltańskiego, pomimo, że zakony wojskowe nie miały już wówczas znaczenia. Ale młodzi synowie wielkich rodzin starali się pokrywać swe ubóstwo mundurami rycerzy rodyjskich albo maltańskich, gdyż majątki, po większej części majoraty, należały do synów najstarszych.

W r. 1749 został zaprowadzony w Lombardyi instytut heraldyczny, a we dwadzieścia lat później wydał rząd długą pragmatykę, normującą zewnętrzną pompę medyolańskiej szlachty. Tylko członkowie pewnych rodów mogli używać w kościele stołeczków pod nogi, opraw ze srebra i torebek ze srebra na książki do modlenia. Paniom należącym do arystokracyi wolno się było ubierać w takie robrony, jakie noszono na cesarskim

dworze, jedynie przed szlachtą niesiono pochodnie przy wejściu do teatru. Również lokajów w liberyi mogły mieć tylko rody szlacheckie.

Formalizm tak krępował życie towarzyskie, że mimo wszelkich przywilejów arystokracya bardzo mało miała rozmaitości w życiu i śmiertelnie się nudziła. Pod panowaniem hiszpańskiem każda większa rodzina lombardzka żyła tylko pomiędzy sobą, mężczyźni schodzili się z kobietami w obcych im domach tylko podczas ważnych uroczystości, a jedyną rozrywką zamkowych pań były odwiedziny księdza gwardyana, gdy przychodził co rano »al baciamano«, dowiadywał się z największymi szczegółami, jak markizostwo spali, jak się ma młody markiz, i przy tej sposobności opowiadał o wszystkiem, co się w okolicy zdarzyło w przeciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Gdy duca d'Ossuna urządził raz u siebie zebranie, na które zaprosił nie tylko mężczyzn, ale i kobiety, tak mu to wzięto za złe, że już odtąd nie myślał o podobnych zabawach. Dopiero ostatni gubernator hiszpański, książę de Vaudemont, zdołał zaprowadzić wolniejsze francuskie zwyczaje, urządzając coś w rodzaju angielskich »garden party«; ale nieprzyzwyczajone do swobodnego obcowania pomiędzy sobą towarzystwo tak ochoczo korzystało z nowości i z cienia drzew wawrzynowych, że te wieczory namiestnikowskie stały się niebawem zgorszeniem matron i wyłysiałych markizów. Towarzystwo zachowywało się zrazu podobnie, jak młodzież, którą dopiero co wypuszczono z jezuickiego internatu.

Jak tylko Hiszpanie opuścili Lombardyę i rozpoczęły się łagodniejsze i rozumniejsze rządy za Maryi Teresy, Medyolan bardzo się ożywił, arystokratyczne domy stały się przystępniejsze, a podróżny Richard chwalił sobie miasto, w którem można prawie co dzień być na obiedzie w doborowej kompanii. Z towarzyskiem ożywieniem zaczęły się i mody często zmieniać, rococo zapanowało w całej pełni, a nawet raz jakaś pani, należąca do lepszego świata, wystąpiła w peruce kształtu komety, co dało powód Piotrowi Verri do napisania wiersza pod tytułem: »Una relazione d' una prodigiosa cometa, osservata a Milano l' anno 1793«.

Nie dziw, że te nowości, te stroje, te powozy i liberye

wywoływały złośliwe uwagi, bywały niewyczerpanym tematem dla satyryków. Już z końcem XVII wieku zabłysnął Bartolommeo Dotti w północnych Włoszech z wierszyków, które tak złośliwie dotykały niektóre osobistości, że autor wywołał straszną vendettę i ugodzony sztyletem, odpokutował za swój gryzący dowcip.

Właściwym jednak satyrykiem XVIII w. był abate Parini (ur. 1729), człowiek wyższego umysłu, który miał niejedną sposobność poznać próżniacze, puste życie, zwłaszcza arystokracyi lombardzkiej, a będąc szczerym patryotą, bolał nad upadkiem narodu. Zaledwie otrzymał duchowne święcenie, został domowym nauczycielem w domu Serbellonich, należących do najwyższej arystokracyi w Medyolanie. Donna Maria Vittoria z domu Ottoboni, księżna na Fiano, była kobietą wykształconą i jak na owe czasy, wcale postępową, tak dalece, że czytała z synem Gabazzem dzieła Rousseau'a i obchodziła się z domowym abatinem wcale po ludzku. Gdy się rozłączyła z mężem, z Serbellonim, złośliwy abate napisał czterowiersz, dotykający powodów separacyi, którego mu książę nie mógł przebaczyć:

Cari figli, non piangete
Che, se nati ancor non siete,
Non potento vostro padre
Vostra madre vi fara.

Ale księżna, jeżeli wiedziała o tym »capricio«, nie gniewała się na abatina i otaczała go dalej swą łaską. Zdarzył się jednak fakt, który dowodził, że donna Maria nie przejęła się zasadami ludzkości, głoszonemi przez francuskich filozofów, a Parini natomiast głęboko je sobie wziął do serca.

W domu księżnej na wsi bawiła córka słynnego kompozytora, Sammaritaniego, który, jak mówią, był artystycznym poprzednikiem Haydna. Pannie Sammaritani nie podobało się u księżnej, chciała wracać do ojca, do Medyolanu. Serbelloni opierała się temu życzeniu, a gdy przyszło do przymówek, wymierzyła dwa policzki panience i wypchnęła ją z domu.

W Parinim krew zawrzała, porzucił wygodną swoją po-

sadę, zabrał dziewczynę i odwiózł ją do Medyolanu a oburzony na feudalne zwyczaje arystokracyi, zaczął drukować pierwszą część swego poematu, który mu zyskał sławę i wdzięczność narodu. Poemat jest epopeą próżniaczego życia lombardzkiej młodzieży, nosi tytuł »Il Giorno« »Dzień« i składa się z czterech części »Il Mattino«, »Il Meriggio«, »Il Vespero« »La Notte« ; jest on wiernym obrazem ówczesnych obyczajów.

Gdy »Poranek« się ukazał, powstało pomiędzy arystokracyą wielkie oburzenie; książę Belgiojoso uważał się osobiście dotkniętym i sądził, że »Giovin signore«, główna postać poematu, jest karykaturą z niego wziętą. Książę, człowiek bogaty, rozrzutnik, sprowadzał, jak mówiono, co miesiąc fryzyera z Paryża, aby go uczesał według najświeższej mody. Belgiojoso tak się obraził satyrą Pariniego, iż kazał powiedzieć autorowi, że jeżeli mu życie miłe, to zaprzestanie wydawania dalszych części poematu. Mimo to »Meriggio« zostało ogłoszone drukiem jeszcze przed rokiem 1763.

Parini był bardzo znaną i lubioną osobistością w Medyolanie; przystojny, otwarty, wyborny mowca, o dźwięcznym głosie, gdy się przejął jakim przedmiotem, to się zdawało, że wszystkie muszkuły w nim grają i że mu są pomocne w wyrażeniu myśli. Lubił żyć w towarzystwie niewielu przyjaciół, stałym gościem był u markizy Paoli Castiglioni, kobiety rzadkiej kultury i rozumu, i wogóle należał do namiętnych wielbicieli płci pięknej. »Późny wiek, pisał raz do jednego z przyjaciół, nie ochrania mnie przed straszną bronią kobiecej urody«.

Parini umarł 15 sierpnia 1799.

Rządy Maryi Teresy były, rzec można, najszczęśliwszą epoką Lombardyi w XVIII wieku; były to rządy spokojne i uwzględniające narodowe właściwości Włochów, a najznakomitsze wówczas umysły Lombardyi, jak Beccaria, Parini, Verri, byli pełni pochwał dla cesarzowej. Za Maryi Teresy wymierzono pierwsze ciosy wszechwładzy duchowieństwa, które krępowało wszelkie siły narodu. Zmniejszono liczbę dni świątecznych, ograniczono ilość klasztorów, zniesiono ich nienaruszalność, przeprowadzono reformę administracyi, a po-

między gubernatorami byli ludzie wielkich zasług. Józef II walczył z resztkami filozofii scholastycznej, zakazywał odbywania rozmaitych obchodów, ubliżających powadze religii, unormował koszta pogrzebów, które były wygórowane do niemożliwości, nie dozwalał grzebać zmarłych w otwartych polach, a choć Fryderyk II nazywał go z tego powodu »Mój brat zakrystyan«, przecież rządy przedsiębiorczego cesarza przyniosły Lombardyi pod wielu względami niemałe korzyści.

Inaczej się działo, gdy francuskie sansculoty zstąpiły z Alp i zaczęły głosić mniemaną wolność i równość. Od zaprowadzenia Rzeczypospolitej Cisalpińskiej zaczęły się smutne czasy i trwały aż do ponapoleońskiej reakcyi. Ludność rozbiła się na stronnictwa, pałające ku sobie nienawiścią, pospólstwo wytłómaczyło sobie, że przez równość rozumieć należy także wspólność majątku. Poniewierano dawnymi zabytkami, jeżeli tylko na nich znajdował się herb jakiej znakomitej rodziny; w Sant' Eustorgio i w »Grazie« poniszczono wiele pięknych grobowców. Rzeczpospolita Cisalpińska stała się zbiegowiskiem wszelakich najbardziej niespokojnych żywiołów, jakie tylko istniały we Włoszech; »cittadina« Latanzi napisała rozprawę o niewoli kobiet włoskich i ofiarowała ją Józefinie Buonaparte, prosząc o wyswobodzenie tych niewolnic. Niebawem cała ludność rozpadła się na wrogie sobie stronnictwa; jedni chcieli połączenia całych Włoch, inni widzieli w federacyi ideał rządów, wszyscy jednak spostrzegli, że napoleońska rzeczpospolita rabuje, gdzie może, i że doprowadzi »wolnych obywateli« do nędzy i żebractwa. Nawet nieprzyjacielowi arystokracyi, Pariniemu, sprzykrzyło się wkrótce, gdy mu pierwszy lepszy ulicznik zaczął mówić »Ty«, a gdy mu raz zarzucano brak patryotyzmu, że dawał wsparcie niemieckiemu żołnierzowi, wziętemu do niewoli, uniósł się i zawołał z gniewem: »Dam jałmużnę Turkowi, Żydowi, Arabowi, dam każdemu, kto jej potrzebuje«. Niestety, rewolucya nie trzymała się tej szlachetnej zasady, ale i jemu chleb odebrała, usuwając go z posady profesora Akademii w Brerze, tak, że biedak, starzec siedmdziesięcioletni, po latach studyów i sławy, musiał przez resztę lat żyć z cudzej łaski, straciwszy wszelkie złudzenia co do wolności ludów.

Czasy tych narodowych nieszczęść, rozkiełzania wszelkich najgorszych namiętności w społeczeństwie, epoka wzajemnych zawiści, denuncyacyi i rozgoryczenia wydała jednak poetę namiętniejszego, jak Parini, poetę wielkiego wpływu. Był nim Ugo Foscolo, autor »Ostatnich listów Jakóba Ortis« (Ultime lettere di Jacobo Ortis) i poematu »Groby« (I Sepolcri). Foscolo wprowadza w swoich Listach Jakóba Ortis rozmowę bohatera romansu ze starym już Parinim, sceptycznym i zbolałym, jak każdy człowiek, którego żywot się kończy. Parini mówi dużo o upadku ojczyzny, czuć w jego słowach zgrzyt oburzenia z powodu dawnej tyranii, a dzisiejszego rozkiełzania namiętności. W młodym Jakóbie zawrzała krew, zerwał się, mówiąc: »Czyż nie powinniśmy spróbować naszych sił? Jeżeli śmierć nas przestrasza, to na zawsze zostaniemy niewolnikami!« Osiwiały poeta odrzekł mu spokojnie: »Chcesz czynu? Pamiętaj, że do sławy bohatera trzeba ćwierć odwagi, połowę szczęścia, a resztę zbrodni«. — »Czas jednak niszczy najpotężniejszych tyranów, krwawe zbrodnie muszą utonąć w krwi«.

Może jeszcze więcej wpływu, aniżeli »Listy Jakóba Ortis«, miał poemat Foscola »Sepolcri«, »Groby«, o którym później pomówimy.

Alfieri, Parini i Foscolo byli politycznymi poetami i oni to przygotowali odrodzenie włoskiego narodu.

ROZDZIAŁ DRUGI.

PIETRO METASTASIO.

I.

Było to z końcem pierwszego dziesiątka lat ośmnastego wieku, kiedy zamożny adwokat rzymski, abate Gian Vincenzo Gravina, przechodząc jedną z ulic wiecznego miasta, spostrzegł dziesięcioletniego chłopca, jak przed zgromadzoną publicznością improwizował wiersz, w którym wymienił jego nazwisko. Abate się zatrzymał, posłuchał chwilę deklamacyi młodzieniaszka, który go uderzył swym talentem.

Improwizator wyglądał ubogo, był szczupły, prawie wynędzniały, tak, że Gravina przysunął się do niego i chciał mu ofiarować srebrną monetę. Chłopak odmówił przyjęcia, wskutek czego abate prosił go, aby mu wskazał mieszkanie swego ojca. Był on synem Feliksa Trapassi z Assisi i matki Franceski Galastri z Bolonii, a urodził się w r. 1698. Felice służył dawniej w wojsku papieskiem, później zaś założył kram najrozmaitszych artykułów, potrzebnych ubogiej ludności. Dziwnem zrządzeniem istniały takie kramy pod szumną nazwą »arte bianca«.

Gravina był bardzo wziętym adwokatem, wielkim pedantem, mającym jednak tę słabość, że chciał uchodzić za znakomitego poetę, wskutek czego Arkadyjczycy pisali na niego złośliwe satyry, które mu życie zatruwały. Mały Tra-

passi podobał się Gravinie, tak, że abate-adwokat postanowił go zabrać z kramu do swego domu i wykształcić na znakomitego prawnika. Właściciel sklepiku z radością pozbył się syna, a Gravina tak sumiennie zaczął kształcić swego wychowanka, że go zanudzał czytaniem najcięższych starożytnych autorów. Uznając jednak jego talent poetyczny, pozwalał mu czasami improwizować wiersze na posiedzeniach rozlicznych akademii, które w Rzymie istniały. Improwizatorstwo było w modzie, a osobliwie ceniono młode »geniusze«. Ten lub ów z towarzystwa zasiadał do klawicymbału, uderzał w jakąś poważną nutę, a tymczasem kandydat improwizator układał sobie wierszowaną odpowiedź na zadany temat. Po chwili, drżący i wybladły, rozpoczynał swą improwizacyę, dopóki mu zgromadzeni nie wlali otuchy, potakując głowami, albo bijąc brawa. Wtedy młodzieniec poczerwieniał z radości i wiersze gładko mu już płynęły. Gravina był uszczęśliwiony, jak gdyby te oklaski jemu się należały.

W kilka lat po przyjęciu Pietra do swego domu wypadło Gravinie wyjechać do Kalabryi, do rodzinnej miejscowości Rogiano. Zatrzymał się w Neapolu, gdzie młody Trapassi na zebraniu literatów u Don Gaetana Argento jednym tchem, bez przerwy deklamował ośmdziesiąt stanc. W Kalabryi mieszkał krewny Graviny, stary uczony, Gregorio Caloprese, dawniej członek rozlicznych akademii w Neapolu, poeta i filozof, który jeden z pierwszych w południowych Włoszech sprzeniewierzył się filozofii Arystotelesa i głosił zasady Kartezyusza. Gravina zamieszkał kilka miesięcy z Pietrem u Calopresa, a filozof był uszczęśliwiony, że miał znowu sposobność wykładać zasady Kartezyusza młodzieńcowi, który dotąd niewiele miał wyobrażenia o filozofii.

Gravina zaczął być tak dumnym ze swego ucznia, że z powrotem do Neapolu znowu chciał się popisywać jego talentem improwizatorskim. Tym razem »przedstawienie« odbyło się w salonach księcia di Limatola; ale czternastoletni chłopak był tak przerażony świetnem arystokratycznem zgromadzeniem i tak wyglądał zmęczony i chorowity, że jedna z młodych pań, donna Anna Pinelli di Sangro, błagała Gravinę, aby mu nie pozwalał improwizować w towarzystwach,

a nadto wysłała go do jednej ze swych rozlicznych will w górach, aby tam odpoczął. Natchniony piękną przyrodą i wdziękiem swej protektorki Pietro napisał wtedy jedną z pierwszych swych canzonet, »Primavera«, i poświęcił ją donnie Annie, która wyszedłszy później za mąż za księcia Belmonte, nie zapomniała o autorze »Wiosny«, ale na zawsze pozostała jego protektorką.

Starego Gravinę raziło, że jego wychowaniec nosi brzydkie nazwisko rzymskiego kramarza, więc nazwał go z grecka Metastasio i odtąd zapomniano, że poeta był do lat czternastu Trapassim. W r. 1718 umarł Gravina, jak mówiono, ze zmartwienia, że wyśmiano jego tragedye, osnute na klasycznych wzorach, i napisano przeciw niemu bardzo zjadliwą satyrę. W testamencie ustanowił ze swego majątku rodzaj fideikomisu, z którego przedewszystkiem miał korzystać Metastasio.

Niedoświadczony chłopak, widząc się panem dość dużego majątku, zaczął wydawać w Rzymie więcej, jak mógł, tak, że wkrótce bardzo się zadłużył, dochody mu nie wystarczały. Wtedy, jak się zdaje, starał się o jakiś urząd w Watykanie, do czego mieli mu dopomódz znajomi kardynałowie. Rzecz się jednak nie udała i Metastasio, uciskany zapewne przez wierzycieli, musiał Rzym opuścić i przenieść się do Neapolu, aby tam żyć z adwokatury.

Neapol był miastem procesów i adwokatów, pomiędzy którymi niewielu tylko zajmowało poważne stanowiska, większa zaś część zasługiwała na nazwę »kauzyperdów«. Miano »paglietta« nie należało do zbyt zaszczytnych i oznaczało prawniczą hołotę. Metastasio wstąpił do biura bardzo znanego mecenasa Castagnoli, który później został nawet markizem; ponieważ jednak ten adwokat miał odrazę do wierszokletów i nie cierpiał ich około siebie, więc wymógł na Metastasiu, że nie będzie pisał poezyi, ale szczerze się zajmie powierzonemi mu sprawami. Castagnola należał do stronnictwa antywatykańskiego, które w kołach prawniczych było bardzo silne, gdyż adwokaci uważali za niesprawiedliwość, aby społeczeństwo neapolitańskie miało płacić papieżowi trybut poddańczy, choćby tylko w postaci białego konia.

Za pierwszego jeszcze pobytu pod Wezuwiuszem zapo-

znał się Metastasio z filozofem Vico; teraz bywał w jego domu, gdzie rządziła niegospodarna, nieporządna donna Vico, nie umiejąca się nawet podpisać, otoczona wieńcem brzydkich dzieci. Pomiędzy córkami była wszakże jedna, Luisa, która poświęciła się studyom, pisała nawet wiersze, a nadto tyle miała uroku, że nasz poeta nie mógł się oprzeć jej wdziękom. Luisa dokonała tego, że Metastasio sprzeniewierzył się Castagnoli, złamał obietnicę niepisania wierszy i ułożył do jej pięknych oczu dwie canzony: »D' amore il primo dardo« i »La libertà«. Do pierwszej ułożył muzykę Porpora, a wkrótce cały Neapol śpiewał ową piosenkę nieznanego jeszcze poety.

Młodzieniec zaczął wierzyć w swój talent; to też gdy donna Anna Pinelli di Sagrado, principessa di Belmonte, jego młoda opiekunka z czasów, kiedy jeszcze z Graviną bawił w Neapolu, wychodziła za mąż za markiza Pignatellego, śmiało wystąpił z serenadą na jej cześć napisaną, pod tytułem »Endimione«. Rzecz jednak szczególna, że ową serenadę poświęcił nie samej principessie di Belmonte, ale jej krewnej, donnie Maryannie Pignatelli, małżonce hrabiego d' Althan, synowca późniejszego wicekróla neapolitańskiego. Miał zresztą słuszność, bo hrabina d' Althan była jedną z najpiękniejszych kobiet Neapolu, miała wówczas lat dwadzieścia ośm, a wdziękami swymi zdołała oczarować nawet zimnego i poważnego cesarza Karola VI. Stała się ona dozgonną przyjaciółką Metastasia, a jak to później powiemy, utrzymywały się w Wiedniu pogłoski, że poeta, po jej owdowieniu, zawarł z nią w tajemnicy śluby małżeńskie.

Wkrótce po zamęźciu księżniczki di Belmonte zdarzyła się inna sposobność, która pozwoliła młodemu poecie dać się zaszczytnie poznać całemu Neapolowi. Elżbieta Brunświcka, małżonka Karola VI, spodziewała się potomka, więc wicekról, książę Borghese, wcześnie przygotowywał uroczystość na uczczenie radosnej chwili. Od dawna istniał zwyczaj, że pamiętne zdarzenia dynastyczne obchodzono w neapolitańskim zamku przedstawieniami teatralnemi, z któremi łączyła się zwykle kantata albo serenada, ułożona umyślnie celem uświetnienia wieczoru. Zdaje się, że tym razem principessa Belmonte podsunęła wicekrólowi myśl, aby napisanie wiersza do

kantaty powierzył młodemu adwokatowi, pracującemu w »studio« Castagnoli.

Pewnego też dnia otrzymał Metastasio wezwanie, aby się stawił u księcia Borghese. Z obawą szedł poeta do zamku, nie wiedząc, o co chodzi; rzecz się jednak wyjaśniła, poeta z radością przyjął zaszczytne polecenie, prosił tylko księcia o zachowanie jego autorstwa w tajemnicy, gdyż przyrzekł Castagnoli, że wierszy pisać nie będzie, a gdyby złamał słowo, mógłby utracić posadę. Książę z uśmiechem zapewnił go, że nikt się o jego autorstwie nie dowie, i słowa dotrzymał.

Metastasio napisał kantatę pod tytułem »Orti Esperidi«, zaniósł ją księciu i otrzymał nadzwyczaj hojne honoraryum, dwieście dukatów. Wicekról polecił do tego wiersza dorobić muzykę Porporze, a wykonać ją mieli najznakomitsi śpiewacy neapolitańscy, pomiędzy nimi Marianna Bulgarelli, zwana Romaniną, w roli Wenery. Przedstawienie wypadło nadzwyczaj świetnie; muzyka wprawdzie mniej się podobała, ale natomiast sam poemat zachwycił słuchaczy i ze wszech stron się dopytywano, kto jest autorem pięknego wiersza.

Książę Borghese milczał; ale ciekawa Bulgarelli nie spoczęła, aż przepłaciwszy służbę wicekróla, otrzymała rękopis kantaty, a dowiedziawszy się o tajemniczej wizycie Metastasia u księcia Borghese, porównała pismo młodego adwokata z pismem kantaty i z kobiecą przenikliwością odgadła autora. Pod jakimś pozorem sprowadziła go do siebie; Metastasio musiał przyznać się do winy, a nazajutrz już cały Neapol powtarzał, że autorem wiersza »Orti Esperidi« jest rzymski adwokat.

Bulgarelli była wówczas najznakomitszą śpiewaczką w Neapolu; nie pierwszej już młodości, o pięknej postawie, nie miała zbyt przyjemnego głosu, ale natomiast nadzwyczaj wyrobioną technikę śpiewu i była wyborną aktorką. W obcowaniu dość chłodna, odznaczała się pomiędzy ówczesnemi artystkami wykształceniem i niepospolitym rozumem. Zapanowała też nad mężem, który niknie wobec słynnej artystki, jako osobistość nie mająca znaczenia.

Śpiewaczce nadzwyczaj się podobał młody Metastasio; zachęciła go do bywania w jej domu i niebawem stał się

poeta nieodstępnym jej towarzyszem. Cały Neapol zaczął mówić o stosunku Bulgarelli z poetą. Wprawdzie wydawca pośmiertnych dzieł Metastasia, abate d' Ayala, zapewnia, że pomiędzy artystką a Metastasiem panowała tylko najściślejsza, niewinna przyjaźń; ale abate nie był świadkiem tego romansu i publiczność neapolitańska mogła w tej mierze lepsze mieć wiadomości, aniżeli późniejszy literat, który idealizując swego bohatera, chciał mu nawet odmówić tej słabostki, że uległ wdziękom zamężnej kobiety. Późniejsze postępowanie zresztą Romaniny najzupełniej potwierdza jej bezgraniczną miłość dla poety, kobiety dojrzałej do młodzieniaszka.

Metastasio miał już i pomiędzy literatami neapolitańskimi szczerych wielbicieli. Do prawdziwych »entuzyastów« jego talentu należał adwokat Severio Mattei, uczony i poeta, który jako filolog wykładał z katedry wschodnie języki, przytem znakomicie grał na harfie, śpiewał psalmy, jakby był biblijnym prorokiem, a mimo tych pięknych talentów zbierał znaczny majątek. Mattei nie podobał się wielu literatom, do których należał także złośliwy Ferdynand Galiani. Słynny abate napisał w spółce z poetą Lorenzim w jesieni r. 1775 operę buffo pod tytułem »Il Socrate imaginario«, w której wyśmiewał manię muzykalną i pedantyzm Mattejego, tudzież plastycznie przedstawiał jego stosunki domowe, a mianowicie żonę złośnicę, nową Ksantypę. Opera raz tylko grana była na scenie »Teatro nuovo«, Mattei wystarał się bowiem u rządu, że zakazano dalszych przedstawień.

Dzięki Romaninie, tudzież przyjaciołom poetom i literatom zaczął Metastasio oddychać pełną piersią neapolitańskiem muzykalno-artystycznem powietrzem i rzec można, że już na całe życie zachował ten charakter śpiewnej, wdzięcznej, trochę powierzchownej kultury. Zostanie on na zawsze ostatnim, ale najcelniejszym przedstawicielem tych ideałów heroiczno-pasterskich, które się snuły osobliwie w wyobraźni neapolitańskiego ludu. Sannazzaro już w czasach Odrodzenia trafił w tę południowo-włoską nutę, później cavalier Marino, grając na tej samej lutni, popadł w najzupełniejszy literacki barok; Metastasio pochwycił znów tę nić poetyczną, ale z usposobienia wielki artysta i talent pełen miary, umiał z ideałów poe-

tycznych swego narodu wydobyć najbardziej harmonijne dźwięki.

Niebawem po napisaniu kantaty »Orti Esperidi« miał Metastasio sposobność do ułożenia drugiego podobnego dzieła, które zamówił u niego Don Antonio Caracciolo, także z powodu jakiejś dworskiej uroczystości. Kantata ta co do treści bardzo była podobna do pierwszej i miała tytuł »Angelica«. Śpiewała w niej znowu Bulgarelli i siedmnastoletni wówczas Carlo Broschi, który się później przezwał Farinellim i zasłynął w muzykalnym świecie całej Europy, a osobliwie był ulubieńcem dworu madryckiego, gdzie został kawalerem orderu Kalatrawy, a zebrawszy duży majątek, osiadł na starość w Bolonii, w przepysznej willi. Farinelli zaprzyjaźnił się z Metastasiem, występował po większej części w jego melodramatach i przez całe życie utrzymywał z nim ścisłe stosunki, tak, że ich przezwano braćmi bliźnimi.

Doświadczona Bulgarelli marzyła jednak o tem, aby Metastasio po kantatach zabrał się do wielkiego dzieła muzycznego; pod jej też wpływem napisał on tekst do pierwszego swego muzycznego dramatu »Didone abbandonata«. Opiekunka młodego poety zawarła już nawet jego imieniem kontrakt z teatrem San Bartolomeo w Neapolu i przysporzyła mu pokaźną sumę dwustu dukatów. Niema wątpliwości, że Romanina swem scenicznem doświadczeniem dopomagała poecie; utrzymywała się nawet tradycya, że poddała mu myśl do bardzo efektownej sceny zazdrości w drugim akcie dramatu.

Tryumf Metastasia był najzupełniejszy; teatr San Bartolomeo pełny, świetna publiczność, oklaski w nieskończoność, zwłaszcza po ostatnich scenach połowa widzów do łez była rozczulona. Według zwyczaju grano w międzyaktach komiczne »intermezzi«, które również ułożył Metastasio, budząc niemi śmiech i uciechę w całym teatrze, a w ten sposób widzowie nie potrzebowali wracać do domu ze zbyt tragicznemi wrażeniami.

Po przedstawieniu »Didony« został Metastasio obwołany księciem melodramaturgów we Włoszech, a Bulgarelli chcąc jego talent dać poznać i w papieskiej stolicy, postanowiła przenieść się z nim do Rzymu. Jak wielka była jej miłość

dla młodego poety, można stąd wnosić, że artystka kazała wynająć mieszkanie na Corso, w którem pomieściła swego męża, Metastasia i całą jego familię, składającą się z rodziców Trapassich, z dwóch sióstr poety i ich brata, adwokata bez klientów — poświęcenie nad siły nawet zakochanej kobiety. Dodać trzeba, że Romanina po większej części własnym kosztem utrzymywała tę liczną rodzinę, pomimo że w Rzymie nie miała dochodów z teatru, gdyż wówczas jeszcze nie wolno było kobietom występować na tamtejszych scenach. Ażeby jednak choć w części zapełnić szczerby, które jej dobroć dla poety porobiła w zebranym dawniej majątku, dawała lekcye chłopcom, którzy śpiewali w teatrze Aliberti.

Zdaje się jednak, że mimo tych wysiłków nie mogła utrzymać kosztownego domu, a może i nieprzyjemności, jakie miała z rodziną, skłoniły ją, że zawarła na nowo układ z kompanią w San Bartolomeo w Neapolu i występowała w teatralnej »stagione« 1726—1727. Powrócił z nią Metastasio na południe, zwłaszcza, że tam miał być grany drugi jego melodramat »Siroe«, który już w Wenecyi miał wielkie powodzenie.

Rok 1729 należał do najsmutniejszych w życiu Romaniny. Neapolitańskie panie wielkiego świata, mające ciągłe stosunki z cesarskim dworem w Wiedniu, donosiły o tryumfach młodego poety, tak, że powstał tam zamiar powołania Metastasia na miejsce ustępującego »nadwornego poety« Apostola Zeno, który na starość przeniósł się do rodzinnego miasta, do Wenecyi. Naszemu dramaturgowi ofiarowano trzy tysiące florenów rocznej płacy, kwotę, o jakiej we Włoszech nie mógł nawet zamarzyć. Nadto należenie do dworu cesarskiego było najwyższym zaszczytem w opinii włoskiej publiczności, wówczas bowiem istniały jeszcze na półwyspie owe dantejskie, gibellińskie tradycye, że cesarz rozciąga i nad Włochami swoją opiekę. Wyrazy »Sacro Romano Imperio«, »Sacra Cesarea Maestà« brzmiały sympatycznie w ustach ludu, a niechęć do Austryi dopiero później powstała.

Metastasio przyjął świetną posadę, do czego go podobno nakłaniała sama Romanina. Biedaczka nie mogła jednak przeboleć rozłączenia się z ukochanym poetą; chorowała po jego

wyjeździe, starzała się i jedynem jeszcze jej pragnieniem było pojechać do niego do Wiednia. Ale i ta nadzieja ją zawiodła. Metastasio odwodził ją od tej podróży; łączyły go tam już nowe miłosne stosunki, więc odkładał jej przyjazd pod różnymi pozorami. Szczera, wielka miłość ją zabiła; Bulgarelli umarła w cztery lata po wyjeździe Metastasia, a chcąc mu dać ostatnią oznakę przywiązania, zapisała mu cały swój majątek, wynoszący 30.000 skudów. Męża pominęła w testamencie; ale Metastasio miał tyle uczucia przyzwoitości, że zapisu nie przyjął i zrzekł się na korzyść Bulgarellego. Gdy jednak wdowiec zamierzał, wkrótce po śmierci Romaniny, wejść w powtórne związki małżeńskie, brat Metastasia Leopold, z natury pieniacz, starał się unieważnić zrzeczenie się Metastasia, ponieważ odnosiło się ono tylko do wdowca po zmarłej Romaninie. Gdy się Metastasio dowiedział o tym procesie, zapłonął takim gniewem na brata, że aż zerwał z nim wszelkie stosunki.

II.

Do wyjazdu Metastasia z Rzymu przyczyniła się także jakaś tajemnicza historya, której dotąd nie wyjaśniono, gdyż współcześni pisarze pomijali ją milczeniem. Zdaje się jednak, że poecie chodziło o uniknięcie procesu, któryby mógł dotknąć kobietę, należącą do wyższego rzymskiego towarzystwa. Raz mu już ten proces zagrażał, ale Metastasio usunął się przed nim, wyjeżdżając do Neapolu; teraz jednak, powodzenie jakie miał u włoskiej publiczności, pobudziło zazdrosnych literatów do wyszukania sposobów, któreby niebezpiecznego współzawodnika zgubiły w opinii publicznej. Środkiem tym miało być wznowienie owego procesu, ale wielki poplecznik Metastasia, kardynał Gentili, wpływem swoim odwrócił niebezpieczeństwo.

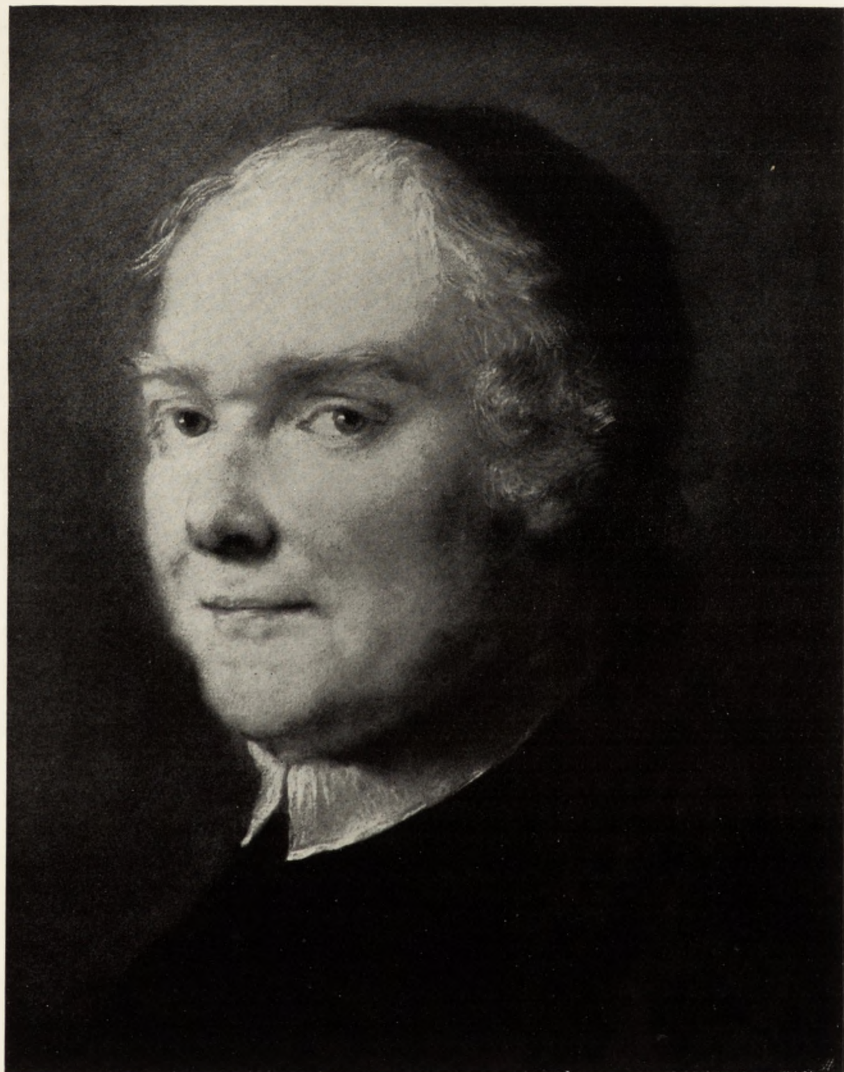
Metastasio opuszczał też ojczyznę z żalem, ale i z goryczą; w kilka lat później pisał do życzliwego kardynała, że każdy znajduje schronienie w swej ojczyźnie, a tylko on był zmuszony udać się na wygnanie i tam ufundować sobie egzy-

stencyę, ponieważ we własnym kraju spotykał się jedynie z oszczerstwem i z poniżeniem.

We Wiedniu mógł wprawdzie poeta zapomnieć o intrygach, jakie go we Włoszech niepokoiły, ale natomiast trudno mu było pogodzić się z zupełnie innem życiem, z formalizmem i etykietą, panującą na cesarskim dworze. Obracał się też prawie wyłącznie w towarzystwie włoskiem, zamieszkał w domu Mikołaja Martinez, mistrza ceremonii papieskiego nuncyusza, a pani Martinez, nadzwyczaj dbała o jego zdrowie i otaczała go wszelkiemi możliwemi wygodami.

Położenie materyalne Metastasia w Wiedniu było bardzo świetne. Cesarz Karol VI podwyższył mu z czasem początkową płacę trzech tysięcy na pięć tysięcy guldenów, a nadto nadał mu synekurę, urząd poborcy, zwany »Percettoria« we Włoszech, w Cosenzy, który mu przynosił 1500 guldenów rocznie. Poeta umiał zresztą pilnować swych interesów; gdy Hiszpanie Neapol zdobyli, Metastasio stracił ów dochód, ale robił rozmaite starania w Madrycie i w Neapolu, aby Percettorię odzyskać, co się jednak nie powiodło. Gdy mu w ostatnich latach panowania Karola VI wypłacano nieregularnie pensyę z powodu wojny, a nadto nałożono na niego, równie jak na innych dworzan, podatek, wywodził z tego powodu wielkie lamenty w listach do swoich przyjaciół. Po dłuższym pobycie w Wiedniu nie miał już ochoty wracać do Włoch; w r. 1754 pragnął papież sprowadzić go do Rzymu, ale poeta odmówił wezwaniu i pisał wtedy do brata, że mógłby przyjąć posadę na dworze papieskim tylko w takim razie, gdyby mu płacono taką samą pensyę, jak w Wiedniu, nie ufa wszakże rzymskim obietnicom i woli poprzestać na tem, co ma.

Zresztą nie same tylko pieniężne sprawy wiązały Metastasia z Austryą; hrabina Althan z domu Pignatelli, owdowiawszy, przeniosła się z Neapolu do Wiednia, łączyły ją bowiem bardzo ścisłe stosunki z Karolem VI, po śmierci zaś cesarza, jeszcze piękna, potrafiła wzbudzić uczucia w Metastasiu. Poeta bywał często w zamku Frain na Morawach, gdzie dotychczas znajduje się portret hrabiny. Stosunek Metastasia do pani Althan był więcej jak przyjacielski, a trwał aż do jej śmierci; utrzymywano nawet, że Metastasio zawarł



Portret Metastazya.

Według pastelu Rosalby Carriery w Galeryi drezdenskiej.

Do str. 40. Fot. Tamme w Dreźnie



Hrabina Althan, z domu Pignatelli.
Według portretu w zamku Frain, na Morawie. Własność hrabiego Adama Stadnickiego.

Do str. 40. Fot. Schramm w Wiedniu.

z hrabiną w r. 1754 tajemne małżeństwo. Prawdopodobnie jednak do ślubu nie przyszło, ale pogłoską o zawartem małżeństwie chciano na cnotliwym dworze Maryi Teresy usprawiedliwić i upiększyć nazbyt ścisłą przyjaźń Metastasia i hrabiny, przyjaźń, która mogła razić sławną »Sittenkommission« cesarzowej.

W życiu pozbawionem trosk materyalnych, w spokojnym nawet romansie z hrabiną Althan jeszcze bardziej, jak w Neapolu, rozwinął się talent Metastasia; w Wiedniu napisał on cały szereg dramatów i swoje arcydzieło »Attilio Regolo«, rzecz wielkiej dramatycznej siły, tudzież »Olimpiadę«, utwór, który może najwięcej zyskał dla niego serc niewieścich.

Sława Metastasia rozeszła się nie tylko po Europie; nawet i w Ameryce śpiewano canzonety i wyjątki z jego muzykalnych dramatów. Jakiś Basilio Gama pisał do poety z Brazylii, że jego nazwisko odbija się o dziewicze lasy południowej Ameryki, a westchnienia Alcesta i Cleonicy znane są tam ludziom, którzy nawet nie wiedzą, czy jaki Wiedeń istnieje na świecie. Baretti, mieszkając w Londynie, opowiadał, że musiał wielu Anglików wyuczać canzonetty do Nice po włosku w sposób, jak się uczy papugi, ponieważ żadne tłómaczenie nie jest w stanie zastąpić jasnego i dźwięcznego wiersza oryginału. Nasz Stanisław August pisał w r. 1771, że dzieła Metastasia były mu w młodości największą zachętą, aby się uczyć pięknego włoskiego języka.

Mimo tej sławy Metastasio nie był zarozumiałym, owszem nie doceniał swego talentu. Skarżył się, że jeżeli tu i owdzie w swoich dziełach coś lepszego napisał, to te wiersze kosztowały go dużo pracy i mozołu. O tyle zresztą miał słuszność, że z trudnością tylko stwarzał fabuły do swoich dramatów i w ogóle nie miał tak lotnej wyobraźni, jakby się to można było spodziewać po Rzymianinie, który część swojej młodości przepędził w Neapolu. Nigdy nie wymyślił jednolitej treści dramatu, ale umiał z wielką zręcznością z tematów, pozbieranych z różnorodnych źródeł historycznych i mitycznych ulać najczęściej bardzo piękną całość, pozyskać publiczność heroizmem swych bohaterów, rozczulającemi scenami i zainteresować wielką znajomością teatralnych efektów.

Poczucie formy miał niesłychanie wyrobione, słuch muzykalny nigdy go nie zawodził. Za jego czasów jeszcze główną sprężyną w układaniu melodramatów był sam poeta, on poddawał pomysły muzykowi. Metastasio wpływał pod tym względem na takich mistrzów, jak Caldara, jak Hasse, Gluck i Pergolese, i taką stworzył harmonię pomiędzy tekstem poematu a muzyką, jakiej nikt przedtem dokonać nie potrafił. Istnieje jego list z roku 1749 do Hassego, dyrektora nadwornej orkiestry w Dreźnie, w którym słynnemu kompozytorowi daje wskazówki, jak ma tworzyć muzykę do recitatiwów, jak podnosić akcyę teatralną, kiedy wysunąć na przód skrzypce, a kiedy instrumenty grające wtórem.

Stosunek kompozytora do librecisty dopiero później się zmienił. Książę de Ligne wspomina, że cesarz Józef II powiedział raz swemu nadwornemu poecie, którym wówczas był Casti: »Salieri już skomponował muzykę, proszę do niej dorobić słowa«. Casti się obraził, napisał wprawdzie tekst do tonów Salierego, ale libretto nazwał: »Prima la musica, poi le parole«.

Wiersz musiał z czasem tonąć w rytmie muzyki.

Metastasio umiał z dziwnem uczuciem wyrazić poetyczną myśl społeczeństw przedrewolucyjnych, rzec można, że jego poezye, tak zgodne z dorabianą do nich muzyką, stały się tem nieokreślonem tchnieniem, które zdawało się wychodzić z piersi tysięcy i tysięcy jednostek. Na uczucie miłości, tęsknoty, żalu, na wszelkie odcienia namiętności znalazł się wierszyk, znalazła się u niego piosenka. A ta canzonetta, ta arya co do formy, co do sposobu wyrażania uciech lub bolu, tak odpowiadała usposobieniu ówczesnych umysłów, że każdy, kto ją nucił, mógł sądzić, że Metastasio podsłuchał jego nieuchwytne myśli i pragnienia.

Język Metastasia zdawałby się nam dzisiaj o tyle nienaturalny, że w jego dramatach przemawiają królowie i pasterze, ludzie szlachetni i wyrzutki społeczeństwa w ten sam sposób: gładko, doborowymi wyrazami, językiem prawie salonowym. Używał on zaledwie czterech tysięcy słów w swoich dramatach, podczas gdy według Barettego język włoski posiadał wówczas co najmniej 44.000 wyrazów.

Przypatrując się bliżej postaci Metastasia, widzimy w niej

podobnie, jak w jego poezyach, pewną okrągłość, pewną gładkość, a rysy charakteru poety, jakby mgłą otoczone, formalnie znikają nam z przed oczu. W jednym z listów do Bulgarelli sam wyjaśnił ten brak wyrazistości w swojem usposobieniu. Mówi on, że w słowach, które w trzeciej scenie trzeciego aktu »Hadryana« włożył w usta cesarza, przedstawił własny charakter, chwiejny, nerwowy, podlegający chwilowym wpływom:

... Scelgo mi pento;
Poi d' essermi pentito
Mi ritorno a pentir. Mi stanco intanto
Nel lungo dubitar, tal che dal male
Il ben più non distinguo. Alfin mi veggio
Stretto dal tempo, e mi risolvo al peggio.

Za młodu wesoły, stał się Metastasio w późniejszych latach melancholikiem. Żył za długo; w r. 1780, mając lat ośmdziesiąt dwa, był jeszcze zawsze cesarskim poetą. Protektorka, do której najbardziej był przywiązany, »augustissima padrona«, Marya Teresa umarła, a arcyksiężne i arcyksiążęta, którzy go otaczali swemi łaskami za młodu, rozprószyli się po różnych stronach Europy; został Józef II, ale ten zajęty wojnami i reformami państwa, nie wiele myślał o Metastasiu. Najlepszych przyjaciółek już nie było: Romanina, hrabina d'Althan, principessa Belmonte nie żyły; nie miał do kogo pisywać, brakło serc, którym się mógł zwierzać. Wielcy kompozytorowie i śpiewacy, którzy rozsławili jego dzieła dramatyczne, pomarli. Osobliwie śmierć hrabiny d'Althan złamała go; Vernon Lee, znając go w ostatnich latach życia, powiada, że Metastasia uważano za najszczęśliwszego pomiędzy śmiertelnikami, a w rzeczywistości nie było bardziej zbolałej duszy.

Żył dłużej, niż jego dzieła sceniczne; kompozytorzy, rozszerzając w dramacie muzycznym zakres orkiestry, tem samem umniejszali znaczenie poety. Śpiewacy, nadużywając giętkości swych głosów w popisowych aryach, poniżali muzykalne uczucie. Dzieło Metastasia było ściśle związane z wielką szkołą neapolitańską śpiewu, jej upadek pociągał za sobą upadek poety. Jeden z krytyków angielskich, przybywszy do Neapolu w drugiej połowie XVIII wieku, zauważył, że w sławnych

dawniej szkołach śpiewu były same mierności; mógł też Metastasio z boleścią pisać, że »nasi śpiewacy i heroiczne śpiewaczki ustąpiły miejsca baletniczkom, opery stały się nudnymi dodatkami teatralnych przedstawień«.

Zarząd teatrów w Neapolu, układając w r. 1742 statut nowego przedsiębiorstwa opery w San Carlo, radził dyrektorom, aby nie przedstawiali dramatów Metastasia, bo te już się znudziły publiczności i nie odpowiadają smakowi czasu, mało w nich zajmujących zdarzeń i nie nadają się do bogatych dekoracyi scenicznych. Radę tę powtarzano później coraz częściej.

Zresztą duch rewolucyjny obejmował nawet teatr; czułe sceny, słodycze miłości zostały wzgardzone jako dowód słabości i zniewieściałego ducha. W dziełach dramatycznych musiała przebijać nienawiść do »tyranów«, żądano tragicznych awantur, krwawych katastrof; miłość została prawie wyrzucona ze sceny, albo w najlepszym razie pozwolono jej zajmować podrzędne stanowisko. Epoka melodramatu mijała, tragedya zaczynała znowu być w modzie.

Dlatego też Alfieri z lekceważeniem spoglądał na Metastasia i nie czytał dzieł jego naśladowców, odrzucając je jako »roba metastasiana«.

Nie dziw, że nasz poeta w ostatnich latach życia ze smutkiem patrzył na swoją przeszłość, a melancholii tej dał wyraz w przepięknym wierszu melodramatu »Demofonte«. Bohater dramatu, Timante, skazany na śmierć, zastanawia się, co warte życie i czy je warto żałować:

Perchè bramar la vita? E quale in lei
Piacer si trova? Ogni fortuna è pena,
E miseria ogni età. Tremiam fanciulli
D'un guardo al minacciar. Siam giuoco adulti
Di fortuna e d'amor. Gemiam canuti
Sotto il peso degli anni. Or ne tormenta
La brama d'ottenere: or ne trafigge
Di perdere il timore. Eterna guerra
Hanno i rei con se stessi; i giusti l'hanno
Con l'invidia e la frode. Ombre, deliri,
Sogni, follie son nostre cure: e quando
Il vergognoso errore
A scroprir s'incomincia, allor si muore.

Szczęście jeszcze dla poety, że umarł w ośmdziesiątym drugim roku życia, gdyż później, w czasach porewolucyjnych, w epoce reakcyi poniewierano jego pamięcią, pogardzano nim, jako płatnym dworzaninem domu austryackiego. Publiczność włoska zapomniała, że gdy panujący austryaccy obejmowali rządy po Hiszpanach, cały naród witał ich jako zbawicieli po ucisku znienawidzonych nieprzyjaciół. Krytycy włoscy pod wpływem nowych prądów politycznych byli niesprawiedliwymi, odmawiając dziełu Metastasia jakiejkolwiek wartości. W ludzie tylko i pomiędzy kobietami, które wyżej stawiały wiersz trafiający do serca, aniżeli historyczne wspomnienia, żył zawsze Metastasio. Lud neapolitański nie myślał o tem, że Metastasio był ongi nauczycielem znienawidzonej królowej Maryi Karoliny, ale śpiewał wiersze ulubionego poety podczas rewolucyi, przeciw niej wymierzonej i przeciw jej ministrowi Actonowi. Zwrotka canzonetty do »Nice«, którą Marya Karolina słyszała w Wiedniu, jako pogodny śpiew młodości, odbijała się później o jej uszy, jako krwawy hymn rewolucyjny.

Ale wiek XIX przywrócił poecie to stanowisko w literaturze, jakie mu się należało, a Carducci głosił z katedry w Bolonii, że »gdy Metastasio umiał tyle lat utrzymać się w sercu i w pamięci narodu, to nie można wątpić, że jest przedstawicielem znacznej części narodowej wyobraźni«.

ROZDZIAŁ TRZECI.

ROCOCO W WENECYI.

I.

W obyczajach i w sztuce Baroku był pewien charakter męski; architektura, czasami może zanadto fantastyczna, nosiła cechy wspaniałości, a wielka twórczość była zaletą rzeźby i ornamentacyi. W ludziach czuć było jeszcze siłę i energię, nie zawsze pożyteczną, nie zawsze moralną, ale bądź co bądź, świadczącą o potężnych jeszcze organizmach. W wieku XVIII zaczyna panować kobieta; bierze ona odwet za twarde nieraz obchodzenie się z nią, za zupełne usunięcie jej z życia publicznego i z salonu rozpościera swą władzę.

Mężczyźni, po większej części wcześnie zużyci, tracą energię i próżnują; weneckie państwo skazane na polityczną bezczynność; pozbawione handlu i przemysłu, popada w gnuśność, a te stosunki wpływają także na całe społeczeństwo, które się odznacza brakiem inicyatywy. Szlachta, dawniej dzielna i zamożna, coraz bardziej ubożeje, znaczna część jej żyje już tylko z funduszów publicznych. Prawie całą dzielnicę San Barnaba zamieszkują patrycyuszowskie rodziny, którym państwo daje bezpłatne mieszkania w domach miejskich. Ci Barnabotti, jak ich nazywano, mają prawo głosowania w Wielkiej Radzie, a sprzedawanie tego przywileju stanowi prawie jedyny ich dochód, z wielką szkodą ojczyzny.

Im większy upadek zamożności, tem większy zbytek; kto miał jaką taką fortunę, wydawał więcej, niż mógł, aby okazać, że go stać na przyjęcia, na bale, na świetnie ubranych gondolierów, na utrzymywanie łatwych artystek z teatru lub opery.

Kobieta, matka rodziny, brała więc rządy domowe do ręki, aby ratować, co się da, z dawnej zamożności, a jeżeli nie miała tak poważnych zamiarów, chciała także się bawić i używać. Życie polityczne, literackie i artystyczne zaczęło się przenosić do salonu i zmieniało swój charakter: w polityce kobiece wpływy i intrygi, w literaturze dowcip z poświęceniem wszystkich innych pisarskich zalet, w sztuce zniewieściałość i fantastyczność. W jednej z komedyi Goldoniego powiada Pantaleone, że z pomocą kobiet robi się wszystko; ktokolwiek pragnie otrzymać jaki urząd, jaką łaskę, musi mieć kobiece poparcie. Płeć niewieścia święci tryumfy; kobiety prowadzą mężczyzn, tych bałwochwalców piękności, na łańcuchu, jak niewolników. Nawet w architekturze śledzić można kobiecą rękę. Nowych pałaców mało budowano, ale te, które powstawały lub jeszcze były w posiadaniu zamożniejszych rodzin, ozdabiano w ten sposób, aby zbytek bił w oczy, aby ściany i sufity dostrajały się do wysokich peruk i brokatów, a więc złoconego gipsu bez miary, kartusze, dziwaczne arabeski, igrające w powietrzu dzieciaki.

Ostatnim potężnym architektem baroku w Wenecyi był Baltazar Longhena, któremu zawdzięczamy czarujący w swej oryginalności kościół Sta Maria della Salute. On wzbogacił miasto takimi pałacami, jak palazzo Labia, Rezzonico i Pesaro, którym nie można zaprzeczyć piętna architektonicznego geniuszu. Do wnętrza tych pałaców, a nawet do starych gmachów o gotycko-oryentalnym nastroju wchodził już nie architekt, ale sztukator i tapicer i pracował pod rozkazami pani domu. Przedewszystkiem barwy nie mogły razić oka, powinny być łagodne, zlewać się ze sobą, tworzyć harmonię. Patrycyuszka nie lubiła ani gwałtownych wybuchów namiętności, ani wielkich smutków. A więc meble lakierowane na biało ze złotem, malowane kolorem żółtawym albo bladozielonym, o porozrzucanych tu i ówdzie anemicznych kwiatkach, albo figurkach na

chiński sposób, pokryte również niezbyt rażącemi materyami. Ściany obite jedwabnemi tapetami, renesansowe skóry powoli wychodziły z mody. Na sufitach freski oprawione w ramy ze stiuku, gdzieniegdzie bardzo piękne, jak w pałacu Morosinich w San Stefano, u Pisanich w San Paolo lub u Mocenigów w San Benedetto; pająki z barwnego szkła weneckiego, aby łamały światło w łagodne tony. Wogóle zastosowywanie barw do urządzenia mieszkań i do ubiorów stało się osobną umiejętnością; kolory ryżowej słomy, owocu pistacyi, moreli, brzoskwini, wody morskiej, zwiędłej róży, stały się cechą nowych artystycznych poglądów.

Drobiazgowa rzeźba bardzo się nadawała do harmonii owego urządzenia; więc bukszpan i heban zastępowały w znacznej części bronz, a kosztowne meble Andrzeja Brustolona i jego uczniów, fotele o poręczach, na których igrały dzieciaki, stały się także pragnieniem patrycyuszek. Do najwyższych honorów doszła porcelana i chińszczyzny; smak pań XVIII wieku wybrał ze wschodu to, co mu najwięcej dogadzało: rzeczy oryginalne, zabawne.

W urządzeniach pałaców przebija się jakiś sybarytyzm, jakieś ciągle tlejące zarzewie namiętności, które nigdy nie wybucha wielkim płomieniem, a przecież sprawia rozkosz, bo trwa długo, nieskończenie. Panie wyższego towarzystwa przyszły do przekonania, że miłość trzeba wodzić na pasku, aby mieć ją zawsze na zawołanie. Mężczyzna powinien ciągle zwracać oko na kobietę, a jej obowiązkiem stać na straży swych łask. Jak dawniej Wenecyanin nie miał litości dla niewieścich uczuć, tak teraz nastąpił odwet, mężczyzna stawał się igraszką salonowych kaprysów. Gdzie tylko spojrzał, wszędzie widział pokusę, czy w otwartem łonie elegantki, czy w obleśnych malowaniach na suficie, czy w figurkach, przedstawiających mitologiczne sceny miłosne. Panie kazały sobie nawet robić bilety wizytowe z tak drastycznemi, zresztą bardzo pięknie wykonanemi ozdobami, że dawniej kurtyzany byłyby się zastanowiły, czy te nieprzyzwoitości można zostawiać w obcym domu, jako znak odwiedzin, czy nie. Moda takich biletów tak się rozpowszechniła, że nawet Ludwik Manin, ostatni doża Rzeczypospolitej, miał bilety wizytowe ze śpią-

cym Adonisem w cieniu dęba, na którym dwa gołębie miłośnie się dotykały dziobami.

Głównem pragnieniem kobiety nie była już wielka, potężna miłość, którąby zapanowała nad całem jej życiem, ale podobanie się. Panie wyższego towarzystwa przepędzały po siedm godzin dziennie przy gotowalni i zwierciadle; żeby się im zaś nie nudziło, skracał im czas tej ciężkiej pracy cicisbeo, a czasem nawet sam fryzyer. Albergati, który wybornie znał Wenecyę, wprowadza w komedyi »Il saggio amico« fryzyera, który się zwierza z przyjemności i trosk swego zawodu. Do pierwszych zalicza łatwość stosunków z patrycyuszkami, które widując perukarza po kilka godzin dziennie, pozwalają mu korzystać ze swoich wdzięków. Znajomi nie przeszkadzają tym fryzyerskim zajęciom, bo wiedzą, że panie w chwilach toaletowych są albo w bardzo złym humorze, albo przeciwnie, oddają się przelotnym miłostkom.

Doszło do tego, że fryzyer mógł się bardziej podobać, aniżeli młodzieniec z wyższego towarzystwa; ale winna nie była kobieta, tylko mężczyzna, zazwyczaj zniewieściały, wcześnie zużyty, zdolny już tylko do niewinnych flirtów. Samo ubranie ówczesnej młodzieży miało w sobie coś niewieściego. Powszechnie przyjęli mężczyźni w Wenecyi w XVIII wieku strój francuski: krótkie spodnie, białe jedwabne pończochy, mankiety i kołnierze koronkowe, trójgraniasty kapelusz, a jedyną oznaką męskości miała być mała szpada, raczej ozdoba, aniżeli broń. Gąspare Gozzi powiada o nich, że to eleganty o kruchych kosteczkach, jakby z porcelany, wypchane bawełną.

Kobieta, jedyna żywotna istota w tem upadającem społeczeństwie, musiała wycisnąć swe piętno na zwyczajach, obyczajach i na sztuce. A że uczucie piękna we wszystkich jej działaniach wielką gra rolę, więc okrasiła swym wdziękiem całą, jakkolwiek małostkową, kulturę, którą przezwano »rococo«. Pomimo że rzecz i nazwa początkowo powstały we Francyi, przecież Wenecya w wysokim stopniu przyczyniła się do rozwoju cech charakterystycznych tego dziwacznego kierunku, owa Wenecya cicha, oblana cudownem światłem, usposabiająca do artystycznego próżniactwa. Nigdzie też, nie

objawiło się »rococo« tak pięknie i tak uroczo, jak w stolicy dożów.

Autor niniejszej książki przechadzał się raz nad brzegiem Śródziemnego morza ze znajomą, mającą niekiedy fantastyczne pomysły. Owa towarzyszka, wpatrzona raz w ciemnoniebieskie przestworze, zamyśliła się:

— Chciałabym — rzekła — zakończyć życie w łodzi, napełnionej wonnymi kwiatami, puszczonej na pełne morze, aby nikt nie spostrzegł mego konania.

Wenecya, jako państwo, jako tysiącletnia przeszło potęga, konała w ten sposób. Nikt nie widział jej śmiertelnych kurczów, nikt nie spostrzegł trupiej bladości na obliczu władczyni Adryatyku. Owszem cała Europa przybywała w ostatnich chwilach, aby jej hołdować, od Goethego do Rousseau'a, a każdy Włoch czy cudzoziemiec mówił czarującemu miastu na pożegnanie: »Tu sei il sorriso del mondo«, »Ty jesteś uśmiechem świata« — i pragnął tam jeszcze powrócić.

A w tej umierającej Wenecyi tyle jeszcze było twórczej siły, że potrafiła wydać w sztuce Tiepola i Rosalbę, w muzyce Gallupiego, takiego komedyopisarza, jak Goldoni, a w umiejętności wielu znakomitych ludzi.

II.

»Sensa« — to słowo było co roku na ustach całej Europy i handlowych krajów Azyi, czternastodniowy jarmark w Wenecyi, rozpoczynający się zaręczynami doży z morzem. Wenecyanie skrócili wyraz »Ascensione« na łatwiejszą do wymówienia nazwę »sensa«, którą Turcy, Persowie i Egipcyanie łatwo zapamiętać mogli.

Na placu św. Marka zbudowano drewnianą galeryę owalnego kształtu z dwoma wejściami: jednem od kościoła św. Marka, drugiem od strony placu St. Moyse. Na wewnątrz galeryi otwierały się sklepy jubilerskie, złotnicze, magazyny z drogocennemi futrami i materyami, na zewnątrz kramy, w których były wystawione mniej kosztowne towary. Galerya nie upiększała wprawdzie harmonijnego placu, ale też i nie

bardzo go szpeciła, budową bowiem swoją i kolumnadą zastosowaną była do stylu prokuracyi.

Po uroczystości zaręczyn doży z morzem rozpoczynał się jarmark. Święto patryotyczne łączyło się z handlem. »Sposalizio del mare« było ceremonią, ustanowioną na pamiątkę zwycięstwa Wenecyan nad cesarzem Fryderykiem Barbarossą w roku 1178, którą w najdrobniejszych szczegółach normowało prawo, zapisane w »wielkich księgach« Serenissimy. Rycerz honorowy doży był tego dnia mistrzem ceremonii, zapraszał podestów z Murano, Torcello i Malamocco, aby przybyli towarzyszyć w uroczystości najwyższemu przedstawicielowi państwa w jego przejażdżce Bucentaurem w kierunku Lido. Doży towarzyszyła cała flota okrętów i niezliczona ilość mniejszych i większych bark, brygantyn, gondol, przystrojonych świątecznie. Naprzeciw książęcia morza wyjechał książę Kościoła, patryarcha wenecki, również w otoczeniu okrętów, i w miejscu, gdzie dwa forty broniły przystępu do miasta, ofiarował mu róże na srebrnej misie. Muzyka kościelna grała w owej uroczystej chwili hymn »Ne turbetur cor vestrum«, a orkiestra doży odpowiadała na poważną nutę madrygałem, zastosowanym do okoliczności.

Obydwie floty ruszyły dalej, a wyjechawszy na pełne morze, zatrzymały się i doża rzucał pierścień, zwykłą złotą obrączkę, w głębie wód, wymawiając uroczyście słowa: »Zaręczamy się z tobą, morze, na znak naszego wiecznego i rzeczywistego panowania«.

Niestety, słowa te nie miały już znaczenia w XVIII wieku; o panowaniu Wenecyi nad morzami nie było mowy, a dyplomaci obcych państw, a mianowicie Anglii i Holandyi, musieli podczas tej ceremonii tłumić złośliwy uśmiech.

Po owych »zaręczynach« cała flota zatrzymała się przed kościołem św. Mikołaja na Lido, gdzie doża wstępował na nabożeństwo, a następnie obdarowawszy mnichów, wracał do miasta. Dzwony wszystkich wież Wenecyi zaczęły bić na powitanie naczelnika państwa, a Bucentaur niósł go ku Piazzecie przy odgłosie muzyki i chórów śpiewackich. Cała przestrzeń laguny pomiędzy San Giorgio Maggiore a Sta Maria della Salute pokrywała się takiem mnóstwem bark i gondol, że wody

nie było widać, a patrząc z wieży św. Marka, zdawało się, że ma się przed sobą jakieś czarodziejskie pole, zabarwione kwieciem tulipanów.

Na Piazzecie oczekiwał dożę lew skrzydlaty, znak potęgi rzeczypospolitej, a lud z całych piersi wołał »Evviva San Marco«!

W chwili, kiedy »principe« wchodził do pałacu, rozpoczynał się jarmark. W całem mieście słyszało się słowa: »Andar in Sensa«; tłumy garnęły się, aby oglądać cuda swojskiego i zagranicznego przemysłu i cudzoziemskie postacie, wschodnie w turbanach i barwnych, obszernych szatach, zachodnie w perukach i obcisłych frakach i kaftanach. Kupcy mieli znaczne ułatwienia w czasach jarmarku, zniżenie ceł i inne wolności, publiczność mogła przez cały czas tego międzynarodowego targu chodzić w maskach, podobnie jak w karnawał.

Zwykle sto siedmnaście sklepów zapełniało się kupującymi w galeryi, która wyglądała wspaniale, zwłaszcza wieczorem, kiedy zapalono duże świeczniki z fabryk szkła na Murano. Największy ścisk panował przy lalce, ubranej w najświeższą paryską modę, która miała służyć na cały rok za wzór dla pań i dla krawców. Również oblężone były wystawy drogich kamieni, brokatów, koronek, futer, sukna i bielizny, a uczeni zbierali się przed botegami, pełnemi rzadkich książek, rękopisów i dzieł sztuki, bo i »bukiniści« ze wszystkich krajów Europy poprzywozili swój towar.

Dwie jeszcze uroczystości ściągały mnóstwo cudzoziemców do Wenecyi: »Sagra del Redentore« i »Sagra della Madonna della Salute«. Pierwsza i druga były pamiątkami smutnych czasów: strasznej zarazy w r. 1576 i może gorszej jeszcze w r. 1630, która w szesnastu miesiącach zmniejszyła ludność samej tylko Wenecyi o 80.000 osób. Na uproszenie Stwórcy, aby odwrócił morowe powietrze r. 1576 uchwalił senat postawić na Giudece świątynię Chrystusowi Odkupicielowi. Andrea Palladio wykonał projekt owej skromnej, ale harmonią swych kształtów zadziwiającej budowy, którą Goethe najwyżej stawiał ponad wszystkie kościoły Wenecyi. W r. 1579 doża Ludwik Mocenigo położył kamień węgielny pod świąty-

nię, a ną pamiątkę tej uroczystości odbywała się co roku w maju pobożna pielgrzymka ludowa do Redentore. Tłumy, dążące w owym dniu na Giudekę bywały tak wielkie, że nie wystarczało bark i gondol do przewiezienia ludności, więc połączono Piazettę z Redentore ruchomym pomostem, położonym na łodziach. Po latach kilkunastu zapomniano o morowej zarazie i o solennem nabożeństwie, a »festa del Redentore« stała się wesołą pielgrzymką do ogródków i winiarni na Giudece, wielkim festynem ludowym, na który chętnie się zjeżdżano i ze stałego lądu, bo wtedy można było się przypatrzyć barwnym strojom i pięknym kobietom z Murano, Torcello, Malamocco, z Chioggii, Castello i Canareggio.

Podobne losy spotkały procesyę, urządzaną na cześć »Madonny zdrowia«. Przez cały jeszcze wiek XVIII łączono świątynię o fantastycznych ślimakach pomostem na łodziach z drugim brzegiem wielkiego kanału, aby ułatwić publiczności udział w pobożnym obchodzie; później zostało tylko wspomnienie uroczystości, trwały pomnik, owa »Madonna della Salute«, która się stała jednym z architektonicznych symbolów »pięknej« Wenecyi.

Jeżeli pobożne uroczystości schodziły w XVIII wieku do coraz skromniejszych rozmiarów, to natomiast świeckie festyny zaczęły grać w życiu weneckiem ogromną rolę. Wybory dożów, wjazdy ambasadorów, odwiedziny obcych książąt służyły za powód do balów, koncertów, a przedewszystkiem do regat, na które wysilała się wyobraźnia najbujniejszych umysłów miasta. Wspomnienia XVI wieku odżyły jeszcze w regatach, podczas których ukazywała się Wenus, otoczona amorami, Apollo tronował na ognistej barce, albo Neptun składał Cyntyi miłosne hołdy. Najświetniejsze towarzystwo brało udział w tych zabawach, a do pamiętnych należała regata, urządzona w maju r. 1740, którą opisała lady Montagu. Barka Pisani-Mocenigo przedstawiała wtedy noc i dwadzieścia cztery godzin, a sztuczny księżyc współzawodniczył z prawdziwą »pełnią«, która zobaczywszy, jak ją ludzie mizernie naśladują, wykrzywiła zapewne jeszcze bardziej swą okrągłą twarz, aniżeli zwykle. Patrycyusz Soranzo wystąpił z barką polską. Widać tam było personifikacye polskich prowincyi, poprzebierane

w ubiory dalekiego narodu. Labia, właściciel znanego pałacu, przebrany był za Polskę, koronującą Saksonię; Morosini ugrupował na swej barce tryumf pokoju, i wiele jeszcze innych było tam pomysłów na zabawienie rozciekawionej gawiedzi i zaspokojenie próżności właścicieli łodzi. Wozy tryumfów renesansowych przeniosły się z ulic Rzymu i Florencyi na canal Grande w Wenecyi.

Zwykłe przejażdżki gondolami, zwane »Fresco«, odbywały się w każdą niedzielę i święto po południu, począwszy od poniedziałku wielkanocnego aż do końca września. »Fresco« składało się z trzystu do czterystu gondol, które wypływały od kościoła świętej Łucyi na końcu wielkiego kanału. Był to rodzaj wyścigów; chodziło o to, która gondola najpierwej dopłynie do mostu św. Krzyża. Natomiast w nocy urządzano serenady, których tradycya dochowała się aż do dziś dnia.

III.

Dziesiąty czerwca był dniem krytycznym w weneckich pałacach i zamożnych domach. Bawić w mieście poza święto Antoniego z Padwy, znaczyło zapierać się modnych zwyczajów, prawie nie należeć do wielkiego świata. Z końcem lipca wolno było powrócić na sierpień i wrzesień do Wenecyi, ale na jesień, na winobranie znowu wyjeżdżano na wieś. Carlo Gozzi narzeka, że i mieszczkom zachciewa się willegiatury; dotąd były szczęśliwe, gdy mogły zrobić wycieczkę na Lido albo popłynąć na Murano, na nieszpory, a teraz naśladują już patrycyuszki i rade mieć willę nad Brentą. Wille i pałace zamożnych Wenecyan były rozsiane po Friulu, po pagórkach Euganejskich; ale najbardziej serce ciągnęło nad Brentę, bo tam mnóstwo rodzin mieszkało, tam się bawiono ochoczo, urządzano wycieczki na łodziach, kojarzono małżeństwa, albo bawiono się dalszymi ciągami romansów, zawiązanych w mieście, w karnawał. Ze wszystkich zaś miejscowości nad Brentą najmilej brzmiała w uchu młodej kobiety La Mira, bo to była par excellence arystokratyczna villeggiatura. Pomiędzy

Wenecyą a Padwą krążył codziennie »il burchiello«, omnibusowa barka kryta, bardzo ładnie urządzona i czysto utrzymywana, w której osobliwie mężczyźni lubili robić wycieczki ze wsi do Wenecyi, bo tam można było spotkać przyjaciela i pogadać z nim o interesach, albo poznać jaką ładną kurtyzanę; a te znów często bez potrzeby i powodu płynęły burchiellem, aby doszukać jakiej przygody. Droga była dość długa; z Wenecyi do Padwy liczono dwadzieścia pięć mil morskich, ale można było wysiadać po drodze w różnych miejscowościach. Prezydent de Brosses nazwał burchiella wnukiem Bucentaura; tak był podobny do sławnego dożowskiego statku, tylko że mały i zgrabny. Zamożne rodziny miały jednak własne barki, zazwyczaj z wielkim przepychem urządzone. Już w XVII wieku pobudowano mnóstwo wspaniałych will i pałaców na kontynencie: Contarini mieli willę i ogrody w Piazzolla, Albrizzi w Terragio, Pisani ogromny pałac w Stra, Barberigi w Valsanzibio na pagórkach Euganejskich, a trudnoby było wyliczyć wszystkie te sławne letnie rezydencye, z których znaczna część utrzymała się do dziś dnia. Ozdabiali je najznakomitsi artyści, a zobaczymy, ile sam Tiepolo fresków w nich namalował.

Ogrody, bardzo często o strzyżonych alejach, pełne były mitologicznych posągów, fontan z Najadami, sztucznych wodospadów, a dziewięć Muz i porwanie Prozerpiny należało do najulubieńszych tematów rzeźbiarzy. W willi Manin w Passeriano, we Friulu, Pluton wywozi Prozerpinę do Hadesu świetną czwórką, zaprzężoną do dwukolnego rydwanu; w willi Barberigo prawie cały Olimp zeszedł do ogrodu.

Na wsi żyło się swobodniej, jak w Wenecyi; więc młodzież bawiła się tam wybornie, do niektórych domów zjeżdżało na bale po sto osób i więcej. O tem wesołem życiu nad Brentą napisał Giovanni Sagrado, wenecki patrycyusz, powiastki pod tytułem »Arcadia in Brenta«. Giovanni piastował wysokie urzędy w Rzeczypospolitej, a po śmierci swego brata, Niccola Sagrado, który był dożą, o mało że nie otrzymał tej najwyższej godności, pomimo że go powszechnie nie lubiano. To też, gdy rozeszła się po mieście wiadomość, że Giovanni ma być wybrany dożą, taki rozruch powstał po-

między ludem, że senat obawiał się rewolucyi i Sagrado zrzekł się wyboru. »Arcadia in Brenta«, wydana po raz pierwszy w r. 1667, jest zbiorem nowel, zestawionych w podobny sposób, jak »Decamerone« Boccaccia; trzech dowcipnych panów z wyższego towarzystwa weneckiego i trzy panie o żywym umyśle spędzają ostatnie ośm dni karnawału w jednej z will, położonych nad Brentą, aby się usunąć od miejskiego gwaru i użyć wiejskiego spokoju. Bawią się tam muzyką, śpiewem, przepędzają czas na grach towarzyskich, wymagających bystrości i przytomności umysłu, i opowiadają sobie zabawne historye. Te historye są po większej części przerobione z bardzo czytanych wówczas »Contes aux heures perdues« Antoniego Le Metel d'Ouéille; ale Sagrado tak je zręcznie zastosował do weneckiego życia i do tamtejszych obyczajów, że czytając je, prawie się nie czuje, że są przerobione z francuskiego oryginału. Raz bawiono się np. w wyrocznię; jeden z panów przebrał się za Apollina, a na zapytanie kogoś z towarzystwa, jaką właściwie pannę powinno się brać za żonę, odpowiedział delfickim sposobem, że piękna — niebezpieczna; nieforemna — utrapienie; bogata — nieznośna; uboga — żebraczka; uczona — chce przewodzić; głupia — nieszczęście; młoda — kosztowna; stara — kula u nogi; radzi się więc żenić z jak najskromniejszą, aby wybrać złe najmniejsze. Kobiety zaraz wzięły odwet i poddały Apollinowi odpowiedź, jakiego sobie męża najlepiej wyszukać. Odpowiedź nie była zaszczytną dla męskiego rodu. Młody — niestały; w średnich latach — zazdrosny; stary — niezdara; przystojny — dobry dla drugich; brzydki — obrzydliwy; mądry — zarozumiały; głupi — niemożliwy w pożyciu; bogaty — skąpy; ubogi — wygłodzony; popędliwy — tyran. Chcąc więc mieć szczęście w domu, trzeba wybrać męża niemowę i niewidomego.

»Chi vuol marito, ed haver pace seco,
Lo prenda muto e cieco«.

Pomimo, że wyjeżdżano na willegiaturę, na świeże powietrze, nie rozkoszowano się bynajmniej pięknością natury; życie i na wsi było sztuczne, nadzwyczaj zbytkowne, schodzące tylko na przyjęciach, ucztach i zabawach. Sprowadzano

już wtedy francuskich kucharzy, wymyślano nowe potrawy, zastawiano stoły w najoryginalniejszy sposób. Przez jakiś czas panowała moda, aby urządzać jeden i ten sam obiad w trzech salach jadalnych; w jednej podawano zupę i sztukę mięsa, w drugiej pieczyste, a w trzeciej słodkie potrawy i owoce. Towarzystwo musiało przechodzić z jednej sali do drugiej, co dawało sposobność do wesołych żartów. Kawę i likwory podawano w kioskach, oszklonych kolorowemi szybami, ażeby kobiety lepiej wyglądały w półświetle, a pod wieczór urządzano spacery »La trottata«, najczęściej w powozach, a jeżeli piechotą, to każda z pań opartą była na ramieniu swego abata albo cicisbea.

Zresztą w owych wielkopańskich willach i zamkach dzwonek wzywał gości do wstania z łóżka, do oddania swej brody na łaskę balwierza, do pożywienia się przy bufecie, a począwszy od dziesiątej z rana, zapowiadał już tylko zabawy.

Na willegiaturę wyjeżdżano także i w zimie, zwłaszcza gdy śnieg upadł i spodziewano się sanny. Nie było bowiem dla Wenecyanina większej przyjemności, jak powozić się sankami, a wyjadacz Antonio Longo opowiada nawet zabawne zdarzenie z okazyi świeżego śniegu. Gdy mieszkał w Mira, spadł jednego dnia śnieg obfity, ochota była wielka urządzić szlichtadę, ale sanek nie miał. Longo porozumiał się jednak ze swym przyjacielem malarzem, skleili na prędce jakieś sanki z desek i drążków, pomalowali je w jaskrawe kolory, poubierali we wstążki i pióra. Longo miał czwórką powozić, jak Apollo, ale na czoło sanek brakowało słońca. Dwaj towarzysze poszli więc do poblizkiego rzeźbiarza, aby im pomógł, ale go w domu nie było. W wozowni leżała jednak jakaś rzeźbiona drewniana głowa ze starego posągu; zabrali ją więc, a poprzyczepiawszy do niej w około pawie pióra, powiedzieli sobie, że to promieniejące słońce, i przybili je do sanek. Nazajutrz pędził improwizowany Apollo środkiem Miry, zwolnił jednak biegu przed osteryą, gdzie znajomi i ksiądz proboszcz, uwiadomieni o tym popisie, ze śmiechem oczekiwali Antonia. Wołano: »evviva! evviva!«, ale nagle zerwał się zacny paroch i gniewnie zaczął krzyczeć: »Dla Boga, zbezczeszczenie reli-

gii; to głowa mojego świętego Baptysty! Kościół musi ukarać lekkomyślnego śmiałka!« Spoglądano na parocha, co się stało; rzecz się jednak wyjaśniła, że owa głowa była głową figury św. Jana, która się znajdowała u rzeźbiarza do naprawy.

Za kilka dni otrzymał Longo wezwanie, aby się stawił u biskupa w Padwie; ale łagodny prałat dał mu tylko ojcowskie napomnienie, aby na drugi raz był ostrożniejszym w wyborze ozdób do swoich sanek.

Sąsiadem Longa w Mirze był marchese Carlo Spinola, który uchodził za najbogatszego, najbardziej rozrzutnego człowieka i największego dziwaka we Włoszech. Nie minął dzień, aby nie opowiadano o nim jakiejś nadzwyczajności. Jego willa należała do najwspanialszych; roiło się tam od służby, muzykantów i gości, pomiędzy którymi zawodowych karciarzy liczono legion. Często przebywał w Padwie, gdzie w »Aquila d'oro« miał już wynajęte pokoje, a chcąc się zastosować do atmosfery uniwersyteckiego miasta, dawał tam codziennie obiad na ośm osób, samych uczonych i literatów. Podczas obiadu musiał jeden z gości czytać na głos jakąś poważną książkę, a że markiz wypłacał ośm zecchinów lektorowi, więc zawsze było dość ochotników do podjęcia się tego zadania.

Spinola należał do wielkich opiekunów zwierząt, co wówczas było rzeczą nader rzadką u Włochów. Widząc raz z okna swego mieszkania, że dziewka hotelowa źle się obchodzi z wieprzami, mającymi chlew na podwórzu, kazał zawołać do siebie gospodarza, aby go wyłajać za dręczenie zwierząt. Przestraszony padrone położył się do łóżka i kazał markizowi powiedzieć, że przyjść do niego nie może, bo jest ciężko chory. Markiz przez ten czas ochłonął z gniewu, ale kazał trzodzie przynosić na swój koszt tak świetne pożywienie, jakiego jeszcze żaden członek tego rodu nie jadał. Od tego czasu wszakże miał już pewną niechęć do »Aquila d'oro« i wybudował sobie w Padwie pyszne »cassino« na »prato della valle«.

O ile zresztą markiz dla zwierząt był nieocenionym opiekunem, o tyle ludzi umiał często dręczyć. Raz w zimie nie mógł spać w nocy, bo wiatr huczał na dworze i śniegiem bił w okna. Markiz wstał z łóżka i zapragnął widzieć, jak

jego kareta i służba będą wyglądały w zawiei. Zawołał na hajduka, kazał zbudzić swego sekretarza, jakiegoś ubogiego księdza, wsadzić do galowej karocy, zaprzężonej w sześć koni, i jeździć dwie godziny po Prato. Dwóch stangretów z pochodniami poprzedzało zaprząg, trzech służących: hajduk, strzelec i koniuszy, marzło, stojąc za powozem. Eccellenza przypatrywał się z okna, a po dwugodzinnej uciesze rozdał pomiędzy abata i służbę sporo zecchinów.

Większa część weneckiej arystokracyi miała teatry w swych wiejskich pałacach, na których grywali amatorowie z towarzystwa, a przy większych uroczystościach zawodowi komicy, sprowadzeni z Wenecyi. Jednem z takich pamiętnych, często opiewanych przyjęć były festyny, dawane na cześć Ernesta księcia Brunszwiku w willi Marka Contariniego, w Piazzoli. Ów książę biskup bawił w sierpniu r. 1685 w Wenecyi, a ponieważ upał mu dokuczał, wyraził życzenie odpoczęcia na wsi. Zaprosił go Contarini, kazał urządzić na uczczenie znakomitego cudzoziemca bramy tryumfalne, a w przedsionku willi ustawił dla parady czterdziestu halabardzistów, ubranych w strój szwajcarski, do połowy czerwony, do połowy żółty. Na szczęście pozwolił gościnny gospodarz kilka godzin odpocząć cudzoziemcowi, ale zato wieczorem zaprowadziło go sześciu lokajów z pochodniami do teatru »delle Vergini«, gdzie pomimo upału grano dramat »Ermelinda« i dawano czarujący balet; po przedstawieniu przejażdżka bucentaurem na rzece, a następnie wieczerza, podczas której przygrywała muzyka, ukazywały się grupy alegoryczne i rozweselały gości miejscowe towarzystwa śpiewackie swemi serenadami. Niekiedy podpływały ku pałacowi łodzie i witały księcia biskupa wystrzałami z moździerzy. Prawie całą noc trwały »niespodzianki«, śpiewy, ognie sztuczne, a nieszczęśliwy Ernest Brunszwicki musiał żałować, że opuścił spokojną Wenecyę.

IV.

Przez kilka wieków zajmowano się teoryami miłości, począwszy od Barberina do Bemba, rozbierano wszelkie od-

cienia porywów ludzkiego serca, a podstawą tych filozoficznych badań były zawsze zasady Platona. Platoniczną też miłość uważano za ideał uczuć; ale mimo to nikt szczerze nie dążył do osiągnięcia tego ideału, bo ideał był sprzeczny z naturą ludzką i z całym porządkiem świata. Rozprawy o teoryach miłości były popisywaniem się mniej lub więcej dowcipną frazeologią, która przypadała do smaku takim starzejącym się kobietom, jak królowa Cypru, Katarzyna Cornaro, nie mogącym już myśleć o innej, jak o platonicznej miłości. Z Asola, gdzie mieszkała królowa, przeniosły się teorye miłości do arkadyjskich akademii, ale tam służyły już tylko do sentymentalnych popisów, dalekich od platonizmu, aż wreszcie przemieniły się w karykaturę szczytnych zasad greckiego filozofa, w cicisbeism.

»Ten trzeci« w rodzinach, ten przyjaciel domu znanym był od dawna tak we Francyi, jak w Hiszpanii, jak nawet u zazdrosnych Włochów, ale dopiero u tych ostatnich stał się postacią, uznaną przez zwyczaj, a nawet przez prawo. Cicisbeo, młody człowiek, oddany całą duszą, całem sercem na usługi uwielbianej kobiety z pozwoleniem i sankcyą jej męża, miał się pojawić najprzód w Genui, przejęty z Hiszpanii, ale nigdzie nie doszedł do takiej popularności, jak w Wenecyi. Kobieta, zamknięta tam przez długie wieki w domowem zaciszu, strzeżona prawie, jak Turczynka, wywarła w XVIII w. zemstę na męskim rodzie, uwalniając się z pęt, nałożonych jej prawem i zwyczajem, i postanowiła mieć dwóch, trzech, a czasem nawet czterech mężów i rządzić, poniewierać nimi według własnego kaprysu. Mogła to uczynić kobieta zamożna, należąca do wyższych warstw społeczeństwa, bo jużcić żona ubogiego rzemieślnika albo gondoliera nie pozwalała sobie na takie zbytki.

Najczęściej w kontrakcie ślubnym wymawiała sobie młoda mężatka, że jej kawalerem »serventem« będzie ten lub ów z jej przyjaciół, wymieniony po nazwisku, zazwyczaj w wieku legalnego jej męża, a często nawet młodszy od niego. Bywało, że pani młoda życzyła sobie mieć dwóch cicisbeów, przeciw czemu przyszły mąż nic nie miał do zarzucenia. Małżeństwo ułożyli rodzice, stosownie do majątku i socyalnej po-



»Czekolada«, według obrazu Piotra Longhiego.

Muzeum Correr w Wenecyi.

Do str. 61.

Fot. Naya.

zycyi swych dzieci, związek taki wypływał z prawa i zwyczaju i był potrzebnym do utrzymania familii i nazwiska. Miłość jednak zazwyczaj nie grała żadnej roli w tego rodzaju »kontrakcie«, sympatyami młodej pani cieszył się przyszły cicisbeo, a pan młody albo już był »w służbie« innej kobiety, albo miał rozliczne stosunki w teatrach lub drugorzędnych kasynach. Alfieri nazwał raz małżeństwo włoskie rozwodem. Mąż był na to potrzebny, aby dzieci były zapisane w metrykach kościelnych na jego nazwisko, a żona, aby mężowi dawać dochody ze swego posagu. Uchodziłby za dziwaka, ktoby w małżeństwie szukał miłości, a gdyby pokazał się na placu św. Marka w samem tylko towarzystwie żony, wydrwiłaby go cała Wenecya, a gdyby ją prowadził pod rękę, tak jak to bywało we Francyi, wieża św. Marka wybuchnęłaby śmiechem. Zwyczaj dozwalający cicisbeów był niejako legalizowaniem niewierności małżeńskiej. Zapewne, że się zdarzali mężowie, którym towarzystwo »trzeciego« nie było przyjemnem, bywali i tacy, którzy zalewali się żółcią z zazdrości, patrząc na pożycie małżonki, ale w milczeniu znosili krzywdę, aby się nie ośmieszać, bo »la gelosia è passione ordinaria e troppo antica«, mówił jeden z bohaterów komedyi Goldoniego. Zresztą obawiali się, aby nie powiedziano, że żona ich tak wstrętna, że nawet nie może sobie znaleźć cicisbea. Co więcej, jeżeli mąż ośmielił się czynić jakie wyrzuty z powodu owego przyjaciela, żona mogła się z nim rozłączyć i żądać zwrotu posagu. Servente zajmował się wtedy procesem rozwodowym i ponosił koszta całej akcyi.

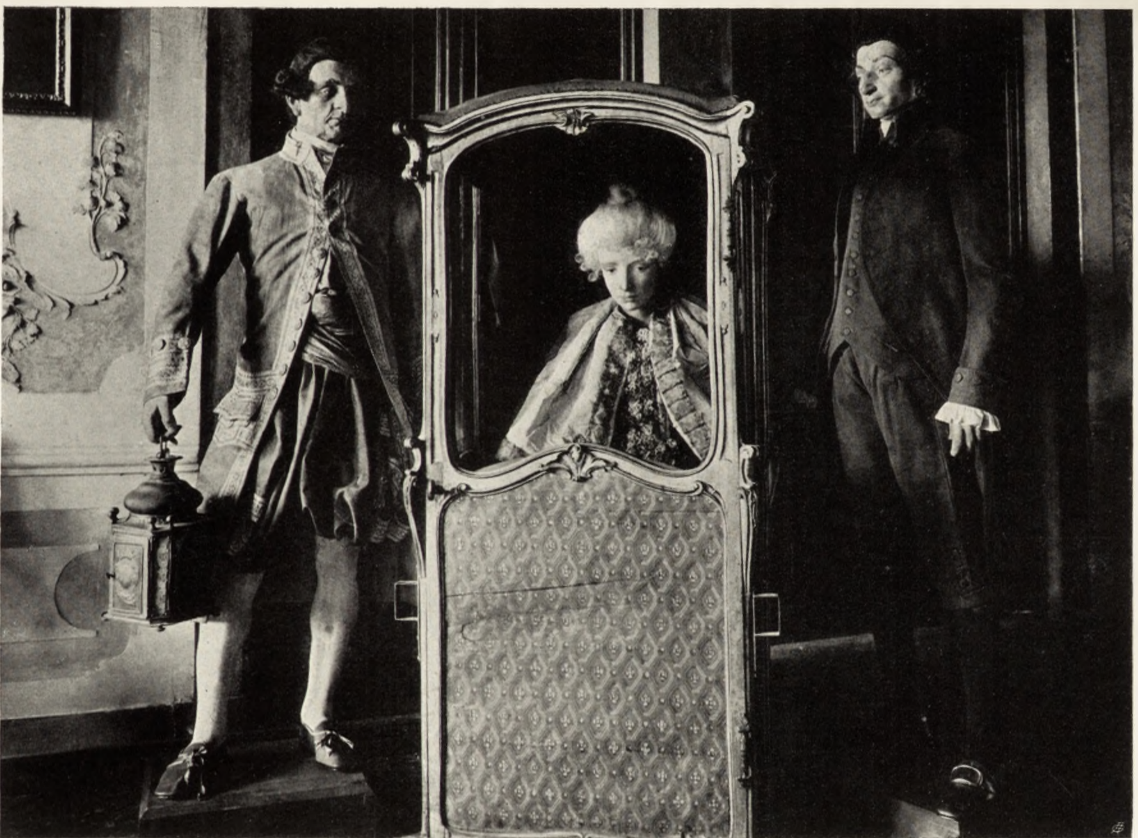
Zresztą obowiązki cicisbea nie były tak łatwe i tak przyjemne, jakby się na pozór wydawać mogło. Musiał on przedewszystkiem bardzo mało mieć zajęcia, aby prawie cały dzień być na usługi despotki, a powtóre być dość zamożnym, aby dogadzać wszystkim jej zachciankom. O godzinie dziewiątej lub dziesiątej z rana rozpoczynał służbę; wchodził, nie zapowiadając się, do sypialni swej »uwielbianej«, odmykał okiennice, a po rannej rozmowie podawał jej czekoladę do łóżka, był przytomny, jak się ubierała, sumiennie pilnował, aby każda koronka, każda wstążka była przypięta według reguł mody, a czasem nawet własnoręcznie zakładał swej pani

podwiązki. Około jedenastej sułtanka wsiadała do portantiny aby się dać zanieść do kościoła; cicisbeo szedł przy drzwiczkach, a w kościele maczał rękę w kropielnicy i podawał jej poświęconą wodę, aby nie potrzebowała wkładać palców do muszli, przystępnej dla każdej żebraczki. I tak schodził cały dzień i wieczór na towarzyszeniu »ukochanej«, cicisbeo szedł bowiem z nią na »conversazioni«, siedział przy niej podczas obiadu, towarzyszył do teatru, do ridottów, słowem, był jej nieodstępnym cieniem. A nawet, gdy pani serca zamykała się w wielki tydzień na rekolekcye w klasztorze, i tam ją odwiedzał, aby jej niezbyt ciężyły praktyki religijne. Rzecz prosta, że mężowi takie wizyty nawet na myśl nie przyszły.

Cicisbeo miewał bardzo niebezpiecznego rywala w pokojowym piesku, który bywał często większym od niego ulubieńcem modnych pań. Do najpierwszych obowiązków cavaliera servente należało pozyskać łaski »cagnolina« i domowej papugi. Jeżeli piesek warczał na cicisbea, signora podejrzywała go, że nie jest jej wiernym. Gdy »Mimi« albo »Erbi« szła na ulicy za swoją panią, a przyjaciele z psiego rodu za nadto poufale się do niej przybliżali, cicisbeo musiał bronić honoru ulubienicy, co zawsze wzbudzało wielką radość pomiędzy publicznością. Psina pani Cecylii Tron, wielkiej elegantki, o której będzie jeszcze mowa, zginęła razu pewnego; biedny cicisbeo musiał drukować kartki i rozlepiać je po rogach ulic, że rzetelny znalazca »Erbi« otrzyma cztery liry »di mancia«, jeżeli ją przyprowadzi do »Jej Ekscellencyi«. Innym razem obiecywała właścicielka pieska trzy filippi za swego towarzysza; pokojowa padrony, która się czuła winną owego nieszczęścia, dodawała całego dukata, a cicisbeo ofiarował jeszcze całą szynkę, butelkę wina i półmisek makaronu.

Nigdy nie napisano tyle sonetów, kanzon, madrygałów, anakreontyków na cześć piesków pokojowych, co wówczas, a nie można było zrobić większej przyjemności znajomej pani, jak witając ją na ulicy utartym frazesem: »Oh, quanto è bello il suo cagnolino«.

Wzajemny stosunek signory i cicisbea się rozwiązywał, gdy ten nieszczęśliwiec znudził się swej despotce, albo się jej w czemkolwiek naraził; wtedy tyranka, jeżeli jeszcze młoda,



»Patrycyuszka w portantinic«. Maniera P. Longhiego.

Do str. 62. Fot. Naya w Wenecyi.



»Spowiedź«, według obrazu P. Longhiego.

Muzeum Correr w Wenecyi.

Do str. 62. Fot. Naya.

wybierała inną ofiarę swoich kaprysów albo upodobań serca. Tak samo czynił i cicisbeo. Po czterdziestu latach nie miewały już panie zazwyczaj takich niewolników, zostawali im tylko przyjaciele, którzy za młodszych czasów zaciągnęli wobec nich pewne obowiązki wdzięczności.

W całym tym stosunku cicisbeów do młodych pań odgrywała próżność wielką rolę. »Servente« pokazywał się chętnie publicznie w towarzystwie ładnej kobiety, chwalił się łańcuszkami, zrobionymi z jej włosów, pieczątką od niej pochodzącą, lub pierścionkiem, do którego były przywiązane czułe wspomnienia.

Cicisbeo ubierał się, stosownie do swych obowiązków, według ostatniej paryskiej mody, zawsze wyperfumowany, zawsze wyświeżony. Panie bynajmniej tem nie gardziły, aby »des petits abbés« pełnili przy nich funkcye cicisbeów, owszem zdarzało się bardzo często, że taki młody »duchowny« w jedwabnym płaszczyku, w zgrabnych trzewikach i pończochach, haftowanych złotem, albo upstrzonych czerwonymi groszkami, był nieodstępnym towarzyszem jakiej piękności. Zdarzało się nawet, że zakonnicy z przyjemnością pełnili te obowiązki. Jedna z podróżniczek Francuzek musiała się zatrzymać przez jakiś czas w małej mieścinie, w Savonie. Chcąc się rozerwać, zapytała, czy nie możnaby od kogo pożyczyć klawicymbału. Zaraz znalazł się zakonnik, który jej ofiarował swój klawikord i oświecił cudzoziemkę, że w Savonie tak mało świeckich mężczyzn, że kilku zakonników musi spełniać obowiązki cicisbeów. Biskup zrazu się gniewał, ale wkońcu przymrużył oczy na tę nowość, gdyż »przecież panie muszą być obsługiwane«.

Goldoni dał wyborną charakterystykę cicisbea w swych komedyach »Il cavaliere Giocondo« i »Donna di buon umore«. Bolał on nad jego losem; znosić przymówki i złe humory, unikać najmniejszej sposobności, aby się swej pani nie narazić, wyrzec się przyjaciół, śmiać się, kiedy się donna śmieje, płakać, kiedy się jej płakać zechce, cierpieć rywalów u boku, mienić się z zazdrości, a nie dawać poznać po sobie, że się jest zazdrosnym, oto przyjemności cicisbea. Przyznać jednak trzeba na pochwałę Wenecyanek, że zdradzać »serventa« ucho-

dziło za postępowanie wielce niehonorowe; mężowi rogi przyprawiać było przyjętym zwyczajem, ale stosunek między mężatką a cicisbeem nie mógł być naruszony bez narażenia się na powszechne zgorszenie. Albo z nim zerwać zupełnie, albo mu być wierną — taka istniała zasada.

Bywali naiwni, którzy chcieli bronić instytucyi cicisbeów jako wysoce moralnej, będącej wyrazem najszczytniejszej galanteryi wobec kobiet, jako zwyczaju, mogącego iść o lepsze tylko ze średniowiecznymi »cours d'amour«. Aby jednak ocenić stanowisko i mniemaną moralność cicisbeizmu, dość przedstawić sobie tego intruza przy domowem ognisku, kiedy pełni przy ładnej kobiecie obowiązki panny służącej, upinając koronki na jej łonie i wdziewając jej różowe pantofelki. Ta para nie musiałaby mieć krwi młodzieńczej, gdyby została niewinną.

V.

W r. 1668 powrócił patrycyusz Scypion Collalto z podróży do Francyi i ukazał się na placu św. Marka w peruce. Podobnego nakrycia głowy nigdy tam jeszcze nie widziano; w pałacu dożów powstało zgorszenie, senatorowie się zaniepokoili, wszelka nowość była im wstrętna. Zanim jednak Signoria zdobyła się na uchwałę, jakie ma zająć stanowisko wobec dziwacznej francuskiej mody, ukazało się już więcej peruk w mieście, a osobliwie łysi powitali je z wielkiem zadowoleniem. Inquisitori di stato nie mogli się dłużej wahać; wydali zakaz noszenia peruk. Tymczasem jednak wielu elegantów pogoliło głowy i pozakupowało peruki, które były bardzo drogie; hałas więc powstał przeciw rządowi, że się miesza w nieswoje rzeczy, że nie pozwala nawet na tak niewinną rzecz, jak noszenie peruk, które stały się ulubioną dekoracyą głów we Francyi, gdzie już od czasów Ludwika XIII są w modzie. Adwokat Lorenzo Donato, nie mający ani jednego włosa na głowie i cierpiący na reumatyzm, błagał ze łzami w oczach surowych urzędników, aby mu pozwolili zatrzymać perukę; inquisitori byli nieubłagani. Szczęściem okres



Aloysius Pisani, w stroju prokuratora św. Marka.

Według współczesnej ryciny.

Do str. 65.

ich działalności się kończył, zasiedli inni ich miejsca; ci byli łagodniejszego usposobienia i pozwolili wyjątkowo nosić peruki, ale małe, skromne, które zwano »callotami«.

Peruki zaczęły wyrastać, jak grzyby; z małych robiły się coraz większe; trzeba było na nie patrzeć przez palce, tembardziej, że znaczna część młodzieży patrycyuszowskiej ofiarowała już swoje czupryny na ołtarzu mody. Pomiędzy starymi trwała jeszcze ciągle opozycya. Ojciec Niccola Erizza, późniejszego ambasadora weneckiego w Paryżu, zakazał testamentem nosić swemu synowi perukę, a gdyby się poważył zbezcześcić patrycyuszowską głowę tą śmieszną modą, rodzinny majątek miał przejść na Ospedale della Pietà. Niccolo miał wszakże szramę na głowie, upominek po jakiejś nocnej bijatyce, i tak się zawziął, że wolał utracić ojcowiznę, aniżeli zdjąć perukę. Wytoczył proces zarządowi szpitala i ostatecznie skończyło się na jakimś układzie pomiędzy nim a dobroczynną instytucyą. Podobnie jak stary Erizzo, wielkim przeciwnikiem peruk był Antonio Correr; zdołał on zebrać towarzystwo dwustu pięćdziesięciu młodych i starych, którzy zaprzysięgli, że peruk nosić nie będą. Wszelkie opozycye wszakże na nic się nie przydały; peruka zwyciężyła, a w r. 1709 ubrał się w nią doża Giovanni Cornaro, idąc na posiedzenie Wielkiej Rady. Można sobie wyobrazić, jak się zgorszył Correr i jak biadał nad tem, że z dwustu pięćdziesięciu towarzyszy coraz mniej pozostawało mu wiernych. On jednak wytrwał i umarł w r. 1757, nosząc długie kędziory.

Peruka zwyciężyła i co więcej, stała się znakiem powagi i ozdobą ludzi, należących do najlepszego towarzystwa. Cały patrycyat przywdział perukę, a nawet duchowni radzi byli nie odróżniać się w tej mierze od ludzi świeckich. Wyższe duchowieństwo powstawało zrazu na tę nowość, pisano książki dowodzące, że obce włosy na głowie z tonzurą są niezgodne z rozmaitemi zasadami ojców Kościoła i orzeczeniami soborów. Gdy zaś księża we Francyi próbowali mszę odprawiać w perukach, powstało wielkie na nich oburzenie i ostatecznie peruka stała się pomiędzy duchowieństwem tylko nadużyciem. Z peruką nierozłączny był puder, gdyż białe peruki należały zawsze do najmodniejszych, a za białe włosy trzeba było pła-

cić niesłychanie wysokie ceny. Peruka prokuratora Tron kosztowała siedmdziesiąt zecchinów. Brano się więc na sposoby i pudrowano peruki, a gdy i kobiety pozazdrościły mężczyznom tej mody i zaczęły nosić »tuppe«, pudrowanie peruk stało się powszechnem. Najpiękniejsze włosy Wenecyanek spadały pod nieubłaganemi nożycami modnych fryzyerów. Za przywilej wyrabiania pudru, zwanego »cipria, polvere da cipro«, płacił niejaki Pietro Capranica rządowi po dwa tysiące dukatów rocznie; ale jego puder w zetknięciu się z ciepłem skóry patrycyuszek wyradzał całe roje brzydkiego robactwa To nie zniechęcało kobiet bynajmniej do używania modnego proszku; dopiero, gdy złośliwe wiersze zaczęły obiegać po mieście, ojcowski rząd wdał się w tę sprawę i unieważnił przywilej Pietra Capraniki, ze względu na zdrowie i czystość Wenecyanek. Następca tego fabrykanta, jego syn, wprowadził puder z ryżu, który miał posiadać wszelkie warunki hygieny; lecz niestety i tym razem nadzieje zawiodły i dopóki pudrowane peruki istniały, dopóty trzeba było walczyć z gnieżdżącą się w nich »gadziną«. Gasparo Gozzi, posyłając w r. 1772 modną perukę swej przyjaciółce, Katarzynie Tron, życzył jej, aby »quei benedetti pidocchi« nie zepsuły jej i aby mogła wystarczyć na całą zimę. Jakiś wierszokleta nazwał te męczące owady ukrytem wojskiem, które elegantka własnym kosztem żywić musi, a taka jest ilość tych żołnierzy, że wielu z nich szuka poza swą właścicielką szczęścia, zamieniając się w błędnych rycerzy.

Dopiero rewolucya francuska, położywszy kres perukom, zniszczyła we włosach kobiet miryady stworzeń, których sama nazwa obudza w nas dzisiaj obrzydzenie.

Peruki i rozmaite ich gatunki nadały szczególne stanowisko mistrzom fryzyerom; tytułowano ich »illustrissimi« i »messieurs«. W Wenecyi zasłynął w swej sztuce Francuz Legros, który na czterdzieści dwa odmienne sposoby umiał ozdobić kobiecą głowę. Założył on szkołę perukarską, która miała nawet w niebie protektorów, świętych Kuźmę i Damiana, i liczyła w samej Wenecyi 852 uczniów. Około r. 1750 założył inny Francuz, monsieur Galimbert, sklep pod Proku-

racyami i takiem szczycił się powodzeniem u kobiet, że go przezwano sułtanem.

Wogóle Francuzi zaczęli dyktować mody; jednej tylko ozdoby kobiecej oryginalno-włoskiej nie zdołali usunąć, a mianowicie jedwabnej chustki na głowę, zwanej »zendado«, z najcieńszej o ile możności materyi. Zendado zaprowadzono w Wenecyi z początkiem XVIII wieku, a welon ten, który miał posiadać »magiczną prawie własność upiększania brzydkich a podnoszenia uroku pięknych kobiet«, został ulubionem nakryciem głowy, zwłaszcza w klasach mieszczańskich. Jeden z typów Goldoniego, Lelio, w komedyi »La serva amorosa« narzeka: »Przeklęte zendady! teraz nie wiedzieć, która szpetna, a która ładna. Piękne zakrywają się ze skromności, brzydkie ze wstydu, a stare z rozpaczy«.

I chustka »zendado«, jak każda inna nowość, musiała stoczyć zaciętą walkę z »provveditorami alle pompe«, a nawet z senatem. Rząd zarzucał temu welonowi, że równa wszystkie stany, że pod »zendadem« nie można rozpoznać »nobil donny« od wieśniaczki lub służącej, a co gorsza, od kobiety złego życia. Ozdoba ta nie odpowiadała arystokratycznym zasadom oligarchii. Jak zwykle, tak i w tym wypadku kobiety zwyciężyły swą wytrwałością; Signoria musiała ustąpić, a zendado pozostało do dziś dnia.

Najsmutniejszą porażką, jaką poniósł nie tylko rząd wenecki, ale i zdrowy rozum, były owe spodnice na obręczach, owe »guardinfante«, które elegantki nosiły dość długo, stosując się do francuskiego zwyczaju. Nawet cicisbei oburzali się na tę modę, ponieważ chcąc na ulicy rozmawiać ze swoją donną, musieli ją okrążać, oddalać się i zbliżać, jak gdyby tańczyli menueta. Na obrazach Guardiego widzimy jeszcze te różnokolorowe, upstrzone balony, zapełniające wązkie uliczki weneckie swą objętością. Goldoni nazwał je globusami, »un mappamondo«.

Zresztą mody kobiece w drugiej połowie XVIII wieku nadzwyczaj często się zmieniały; bywały angielskie, niemieckie, a nawet tureckie. Największą elegantkę końca wieku, Cecylię Tron, nazywano »la moda universale«, ponieważ ta

słynna ze swej urody patrycyuszka miewała suknie porobione na modę rozmaitych narodów.

Podobną walkę, jak kobiety o zendado, musieli mężczyźni staczać o płaszcze. Według rozporządzeń Rzeczypospolitej powinni się byli członkowie patrycyatu ukazywać tylko w togach na ulicy. Togi były jednak niewygodne i za nadto pompatyczne; więc młodzież arystokratyczna zaczęła w początkach XVIII wieku nosić krótkie płaszcze hiszpańskie, zwane »tabarro«. Zakazy przeciw temu nadużyciu, »intolerabile abuso«, jak grad, padały z pałacu dożów, a gdy wielkich mężów tam zasiadających nie bardzo słuchano, wydali inkwizytorzy di stato drakońskie rozporządzenia, aby odźwierni w kasynach, balwierze, kupcy nie wpuszczali do swych lokalów patrycyuszów w płaszczach »pod karą śmierci«. Za to przekroczenie nikogo nie powieszono; ale takie zakazy dowodziły, jak dalece upadła władza rządu weneckiego, skoro groźby kary śmierci wywoływały tylko uśmiech na ustach publiczności. Tabarro powszechnie zostało przyjęte, gdyż chroniło od wiatru i deszczu, zwłaszcza że parasole zostały w Wenecyi zaprowadzone dopiero w r. 1739. Co gorsza, jakiś krawiec zrobił model płaszcza w czterech kolorach, co się tak młodzieży podobało, że zaraz pojawiło się mnóstwo takich okryć, podobnych trochę do ubrania arlekinów. Zwykle jednak noszono płaszcze niebieskie i białe, lamowane złotymi galonami.

Trzymając się zasad zbyt konserwatywnych, nie idąc z duchem czasu, nie pozwalając na zmianę mód, szkodziła Rzeczpospolita własnym interesom, gdyż kobiety, nie chcąc się ośmieszać wobec cudzoziemców, sprowadzały coraz więcej materyi i przyborów toaletowych z zagranicy, wskutek czego upadał miejscowy przemysł.

VI.

W XVIII wieku wszyscy grali w karty: gondolier, praczka, rzemieślnik, mnich, prokurator rzeczypospolitej, patrycyuszka aż do dogaressy. Grali w bassettę, w ombra, w makao, w calabracha, w panfila, taroka i w kilkanaście, a może kilka-

dziesiąt innych gier, których nazwiska dzisiaj zapomniano. »Faraon« był jednak królem gier, panującym nie tylko w niezliczonych szulerniach, ale i w salonach wielkich pań weneckich. Faraona nauczyli się Włosi od Francuzów. Gdy madamigella de Valois, jako narzeczona księcia Modeny, jechała do przyszłego swego męża, skracała sobie drogę, urządzając na każdym noclegu partyę faraona i tak się do hazardu zapaliła, że nierzadko biały dzień zastał ją przy kartach. A młoda Walezyuszka miała wtedy lat ośmnaście. W Wenecyi nie było później panny wyższego towarzystwa, którąby nie umiała dawać banku w faraona.

Najważniejsze jednak »stanowisko« w grach hazardowych zajmowali balwierze, perukarze. Niemal każdy Figaro miał jakąś ukrytą stancyjkę przy swojej botedze, do której niepostrzeżenie wpuszczał zaufanych klientów, aby się ogrywali. Policya wiedziała o tem, ale zbiry wchodziły do tych szulerni tylko w razie denuncyacyi, albo gdy pomiędzy graczami powstała bójka, co się często zdarzało. Najwięcej tych »Bische«, bo tak nazywano szulernie, było w starych prokuracyach i wogóle w okolicy św. Marka. Tuż koło palazzo Ducale istniała spelunka gry i rozmaitych niemoralności »Biscaccia Baroni«, a lokale w Starych Prokuracyach były bardzo poszukiwane gdyż miały dwa wyjścia: na plac św. Marka i na boczne uliczki, tak, że w razie, gdyby policya chciała schwytać graczy na gorącym uczynku, można było jak najśpieszniej umknąć przed nią tylnemi drzwiami. Zresztą w każdej prawie kawiarni lub osteryi, w szynkach, gdzie sprzedawano malwazyę, a nawet w biurach notaryuszy grano w hazardy, w niedzielę zaś i święto wszystkie »bische« były przepełnione. A świąt mieli Wenecyanie aż siedmdziesiąt, oprócz dni świątecznych lokalnych, jakimi były objęcie parafii przez nowego duszpasterza, albo wstąpienie do urzędu świeżo obranych prokuratorów. Zresztą każda korporacya obchodziła uroczyście dzień swego patrona, bankietując po osteryach i grając cały dzień w karty, aż do późnej nocy. Władza, do której należało przestrzeganie surowych praw przeciw grom hazardowym, nazywała się »Esecutori contra la bestemmia« i miała swe biura w pałacu dożów; gracze jednak z dziwną przy-

jemnością rozkładali się w sąsiedztwie owego urzędu moralności, a ludzie niższych stanów grali nieraz to na schodach pałacu, to na krużgankach siedziby rządu. Niekiedy pojawiał się jaki zbir na placu św. Marka; wtedy gracze chowali karty do kieszeni, albo odwracali się od niego plecami, zbir bowiem sam chętnie próbował szczęścia w kości, albo otrzymywał od graczów podarunki za to, że ich nie widział.

Tworzyły się towarzystwa graczów, które wynajmowały stancye od kawiarzy lub kupców, aby być tylko wśród samych swoich. U jednego z chirurgów z pięknem nazwiskiem, u Franceska Tiepoła, schodziło się dwudziestu czterech graczy: kilku kupców, dwóch lekarzy, kilku cudzoziemców i czterech zakonników, którzy chcąc z religią i Kościołem być w zgodzie, kazali odprawiać cztery msze co miesiąc w Sta Trinità za swe grzeszne dusze. Do niektórych towarzystw graczy należały i kobiety, a w szulerniach pod Nowemi i Staremi Prokuracyami spotykało się senatorów, takich Contarinich, Gradenigów, Memów, co nikogo nie raziło. Dygnitarz kazał sobie brodę ogolić, a następnie znikał w bocznej stancyi, gdzie przy zielonym stoliku spotykał żydów, księży, zakonników i panie lekkich obyczajów. Wobec namiętności do gry nikły wszelkie towarzyskie i religijne różnice.

Jedną z najsławniejszych bischii utrzymywała »nobil donna« Lukrecya Nani, która pragnąc mieć z gier hazardownych jak największe dochody, wysyłała swych ajentów na plac św. Marka, na stacye okrętów, do kościoła, by sprowadzali cudzoziemców »alla sua conversazione«, gdzie ich ogrywano, używając w tym celu najczęściej kart znaczonych. Taki ajent, widząc zamożnego cudzoziemca, zaczął go przedewszystkiem tytułować »Eccellenza«, zwracać uwagę na pyszną bazylikę św. Marka, na którą się składał kilkowiekowy geniusz Wenecyan, pokazywał cudowne mozaiki, prowadził do pałacu dożów bezinteresownie, jedynie tylko z zamiłowania do sztuki i do wielkiej przeszłości swego miasta, a usposobiwszy nieszczęsnego klienta »artystycznie«, zapytał go, czyby nie chciał jeszcze zobaczyć kasyna, gdzie się zbiera najlepsze towarzystwo. Ucieszony cudzoziemiec dał się prowadzić do bischii, gdzie nie mógł wyjść z podziwu nad

uprzejmością i grzecznością Wenecyan, dopóki po kilku godzinach gry nie wyszedł na plac św. Marka z wypróżnioną kieszenią.

Panteonem graczy było jednak wielkie publiczne »Ridotto« w San Moise, calle Vallaressa, na które rząd udzielił jeszcze w r. 1638 koncesyę spółce arystokratycznej, na której czele stał Marco Dandolo. Mówiono, że Rada X., oddając pierwszorzędny zakład gry w ręce patrycyatu, ograniczy zgubny wpływ małych »ridottów«; w rzeczy samej chodziło wszakże o to, aby i rządzący oligarchowie mieli zysk z powszechnej namiętności do gry. Ridotto Dandola było później, w r. 1768, wyrestaurowane i wspaniale urządzone, tak, że należało do ciekawości miasta. Grać tam było wolno w maskach lub z odkrytą twarzą. Wchodziło się do dużej sali, wybitej tapetami ze złoconej skóry, do sali rozmów i zabawy z kobietami. Na prawo i lewo urządzone były bufety, w których posilano się czekoladą, kawą, herbatą, winem, a nawet bardziej pożywnemi rzeczami, jak sery i najróżnorodniejsze szynki i salami. Rządził tam przez długie czasy sławny Liberale, lichwiarz znany w kołach »viveurów«, który pożyczał na zastawy, gdy graczom zabrakło gotówki. W bufetach było gwarno i wesoło, we właściwym wszakże przybytku gry, w »Camera lunga« panowało najzupełniejsze milczenie; nie wolno tam było rozmawiać, aby uniknąć sporów i kłótni. Słychać było tylko szmer przechodzących tłumów i brzęk złota. Widok ciekawy: rzędy małych stolików, a przy każdym siedzi patrycyusz w purpurowej todze z wielką peruką na głowie, tak zwany »tavoliere«, i trzyma bank faraona, bassetty, biribissy albo panfila. Wieczór dodawały dwie wysokie świece, palące się przy każdym z bankierów, jeszcze bardziej uroczystego nastroju temu »humanitarnemu« zakładowi. Przy grze zachowywali owi patrycyusze dziwny spokój, wprawni szulerzy, którzy z równie chłodną miną przyjmowali wielkie wygrane, jak i rozbicie banku, jeżeli się zdarzyło. Publiczność grająca była po większej części zamaskowana, więc pod czarną larwą kryły się wrażenia; kobietom jednak, należącym do patrycyatu, wolno było wchodzić do sal Ridotta bez masek. Cudzoziemcy zazwyczaj pierwej zwiedzali świątynię gry, aniżeli

bazylikę św. Marka. Nie było panującego, przybywającego do Wenecyi, którzyby nie poszedł do Ridotta. W r. 1709 grał tam w faraona Fryderyk, król duński, zamaskowany, i rozbił bank, a podczas gdy patrycyusz przygotowywał mu wygrane złoto, król udał, że się potknął, przewrócił stolik i korzystając z powstałego zamieszania, wyszedł, pozostawiając innym możność zbierania rozsypanych monet.

Grać można było tylko dukatami albo zecchinami, a pomimo tak wysokich stawek, koło graczy wzrastało tak, że co roku musiano pomnażać ilość stolików i liczbę tavolierów. W r. 1767 było ich czterech do bassetty, a ośmdziesięciu do faraona.

W ciągu lat tyle się rodzin weneckich zrujnowało w Ridocie, że Wielka Rada widziała się zmuszona powziąć uchwałę, zamykającą pałac gry. Prawo to z 2 listopada 1774 powitała publiczność z wielką radością; członków Rady, którzy podali wniosek zamknięcia szulerni, wyniesiono z sal obrad na tarczach, wśród okrzyków radości i wybito nawet medal na pamiątkę zbawiennej uchwały. W świecie szulerów zapanował jednak smutek i oburzenie; jedna z cudzoziemek, bawiących wówczas w Wenecyi, pani Sara Goudar, opowiada, że całe miasto zachorowało na hypochondryę. Żydzi, którzy pożyczali graczom pieniędzy na lichwę, pożółkli, jak cytryny, fabrykanci masek umierają z głodu, a niektórzy patrycyusze, przyzwyczajeni do tego, aby przez dziesięć godzin dziennie mieszać karty, nie wiedzą, co robić ze swymi palcami. Smucił się także ambasador hiszpański, który w Ridocie przebywał zazwyczaj do drugiej po północy, a dwóch służących w maskach czekało, aby go do domu odprowadzić. Hiszpański grand cierpiał na podagrę i zanim zeszedł ze schodów na ulicę, tyle w ścisku masek oberwał sińców, że głośno narzekał i zaklinał się, że już więcej nie przyjdzie do Ridotta. Mimo to widziano go tam nazajutrz znowu:

Dove l'oro se gettava
Ell'onor se negoziava
Più a bon prezzo della tara.

Zamknięcie Ridotta bynajmniej nie położyło kresu grze w Wenecyi, owszem, im bardziej Rzeczpospolita chyliła się ku upadkowi, tem bardziej rozwielmożniała się namiętność do gry. Kawiarnie, kasyna, botegi fryzyerów nie mogły pomieścić swych gości. Mówiono, że Nicoletto Corner przegrał jednej nocy do Moceniga dziesięć tysięcy zecchinów. W szulerni Martiniego, do której uczęszczali żołnierze, księża i cudzoziemcy, zużywano dziennie sto pięćdziesiąt talii kart; to też padrone mógł się wcześnie wycofać z interesu i żyć spokojnie i »honorowo«.

Awanturnicy wkradali się często do patrycyuszowskich towarzystw i oszukiwali w grze. Podobny wypadek zdarzył się w r. 1757 w salonie prokuratessy Elżbiety Cornaro, wdowy po Foscarinim. Panie medyolańskie poleciły jej niejakiego de Beaujeu, szlachcica francuskiego, który był wszakże szulerem z zawodu. Ubierał się wykwintnie i miał pozory wielkiego pana. Jednego wieczora przegrała do niego nobile donna Zorzi Erizzo, żona ambasadora weneckiego w Paryżu, 1500 zecchinów na słowo. Nie mając pieniędzy, odkładała z dnia na dzień wypłatę, tak, że Beaujeu zagroził, że całą sprawę ogłosi w »Gazecie holenderskiej«, która była wtedy najbardziej rozpowszechnionym dziennikiem w Europie. Wreszcie przyszło do układu, pani Zorzi zapłaciła mu 500 zamiast 1500 zecchinów. Zdarzyło się jednak, że w kilka dni później został Beaujeu napadnięty w Mestre i zraniony puginałem przez nieznajomego zbira, gdy wychodził z domu signory Niccolini, faworyty księcia biskupa brunszwickiego, który wówczas bawił w Wenecyi. Stąd dochodzenie, które wykazało, że Beaujeu inaczej się nazywa i że jest międzynarodowym szulerem, oszukującym w karty. Kazano mu natychmiast wyjechać z Wenecyi.

Rewolucyę pomiędzy właścicielami szulerni wywołał uczeń słynnego G. B. Piazetty, malarz Pietro Lanterna, który, przegrawszy całe mienie, zemścił się na nich, wydając książeczkę, w której opisał wszystkie sposoby, używane przez zawodowych graczów do oszukiwania klientów. Obrażeni »padroni« podali do trybunału »contra la bestemmia« donos na Lanternę, że nie chodzi do kościoła, że nosi przy sobie puginał, że oszu-

kuje w grze w karty i jest człowiekiem najgorszych obyczajów. Lanterna bronił się energicznie, udowodnił, że sprzedaje swe szkice, robione węglem lub kredką, po trzy do ośmiu »filippich« i z tego zysku utrzymuje swoją rodzinę. Trybunał się przekonał, że zeznania artysty zgadzają się z prawdą i uznał go niewinnym.

Kary na gry hazardowe i na padronów szulerni były wysokie, ale je rzadko kiedy wykonywano z całą surowością, gdyż trzebaby było bezustannie nakładać grzywny na trzy czwarte weneckiego społeczeństwa. Zresztą rządowi chodziło o to, aby publiczność nie zajmowała się polityką, gra zaś kierowała namiętności w stronę nieszkodliwą dla patrycyuszowskiej oligarchii. Stosownie jednak do arystokratycznych zasad wyznaczał rząd zupełnie inne kary na patrycyuszowskich graczy, a inne na pospolitych szulerów. Podczas gdy wielkie panie lub członków znakomitych rodzin karano domowym aresztem, posyłano przestępców z pomiędzy ludu na galery. Pomiędzy paniami, które po ojcowsku napomniano za gry hazardowe, a następnie zamknięto na miesiąc w ich własnych pałacach, bywały takie patrycyuszki, jak Anneta Morosini, Chiara Pesaro, Marina Labia i wiele innych. Niekiedy można było widzieć pomiędzy dwoma kolumnami na Piazzecie biedaków ze złowrogim napisem na piersiach: »Per bestemmie, parole indegne e barerie«, »Za bluźnierstwa, niegodne wyrazy i szulerstwa«. Zanim takiego skazańca powieszono, męczył go kat w straszny sposób, zakładając mu język »in giova«, w przyrząd, który chyba sam szatan wymyślił. Lud się przypatrywał i bawił.

VII.

Literat Melchior Giola zapytał raz jakąś cudzoziemkę, co jej się w Wenecyi najbardziej podobało, na co otrzymał niespodziewaną odpowiedź, »że największą radość to jej sprawiało, iż cały dzień mogła gadać do woli«. Wenecyanie słynęli w XVIII wieku z wielkiego gadulstwa, a kto nie miał sposobności mówić, ten śpiewał. Ludność była wesoła, jak

zapewnia Goldoni w swych pamiętnikach. Śpiewano na placach, w ulicach i na wodzie; śpiewali kupcy, układając swoje towary; śpiewali robotnicy, idąc do domu; śpiewał gondolier, oczekując gościa. Charakter narodu skłonny do dobrego humoru, a narzecze weneckie pełne żartobliwych zwrotów. Jak się tylko pęta trochę rozluźniły, któremi Signoria wiązała nawet prywatne zebrania, życie towarzyskie zakipiało w sposób niebywały. Rada X przestrzegała od dawna, aby członkowie patrycyatu jak najmniej przestawali z cudzoziemcami, a mianowicie z obcymi ambasadorami i ich otoczeniem. Gdy w r. 1712 rząd się dowiedział, że nobil donna Laura Dolfin przyjmuje u siebie cudzoziemców, zawezwano jej dorosłych synów do pałacu dożów i wytknięto im w surowy sposób tego rodzaju postępowanie ich matki. Rząd otaczał się tajemnicą i w swej podejrzliwości obawiał się, aby przez ściślejsze stosunki z obcymi dygnitarzami nie wychodziły na jaw jego polityczne zamiary, strzegł się przed szpiegostwem nieprzyjaznych mu mocarstw. Wielkim paniom, mającym świetne pałace i salony, bardzo zawadzały te zakazy, więc w miarę, jak władza Signorii upadała, starały się od niej uwolnić. Podobnie jak moda w ubraniach, i moda otwierania salonów szła z Francyi; niejedna więc z patrycyuszek zapragnęła zgromadzać u siebie świetne towarzystwo dyplomatów, literatów i poetów. Paniom, które pierwsze zaprowadziły takie stałe zebrania, »conversazioni«, dawano z pałacu dożów ojcowskie napomnienie, aby niezbyt były gościnnemi; hrabinie Tarpinetti z Rzymu kazano nawet z tego powodu wyjechać w przeciągu trzech dni z granic Rzeczypospolitej. Wojna jednak z kobietami była trudna; mimo napomnień mnożyło się przyjęć towarzyskich coraz więcej, nawet niektóre patrycyuszki urządziły w tym celu osobne pomieszkania, które przezwano »kasynami«. Znudzony rząd zaczynał zamykać oczy na te nowości i nie wydawał więcej przeciw nim zakazów. Kasyna wyrastały, jak grzyby, a niebawem nie było ulicy od San Marco do Ognissanti, od San Paolo do San Moise, od Santa Lucia do San Giobbe i do Madonna dell' Orto, gdzieby jakaś pani nie urządzała »conversazione«. Do kilku lat liczono przeszło sto kasyn. Niejako urzędową sankcyę »konwersacyi« na-

dał wszakże doża Francesco Loredan, który otworzył własne kasyno w Starych Prokuracyach. Wynajął on tam duże mieszkanie, urządził kilka sal z wielkim przepychem, kazał obić ściany jedwabnemi tkaninami, zawiesić olbrzymie zwierciadła i szklanne pająki i przyjmował nie tylko Wenecyan, ale i cudzoziemców. Czterech służących obnosiło ciągle słodycze, czekoladę i wodę mrożoną. Wogóle bez czekolady nie mogło się obejść żadne zebranie, a wielu elegantów, chcących sobie kolacyę oszczędzić, chodziło z jednej conversazione na drugą i w ten sposób żyło całą zimę. O którejkolwiek zresztą godzinie przyszło się do kasyna jakiej modnej pani, zawsze dostawało się filiżankę czekolady; to też w pierwszym akcie melodramatu Goldoniego »La conversazione« śpiewa chór:

Viva pur la cioccolata
E colui che l'ha inventata...

Czekoladzie, plotkom, tańcom i grze w faraona trzeba przypisać, że przy końcu Rzeczypospolitej miało być kilka tysięcy »conversazioni« i kasyn w Wenecyi.

Utworzyła się osobna klasa ludzi, żyjących z plotkarstwa i złośliwych dowcipów. Do takich należał abate Tribolato, Toskańczyk zamieszkały w Wenecyi, bywający w najpierwszych towarzystwach. Ażeby mieć pieniądze i powodzenie, szarpał cudzą sławę, i to w sposób bardzo zjadliwy, ale i dowcipny zarazem. Jego pochwały zawierały zawsze połowę niegrzeczności. To też cavaliere Giovanni Bonfadini zagroził mu, że go obije, jeżeli będzie dobrze o nim mówił. Towarzystwo kilku panów, których nazywano »buoni viventi«, dawało mu miesięczną płacę, aby tylko złośliwie się wyrażał o osobach, które mu wskazali. Kilka razy dostał bolesne cięgi w odludnych ulicach, ale to go bynajmniej nie wyleczyło z plotkarstwa. Markiz Pepoli dawał mu obiad i dziesięć zecchinów miesięcznie, napisał także jego żywot w swoim poemacie »La Triboleide« i zamierzał wydrukować ten komiczny utwór. Tribolato się przestraszył, nie chciał być publicznie wyśmianym, aby nie stracić swego utrzymania. Ostatecznie Pepoli się z nim ułożył, wydrukował poemat, ale za to obiecał mu

płacić dożywocie po dwadzieścia zecchinów miesięcznie i oddawać dochód ze sprzedaży »Triboleidy«.

Tribolato był pociechą kawiarń i szulerni, zwłaszcza że przegrywał w karty wszystko, co swą złośliwością zarobił. Tak się wszakże stał popularnym, że mnóstwo ludzi go naśladowało, i rzec można, że założył szkołę złośliwców w Wenecyi.

Prawie każdy Wenecyanin, chcący należeć do wyższego towarzystwa, musiał mieć swoje kasyuo w okolicy św. Marka. Pałace patrycyuszowskie leżały nieraz daleko od środowiska miejskiego życia i zabaw, powracać w nocy, osobliwie w zimie, było niewygodnie, a czasem i niebezpiecznie; więc kto tylko mógł, wynajmował mieszkanie przy »placu«, aby tam mógł przenocować, przyjmować przyjaciół i całą piersią używać życia. W karnawał prawie wszystkie domy koło św. Marka były pełne kasyn, a jakaś przedsiębiorcza Wenecyanka, Paolina Marchi, wynajęła jedenaście kamienic, aby je urządzić na kasyna. Znano ją też pod nazwą Pauliny »dei Casini«. Większa część ambasadorów obcych państw miała także kasyna, a policya tak dokładnie czuwała nad tem, co się tam dzieje, iż raz doniosła rządowi, że do kasyna ambasadora Ercolaniego przychodzi często znana kobieta lekkich obyczajów, Checa Scaletera. Signoria nie zajmowała się zresztą moralnością ambasadora, ale obawiała się, aby przez Chekę, która miała stosunki z różnymi wpływowymi osobistościami, nie dochodziły obcego posła jakie ważne wiadomości polityczne.

Niektóre z kasyn były urządzone z wielką wspaniałością; posadzki wykładane wschodnimi kobiercami, na ścianach wisiały obrazy pierwszorzędnych mistrzów, ale najczęściej o tematach bardzo nieprzyzwoitych, w łazienkach zaś wisiały ryciny, od których odwracałoby się dzisiejsze oko. Na stolikach można było spostrzedz książki francuskie, gorsze od dawnych powiastek Masuccia, tudzież poezye weneckiego patrycyusza Giorgia Baffo, ulubieńca rozpoetyzowanych czcicielek Wenery. Czasami w najbardziej patrycyuszowskich kasynach wyprawiano takie orgie, że służbie nawet wchodzić tam nie było wolno, a biesiadnikom podawano kolacyę z przedpokoju przez małe okienko, umyślnie w tym celu wy-

bite w murze. Ciekawi lokaje wiercili jednak małe otwory w odrzwiach, przez które mogli się przypatrywać temu, co się w pokojach dzieje, i nazajutrz całe miasto wiedziało, w jaki sposób towarzystwo, zebrane w kasynie Alvisa Contariniego, składające się z dwudziestu pań z mężami i »z innych jeszcze kobiet«, przepędzało noc całą. Opisy tej ciekawej służby można było porównać tylko ze scenami z »Ragionamentów« Piotra Aretina.

VIII.

Kobiece klasztory w Wenecyi, a było ich około trzydziestu pięciu, dzieliły się na dwie kategorye: w jednych modlono się i śpiewano w chórze, drugie służyły właściwie do przyjemnego przepędzenia doczesnego żywota. W pierwszych, jak u Kapucynek, Eremitanek i w podobnych zakonach ścisłej obserwancyi zamykano ubogie dziewczęta, które z powołania lub z biedy przywdziewały habit; do drugich wchodziły posażne panny, mające złoty klucz w kieszeni, który im otwierał furty klasztorne, aby mogły przepędzać słodkie chwile w gondoli, albo nawet w przebraniu brać udział w karnawale. Wiele patrycyuszowskich rodzin, nie chcąc rozdrabniać majątku, pozostawiało najstarszemu synowi większość fortuny, a najmłodszą córkę oddawało do »arystokratycznego« klasztoru. Ponieważ majątek rodzinny był duży, więc bez wielkiego uszczerbku można było stosunkowo świetnie wyposażyć córkę, wstępującą do klasztoru, tak dalece, że Signoria musiała z czasem ograniczyć te posagi do kwoty tysiąca dukatów.

Obłóczyny takich zakonnych nowicyuszek odbywały się z wielką uroczystością, poeci pisali z tego powodu pochwalne wiersze dla rodziny i »anielskiej istoty«, która się poświęciła Panu Bogu, młodzi wielbiciele mówili jej »do widzenia w parlatoryum«. Przedewszystkiem trzy klasztory były modne: Benedyktynki w S. Zacharia, Augustyanki, tak zwane »weneckie dziewice«, i mniszki »di San Lorenzo«. Najgorszą sławę miały zakonnice w S. Zacharia; niektóre z nich wynajmo-

wały osobne apartamenta w bocznych, cichych uliczkach, gdzie przyjmowały swoich wielbicieli.

Zresztą same parlatorya zamieniały się w salony przyjęć. Za kratami o dużych otworach siedziały zakonnice w wyciętych sukniach, z kwiatami u łona, z włosami modnie ufryzowanymi, albo nawet upudrowanymi, a przed każdą z nich siedział albo wybraniec serca, albo rozgościło się całe towarzystwo przyjaciół. Umiały one szczególnie do twarzy się ubierać; jeżeli reguła przepisywała habit z białego kamlotu, natychmiast wymyśliły jakąś ciemną girlandę, aby nie razić białym zupełnie strojem. Podróżnik Limojon de Saint-Didier opowiada, że panie te szczególnie uważają na piękność swej bielizny, a gdy się przystroją kwiatami, nic milszego nad te zakonnice nie można sobie wyobrazić.

W sali przed kratami bywał czasami ruch wielki; dawano przedstawienia maryonetek, popisywali się czarnoksiężżnicy, śpiewacy, a nawet wprowadzano tam dzikie zwierzęta ku powszechnej zabawie. Młodzież nigdzie tak chętnie nie bywała, jak na przyjęciach u zakonnic; roznoszono tam chłodniki, nieodzowną czekoladę, a mieć romans z piękną Benedyktynką lub Augustyanką należało do osobliwszych przyjemności. Cokolwiekbądź, były pewne trudności w częstem widywaniu się, ale te przeszkody pobudzały tylko do tem gorętszych uczuć. Czasami przełożona starała się zaprowadzić pewne reguły, jeżeli już nie moralności, to przynajmniej przyzwoitości; ale to się zazwyczaj na niewiele przydawało, młodsze zakonnice zawsze znalazły sposoby, aby uśpić czujność starej, zrzędnej ksieni. Zakradanie się przez mury klasztorne do celi, gdzie zakonnica oczekiwała swego ulubieńca, miało swój specyalny wyraz; kochanek nazywał się w takich razach »moneghino«. Rząd wydawał, począwszy od XIV w., ciągłe dekrety przeciw moneghinom, ale dekrety zostawały martwą literą. Nawet groźby dwóch lat więzienia w ciemnych lochach »dei Pozzi«, tudzież pieniężne kary aż do 1300 lir na tych, którzyby wyprowadzili zakonnicę poza mury klasztorne, nie przestraszały moneghinów.

W karnawał służyły parlatorya na schadzki dla najdziwniej ubranych masek; złota młodzież miała szczególne

upodobanie chodzić wtedy od klasztoru do klasztoru i bawić zakonnice bardzo świeckimi żartami. Zresztą w ostatnie dni karnawału mniszki zupełnie zapominały o regułach zakonnych, przebierały się za świeckie panie, nawet za mężczyzn w kapeluszach z piórami i w ten sposób witały z za krat klasztornych przychodzącą młodzież.

Rzecz prosta, że nawet owe małe trudności, jakie zakonnicom stawiały kratki parlatoryów, bywały czasem uciążliwe. Bardziej zakochane, bardziej namiętne zrywały zupełnie złote pęta. Do najdzielniejszych pod tym względem należała Marya de Riva, którą rodzice w szesnastym roku życia zmusili wstąpić do Benedyktynek w San Lorenzo. Bywając często w parlatoryum, zakochał się w niej hr. de Froulay, ambasador Francyi, i szybko pozyskał najzupełniejszą jej wzajemność; Riva miała wówczas trzydzieści lat, Froulay był żonatym i miał jednego syna. Inkwizytorzy państwa dowiedzieli się wkrótce o tym romansie, a obawiając się, aby z powodu wysokiego stanowiska cudzoziemca stosunek jego z Benedyktynką nie nabrał zanadto wielkiego rozgłosu, zaczęli śledzić hrabiego. Pozyskali w tym celu służącego ambasadora, który im codziennie donosił o każdym kroku swego pana, a zapiski inkwizytorów w tej mierze znajdują się do dziś dnia w weneckiem archiwum »degli inquisitori di stato«.

Froullay żył w przyjaźni z patrycyuszem Danielem Bragadinem, tym samym, którego Casanova przez długi czas wyzyskiwał. W r. 1735 został Bragadin wybrany prokuratorem św. Marka, najwyższym dygnitarzem po doży, i według zwyczaju urządził świetne przyjęcie dla znajomych w swym pałacu na S. Marina, który obecnie należy do hr. Papadopolich Zapewne w porozumieniu z gospodarzem domu przyprowadził Froulay także Maryę de Riva w masce na ten festyn, przebraną za mężczyznę. Nad ranem Benedyktynka wróciła do klasztoru.

Inquisitori di stato dowiedzieli się o tem i zakazali wesołej zakonnicy wychodzić do parlatoryum, aby w ten sposób uniemożliwić porozumiewanie się kochanków. Obrażony Froulay zwrócił się do Paryża do swego rządu; powstała wskutek



»Odwiedziny w klasztorze«. Maniera P. Longhiego.

Do str. 80.

Fot. Naya.

tego dyplomatyczna korespondencya i Maryę de Riva przeniesiono do innego klasztoru, do Ferrary.

Romans jej z ambasadorem się zakończył; ale niesforna zakonnica zawiązała w Ferrarze inny stosunek miłosny, z pułkownikiem Moronim, i uciekła z nim do Bolonii, gdzie go poślubiła. Gdy się jej bracia o tem dowiedzieli, poruszyli wszelkie sprężyny, aby młodym małżonkom wytoczyć proces. Uwięziono ich zatem w Bolonii, ze względu jednak na wysokie stanowisko rodziny Rivy przeznaczono Maryi stancyę w pałacu arcybiskupim i obchodzono się z nią bardzo łagodnie. Moroniego wkrótce uwolniono, a była mniszka uprosiła sobie u arcybiskupa, aby jej pozwolono na znak pokuty odbyć pielgrzymkę do znanego kościoła za miastem, do Madonna di S. Luca. Arcybiskup przychylił się do tak pobożnego żądania, nie przypuszczając nawet, że w S. Luca czeka już na nią małżonek Moroni i że przygotował ucieczkę. Władza kościelna dowiedziała się wkrótce, że signor i signora Moroni żyją szczęśliwie w Szwajcaryi.

Zdaje się, że Casanova, który wiedział o wszystkich szczegółach wycieczki Maryi de Riva z Froulayem na festyn u Bragadina, użył ich, aby ubarwić swoje opowiadanie o awanturze z zakonnicą M. M.

Historye o weneckich zakonnicach możnaby mnożyć w nieskończoność, wolimy jednak poprzestać na Maryi de Riva. Większą jednak krzywdę powadze Kościoła, aniżeli mniszki, wyrządzało świeckie duchowieństwo, a przedewszystkiem ci »abatini«, którzy się stali jedną z charakterystycznych postaci społeczeństwa XVIII wieku.

Abatini byli niejako dopełnieniem cicisbeów w usługach pań. Taki prałacik, wypudrowany, wyperfumowany, w jedwabnych pończochach, znalazł się w każdym salonie, w teatrze, na koncercie, a od świeckich elegantów różniło go tylko ubranie. Wielu młodzieńców z domów patrycyuszowskich, chcąc się uwolnić od obowiązków służby publicznej, przywdziewało suknię duchowną, która ich nawet nie zawsze zmuszała do odprawiania mszy lub nieszporów. Jeden z poetów XVIII wieku maluje w ten sposób abatina:

Spirava dolce odore di manteca;
Aveva un zazzerino impolverato;
Nel visetto pareva Elena Greca.
Di nero il farsettino ricamato
E il giustacuore avea...

Nie wszystkim abatinom tak się dobrze działo. Niższego duchowieństwa było bez liku, więc niektórzy księża musieli przyjmować upokarzające zajęcia, aby jakie takie mieć utrzymanie. Jeden z cudzoziemców, odwiedzając Girolama Cornaro, widział tam domowego kapelana, pełniącego obowiązki lokaja; otwierał on drzwi wchodzącym do pomieszkania, zdejmował im płaszcze i obnosił czekoladę z serwetą na ramieniu.

Było dużo duchowieństwa, ale mało religijności. Słynny prezydent de Brosse, dowcipny Francuz, opowiada, że widział w jednym z teatrów weneckich, jak wobec czterech tysięcy widzów jakiś prałat wesoło rozmawiał z loży z jedną z najbardziej osławionych kurtyzan weneckich. Podczas pobytu Brossa w mieście dożów przygotowywano się na przyjęcie nuncyusza apostolskiego, a ponieważ dygnitarz rzymski nie był jeszcze starym człowiekiem, więc trzy klasztory żeńskie spierały się o to, który z nich ma dostarczyć znakomitemu gościowi towarzyszki, aby się w Wenecyi nie nudził. Oczywiście musimy w tej mierze pozostawić odpowiedzialność za tę wiadomość francuskiemu dygnitarzowi.

IX.

Rzecz nadzwyczajna: raz podczas karnawału obiegała pogłoska po Wenecyi, że Caterina Bonlini, małżonka Marka Dandola, a więc należąca do najbardziej zasłużonych rodów, będzie chodziła po linie, przeciągniętej na Piazzecie pomiędzy dwoma budami popisujących się właśnie gimnastyków. W karnawał wszystko wolno; Bonlini młoda, piękna chciała okazać swoją zręczność. Cały plac był zapełniony; wielkie panie, kurtyzany, cicisbei, zakonnicy, cudzoziemcy, monsignorzy, Turcy, Dalmatyńcy oczekiwali z niecierpliwością chwili, kiedy Caterina rozpocznie swe niebezpieczne przechadzki. Tłum ten ciekawie

wyglądał; większość kobiet w maskach z koronek, w lekkich płaszczykach jedwabnych, pomiędzy mężczyznami kilku »perrukonów«, starych senatorów, którzy udając młodzieńców, cisnęli się koło Zanzzary, słynnej kurtyzany. Jeden z tej grupy trzymał w ręce szkiełko powiększające i przykładał je ciągle do oka, aby z pod maski dostrzedz cokolwiek z wdzięków pięknej kobiety, które mu zresztą były dobrze znane. Był to signor Frangipani, zwany »Innamorato morto«, ponieważ wdzięczył się do każdej piękności, ale czynił to od lat kilkudziesięciu i kobiety wiedziały, co o nim sądzić.

Wśród tego tłumu zrobiła się naraz cisza, spostrzeżono woźnego inkwizytorów państwa, idącego do budy gimnastyków. Co się stało? Tych przedstawicieli najbardziej znienawidzonej instytucyi zawsze się publiczność obawiała. Zagadka szybko została rozwiązana; sługa urzędowy poprosił signorę Dandolo, aby wróciła do domu i zasłużonego nazwiska nie nadużywała do komedyanckich popisów.

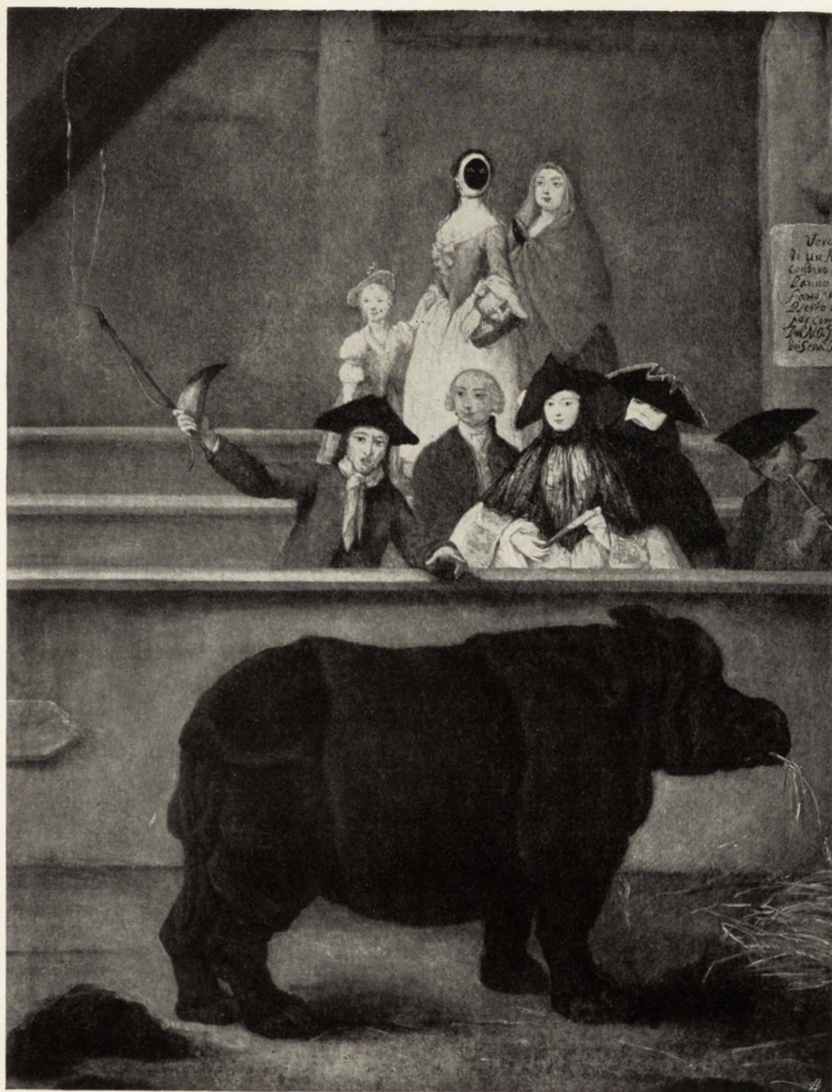
Publiczność się pocieszyła, bo mnóstwo innych rzeczy było do widzenia. Niedaleko od budy gimnastyków pokazywał impressario Carlo Duclos lwa tak łagodnego, jak pies pokojowy. Sławny to był mieszkaniec puszczy, który występował już w sztuce Metastasia »Didone«, na scenie elektora bawarskiego i w teatrze wiedeńskim, gdzie stał się ulubieńcem cesarskiego dworu, nazwano go »leone delle dame«, a Duclos opowiadał, że podczas rozbicia okrętu na sycylijskich brzegach uratował mu życie i odtąd zwierzę z wdzięczności najzupełniej się do niego przywiązało. Impressario otwierał paszczę temu mniemanemu przyjacielowi, chwytał go za język, wsiadał nań, jak na konia, ale mimo to nie musiał mu zupełnie dowierzać, bo kilka dużych psów maltańskich stało zawsze na straży, a szczególnie dwa olbrzymie kundysy ustawiały się po obudwu stronach głowy lwa, czekając tylko na najmniejsze skinienie pogromcy, aby afrykańskiego zwierza pochwycić za uszy. Duclos kazał sobie płacić po dziesięć soldów od wstępu do budy, a takie były tłumy ciekawych, że impressario zarabiał średnio po dwieście dukatów dziennie. Prowadził on swego lwa do pałaców patrycyuszowskich, a nawet do parlatoryów zakonnic, które w życiu jeszcze nie

widziały czegoś podobnego. Duclos miał także psy szczególnej rasy, które w przebraniu angielskich żołnierzy, wykonywały jakieś zabawne tańce. Pietro Longhi odportretował owego lwa ((Galleria Quirini-Stampalia), ale zapewne z pamięci, bo zwierz weneckiego malarza dziwnie podobny do lwa św. Marka, jak go przedstawiano za dawnych czasów.

Z okazyi lwa przypominali sobie starsi Wenecyanie, że w r. 1751 jakiś cudzoziemiec pokazywał na Piazzecie nosorożca, zwierza, jakiego nie widziano we Włoszech od czasów cesarza Tytusa. Ów nosorożec ważył 50.000 funtów, zjadał dziennie 60 funtów siana, 20 chlebów i wypijał 14 wiader wody. Longhi malował go aż dwa razy.

Nie skończyłbym, gdybym chciał wyliczać wszystkie ciekawości, jakie podczas karnawału można było widzieć na Piazzecie i na placu św. Marka. Podziwienie wzbudzał olbrzym, pochodzący z Irlandyi; bawiono się małą kobietą, która za całe pożywienie jadła trzy uncye mięsa na dobę, a już zrozumieć nie umiano, jakim sposobem w wielkiej, hermetycznie zamkniętej bani szklanej mogły istnieć cztery żywioły: woda z rybami, ptaki latające w powietrzu, płonący ogień i rośliny kiełkujące w ziemi. Ulubieńcem publiczności stawał się zaś uczony kanarek, który z pomocą liter, napisanych na cienich tabliczkach, rozwiązywał kwestye z zakresu geografii i historyi, umiał liczyć do trzydziestu i rozróżniać kolory.

O jednej wszakże bardzo zajmującej i na owe czasy charakterystycznej postaci wspomnieć należy. Był nim operator dentysta, medyk-szarlatan, którego nie brakło nigdy w czasie karnawału. Siadał on na placu św. Marku na estradzie tak, aby go widzieć można z daleka, udzielał rady na wszelkie możliwe cierpienia, a był zwykle ubrany na wzór czarnoksiężników w wysoką czapkę, kształtu głowy cukru i togę haftowaną lub malowaną w różne zwierzęta i znaki kabalistyczne. Obok niego stał reżyser i co chwilę głosił jego sławę, wyliczając przytem choroby, na które mistrz ma niezawodne środki. Goldoni uwiecznił tę osobistość jako Rubicona w komedyi »Mercato di Malmantile«, gdzie ów słynny lekarz, obwieszony rozmaitymi medalami od stóp do głowy, przedstawia się publiczności:



»Wystawa nosorożca«, według ryciny P. Longhiego.

Do str. 84.

Fot. Naya.

Ecco, signori, l'operatore;
Io sono medico di gran valore
Che a tutti reca la sanità...

Rubicon posłużył kompozytorowi opery »Elisir d'amore« za model do Delcamary, który przed kilkudziesięciu laty występował na wszystkich scenach europejskich.

Dla przywabienia pacyentów i większej reklamy zmieniała się estrada dentysty po kilku godzinach w scenę teatralną. Był to dawny zwyczaj we Włoszech, że szarlatan woził ze sobą małe towarzystwo komików, które po ukończonem wyrywaniu zębów dawało zabawne przedstawienia. Sam szarlatan, zdjąwszy poważną togę czarnoksiężnika, przebierał się za Pantalona i rozśmieszał publiczność. Czasami jednak przybyły aż dwa takie szarlatańskie towarzystwa na karnawał. Powstawało niebezpieczne współzawodnictwo. I tak jednego karnawału usadowił się młody Bolończyk, Giovanni Bissoni, ze swoją trupą tuż obok Girolama, od dawna sławnego szarlatana, który sprzedawał najrozmaitsze lekarstwa. Publiczność garnęła się do znanego jej Girolama, a Bissoni z razu bardzo złe robił interesa. Ale zręczny i pomysłowy, zaczął opowiadać zgromadzonym koło jego estrady, że jest synem Girolama, że przeto wykradł mu wszystkie recepty i sekrety. Girolamo bowiem był dlań złym, okrutnym ojcem i dla błahych powodów wypędził go z domu. Publiczność się rozczuliła, zaczęła sympatyzować z młodym Bolończykiem, który korzystając z tego usposobienia, zszedł z estrady, pobiegł do swego starego współzawodnika, rzucił mu się do nóg i zaczął błagać mniemanego ojca, aby go znów przyjął w swój dom. Girolamo, nie wiedząc, co to znaczy, odpychał intruza, zaklinał się, że nigdy nie miał takiego syna i że wogóle nie jest żonatym. Publiczność nie wierzyła tym zapewnieniom, oburzała się na twardego ojca, a chcąc okazać Bolończykowi sympatyę, wykupiła cały zapas leków u nieszczęśliwego syna. Bissoni napełnił w ten sposób trzos cekinami i co pędzej uciekł z Wenecyi.

Szarlatani dziwnie ulubili sobie zawód dentystów. Bywało ich bez liku w Wenecyi podczas karnawału, lub na jarmarkach. Jakiś Giovanni Trinsi jeździł jakby dynasta, w kilka

powozów i z liczną służbą. Ogłaszał, że wyrywa zęby bez bólu, co mu przysparzało klienteli. W r. 1753 nie miał wszakże szczęścia w Wenecyi; zakochał się w donnie, której poszukiwała policya z powodu jakiegoś przestępstwa, a nie chcąc narazić bogdanki na niezawodny areszt, także wyjechał z nią pokryjomu, zostawiwszy w Mestre służbę i powozy. Prześcignął go jeszcze inny kolega, który zjechał w kilka lat później do Wenecyi i utrzymywał na Giudece dwanaście koni i kilku stangretów. Budę swoją otworzył także na placu św. Marka i ogłaszał, że ma balsam przedłużający życie, tudzież inne środki, uzdrawiające nawet ciężko chorych. Tłumy oblegały zawsze jego estradę i znosiły mu pieniądze. Urzędowi sanitarnemu nie podobały się wszakże te leki, zwłaszcza, że »Cosmopolita«, bo tak szarlatana nazywano, i w swojem mieszkaniu przyjmował pacyentów. Opuścił więc Wenecyę, wyleczywszy Dominikanina Don Antonia Sardelli z choroby, którą weneccy lekarze uważali za nieuleczalną. Mówiono o tej kuracyi jako o prawdziwym cudzie, ale biedny Dominikanin nie długo korzystał z przywróconego mu zdrowia, gdyż umarł w czternaście dni po zniknięciu Kosmopolity z Wenecyi.

Karnawał stawał się pewnego rodzaju moratoryum, odroczeniem do postu wszelkich praw małżeńskich, a poniekąd i praw obyczajności. Pod maską wszystko było wolno z wyjątkiem gwałtów lub morderstw. Na placu św. Marka przez cały dzień aż do późnej nocy pełno było ludzi. W tej ciżbie krzyczącej, piskliwej, wydobywającej z pod maski najdziwaczniejsze głosy, jedynem dobrem małżeństwem był Arlekin z Colombiną. Arlekin, jako przywiązany ojciec, piastował najmłodszą swoją latorośl, pudla zawiniętego w pieluchy, którego zdradzał tylko ogon, wystający z pod poduszki; Colombina dbała o wychowanie potomka, żywiła go niekiedy mlekiem z flaszeczki. Inna znowu czuła matka, także z pieskiem, ale w żałobie, biegała zrozpaczona dopytując się, czy nie widziano takiego a takiego mężczyzny, niewiernego kochanka, który obdarzywszy ją tą dzieciną, uciekł bezpowrotnie, pozostawiając ją w nędzy.

Różnorodnych przebrań było bez liku: włościanie z Terra Ferma, Chioggioci, Zucchine, kobiety z Giudeki, mające swój

strój osobny, sior Tonin Bonagrazia, szlachcic z Torcello z rodziną, dumny i raczący zaledwie spoglądać na tłumy; włościanie z nad Brenty, Bergamaski, mówiący jakimś dziwnym akcentem, wzbudzającym śmiech powszechny, karykatury Turków, Anglików, Niemców, Francuzów, a przedewszystkiem Hiszpanów. Każda z tych osobistości uważała sobie za honor, aby jak najlepiej oddać charakterystyczne, komiczne cechy typu, który przedstawiała. Muranesi tylko nie pozwalali ze siebie stroić żartów i nikt nie poważył się ich naśladować, obawiając się pchnięcia sztyletem. Natomiast Neapolitańczyków z Pulcinellą nigdy nie brakowało; nadawali się oni wybornie do karnawałowej zabawy: blagiery i łgarze.

Czasami ukazywały się bardzo zajmujące grupy; raz widziano szatana z siedmiu grzechami śmiertelnymi, które uosabiali: skąpiec, wieśniak, kurtyzana, adwokat, lekarz, żołnierz i aptekarz. U tłumów najwięcej pociechy wzbudzała »kocia muzyka«, grupa mężczyzn i kobiet, noszących młode kocięta w koszykach albo zawinięte w pieluchach, albo też koty przebrane za Turków, Hiszpanów i za dzikie zwierzęta. Za pociśnięciem ogona wydawały biedne myszołowy niemożliwe wrzaski, a chór koci nie miał sobie równego.

W niedzielę i święta nie było masek na placu św. Marka, dopóki trwały nabożeństwa, »ad onore di Dio e della cattolica religione«; ale też po nieszporach zaczynała się zabawa z podwójną ochotą, wszędzie słychać było śpiew i muzykę. Na Piazzecie ustawiały się pary do tańca i bawiono się zwykle do rana. Gdy jednak wino i miłość rozgrzały głowy i serca, błysnął nieraz puginał ukryty pod płaszczem, a zabawa kończyła się tragedyą. Niejednokrotnie też Rada X kazała zapalać lampy w ciemnych uliczkach i wysyłała patrole, które krążyły po mieście. Najniebezpieczniejszy był tłusty czwartek, gdyż wtedy pospólstwo chciało wychylać kielich uciechy aż po brzegi. Rząd też pozwalał w jedyny ten dzień karnawału nosić białą broń dla własnej obrony. Jakiś cudzoziemiec nie wiedział o tem pozwoleniu i wracał bezbronny późno do domu. Dwóch rzezimieszków zatrzymało go, pytając z karnawałowym humorem, dlaczego w płaszcz się zawinął; a gdy straniero odpowiedział, że mu zimno, jeden z wło-

częgów utrzymywał, że św. Marcin pomimo chłodu podzielił się swym płaszczem z ubogim; ponieważ zaś jest ich dwóch nędzarzy, więc w myśl dobroczynności sławnego świętego cały płaszcz do nich należy.

Karnawał kończył się szczuciem byków »caccia dei tori«, które się jednak różniło od podobnych krwawych walk hiszpańskich. Ofiarami dzikiej zabawy w Wenecyi były młode byczki albo jałówki, na które puszczano rozjuszone psy. Urządzaniem tych »polowań« zajmowali się zwykle rzeźnicy; stawiali trybuny na placu św. Marka, a gdy biedne zwierzę, zmęczone, pokaleczone, padło na arenie, bohaterowie z jatek ucinali mu głowę wobec publiczności i następnie nieśli zabite zwierzę pod okna swych bogdanek, urządzając miłosne serenady.

Wenecyanki tak przywykły do tej zabawy, wzruszającej nerwy, że w ostatnią niedzielę karnawału odbywała się »caccia de'bovi«, na podwórzu w »Palazzo ducale«, jako hołd dla panien z rodziny doży. Polowanie to zwano »la caccia delle damigelle della dogaressa«. Doża w otoczeniu pań i najwyższych dygnitarzy przypatrywał się przedstawieniu z krużganków pałacu, dla publiczności urządzano estrady drewniane na dole. Po »caccii« dogaressa rozmawiała z gośćmi, »teneva circolo«, jak się wyrażano.

W roku 1796 urządzono »caccie« na »campo S. Stefano«; zaledwie jednak rozpoczęło się przedstawienie, zawaliły się trybuny słabo zbudowane i kilkaset osób zostało zabitych albo ciężko rannych. Wtedy rząd zakazał podobnych zabaw.

Na zakończenie karnawału, w tłusty czwartek, palono ognie sztuczne na Piazzecie, które jednak nie sprawiały pożądanego wrażenia, bo musiały się kończyć o zmroku, z dzwonieniem na »Anioł Pański«. Ludowe zamknięcie karnawału odbywało się wszakże dopiero w połowie wielkiego postu. W każdej dzielnicy, na najszerszym placu ustawiano wtedy dużą lalkę, podobną z twarzy i z ubrania do najznakomitszej patrycyuszki tam zamieszkałej. Wieczorem wobec zgromadzonego ludu, przepiłowano lalkę na dwie połowy i ku wielkiej uciesze nie tylko dzieci, ale i starszych, wysy-

pywały się z niej cukierki, ciastka i owoce, o które toczyła się walka do późnej nocy.

Skutki karnawału trwały jednak przez cały rok, a mianowicie romanse wówczas zawiązane. Niestała jednak i płocha, młoda Wenecya wzdychała już w jesieni do nowego karnawału i do nowych miłosnych stosunków.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

CARLO GOLDONI.

I.

Człowiek dziwnie sympatyczny; nibyto awanturnik, ale zupełnie odmienny od innych ludzi niestałego zajęcia, żyjących z dnia na dzień. Jeżeli w biedzie musiał pożyczyć pieniędzy, to się dopóty trapił, dopóki ich nie oddał, a gdy było potrzeba, pracował dzień i noc, bez wytchnienia. W najcięższych chwilach nie tracił dobrego humoru i zawsze, w rozpaczliwem nawet położeniu, spostrzegł coś, co go do śmiechu pobudzało. Pogodny umysł, nie umiał się gniewać na swoich nieprzyjaciół, ale żartował z nich; w ludzkiej przewrotności widział tylko temat do komedyi. Jowialność igrała na jego twarzy, o przyszłość nie bardzo się troszczył. Było w nim coś z typowego Pantaleona, przedstawiciela weneckiego mieszczaństwa, z komedyi dell'arte. Spryt i dobroduszność zarazem. Z najrozmaitszymi ludźmi potrafił w zgodzie żyć, gdyż wcześnie poznał ich słabe strony i uważnie się do nich zbliżał, nie tykając tego, co boli. Nazwał się sam uczciwym awanturnikiem »Avventuriere onorato« i mawiał, że gdyby sam o sobie mógł napisać komedyę, to sztuka wypadłaby bardzo zajmująco, byłaby pouczającą i śmieszną zarazem, pełną dziwnych zdarzeń nie do uwierzenia.

Ten szczególny człowiek urodził się w Wenecyi w r. 1707 i miał ojca, do którego z usposobienia bardzo był podo-



Carlo Goldoni.

Według portretu Aleksandra Longhiego.

Do str. 91.

Fot. Naya.

bnym. Ów rodzic, Giulio Goldoni, mieszkając w Wenecyi, pożegnał się raz czule z żoną, pojechał na kilka miesięcy do Rzymu, aby odwiedzić przyjaciela i został tam cztery lata. Przez ten czas bawił się dobrze, ale zarazem oddał się studyom medycyny i został lekarzem, a zapoznawszy się z Baglionimi i Antinorimi, z rodzinami, które tworzą właściwą historyę Perugii, zyskał ich zaufanie i osiadł w ziemi świętego Franciszka.

Sprowadził tam syna, Carla. Podróż dla młodego chłopaka nie była łatwa; zabrał go ze sobą Benedyktyn Rinalducci, jadący do Rzymu. Najprzód płynęli dwaj towarzysze, stary i młody, barką, tak zwaną peotą, do Rimini, ale stamtąd trzeba było przez góry umbryjskie jechać konno. Mały Wenecyanin jednak nigdy na koniu nie siedział; przywiązano go więc do siodła, a poganiacze drwili z mieszczucha. Benedyktyn także się śmiał, ale malec wtórował wielebnemu Ojcu w dobrym humorze i ani się skrzywił, pomimo że jazda trwała aż sześć dni. W Perugii wyprostował się Carlo; jednak wkrótce musiał znowu siedzieć, już nie na koniu, ale na ławkach u Jezuitów, w »wyższej gramatyce«. Uczył się dobrze i tak był pojętny, że Jezuici namawiali go, aby został w ich zakonie. Ale to się młodemu Goldoniemu nie podobało, zakosztował już teatru. W pałacu Antinorich grano komedyę, a ponieważ w państwie papieskiem nie wolno było występować kobietom na scenie, więc Carlo, jako gołowąsy młodzieniaszek, grał kobiecą rolę.

Protektor jednak Giulia Goldoniego, Antinori, wkrótce umarł; lekarz miał mało zajęcia w Perugii, postanowił więc przenieść się bliżej ojczystej Wenecyi i osiedlić się w Chioggii. Po drodze jednak zostawił syna w Rimini, gdzie Dominikanie słynęli ze studyum »logiki«. Chłopak strasznie się nudził na lekcyach filozofii świętego Tomasza, ale na szczęście przyjechało do Rimini towarzystwo komików z Wenecyi. Chodził więc do teatru i zapoznał się z aktorami i aktorkami, bo w Rimini wolno już było występować kobietom na scenie. Aktorki ucieszyły się, widząc pomiędzy sobą młodego Wenecyanina; zawiązała się wielka przyjaźń i z dyrektorem i z całem towarzystwem, która się na tem skończyła, że Carlo

postanowił sprzeniewierzyć się Dominikanom i świętemu Tomaszowi z Akwinu i gdy po skończonej »stagione« wracali Wenecyanie do ojczyzny, wsiadł Carlo cichaczem do ich barki i zawołał: »Addio Rimini«, pozostawiwszy u Dominikanów swoje studenckie mienie.

W barce było gwarno i wesoło; mieściło się tam dwunastu aktorów i aktorek, sufler, maszynista, szatny, ośmiu służących, cztery pokojowe, dwie mamki, dzieci różnego wieku, psy, koty, małpy, papugi, gołębie i jedno jagnię. Kobiety miały swoje »kompartimenty«, przedzielone firankami, zrobionemi ze starych żagli, mężczyźni mieścili się, jak mogli. Salę jadalną urządzono na pokładzie pomiędzy kuframi i koszami, z których wyglądały zielone kalafiory. Kucharz okrętowy piastował także urząd jeneralnego intendanta podróży. Zaledwie okręt ruszył z miejsca, zadzwoniono na śniadanie; całe towarzystwo zasiadło około owalnego stołu, na którym zastawiono kawę, mleko, herbatę, pieczyste, wodę i wino. Primadonna była jednak, jak zwykle gwiazdy teatralne, zanadto wymagająca; zażądała »un poco di brodo«, »trochę rosołu«. Na nieszczęście »brodo« nie było; wpadła więc w straszny gniew, ciskała łyżkami i widelcami i z wielką trudnością zdołano ją uspokoić dużą porcyą czekolady.

Przez cały dzień zabawiano się w karty, a że morskie powietrze pobudza apetyt, więc z niecierpliwością oczekiwano obiadu. Kucharz wiedział, z jakimi żołądkami miał do czynienia, więc przysposobił trzy ogromne półmiski makaronu, wołowinę »alla moda«, kurczęta na zimno, olbrzymią pieczeń cielęcą i, co najbardziej Goldoniemu smakowało, wyborne owoce i przedziwne wino. Cztery godziny siedziało towarzystwo przy stole, bawiąc się i dowcipkując, ale nikt nie przewidywał, jaka po tej wesołości nastąpi tragedya.

Kot primadonny wydostał się z klatki, właścicielka zaczęła za nim biegać, prosić, aby go schwytano; powstało zamieszanie, aktorzy i służba skakała po pakach i koszach, przestraszony kot nie wiedział, gdzie się schronić, wydrapał się na maszt, a gdy jeden z marynarzy i tam chciał go schwytać, z rozpaczy rzucił się w morze. Katastrofa! Pani Clarice, bo tak się nazywała aktorka, zaledwie że nie skoczyła za zwie-

rzęciem w głębie, z rozpaczy płakała, krzyczała, a ponieważ winę wypuszczenia kota przypisywała służącej, więc cały swój gniew wywarła na utrapioną kamerierę. Szczęściem nadszedł dyrektor trupy, zaczął uspokajać Claricę, żartować, głaskać ją, słowem, umiejętnością obchodzenia się z aktorkami wkrótce dokonał tego, że sama śmiać się zaczęła z tej awantury.

Ten dyrektor dyplomata, zwany Florindo dai Maccharoni, gdyż jako Arlekin umiał swym sposobem jedzenia makaronu rozbawiać publiczność, zaprowadził Carla w Chioggii do rodziców, aby odwrócić od niego pierwsze gniewy z powodu, że uciekł od »filozofii« z aktorami. Ale Giulio Goldoni był wyrozumiałym dla syna, bo sam nie lubił filozofii, a gdy usłyszał, że primadonną w aktorskiej trupie jest Clarisa, zaraz się udobruchał. »Jak to? — zapytał — Clarisa, ta »prima amorosa«, brzydka ale pełna humoru? Znam ją, znam; pójdę jej podziękować, że mi przywiozła syna«.

I w ten sposób zapomniała cała rodzina Goldonich o Rimini i o dominikańskiej logice. Szukano zaraz dla Carla nowego zajęcia. Na razie chodził z ojcem do chorych, uczył się, jak się bada puls i różne inne oznaki ludzkich dolegliwości; ale to zajęcie było mu wstrętne, nie chciał zostać lekarzem. Z kłopotu wybawił go daleki krewny, senator markiz Goldoni z Medyolanu, gubernator Pawii, gdyż otrzymał dla niego funduszowe miejsce w Kollegium Ghislieri w Pawii, zależne bezpośrednio od stolicy Apostolskiej. Siedmnastoletniemu wówczas Goldoniemu wystrzyżono tonzurę, ale natomiast ubrano go z wielkim zbytkiem w rodzaj czamary z angielskiego sukna, w płaszczyk, zwany »sopraną«, tudzież w hafty i koronki, bo zakład był bardzo arystokratyczny i kształcono tam młodzieńców ze znakomitych rodzin. Na lewem ramieniu nosił nasz Wenecyanin aksamitną dewizę Kollegium z herbami Ghislierów, wyhaftowanymi złotem i srebrem, ozdobionymi papieską tyarą i kluczami św. Piotra.

Ubiór był bardzo młodzieńcom do twarzy, żywiono ich dobrze, a mieli wolności aż za nadto. Wprawdzie pozwolono im wychodzić na ulicę tylko we dwóch, ale na rogu zakładu rozdzielali się i każdy szedł szukać własnych przygód; wie-

czorem schodzili się na tem samem miejscu i stosownie do regulaminu wracali do Kollegium parą. Zresztą odźwierny bardzo był wyrozumiały za małą zapłatę. W zakładzie uczono tańców, szermierki i muzyki; gry hazardowne były wprawdzie zabronione, ale Goldoni zapewnia, że tam dopiero nauczył się l'hombra. Młodzież z kollegium miała wielkie powodzenie pomiędzy miejskiemi paniami, a Carlo należał do ich ulubieńców, bo pisał zręczne sonety i był Wenecyaninem.

Po skończonym roku udał się do rodziców na wakacye. W Modenie, gdzie ojciec Goldoni miał własną kamienicę, zatrzymał się dni kilka, a ten krótki pobyt w mieście wystarczył, aby się w nim zakochała Tognetta, niezbyt młoda i ładna służąca znajomych, u których mieszkał. Gdy miał odjeżdżać, dziewczyna bez »żadnych preliminaryów«, rzuciła mu się na szyję, rezolutnie oświadczając, że z nim pojedzie do Chioggii, a jeżeli Carlo jej z sobą nie weźmie, to rzuci się z okna na ulicę. Na szczęście akademika skończyło się na rzewnym płaczu.

Trzeci rok pobytu w pawijskim kollegium przyniósł jednak młodemu Goldoniemu gorsze fatalności, aniżeli przygoda z Tognettą. Rodziny patrycyuszowskie Pawii, u których bywali akademicy, obraziły się na nich z jakiegoś niewiadomego nam powodu i postanowiły nie przyjmować u siebie owych młodych przestępców. Pomiędzy młodzieżą wielkie oburzenie; koledzy namówili Carla, aby się zemścił za całą szkołę i ułożył satyrę na pawijskie panie. Goldoni się zrazu wzdragał, ale nareszcie dał się namówić i napisał »atellanę«, rodzaj ludowej komedyi, znanej u Rzymian, i dał jej tytuł: »Il colosso«. Treść była następująca: Jakiś artysta zamierzał wyrzeźbić olbrzymi posąg osobliwszej piękności. W tym celu chciał wymodelować usta, nos, ręce i inne części ciała według wzorów pań i panien z Pawii, wymienionych po nazwisku. Wybór jednak nie był łatwy, więc rzeźbiarz zwołał swoich towarzyszy w sztuce, aby uradzili, u której z tych piękności modeli zapożyczyć. Ta artystyczna rozprawa dała powód do bardzo złośliwych uwag o towarzystwie pawijskiem, a »atellana«, odpisana w kilku egzemplarzach i rozdana pomiędzy publiczność, niesłychanej narobiła wrzawy w małej

mieścinie. Oburzone panie żądały, aby skazać na śmierć autora paszkwilu, nawet go już uwięziono, ale senator Goldoni i arcybiskup, protektor kollegium, nie chcieli posuwać rzeczy do ostateczności; wydalili go tylko z zakładu »propter satiricam poesim« i pozwolili Goldoniemu cichaczem udać się do Chioggii.

Carlo obawiał się, że tym razem nie tak łatwą będzie sprawa z ojcem, jak po ucieczce z Rimini; ale szczęście sprzyjało młodzieńcowi. Do barki, którą płynął ku morzu, wsiadł w Piacenzy jakiś Dominikanin z Palermo, któremu pawijski student odrazu bardzo się spodobał. Carlo zwierzył się duchownemu ze swoich kłopotów, Dominikanin obiecał mu być pośrednikiem u doktora Goldoniego i jak tylko obydwaj podróżni przybyli do Chioggii, wszystko się w spokoju załatwiło; matka uściskała powracającego Carla, a Dominikanin ułagodził ojca historyą o marnotrawnym synu.

Ponieważ Carlo uczył się w Kollegium pawijskiem cokolwiek prawa, więc w łatwej do wszelkich postanowień rodzinie Goldonich powstała myśl, aby syna kształcić na adwokata. Składało się zresztą wybornie, bo doktor Giulio musiał jechać do Friulu, gdzie zamierzał praktykować przez jakiś czas; że zaś w Udine był sławny adwokat, signor Morelli, więc u niego miał się Carlo nauczyć tego, o czem w Pawii nie słyszał. I rzeczywiście młodzieniec skorzystał więcej w Udine przez kilka miesięcy, aniżeli przez trzy lata w Pawii, pomimo że w tym krótkim czasie napisał trzydzieści sześć sonetów i prowadził przelotne romanse. Te sonety były bardzo charakterystyczne. W Wielkim Poście miewał ojciec Cataneo, Augustyanin, piękne kazania. Carlo uczęszczał na nie, a wróciwszy do domu ujmował swe wrażenia z usłyszanych pobożnych nauk w sonet. Rzecz się w Udine podobała, a literaccy znawcy mówili: »Bravo Goldoni!«

Przyjaźń jednak z ładną córką kawiarza naraziła autora sonetów na takie niebezpieczeńslwo, że obawiając się sztyletu, musiał czem prędzej z miasta uciekać. Szczęście mu znowu sprzyjało. Hr. Lantieri zawezwał doktora Giulia do austryackiej Karyntyi; Carlo udał się więc do ojca, a przykre

wspomnienie z Udine przetopił później w wesołą komedyę »Pasquali«.

Hrabia Lantieri miał swoją siedzibę w miasteczku Wippach i należał do najzamożniejszych magnatów w Karyntyi. Obydwaj Goldoniowie przepędzili w jego zamku cztery miesiące, a Carlo wyniósł stamtąd jak najprzyjemniejsze wspomnienie. Przyzwyczajonemu do makaronu i do risotta niesłychanie smakowała pałacowa kuchnia: zające, bażanty, kuropatwy i bekasy. Zamiast włoskiej minestry podawano przy każdym obiedzie aż trzy rodzaje zup, pierwszą na początek obiadu, drugą jarzynową po pierwszem mięsnem daniu, trzecią, kleik jęczmienny, po pieczystem. Mówiono, że taki sposób jedzenia bardzo ułatwia trawienie. A wino było tak dobre, że Goldoni nie zapomniał o niem po sześćdziesięciu latach, gdy pisał swoje pamiętniki. Jeden osobliwie gatunek nektaru, który znacząco nazywano »Fafigliuoli«, wyróżniał się od wszystkich innych napoi i dawał zawsze powód do dowcipnych uwag.

Co młodzieńca wszakże bardzo nudziło, to ciągłe toasty. W dzień imienin cesarskich postawiono przed każdym z gości olbrzymi kielich szklanny, machinę na jedną stopę wysoką, zwaną glo-glo, składającą się z samych balonów szklannych, połączonych rurkami pomiędzy sobą, a zmniejszających się od dołu do góry. Ów dziwaczny kielich kończył się otworem wygodnym do picia, a gdy wino przezeń przepływało, wydawał dziwaczne głosy. Wszyscy goście, jak na komendę, musieli równocześnie przyłożyć do ust ową machinę, a gdy pili sporą porcyę wina w niej zawartą, powstawała najzabawniejsza pijacka muzyka.

Chcąc odpocząć po bankietach w gościnnym zamku i zwiedzić trochę obcego kraju, puścił się młody Goldoni w podróż, dotarł do Grazu, a spotkawszy się po powrocie z ojcem, który już wyleczył hrabiego, dążył do Chioggii. Po drodze wszakże jeszcze niespodzianka. W pobliżu Udine rzeka Tagliamento wezbrała; stary Giulio radził powódź przeczekać w mieście, syn pod różnymi pozorami odradzał, aby tam nie jechać. Nareszcie doktorowi były trochę podejrzane te obawy, nalegał na Carla, aby prawdę powiedział, dlaczego

wzbrania się wstąpić do Udine. Młodzieniec wyspowiadał się szczerze ze wszystkiego i opowiedziawszy ową historyę z kawiarką, nadmienił o grożącym mu puginale. Doświadczony rodzic rzecz zrozumiał, a ponieważ i woda na Tagliamencie opadła, więc towarzysze ruszyli dalej ku Wenecyi.

II.

W Chioggii zastał doktór Giulio list od swego krewnego, signora Zavarisi z Modeny, donoszący mu, że tamtejszy książę wznowił dawny edykt, który zakazywał właścicielom realności w Modeńskiem mieszkać bez pozwolenia poza terytoryum księstwa i że takie pozwolenie drogo trzeba opłacać. Ponieważ zaś rodzina Goldonich pochodziła z Modeny, a Giulio, jakeśmy wspomnieli, posiadał tam kamienicę, więc trzeba było w jakiś sposób zastosować się do książęcego rozkazu.

Modena szczyciła się podobnym uniwersytetem, jak Pawia; postanowiono więc, aby Carlo udał się tam na dokończenie nauk prawniczych, starał się otrzymać doktorską lauree i patent adwokacki. Stałby się więc znowu mieszkańcem Modeny, jak jego antenaci, i da Bóg, pojąłby tam żonę i osiedlił się ku zadowoleniu księcia.

Barką, tak zwaną kuryerską, chociaż się jej bynajmniej nie śpieszyło, wybrał się Carlo do Modeny. Właścicielem barki był stary, chudy mężczyzna o surowym wyrazie twarzy, nazwiskiem Bastia. Podróżnych znalazło się czternastu, a zakupna, które Bastia porobił, kazały się spodziewać, że osada okrętowa z głodu nie zginie. Gospodarz był bardzo religijnym człowiekiem i jak tylko nadszedł wieczór i dwie lampy zaświecono na pokładzie, kazał się rozdzielić podróżnym na dwie grupy, a sam stanął po środku, wziął różaniec do ręki i głośno zaczął odmawiać litanię do Matki Boskiej i różaniec. Jedna połowa towarzystwa miała wtórować mu, wymawiając z nabożeństwem »Pater«, a druga »Ave«. Większość towarzystwa zastosowała się do tego rozporządzenia; trzech jednak mężczyzn oddzieliło się od innych, a nie zdjąw-

szy kapeluszy, śmiali się z pobożnych i dowcipkowali. Bastia poprosił ich, aby przynajmniej zachowywali się przyzwoicie, jeżeli nie chcą brać udziału w nabożeństwie; ale owi »heretycy« nie zważali na jego przestrogi. Ktoś jednak zwrócił uwagę gospodarza, że to Żydzi; wtedy Bastia zgromił ich, że przed chwilą widział, jak jedli szynkę wbrew swym religijnym przepisom, pogardza zaś ludźmi, którzy żadnej nie mają wiary. Żydzi zaczęli się śmiać z powodu tej niespodziewanej reprymendy, inni podróżni także rzecz wzięli na wesoło, a Bastia urażony przestał odmawiać różaniec.

Goldoni przybył do Modeny z końcem października 1725, zaczął uczęszczać na uniwersytet i odbywał praktykę prawniczą w »studyum« słynnego wówczas adwokata Muratorego. W pierwszych już jednak dniach swego pobytu w mieście odniósł bardzo nieprzyjemne wrażenie. Przechodząc ulicą, spostrzegł niezmierny tłum ludzi, otaczających rodzaj małej trybuny, na której stał jakiś człowiek z gołą głową i zawiązanemi rękami. Przybliżywszy się, poznał w nim księdza G. B. V., zaszczytnie znanego w literaturze, słynnego poetę, cenionego w całych Włoszech. Zakonnik z książką w ręku stał obok niego i zadawał mu pytania, na które abate G. B. odpowiadał z godnością i dumą. Publiczność była zadowolona z jego zachowania się i biła mu brawa. Goldoni nie mógł patrzeć na wzruszającą i niegodną scenę, odszedł zgorszony, pełen goryczy. O co obwiniano tego duchownego, którego stawiano pod pręgierz, jako prostego zbrodniarza? Jakaś kobieta oskarżyła go, że przy spowiedzi prowadził z nią nieprzyzwoitą rozmowę, za co według przepisów duchownej sprawiedliwości musiał publicznie, głośno wyznać i odwołać swoją winę, poczem odprowadzono go do więzienia, gdzie go czekała sześcioletnia kara.

Carlo wrócił do domu, a gdy opowiadał o przykrych wrażeniach, jakich doznał, jego gospodarz, członek bractwa świeckiej jurysdykcyi, które prowadziło biednego księdza pod pręgierz, unosił się nad wspaniałością tej ceremonii, nad sprawiedliwem upokorzeniem grzesznika. Takie wtedy obrzydzenie opanowało Goldoniego, taki wstręt do mniemanej ludzkiej sprawiedliwości, że postanowił usunąć się od świata i wstąpić do

Kapucynów. Natychmiast też napisał do ojca, aby mu pozwolił porzucić obrany zawód prawnika i przywdziać habit zakonny.

Lekarz znał wrażliwy umysł syna; odpowiedział więc kandydatowi na zakonnika, że na wszystko przystaje, że zupełnie się zgadza z jego zamiarami, prosi go tylko, aby przed obleczeniem kapucyńskiej sukni przyjechał jeszcze do domu pożegnać się z rodzicami.

Carlo uczynił zadość żądaniu ojca, a gdy wrócił do Chioggii, namówił go rozumny doktór, aby jeszcze pojechał do Wenecyi, dopóki się za nim nie zamkną mury klasztoru. W Wenecyi zaprowadził ojciec syna do teatru, a gdy Carlo zobaczył komedyę i przypomniał sobie towarzystwo aktorskie, z którem tak wesoło płynął z Rimini, nie myślał już więcej o Kapucynach i o modeńskiej tragedyi.

Klasztory go jednak prześladowały. Matka Goldoni, kobieta bardzo pobożna, żyła w przyjaźni z Franciszkankami, a Carlo cieszył się z tych stosunków, bo u zakonnic były ładne wychowanki. Jedna osobliwie, sierota, znajdująca się pod opieką zakonnicy B., szczególnie mu się podobała, a że miała duży majątek, więc i signora Goldoni nie była tej znajomości przeciwną. Carlo chodził więc do parlatoryum, a zakonnica B. starała się już o to, aby wychowanka mogła z nim rozmawiać za kratą. Zresztą w klasztorze, pomiędzy uczennicami był zaprowadzony sposób porozumiewania się poza parlatoryum. Mieszkanie Goldonich znajdowało się naprzeciwko wieży Franciszkanek. W wieży były okna o szkle nieprzejrzystem, przez które wszakże można było spostrzedz pewne znaki, zastępujące dla wtajemniczonych litery alfabetu. W ten sposób można było rozmawiać z zakonnicami i ich pensyonatem.

. Zakonnica B. przyrzekła młodemu Goldoniemu rękę swej wychowanki, a w ten sposób zamiast wrót klasztoru Kapucynów zdawały mu się otwierać bramy szczęścia małżeńskiego. Naraz jednak znaki w oknie wieży zapowiadały coś złowrogiego. Zakonnica B. zmieniła swe zamiary i pierścionek, zaręczający młodą, niedoświadczoną dziewczynkę, włożyła na palec jakiegoś starego przyjaciela, który klasztorowi obiecał duży podarunek za to uprzejme pośrednictwo.

W rodzinie Goldonich nastąpiło wielkie oburzenie na wiarołomność Franciszkanki; ale zakonnica się tłomaczyła, że urządza wszystko na korzyść Carla, stary, schorowany bowiem mąż jej wychowanicy za kilka lat umrze, a Carlo dostanie młodą, bogatą wdówkę.

Wkrótce po tej przygodzie przeniósł się doktór Goldoni, który miał w swych żyłach trochę żywego srebra, wraz z żoną do Bagnacavallo, gdzie otrzymał stałą posadę. Zaledwie jednak tam przybył, ciężko zachorował i umarł na wiosnę roku 1731. Carlo musiał się zająć interesami rodziny, a matka nalegała, aby się doktoryzował i osiadł jako adwokat w Wenecyi. Tak się też stało; Carlo otrzymał w Padwie laureę; przywdział togę, nakrył głowę olbrzymią peruką i otworzył w Wenecyi biuro adwokackie. Mijały jednak dnie i miesiące, ani jeden klient się nie zjawił; młodemu adwokatowi się nudziło, więc napisał tragiczne libretto do muzyki pod tytułem: »Amalasunta«, tudzież ułożył wierszowany Almanach na rok 1732, w którym obok krytyki współczesnych obyczajów znajdowały się łatwe przepowiednie na każdy dzień roku, jak n. p. prognostyk dla jednej z wielkich elegantek weneckich, że z powodu fryzyera nie pójdzie na mszę w dzień Wiejkiejnocy:

In si gran giorno una gentil contessa
Al parruchier sagrifica la messa.

Ponieważ adwokatura nie przynosiła dochodów, więc pani Goldoni zaczęła szukać dla syna posażnej żony. Narzeczona łatwo się znalazła; gdy jednak przyszło do obliczenia posagu, pokazało się, że panna miała wprawdzie prawo do renty, którą Rzeczpospolita przeznaczyła jako posag dla niezamożnych patrycyuszek, ale że pierwej musiałyby umrzeć cztery kandydatki, nimby posąg dostał się narzeczonej Goldoniego. Były wprawdzie w rodzinie narzeczonej cenne brylanty, ale te klejnoty stałyby się własnością przyszłej małżonki Carla dopiero po śmierci matki, która się nie chciała rozłączyć z nimi za życia. O takiem małżeństwie nie mogło być mowy, a nadzieję jedyną lepszej przyszłości pokładał Goldoni w swoim dramacie muzykalnym, w Amalasuncie. Zabrał więc rękopis i pojechał do Medyolanu, aby z dyrekcyą

teatru della Scala zawrzeć umowę co do przedstawienia swego arcydzieła i zrobić fortunę. Miał list polecający do p. Bertoliniego, ministra Rzeczypospolitej weneckiej przy tamtejszym rządzie; ale ten się nie na wiele przydał, zarząd teatru odrzucił »Amalasuntę« jako nie nadającą się do przedstawienia. Biedny autor poszedł do osteryi, poświęcił resztki swego majątku na dobrą kolacyę, spalił na kominku rękopis dzieła, na którem opierał swoje nadzieje, i spokojnie zasnął. Nazajutrz udał się do Bertoliniego, opowiedział mu, że »Amalasunta« nie podobała się artystycznemu areopagowi:

— Zostaw mi ten rękopis — zagadnął minister — radbym go przeczytać.

— Spaliłem go, spaliłem cały mój kapitał, wszystkie moje dobra, jedyne oparcie i jedyną nadzieję.

Bartolini się roześmiał, przyjął Carla w swój dom i powierzył mu funkcye »d'un gentiluomo di camera«. Zadaniem jego było przyjmować znakomitych Wenecyan, przybywających do Medyolanu, i traktować z urzędami medyolańskimi w sprawach Rzeczypospolitej. Goldoni został dyplomatą, a sprawiał się dobrze, bo Bertolini, wyjeżdżając na krótki czas do Wenecyi, kazał mu donosić o wszystkiem, co zajdzie, zwłaszcza że się zanosiło na wojnę z królem Sardynii.

Zanim jednak horyzont zupełnie się zachmurzył, przybył do Medyolanu ciekawy człowiek, szarlatan znany pod nazwą »Anonimo«. Pochodził on z dobrej rodziny w Busseto, w Parmezańskiem i nazywał się Bonafede Vitali. W dwunastym roku życia miał publiczną dysputę z dziedziny filozofii w studyum w Parmie i był przez jakiś czas Jezuitą. Zniechęcony jednak do zakonnego życia, zaciągnął się do wojska, a gdy i ten zawód mu się nie podobał, oddał się studyum medycyny i chirurgii w Parmie. Ukończywszy wydział medyczny, wstąpił znowu do wojska jako lekarz, brał udział w dwóch bitwach, raniony jednak bagnetem pod Turynem, musiał porzucić służbę wojskową. Żądny wiedzy, udał się do Anglii na uniwersytet w Canterbury, gdzie bawił przez trzy lata i podczas morowej zarazy w r. 1710 napisał traktat o tej chorobie, dowodząc, że powodem jej był pasożyt, rozmnaża-

jący się w niewidzialny sposób. Nic więc niema nowego na świecie, teoryę mikrobów ogłosił już Włoch XVIII wieku.

Duch niespokojny, podróżował Bonafede po Francyi, Holandyi, po Niemczech, był w Hamburgu, w Kopenhadze, w Gdańsku, w Petersburgu i dotarł nawet do Sztokholmu. Karol XII bardzo cenił jego wiedzę i posłał go do Laponii, aby zbadał tamtejsze kopalnie. Na dalekiej Północy było mu wszakże za zimno, bo wkrótce spotykamy go w Lizbonie, jako zarządcę hut królewskich. Ale i w Portugalii długo nie pozostał. W r. 1714 bawił w Genewie, gdzie po raz pierwszy przyjął nazwę »Anonimo«, i ogłosił, że gotów jest publicznie dawać odpowiedzi na zapytania z jakiegokolwiek bądź zakresu wiedzy ludzkiej.

Wreszcie osiadł w Rzymie, zaczął praktykować jako lekarz i wsławił się, wyleczywszy piękną Faustynę, córkę malarza Maratty i żonę poety Zappi'ego, którą zranił książę Cesarini, powodowany szatańską zazdrością. Rzym mu się wszakże szybko znudził, więc przeniósł się do Neapolu, gdzie jako znany już lekarz zarobił w krótkim czasie dwadzieścia cztery tysiące dukatów.

Nawet tak wielkie zyski nie przywiązały go do miejsca; z Neapolu wyjechał w r. 1716 do Wenecyi, stamtąd do Medyolanu, Parmy, Rzymu i nie oparł się aż w Palermo, gdzie się wsławił medyczną rozprawą, dowodzącą, że we krwi niema kwasów, i obalającą ówczesne teorye co do składu krwi ludzkiej. Senat uniwersytecki zamianował go lektorem chemii i eksperymentalnej filozofii, co mu jednak nie przeszkodziło uciec do Wenecyi, aby tam objąć dyrekcyę kopalni na wyspie Schio. Serenissima płaciła mu sto dukatów miesięcznie, ale i na tem stanowisku nie wytrwał; duch awanturniczy gnał go do Florencyi, do Genuy, gdzie wyleczył dożę Balbi'ego z ciężkiej choroby, do Turynu, a wreszcie do Medyolanu. Tam napisał słynną broszurę: »Lettera ad un cavalier suo padrone in difesa della professione del saltimbanco« [1]), kilka razy przedrukowaną, w której dowodzi, że tylko medycyna empiryczna, doświadczalna ma rzeczywistą wartość. Był

[1]) Firenze, Nestenus e Moücke, 1733.

zresztą zaciętym przeciwnikiem puszczania krwi. Anonimo doszedł więc do jedynej, dzisiaj uznanej empirycznej zasady w medycynie, ale mimo prawdziwych teoryi nie umiał się jeszcze uwolnić od zakorzenionych przesądów. Radzi n. p., że najlepszem lekarstwem na anginę jest karmazynowy sznurek, którym żmija została uduszoną, albo utrzymuje, że proszek z utłuczonej czaszki człowieka leczy epilepsyę.

Recepty Anonima okazują, jak trudno nawet wyższemu umysłowi uwolnić się od zakorzenionych w społeczeństwie wyobrażeń i przesądów.

Z wiosną r. 1733 znalazł się Anonimo znowu w Medyolanie, tym razem z małem towarzystwem aktorów i zaczął dawać wieczorem przedstawienia na placu, przy blasku świec woskowych, a przytem sprzedawać lekarstwa. Bywalec ten i awanturnik zajął bardzo Goldoniego. Nasz sekretarz weneckiego ministra przyszedł więc raz do Vitalego, prosząc go o poradę na swoje cierpienia. Doktor spostrzegł na pierwszy rzut oka, że mniemanemu pacyentowi nic nie brakuje i że go tylko przywiodła ciekawość. Kazał więc gościowi podać czekoladę i powiedział, że to najlepsze lekarstwo na jego choroby. W ten sposób poznawszy Goldoniego, prosił, czyby Wenecyanin przez swego ministra i swoje znajomości pomiędzy paniami w Medyolanie nie mógł się dlań wystarać o pozwolenie dawania przedstawień w teatrze, zwłaszcza że wówczas nie było w mieście komedyanckiej trupy. Goldoni chętnie się zajął tą sprawą, bo uczony szarlatan jak najlepsze zrobił na nim wrażenie, był człowiekiem o bardzo dobrem towarzyskiem zachowaniu się i przyjemnym w rozmowie. Protekcya Goldoniego nie była bezskuteczną, zarząd teatru pozwolił Anonimowi dawać przedstawienia od wiosny do jesieni. Wywdzięczając się, dał Vitali Goldoniemu jedną lożę do użytku, a że loża mogła pomieścić dziesięć osób, więc nasz sekretarz mógł zapraszać znajomych, ilu tylko zapragnął.

Pomiędzy aktorami trupy Anonima znajdował się bardzo dobry i wykształcony aktor, Gaetano Casali, zwany Silvio, jeden z najznakomitszych aktorów włoskich w połowie XVIII w.; ten namówił Goldoniego, aby napisał jaką »bagatelę« teatralną

dla ich towarzystwa. Carlo nie długo się namyślał, ułożył komiczne intermezzo ze śpiewami, pod tytułem »Gondolier veneziano«. Rzecz się bardzo podobała i była pierwszą komedyą niedoszłego adwokata. Zdarzyło się niebawem, że towarzystwo Anonima grało jakąś tragedyę »Belisario«, sztukę nędzną, bez sensu. Temat się jednak podobał Goldoniemu, który postanowił użyć go do tragedyi.

Goldoni napisał »Belisaria« i przedstawił z wielkiem powodzeniem w Wenecyi, ale już nie u Anonima, bo szarlatan zatrzymywał się na Terra Ferma, w Gorycyi, w Tryeście, a w r. 1743 w Weronie, gdzie go spotkały takie honory, jak Eskulapa w Grecyi. Panowała wtedy jakaś epidemia w mieście; Anonimo bardzo szczęśliwie leczył ją miodem i cypryjskim winem, a przy tej sposobności napisał rozprawę o zarazach, którą w Norymbergii przetłomaczono na język łaciński i umieszczono w jednym z tamtejszych dzienników. Sława Anonima rozeszła się po Niemczech, król pruski ofiarował mu katedrę na uniwersytecie z płacą pięciu tysięcy florenów; ale lekarz, który uratował wielu pacyentów od wczesnej śmierci, zapadłszy na jakąś chorobę, nie mógł siebie samego wyleczyć i umarł w Weronie r. 1745.

Był on jedną z najbardziej zajmujących awanturniczych postaci XVIII w. we Włoszech. Żołnierz, lekarz, chemik, filozof, dyrektor teatru, profesor, geolog, wreszcie dramaturg, bo napisał komedyę »La bella Negromantessa« i tragedyę »Circe«. Markiz Valenti Gonzaga z Mantui, który go dobrze znał, uważał go za jednego z najgenialniejszych ludzi swego czasu, a w dodatku za mowcę, który umiał słuchaczów porywać.

Dyplomatyczna karyera Goldoniego prędko się skończyła. Z powodu wojny sukcesyjnej o Parmę pomiędzy Austryą i Sabaudyą w r. 1733, przeniósł się minister wenecki z Medyolanu do Kremony, a z nim i sekretarz Carlo. Tam się za nadto zaopiekował piękną Wenecyanką, szukającą przygód, przepędził u niej, wciągnięty w grę w karty, noc fatalną, bo minister właśnie go potrzebował z powodu nagłych wojennych wiadomości. Posłańcy nigdzie nie mogli Goldoniego odszukać; z rana miał sekretarz nieprzyjemne wskutek tego zajście z ministrem, a ponieważ swemu przełożonemu ostro

się postawił, musiał porzucić posadę. Nie mając już w Kremonie nic więcej do czynienia, wybrał się do Modeny, gdzie jego matka wówczas mieszkała. Po drodze jednak trafił na słynną bitwę pod Parmą, nie mógł dalej jechać i zwrócił się w bok, ku Brescyi.

Vetturino zabrał jeszcze drugiego podróżnego, jakiegoś młodego księdza, którego teatr bardzo zajmował. Przyjaźń się szybko zawiązała, a że konie szły powoli, więc Goldoni wyjął z kieszeni swego »Belizaryusza« i czytał towarzyszowi. Podczas najbardziej dramatycznej sceny wyskakuje pięciu drabów z pałaszami w ręku z poza drzew, ściąga Goldoniego i księdza z wózka i zaczyna rewizyę. Nasz dramaturg, postradawszy pieniądze, które miał przy sobie, srebrny zegarek i jeszcze jakieś drobiazgi, chwyta w pośpiechu »Belizaryusza« i ucieka, co tylko nogi starczą, aby jeszcze odzieży z niego zbóje nie ściągnęli. Napotyka na robotników w polu; ci dzielą się z głodnym mamałygą i odsyłają do księdza proboszcza. Paroch, człowiek uczony, dowiedziawszy się, kim jest niefortunny podróżny, przywołuje dwóch wikarych i znowu się zaczyna czytanie »Belizaryusza«. Księża zachwyceni, Goldoni zapomina o przygodach, proboszcz odsyła go do Brescyi, gdzie dramaturg znajduje się bez szeląga w kieszeni. Spotyka jednak znajomego, który go ratuje w największej potrzebie, i dąży dalej ku Wenecyi. Szczęśliwy, że uratował swe arcydzieło, czyta je znowu w Weronie, tamtejszemu dyrektorowi teatru, Imlerowi, który jechał ze swojem towarzystwem na zimową »stagione« do Wenecyi.

Zwycięstwo! »Belizaryusz« będzie wystawiony w dzień świętej Katarzyny, w teatrze Grimaniego, który Imler wydzierżawił na kilka miesięcy.

III.

W Wenecyi było w drugiej połowie XVIII w. aż szesnaście teatrów, po większej części noszących imiona świętych, według których nazwane były parafie. Właścicielami ich były zazwyczaj zamożne patrycyuszowskie rodziny, a San Be-

nedetto i San Cassiano należały do najznakomitszych. Nie trzeba sobie jednak wyobrażać, że te teatry były urządzone z wielkim przepychem, odpowiadającym patrycyuszowskim pałacom. Molmenti barwnie je opisuje. Zazwyczaj już na dwie godziny przed rozpoczęciem przedstawienia zapalano tuż koło sceny dwie nędzne lampki, przyczepione do dwóch drewnianych drążków, a to wystarczało, aby oświecić cały teatr, gdyż na sali nie było ani pochodni ani lampionów. Podobnie jak w dzisiejszych wagnerowskich teatrach, ciemności zalegały salę przeznaczoną dla widzów; powodem jednak tego braku świateł była oszczędność właścicieli teatrów, a nie smutna teorya o skupieniu uwagi na grę aktorów. W lożach tylko tu i owdzie świeciła się lampka; muzykanci musieli czytać nuty przy łojowych świeczkach, które wydawały niemożliwe zapachy, co jednak nie przeszkadzało, że najbardziej ubiegano się o ławki najbliższe muzykantów i sceny, a w dnie zajmujących przedstawień posyłano tam już za dnia służących, aby siadali na dobrych miejscach i zatrzymywali je dla swoich panów. Ławki zresztą, ustawione rzędami, jakby w kościele, były niewygodne, twarde, z prostego drzewa. To też na komedyach tylko kobiety z niższych klas siadały w ławkach, panie zaś z »towarzystwa« zajmowały loże. Na operach wszakże, kiedy loże nie mogły pomieścić całej eleganckiej publiczności, schodziły i patrycyuszki do ławek. Ponieważ ciemności zalegały salę, więc wielka swoboda tam panowała, a większa jeszcze w lożach, będących prywatną własnością znakomitych rodzin. Jeden z pisarzy włoskich, Malamani, wielki znawca zwyczajów XVIII w. w Wenecyi, powiada, że loże były świątyniami Wenery, i sądzi, że większa część weneckiego patrycyatu »była poczęta w teatrze«. Swobodę w lożach posuwano do takiej swawoli, że młodzi patrycyusze bawili się, plwając na kapelusze plebejuszów, siedzących na parterze, albo rzucając na nich łupy z pomarańcz.

Pomiędzy rzędami ławek przechadzali się przekupnie z wodą, zaprawioną »mistrą« (anyżówką), z koszykami pomarańcz, kasztanów, ciast, do lóż wchodzili chłopcy z kawiarni, roznosząc czekoladę i lody.

O jakichś stróżach bezpieczeństwa mowy nie było, co



Bilet wejścia do teatru św. Samuela w Wenecyi w karnawale r. 1758.

Museo Correr w Wenecyi.

Do str. 106. Fot. Naya.

najwięcej siedział gdzieniegdzie jaki »zaufany« Serenissimy, nie różniący się ubraniem od innych mężczyzn.

Publiczność zachowywała się bardzo niespokojnie; głośno wypowiedziane dowcipy, uwagi o aktorach pobudzały do śmiechu, cały teatr zdawał się być jednem towarzystwem, które się dobrze zna pomiędzy sobą i uwag sobie nawzajem udziela. Podczas opery wynurzania spostrzeżeń były głośniejsze, czulsze. Śpiewaczki, gdy porywały swym głosem, apostrofowano okrzykami: »Siestu benedetta! Benedetto el pare che t'ha fato! Ah cara! me butto zoso!« »Bądź błogosławiona! Błogosławionym niech będzie ojciec, który cię spłodził! Ah! kochana! upadam do nóg twoich!« Aktorzy pozwalali sobie podczas przedstawień także na najrozmaitsze swobody, dawali znaki do lóż, rozmawiali z suflerem, zażywali tabakę.

To uwielbianie śpiewaczek, baletniczek, sławnych aktorów, wpływało także na ich towarzyskie stosunki; zapraszano ich do prywatnych domów, pomimo że Serenissima stała jeszcze zawsze na dawnem stanowisku kardynała Boromeusza, że aktorzy to ludzie, których nawet nie wolno chować w poświęconej ziemi. Nicola Tiepolo, inkwizytor państwa, przemawiał jeszcze w r. 1778 do aktorów, żeby o tem pamiętali, że są ludźmi, którymi Bóg gardzi, a książęta ich tolerują, aby zadowolnić publiczność, bawiącą się błazeństwami.

Inkwizytor miał o tyle słuszność, że »commedia dell' arte«, która przez kilka wieków stanowiła chlubę włoskiego narodu, upadła w XVIII wieku tak nizko, że tylko nieprzyzwoitymi dowcipami, błazeństwem Arlekina i jego towarzyszy mogła jeszcze pociągać ku sobie publiczność. W Wenecyi głównemi maskami komedyi był Pantalon, kupiec wenecki, doktór, prawnik w Bolonii i dwaj służący: Arlekin i Brighella, a obok nich bawiło publiczność całe grono podrzędnych, ale stałych postaci. Kobiet właściwie było tylko dwie na scenie, kokietka i matka albo ciotka, co także przyczyniało się do tego, że commedia dell'arte skostniała, nie oddawała już życia społeczeństwa, które się w XVIII wieku bardzo zmieniło.

Pierwsze przedstawienie »Belisaria«, 24 listopada 1734, miało więc wielkie znaczenie w rozwoju teatru włoskiego.

Sztukę tę nazwał Goldoni tragikomedyą, miała pięć aktów i napisana była wierszem. »Moimi bohaterami byli ludzie, powiada Goldoni w swoich pamiętnikach, a nie półbogowie, okazywali namiętności takie, jakie się w życiu spotyka, nie odznaczali się jakiemiś wadami lub cnotami, istniejącemi tylko w wyobraźni«. Goldoni postawił więc krok śmiały, bo nawet w tragedyi zstąpił na ziemię, wprowadził ludzi, jakich się widzi i spotyka codziennie. I rzecz szczególna, »Belisario« nadzwyczaj się podobał; dramat tak zainteresował publiczność, że nie przerywano aktorom żadnemi uwagami, zupełna cisza zapanowała w teatrze i dopiero po skończonych aktach zagrzmiały okrzyki radości, w nieskończoność klaskano w dłonie, wymieniano sobie uwagi pomiędzy parterem a lożami, słowem, tryumf autora był niesłychany.

Goldoni poczuł się na siłach, a dyrektor trupy, Imler, prosił go, aby mu pisał dramaty. Carlo szybko jednak spostrzegł, że właściwem jego polem nie jest dramat, ale komedya. Przemienić jednak komedyę dell'arte na komedyę pisaną, którejby się aktorzy na pamięć uczyć musieli, nie było rzeczą łatwą. Po pierwsze, publiczność tak się przyzwyczaiła do stałych typów teatralnych, do ich konceptów i błazeństw, że nie mogła pojąć, iżby ją coś w teatrze bawić zdołało, jeżeli nie widziała przed sobą Pantaleona i Brighelli. Powtóre, aktorzy nie byli wprawni do uczenia się rozmów na pamięć, zresztą uważali sobie za poniżenie powtarzać cudze słowa. W komedyi dell' arte byli oni sami w znacznej części autorami i wobec publiczności stali o wiele wyżej, aniżeli aktorzy powtarzający tylko cudze słowa. Trudności w wprowadzeniu nowej komedyi były wielkie, trzeba było działać powoli. Goldoni nie myślał więc na razie o wykluczeniu ze sceny czterech głównych typów, lecz postanowił wprowadzić obok nich mniej znaczące postaci, wzięte z życia, jak subretki, przyjaciół domu, awanturników i w ten sposób zmusić aktorów do uczenia się ról napisanych. Pierwszorzędni artyści mogli więc swe rozmowy improwizować na scenie i ich honor był uratowany. Mimo to reforma nie była łatwa; aktorzy skarżyli się, że Goldoni poniewiera ich talentem, używali wszelkich możliwych intryg i protekcyi, aby tylko utrzymać się na swem dawnem stano-

wisku; ale Goldoni uzbroił się w cierpliwość i postanowił zwyciężyć wszelkie przeszkody.

Słaba strona komedyi dell'arte na tem polegała, że pary miłosne zajmowały w niej zawsze drugorzędne stanowisko; zręczny Goldoni spostrzegł to i zaczął wysuwać naprzód role kochanków, a przeciwnie Pantaleonom i Brighellom dawać role mniejszej wagi, jak role ojców, właścicieli osteryi, zręcznych służących i t. d. W ten sposób przyzwyczajał publiczność do innych zajmujących typów, branych z życia, a zdolnym młodszym aktorom dawał sposobność odznaczenia się w swych rolach.

Dyrektor Imler tak dobre robił interesa na komedyach Goldoniego, że jadąc na wiosnę r. 1736 do Genuy na stagione, zabrał go ze sobą. Nasz autor zaczynał już być sławnym, sztuki jego grano po mniejszych scenach prawie w całych północnych Włoszech, tryskało bowiem z nich życie i prawda. Zdarzyło się, że w Genui spostrzegł Carlo w oknie naprzeciwko swego balkonu bardzo przystojną pannę, a gdy się jej raz ukłonił, dziewczyna wprawdzie grzecznie się odkłoniła, ale się zaraz cofnęła. Goldoniego zaintrygowało to sąsiedztwo; dowiedział się, że owa panna była córką Agostina Connio, notaryusza, i że jej na imię Maria Nicoletta. Zapoznał się więc przy sposobności z ojcem sąsiadki, zaczął bywać w domu notaryusza; panna nadzwyczaj mu się podobała, oświadczył się o jej rękę, został przyjęty i ślub odbył się niebawem, w r. 1736. Marya Nicoletta stała się wierną towarzyszką życia Goldoniego, jego aniołem opiekuńczym, a co więcej, do tego stopnia umiała przywiązać poetę do siebie, iż Carlo, pomimo że ciągle z komedyantkami miał do czynienia, bardzo mało dawał jej powodów do zazdrości. Raz jedyny, o ile to można wyczytać z jego pamiętników, zanadto mu się podobała jedna z aktorek, ale Marya Nicoletta, wyrozumiała dla artysty, nie wzięła tragicznie tej słabostki.

Zdarzyło się, że zaledwie Goldoni przybył z młodą żoną do Wenecyi, umarł tamtejszy konsul genueński, conte Tuo; rodzina więc Maryi Nicoletty wystarała się u rządu genueńskiego, aby tę posadę otrzymał Goldoni. Rzecz się udała, ale radość nie trwała długo, bo posada konsularna prawie nic nie

przynosiła i utrzymać się z niej nie było można. Nastąpiły wogóle dla Goldoniego bardzo smutne czasy. W r. 1740 wybuchła na nowo wojna w Lombardyi, a książę Modeny, Francesco III, sprzymierzony z Hiszpanią i Francyą, został głównodowodzącym wojska, walczącego z Austryą. Rodzina Goldonich miała, jakeśmy wspomnieli, realność w Modenie i mały kapitał w tamtejszym banku »Luoghi di Monte«. Z powodu wojny bank zawiesił wypłaty i źródło dochodu Goldonich zupełnie wyschło. Co gorsza, młodszy brat Carla, Giovan Carlo, z zawodu wojskowy, nie mogąc otrzymać żadnej posady w szeregach księcia Modeny, przybył do Wenecyi i stał się ciężarem naszego konsula. Do tego wojskowego przypytał się jakiś awanturnik, który nibyto zaciągał oficerów do austryackiej armii i w sposób podstępny, obietnicą posady wojskowej wyłudził od Carla sześć tysięcy lir. Carlo, chcąc pomódz bratu, zapożyczył się, gdzie mógł, dał tę dla niego bardzo dużą kwotę, a awanturnik, otrzymawszy ją, znikł bez śladu.

Carlo musiał więc udać się do Modeny, aby w jakikolwiekbądź sposób wydobyć cokolwiek gotówki. Wybrał się z żoną i trafił na wojenne przygody. Barką w towarzystwie kupców dotarli państwo Goldoniowie do Cattolica; tam pozostawili sługi i rzeczy, a sami pojechali do Pesaro, gdzie była kwatera księcia Modeny. Carlo spodziewał się bowiem, że uzyska od księcia pozwolenie, aby Luoghi di Monte wypłaciły należące mu się pieniądze. Cóż się jednak nie dzieje! Zaledwie przybył do Pesaro, dowiedział się, że austryackie wojsko dotarło do Cattolica i zabrało całe jego ruchome mienie. Poradzono mu, aby się udał do austryackiej kwatery, a jak się głównodowodzący austryackiego wojska dowie, do kogo skonfiskowane rzeczy należą, to mu je rozkaże zwrócić.

Odważny więc Goldoni zabiera jedyny skarb, jaki mu jeszcze pozostał, swoją Maryę Nicolettę, najmuje vetturina i jedzie do Cattoliki, do głównej kwatery Austryaków. Całe Pesaro dziwi się jego odwadze, ale Goldoni ufa w swoją gwiazdę i pociesza się, że do obozu austryackiego tylko dziesięć mil drogi. Państwo Goldoni, lekko ubrani, marzną na wózku, a gdy już przeszło pięć mil ujechali, Marya Nicoletta oświadcza mężowi, że musi na chwilkę wysiąść. Vetturino się

zatrzymuje, za żoną wysiada i Carlo, a tymczasem vetturino, który ciągle się bał Austryaków, korzysta z chwili, zawraca wózek i co koń wyskoczy, ucieka z powrotem do Pesaro. Goldoniowie zostają w polu zmarznięci, nie wiedząc, jak daleko do Cattoliki. Marya Nicoletta w płacz; ale Carlo nie traci humoru, pociesza ją, że oboje młodzi, że mają dobre nogi i że potrafią zajść do obozu. Marya łzy obciera, Carlo zaczyna nucić jakąś wesołą piosenkę, idą do obozu Austryaków.

Uszli kilkaset kroków, aliści rzeczka przed nimi, a most zerwany. Goldoni bierze żonę na barki, woda nie głęboka, przechodzą na drugą stronę. Ale trochę dalej znowu rzeka i znowu niema mostu. Tym razem bez narażenia życia przejść przez wodę nie można; pani Nicolecie na prawdę się na płacz zbiera, ale Carlo rozpatruje się po okolicy i sądzi, że jeżeli pójdą brzegiem ku morzu, to przecież spotkają jaką barkę, która ich przewiezie. Strategia go nie omyliła, po niejakim czasie zobaczyli rybaków, którzy ich przewieźli przez głęboką wodę. Niebawem zaszli do jakiejś małej osteryi, gdzie ich pokrzepiono mlekiem, serem i chlebem, a wiejska dziewczyna ofiarowała się odprowadzić podróżnych do pierwszej pikiety austryackiej.

Sierżant nieprzyjacielski zrazu podejrzliwem okiem zmierzył tych włóczęgów: ale zobaczywszy paszport, opiewający na nazwisko konsula genueńskiego i jego żony, zaprowadził dziwną parę do pułkownika. Pułkownik zobaczywszy paszport trochę się zastanowił i z zaciekawieniem zapytał: »To pan jesteś Goldonim?« — »O tak, niestety«. — »Autor Belisaria« i komedyi »Cortesan Veneziano?« — »Tak jest«. — »A ta pani, to signora Goldoni?« — »Tak, to jedyne dobro, jakie mi pozostało«. — »Powiedziano mi, żeście przyszli piechotą«. — »I to prawda« — odrzekł Goldoni i opisał w żywych barwach całą swą Odysseę, z której się uśmiał pułkownik, a wypytawszy się jeszcze o powody, dla których przybyli do Pesaro, zapewnił rozbitków, że wszystkie rzeczy, które im wojsko zabrało, nie wiedząc do kogo należą, będą im zwrócone. Tymczasem kazał ich odprowadzić do hotelu, przestrzegając, że mają wprawdzie zupełną wolność w miasteczku, ale nie wolno im wracać do Pesaro. Goldoni prosił, aby im

pozwolono udać się do Rimini, gdzie mają znajomych, na co pułkownik przystał, zwłaszcza że tam była główna kwatera wojska austryackiego. Po chwili zjawił się służący z rzeczami; oddano Goldoniemu wszystko, nic nie zginęło, a nazajutrz wyjechało awanturnicze małżeństwo do Rimini.

Głównym dowódcą wojsk austryackich był feldmarszałek książę Lobkowitz, a pierwszą osobistością, którą zobaczył Goldoni, był signor Boscari, dawny przyjaciel Carla, a teraz kapitan austryacki i sekretarz księcia Lobkowitza.

Tak Boscari, jak i książę Lobkowitz, przyjęli autora »Belisaria« bardzo dobrze; gdy jednak Goldoni prosił o pozwolenie jechania do Genuy, odmówiono mu paszportu i powiedziano, że tak długo musi pozostać w Rimini, jak długo tam przebywa główna kwatera. »A cóż tutaj będę robił?« zapytał z niepokojem Goldoni, nie mając środków utrzymania. »Znajdzie się zajęcie«, odpowiedział książę. I znalazło się. Niebawem miano urządzić festyn z powodu zaślubin siostry cesarzowej Maryi Teresy z księciem Karolem Lotaryńskim; książę Lobkowitz polecił napisać naszemu autorowi słowa do kantaty, którą miano odśpiewać na cześć młodej pary. Goldoniego wynagrodzono dobrze, a poeta w swych pamiętnikach zapisuje, »że miał wtedy pieniądze, nic do roboty i był zupełnie szczęśliwym«. Wesołemu i dobrodusznemu człowiekowi niewiele brakowało do szczęścia.

Na początku Wielkiego postu urządzili Austryacy olbrzymi przegląd wojsk, w którym brało udział 40.000 ludzi. Goldoni był zachwycony tym widokiem, a ponieważ po rewii obóz w Romanii został zwinięty, więc mógł wyjechać, gdzie mu się podobało. Udał się najprzód do Florencyi, a potem do Pizy, dążąc z żoną do Genui. Miał w Pizie pozostać trzy dni, a mieszkał tam trzy lata.

Przechodząc koło jakiegoś pałacu, zobaczył ruch niezwykły, mnóstwo karet i powozów, stojących na ulicy. Zapytał zo to za zjazd? — powiedziano, że posiedzenie »Arkadyi«; w Pizie jest bowiem »kolonia«, oddział rzymskiej Arkadyi. Z ciekawości wszedł Goldoni do sali, wysłuchał rozmaitych poetycznych popisów, a przypomniawszy sobie, że w młodości ułożył sonet na podobną uroczystość, prosił, aby i jemu,

przejezdnemu pozwolono swój wiersz zadeklamować. Sonet się bardzo podobał, obudził zaciekawienie, kto jest ów nieznajomy, a gdy się dowiedziano, że to Goldoni, mnóstwo osób się z nim zapoznało. Namówiono go, aby został w Pizie i otworzył tam biuro adwokackie. Adwokatura szła wybornie; ten sam prawnik, który w Wenecyi nie miał klientów, musiał tutaj dzień i noc pracować, honorarya płynęły obficie. »Ale, powiada Goldoni, djabli przynieśli do Pizy kompanię komików«; nasz autor nie mógł się powstrzymać, aby nie chodzić do teatru i nie zacząć znów pisać komedyi. Co gorsza, udał się do niego słynny aktor i dyrektor teatru z Wenecyi, Sacchi, aby mu przysłał jaką komedyę.

Nazwisko Sacchi podziałało na Goldoniego jak wspaniały wschód słońca; Sacchi był najpierwszym aktorem we Włoszech, człowiekiem wykształconym i co do talentu można go było tylko z Talmą porównywać. Prozaiczne zajęcie adwokata zaczęło nudzić komedyopisarza, tem bardziej, że prawie równocześnie z listem Sacchiego doręczono mu dekret na członka rzymskiej »Arkadyi«. Dano mu nazwę Polisseno i inwestyturę na dobra Tegea w Arkadyi. Odtąd więc był właścicielem idealnych posiadłości w Grecyi, w których Turcy siali pszenicę, a on mógł je w sonetach opiewać. Pozyskał sobie tytuł arkadyjskiego poety i podpisywał się Polisseno Tegeio.

Sacchiemu posłał niebawem komedyę »Il servo di due padroni«, ale wenecki aktor nie dawał mu spokoju, żądając jeszcze innej komedyi, gdyż pierwsza niesłychanie się podobała publiczności. Sacchi prosił jednak, aby mu Goldoni przysłał komedyę zaraz, jak najprędzej. W dzień i w nocy, przy śniadaniu i przy obiedzie, miał Goldoni na myśli tylko Sacchiego i w przeciągu trzech dni napisał komedyę »Il figlio di Arlechino perduto e ritrovato«, jednę z najlepszych swoich sztuk scenicznych.

Nazwisko Goldoniego, jako adwokata, tak szybko w Pizie stało się sławnem, że pomimo pracy nad komedyami miał sprawy we wszystkich sądach i klientów z każdego stanu i zawodu: wielkich panów, bogatych mieszczan, kupców, proboszczów, zakonników, dzierżawców, a nawet własnych kolegów,

którzy zawikławszy się w kryminalne procesy, szukali u niego porady. Ale dalszemu rozwojowi świetnej kancelaryi adwokackiej stanął znowu na przeszkodzie teatr. Do Liworna przyjechał znany aktor i przedsiębiorca teatralny Medebac i naturalnie zgłosił się do Goldoniego o jaką nową komedyę. Na nieszczęście signora Medebac była także wyborną aktorką. Jej słodycz w wyrazie twarzy, piękny, wyrazisty głos, jej inteligencya rokowały wielkie powodzenie na scenie i Goldoni osądził, że warto było napisać komedyę, gdzieby zalety jej postaci i jej usposobienia wydały się w całej pełni. Zręczny Medebac, a może jeszcze sprytniejsza jego małżonka spostrzegli, że Goldoniego dałoby się wyzyskać i zrobić na nim majątek. Tak długo więc uśmiechali się do komedyopisarza, tak długo zapraszali go na dobre obiady, aż wreszcie Carlo postanowił porzucić adwokaturę w Pizie i przyjąć stanowisko nadwornego komedyopisarza trupy Medebaka. Do podpisania kontraktu (we wrześniu r. 1746) i to go skłoniło, że Medebac miał wydzierżawić teatr Sant Angelo w Wenecyi, że zatem Carlo będzie się mógł przenieść do ukochanego ojczystego miasta.

Po sześciu miesiącach zwinął Goldoni swe interesa adwokackie w Pizie i wracał do Wenecyi na Florencyę. Tam jeszcze był świadkiem literackiej zabawy, która jest charakterystycznym przykładem, jakiemi dziecińctwami trudniły się ówczesne akademie. Właśnie miała się odbyć zabawa literacka w akademii »degli Apatisti«, zwana »Sibillone«. Otóż ów Sibillon był dziesięcioletnim chłopcem, który przychodził na posiedzenia akademii, siadał na podwyższeniu, a członkowie zgromadzenia, losem wybrani, zadawali mu jakieś pytania. Chłopak, nie rozumiejąc najczęściej, o co chodzi, musiał na zapytanie odpowiedzieć jedno jedyne tylko słowo. Wtedy podnosił się ten lub ów z członków akademii i starał się udowodnić, że odpowiedź Sibillona była zupełnie dobra i rozumna. Na posiedzeniu, na którem był Goldoni, jakiś cudzoziemiec zapytał chłopaka, aby łaskawie odpowiedział: »dlaczego kobiety częściej i łatwiej płaczą, jak mężczyźni?« Sibillon na to pytanie poważnie odrzekł: »Słoma«. Na to podniósł się jeden z akademików, jakiś abate, i w długiej, bardzo

wymownej oracyi dowodził, że odpowiedź »słomą« zupełnie była rozumną, gdyż nerwy u kobiet są delikatności i kruchości słomy. Abate mówił o tym przedmiocie aż trzy kwadranse, czerpiąc swe dowody z botaniki i anatomii, a Goldoni utrzymuje, że nie można było lepiej z tej słomy sens ukręcić.

IV.

Zupełną reformę teatralną, zerwanie z komedyą dell' arte, rozpoczął Goldoni nową komedyą »La vedova scaltra« którą najprzód wystawił w lecie r. 1748 w Modenie, a w karnawale r. 1749 w Wenecyi. Publiczność przyjęła sztukę okrzykami zadowolenia i sam Goldoni utrzymywał, że początek jego reformy był szczęśliwy. Ale opozycya zaraz podniosła głowę. Przedewszystkiem aktorzy z innych teatrów, zagrożeni w swej egzystencyi, zaczęli intrygować i za kilka dni wystawiono w teatrze S. Samuele parodyę sztuki Goldoniego, »La scuola delle vedove«, w której w dowcipny sposób wyśmiano samego autora i jego komedyę. Publiczność, zyskana łatwymi a przytem złośliwymi dowcipami, w nieskończoność dawała oznaki zadowolenia na tem przedstawieniu; zdawało się, że satyra zabije w zawiązku całą reformę. Ale i Goldoni nie złożył broni; całą noc pisał i nazajutrz wydrukował swoją obronę pod tytułem: »Prologo apologetico della Vedova scaltra« i rozrzucił to pismo w trzech tysiącach egzemplarzy po całej Wenecyi. Obrona była tak rozumnie napisana, że rząd wenecki zakazał przedstawień paszkwilu »Scuola delle vedove«, a co więcej, ustanowił cenzurę sztuk teatralnych. Ale i publiczność zrozumiała zalety nowych komedyi Goldoniego, tak, że komedyę »Vedova scaltra« musiano powtarzać przez trzydzieści wieczorów.

Obok Wenecyi powstała przeciw reformie profesorska Bologna. Zaczęto tam mówić i pisać, że rzeczą jest niegodną, niepatryotyczną, niszczyć komedyę dell'arte, rodzaj przedstawień ściśle włoski, który naród stworzył i przez kilka wieków ku wielkiej swej chwale rozwijał. Nadto zarzucono Goldoniemu, że grzeszy przeciw odwiecznym regułom Arystote-

lesa, a mianowicie przeciw jedności miejsca w sztukach teatralnych, a co gorsza, wprowadza język ludowy, że w jego prozie pełno gallicyzmów i rozmaitych trywialności. Ale właśnie ten język był jedną z najcharakterystyczniejszych cech Goldoniego, chciał on bowiem oddać życie włoskie na scenie takiem, jakiem było rzeczywiście. Nienawidził przesady tak w prozie, jak w poezyi, walczył z petrarchizmem i śmieszną nienaturalnością, z seicentizmem, którego mistrzem był cavalier Marino w XVII wieku. Goldoni miał wyższe cele w swoich komedyach: umoralnienie społeczeństwa, ośmieszenie wszystkich tych wad, które zapanowały osobliwie w wyższych klasach ludności. Commedia dell'arte taka, jaką była w XVIII stuleciu, nie miała żadnych celów moralnych, chciała tylko najzwyklejszymi sposobami bawić publiczność. Goldoni przeciwnie, pojmuje już teatr jako instytucyę, która wprawdzie bawi, ale i ośmiesza ludzkie słabości. Całe serye jego komedyi skierowane są przeciw pewnym błędom, które autor uważał za najszkodliwsze w weneckiem społeczeństwie. Zaczął walczyć z cicisbeizmem, ośmieszał go w komedyi »Il cavaliere e la dama o I cicisbei«, przedstawił wszystkie cierpienia, jakie musi znosić ta ofiara niedorzecznej mody, podkopującej życie rodzinne. W innej komedyi »La donna prudente« drwi z mężów, którzy kochają swe żony, ale z obawy śmieszności pozwalają gospodarować w domu cicisbeom. Jeden z tych mężów, Don Roberto, chętnie widzi u siebie kilku cicisbeów naraz, ponieważ się nawzajem neutralizują. Nie mogąc sobie jednak inaczej poradzić w nieznośnem położeniu, wykrada własną żonę i żyje z nią jak najszczęśliwiej na dalekiej prowincyi.

Odmiennym tematem zajmuje się w komedyi »La bottega del cafè«. Charakteryzuje tam próżniaków, którzy najeżdżają Wenecyę, grają w karty, obmawiają kobiety, zdradzają tajemnice rodzinne, a wreszcie się dziwią, że niewdzięczne miasto nie umie się na nich poznać.

Ludzi próżnych, zarozumiałych na swoje świetne pochodzenie, wybornie wyśmiał Goldoni w komedyi »Il raggiratore«, gdzie Don Eraclio utrzymuje, że pochodzi od cesarza Herakliusza, że w starych aktach zdobył niezbite dowody, ja-

koby trzydzieści sześć miast nosiło nazwę Eraclio, i podpisuje się odtąd »Eraclio degli Eraclidi«. Ofiarą tej rodowej dumy pada córka, nie mająca posagu, ojciec nie może bowiem znaleźć dla niej odpowiedniego męża, aby nie ubliżyć pamięci cesarza Herakliusza.

Większa część komedyi Goldoniego ma jakiś cel obyczajowy, niekiedy nawet odnosił autor tryumf, gdy jego komedya stała się widocznem lekarstwem na zastarzałe błędy społeczeństwa. Kilka jego komedyi, a przedewszystkiem sztuka »Caffè« wpłynęła na zamknięcie słynnego »Ridotta«.

Umie on wybornie malować życie weneckie; czytając np. komedyę »La bottega del caffè«, zdaje nam się, że mamy przed sobą obraz Guardi'ego. Oto mały plac, campiello, pośród zaułków miasta; wokoło botega balwierza, podejrzana kawiarnia, pokątne ridotto i dom baletniczki, u której się schodzi towarzystwo tych próżniaczych postaci, wałęsających się zazwyczaj pod galeryami placu św. Marka. A więc Ridolfo, właściciel kawiarni, perukarz, naczelnik zbirów, kupiec Eugenio, neapolitański szlachcic Marzio, postać, którą się często spotyka w komedyach Goldoniego, jakiś Leandro, udający hrabiego, oszust z zawodu, dwie baletniczki, Placida, żona Leandra, przebrana za pielgrzyma, śledząca swego męża, Vittoria, opuszczona żona gracza Eugenia. Wszystkie te postacie, pełne życia, ruszają się, mówią, gestykulują — wyborny obrazek rococo weneckiego ulicznego życia.

Czasami chłoszcze Goldoni niemiłosiernie swoje społeczeństwo. W jednej z dawniejszych komedyi (1746) »Banqueronte« spotyka się Truffaldin z Brighellą. Truffaldin jest służącym Pantaleona i niesie list swego pana do jakiejś śpiewaczki, Brighella zaś służy u hrabiego Silvia. Truffaldin jest tym razem bardzo honorowym człowiekiem i skarży się przed swym towarzyszem, że musi nosić listy miłosne, trudnić się poniżającem zajęciem. Brighella mu radzi, aby został złotnikiem.

— Korzystne zajęcie — odpowiada Truffaldin — ale każdy złotnik kradnie, udając miedź za złoto. Byłaby to rzeczywiście wielka pokusa dla szlachcica.

— A gdybyś został drogistą?

— Nie, przyjacielu, to jeszcze gorzej. Słyszałem, że ci

kupcy, aby zyskać kilka lir na lekarstwach, nie wahają się bynajmniej zabijać chorych, bezcześcić w ten sposób lekarzy i robić tak, jak gdyby byli w zmowie z grabarzami.

— Rzeczywiście, kochany Truffaldine, masz piękne zasady, cieszę się, że przynosisz zaszczyt naszemu miastu.

Brighella jednak sądzi, że przecież znajdzie dla przyjaciela jakie honorowe zajęcie. Namawia go więc, aby został księgarzem. Ale i ten szlachetny na pozór zawód wzbudza w Truffaldinie pewne wątpliwości. Dla większego zysku, powiada, księgarze dają zły papier, brzydkie czcionki, sprzedają za dwadzieścia, co warte sześć.

To samo dzieje się w każdem innem zajęciu. Jeszcze najlepszy zawód pośrednika w stosunkach miłosnych. Nie potrzebuje się bardzo trudzić, a nie czyni więcej szkody, aniżeli inni.

Ponieważ Medebac mało płacił Goldoniemu, więc nasz autor zawarł w r. 1752 na ośm lat (1753—61) kontrakt z teatrem San Luca, którego dyrektor obiecał mu płacić po pięćdziesiąt dukatów miesięcznie. Medebac skarżył się, że Goldoni za mało mu daje nowych komedyi, a nieprzyjaciele autora zaczęli rozsiewać po kawiarniach plotki, że Goldoni już się wyczerpał, że nic dobrego więcej nie napisze. Dotknięty Carlo podsunął pierwszej aktorce trupy Medebaca wiersz, który miała wygłosić na scenie przy pierwszej lepszej sposobności. W wierszu tym obiecuje Goldoni publiczności, że w ciągu roku, do przyszłego karnawału, napisze szesnaście komedyi i dowiedzie, że go jeszcze stać na nowe sztuki. Według zwyczaju zaś, przyjętego na scenach weneckich, każda komedya musiała mieć trzy akty i trwać półtrzeciej godziny.

»Oto straszny dla mnie rok! — pisze Goldoni — signora Medebac zapewniała publiczność, że autor dotrzyma swej obietnicy. Nic to zresztą napisać, ale trzeba było jeszcze uważać, aby przedstawić osobistości na scenie, odpowiadające talentom i usposobieniom aktorów. Sama signora Medebac była wprawdzie doskonałą artystką, ale neurasteniczką, której się co chwilę zdawało, że chora, albo że ma napady hipochondryi«. Goldoni brał się na sposoby, dawał wtedy bardzo

wdzięczne piękne role jakiej podrzędnej aktorce, a pani dyrektorowa pod wpływem zazdrości jakoś zaraz przychodziła do zdrowia. Wtedy autor wynagradzał ją komedyą, w której jej sobowtór wprowadza na scenę. Pani Medebac się spostrzegła, że ją autor odportretował; ale nie chciała się przyznać, że obrażona i wybornie grała.

W ciągu roku przedstawił Goldoni rzeczywiście już piętnaście nowych komedyi, ale w przedostatnią niedzielę końca karnawału brakowało jeszcze jednej, aby dotrzymać terminu. Tematu nie miał już autor żadnego i zrozpaczony przechodził się po placu św. Marka, spoglądając wokoło, czy mu los nie przyniesie jakiego natchnienia. I oto widzi pod arkadą zegarową starego Ormianina, który sprzedawał po ulicach suszone owoce ze Wschodu, zwane »abagigi«. Ten Ormianin staje się zbawieniem autora. Goldoni snuje komedyę około tej znanej figury, zamyka się w pomieszkaniu i pisze popularną sztukę »I Pettegolezzi«.

Komedyę grano w ostatni wtorek karnawału, a publiczność taka była ciekawa tego zwycięstwa Goldoniego, że płacono wysokie ceny za miejsca w teatrze. Sztuka się podobała, a przyjaciele ze łzami w oczach otaczali autora, ciesząc się z jego zwycięstwa, po skończonem zaś przedstawieniu wśród okrzyków porwano go na ręce i zaniesiono do Ridotta, gdzie go pokazywano zgromadzonej publiczności jako tryumfatora.

Ale ten tryumf dużo kosztował; Goldoni miał wówczas lat czterdzieści trzy i już nie mógł sił swych nadużywać. Ciężko zachorował, a niemało go też zmartwiła niewdzięczność dyrektora teatru, który za te komedye, na których zrobił prawie majątek, nie dał autorowi ani grosza więcej nad kontraktem umówioną roczną płacę. Co gorsza, w r. 1752 kończył się kontrakt Goldoniego z Medebakiem i autor zamyślał wydać swoje komedye; aliści dyrektor sprzeciwił się temu, utrzymując, że komedye są dla niego napisane i że autor nie ma prawa niemi rozporządzać. Aby uniknąć procesu, Goldoni wydał komedye w innem państwie, we Florencyi, poczyniwszy w nich niektóre zmiany. Pierwsze egzemplarze książki poświęcił autor czterem znakomitym osobisto-

ściom w Wenecyi i ucieszył się niemało, otrzymawszy od nich podarunki: złoty zegarek, złotą szkatułkę, srebrne puzderko na rękawiczki i cztery pary koronkowych mankietów.

Sława Goldoniego była już tak wielka, że ciągle dostawał listy o dostarczenie komedyi dla rozmaitych towarzystw aktorskich; pomiędzy innemi zaproszono go w r. 1759 do Rzymu, aby przedstawił jaką komedyę w teatrze Tordinona. Przybywszy tam, odniósł nadzwyczaj smutne wrażenie. Najznakomitszy aktor przedstawił mu się, że gra Pulcinellę i że oddawna uważają go jako »la delizia di Roma«, a był tylko neapolitańskim błaznem. Perukarz i handlarz drzewem grali role kobiece, a publiczność była przyzwyczajona do ich błazeństw; to też gdy pierwszy raz zagrano komedyę Goldoniego, powstał taki wrzask niezadowolenia, że musiano aż zawołać Pulcinellę, aby to oburzenie ułagodzić. Szczęśliwszym był Goldoni w innym teatrze, w »Capranica«; ale widząc, że wogóle nie będzie miał stałego zajęcia w papieskiej stolicy, wrócił do Wenecyi. Tam powstała jednak przeciw niemu zawzięta walka; na czele opozycyi stanął Carlo Gozzi, lecz o jego działaniu pomówimy w następnym rozdziele.

Goldoni chciał zwalczyć opozycyę, wystawiając komedye wzięte z życia weneckiego ludu, a mianowicie z życia gondolierów i Chioggiotów, których znał jeszcze z młodych swoich czasów. Była to zdrowa warstwa społeczeństwa, różniąca się od zepsutych klas wyższych, pełna jeszcze siły i dobrych rodzinnych uczuć, zdolna do potężnej miłości i do strasznej wendetty. Lud wenecki stanowił przeważną część teatralnej publiczności. Goldoni mógł liczyć na dobre przyjęcie takich komedyi. I nie zawiódł się. Pierwsza tego rodzaju komedya »La putta onorata« miała ogromne powodzenie. Goldoni podchlebił w niej gondolierom: »My, barkajole — powiada jeden z nich — tworzymy korporacyę, jakiej drugiej niema na świecie. Prawda, że stoimy na usługi publiczności, ale nasze zajęcie jest szlachetne i rąk nie brudzi. Jesteśmy wtajemniczeni w najtajniejsze stosunki rodzin weneckich, a niema przykładu, abyśmy je zdradzili. Ślepo jesteśmy oddani naszej ojczyźnie, każdej chwili przelalibyśmy krew za nią i nie przelęklibyśmy

się całego świata, gdybyśmy słyszeli złe słowo o kochanej Wenecyi«.

Goethe był 10 października 1786 na przedstawieniu innej ludowej sztuki Goldoniego: »Le baruffe chiozziote«, a lubo z powodu dyalektu, w którym była pisana komedya, nie mógł szczegółów zrozumieć, napisał w swym pamiętniku, że »przecież raz widział włoską komedyę«, oddającą lud wiernie w złem i dobrem. To też publiczność okazywała radość, niepodobną do opisania. »Wybuchy śmiechu i okrzyki od początku do końca«.

Sztuk ludowych napisał Goldoni kilkanaście; oprócz komedyi »La putta onorata« największe powodzenie miała komedya »I rusteghi«. W tych komedyach zresztą mógł być najszczerszym, gdyż ludowe postacie wolno mu było przedstawiać, nie oglądając się na nikogo, podczas gdy typy ze świata arystokratycznego musiał z wielką oględnością wprowadzać na scenę, aby nie narazić się Signorii.

V.

Sława Goldoniego przekroczyła ciasne granice Włoch; komedye jego grywano w Niemczech i we Francyi. Rzec można, że zaczynał być więcej cenionym u obcych, aniżeli u swoich, bo w Wenecyi wystąpienie Carla Gozzi'ego bardzo osłabiło jego popularność. Około r. 1760 noszono się w Wiedniu z myślą powołania go na posadę nadwornego dramaturga, który miałby rok rocznie dostarczać pewną ilość komedyi i tekstów do oper, uważano go bowiem za nadzwyczaj płodnego scenicznego pisarza. Projekt ten wszakże nie przyszedł do skutku, a tymczasem powołano go do Paryża, aby zreformował tamtejszy teatr włoski, który widocznie upadał już od dłuższego czasu. Ofiarowano mu 6.000 liwrów rocznie, a że stosunki materyalne Goldoniego wskutek toczącej się przeciw niemu walki stawały się coraz mniej pomyślne, więc przyjął wezwanie do Francyi i wybrał się w kwietniu r. 1762 z żoną i synowcem do Paryża. Jechał pomału, zatrzymał się w Parmie, tak, że dopiero po trzech miesiącach przybył do Genuy,

ojczyzny swej żony. W morskiej podróży do Francyi o mało że nie zginął, bo okręt rozbił się w zatoce Lyońskiej.

W Paryżu wynajął stancyę szczęśliwym przypadkiem w tym samym domu, gdzie mieszkała »madama« Riccoboni, wdowa po słynnym włoskim aktorze, który również zamierzał przeprowadzić reformę teatru. Pani Riccoboni sama występowała dawniej na scenie, a później osiadła w Paryżu, pisząc bardzo modne powieści i romanse. Znając paryskie teatralne stosunki, nadzwyczaj się przydała Goldoniemu, aby go oświecić i wprowadzić w tamtejszy świat aktorski.

Zastał on tam jeszcze tak zacofanych włoskich aktorów, że musiał im pisać zrazu komedye »a soggetto«, gdyż nie byli wprawni w uczeniu się dyalogów na pamięć.

Pierwsza tego rodzaju komedya, którą przedstawił w Paryżu, »L'amore paterno o sia la serva riconoscente« nie podobała się, bo też rzeczywiście była jedną z najsłabszych, jakie napisał. To niepowodzenie nie zraziło wszakże wytrwałego Wenecyanina; zaczął pracować z tym większym zapałem i w przeciągu dwóch lat wzbogacił swój repertuar o dwadzieścia cztery nowe komedye, z których kilka usprawiedliwiło jego dotychczasową sławę. Osobliwie wzbudzała wybuchy śmiechu komedya: »Il matrimonio per concorso«, prawdziwe arcydzieło komicznych zawikłań, które później w tysiączny sposób było naśladowane. Przedstawia on tam włoskiego kupca, który mieszkał kilka lat w Anglii, przeniósł się do Francyi i tam powziął myśl wyszukania dla swej córki Lisetty męża na sposób, używany już w Anglii. Zamieścił w gazetce »Les petites-affiches« ogłoszenie, że ma córkę na wydaniu i że młodzież może się przedstawiać w gospodzie »Pod orłem«, gdzie mieszka. Do tego samego hotelu przybywa jednak inny Włoch także z córką, której na imię Doralice, a pretendenci do ręki Lisetty zgłaszają się do ojca Doralicy, gdyż właściciel hotelu Filippo, kochając się sam w Lisecie, odsyła przybywającą młodzież do Doralicy i rozgłasza, że jest już po ślubie z Lisettą. Wskutek tego mnóstwo powstaje komicznych zawikłań, które prowadzą wreszcie do wesołego rozwiązania komedyi. W sztukę wmieszał Goldoni mnóstwo swych spostrzeżeń o życiu paryskiem, o towarzy-

stwie włoskiem, żyjącem we Francyi, o tamtejszym stosunku mężczyzn do kobiet, o fiakrach i remizach, o poczcie, nawet i wartości monet.

Goldoniego polubiono w Paryżu, nikomu się bowiem nie narzucał, z całym literackim światem żył w zgodzie, a nawet umiał sobie pozyskać Diderota, który go zrazu posądzał o autorstwo wymierzonych przeciw sobie krytyk. Co więcej, nie pogniewał na siebie sierdzącego się na cały świat Jana Jakóba Rousseau'a, a przez posła weneckiego Gradeniga umiał trafić nawet do księcia de Choiseul. Protekcya ta bardzo mu się przydała, bo naszemu komedyopisarzowi polecono uczyć włoskiego języka córki Ludwika XV, Mesdames de France. Lekcye przynosiły obok zaszczytu 4.000 liwrów rocznie, a nadto wyrobiły mu możność przedstawienia swych komedyi na królewskim dworze i otwarły mu nawet scenę »Komedyi Francuskiej«.

Pomimo że Goldoni nie całe lat dziesięć mieszkał w Paryżu, a kiedy miał już lat pięćdziesiąt, przybył do stolicy Francyi, tak sobie przyswoił język francuski, że napisał komedyę po francusku »Le Bourru bienfaisant«, którą ówczesnym zwyczajem czytał najprzód w literackim salonie pani du Deffand. Komedya się nie podobała, a pani du Deffand wyraziła się, że to najnudniejsza, najpospolitsza sztuka, jaką napisano w owych czasach. Publiczność jednak była innego zdania, gdy bowiem wystawiono tę komedyę po raz pierwszy, powodzenie autora było tak wielkie, że go wywoływano wraz z aktorami, aby się ukazał na scenie. Zwyczaj ten nie istniał we Włoszech, więc się Goldoni bardzo zdziwił, gdy musiał stanąć przed publicznością i w pamiętnikach jeszcze zanotował, że nie może pojąć, jak można zmuszać autora, aby się pokazał i mówił niejako: »Oto jestem, proszę mnie obsypać oklaskami«. »Le Bourru bienfaisant« bywał grany przez dłuższy czas na francuskich scenach i stał się podobnie typową postacią, jak Harpagon Moliera. Geront, ów Bourru, jest to stary kawaler, bardzo bogaty wujaszek, który gdera i unosi się, ale mimo to przebacza i synowcowi, że zaciągnął długów bez liku, i jego żonie, że rozrzutna kokietka, i synowicy, że nie chce iść za mąż za starego jegomości, którego

on jej za męża przeznaczył. Gniewa się, ale radby wszystkich uszczęśliwić i zadowolnić. Goldoni umiał w swej komedyi trafić w serce ówczesnej publiczności, kiedy to każda kobieta młoda musiała być zajmującą, każdy mężczyzna czułym, a każdy starzec godnym szacunku, zupełnie według przepisu J. Jakóba Rousseau. W całej komedyi niema ani jednej osobistości złej, zepsutej; wszyscy chorują na małe wady, ale w gruncie rzeczy są to ludzie dobrzy.

Komedya taki pozyskała rozgłos, że ją grano przed całym dworem w Fontainebleau i Goldoni dostał 150 ludwików gratyfikacyi z królewskiej szkatuły. To go zachęciło do napisania drugiej komedyi po francusku »L'avare fastueux«, ale ta nie miała powodzenia; wogóle Goldoni się starzał, a jako człowiek rozsądny wiedział, że trzeba przestać pisać, gdy fantazya zamiera. Zresztą mógł spocząć na laurach, bo napisał przeszło dwieście komedyi i sam nie wiedział dokładnie ich liczby. Na układaniu tekstów do oper komicznych miał jeszcze zapasów w swej pamięci nie mało, więc dostarczył ich teatrom paryskim ze dwanaście, a zresztą pisał pamiętniki, których druga część nużąca, zawiera właściwie tylko za nadto może dokładną analizę jego komedyi; pierwsza jednak i trzecia część, pisane w dobrych chwilach, pełne są humoru i bystrości spostrzegawczej. Ostatnie lata życia, przed rewolucyą, upływały mu spokojnie; odwiedzał przyjaciół, cieszył się, że swemu synowcowi mógł wyrobić dobre utrzymanie, a nie mogąc czasem zasnąć, rozmyślał nad słownikiem weneckiego narzecza, pracą, którą za młodych czasów rozpoczął, ale jej nigdy nie mógł dokończyć. Układanie owego słownika było najlepszem lekarstwem na bezsenność.

Rewolucya przerwała i sen i spokój; odebrano mu płacę, wyznaczoną za królewskich czasów, i dopiero za staraniem Maryi Józefa Chénier kazał mu konwent dekretem z dnia 7 lutego 1793 na nowo ją wypłacać. Goldoni nie doczekał się jednak tej przyjemnej wiadomości, umarł w wigilię uchwały konwentu. Chénier nie spoczął wszakże i wdowie po wielkim komedyopisarzu wyrobił jeszcze pensyę 1.500 franków.

Myśl o ojczyźnie, myśl o Wenecyi, była Goldoniemu zawsze największą rozkoszą; zapomniał krzywdy, której tam

doznał, został mu tylko w wyobraźni rozkoszny obraz laguny i jej ludu. Napisał też w Paryżu czterowiersz, który maluje jego usposobienie:

Da Venezia lontan do mile mia
No passa di che no me vegna in mente
El dolze nome de la patria mia,
El linguazo e i costumi de la gente.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

BRACIA GOZZI.

I.

Około roku 1737 dziwnie wyglądało gospodarstwo Jakóba Gozziego w Vicinale, w pobliżu Pordenone, we Friulu. Gozzi pisał się »conte«, otrzymał po ojcu duże ziemskie posiadłości, ale zamiłowany myśliwy, dbający więcej o psy konie, aniżeli o krowy i woły, zresztą hulaka, jakich mało, zadłużył się, zmarnował większą część majątku i teraz sparaliżowany, nieruchomy siedział w starym fotelu i ze zbolałem sercem patrzył na ruinę rodziny. A ta familia była liczna: czterech synów, pięć córek i kilkoro wnuków, gdyż najstarszy syn, Gasparo, żonaty z poetką, starszą od siebie o lat dziesięć, przyczynił się już także do pomnożenia ilości hrabiów Gozzich. Wobec synowej znikała w domu hrabina matka, pomimo że pochodziła z patrycyuszowskiego rodu Tiepolów, a synowa Luiza z botegi piemonckiego szewca partacza, Bargellego.

Luiza poczuła w sobie wcześnie poetyckie i artystyczne talenty, podobała się hrabiemu Collalto, który chcąc ją wynagrodzić za wzajemność w miłości, postarał się, że Carriera Rosalba przyjęła szewcównę jako uczennicę do swej pracowni malarskiej. Luizie zdawało się jednak, że ma więcej skłonności do pisania wierszy, aniżeli do malarstwa; trafiła więc do słyn-

nego uczonego i krytyka Apostola Zeno, prosząc go, aby był jej literackim przewodnikiem. Z pomocą Zena wyrobiła sobie pewne imię jako poetka i oczekiwała w pracowni Rosalby na równie poetycznego młodzieńca, któryby ją zaprowadził do ołtarza. U Rosalby bowiem bywał często dwudziestoletni Gasparo Gozzi, a Luiza, pomimo że miała wtedy lat trzydzieści i zażywała tabakę, tak go umiała usidlić, że się z nią ożenił w r. 1738, wbrew woli całej swojej rodziny. W początkowych zapałach miłości pisał do niej wiersze, mówił, że to:

Cara, celesta, angelica figura
Per cui spendendo vo'gli anni e l'ingegno,

nazywał ją »giglio amoroso«; ale młodszy jego brat, Carlo, trzeźwiej oceniał położenie i sądził, że Gasparo ożenił się z Luizą »w chwili roztargnienia«, »per distrazione«.

Bądź co bądź Luiza wyrobiła sobie ważne stanowisko w domu Gozzich, uważała się bowiem nie tylko za geniusz poetycki, ale i za głowę finansową rodziny i co chwilę występowała z projektami uporządkowania interesów familii, które wszakże jeszcze bardziej wikłały smutne położenie. Dumną była, że należy do pasterek »Arkadyi«, co miało podnosić jej mniemany urok kobiecy, chętnie też podpisywała się swą arkadyjską nazwą »Irminda Partenide«.

Gasparo wkrótce po ślubie żałował swego »roztargnienia« i uciekał, o ile mógł, od żony do swej stancyi na piąterku, zagrzebywał się w książkach, czytał i namiętnie pisał wiersze. Był to wysoki, chudy młodzieniec, o dużych, czarnych oczach, ukrytych głęboko pod czołem i o długich, niezgrabnych rękach. Miał zresztą niemało powodów do ukrywania się wśród papierów, bo w dolnych pokojach i w całem obejściu dworu panował piekielny hałas. Co chwilę przychodzili kontadini, dzierżawcy gruntów, z rozmaitymi interesami, żydzi upominali się o procenty od pożyczonych pieniędzy, nauczyciele młodszych braci i sióstr, sami abaci, wymieniali czułe uśmiechy z służebnemi dziewczętami, wreszcie Carlo i Francesco, starsi z rodziny, bili się na szpady. Gaspare zostawał nie tylko pod ochroną Partenidy, ale i pod opieką matki, która go najbardziej kochała z dzieci i tak

wyróżniała, że reszta rodzeństwa czuła się upokorzona tą niesprawiedliwością macierzyńskiego serca.

Prawie cała rodzina pisała wiersze; w jednym ze współczesnych zbiorów poezyi znajdują się utwory Giacoma, Franceska, Marina, Girolamy i Gaspara Gozzich. Każda papuga w domu, każdy kot, każde nowo narodzone cielę służyło Gasparowi za pożądany temat do poetycznych uniesień. Najdrobniejsze zdarzenie stawało się powodem układania sonetów. Gdy raz dworska praczka posyłała małego psa swojej przyjaciółce w Padwie, Carlo uwiecznił ten fakt wierszem, który się przechował w jego pamiętnikach. Sam Carlo, wyśmiewający się nieraz z rodziny, nazwał dom ojcowski szpitalem poetów, wszystkie bowiem wiersze, które się tam rodziły, były koszlawe, niewiele warte. Czasem grano teatr w tym niespokojnym dworze; Carlo był niewyczerpany w scenicznych pomysłach, a siostry i bracia urodzili się aktorami. Gdy Luiza nadto w rodzinie burmistrzowała, uciekał Gasparo do Padwy, gdzie był kawalerem servente signory Maryanny Mastraca, żony Stelia, profesora umiejętności prawnych w tamtejszym uniwersytecie. Tam przepędzał swe najszczęśliwsze chwile, zwłaszcza że profesor zajmował się więcej nauką, aniżeli swą młodą małżonką. Raz się nawet zdarzyło, że nie mogąc wytrzymać grymasów Partenidy, przeniósł się na jakiś czas do Maryanny. To wszakże nie przeszkadzało, że małżonka co roku obdarzała ojczyznę nowym potomkiem i coraz więcej było płaczu i piastunek w wicinalskim dworze. Myśląc zaś o przyszłości, umiała Luiza korzystać z każdego interesu pieniężnego, który zawierała dla dobra rodziny, i cichaczem zbierała grosz na swoje osobiste potrzeby.

Rozpaczliwe też stosunki gospodarskie i wszechwładne rządy Partenidy, wobec której ojciec, matka i Gasparo byli bezwładni, zmuszały młodszych Gozzich do szukania jakiegoś zajęcia i utrzymania poza domem. Pierwszy wyleciał z gniazda drugi po starszeństwie syn Jakóba, Francesco i z pomocą jeneralnego »provveditora di mare«, Antoniego Loredana, dostał jakąś posadę na Korfu. Za jego przykładem poszedł Carlo; wuj Almero Tiepolo wystarał się, że go, niespełna siedmnastoletniego młodzieńca, przyjęto do wojska Rzeczypospolitej

i wysłano jako kadeta do ówczesnej stolicy Dalmacyi, do Zary. Carlo zabrał więc mały tobołek bielizny, kilka książek, gitarę i wsiadł w Wenecyi na galerę, która go po dwudziestu dwóch dniach uciążliwej podróży wysadziła na dalmatyńskie brzegi. Były to dlań wesołe czasy, pomimo że nie mając żadnej pieniężnej pomocy z domu, musiał na razie mieszkać w brudnej stancyi, w której zamiast szyb w oknach były podarte firanki, wydymające się, jak żagle, za każdym powiewem wiatru. Zaraz też po przybyciu do Zary ciężko zachorował na febrę, a chmury komarów powiększały jeszcze gorączkę i cierpienia. Odwiedzał go wprawdzie protomedyk Rzeczypospolitej, Danieli, zapisywał proszki i mikstury; gdy te jednak nic nie pomagały, zaczęły go leczyć domowe kobiety ziołami i zażegnaniami. Ale i gusła nie przyniosły mu ulgi w chorobie i dopiero pomoc przyjaciela, Innocentego Massima z Padwy, który był wówczas w Zarze kapitanem halabardyerów, wyratowała go od pewnej śmierci. Massimo, młodzieniec zamożny, zajął się Gozzim, otoczył go rozumną opieką i wygodami, na jakie tylko zdobyć się było można, tak, że pacyent po niejakim czasie wyzdrowiał. Przyjaźń Innocentego przydała mu się jeszcze nieraz w życiu.

Carlo zaczął być żołnierzem; jeździł konno, na wielkiej szachownicy posuwał drewniane pionki, przedstawiające oddziały wojska, aby się w ten sposób nauczyć strategii, zastanawiał się, jak najłatwiej zabijać ludzi. Chodził także na wały forteczne, przypatrywał się naprawianiu murów obronnych, a najwięcej zajął go pobór Morlaków do wojska. Dalmatyńcy i Czarnogórcy niczem się według niego nie różnili od bohaterów Homera. Rabusie, mordercy, gwałtowniki, nie mieli wyobrażenia o wojskowem posłuszeństwie, a gdy się ich wysyłało do Włoch, to więcej tam przynosili szkody, aniżeli pożytku Rzeczypospolitej. W ojczyźnie wszystko za nich robią kobiety, tak uniżone, że spotykając mężczyznę, całują go po rękach i klękają, jak przed świętym. Dziewictwo Morlaczki nabywa się za ustaloną, niesłychanie nizką cenę. Osady morlackie prowadzą pomiędzy sobą ciągłe bratobójcze walki, a wendetty dziedziczą się z pokolenia na pokolenie, jakby prawne fideikomisy. Cały kraj czuć czosnkiem i cebulą, bo

Dalmatyńcy spożywają niesłychaną ilość tych przysmaków, które sprowadzają z Romanii, sami nie są zdolni do uprawy jarzyn.

Nudy prowincyonalnego miasta przerywali sobie młodzi wojskowi urządzaniem przedstawień teatralnych i zawiązywaniem miłosnych stosunków. Carlo grywał zazwyczaj kobiece role, najczęściej rolę Colombiny; w romansach nie był zbyt szczęśliwym, za nadto wierzył kobietom, a wskutek tego spotykały go nieprzyjemne rozczarowania.

Po trzech latach wojskowej służby wrócił do Wenecyi ze swym przyjacielem Massimem, gdyż za nadto tęsknił za ojczyzną. Gozzi mieli rodzinny pałac w Wenecyi, w okolicy kościoła Jezuitów. Pałac ten był wcale okazały, urządzony dawnymi kosztownymi meblami, na ścianach wisiały gobeliny i obrazy mistrzów weneckich z czasów Odrodzenia. Carlo, chcąc się przed Massimem pochwalić rodzinnemi komnatami i odwdzięczyć przyjacielowi za dobroć, okazaną mu w Dalmacyi, zaprosił go do pałacu Gozzich. Jakież było wszakże rozczarowanie młodzieńca, gdy jakaś stara stróżka otworzyła im drzwi prawie pustego mieszkania! Posadzka kamienna w pokojach była pełna zagłębień, na których można było nogi połamać, wiatr wiał od wschodu, zachodu, północy i południa, bo szyby w oknach były potłuczone, tapety na ścianach zadymione, porozdzierane, tak, że całe pasy materyi swobodnie wisiały. Partenida sprzedawała kosztowne urządzenie pałacu, zostawiając tylko zapylone, rodzinne portrety pędzla Tycyana i Tintoretta.

Wojskowi przenocowali tam, jakby w wymarłem mieście, i jak najprędzej opuścili niegościnne mury. Carlo pojechał na wieś do Friulu, a Massimo do Padwy.

Po powrocie Carla do Vicinale złożono w rodzinie Gozzich wojenną radę i postanowiono wrócić do Wenecyi, gdyż Partenida nosiła się z jakimiś finansowymi planami, które miały przywrócić familii dawną świetność. Kawalkata, wyruszająca z Friulu, wyglądała na powrót trupy komicznej: chory ojciec, roztargniony Gasparo, dziwacznie ubrana Partenida, hrabianki w kapeluszach odwiecznej mody, pięcioro drobnych dzieci z piastunkami, kilka kobiet służebnych i lokai w wy-

tartych liberyach, gromada psów i kotów. Cała ta czereda objęła w posiadanie pusty pałac Gozzich wśród nawoływań, śmiechów, żartów i głębokich westchnień. Carlo umieścił się w jakiejś małej stancyjce, w której najcelniejszym sprzętem był stolik o trzech nogach.

Sparaliżowany ojciec nie mógł przeżyć tego widoku; umarł wkrótce po powrocie do Wenecyi, a nie było nawet pieniędzy, aby mu sprawić przyzwoity pogrzeb. Partenida jednak pocieszała wszystkich, rozczulając się, że nie widziała jeszcze tak pięknie umierającego starca, i zaczęła wraz z hrabiną, będącą zupełnie pod jej wpływem, przeprowadzać swe finansowe plany. Carlo spostrzegł, że rozmaici żydzi cichaczem odwiedzają bratową i że matka i Partenida wychodzą często z domu w tajemnicy, zamaskowane. Okazało się, że w porozumieniu z Gasparem sprzedają pałac. Ostatnia była chwila, aby położyć kres bezrozumnym rządom poetki i ratować, co jeszcze z majątku pozostało. Carlo porozumiał się więc z młodszymi braćmi i siostrami, zaczął porządkować interesa, prowadzić procesy i namawiać matkę i bratową, aby się przeniosły na wieś, dla oszczędności.

Tego tylko brakowało, aby doprowadzić Partenidę do największego gniewu i zrobić sobie z niej śmiertelną nieprzyjaciółkę. Nie poddała się też szwagrowi, ale wymyśliła coś nowego, coś nadzwyczajnego, co miało zapewnić przyszłość jej dzieciom i przynieść sławę mężowi. W tajemnicy przed Carlem objęła (r. 1758) wraz z Gasparem dyrekcyę teatru di Sant'Angelo w Wenecyi i była pewną, że zrobi majątek na tem przedsiębiorstwie. Zebrała trupę z chłopów, pokojówek, praczek, perukarzy, kramarzy, którym się zdawało, że mają talent sceniczny, przyobiecała owym »aktorom« znaczne korzyści i urządziła głośną reklamę. Pierwsze przedstawienie wypadło tak fatalnie, że oburzona publiczność wyła, gwizdała, przeklinała i zasypała scenę jabłkami, ziemniakami, ba nawet znaleźli się tacy, którzy rzucali krzesła ku aktorom. To niepowodzenie nie zniechęciło Partenidy; dawała dalej przedstawienia, a że było coraz mniej publiczności w teatrze, więc oszczędzała na administracyi, zmniejszając orkiestrę i zaprowadzając zamiast lamp oliwnych kaganki z knotami, które

zakopciły cały teatr. Wreszcie po dalszych niepowodzeniach orzekła, że publiczność wenecka nie ma dobrego smaku, i pojechała z trupą na prowincyę, gdzie także najgorsze robiła interesa.

Musiała wkońcu wrócić do Wenecyi, a chcąc wystawić jakąś komedyę, któraby pociągała publiczność do teatru, a zarazem była rodzajem zemsty na Carlu, że przeszkadzał jej interesom finansowym, napisała z pomocą męża sztukę »L'Esopo in città«.

Carlo żył w przyjaźni z hrabiną Ghellini-Balbi i chciał jej wynająć mieszkanie w pałacu Gozzich. Partenida nie zgadzała się z tym zamiarem i zaczęła głosić po mieście, że Carlo ma stosunek z hrabiną, a w komedyi »L'Esopo«, naśladowanej z francuskiego, umieściła scenę ośmiewającą w sposób zjadliwy Karola i hrabinę, tudzież dwóch młodszych braci męża, Franceska i Almora. Gdy się w Wenecyi dowiedziano, że w tej komedyi wywleczone są prywatne sprawy rodziny Gozzich, teatr się zapełniał co wieczora; ale to powodzenie nie na wiele się przydało, bo Partenida tyle narobiła długów, że przedsiębiorstwo teatralne niebawem upadło.

Biedny Gasparo, wątłego zdrowia, słabego charakteru, nie mógł się obronić przed Partenidą. Na wszystko przystawał, czego poetka sobie życzyła, aby mieć tylko chwilę spokoju. W przeciągu dwóch lat Partenida sześć razy zmieniała mieszkanie, nie zawiadomiwszy poprzednio męża, że się ma przeprowadzać, tak dalece, że Gasparo, doprowadzony do rozpaczy, przeniósł się do jakiejś nędznej gospody, która mu się rajem wydawała po domowych kłótniach i niepokojach. Wtedy to pisał, że niema szczęścia, jak w osteryi, gdzie się nie słyszy krzyków dzieci i piskliwych nawoływań własnej żony, gdzie za umówioną przystępną cenę ma się wszelkie wygody.

Gasparo wysoki, chudy, skóra i kości, zawsze chory na żołądek, czasem melancholijny, czasem za nadto wesoły, chodził z pochyloną głową uliczkami Wenecyi, na zapytania odpowiadał krótko, często nie do rzeczy, bo myślał o swojej biedzie. Mawiał, że jest ojcem i padronem domu, najpotulniejszym i najnieszczęśliwszym, jacy na ziemi istnieli od stworzenia świata. Żałował, że nie jest kastratem, nie

miałby bowiem ani żony, ani dzieci, a byłby bogatym. Caffariello, śpiewak kastrat, zebrał w kilku latach milion lir swem gardłem.

Największą jego przyjemnością było zatrzymywać się przed księgarniami. Wtedy kupował setki rozmaitych dzieł, ale tylko w wyobraźni, gdyż pieniędzy nie miał. Pożyczał więc książki od przyjaciół, najwięcej od Apostola Zena, który miał sławną bibliotekę, ale z trudem i boleścią je oddawał. Chodził w wytartych ubraniach i z humorem swój płaszcz opisywał, że używał go już dawniej prorok Eliasz, święty Marcin, a sukno mieniło się ośmdziesięcioma różnorodnymi kolorami:

Il mio mantello prima l'ebbe Elia,
Poi Eliseo nei tempi più lontani:
Poscia non trovo chi l'ebbe in balia,
Ma certo furon guatteri e magnani.
Poi giunse a San Martin, che sulla via
Lo diede a Satanasso nelle mani,
Infino che divenne una corteccia
Che sforacchiata par con una freccia.
Ebbe colori intorno più di ottanta
Questa tonaca cotta e piviale;
Chi non è negromante e non incanta
Non sa'l suo color primo naturale!
Ma quando qualche pezzo se ne schianta
Escon fuor pulci, cimici e zenzale,
E mosche ch'eran piatte per la piova,
E formiconi che covavan l'uova.

Gdy przedsiębiorstwo teatralne Partenidy upadło, otrzymał Gasparo dzięki stosunkom rodzinnym kierownictwo jakiejś szkoły i został cenzorem książek, za co otrzymywał sto dwadzieścia dukatów rocznie, miał zresztą dochody z pisania wierszy i oracyi na uczczenie zamążpójścia lub wstąpienia do klasztoru córek znakomitych rodzin weneckich. Wyrobił sobie taką sławę w układaniu tego rodzaju panegiryków, że żaden arystokratyczny ślub ani żadne patrycyuszowskie obłóczyny nie mogły się obejść bez jego wzniosłych utworów.

Pisał bezmiernie dużo bieżących artykułów, wierszy, satyr, komedyi oryginalnych i naśladowanych z hiszpańskiego

albo francuskiego, które, acz przeznaczone na scenę, nigdy jej nie widziały, a nawet nie bywały drukowane. Tłomaczył także historyczne i filozoficzne dzieła z greckiego, niemieckiego, angielskiego i francuskiego, ale właściwie tylko z francuskiego, bo innych języków nie umiał. Pomagała mu w tej pracy cała rodzina: żona, dzieci, nawet przyjaciele lub narzeczeni córek, jeżeli mieli nieszczęście przyjść w chwili, kiedy robota była pilna.

Utwory Gaspara nie wiele miały literackiej wartości, tu i ówdzie dowcip lub udatny sarkazm, ale rozwodniony niepotrzebnymi dodatkami ginął w powodzi wierszy, napisanych dla zarobku, dla powszedniego chleba. Z goryczą też powiada raz o sobie, że musi nerw po nerwie wyciągać z mózgu dla codziennej potrzeby, podobnie jak uboga staruszka w nieprzespanych nocach snuje nić po nici z wrzeciona, aby zarobić na skromne pożywienie. Serce mu się kraje, że duszę swą musi kłaść na ważkę i sprzedawać swój mózg drachma po drachmie za niższą cenę, jak wołowe lub wieprzowe mięso.

Non è picciolo male ad oncia ad oncia
Metter l'alma in bilance, ed il cervello
Vendere a dramme; e peggior mal è ancora
Vendansi, che di bue carne o di ciacco
Oh mio dolore! oh mia vergogna eterna!

Najwięcej wartości z pism Gaspara mają jego »Sermoni« satyryczne, pisane nierymowanym wierszem, prostym, pięknym toskańskim językiem i w szczerości serca. Rodzaj takich kazań, takich uwag o społeczeństwie włoskiem nie był już nowy; pierwszy użył tej formy Chiabrera, ale Gasparo prześcignął swego poprzednika dowcipem i treścią. Dał on w »Sermonach« wielostronny obraz życia ludowego we Włoszech, zwyczajów, niedorzeczności, gnieżdżących się w społeczeństwie, a wszystko wypowiedział z pewną łagodną, nie drażniącą ironią. Wybornie opisuje tam próżniaków weneckich, cicisbea, wybierającego się w daleką podróż, aby zakupić holenderskie i niemieckie szpilki, które zawsze musi mieć przy sobie dla wygodzenia ubóstwianej donnie. Wyśmiewa kupcowe, które starają się dorównać patrycyuszkom i wyjeżdżają

na willegiaturę nad Brentę. Do pięknych obrazów w tych sermonach należy opis spaceru Wenecyanek na placu św. Marka, przy księżycu, któryby się jeszcze dzisiaj dał zastosować do owych ulubionych przechadzek w dniu, kiedy gra muzyka.

II.

W życiu braci Gozzich ważną rolę odgrywała Caterina Dolfin Tron, jedna z kobiet, któremi się najwięcej zajmowano w Wenecyi w drugiej połowie XVIII wieku. »Procuratessa«, jak ją zazwyczaj nazywano, miała wielbicieli, którzy ją pod niebo podnosili, i nieprzyjaciół, strącających Caterinę w piekielne czeluście. Do przyjaciół należał Gasparo Gozzi, a w części i Carlo, który jej w gorących słowach poświęcił w r. 1772 swój utwór »Marfisa bizzarra«.

Caterina była córką Giovanniego Dolfin i Donaty Salomon i urodziła się w Wenecyi 8 maja 1736. Giovanni, nie mając majątku, zajmował rozmaite rządowe posady, aż w r. 1744 został wysłany na jakiś czas na wyspę Zante. Odjeżdżając, oddali rodzice swą ośmioletnią córeczkę na wychowanie do klasztoru San Daniele; ponieważ jednak Giovanni wkrótce potem umarł, więc mała Caterina wychowywała się później u matki w Wenecyi i wyrosła na bardzo urodziwą pannę. Abate Barbaro unosi się nad jej »niebiańskiem, miłością płonącem okiem, nad różowemi ustami i piersią dziwnej białości«, a Carla Gozzi zachwycają włosy Cateriny o złocistym połysku.

Te wdzięki znalazły wkrótce szczęśliwego wielbiciela w Marku Antoniu Tiepolo, który też poprowadził Caterinę do ołtarza 22 marca 1755 r. Piękna, pełna życia, wykształcona i ambitna Dolfin nie znalazła jednak szczęścia w tem małżeństwie i szukała pociechy w romansowych stosunkach. Powiadają, że Tiepolo przejął różowy bilecik, w którym Andrea Tron zapraszał ją, aby w masce przyszła na miłosną schadzkę. Nic żonie nie mówiąc, przebrał się do niepoznania i zastąpił mniemanego kochanka, poczem się z Dolfiną rozwiódł. Tron należał do najbardziej wpływowych ludzi w rządzie Rzeczy-

pospolitej. Obdarzony niezwykłemi zdolnościami, zręczny, energiczny, zamożny, został ambasadorem weneckim przy wiedeńskim dworze, następnie prokuratorem państwa, a tak był popularnym, że go pospolicie nazywano »el paron« (padron). Caterina bardzo się nim zajęła, pomimo że o wiele był od niej starszy i postanowiła zostać prokuratessą. Jak się z jej listów okazuje, przez dłuższy czas nie była pewną, czy zdoła swój cel osiągnąć, tem bardziej, że po rozwodzie z Tiepolem znalazła się prawie w biedzie i tylko prokuratorowi zawdzięczała swoje utrzymanie. Niekiedy przypominała mu w sposób bardzo nieśmiały obietnicę ślubu, »il glorioso onore promesso« i pokornie podpisywała się pod listami »la sua Dolfina, la sua povera Dolfina, la sua serva i t. d.« Andrea, człowiek honorowy, dotrzymał przyrzeczenia, a ślub pary nierównej co do wieku odbył się 15 października 1772, w kościele Madonna dell'Orto. Czując się pewną swego stanowiska, umiała Katarzyna być prokuratessą di San Marco w całem tego słowa znaczeniu, a zawsze jeszcze bardzo przystojna, gromadziła w swoim salonie najznakomitsze osobistości weneckie. Gdy Józef II bawił w r. 1775 w Wenecyi, wydała nawet bal dla cesarskiego gościa i z taką godnością umiała go przyjmować, że mówiono w całem mieście o jej towarzyskiej zręczności. Jeden z jej największych wrogów, Gratarol, którego później poznamy, pisał, że »Sua Altezza«, jak ją ironicznie nazwał, gromadzi około swojej miękkiej kanapy grono osób wszelakich warstw społeczeństwa, od patrycyusza do kupca, a ten posiada u niej największe łaski, kto najzłośliwiej umie bliźnich obmawiać i schlebiać jej próżności.

Pomiędzy wielbicielami Katarzyny był także abate Barbaro, który pisał do niej wiersze, w taki sposób opiewające jej wdzięki, że te miłosno-poetyczne uniesienia nie dają się powtórzyć. Biedny abate ogłuchł jednak z czasem i podpisywał się w poufnych listach »Il sordo d'Adria«, natomiast Tron nazwała go z tego powodu »cavalier Trombetta«, ponieważ trzeba było mówić do niego przez tubę, przykładaną do ucha.

Na nieszczęście spotkał abate w salonie pani Tron principessę di Leonforte, Palermitankę, którą Anglik Brydone wymienia w swych podróżach jako najpiękniejszą kobietę

w Europie. Biedny Barbaro zakochał się w niej za pierwszem widzeniem, wyraził zaraz wierszami swe uczucia, utrzymując, że piękna Palermitanka sprawia piekło w sercu, a raj w oczach:

Che ne da
L'inferno al cuor, ai ochi el paradiso

Pani Katarzyna, obrażona temi uniesieniami przyjaciela poety do principessy, a może i znudzona głuchym abatem, pozbawiła go swych łask, nie zapraszała na obiady i na ponowne do niej zwrócone wierszowane afekty nic nie odpowiadała. Wojna jednak nie długo trwała, gdyż abate był bardzo wesołym i zabawnym towarzyszem, pomimo że szczupłe miał dochody. Więc pani Tron, chcąc mu dopomódz, wystarała się dla niego o urząd rewizora rękopisów i ulotnych pisemek, co mu przynosiło dziesięć dukatów miesięcznie.

Początków przyjaźni Katarzyny z Gasparem Gozzim trzeba było szukać także w tajnikach ich serc; wprawdzie prokuratessa nazywała go ojcem, ale to ojcostwo trochę dziwacznie wygląda obok tytułów, jakie jej dawał poeta, nazywając ją »kreaturą o pięknej płci i jasnych włosach«, »swym aniołem stróżem«, lub podpisując się »najbardziej jej oddanym, najbardziej obowiązanym sługą i ojcem. Amen«. Prokuratessa nie zapominała i w późniejszem życiu o młodzieńczych uczuciach i zawsze otaczała przyjacielską opieką rodzinę Gaspara, wspierając ją materyalnie w chwilach największej potrzeby. Zdaje się, że jej zawdzięczał urząd korektora przy uniwersytecie w Padwie; Katarzyna chciała mu nawet wyrobić jakieś stanowisko dyplomatyczne w Wiedniu, ale roztargniony poeta przeląkł się tej odpowiedzialności i tłomaczył się swojej protektorce (1769), że dotąd zajęty był tylko książkami, broszurami i nie może sobie wystawić, jakby wyglądał wobec ministrów, wątpi nawet, aby potrafił ważyć swoje słowa i prowadzić zupełnie nowe życie. Zresztą prosi przyjaciółkę, aby go sobie przedstawiła w aksamitnym fraku, wyfryzowanego, w jedwabych pończochach, a z pewnością nie powstrzymałaby się od śmiechu.

Anioł stróż rodziny Gozzich nie lubił Partenidy i gniewał się z powodu jej nierozsądnego gospodarstwa. Raz nawet

za wiele już było prokuratessie jakichś wierszy, które Bargelli wydała; napisała więc do niej bardzo ostry list, w którym radzi poetce, ażeby się zachowywała spokojnie, stosownie do swego wieku, jadła, piła i polecała Bogu samą siebie i swoją ubogą rodzinę, nie mięszając się do wszystkiego, co ją obchodzić nie powinno, inaczej prokuratessa pozostawi cały dom Gozzich swemu losowi i nie wymówi nawet ich nazwiska.

Partenida umilkła, a prokuratessa dalej się opiekowała Gasparem, jego dziećmi i zięciami; Gasparo bowiem, szczęśliwym zbiegiem okoliczności wydał trzy córki za mąż, ale żałował swych zięciów. »O, moi biedni zięciowie — pisał — małżeństwo ich zrujnuje, zwłaszcza, gdy za kilka lat będą mieli całą armię dzieci«. »Niech ich Pan Bóg błogosławi, żyzna krew Gozzich piękną im wyprawi komedyę! Wiem co mówię«. Dziwił się, że jedna z jego sióstr, zakonnica, nie wydała na świat żadnego potomstwa.

Gaspare był najszczęśliwszy, gdy czasami mógł się wydobyć z Wenecyi na wieś, do Vicinale, zgromadzić tam kilku dawnych przyjaciół i zapolować na zająca. Wtedy wracała mu wesołość, a gdy zasiadł w jakiej gospodzie i zaczął wypróżniać »fiascone«, wtedy sypał dowcipami i pobudzał całe towarzystwo do śmiechu. Bardzo wesołym listem zapraszał raz przyjaciela Seghezzego, aby do niego przyjechał na wiosnę. »Jedź barchettą — pisał — aż do Fosetty, a następnie oddaj się w imię Boże w ręce vetturyna, który cię powierzy innemu koledze, gdy dojedziesz do Motty. Stamtąd za dwie godziny znajdziesz się w mojej willecie. Droga trochę utrudzająca, a oczom twoim, przyzwyczajonym do brzegów sławnej i wspaniałej Brenty, gdzie na każdym kroku widzisz pałace, wydadzą się trochę dziwne obdrapane chaty, albo długie szeregi drzew i okolica, w której niema ani jednego domu, ani jednego chrześcijanina. Czas możesz sobie skrócić, drzemiąc chwilami, albo słuchając gry dzwonków na końskich karkach. Gdy się jednak zbliżysz do mojej siedziby, to dziesięć albo dwanaście słowików, ukrytych w skupinach drzew, tak cię pięknie przywita, że ci się zdawać będzie, że jeszcze w życiu nie słyszałeś uprzejmiejszych głosów. Ja zaś będę cię we drzwiach oczekiwał i pobiegnę naprzeciw

przyjaciela z otwartemi ramionami, śpiewając »alleluja«. Natychmiast otoczy cię gwardya kapłonów, kur i indyków, które zaczną krążyć około ciebie, jak gdyby były pawiami. Może cię to będzie nudziło; musisz się jednak uzbroić w cierpliwość, albowiem to ptactwo chce cię zapewnić, że ci będzie wiernie służyło i że gotowe oddać życie za gościa, że dla twego dobra da się upiec, nadziać na rożen i pokrajać w kawałki. Dowódcą tej armii jest ułomna wieśniaczka, poczciwina, jakich mało, kochająca całem sercem tych swoich wychowańców i wychowanki i rozczulająca się, jak tylko której z nich szyję się utnie. Do picia będziesz miał wino barwy rubinowej, do jedzenia chleb bieluteńki, ale przedewszystkiem spotkasz radosne serca«.

Długo nie mógł się Gasparo rozkoszować śpiewem słowików i gdakaniem kur; rodzinne willino wraz z gruntami sprzedano na zaspokojenie wierzycieli, a z majątków ziemskich nic mu więcej nie pozostało, jak tylko piasek w piaseczniczce.

Sol ti ricordo che il miglior terreno
Ch'io m'abbia al mondo e un orinol d'arena.

W roku 1760 założył Gasparo gazetę pod tytułem »Gazzeta Veneta«, pierwszy drukowany dziennik we Włoszech, wychodzący dwa razy na tydzień. Każdy numer kosztował pięć soldów, a roczna prenumerata cekina. Na tytule wspinała się małpa, a pod nią błyszczał podpis: »Ipsa alimento sibi«. Program był bardzo nowoczesny, postępowy. Redaktor obiecywał nietylko powiadamiać publiczność o wszystkich sprawach bieżących, ale pisać także rzeczy zabawne i zaprowadzić rodzaj ogłoszeń o tem, co zostało zgubione, albo czego się poszukuje, co znaleziono w Wenecyi lub poza miastem, a wreszcie podawać ceny towarów, kurs zamiany pieniędzy i dnie, w których odpływają okręty do Holandyi, Anglii, Portugalii, Norwegii i Ameryki. Gazetę sprzedawano w trzech miejscach: u św. Marka, w kawiarni Floriana i na Merceryi. Ciekawe są w niej ogłoszenia, rodzaj inseratów. I tak zgłasza się tam nauczyciel arytmetyki, o którego adresie można się dowiedzieć u kupca serów przy moście SS. Apostoli. Jakaś

mieszczka z S. Termita opowiada, że miała kurę, która przez półtrzecia roku nie niosła jaj i taka się stała lekka, jak piórko. Ba, nawet młoda wdowa, mieszkająca u signory Stefani, pod numerem pierwszym, życzy sobie zawiązać znajomość celem wejścia w związek małżeński. Zupełnie więc już nowoczesne ogłoszenia.

Czynności rządu nie wolno było redaktorowi krytykować; Gozzi musiał się tak zachowywać, jak ów Francuz przed rokiem 1770, który utrzymywał, że pisze tylko o słoniu, bo to jedyne zwierzę, o którem bezkarnie rozprawiać można. Signoria wenecka wydaliła z granic państwa historyka Barettiego, ponieważ śmiał wspomnieć, że Bernardo Bembo, który żył przed dwustu laty, wydał kilka nieprzyzwoitych sonetów. Bembo należał do patrycyuszowskiego rodu, a o oligarchach Rzeczypospolitej wolno było pisać tylko rzeczy pochlebne.

Mimo cenzury stała się gazeta Gozziego bardzo cennym obrazem ówczesnej Wenecyi, ponieważ autor pełen zmysłu spostrzegawczego umiał w krótkich artykułach dowcipnie przedstawić każde zdarzenie i wybornie charakteryzować ludność wenecką. Równocześnie z gazetą wydawał Gozzi raz w tydzień czasopismo »Il mondo morale«, w którem drukował rodzaj alegorycznego romansu o zepsuciu ludzkiem i o sposobach, w jaki zaradzić upadkowi moralności, a pomiędzy innemi zamieszczał tłomaczenia z »Mesyady« Klopstocka. Pismo to jednak było za nadto nudne, aby się mogło długo utrzymać.

Mimo surowości rządu wobec »krytyków« i gazeciarzy, może nigdzie nie krążyło tyle ulotnych wierszyków satyrycznych, tyle zjadliwych sonetów, co w Wenecyi. Jeden z poetów utrzymywał, że w czasach, kiedy panują zmysłowość, zbytek i próżniactwo, »facecya« przyda się do poprawy obyczajów. Pani Tron musiała się nieraz gniewać na pismaków. Dochowała się z tych czasów satyra, wyliczająca obrazy i rzeźby, któreby można zapisać w testamencie pewnym osobistościom. Otóż prokuratessie dostaje się tam posąg pokutującej Magdaleny, co zresztą o tyle było niestosowne, że pani Tron, pomimo że za młodu niemało grzeszyła, na starość nie czuła się bynajmniej pokutnicą i byłaby chętnie grzeszyła na nowo, gdyby lata na to pozwalały.

»Gazetta Veneta« wychodziła niespełna rok jeden, od 16 lutego 1760 do 31 stycznia 1761, a po jej upadku Gozzi, zapatrując się na angielskiego »Spektatora«, którym zasłynął Addison, chciał się zbliżyć do tego typu peryodycznego pisma i zaczął wydawać dziennik »Osservatore«, bardziej poważny i bardziej literacki, ale nie tak żywy i nie tak ruchliwy, jak »Gazeta«. Całego Osservatora układał sam Gozzi, wskutek czego pismo było jednostajne, nudne i nie mogło w żaden sposób równać się »Spektatorowi« Addisona, który miał cały szereg utalentowanych współpracowników.

Wśród tych dziennikarskich zajęć Partenida umarła; Gasparo odetchnął, mógł znowu czytać i pisać spokojnie, o ile sterane jego zdrowie i rostrojone nerwy na to pozwalały.

Miał on, jak się zdaje, jeszcze za życia swej żony, stosunek z Sarą Cenet, Francuzką, która się przypadkowo dostała do Wenecyi. Sara była córką ogrodnika i szwaczką w Paryżu. Dwie włoskie baletniczki, udając, że są znakomitemi włoskiemi paniami, namówiły ją, aby pojechała z niemi do Wenecyi, gdzie jej obiecywały złote góry. Biedna dziewczyna, przybywszy do Włoch, przekonała się, że poparcie tych pań nie na wiele się przyda, a nie wiedząc, co począć, udała się do parocha przy kościele S. Angelo, zacnego człowieka, prosząc, aby ją umieścił w jakiej znajomej rodzinie. W ten sposób dostała się do domu Maryanny Matraca, przyjaciółki Gaspara w Padwie. Tam poznał ją nasz literat, dziewczyna tak mu się spodobała, że ją po niejakimś czasie przyjął na nauczycielkę francuskiego języka do własnych dzieci, ażeby, jak jego syn złośliwie utrzymuje w swoim pamiętniku, z nią łatwiej mógł romansować. Gdy panny Gozzi podrosły, Cenet pozostała nadal w domu Gaspara, trudniła się krawiectwem, szyła suknie dla pani Dolfin Tron, a widząc biedę, jaka panowała u Gozzich, płaciła im za stancyę i za utrzymanie sto dukatów rocznie i była uważana jako należąca do rodziny. Po śmierci Partenidy ożenił się z nią Gaspare ku wielkiemu niezadowoleniu swych dzieci, a gdy przestał wydawać dzienniki, przeniósł się na stałe mieszkanie do Padwy i miał w Sarze prawdziwą przyjaciółkę i opiekunkę. Gdy raz Gas-

paro w gorączce wyskoczył z mieszkania i rzucił się do Brenty, Cenet pielęgnowała go z największem poświęceniem i rzec można, że jej życie zawdzięczał. Po śmierci Gaspara zamieszkała na wsi w Vicinale i tam umarła.

Po smutnym wypadku w Padwie mówiono, że Gasparo chciał sobie życie odebrać; ale on sam uroczyście temu zaprzeczał, utrzymując, że wprawdzie czasami napadają go smutki, lecz te nie trwają długo, gdyż mieszkają w nim dwie dusze: jedna ospała, druga energiczna. Gdy pierwsza chce nad nim panować, idzie do ogródka, który ma przy swoim domku w Padwie, będącego jego rozkoszą, i podobnie jak dawniej Aryost, uprawia szpinak i sałatę. Pilnie przytem czyta książki o rolnictwie, bo u niego wszystko zaczynało się od książek i na nich się kończyło. Ażeby żyć wspomnieniami młodości, spędzonej na wsi, trzymał kury i kapłony; ale nie miał ich czem żywić, więc drób doszedł do takiej chudości, że pouciekał, przeciskając się pomiędzy szczeble ogrodzenia.

Na starość wszystko go bolało, ciało stało się żywym barometrem; ale cierpliwie znosił wszelkie ułomności, głowę tylko szanował i miał odmienne czapeczki na każdą porę roku, z waty lub z jedwabiu, tudzież płaszcze na dzień słoneczny, pochmurny i na słotę. Mała chmurka na niebie wystarczała, aby mu głowa ciężyła, aby katar oczu czytać przeszkadzał, albo żeby drżał od febry. Nie tracił wszakże humoru i wszystkie te przypadłości opisywał w wierszach. Prokuratessa opiekowała się nim do ostatniej chwili, a nawet wspierała jeszcze po jego śmierci syna Franceska.

Gasparo umarł w Padwie 25 grudnia 1786.

III.

Około roku 1747 założyli obydwaj Gozzi, Gasparo i Carlo, wraz z kilkunastu wesołymi poetami akademię w Wenecyi, która miała być dość swawolną literacką rozrywką. Nadali jej nieprzyzwoite miano »accademia granellesca«. Grupa tych literatów miała obok zabawy także i myśl poważniejszą, aby

ironią i satyrą walczyć przeciw przesadzie w literaturze, przeciw tej zarazie metafor, niedorzecznych porównań, przeciw brakowi prostoty, którą zaprowadzili »seicentyści«.

Na prezesa Akademii wynaleźli bracia Gozzi na pół niepoczytalnego poetę, śmieszną, zarozumiałą figurę, Giuseppa Secchallari, i dali mu tytuł »arcigranellone«. Małego, komicznego człowieczka osadzono na wspaniałem, wysokiem krześle prezesowskiem, o którem mu powiedziano, że należało do słynnego kardynała Piotra Bembo. Biedaka uwieńczono koroną ze śliwek i na pierwszem posiedzeniu odczytano na jego cześć cały szereg pochwalnych wierszy. Podczas zebrań w letnie upały roznoszono dla zwykłych członków akademii lody i mrożone sorbety, prezesowi zaś na znak czci i zaszczytu podawano dużą filiżankę gorącej herbaty na srebrnej tacy. W zimie zaś akademicy dostawali kawę, a Secchallarego uczczono karafką zamrożonej wody. Na każdem posiedzeniu urządzano jakąś nową komiczną niespodziankę dla prezesa, który utrzymywał, że wszystko wie i wszystko umie. I tak proszono go, aby przed posiedzeniem zaśpiewał jaką aryę, pomimo że miał głos zachrypły, albo żeby zdjąwszy koszulę, bił się na szpady z pierwszym lepszym akademikiem. Po takim wstępie zasiadał arcigranellone na fotelu kardynała Bemba, a członkowie akademii popisywali się dopiero swojemi poezyami. Z czasem spoważniała owa akademia, należeli do niej znakomici ludzie Wenecyi, ale zachowała zawsze swój żartobliwy charakter tak dalece, że arcigranellone zapraszał na członków sułtana, Fryderyka II, króla pruskiego, szacha perskiego i wielu innych monarchów i książąt.

Obydwaj Gozzi, ale szczególniej Carlo, należeli do wielbicieli dawnego rządu Rzeczypospolitej, odwiecznych instytucyi, zwyczajów i obyczajów weneckich. Carlo walczył z nowymi prądami filozoficznymi, idącymi z Francyi, wyśmiewał tych, co ciągle wołają »wolność, wolność!« i używał całej siły swego talentu, aby odwrócić od ukochanej Wenecyi zachodnią zarazę. Oburzał się na wyraz »pregiudizio«, który nowatorowie zastosowywali do dawnych zasad religii i moralności, wygadywał na te szalone kobiety, zajęte tylko paryskiemi modami, romansami i grą w karty, folgujące najdziwaczniej-

szym zachceniom. Mężowie, mówił Carlo, utracili wszelką władzę w domu, nie mają nawet odwagi sprzeciwiać się zbeszczeszczaniu swego honoru, rujnowaniu majątku i rozluźnieniu wszelkich węzłów rodzinnych. Wobec magicznego słowa »pregiudicio« ustaje wszelka moralność. Carlo wydał tym wszystkim wojnę, którzy zarażeni nowemi ideami, chcieli wprowadzić jakiekolwiek reformy, czy to w literaturze, czy w teatrze, czy w zwyczajach i obyczajach. Duch ten wojowniczy wprowadził także do akademii Granelleskich, która za jego przykładem zaczęła walczyć z nowatorami.

W XVIII wieku stało się niejako modą pomiędzy niektórymi pisarzami we Włoszech, aby poniżać dawną narodową literaturę. I tak np. Giuseppe Baretti, dziennikarz, który dużo podróżował i dłuższy czas bawił w Anglii, utrzymywał, że Boccaccio stał się ruiną włoskiego piśmiennictwa, że nawet Petrarca, Tasso, Macchiavelli, Pulci, Berni nie wiele warci. Dla niego największym włoskim poetą, niedoścignionym, nieporównauym był Metastasio. Podobnie jak Baretti, uderzał Ex-Jezuita Saverio Bettinelli z Mantuy (1718—1808), Arkadyjczyk, zwolennik Voltaira, na Dantego (Lettere dieci di Virgilio agli Arcadi 1756), wyśmiewał Petrarkę, Boccaccia i ich filozoficzne kierunki. Przejęty nowoczesnemi ideami wolności i religijnej tolerancyi, nie mógł zrozumieć czasów dawniejszych i poniewierał wielkimi mistrzami literatury włoskiej, ponieważ w ich pismach przeważał żywioł teologiczny i średniowieczny zabobon. W całym Dantem znalazł zaledwie kilka wierszy, które uważał za godne, aby przeszły do potomności.

Przeciw tym nowatorom powstał Gasparo Gozzi w bardzo dobrze napisanej rozprawie »Difesa di Dante« (1758), a jego obrona wielkiego poety należy do najlepszych rzeczy, jakie w tej mierze napisano, a napisano ich bez liku.

Przedstawiciele nowych prądów walczyli nietylko poezyą i literackiemi rozprawami, ale opanowali także teatr w Wenecyi. Goldoni i abbate Chiari najbardziej zagrażali według wyobraźni Carla Gozziego dawnemu porządkowi rzeczy. Przeciw nim trzeba było rozpocząć walkę, a naczelnym dowódcą został Carlo, szeregowcami byli inni członkowie akademii Granelleskich. Carlo, namiętny i najzdolniejszy z nich, zaostrzył swe

pióro i wydał w r. 1756 satyrę w formie kalendarza, pod tytułem »Tartana degli influssi per l'anno bisestile 1756«, w której biorąc wzór z w Pulcego i słynnego balwierza-poety Burchiella, napadał w tercynach i oktawach na Goldoniego i Chiarego. Wiersze Carla nie były właściwie krytyką komedyi dwóch ulubionych w Wenecyi autorów scenicznych, lecz zbiorem złośliwych, często gminnych i obrzydliwych napaści. Gozzi przesadzał jednak w swej złośliwości i ów kalendarz nie sprawił takiego wrażenia, jakiego się autor po nim spodziewał. Zapewnia on z boleścią, że komedye Goldoniego i Chiarego leżą na stolikach kobiecych buduarów i na biurkach spokojnych kupców weneckich, a co gorsza, znaleźć je można w klasztorach i szkołach jako mniemane wzory szlachetnej literatury.

Na »Tartanę degl'influssi« nie pozostał i Goldoni winnym odpowiedzi; ogłosił tuzin tercyn, w których w podobnie obelżywy sposób, jak Gozzi, rzucił się na swego przeciwnika, charakteryzował go jako niepoczytalnego choleryka, który niczego nie dowodząc, szczeka, jak pies do księżyca:

Chi non prova l'assunto e l'argumento
Fa come il cane abbaia alla luna.

Cała Wenecya podzieliła się na dwa obozy, na zwolenników Carla Gozziego i wielbicieli Goldoniego, na starych i młodych, a utarczki literackie trwały od roku 1757 do 1761. Gasparo Gozzi trzymał się trochę na uboczu, gdyż nie podzielał namiętnych wycieczek swego brata przeciw Goldoniemu, a nawet wysoko cenił niezwykły talent dramatyczny autora niezliczonych komedyi.

Carlo tymczasem myślał o tem, jakby podkopać popularność znienawidzonego komedyopisarza i wyrzucić jego sztuki z weneckich teatrów. Powziął wreszcie śmiały projekt okazania na scenie, że komedye Goldoniego zawdzięczają swą wziętość jedynie tylko zepsutemu smakowi publiczności, modzie, i nic łatwiejszego, jak je zastąpić innymi, scenicznymi utworami, które publiczność tak samo, a może bardziej jeszcze będzie oklaskiwała, jak gminne roboty przecenionego autora. Publiczność można zabawić nawet dziecinnemi bajkami. Po-

stanowił więc udramatyzować rozmaite bajki, wzięte to z nowel wschodnich, z »Tysiąca i jednej nocy«, to z neapolitańskich zbiorów bajek »Lo Cunto de li cunte« i »Posileipaty«. A że był zwolennikiem dawnej komedyi dell'arte i nie mógł darować Goldoniemu, że poczciwe typy Truffaldina i Brighelli chce podać w zapomnienie, więc stworzył coś nowego, czego jeszcze nie widziano na deskach teatralnych, połączył postacie bajek z ulubionemi figurami dawnej komedyi i przedstawił publiczności »mesalians« sceniczny dziwnego rodzaju. Zniósł wszelkie prawa natury; w tych udramatyzowanych bajkach rozmawiają ze sobą dzikie zwierzęta, woda śpiewa rozmaite arye, zmarli czytają książki, kobiety przemieniają się w mężczyzn, mężczyźni w kobiety. Wszystko idzie na opak; starcy zostają młodzieńcami, podróżni przebiegają tysiące mil w kilku godzinach, olbrzymie pałace wyskakują z ziemi w przeciągu jednej nocy i równie prędko się zapadają.

Pierwszą ze swych »Fiabe teatrali«, »Miłość trzech pomarańcz«, »Amore delle tre melaranze«, wystawił Gozzi w karnawale r. 1761, a owa bajka była wymierzona przeciw Goldoniemu i Chiaremu. Czarnoksiężnik Celio przedstawiał Goldoniego, a czarownica Morgana Chiarego. Goldoni, jako były adwokat, miesza ciągle w swych rozmowach prawnicze wyrazy i sentencye, Chiari zaś deklamuje przesadno-poetycznymi aleksandrynami. Dwaj współzawodnicy sprzeczają się, podobnie jak Euripides i Ajschylos w »Żabach« Arystofanesa, lecz nie dorównują dowcipem swym greckim wzorom.

Książę Tartaglia przedstawia publiczność wenecką, która nasłuchawszy się czternastozgłoskowych wierszy Chiarego, dostaje takich bólów żołądka, że bliską jest śmierci. Uzdrawia ją Truffaldino z komedyi »Dell'arte«.

Tego samego roku napisał Gozzi drugą wyborną dramatyczną bajkę »Il Corvo«, »Kruk«, która wbrew regułom dawnej weneckiej komedyi była pisana wierszem i wogóle mało przedstawiała pola do improwizowania. Po »Kruku« nastąpił »Re Cervo«, »Król Jeleń«, monarcha, który chce pojąć małżonkę. Ale Król Jeleń, mając 2148 dziewic do wyboru, nie może tak łatwo się namyślić co do wyboru, prowadzi więc

wszystkie przed marmurowy posąg, do którego ma zaufanie, że mu dobrą da radę. Lecz i posąg niełatwy w wyborze; co która z dziewic przed nim stanie, marmur porusza głową na znak, że ta nie może być królową, bo nie kocha się w samym monarsze, ale w jego wysokiem stanowisku. Gdy zaś jedna z nich zapewnia, że jest dziewicą, posąg nie chce wierzyć w swej przenikliwości jej zapewnieniom i zanosi się od śmiechu. Wreszcie wchodzi Angela, córka Pantaleona, a posąg, przypatrzywszy się jej, daje pozwolenie na małżeństwo, gdyż ta rzeczywiście przywiązała się do króla i umiała ocenić jego zalety. Podstawą bajki »Re Cervo« jest indyjska legenda o zamianie dusz, która później posłużyła Teofilowi Gautier do pięknej noweli »Avatar«.

Po przedstawieniu »Kruka« zarzucano Gozzemu, że w jego bajkach za wiele cudów i nieprawdopodobieństw. Niebawem więc wystąpił z czwartą sceniczną bajką pod tytułem »Turandot«, w której czarnoksięstwo nie gra żadnej roli, ale poetyczna jej treść ujmuje widzów. Pantaleone, Tartaglia, Brighella i Truffaldino są tam wprawdzie ministrami cesarza chińskiego, ale zresztą wszystko się dzieje w zakresie prawdopodobieństwa.

Swemi bajkami zdobył Gozzi wenecką publiczność; przedstawienia miały wielkie powodzenie, przynajmniej na jakiś czas zwalczyły wpływ Goldoniego i rzec można, zabiły Chiarego. Wtedy to w r. 1762 opuścił Goldoni niewdzięczną, zacofaną Wenecyę i udał się do Paryża. Abate Chiari zaś widząc, że dyrektorzy teatrów nie chcą przedstawiać jego sztuk, porzucił zawód komedyopisarza i osiadł na wsi, w okolicy Brescyi.

Carlo Gozzi tryumfował i pisał dalej, a pomiędzy bajkami, które jeszcze przedstawił, najpiękniejszą może była »L'Augelin belvedere«, »Piękny zielony ptaszek«, w której nie potrzebując już zwalczać Goldoniego, występuje przeciw francuskim encyklopedystom, podkopującym dawny, patryarchalny porządek rzeczy. W bajce tej nagromadził Gozzi tyle nieprawdopodobieństw, tyle czarów, ile w żadnej innej jego sztuce nie bywało. Występuje tam jąkała, król na Monterotondo, Tartaglia, szalenie zakochany w Barberinie, którą chce

pojąć za żonę. Ale królowa-matka, przeciwna związkowi, zezwala tylko pod tym warunkiem na małżeństwo, jeżeli przyszła synowa przyniesie w posagu »jabłko śpiewające«, »tańczącą wodę« i »jasnozielonego ptaka«. Barberinie udaje się wynaleźć zielonego ptaka, ale wesoły latawiec objawia jej, że nie może pójść za mąż za Tartaglię, gdyż jest jego córką, natomiast sam przemienia się w pięknego, młodego księcia i pojmuje królewnę za żonę. Rzetelna to bajka, gdyż w niej jabłko śpiewa, woda tańczy, umarli powstają z grobu, marmurowe posągi przechadzają się, jak żywi ludzie, i innych nieprawdopodobieństw znajduje się bez liku.

Truffaldino, kiełbaśnik, jest personifikacyą rozumu, oburzającego się na wiarę, a Barberina i książę Renzo stają się ofiarami nowych teoryi filozoficznych. Nieszczęściem ich życia, że wierzą w szkodliwe zasady panów Rousseau'a, Helwecyusza i Woltera i że swym systemem egoizmu i niewdzięczności szydzą z każdego szlachetnego uczucia.

Ale sam Carlo Gozzi, zrazu może bezwiednie, później uniesiony siłą nowych prądów, staje się po części zwolennikiem wyszydzanych zasad Rousseau'a i Woltera. W czasie, kiedy jeszcze jego bajki zajmowały wenecką publiczność, napisał komiczno-satyryczną epopeę w dwunastu pieśniach pod tytułem »La Marfisa bizzarra«, z której zupełnie inny duch wieje, aniżeli ze scenicznych jego utworów. Wprawdzie zawsze drwi z Goldoniego i Chiarego, których przedstawia pod imionami Mattea i Marka, jako ludzi szkodliwych i psujących obyczaje, ale już bardzo ostro krytykuje szlachtę i duchowieństwo. Rzecz dzieje się za czasów Karola Wielkiego, ale pod postaciami paladynów kryją się tam zepsute wyższe klasy społeczeństwa włoskiego w XVIII wieku. Marfisa i Bradamante, które już tyle razy uosabiały wielkie panie czasów Odrodzenia, zmieniły się teraz w arystokratki XVIII wieku. Bradamante została dewotką, a Marfisa, czytając nowe, sentymentalne książki, zachorowała na histeryę i skończyła jako suchotnicza pobożnisia. Są to złośliwe karykatury patrycyuszek weneckich, zostających pod wpływem kapelanów intrygantów, Don Gualfierego i Don Guottibuofficego, pod których postaciami kryły się znane duchowne osobistości. W Marfisie

występuje Gozzi przeciw wszystkiemu, czego dawniej bronił, przeciw wyższemu społeczeństwu i duchowieństwu w Wenecyi. Nie był on zresztą pierwszym, co uderzał na zepsucie arystokracyi we Włoszech; przed nim już Giuseppe Parini w poemacie »Giorno« chłostał w dowcipny sposób niedołęstwo, rozrzutność i zbytek znanych rodzin włoskich.

Wogóle Carlo z czasem przejął się bardzo nowymi prądami, wiejącymi z Francyi, a nawet w swych pamiętnikach napisał na czele godło francuskiej rewolucyi »Wolność i równość«.

IV.

Carlo Gozzi nie był szczęśliwym w miłości. Już jako kadet wojskowy w Zarze napotkał na przykre zawody. Dalmatynki go zdradzały, co go bardzo bolało; ale później w Wenecyi czekały go jeszcze przykrzejsze rozczarowania. Jeden z jego romansów nosił tak charakterystyczne weneckie piętno, że warto opowiedzieć krótką historyę tej miłości.

Okna pokoju Carla wychodziły na wązką uliczkę, tak, że sąsiadce, mieszkającej naprzeciwko, prawie można było podać rękę. A że tam mieszkała młoda i urocza kobieta, świadczył o tem jej głos anielski: śpiewała piękne, ale bardzo melancholijne arye. Raz spostrzegł ją Carlo w oknie, a uroda nieznajomej przeszła jego oczekiwania. Starał się więc częściej widywać sąsiadkę, która nawzajem wyszukiwała sobie rozmaite zajęcia w pobliżu okna. Carlo zaczął jej mówić skinieniem głowy »dzień dobry«, albo »dobry wieczór« i w ten sposób zawiązała się znajomość. Raz wiało przykre »sirocco«, wszystkich Wenecyan głowy bolały; Carlo, zobaczywszy sąsiadkę, odważył się zapytać, jak się ma, czy zdrowa, czy dobrze spała w tę noc burzliwą. Zapytanie mile zostało przyjęte, rozpoczęły się częstsze rozmowy, przerywane tylko krokami jakiego przechodnia. Niebawem dowiedział się Carlo, że signora zamężna, że ma lat siedmnaście i że mąż chory i o wiele starszy.

Razu pewnego sąsiadka, zobaczywszy go, była jakaś

zmieszana, zaniepokojona. Co się stało? — Przed dwoma dniami napisała do Carla list, załączając swoją miniaturę, i nie otrzymała znaku, że ją odebrał. Gdy Gozzi odpowiedział, że nic o tym liście nie wie, zbladła, prawie zemdlona upadła na krzesło i Carlo usłyszał tylko słowa: »Boże, zdradzono mnie!« Po chwili ukazała się znowu w oknie i cichym głosem odpowiedziała, że potrzebuje rady sąsiada, że w bardzo przykrem znajduje się położeniu, i prosi go, aby o dwudziestej pierwszej godzinie czekał na nią koło mostu Sant' Apolinare, że ona tam przybędzie gondolą i białą chustką da znać, aby wsiadł do niej.

Z bijącem sercem znalazł się Carlo na umówionem miejscu, zastał sąsiadkę piękniejszą, jak kiedykolwiek, świetnie ustrojoną. Na szyi miała kosztowny łańcuch z wiszącym klejnotem, w uszach kolczyki starej, weneckiej roboty, a na palcach pierścienie, lśniące od drogich kamieni. Kazała gondolierowi zasłonić firanki i płynąć ku Giudece, gdzie miała odwiedzić w klasztorze jakąś zakonnicę. Carlo oniemiał, ale nieznajoma zaczęła mu w krótkich słowach opowiadać niepokojące ją zdarzenie. W kamienicy męża mieszka na parterze, tuż pod jej oknami, ubogie małżeństwo, któremu ona świadczy dużo dobrego. Przed kilkoma dniami przychodzi ów lokator tajemniczo do niej, zwierza się, że zna tego pana, mieszkającego naprzeciwko, że szczyci się jego zaufaniem i przynosi list, na który zapewnie będzie odpowiedź.

Piękna sąsiadka wyjęła ów list, schowany w fałdach stanika i dała mu przeczytać.

— Ależ ja tego listu nie pisałem — odezwał się Carlo — jakżeż Signora mogłaś przypuszczać, że się jej przedstawię tego rodzaju miłosnymi komunałami i że przytaczać będę wiersze Metastasia, jak pierwszy lepszy gondolier?

— Niestety, na list odpowiedziałam — rzekła. — Ten człowiek odda go mojemu mężowi; co mam począć?

Carlo zaczął ją uspokajać, radził, aby jakiś czas przestała z nim przez okno rozmawiać, a gdyby ów zdrajca przyniósł znów podrobione pismo, aby mu powiedziała, że nie życzy sobie prowadzić korespondencyi z jakimś lekkomyśl-

nym człowiekiem, zwłaszcza, że nigdyby swego męża nie zdradziła.

Słowa te trafiły do przekonania młodej kobiety, postanowiła się do nich zastosować.

W dalszej rozmowie dowiedział się Carlo, że mąż ją uwielbia, że słabowity, nie lubi, aby ich znajomi odwiedzali, że jej jednak czasem pozwala iść do krewnych.

Tymczasem gondola stanęła w pobliżu klasztoru, sąsiadka uścisnęła serdecznie rękę Gozziemu, a szybko wysiadając, rzuciła mu bardzo przyjacielskie spojrzenie. Carlo przesiadł się do innej gondoli i powrócił do domu zakochany.

Tydzień upłynął od tej wycieczki na Giudekę, signora nie przychodziła do okna; wreszcie ósmego dnia przesunęła się szybko i wrzuciła do mieszkania Carla zwitek papieru, przywiązany do małego kamyczka. Znowu rendez-vous w gondoli, znów znakiem biała chusteczka. Sąsiadka obmyślała tym razem dłuższą wycieczkę po Canal Grande. Nieproszony pośrednik wręczył jej drugi list, jakoby od Gozzego, ale został z niczem odprawiony; zdarzyło się jednak, że mężowi ukradł kilka dukatów i że z tego powodu wymówiono mu mieszkanie. Piękna kobieta pozbyła się zatem kontrolora rozmów z Carlem i była tego dnia w bardzo dobrym humorze. Gozzi zapewnia, że tym razem jeszcze większą jaśniała urodą, jak zwykle; mimo to pożegnał ją tylko ucałowaniem ręki. Przejażdżki w gondoli następowały częściej, aż wreszcie po sześciu dopiero miesiącach platonizm się skończył w ogródku, na Murano, może więcej z winy sąsiadki, aniżeli filozoficznego Carla.

Po niejakimś czasie mąż jej, suchotnik, umarł; wdowa odziedziczyła duży majątek, a według zapewnienia Gozzego coraz więcej miała powabów. Carlo był jednak w swojej miłości opieszały. Zdarzyło się, że do niego przyjechał dobry znajomy, przystojny mężczyzna, który więcej posiadał energii w stosunku z kobietami i był prawdziwym »piratą« w zdobywaniu serc niewieścich. Gozzi opowiedział mu, jak zwykle w »największej tajemnicy« swój stosunek z sąsiadką, podnosząc ją do niebywałego ideału zalet i cnót rozmaitych. Przyjaciel śmiał się z niego i utrzymywał, że Carlo czerpał swą

znajomość kobiet tylko z hiszpańskich romansów. Wkrótce mu też dowiódł, że ma słuszność. Młoda wdowa, będąc przez dwa lata tylko »siostrą miłosierdzia« przy mężu, pragnęła rozrywki, zabawy. Carlo tego nie pojmował, chciał ją po raz wtóry zamknąć do domowego klasztoru i bardzo się zgorszył, gdy mu, jak zwykle, przez okno powiedziała, że ma dzisiaj lożę w teatrze San Luca i że bardzo jej będzie przyjemnie, jeżeli przyjdzie z tym przyjacielem, którego już spostrzegła, a ona nawzajem zaprosi jednę ze swoich znajomych. O oznaczonej godzinie kobiety stawiły się w maskach, a zanim Gozzi spostrzegł, już jego towarzysz »rzucił się, jak jastrząb« na piękną wdowę, a jemu pozostawił ową towarzyszkę, młodą blondynę, ale zanadto okrągłą. W teatrze blondyna bardzo uważnie słuchała komedyi, przyjaciel zaś ciągle szeptał do ucha wdowy, a Carlo bladł i rumienił się, udając, że nie zwraca uwagi na tę cichą rozmowę.

Po skończonej komedyi poszły obydwie pary do osteryi »Della Luna« na kolacyę; przyjaciel ciągle towarzyszył wdowie, a Gozzi, chcąc nie chcąc, rozmawiał z tłustawą blondyną. Nim zastawiono stół, przyjaciel już chodził po pokoju pod rękę z wdową, a Gozzemu ciemno się w oczach robiło. Blondyna milczała, nie wiedząc, o czem mówić; Gozzi milczał z boleści. Wreszcie przyjaciel i wdówka poszli przechadzać się do sąsiedniego ciemnego pokoju, gdzie stała jakaś nędzna kanapa, a Gozzi umierał z rozdrażnienia i niepokoju. Po kwadransie wróciła para do jadalni, ale toaleta wdówki okazywała, że zaszło »un terribile avvenimento« dla serca Carla. Wdówka chciała się przysiąść do niego, ale Gozzi niegrzecznym ruchem ją odepchnął. Szczęściem nadszedł gospodarz, aby ustawić półmiski z wieczerzą; zaczęto mówić o teatrze, przyjaciel jadł z wielkim apetytem, wdówka popijała wino drżącą ręką, a Carlo połknął kilka kawałków kotleta, który mu się wydawał »arszenikiem«.

Przyjaciel odjechał nazajutrz, powiedziawszy Gozzemu na pożegnanie, że jest lepszym od niego filozofem. Wdówka usiłowała jeszcze pogodzić się z Carlem, zwyciężyć go płaczem, bladością lica; ale serce jego zanadto było zranione, aby mógł do niej powrócić.

W kilka miesięcy później otrzymał Gozzi od niej wiadomość, że wychodzi za mąż za bogatego kupca. Widywał ją jeszcze nieraz na ulicy i z boleścią zapisał w swoim pamiętniku, że zawsze była piękna.

Inna nieszczęśliwa miłość jeszcze bardziej rozraniła serce Carla, aniżeli stosunek z wdówką, i niemało mu narobiła w życiu kłopotu i wielkich nieprzyjemności. Gdy Gozzi rozpoczął zwalczać Goldoniego na scenie, zbliżył się do trupy teatralnej przedsiębiorcy Antonia Sacchiego, który powróciwszy po strasznem trzęsieniu ziemi w Lizbonie do Wenecyi, wydzierżawił teatr San Samuele. Sacchi był wówczas najznakomitszym aktorem nietylko we Włoszech, ale prawie w całej Europie, a w komedyi dell'arte grywał Truffaldina. Cała zresztą trupa dostrajała się godnie do swego dyrektora. Gozzi chwali w swoich pamiętnikach zgodę, porządek, karność i moralne zachowanie się artystek. Aktorzy stanowili jakby jedną rodzinę, artystkom nie wolno było przyjmować podarunków od wielbicieli, co później, jak się zdaje, bardzo dogadzało Gozzemu, którego wadą było wielkie skąpstwo.

W karnawale r. 1761 przedstawił Carlo w San Samuele swoją udramatyzowaną bajkę »Amore delle tre meleranze«, którą nazwał »Stravaganza scenica«. Przedstawienie świetnie wypadło, »bajka« musiała być często powtarzaną, a pomiędzy Carlem a artystami wyrobił się tak blizki stosunek, że nasz autor stał się doradcą i przyjacielem, który łagodził spory pomiędzy przedsiębiorcą a artystami, bywał świadkiem przy ślubach aktorek i ojcem chrzestnym, jeżeli się trupa powiększyła o młodą latorośl. Ciągle żył w ich towarzystwie, chodził z nimi do Ridotta na obiady lub na maskarady.

Te idealne stosunki trwały aż do roku 1771. W owym nieszczęsnym roku okazała się potrzeba nowej artystki; wskutek nalegania Gozzego przyjął Sacchi, trochę mimo swej woli, młodą Teodorę Ricci z Genuy, zamężną za aktorem dość średniego talentu. Ricci była gwałtownego usposobienia, bardzo ambitna, płakała przy najmniejszem niepowodzeniu, dostawała gorączki, złorzeczyła Sacchiemu i całej Wenecyi, a artystycznych rad Gozzego nie bardzo słuchała. Carlo, poznawszy ją lepiej, napisał dramat »Principessa filosofa« z rolą

dla niej odpowiednią, w której się nowa artystka bardzo podobała. Zwycięstwo jej było najzupełniejsze, cała Wenecya o niczem nie mówiła, tylko o talencie, o piękności Ricci, a Gozzi tryumfował. Stał on się jej dramatycznym nauczycielem, doradcą, a niebawem sam może nie zdawał sobie sprawy, że się w młodej aktorce zakochał. Ale Gozzi miał już wtedy lat pięćdziesiąt, a przytem skąpy i zanadto filozoficzny, nie nadawał się na opiekuna młodej artystki. Sądził, że literackie rady i platoniczna przyjaźń najzupełniej jej wystarczą, marzył o tem, aby z niej zrobić wzór moralności i był szczęśliwy, gdy wielką artystkę mógł wprowadzić w jaki patrycyuszowski dom wenecki. Tymczasem Ricci zupełnie inne miała marzenia, pragnęła pięknych toalet, kosztownych klejnotów i przeniesienia się do Paryża, bo do Francyi wzdychały wówczas wszystkie włoskie aktorki. Zdarzyło się, że naszą artystką zajął się bardzo Pietro Antonio Gratarol, sekretarz senatu, wysoki urzędnik, który miał wkrótce zostać posłem weneckim w Turynie. Gratarol był jeszcze młody, przystojny, uchodził za zdobywcę serc niewieścich, ubierał się bardzo wytwornie, czasem nawet zbyt oryginalnie. Do teatru chodził w futrze z jakichś rzadkich zwierząt, pokrytem jedwabną, pąsową materyą, przynosił paniom, z któremi się przyjaźnił, cukierki i kandyzowane owoce, »diavoloni napoletani« i różne inne słodycze. Stworzony na przyjaciela dla artystki, starał się jednak przypodobać także tak wpływowej kobiecie, jak pani Tron, a chociaż prokuratessa była już wówczas w poważnym wieku, przecież chętnie widziała hołdujących jej mężczyzn, zwłaszcza takich, jak Gratarol.

Ricci zaczęła zaniedbywać Gozzego, a podstarzały wielbiciel, który dawniej dwa razy na dzień się z nią widywał, gryzł się, trapiony zazdrością, bo Gratarol zwyciężał.

Zdarzyło się, że wtedy Carlo przerobił z hiszpańskiego komedyę »Le droghe d'amore« dla trupy Sacchiego, w której jedną z głównych osobistości był don Adone, złoty młodzieniec, chcący się kobietom podobać, którego łatwo było przerobić na podobiznę Gratarola. Zdaje się, że Sacchi, który wiedział o stosunku Gratarola z artystką, namówił komika Vitalbę, aby się w tej komedyi ucharakteryzował za sekretarza

senatu. Dyrektor spodziewał się, że publiczność wenecka, dowiedziawszy się, iż sobowtór Gratarola będzie przedstawiony w sztuce, zapełni teatr i że kasa złotem się napełni. I rzeczywiście, powodzenie było ogromne. Vitalba zupełnie był podobny do sekretarza senatu, tak samo uczesany, takie same kolory ubrania i wzory koronek, jakie nosił Gratarol, co więcej, aktor wybornie uchwycił jego ruchy, sposób chodzenia »all' inglese« i patrzenia się z powodu krótkiego wzroku. Publiczność śmiała się, cieszyła, oklaskiwała aktora, a biedny Gratarol, który w loży był z jakąś wenecką pięknością, o niczem nie wiedząc, czem prędzej zniknął z teatru, a nazajutrz wszelkich używał sposobów, aby Sacchi zaprzestał dalszych przedstawień nieszczęsnego dramatu. Przedewszystkiem zwrócił się do Rządu, aby uzyskać zakaz dawania obelżywej dla niego sztuki; ale cenzura odpowiedziała, że pozwolenie zostało dane na grę »Le droghe d'amore« i że niema najmniejszego powodu do cofania tego orzeczenia. Poza cenzurą stała wszakże pani Dolfin-Tron, która niesłychanie była zadowoloną z ośmieszenia Gratarola i przez męża robiła, co mogła, aby sztukę dalej dawano, znajomym zaś mówiła, że »taka drobnostka nie warta zachodu«. Nieszczęśliwy sekretarz senatu namówił swoją przyjaciółkę, artystkę Ricci, aby nie brała udziału w przedstawieniu komedyi, aby udała, że zwichnęła nogę, upadłszy ze schodów. I to wszakże nic nie pomogło; publiczność dopominała się sztuki, Sacchi musiał zastąpić panią Ricci inną aktorką. Gratarol miał wielu nieprzyjaciół w Wenecyi, mężów z jego powodu zadrosnych, kobiet, które porzucił, mimo że je długo zapewniał o swej miłości. Uciecha była powszechna, tak, że sekretarz nie mógł się pokazać na ulicy, a do swego biura w senacie skradał się zaułkami, jak gdyby jaką zbrodnię popełnił. Pani Tron tak pracowala, że rząd wenecki niebawem uznał, iż tak ośmieszonego człowieka, jak Gratarol, nie można wysyłać do Turynu jako przedstawiciela Rzeczypospolitej. Intrygi przeciw biedakowi coraz to bardziej się wzmagały, zaczął się obawiać o swoje życie i w jesieni 1777 r. uciekł z ojczystego miasta. Rząd wezwał go do powrotu, a gdy się w Wenecyi nie stawił, zastosowano do niego najostrzejsze prawa, jakie istniały przeciw urzędni-

kom, którzy bez pozwolenia opuszczają swoje stanowisko. Dekretem z dnia 22 grudnia 1777 r. skazała go Rada dziesięciu na śmierć »in contumaciam«, na konfiskatę dóbr i wyznaczyła najcięższe kary na poddanych Rzeczypospolitej, którzyby zbiegowi dali jakąkolwiek pomoc, albo go w swój dom przyjęli. Gratarol wyjechał najprzód do Brunszwiku, następnie udał się do Sztokholmu, stamtąd do Anglii, gdzie Pitt przyjął go bardzo łaskawie i wspierał pieniężnie. Ale i w Anglii długo nie zabawił; w roku 1784 znajdujemy go w Stanach Zjednoczonych, a z początkiem 1785 w Brazylii. Bawił tam jednak tylko kilka miesięcy, poczem z wyprawą naszego Beniowskiego popłynął do Madagaskaru i tam umarł w październiku r. 1785 w czterdziestym roku życia.

Podczas swego pobytu w Sztokholmie wydał Gratarol w r. 1779 dużą broszurę pod tytułem »Narrazione apologetica«, w której opisuje powody swego wyjazdu z Wenecyi i rzuca ciężkie oskarżenia przeciw Carlowi Gozzemu i małżonkom Tron. O pani Katarzynie bardzo gorzko i pogardliwie się tam wyraża. »Ta pani — pisze — urodzona ze szlacheckiej, ale zubożałej rodziny, dość ładna, o żywym umyśle, nadzwyczaj kapryśna, zeszła za młodu do błota, aby się później wynieść aż na dach. Nie przypuszczała, że zapach bagna pozostaje, choćby się wyszło na szczyt góry«. »Bel salto il passare dalla condizione di mercenaria allo stato di gran matrona«. Tej »zjadliwej gadzinie« przypisuje Gratarol może za wielki wpływ na rządy weneckie; to pewna, że odgrywała pani Tron w całej sprawie nieszczęśliwego sekretarza bardzo złośliwą rolę, nie przypuszczając może, jakie tragiczne skutki wynikną z jej intryg.

Wkrótce po wyjeździe Gratarola stała się pani Katarzyna podejrzaną weneckim Inkwizytorom państwa. Jeszcze dawniej, w kilka miesięcy po ślubie swym z Tronem zarządzono u niej rewizyę i zabrano kilka »bezbożnych filozoficznych« książek; później zakazali Inkwizytorzy zebrań w jej Casino w San Giuliano, ponieważ schodzili się tam ludzie wolnomyślni i rozprawiali o kwestyach politycznych i religijnych, których poruszać nie było wolno. Abate Angelo Barbaro bolał w makaronicznych wierszach nad tym zakazem poniedział-

kowych wieczorów, na których zajmowano się pismami Rousseau'a, przesadzano się w »bomo« (bons mots) i bawiono wybornie.

Gdyby nie te poniedziałki, byłby Andrea Tron po śmierci doży Alvisa Moceniga został naczelnikiem państwa, a signora Caterina dogaressą. Dokładała ona wówczas niemało starań, poruszała przyjaciół w Wenecyi i w Padwie, aby zapewnić wybór mężowi, ale wszystkie jej usiłowania były daremne. Czternastego stycznia 1779 został wybrany dożą Paolo Renier. Niemało przyczyniły się do tego i postępowe idee samego Trona, który, widząc upadek społeczeństwa, dążył do ograniczenia liczby klasztorów, tudzież do innych reform. Społeczeństwo było wszakże już tak skostniałe, patrycyat tak się obawiał jakichkolwiek zmian w organizacyi państwa, że wobec tych wstecznych prądów musiała upaść kandydatura Trona. Wpływ potężnego dotąd dygnitarza coraz bardziej niknął, pisano na niego złośliwe epigramy; jeden ze znakomitych Wenecyan donosił wtedy ambasadorowi Rzeczypospolitej w Paryżu, że Tron upadł, gdyż jego filozofia nie znalazła poklasku. Nigdy może nie mówiono tyle o filozofii, co w owych czasach; od krawca i szewca do lekkich pań światowych każdy miał filozofię na ustach.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że Tron był najznakomitszym mężem stanu ówczesnej Wenecyi, a sam Gratarol nazwał go »najsławniejszą, najpotężniejszą osobistością Rzeczypospolitej«. Oczywiście wpływ jego gniewał wielu zawistnych, a w sierpniu roku 1774 znaleziono w urnie Wielkiej rady następujący wierszyk;

Serenissima Signoria;
La Republica se finia:
Voleu saver el perchè?
Perchè un savio vol far da Re.
Andreas Tronus Venetiarum Rex.

Tron umarł 25 czerwca 1785 r. na wsi, w okolicy Treviso. Caterina żyła jeszcze w Wenecyi, zgromadzała małe kółko przyjaciół w swem Cassino w San Giuliano, ale już nie odgrywała większej roli w społeczeństwie. »Gazzetta urbana

Veneta« z 16 listopada 1793 r. przyniosła wiadomość o jej śmierci.

W chwili, kiedy już zapominano o prokuratessie, wystąpiła na widownię wielkiego świata w Wenecyi Cecylia Tron, z domu Zen, zamężna za Franceskiem Tron, bratem Andrzeja. Cecylia, daleko piękniejsza i młodsza od Katarzyny, stała się jedną z najgłośniejszych »lwic« końca XVIII wieku, a znakomici poeci składali u jej stóp wierszowane hołdy. O niej niebawem mówić nam przyjdzie.

V.

Lecz wróćmy do braci Gozzich. Carlo stał się sławnym nie tyle może w ojczyźnie, ile u innych narodów, u Niemców, Anglików i Francuzów. W Wenecyi wkrótce przebrzmiały jego »bajki dramatyczne«, Goldoni go przyćmił; natomiast tłomaczono jego »Fiabe« na język niemiecki, francuski, a krytycy i dramaturdzy w Niemczech, począwszy od Goethego i Schillera, od Tiecka, Schlegla i Hofmanna, a skończywszy na Wagnerze i Schopenhauerze częścią wysoko podnosili jego wyobraźnię i wielki talent sceniczny, częścią brali od niego tematy do swoich utworów, jak Schiller do »Turandot«, Tieck do »Blaubarta«, Wagner do swoich »Faten«. We Francyi pani de Stael, Sismondi, Chasles i Musset rozgłosili nazwisko Wenecyanina; wszystkich uderzała w jego bajkach ta dziwna mieszanina realizmu i fantastyczności, moralnej alegoryi i osobistej satyry, motywów nadnaturalnych i masek z komedyi »dell'arte«. Cudzoziemcy nie czuli w bajkach tego, co Włochów bardzo raziło, zaniedbanej formy i niepoprawnego języka, wogóle pewnej niedbałości w obrobieniu rzeczy, tak sprzecznej z wykończeniem, do jakiego byli przyzwyczajeni u współczesnych wielkich pisarzy, jak Alfieri albo Metastasio. Na północy zresztą zawdzięczał Carlo swoje powodzenie kierunkom romantycznym w literaturze z początkiem XIX wieku, które chętnie przejmowały fantastyczne nadzwyczajności.

Gasparo Gozzi był właściwie potężniejszym talentem,

aniżeli Carlo, ale zmarnował się w biedzie, w codziennej pracy dla chleba; Carlo gwałtowniejszy, drażliwszy, szukający literackiej walki, poświęcał najczęściej formę i zaokrąglenie swych dzieł chwilowej nienawiści, chwilowym porywom, a rzec można, że pisał zawsze w gniewie. Przeciw Goldoniemu wymierzył swoją »Tartana degl'Influssi« i »Teatro comico all'osteria del Pelegrino«, przeciw Chiaremu »Fogli sopra alcune massime del genio e costumi del secolo«, przeciw Grataroliowi »Memorie inutili«, a wreszcie przeciw teatrowi tak Goldoniego, jak i Chiarego, swe »Fiabe«. Aby dokuczyć Goldoniemu, aby go uczynić niepopularnym, pisał szybko, niedbale i nie szanował w tej mierze swej literackiej godności. Nie można zaprzeczyć, że w jego nienawiściach było dużo szlachetnego patryotyzmu, uważał dawne rządy Rzeczypospolitej i jej instytucye za najwyższe dobro swej ojczyzny i rzucał się na każdego, kto chciał wprowadzać jakieś nowości. Za nadto jednak był krótkowidzącym, a przedewszystkiem za mało znał inne kraje, aby spostrzedz, że broni rządów, których już bronić nie warto, że podpiera spróchniałe, walące się drzewo. Ku końcu też życia spostrzegł, że dawne weneckie społeczeństwo jest społeczeństwem w upadku, lecz był już za stary, aby się z pożytkiem przejmować nowemi ideami.

W r. 1780 napisał pamiętniki, którym, jakeśmy wspomnieli, dał godło »Libertà, Eguaglianza«. Dawniej byłby tych haseł nie użył. Pamiętniki miały właściwie za główny cel obronę autora przeciw oskarżeniom Gratarola w jego »Narrazione Apologetica«; ale rząd wenecki rękopisu wydrukować nie pozwolił, aby nie wznawiać sprawy, która nie przynosiła wielkiego zaszczytu inkwizytorom państwa. Dopiero w r. 1798, gdy pod nowymi rządami zaczęto znów czynić Gozzemu bardzo złośliwe zarzuty z powodu sprawy Gratarola, mógł wydać owe pamiętniki, doprowadzając je aż do roku ich ogłoszenia. Książka ta, może staranniej pisana, jak »Fiabe«, zawierająca dużo ciekawych szczegółów, jest bezmiernie rozwlekłą. Stary autor ciągle się powtarza, zastanawia się nad sprawami, które nikogo obchodzić nie mogą, zrzędzi, a trzeba dużo cierpliwości, aby przeczytać te dwa duże tomy jego wy-

nurzeń. Broni się zresztą po adwokacku i bywa często stronniczym, na swoją korzyść.

Carlo Gozzi umarł w r. 1806 4 kwietnia i dożył jeszcze przedstawień zapożyczonej u niego »Turandot« na niemieckich scenach. Pomimo, że narzekał całe życie na smutne swoje materyalne stosunki, pozostawił dzięki oszczędności, przechodzącej w skąpstwo, cztery kamienice w Wenecyi.

Z Carlem zszedł do grobu w Wenecyi jeden z najwytrwalszych obrońców i chwalców »temporis acti«.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

FRANCESCO ALBERGATI.

I.

W r. 1770 przybył do Wenecyi na mieszkanie margrabia Francesco Albergati Capacelli, boloński senator, jeneralny adjutant i szambelan króla polskiego, wielki familiant, w dość niezwykłym celu. Chodziło mu o wycofanie się z przyrzeczeń małżeństwa, które w swych listach nieroztropnie dał Wenecyance niższego stanu, nigdy jej nie widząc.

Była to osobistość wielce zajmująca. Albergati, jako dwudziestopięcioletni młodzieniec, został dzięki swemu arystokratycznemu urodzeniu gonfalonierem di Giustizia, pierwszym dygnitarzem bolońskiego senatu; ale gonfalonier nic nie miał do czynienia, bo Bolonia, zostawszy prowincyą państwa papieskiego, mogła się wprawdzie szczycić senatem, ale była to magistratura bez władzy. Panował tam, jak mówiono, biało ubrany monarcha, mieszkający w Rzymie, który posyłał co dziesięć lat duchownego w purpurze, aby rządził w jego imieniu. Ten purpurowy kardynał miał pod sobą kilkudziesięciu czarnych księży, którzy dawali rozkazy cywilnemu jegomości, z wielkim łańcuchem i medalionem na piersiach. Umedalowany dygnitarz dowodził policyą, składającą się z sześćdziesięciu żołnierzy i zamykał ludzi niewygodnych hierarchii do ciasnych lochów, gdzie się dostaje pożywienie za darmo. Oto

prosty aparat administracyjny biało-czerwono-czarny, który najzupełniej wystarczał do uszczęśliwienia Bolonii.

Francesco Albergati miał jednak nad sobą straszniejsze rządy, matkę, wielką arystokratkę i jeszcze większą despotkę, która chcąc swego syna ustrzedz od młodzieńczych lekkomyślności, kazała mu w dwudziestym roku życia poprowadzić do ołtarza (18 lutego 1748) również młodą pannę ze znakomitego rodu, Teresę Orsi. Narzeczeni szczerze się nie lubili, szli ze łzami w oczach do ślubu; mimo więc rozkazu matki żyli ze sobą tylko półtora roku. Wyrozumiały papież Lambertini, Bolończyk, dał rozwód młodej parze, poczem Teresa wstąpiła do klasztoru, a Francesco oddał się z zamiłowaniem tłomaczeniu francuskich dramatów i dawaniu teatralnych przedstawień w swej wspaniałej willi Zola, tuż pod Bolonią. Urządził tam bardzo piękny teatrzyk, mogący pomieścić trzystu widzów i sam występował na scenie, był bowiem z zamiłowania wybornym aktorem. Odwiedzał go tam Goldoni, z którym się bardzo zaprzyjaźnił (1752). W całych Włoszech nie było aktora, któryby tak wybornie przedstawiał bohaterów w tragedyi i kochanków w komedyi, a ponieważ nasz markiz popierał nowatorskie kierunki Goldoniego, więc cała profesorska Bolonia powstała przeciw niemu, mówiąc, że niegodnem jest Włocha, a nadto jeszcze Bolończyka, aby podkopywać komedyę dell'arte, klejnot i chwałę narodu. Mimo to teatr w Zola bywał pełny, zwłaszcza że wielka gościnność i uprzejmość gospodarza zachęcała do przyjemnej wycieczki. Goldoni napisał pięć komedyi dla teatru Albergatego, nadto przedstawiano tam w tłomaczeniach Woltera »Semiramidę«, Corneilla »Cinnę«, Racina »Fedrę« i »Ifigenię«. Owe tłomaczenia z francuskiego zbliżyły Albergatego do Woltera, tak, że się zawiązała pomiędzy nimi korespondencya, która trwała długie lata. Wielkie panie bolońskie gorszyły się »komedyanctwami« Albergatego, nie mówiąc już o starej matce markizie, która o mało że się nie wyparła takiego syna. Markizę gniewały te teatralne zabawy i znaczne wydatki, które scena w Zola pochłaniała, i robiła Franceskowi najgwałtowniejsze z tego powodu wyrzuty; ale młody markiz oświadczył stanowczo, »że albo będzie dawał dalej komedye w Zoli, albo wyjedzie na

stałe mieszkanie do Wenecyi«. Na szczęście nie przyszło na razie do tej ostateczności, bo Francesco zakochał się w hrabinie Maryi Orsi, kuzynce byłej swej żony, i został jej kawalerem servente, przeciw czemu mąż Maryi, hrabia Ercole Orsi nic nie miał do zarzucenia. Hrabina była miła, młoda, wesoła, z wielkiem powodzeniem występowała na scenie w Zoli, a gdy ją Goldoni zobaczył w jakiejś komedyi, tak się nią zachwycił, że później zawsze wspominał w listach do Albergatego o nieocenionej »contessinie«.

Arystokratyczny świat boloński zaczął się gorszyć tą komedyancką parą, a właściwie zazdrościć jej powodzenia, tak, że Francesco i hrabina postanowili otworzyć w zimie teatrzyk już nie w Zoli, ale w mieście, w Bolonii, i to teatr demokratyczny, w którym Albergati nie dopuszczał arystokratycznych amatorów na scenę, a nawet nie sprzedawał biletów ludziom z »towarzystwa«. Albergati występował tam pod pseudonimem Franceska Capacellego, a teatr swój nazwał »dei Ravvivati«, co złe języki przemieniły niebawem na »dei Rovinati«.

Przedsiębiorstwo to rzeczywiście już z góry było skazane na ruinę, gdyż wspólniczka Franceska, hrabina Marya, nie była zadowolona ze swego kawalera servente i gorąca miłość teatralnej pary przez zimę bardzo ostygła. Jakie były powody oziębienia, nie wiemy. Franceska bardziej jednak bolał ten zawód, aniżeli hrabinę. Co więcej, biednego Albergatego zasypano satyrami i obraźliwymi wierszami, zarzucano mu, że kala poważną togę senatorską, że jest libertynem, a nawet heretykiem, rewolucyonistą i demagogiem.

Jednocześnie tracił Albergati przyjaciółkę i musiał znosić najzłośliwsze oszczerstwa, a nadto opuszczał go najlepszy przyjaciel, abatino Taruffi, który był od młodości jego mentorem. Taruffi został sekretarzem nuncyusza papieskiego, Viscontego, przy królu Stanisławie Poniatowskim i musiał wyjechać z Bolonii do Warszawy. Opuszczał rodzinne miasto z rozranionem sercem, gdyż, jak pisał 3 czerwca 1765 r. do swego przyjaciela, także abatina, Cesarottego, kochał piękną kobietę i groza go przejmowała, gdy się musiał rozstać na zawsze z tą czarującą istotą. Zdaje się wszakże, że w Warszawie wkrótce się uspokoił, gdyż »Abbé Tarufiński«, jak go

tam nazywano, zaczął pisać niebawem madrygały do pań warszawskich.

Taruffi był nadzwyczaj wykształconym człowiekiem, pełnym towarzyskich zalet, i pełniąc przez długi czas urząd sekretarza przy boku nuncyusza Viscontego, rzec można, że sobie sterał zdrowie w jego służbie i wcześnie umarł. Nieprzyjaciele nuncyusza wiedzieli, że jego powodzenie polityczne w Warszawie i w Wiedniu było jedynie zasługą dobrych rad, których mu udzielał Taruffi, ofiarowali mu zatem bardzo korzystne posady, aby go odciągnąć od nuncyusza. Visconti umiał tylko reprezentować, ale pracował za niego Taruffi; sprawozdania, które pisał do Rzymu, były prawdziwymi wzorami dyplomatycznych pism. Podczas conclave, z którego wyszedł Pius VII Braschi, dokładał Taruffi wszelkich starań, aby Visconti został papieżem. Visconti był ciasnym umysłem i wielkim fanatykiem; jeden z literatów dał mu do czytania romans napisany na sposób autorów greckich; nuncyusz książkę przeczytał i był z niej bardzo zadowolony, ale zauważył, że przecież nie wszystkie przygody, o których autor pisze, dałyby się sprawdzić.

— To niepotrzebne — odpowiedział literat — przecież to są fikcye.

— Jakto! fikcye, a więc kłamstwa, a kłamstwo jest grzechem! — i rzucił książkę o ziemię.

Albergati czuł się coraz nieszczęśliwszym w Bolonii; dokuczała mu matka, dokuczała publiczność, a nadto bolał go zawód w miłości. Postanowił więc wyjechać z ojczystego miasta, a ponieważ nie lubił dalekich podróży, więc na razie wybrał się do Werony, gdzie było wesołe i miłe towarzystwo. Żale zaś swoje wylał, jak każdy literat zwykł czynić, w komedyi, której dał tytuł »L'Amor finto e l'Amor vero« i poświęcił ją Goldoniemu. Była to pierwsza jego oryginalna komedya, pełna satyrycznych docinków, dzisiaj już nie zawsze zrozumiałych. Nie dość wszakże było poecie wierszowanej zemsty, pragnął jeszcze dać poznać bolońskiej arystokracyi, że się bez niej obejdzie i potrafi sobie znaleźć stosunki w świecie. Napisał więc do Taruffiego, aby mu wyrobił u króla polskiego jaki tytuł dworski. Taruffi wyjeżdżał wtedy ze swoim

nuncyuszem na dłuższy czas do Wiednia; polecił więc sprawę monsignorowi Kajetanowi Ghigiotti, który dawniej od niego bawił w Warszawie, został osobistym sekretarzem króla, konsyliarzem tajnym i kanonikiem warmińskim. Obydwaj abatini porozumieli się pomiędzy sobą i uzyskali tyle, że król mianował 27 kwietnia 1767 naszego bolońskiego senatora swoim szambelanem. Tego było wszakże Albergatemu za mało; pragnął jakiegoś większego odznaczenia i w tej mierze udał się znowu do przyjaciela Taruffiego, aby z pomocą Ghigiottego starał się u króla o jeszcze wyższą godność dla niego. Taruffiemu nie podobała się ta natarczywość markiza; jako dawny mentor napisał mu zatem list otwarty i szczery, iż nie wszystko da się tak łatwo przeprowadzić na dworze Stanisława Augusta, jak mu się zdaje, pomimo że nikt nie zajmuje się tak szczerze Albergatim, jak on, Taruffi, i Ghigiotti. Ten ostatni zresztą jest dworzaninem, który musi »balansować« na linie, aby się w równowadze utrzymać. Jako człowiek wielkiego wpływu i zręczny, ma całą czeredę zawziętych nieprzyjaciół, którzy tylko czyhają na to, aby mu nogę podstawić, a pomimo stałego i sprawiedliwego charakteru króla, nie dziwiłby się, gdyby uległ gniewom i podstępom swoich wrogów. Zresztą radził Albergatemu posłać jakie dary do Warszawy, bo na podarunki są tkliwi nie tylko ludzie, ale i bogowie.

Ta rada trafiła Albergatemu do przekonania; nabył więc piękny obraz »Ledę« Gio. Bettiny Cignarolego, najznakomitszego artysty w Weronie, i posłał 23 września 1767 r. w darze Stanisławowi Augustowi do Warszawy. Leda bardzo się podobała królowi, który według listu Taruffiego do Albergatego (z Wiednia 14 marca 1768 r.) miał wykrzyknąć po trzy razy: »Ach, gdybym miał jeszcze Danae tego samego pędzla, jako towarzyszkę do Ledy!«

Ghigiotti otrzymał od Albergatego pięćdziesiąt cekinów za swe zabiegi, więc wystarał się o list króla do markiza, w którym Stanisław August, dziękując za »gentilezzę« i za »l'attenzione« donatora, chwali artyzm i pomysł werońskiego malarza. Usłyszawszy zaś od swego gabinetowego sekretarza, kanonika Ghigiottego, że Albergatemu sprawiłoby przyjemność, gdyby mógł nosić mundur wojska polskiego, wydał rozkaz,

aby mu wysłano patent na polnego adjutanta (aiutante di campo), pomimo że król nie zwykł nadawać tej rangi osobom w kraju niezamieszkałym. Stanisław August kończy swe pismo, prosząc Boga, aby nowemu adjutantowi użyczył wszelkiego szczęścia [1]).

Albergati nazywał się według patentu »Generale aiutante di campo al servizio di S. Maestà il Rè di Polonia« i mógł nosić biały mundur, złotem wyszyty, z niebieską kamizelą i takimiż wyłogami.

Boloński senator nie potrzebował krwi przelewać za Polskę; z wdzięczności też za zaszczyt, nie obowiązujący do żadnych usług, jak mógł najprędzej, przesłał królowi »Danaę« tego samego pędzla, co »Leda«. Artysta zastosował się wszakże w swym drugim obrazie do uwag Taruffiego, udzielonych mu z Warszawy, »aby Danae była mniej tajemniczą i więcej śmiałą, aniżeli Leda, wobec swego gromowładnego cicisbea«.

Pomimo że król mianował Albergatego tylko jeneralnym adjutantem, nasz Bolończyk wytłomaczył wszystkim, że został polskim jenerałem, i tak się nawet podpisywał. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie zrobiły w spokojnej Bolonii te zaszczyty, spadające na markiza, w mieście, które od niepamiętnych czasów nie widziało tak wojowniczej osobistości. Albergati czuł się też zupełnie pomszczonym za wszystkie dokuczliwości, któremi go w ostatnich czasach obsypywali jego współobywatele. W kilka lat później przyjechał jednak niebezpieczny człowiek, który odkrył tajemnicę, że Albergatemu nie należy się tytuł jenerała, ale tylko adjutanta króla polskiego. Tą osobistością był Casanova. Słynny awanturnik, będąc w Bolonii w r. 1773, rad był poznać Albergatego, wystarał się więc o list polecający z Wenecyi i pojechał jednego dnia w południe do Zoli. Ponieważ nie było ani odźwiernego ani nikogo, ktoby spostrzegł przyjazd Wenecyanina, więc Casanova wszedł na pierwsze piętro willi, otworzył pierwsze

---

[1]) Archivio Albergati w Bolonii. Trascrizione Tognetti. Lettera di Stanislao Augusto Re di Polonia al marchese Albergati, da Varsavia 10 Febbraio 1768. Zacytowany w dziele Ernesta Masi: »La vita i tempi, gli amici di Francesco Albergati«, Bologna, Nicola Zannichelli, 1888.

lepsze drzwi i niespodziewanie znalazł się wobec pana domu i pięknej kobiety w słodkiem tête à tête, przy śniadaniu.

— Markiz Albergati? — zapytał Casanova.

— Tak jest, czego pan sobie życzy?

— Mam list, który mam oddać Waszej Ekscelencyi.

Albergati odbiera pismo, ale nad wszelkie spodziewanie, nie otwierając, kładzie je do kieszeni; tłomaczy się dość szorstko, że nie ma zwyczaju czytania listów przed obiadem, że zresztą przeczytawszy później list, zastosuje się do życzenia korespondenta.

Casanova wychodzi, wraca niezadowolony do Bolonii, a odebrawszy nazajutrz bilet wizytowy z napisem »Son Excellence le Général Albergati«, mści się zaraz za niegrzeczność Excellencyi, rozgłaszając, że Albergati nie został bynajmniej jenerałem, ale tylko adjutantem króla polskiego, że zresztą nigdy nie był wojskowym, ale tylko otrzymał rangę wojskową. Gniew na Albergatego z powodu niegrzecznego przyjęcia w Zoli przebija się w pamiętnikach Casanovy i w liście do księcia Kaspra Lubomirskiego z 14 czerwca 1772, gdzie awanturnik w zabawny sposób opisuje kłopoty markiza z powodu wojskowego munduru.

Albergati zamierzał w lipcu owego roku mieć w instytucie sztuk pięknych w Bolonii wykład o sztuce, jako wstęp do rozdania nagród artystom, celującym w malarstwie, w rzeźbie lub architekturze. Na tę uroczystość chciał markiz przywdziać swój wojenny mundur polski, a nie boloński senatorski, czemu koledzy senatorzy, którzy mieli zasiąść obok niego, mocno się sprzeciwiali, gdyż byłoby to upośledzeniem czarnej togi z wielkim kołnierzem. Albergatemu był wszakże barwny wojskowy mundur bardziej do twarzy; więc utrzymywał, że oficer, stojący przed publicznością, nie może się zapierać swoich odznak. Cała Bolonia zajmowała się tą sprawą; kobiety sądziły, że markiz ma słuszność, mężczyźni stali w opozycyi. Kto zwyciężył, nie wiadomo; zapewne kobiety, ale Casanova tymczasem spodziewał się, że Albergati znów napisze jaką tragedyę, pobudzającą do śmiechu, albo komedyę, podczas której publiczność będzie miała dużo sposobności do płaczu.

II.

Jeszcze w r. 1768 słyszał Albergati o Wenecyance Bettinie Caminer, jako o pięknej dziewczynie, literatce, tłomaczącej i piszącej komedye, tak, że go nieznajoma bardzo zaciekawiła. Wówczas miała Bettina ośmnaście lat i pomagała swemu ojcu, Dominikowi Caminer, w wydawaniu bardzo lichego dziennika, wychodzącego pod szumnym tytułem »Europa letteraria«, który się nie mógł mierzyć z gazetami Gaspara Gozzego i Barettego. Matka Bettiny, spokojna, rozsądna donna wenecka, zamierzała zrazu zapewnić pewniejszy chleb swej córce, aniżeli literatura. Oddała ją więc na naukę modniarki, niebawem jednak spostrzegła, że Bettinę odprowadza wieczorem do domu jakiś młodzieniec; obawiając się zatem zawczesnego romansu córki, nie pozwoliła jej dalej robić kapeluszy i zostawiła ją w domu. W ten sposób zaczęła dziewczyna pomagać ojcu w dziennikarskiej pracy, nauczyła się po francusku i tłomaczyła paryskie dramaty i tragedye. Miała niezaprzeczone literackie zdolności, stała się nawet współzawodniczką Irmindy Partenidy, żony Gaspara Gozzi. Była jednak młodą, piękną, pełną dowcipu, a nawet »elegancką«, czego się zapewne nauczyła u pań, przychodzących do botegi »cuffiai«, u której robiła kapelusze. Kilka jej tłomaczonych dramatów wystawiono na scenach weneckich; kobiety zaczęły zazdrościć, plotkarki musiały o niej opowiadać co chwilę nowe skandaliczne historye, a jakiś literat, Antonio Piazza, może wzgardzony wielbiciel, napisał nawet romans »I castelli in aria«, w którym robi ją główną bohaterką i szarpie jej sławę. Natomiast Giuseppe Parini podnosił jej talent i urodę w kilku pięknych wierszach, mówiąc o niej w odzie XIII:

»..... donna
Che vaga e belle in gonna
Dell'altro sesso anco le glorie attiene
Fra le Muse immortali
Con fortunato ardor spiegando a'ali«.

Bettina była pierwszą literatką, która popularyzowała w Wenecyi francuskie dramaty płaczliwe, tak zwane »drammi

lagrimosi« Merciera, D'Aonauda i innych. Dramaty te, do których zaliczyć należy sztuki Saurin'a i Beaumarchais'go, biorące tematy z życia klas mieszczańskich, miały za zadanie walczyć z przesądami towarzyskimi, występować przeciw podziałowi społeczeństwa na kasty i tyranii praw istniejących. Stanowiły one jeden z ważnych taranów, uderzających w arystokratyczny porządek rzeczy i poprzedzały teatr sansculotów.

Carlo Gozzi występował też bardzo ostro przeciw tłomaczeniom Bettiny, sądząc, że szerzą one zgubne doktryny i pobudzają niedowarzone głowy do »rebelii«przeciw ustalonym prawom, przeciw urzędnikom państwa i patrycyuszom, którzy są koniecznemi ogniwami w łańcuchu, zapewniającym karność i posłuszeństwo.

Rozgłos Bettiny rozciekawił Albergatego, który zaczął do niej pisywać z Werony, a odpowiedzi nieznanej mu osobiście literatki tak go zachwycały, że listownie oświadczył się o jej rękę. Bettina zrazu nie bardzo wierzyła w te czułości markiza, znanego zresztą z licznych już romansów; ale gdy Albergati przez dłuższy czas nie przestawał pisywać do niej francusko-włoskich listów, ciągle zapewniając, że ma zamiary »légitimes« i »trés légitimes«, zaczęła mu ufać, zwłaszcza, że się jej uśmiechała markizowska korona, pałac w Bolonii, willa w Zoli, słowem, los najświetniejszy, o jakim wenecka dziewczyna z ludu tylko marzyć mogła. Zresztą markiz przyznawał, że wie dobrze, iż według praw bolońskich, żeniąc się z osobą pochodzenia nieszlacheckiego, pozbawia siebie i swoich następców szlachectwa; ale to go zupełnie nie obchodzi, gdyż te rzeczy mają dla niego wartość — figi.

Gdy jednak w jednym z dalszych listów zachęcał Bettinę, aby zawarła z nim małżeństwo w tajemnicy, nadzieje jej bardzo osłabły. Zresztą musiał markiz po trzechletnim pobycie w Weronie udać się z powodu różnych interesów majątkowych i sporów z matką do Bolonii, a ten powrót do dawnych stosunków zdawał się Bettinie niebezpiecznym, w czem miała zupełną słuszność. Albergati za nadto był próżnym, aby się narażać na upokorzenia, któreby za sobą pociągało małżeństwo z Wenecyanką. Nadto nie mógł się poszczycić stałością w miłości. Jak tylko przyjechał do Bolonii, zajął się

bardzo ładną baletniczką, która dotąd była przyjaciółką monsignora Buoncompagni, papieskiego wicelegata. Tancerka z radością zamieniła monsignora na bogatego markiza; Buoncompagni wrzał z zazdrości i gniewu, tem bardziej że niebawem zaczęła po mieście obiegać bezimienna komedya, malująca w sposób drastyczny obyczaje monsignora. Podejrzywano Albergatego o autorstwo tego paszkwilu, a pomimo że markiz stanowczo zaprzeczał, jakoby on pisał ową komedyę, Buoncompagni nie wierzył zapewnieniom i postanowił zemścić się na markizie. Potrafił też skłonić dwór rzymski, iż udano się przez nuncyusza w Warszawie do króla Stanisława Augusta, aby mu odebrał klucz szambelański i epolety adjutanta. Dowiedziawszy się o tem, napisał Albergati do Ghigiottego, aby skłonił króla do zażądania w Rzymie formalnego zadośćuczynienia za obelgi, któremi Buoncompagni obrzuca królewskiego dygnitarza. Oczywiście tego Ghigiotti uzyskać nie mógł, ale Stanisław August nie odebrał markizowi godności, które mu był nadał, a nawet kazał napisać do legata papieskiego, kardynała Branciforte w Bolonii, list, w którym oświadcza, że nie ma powodu cofać swoich względów i swego szacunku, jaki ma dla Albergatego i że nadal otacza go swą łaską [1]).

Uszczęśliwiony Albergati tem pismem, chcąc zerwać stosunki z oszczerczym wicelegatem, posłał do Rzymu swą rezygnacyę z godności senatorskiej. Rezygnacyi jednak nie przyjęto, papieżowi bowiem chodziło o to, aby członkowie znakomitych rodzin nie usuwali się od urzędów, aby przeto urok arystokracyi się nie zacierał. Albergati nie dał się wszakże ułagodzić, odpowiedział, że będzie mieszkał trzy czwarte części roku w Wenecyi, a w lecie na wsi i nie chce słyszeć o bolońskich godnościach.

W sierpniu więc roku 1769 przybył markiz do Wenecyi i zobaczył wreszcie swoją wymarzoną Bettinę; ale unikał rozmowy o przyobiecanem małżeństwie i zamiast zaprowadzić do ołtarza, chciał Bettinę zawieźć na jakiś czas na wieś, »aby

---

[1]) Listy Ghigiottego do Albergatego z 24 stycznia i 14 marca 1770 z Warszawy, w archiwum Albergatich, przytoczone w dziele Ernesta Masi.

się z nią razem uczyć po angielsku«. Widocznie jednak ani rodzice literatki, ani ona sama nie przystała na tę angielszczyznę, a projekty małżeńskie zmieniły się w przyjaźń, która zresztą nie trwała długo, gdyż Bettina w rok później wyszła za mąż, za lekarza Turrę, i przeniosła się do Vicenzy. Otwarła tam rodzaj literackiego salonu, co wówczas było w modzie, i widocznie nie dochowywała zbyt ściśle wierności małżeńskiej swemu doktorowi, bo jeden z jej wielbicieli, urażony tem, że serce jej i dla innych jest otwarte, skarżył się:

Che siete bella me l'han detto quanti
Vi vennero dinanzi ad occhi sani,
E che innamovereste uomini e santi,
Tedeschi, gesuiti e luterani.

W salonie Bettiny panował duch bardzo rewolucyjny i wolteryański, bo uważano panią doktorową za kobietę, która zerwała z Kościołem. To też, gdy jeszcze młoda i piękna, śmiertelnie zachorowała, przyszedł do niej paroch, aby ją pogodzić z religią, i nie rozmówiwszy się nawet z chorą, pobiegł do kościoła, aby ogłosić z ambony nawrócenie grzesznicy. Ale umierająca Bettina, dowiedziawszy się o tem, zebrała jeszcze ostatek sił, aby kłam zadać słowom parocha.

Albergati przybył do Wenecyi, nosząc już w sercu inną kobietę, a nie Bettinę. Co najmniej od dwóch lat miał on stosunek z Cateriną Boccabadati, córką przyzwoitej, nieszlacheckiej rodziny, zamieszkałej w Bolonii, ale pochodzącej z Modeny. Jedna siostra Cateriny wyszła za mąż za patrycyusza weneckiego, Gian Alvisa Foscariniego, druga za Bolończyka, Petronia Gabussi, który był zarządcą domu, »maestro di casa«, u Albergatego. Otóż przez Gabussego miał markiz sposobność poznać się z Cateriną, czyli, jak ją po wenecku nazywano, Cattiną, i wkrótce zawiązał z nią ścisły stosunek. Cattina obdarzyła go w roku 1770 pierwszym synem, poczem poślubił ją, ale w tajemnicy, gdyż matka markiza jeszcze żyła i byłaby zawarciu tego małżeństwa stawiała wszelkie możliwe przeszkody. Gdy jednak stara markiza umarła (1771), rozgłosił zaraz, że zawarł ślub z Cattiną, i miał nawet zamiar pojechać z nią do Warszawy; ale Ghigiotti odradził mu tę podróż, albowiem

nie możnaby przedstawić Cattiny na królewskim dworze i mogłyby z tego powodu powstać nieprzyjemne plotki. Zaniechał więc zamiaru i dobrze zrobił, bo właśnie w tym czasie wykonano zamach na życie Stanisława Augusta, który poruszył całą Warszawę. Albergati urządził w Bolonii dziękczynne nabożeństwo, że król nie poniósł żadnego szwanku, odśpiewano w kościele katedralnym solenne Te Deum, co tak dobrze przyjęto w Warszawie, że Stanisław August ozdobił Albergatego orderem św. Stanisława. Markiz tak się ucieszył tem odznaczeniem, że posłał królowi z końcem r. 1772 trzeci obraz, przedstawiający »una Venere, hominum Deorumque voluptas«, pędzla Valianiego. Obraz nie musiał się królowi bardzo podobać, bo w liście, którym dziękował Albergatemu za cenny dar, nie mógł się powstrzymać od uwagi, że gdyby koloryt odpowiadał innym zaletom obrazu, toby to dzieło artystyczne jeszcze było piękniejsze. »Ale każdy miłośnik malarstwa i rysunku — dodaje król — nie może od nowych artystów wymagać tej doskonałości w sztuce, którą podziwiamy u dawnych«.

Za owe obrazy wyzyskiwał Albergati przy każdej sposobności królewską łaskę. Gdy mu się urodził syn Luigi, prosił króla, aby raczył mu być ojcem chrzestnym, na co Stanisław August się zgodził. Później chodziło o to, aby Luigi, urodzony z Cattiny, kobiety nierównego stanu, miał pomimo to prawo następstwa po ojcu w senacie bolońskim. Papież nie chciał odstąpić w tej mierze od zwyczaju, więc Albergati udał się po protekcyę do króla. Stanisław August uczynił zadość prośbie markiza, napisał do Piusa VI w tej sprawie, prosząc o przyznanie Luigiemu tego samego stanowiska senatorskiego, jakie zajmował ojciec. Papież przychylił się do prośby królewskiej i Luigi uzyskał senatorskie prawa.

Tymczasem zajmował się Albergati bardzo literaturą, pisał dużo i śledził prace coraz niebezpieczniejszego swego współzawodnika, Alfierego. Wielki dramaturg ogłosił w r. 1783 po raz pierwszy drukiem cztery swoje tragedye. Naszemu markizowi nie podobały się te poetyczne dzieła sabaudzkiego hrabiego. Utrzymywał, że Alfieri ma styl twardy, ciemny i »nie włoski«. Zdania tego nie odmienił nawet, gdy w czerwcu

r. 1783 odwiedził go Alfieri w Zoli i czytał niektóre ustępy ze swoich tragedyi. Markiz nazwał usposobienie Alfierego »un temperamento di diamante«, bardzo zresztą trafnie, bo i w charakterze i w stylu Alfierego było dużo świetności, czystości dyamentu, ale i niemało twardości.

Komedye Albergatego zaczynały być bardzo popularne, osobliwie z tego powodu, że markiz przedstawiał na scenie śmieszności wyższych klas społeczeństwa, czego nie śmiał uczynić Goldoni, aby się nie narazić rządowi weneckiemu. Albergatemu, jako autorowi należącemu do arystokracyi i człowiekowi bardzo zamożnemu, niejedno uchodziło; i tak w swych dwóch komedyach, noszących tytuł »Il saggio amico«, przedstawił bardzo złośliwie cicisbea, tudzież owego przyjaciela pań, perukarza, który bywał ich posłem w sprawach miłosnych, a nawet czasami zyskiwał zupełnie ich łaski. Charakterystyczną dla epoki jest jego komedyjka »Le convulsioni«, przedstawiająca kobietę, która czytając książki francuskie, a mianowicie Woltera, Rousseaua i Holbacha, została histeryczką i z nienaturalnego stanu leczy ją dopiero mąż swym sarkazmem i rozumnemi uwagami. Właściwie nie miał Albergati prawa wyśmiewać wpływu encyklopedystów francuskich, bo sam był ich uczniem i zostawał pod ich urokiem.

Najznakomitszą jego komedyą była: »Il ciarlator maldicante«, »Złośliwy plotkarz«, którym tym razem jest muzyk, postać charakterystyczna XVIII wieku. Zajmuje on trochę wyższe stanowisko, jak Figaro-fryzyer; jest to artysta »Musico Scarpinello«, żyjący nie tyle z muzyki, ile z intryg i roznoszenia po salonach zajmujących nowinek. Zdaje się, że przedstawiając swego »muzyka«, miał Albergati na myśli słynnego Farinellego, który zebrawszy na dworze hiszpańskim olbrzymią fortunę, osiadł w Bolonii i miał wszelkie wady salonowego szarlatana, zdobywającego sobie świat korzystaniem z mody muzycznej, grasującej w XVIII wieku.

Komedye Albergatego musiały się przeżyć, bo bohaterowie w nich przedstawieni nie mieli głębszych cech psychologicznych, żywotności, stanowiącej cechę wszelkiego literackiego mistrzowstwa. Utwory te należą też dzisiaj już tylko do historyi włoskiego piśmiennictwa.

III.

W r. 1786 miał Albergati lat pięćdziesiąt ośm, a od siedmiu lat był połączony związkiem małżeńskim z Cattiną Boccabadati, która go obdarzyła trzema synami. Przez cały ten czas niewiele wiemy o Cattinie; zdaje się, że była kobietą wykształconą, bo Alfieri i przed nią czytał swoje tragedye, i że umiała z godnością nosić markizowską koroną, skoro Albergati miał zamiar przedstawić ją na królewskim dworze w Warszawie.

W pierwszych latach małżeństwo było szczęśliwe, pomimo że Cattina należała do osób nerwowych o charakterze zmiennym, kapryśnym. Bardzo łatwo wpadała w gniew, bywała upartą i trudną w pożyciu. Wady te z czasem się zwiększały i Albergati miewał ciężkie z nią przejścia. Cattina wpadała w gniew prawie nie do poskromienia, tak, że raz w Wenecyi, w napadzie dzikiej złości, odgryzła zębami uszko od szklannego kubka i połknęła trochę odłamków. Innym razem porwała nożyczki i gdyby mąż nie wydarł jej z rąk niebezpiecznego narzędzia, byłaby się zraniła; albo znowu chwyciła za włosy pokojową, rzuciła nią o ziemię i o mało jej nie zabiła. Mąż umykał przed jej furyami, zamykając się w pokoju, co ją wprowadzało w taki gniew, że biła pięściami we drzwi, a gdy to nie pomagało i markiz się nie odzywał, udawała, że ją już gniew opuścił i łagodnym głosem prosiła go, że ma mu coś ważnego do powiedzenia.

Na domiar zakochała się w jakimś Wenecyaninie, a jej »servente«, którego nazwiska nie znamy, bawił nawet jakiś czas w Zoli, gdzie go Albergati z przyjemnością gościł, gdyż małżonka w czasie jego pobytu była spokojniejsza. W sierpniu jednak 1786 cicisbeo odjechał do Wenecyi; Cattina znowu wpadała w złe humory, najmniejsze przeciwności ją drażniły. Zdarzyło się, że wieczór piętnastego sierpnia miała być tańcująca zabawa w Zoli, a ponieważ syn domu, Luigi, nie miał rękawiczek, poleciła markiza zarządcy domu, aby kupił je w Bolonii. Maestro di casa zapomniał zrobić ten sprawunek, wskutek czego wpadła Cattina znów w najgorszy humor,

utrzymywała, że ponieważ nie pochodzi z arystokratycznej rodziny, nikt jej w domu nie słucha, i rozmaite inne wywodziła żale. Wtem podano obiad, a że było kilku gości, więc się neurasteniczka trochę uspokoiła. Po obiedzie poszła do swych apartamentów, obok których był pokój jej córki, Eleonory, i znowu zaczęła wymyślać i gniewać się z powodu owych rękawiczek. Niebawem usłyszała Eleonora gniewne wyrazy matki: »Dość mam tego, zobaczycie, co zrobię!« Zaglądnęła więc do pokoju matki, a spostrzegłszy, że Cattina wyciąga z puzderka mały nóż, przerażona zaczęła wołać: »Ratunku! ratunku!« Przybiegł mąż, sługi, goście, a zaledwie Albergati mógł sobie zdać sprawę z tego, co się dzieje, już markiza pchnęła się dwa razy w piersi i pokazała rany mężowi: »Patrz — zawołała — oto krew!« Rany były śmiertelne, Cattina wkrótce umarła.

Następnego dnia przybyła urzędowa komisya z Bolonii. Spisano protokół oględzin, kardynał legat kazał wyrazić swoje współczucie Albergatemu i nic nie wskazywało na to, aby miano podejrzenie, że markiz jest winnym śmierci żony. W Bolonii zaczęto jednak powszechnie mówić, że Albergati zamordował Cattinę, wskutek czego kardynał kazał uwięzić Albergatego i wytoczyć śledztwo. Dwa miesiące trwały dochodzenia; ponieważ jednak najmniejszego nie było podejrzenia, jakoby markiz popełnił tę zbrodnię, więc go uwolniono 9 listopada 1786 r. Tego samego dnia ukazał się markiz w sposób trochę teatralny w swojej loży w teatrze Zagnoni, gdzie cały wielki świat boloński był zgromadzony. Nazajutrz wyjechał ze synami do Wenecyi.

Jak to zwykle bywa w podobnych razach, nieprzyjaciele Albergatego nie ucichli; mówiono, że markiz zawdzięcza wyrok uniewinniający tylko swemu wysokiemu stanowisku i protekcyom w Rzymie, a sam fakt gwałtownej śmierci markizy był zanadto tragiczny, aby nie miał posłużyć poetom do opiewania go wierszami. Już w kilka miesięcy po tragedyi w Zoli wydał abate Compagnoni pod arkadyjską nazwą Ligofila poezyę pod tytułem: »Cattina, ossia Lettera di questa donna al marchese Albergati«, poświęconą »czułym« paniom we Włoszech, w której wprawdzie wprost nie posądza markiza o mor-

derstwo, ale przecież wskazuje na jego winy wobec nieszczęśliwej małżonki. Podobnie komedyopisarz rzymski Giraud w dramacie »Il sospetto funesto, ossia la sventura degli infelici coniugi Albergati«, wydanym już w kilka lat po śmierci Albergatego, rzuca cień na markiza. Syn Franceska, marchese Luigi, protestował publicznie przeciw temu poniewieraniu pamięci ojca, ale protesty nie na wiele się przydały; do tragedyi Girauda dorobiono później muzykę i przedstawiano ją jako melodramat około r. 1840 we wszystkich prawie teatrach we Włoszech.

Albergati miał jednak czyste sumienie; straszna tragedya domowa nie pozbawiła go bynajmniej chęci do życia i użycia, pomimo że nie był już młodym. Ale w XVIII wieku łatwo pozbywano się wszelkich trosk, melancholia nie była w modzie; jeden z wzorów, na który się nasz markiz zapatrywał, Wolter, zdawał się być młodzieńcem w siedmdziesięciu latach. Albergati postąpił też według ducha czasu, pojechał do Wenecyi, aby się bawić.

Najweselsze towarzystwo zbierało się u pani Cecylii Zen-Tron, którą zwano Aspazyą upadającej Wenecyi. Tam też spotykamy naszego markiza.

Pani Cecylia miała swój salon w Sant'Eustachio, gdzie się zbierali biskupi i abaci, książęta i komedyanci, ambasadorzy i baletnicy, wielkie panie i awanturnice. Każdy cudzoziemiec starał się być gościem pani Tron, salon jej był kosmopolityczny, w przeciwieństwie do towarzystwa pani Katarzyny Tron, wyłącznie prawie weneckiego. Wyliczyć wszystkich, którzy się kochali w pani Cecylii, byłoby trudno; do najgłośniejszych jej wielbicieli należał poeta Parini i awanturnik Cagliostro. Parini poświęcił jej swoją odę »Il Pericolo«, nazwał ją »Donna d'incliti pregi« i nawet ośmieszał się trochę swoją miłością i wynoszeniem pani Cecylii pod niebiosy, podczas gdy cała Wenecya wiedziała, że sentymenta jej bywają częściej ziemskie, aniżeli niebiańskie. Cagliostro umiał ją zdobyć podczas krótkiego swego pobytu w Wenecyi, pomimo że nie był już bynajmniej urodziwym młodzieńcem. Ale Cecylia nie trudną była do zdobycia, z czem się nawet nie ukrywała. Gdy książę kurlandzki przyjechał do Wenecyi,

proszono panią Cecylię, aby mu odstąpiła swojej loży w teatrze; wyrachowana patrycyuszka zażądała za grzeczność znacznej kwoty ośmdziesięciu zecchinów. Wzięto jej bardzo za złe tę chciwość i powtarzano sobie epigram:

Brava la Trona:
La vende el palco
Più caro della persona.

Ktoś powtórzył jej ten złośliwy wierszyk, na co pani Cecylia najspokojniej odpowiedziała: »Hanno ragione, perchè la persona la dono« — za darmo.

Przytomny temu mąż roześmiał się ucieszony, że ma tak dowcipną żonę.

Albergati, wesoły, sławny jako komedyopisarz i rozgłośny swemi przejściami, był bardzo pożądanym gościem u pani Cecylii. Na jednej też z pierwszych »conversazioni«, na którą przyszedł, dał dowód swej przytomności umysłu. Tańczono w salonie, a jakiś Francuz tak zabawnie w menuecie podskakiwał, że Albergati mimowoli się roześmiał. Francuz obraził się, przystąpił do Włocha, mówiąc: »Przestrzegam markiza, że jeżeli źle tańczę, to się dobrze biję«; na co mu Albergati w tej chwili odpowiedział: »W takim razie zawsze się bij, a nigdy nie tańcz«. Całe otoczenie ubawiło się odpowiedzią, a i Francuz nie wziął jej za złe i nie myślał o pojedynku.

U pani Cecylii Tron spotkał się Albergati z Aleksandrem Pepolim, senatorem bolońskim, zamieszkałym od kilku lat w Wenecyi. Pepoli, dużo młodszy od Albergatego, był pod wielu względami pokrewnym mu duchem i człowiekiem bardzo zajmującym. Pełen rozmaitych talentów, a przytem próżny i żądny rozgłosu, jednego dnia występował jako aktor tragiczny lub komiczny na prywatnych scenach, drugiego popisywał się jako baletnik lub gimnastyk, chodząc po przeciągniętej linie, to znowu bił się na szpady lub wyprawiał na koniu niemożliwe harce. Raz podczas jarmarku w Padwie tak się popisywał wraz ze swoim przyjacielem, markizem Orologio, na Pra della Valle powożeniem sześcioma końmi, że aż się stał przyczyną rozruchów. Mnóstwo ludzi zostało poranio-

nych w ścisku, a Inquisitori di stato ukarali go za te awantury kilkodniowym domowym aresztem.

Alessandro miewał też i poważniejsze chwile w życiu; wtedy pisał komedye lub dramaty, a nawet zagłębiał się w studya umiejętne i literackie. Zdaje się, że w r. 1781 otrzymał od Rady X pozwolenie urządzenia w swym pałacu przedstawień komicznej opery »Vendemia«. O tych reprezentacyach dużo mówiono; jeden z gości Pepolego, abate Carquelli, pisał do przyjaciela, że muzyka była dobra, orkiestra wyborna, dwa balety »grotteschi«, w których tańczył sam Pepoli, jako »primo ballerino«, z baletniczką Celinì z teatru S. Cassan, znakomite. Pepoli nie ma wprawy zawodowych baletników, ale skacze z »brawurą« i wykonywa najtrudniejsze tańce. Sala teatralna mieści czterysta osób; panie z »towarzystwa« i »cavalieri« zapełniają ośm pierwszych rzędów krzeseł, resztę inni znajomi markiza, który rozdaje bilety bezpłatnie. Ten kaprys teatralny kosztował go siedmset do ośmiuset cekinów.

Pepoli napisał dużo utworów scenicznych, pomiędzy którymi najgłośniejszy był dramat »Ladislao e tentativi d'Italia«, tudzież niemało poezyi, jak »Pianti d'Elicono« i wiele innych. Tłomaczył także część »Raju utraconego« Miltona, a chcąc pięknie wydać swe dzieła, założył własną drukarnię »Tipografia Pepoliana«. W karty grał namiętnie; można go było widzieć w najrozmaitszych towarzystwach i w najrozmaitszych szulerniach. Gdy wchodził, gra się ożywiała; stawki podwyższano z dziesięciu soldów na ośm lir i więcej, a gracze wychodzili jakby z pod ziemi i okrążali stół, spodziewając się skorzystać z jego braku szczęścia. Nie zważał on zupełnie, z kim grał, czy to byli lichwiarze Zarla lub Giuseppe Pino, czy żyd Eliasz Vitali, każdy mu był dobrym; przez dłuższy czas nawet należał do jego partnerów rozbójnik Gaetano Zanni, którego później schwytano na kradzieży dwu zegarków i 30 cekinów w »Caffè della Londra«. Ale z takimi graczami umiał Pepoli w dość dziwaczny sposób zachowywać swą godność. Obrachunki z nimi prowadził kamerdyner markiza, Giuseppe, zawsze grze przytomny, wypłacał kwoty, które jego pan przegrał, albo zabierał wygrane. Ponieważ zaś Pepoli częściej przegrywał, jak wygrywał, więc Giuseppe

uzbierał sobie wkrótce spory majątek z napiwków, które mu dawali wygrywający partnerzy.

Pepoli, utraciwszy prawie całą fortunę, grał w Wenecyi po raz ostatni 8 maja 1796 r. w ulubionej swej kawiarni »del Diavolo«, na placu św. Marka. Przegrawszy 800 cekinów, przeniósł się do Florencyi, gdzie umarł, mając dopiero lat trzydzieści dziewięć. Nie służyło mu widocznie życie, pełne wrażeń. Z gry wycofał się jednak z większym honorem, aniżeli abate Nicolo nobile Grioni, który przegrawszy płaszcz i sutannę, musiał się wstydzić swojej służącej, wróciwszy do domu prawie bez ubrania. Jeszcze gorzej powiodło się sławnemu graczowi hrabi Dominikowi Altan, którego karty zaprowadziły aż na szubienicę.

Jedną z mrzonek Pepolego było współzawodnictwo z Alfierim i to współzawodnictwo nie tylko na polu dramatycznej poezyi, ale także co do jazdy konnej i posiadania najpiękniejszych rumaków. Pod tym ostatnim względem Pepoli zwyciężał, jako bogatszy i rozrzutniejszy od Alfierego, ale talentem dramatycznym wielkiemu Sabaudczykowi nie dorównał. Natomiast mógł Alfieri powiedzieć po śmierci Pepolego: »Niech mu potomność daruje wszystko złe, które sobie samemu wyrządził«.

Pepoli tak pięknie powoził, że Arkadyjka Aglaja Anasillida, przyjaciółka domu Albrizzich, widząc hrabiego po raz pierwszy, jak jechał swoją bigą, zaprzężoną w parę ognistych rumaków, tak się w nim zakochała, że w swej autobiografi, poświęciła mu wspomnienie pełne zachwytu. »Był młody; piękny, dobrze zbudowany — pisała Aglaja — zdawało mi się, że widzę Apollina, i ułożyłam sonet do niego. Hr. Pepoli był jednem z tych zjawisk, które co jakiś czas wydaje natura, ażeby dać wyobrażenie o cnotach i błędach dziwacznie zespolonych, jednem słowem, był nowoczesnym Alcybiadesem. Może w innym wieku uchodziłby za filozofa; w naszem stuleciu uważano go za błazna. Nie wiem, która z jego licznych namiętności była dlań najfatalniejszą. Umarł w kwiecie wieku, żałowany przez wielu, ale najbardziej przez swych wierzycieli«.

Pepoli urządził w Wenecyi teatr w swym pałacu, gdzie przedstawiano tragedye, komedye, balety, pantomimy i melo-

dramaty, a gwiazdą tej sceny była Teresa Depretis Venier, przyjaciółka Pepolego, którą sławiono jako cud gracyi i talentu muzykalnego. Według złośliwego adwokata del Longo, życie tej donny było bardzo burzliwe, zanim została muzą hrabiego-dramaturga. Zapanowała jednak nad nim zupełnie; a gdy hrabia nie mógł sobie z jej humorami dać rady, ratował się od niej ucieczką, wyjeżdżał do Bolonii. Razu pewnego pokłóciwszy się z Teresą, wstał od obiadu, wsiadł do gondoli i kazał się zawieźć do Fusiny. Stamtąd popędził co koń wyskoczy do Bolonii, spał czterdzieści ośm godzin i zaraz potem wrócił do Wenecyi, poszedł do Teresy, która go przyjęła, jak gdyby nie spostrzegła jego nieobecności. I znowu na chwilę zapanował pokój pomiędzy lekkomyślną parą.

IV.

W lecie r. 1788 przeniósł się Albergati do swojej willi w Zoli, w towarzystwie Pepolego, Teresy Venier i Franceska Baroni, zwanego abatem Triboleto, ofiarą złośliwych pomysłów Pepolego. Przedstawienia teatralne dawał Albergati naprzemian w Zoli i w swoim teatrze w Bolonii; mnóstwo arystokracyi z miasta i z okolicy zjeżdżało się, korzystając z rozrzutności gospodarza. Królową towarzystwa była Teresa Venier; pobudzała ona cały kobiecy świat boloński do zazdrości. Adwokat Del Lungo, który był także gościem Albergatego, opowiada w swoich pamiętnikach, że Bolonia dzięki markizowi taka była świetna, przedstawienia teatralne takie wspaniałe i zajmujące, że właściwie powinno się upłyniony czas liczyć »od wielkich reprezentacyi Albergatego«, podobnie jak się liczyło lata w Grecyi według Olimpiad.

W Zoli panował porządek i systematyczność, jakby w klasztorze. O dziewiątej z rana dzwoniono na znak, że trzeba wstawać i ubierać się. W dwóch pokojach czekali już kameryerzy, aby czesać gości i golić brody; stamtąd przechodziło się do bufetu, gdzie kredencerz podawał kawę. O dzie-

siątej znowu uderzenie dzwonka, zapowiadające przyjście gospodarza, wspólna rozmowa aż do jedenastej, poczem całe towarzystwo szło na mszę do kościoła; po nabożeństwie przyjemnie było patrzeć, powiada Lungo, jak ładne i pięknie ubrane wiejskie dziewczęta przynosiły panu domu bukiety świeżych kwiatów i wdawały się z nim w wesołą rozmowę. Ubawiwszy się z wieśniaczkami, wracało towarzystwo do bufetu, gdzie jedni zaczęli grać w karty, w bilard lub w inną grę, poważniejsi zaś zamykali się w swych pokojach, aby czytać lub pisać. O drugiej odzywał się inny dzwonek, głośniejszy, rozkazujący kucharzom, aby zagotowali minestrę, a po chwili podobne uderzenie dzwonka wzywało gości do stołu. Potraw było dużo, a jedna, powiada Lungo, lepsza od drugiej. Podczas obiadu poważne rozmowy były wykluczone, bawiono się wesołemi opowiadaniami, ale w sposób przyzwoity. Następnie, w lecie siesta w ogrodzie lub w pokojach, w jesieni zaś spacer w powozach, lektykach lub konno. Niekiedy urządzano w polu, pomiędzy niezamieszkałymi pagórkami, rodzaj pikniku. Jeden niósł kurczęta pieczone, drugi szynkę na barkach, trzeci dzban wody albo butlę wina. Przygotowano wszystko, co potrzeba do zrobienia dobrej polenty. Wieczorem, po spacerze wracano do pałacu, do gry, a o drugiej po północy każdy znajdował się w swoim pokoju.

Życie jednak nie było tak idyliczne i spokojne, jak je opisuje Lungo. Sam adwokat miał za nadto zły język, aby nie rozsiewać plotek, a dzielnie mu w tej mierze dopomagał abate Triboleto. Do złośliwych uwag było zaś powodów niemało; Albergati zanadto ulegał czułym spojrzeniom Teresy, Pepolim miotała zazdrość, niebawem więc spokojne rozmowy zmieniły się w złośliwe docinki, a nawet w spory i kłótnie. Wkrótce też rozbiegło się towarzystwo na wszystkie strony świata a Albergati w liście do jednego z przyjaciół zarzekał się już zbytniej gościnności i willegiatury. Zamierzał żyć spokojnie i zaprowadzić oszczędność w wydatkach. Ale chwalebne zamiary nie trwały długo; niebawem spodobała mu się jakaś młoda baletniczka w Bolonii, której przepowiadał świetną przyszłość na deskach teatralnych

i bardzo się zajął jej wykształceniem, aby mogła zastąpić Teresę Venier, która, jak się zdaje, musiała go znudzić. Ta nauka doprowadziła jednak do czulszych stosuków z baletniczką i skończyła się małżeństwem. Trzecia ta żona markiza nazywała się Teresa Checchi Zampieri, miała lat dwadzieścia pięć i słynęła z piękności. Lungo opowiada, że Teresa była jedną z trzech baletniczek, które się markizowi podobały. Otóż jednego dnia były wszystkie trzy na obiedzie w Zoli z kilkoma jeszcze przyjaciółmi Albergatego; gdy już wypróżniono sporo butelek, pan domu miał do baletniczek przemowę, że jedną z nich radby pojąć za żonę, ale właściwie nie wie, którą, bo wszystkie piękne i pełne uroku. Aby kwestyę rozstrzygnąć, wrzucił do kapelusza trzy karteczki z ich nazwiskami i zdał się na los, która ma zostać markizą. Los padł na Teresę i Albergati nie żałował tego przypadkowego wyboru, bo trzecia markiza była nadzwyczaj dobrą i przykładną żoną. Zrazu zdarzały się wprawdzie pomiędzy niedobranem co do wieku małżeństwem małe sceny zazdrości, ale te z czasem minęły i Albergati był z baletniczką szczęśliwy.

Opowiadanie Del Lunga nie zdaje się być zgodne z prawdą, gdyż w wyborze Teresy nie rozstrzygał los, ale spóźniona miłość markiza.

Albergati, który pragnął zawsze utrzymywać dobre stosunki z dworem warszawskim, napisał do Ghigiottego, aby królowi wspomniał o jego małżeństwie. Zręczny sekretarz skorzystał ze sposobności, gdy u króla był na obiedzie wenecki poseł Grimani, jadący do Petersburga, aby sprowadzić rozmowę na Albergatego. Grimani nie wyraził się korzystnie o charakterze i pisarskich zdolnościach markiza, musiał jednak przyznać, że trzecia jego małżonka jest skończoną pięknością. Król się uśmiechnął na te pochwały i zapytał, ile lat ma Albergati, na co Ghigiotti pośpieszył się z odpowiedzią, że w rzeczach miłości musi mieć około czterdziestu lat. »A więc wszystko pójdzie dobrze — rzekł król uprzejmie — co do mnie zawsze cenię Albergatego i jestem mu przychylnym, nie radbym tylko, aby żądał odemnie po raz wtóry wstawienia się za jego synami do papieża«.

W Rzymie nie przyjęto wszakże tak przychylnie, jak w Warszawie, wiadomości o małżeństwie markiza. Pius VI wydał 14 maja 1790 r. breve do senatu w Bolonii, w którem wypominał tym poważnym mężom w sposób szorstki i obrażający, że się nie wstydzą pojmować za żony »uxores scenicas«, osoby godne pogardy. Albergati odpowiedział na to upomnienie złożeniem godności senatorskiej, ale nie dostał na swe pismo rezolucyi i był jeszcze senatorem, gdy Francuzi weszli do Bolonii w r. 1796.

Jako człowiek »postępowy« pogodził się Albergati z nowym politycznym stanem rzeczy, zwłaszcza gdy Napoleon ustanowił »Rzeczpospolitę bolońską i konfederacyę cisalpińską«. Wtedy wszystkie umysły patryotów zwróciły się ku wielkiemu, jak się zdawało, reformatorowi zestarzałej Europy. Ponieważ tytuły szlacheckie zostały zniesione, więc Albergati zrezygnował w r. 1797 także z tytułu polskiego jenerała i kawalera orderu św. Stanisława i został zwykłym »obywatelem«, »cittadino«. Nowe rządy powierzyły mu cenzurowanie gazet i książek i mianowały go inspektorem widowisk.

Rozczarowanie jednak prędzej nadeszło, aniżeliby się można było spodziewać. Albergati wkrótce nie był zadowolony ani z Napoleona ani z Francyi, gdyż nagle widzimy w nim zupełny zwrot w pojęciach o francuskiej literaturze dramatycznej. Pisze on o swych ziomkach z pogardą, że »naśladując, jak prawdziwe małpy, peruki, kapelusze, sposób czesania się i wszystkie rococa francuskie, powinni jeszcze naśladować ich szaleństwa, ich gwałty i ich zbrodnie. Coraz bardziej można nienawidzić te przeklęte koguty francuskie, które, dałby Bóg, aby się zmieniły w kapłony, aby to przewrotne plemię więcej się nie rozradzało«.

W czasach tej furyi na Francuzów korespondował Albergati tem częściej z Alfierim, łączyła ich bowiem nie tylko miłość do poezyi dramatycznej, ale i nienawiść do Francuzów, którzy się ze zbawców zamienili na ciemiężców. Ponieważ jednak Albergati nie lubił się smucić, więc do późnej starości, do końca życia, najmilszem jego zajęciem był teatr.

Umarł, jak żył, lekko, bez boleści. Po obiedzie kazał

sobie podać sorbet, a biorąc łyżeczkę do ust, nagle się pochylił.

— Czy panu markizowi niedobrze? — zapytał go służący.

— To nic, nic — umieram.

I umarł rzeczywiście, a było to 16 marca 1804 r.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

WENECKIE MALARSTWO.

I.

W epoce Odrodzenia stała się piękność kobieca do pewnego stopnia »godnością z Bożej łaski«, pociągała za sobą powszechny szacunek. Gdy najpiękniejsza dziewica Francyi, słynna Paule de Viguier, ofiarowała w r. 1532 klucze miasta Tuluzy przybywającemu tam Franciszkowi I, król przyzwyczajony do tego, że żadna kobieta oprzeć mu się nie potrafi, zawahał się, widząc to cudo natury. Piękność ochroniła pannę de Viguier przed pożądliwością monarchy. Franciszek I umiał uszanować majestat urody.

Żadne malarstwo nie zdołało tak wspaniale, tak uroczo oddać tej kobiecej piękności »z Bożej łaski«, jak mistrze weneccy. Pod religijnymi obrazami artystów XV wieku można było jeszcze czytać obok nazwiska malarza słowa: »amore incensus crucis«, »z gorącej miłości krzyża«, a na tych obrazach widać było kobiety zbolałe, blade, przekwitłe, nie znające już innej miłości, prócz miłości cierpienia. Za Giorgiona, Tycyana, Veronesa inny duch duch wionął w weneckim świecie artystycznym; prawdziwa piękność rozsiadła się na tronie sztuki i panowała tam przez długie czasy. Tycyan, ten olbrzym malarstwa, przywrócił urodzie należne jej prawa, przedstawił kobietę nie, jak wielu późniejszych artystów, w sposób zmysłowy, aby zyskać poklask lubieżnych starców, ale szukał

tylko piękna dla piękna. Oddał należny hołd ideałom przyrody.

Tycyan nie umiał i nie chciał malować świętych kobiet w znaczeniu Quattrocenta. Jego św. Magdalena, u której mimo rozpuszczonych włosów i ręki, spoczywającej na sercu, widać wszystkie wdzięki młodej kobiety, świętą jest tylko dla czcicieli piękna, modlić się do niej byłoby trudno. Podziwianie piękna w naturze jest jedną z największych rozkoszy człowieka, rozkoszy uszlachetniających. Tycyan nam jej przysporzył i za to ludzkość zawsze mu będzie wdzięczna, wdzięczniejszą, aniżeli Botticellemu za chorobliwe Florentynki, albo Rafaelowi za zmanierowane Madonny. Każda kobieta Tycyana jest istotą zdrową, zaszczytem dla rodu ludzkiego i chętniejby się ją uznało za Ewę w raju, aniżeli Ewę prymitywów. Ludzie, dla których świętość mieszka tylko w obliczu bladem, wynędzniałem, gorszyli się, gdy Tycyan wystąpił ze swoją »Assuntą«. Malarze z zazdrości, Franciszkanie z przerażenia nie chcieli uznać tej madonny o silnej budowie ciała, o spojrzeniu zrozumiałem dla każdego człowieka. Wreszcie jednak zwyciężył zdrowy sąd Wenecyan; Madonna weszła do kościoła, a do dziś dnia króluje w świątyni sztuki, w weneckiej Akademii.

Tycyana uzupełniał Veronese. Chcąc zaś zrozumieć jego malarską pompę, jego wspaniałe festyny, jego urocze kobiety, trzeba się przyglądnąć życiu weneckiemu z końcem XVI i w pierwszej połowie XVII stulecia. Ani w średnich wiekach, ani w początkach Odrodzenia nie pisano tyle, co wówczas, o kobiecie, o miłości i prawach, które piękność stanowią. Urodę niewieścią chciano poddać, zwłaszcza we Florencyi, matematycznym regułom. Wenecyanie, praktyczniejsi, nie wierzyli w tej mierze w geometryę, ale mimo to mieli prześliczne kobiety, jak Maryę Loredan, »ów skarb, którego olśniewający blask całą Wenecyę upiększa«, jak Maryettę Venier i Maryettę Pisano »Feniksy miasta«, Marinę Morosini, Lukrecyę Pesaro i kilka jeszcze innych panien z weneckiego patrycyatu przyrównywano do białych łabędzi, skrzydlatych dziewic, któreby były ozdobą samego raju«. Autor tych romantycznych określeń, Niccolo Franco, powiada w swym »Dialogo, dove si ragiona della Bellezze«, że »dodawać po-

chwał do urody tych Wenecyanek znaczyłoby dolewać wody do morza, gdyż zalety ich piękności są tak wielkie, iż dzień pożycza światła od ich oczu, harmonia chwyta skwapliwie słodycz melodyi ich głosu, wiosna jest dumną, gdy się może ubrać w barwy ich oblicza, złoto chciałoby mieć blask jasnych ich włosów, heban pyszniłby się, gdyby był tak czarnym, jak ich brwi, a kość słoniowa byłaby dumną, gdyby miała białość ich rąk«.

Za ideał kobiecej piękności uważano czarne oczy i jasne włosy; o ciemne oko nie było trudno we Włoszech, ale blond włosy musiano sztucznie przysposabiać. Czytanie ksiąg rzymskich i greckich nauczyło Włochów obok rzeczy poważnych i filozoficznych także rozmaitych lekkości. Kobiety przypomniały sobie, że Ceres i Wenera były blondynami i że farbowanie włosów na złocisty kolor należało do cech pięknych Egipcyanek. Może zresztą i kobiety wieków średnich wiedziały o tym sposobie podnoszenia swych wdzięków, ale oczekując każdego niemal dnia odezwania sią trąby niebieskiej, powołującej ludzkość przed sąd ostateczny, obawiały się poprawiać dzieło boskie. Jakżeżby to wyglądało, gdyby Włoszki, z natury czarnowłose, stanęły w strasznej owej chwili z farbowanymi warkoczami przed Majestatem wielkiego sędziego! Mogłyby się stać pastwą szatana, Stwórca powiedziałby im, jak utrzymuje zapomniany francuski poeta Philippe Bosquier:

»Je ne vous cognay pas, vous n'estes mon ouvrage,
Vous n'estes marqées du sceau de mon image,
Car vous avez brouillé le teinct de vos cheveux,
Le teinct de vostre face et le teinct de vos yeux«.

Kobiety Odrodzenia nie patrzyły tak daleko w przyszłość; używać życia, podobać się było ich hasłem, wszystkie chciały być pięknościami, wszystkie blondynami, choćby za to nawet przyszło odpowiadać na sądzie ostatecznym. Poddawały się więc cierpieniom za życia, siadywały po kilka godzin dziennie w altanach na dachu, aby słońce dobrze wpoiło farbę we włosy, a miały wtedy na głowie duże słomiane kapelusze, zwane »Solana«, otwarte u góry i zakrywa-

jące tylko twarz i plecy. Przez ów otwór wylewały się zwoje włosów i suszyły na kryzach solany.

Obok utrzymania piękności ciała i włosów sprawy krawieckie stanowiły jedno z głównych zajęć zamożnych kobiet. Wielcy »konfekcyonerzy« byli, podobnie jak dzisiaj, dyktatorami mody. Do najsławniejszych należał messer Giovanni, który miał swoje »atelier« w pobliżu kościoła San Lio, a był tak doświadczonym w sztuce ubierania kobiet i tyle miał zawsze pomysłów tualetowych, że cały świat wenecki wprawiał w podziwienie. »Uomo di tanta esperienza e dottrina nell' arte, che è cosa da stupire il mondo«, powiada o nim jeden ze współczesnych. Ponieważ perły były wówczas bardzo poszukiwane, więc do głównych jego talentów należało ubieranie perłami sukni i włosów swych klientek. Umiał on tak uwydatniać piękność kobiecą klejnotami, że nikt mu w tej mierze nie dorównał. Przed jego domem zatrzymywało się zawsze tyle wspaniałych gondol, że kanałem przecisnąć się było trudno.

Więcej może zasług, niż messer Giovanni, miał Bartholomeo Bontempele da Calice, gdyż on wyrabiał te przepyszne brokaty i lamy, które do dziś dnia podziwiamy w muzeach. Były to tak zwane »ormosini, zendadi, soprarizi«; sułtan turecki nawet je sprowadzał, a Signoria uważała Bartholomea za księcia krajowego przemysłu. Podobnie jak dom messer Giovanniego, bywał sklep naszego fabrykanta zawsze w oblężeniu. Obcując z patrycyatem, nabrał Bartolomeo tak wykwintnych form w obejściu, że miał wstęp do wyższych towarzystw.

Równie ważne stanowisko u Wenecyanek, jak »konfekcyonerzy«, zajmowali mistrze w »arte aromateria«, artyści w wynajdywaniu coraz to nowych perfum i nieuchwytnych zapachów. Jeden z nich, messer Saba de Franceschi, miał botegę pod godłem »niedźwiedzia«, może niezupełnie odpowiedniem do esencyi, które sprzedawał, ale tem więcej pociągającem klientów, że niedźwiedzia w Wenecyi nigdy nie widziano.

Owe jasnowłose kobiety, owe brokaty, perły i klejnoty musiały mieć swoich artystów; był nim po części Paris Bordone, ale głównie Paolo Veronese, ów malarz wspaniałości

i wesela. Na czołach jego postaci chyba nigdy troska nie postała; wszystkie są pogodne, szczęśliwe, że mogą życia używać. Uczty, tryumfy, uroczyste obchody weneckie, to treść jego obrazów, a jeżeli maluje jakąś świętą, to owa św. Katarzyna czy Helena jest wielką panią wenecką, ubraną w brokaty i klejnoty, uroczą w swem zamyśleniu, nawet poważną, ale nigdy nie melancholijną. Cała Wenecya używała jeszcze swych bogactw, ciągła korzyści ze swych politycznych tryumfów, słowem, była szczęśliwą, a to szczęście przebija w obrazach Veronesa.

Traktat w Chateau Cambrai, od którego się datuje upadek Wenecyi, tudzież walka przeciw reformie religijnej, tak zwana Kontrreformacya, wpłynęły na zmianę społecznych i towarzyskich stosunków w mieście dożów i na ideały tamtejszego malarstwa. Kościół zwalczał nie tylko północnych reformatorów, ale równocześnie powstawał przeciw zasadom Odrodzenia. Olimpijscy bogowie, którzy się wcisnęli do literatury, do sztuk plastycznych i napowrót zdobywali swoje panowanie, musieli ustąpić, a na ich czele Wenera, bogini piękna, zmuszona wracać na swą uroczą wyspę. Nagie ciało kobiece zostało potępione, choćby artysta przedstawił je w zupełnej naiwności; rzekomi moraliści czekali już z przygotowanemi oponami, aby je skrzętnie zakrywać. Ale Wenecya za nadto się przyzwyczaiła do uwielbiania piękności kobiet Tycyana i Veronesa, aby się odrazu poddać przepisom jezuickiej sztuki. Przemiana obyczaju odbywała się tutaj powoli.

Właśnie wówczas wyrastał ostatni wielki malarz wenecki XVI wieku, Tintoretto, człowiek gwałtowny, namiętny, który nie znał kompromisów pomiędzy kierunkami nowych i starych idei. Ale Tintoretto był uczniem Tycyana; w młodości swej nie mógł się tak łatwo rozłączyć z tem, co dotąd uważano za szczyt malarstwa, z przedstawieniem obnażonego ciała kobiecego. Zgrzeszył więc jeszcze nieraz przeciw nowym prądom, malując Zuzannę w kąpieli, Andromedę i Aryadnę z Bachusem, kobiety obnażone, które oblał przedziwnem światłem, był bowiem mistrzem kolorytu. Powoli jednak ulegał nowym prądom, stał się artystą na usługach Kontrreformacyi i weneckiej Signorii. Malował owe olbrzymie płótna

w Scuola san Rocco i w pałacu dożów, które, niestety, dzisiaj może najbardziej poczerniały ze wszystkich obrazów cinquecenta. Umiał opanować przestrzeń, jak mało kto inny, rozporządzał setkami osób na swoich płótnach i był mistrzem w strategii malarskiej. Z tych płócien dramatycznych co pozostało, co do artystycznej duszy przemawia? Pierwotne jego obrazy i portrety; albowiem umiał dziwnie pochwycić charakter człowieka, tudzież pełne tragicznej grozy »ukrzyżowanie Chrystusa«. Kobiet prawie nie malował w późniejszych swych latach, bo ich nie lubił prócz córki swojej, którą uwielbiał.

Tintoretto stał się ideałem malarzy i publiczności XVII w. Do Scuoli di San Rocco wędrowali artyści, osobliwie z Północy, aby się tam uczyć kompozycyi, rysunku, zestawienia świateł i cienia. Jego synowiec Józef Cagliari był przez długi czas po śmierci Paola gwardyanem scuoli i z dumą przyjmował tam cudzoziemskich artystów, pokazując komnaty, w których zmarły mistrz pracował i gdzie pozostawił swe modele z gipsu i z wosku. Kompozycya, styl zapanowały w Wenecyi; kto nie był »stylowcem«, »manieroso«, i nie naśladował Tintoretta, ten nie wart był zwać się malarzem. Jeden z pisarzy o sztuce z XVII wieku, Marco Boschini [1]), nazywa tych ludzi, którzy się mienią być naturalistami, »łataczami butów«. Chodzą oni, powiada, po ulicach i napastują pierwszego lepszego sąsiada, aby im pozował, bo właśnie takiego potrzebują do wyrażenia swoich idei w obrazie.

Zaparto się Tycyana i Veronesa, zapomniano, że owi mistrze chodzili także po ulicach, aby szukać modeli, zapanowała maniera, malarstwo Odrodzenia przekwitło, zamarło. Urzędowa moralność wygnała Wenerę, jej miejsce zastąpiły Magdaleny, Zuzanny i Putyfary, »bo nagość przeszkadzała cnocie«. Te ulubione postacie w malarstwie XVII wieku obnażały wprawdzie tylko niewielką część ciała, ale kazały się dużo domyślać. Duchowieństwo wszakże i rząd wenecki był zadowolony; im mniej było widać kobiecych wdzięków, tem lepiej, tem mniej zgorszenia. Mody zastosowały się do moral-

---

[1]) Marco Boschini, La Carta del nauegar pitoresca. Venetia, 1660.

nych idei; kobieta zakrywała wkrótce głowę czarną bautą, aby jej włosy nie obudzały zgorszenia, następnie wdziała spodnicę z obręczami, aby zupełnie pokryć swe kształty przed pożądliwem okiem mężczyzn, a wreszcie wdziała maskę, aby ani oczu, ani ust nie było widać, tych siedlisk wszelkiej pokusy. Zamiast kobiet chodziły jakieś potwory po ulicach; zgrzybiały doża podawał rękę posiwiałemu patryarsze, obydwaj cieszyli się, że czasy zepsucia minęły i że zakwitnął wiek cnoty. Jakie były owoce owej oficyalnej moralności, jużeśmy widzieli.

II.

Malarstwo weneckie miało jednak za nadto świetną przeszłość, aby zupełnie upadło. Jeszcze i po śmierci Tintoretta (1504) zjawiali się artyści, którzy się starali utrzymać dawny blask weneckiego pędzla. Geniusz Tycyana błysnął jeszcze w Aleksandrze Varotarim, zwanym Padovanim (1590—1650), tudzież w Palmie młodszym (1544—1628); ale następcom Palmy, zupełnie zmanierowanym, chodziło już tylko o jak najszybsze wykonanie zamówień, a hasłem ich było »far presto«. Czerpali więc z dawnej skarbnicy, naśladowali wielkich mistrzów, najczęściej bardzo niedołężnie. Obok nich wybijali się »tenebrosi«, malarze nadużywający tonów ciemnych i szukający wrażenia w brutalnem nieraz przeciwstawieniu świateł i cienia. Byli to modni artyści, do których należał w Rzymie Michelangelo da Caravaggio, w Neapolu Spagnoletto, a w Bolonii Guercino. W Wenecyi zaprowadzili ten sposób malowania Bernardo Strozzi, Prete Genovese i Giovan Agostino Cassana, zwany Abatem. Nowy prąd zostawał w sprzeczności z tradycyami wesołej Wenecyi; więc też jeden ze zdolniejszych artystów, Giorgio Lazzarini (1655—1730), wyborny rysownik, starał się powrócić do dawnego świetlanego malarstwa; ale zimny ten i oschły artysta nie zdołał wlać nowego życia w wenecką sztukę.

Dwóch jednak malarzy większego talentu potrafiło niejako zawrzeć kompromis pomiędzy weneckiemi tradycyami

a manierą tenebrosich i zapisało się korzystnie w dziejach malarstwa. Byli to Bastiano Ricci (1660—1734), który jednak więcej działał w Wiedniu, w Dreźnie i w Warszawie, aniżeli we Włoszech, i Giambattista Piazzetta (1683—1754). Osobliwie ten ostatni, często pełen humoru, wprowadzał do sztuki typy ludowe i mieszczańskie, idąc za duchem czasu, który podnosił klasy średnie.

Właściwy charakter weneckiemu malarstwu XVIII wieku nadają jednak artyści, że tak powiem, kronikarze, którzy nam wiernie przekazali życie swego społeczeństwa. Wenecya miała szczęście do kronikarzy. W najświetniejszych czasach rozwoju Rzeczypospolitej, na przełomie XV na wiek XVI, spisywał Marino Sanuto z niesłychaną pilnością wszystko, co tylko mogłoby potomność obchodzić, malarz zaś Vittore Carpaccio (1470—1527 ?) illustrował życie. Osobliwie w cyklu obrazów, mających za temat losy św. Urszuli, oddał z fotograficzną prawie wiernością ówczesną Wenecyę i jej społeczeństwo. Przedstawił jakby w panoramie architekturę miasta, uroczyste obchody, a nawet sceny z czterech ścian domowego zacisza i przez to przyczynił się niemało do zrozumienia owej świetnej epoki dziejów Wenecyi.

W większych rozmiarach i nierównie ściślej zespoliło się weneckie malarstwo XVIII wieku z literaturą już nie kronikarską, ale pamiętnikową, aby dać niesłychanie barwny i wierny obraz Wenecyi i jej ówczesnego społeczeństwa. Casanova, Gozzi, adwokat Lungo, Da Ponte wprowadzili nas wszędzie, gdzie tętniało życie: do salonów patrycyuszowskich i cichych komnat oszczędnego mieszczaństwa, do ridotta, do kawiarń i klasztorów, a opisy tych pamiętnikarzy i podróżnych, jak francuski prezydent De Brosses, nabierają plastyki, gdy się przypatrzymy obrazom Canaletta, Guardego i Piotra Longhi. Są to trzej najznakomitsi illustratorzy życia weneckiego z XVIII wieku. Pierwszy dał ramy całego obrazu, widoki Wenecyi, lagunę z otaczającymi ją kościołami, pałacami, odrysował nam jej marmury, jej mosty, jej tajemnicze uliczki i zaułki, słowem, przedstawił nam Wenecyę, jak wyglądała w XVIII w.; drugi, wielki impresyonista, nadzwyczaj tkliwy na barwy, na światła i cienie, poucza nas, jakie wrażenie ro-

biło to urocze miasto w dzień, wieczór i w nocy; trzeci wreszcie, Longhi, zaznajamia widza z ludnością Wenecyi, przedstawia ją od klas najwyższych do najniższych, w jej codziennem życiu, na placu św. Marka, przy ołtarzu i przy spowiedzi, daje poznać jej zwyczaje, nie pominąwszy nawet guseł i zabobonów.

Ci trzej mistrze żyli równocześnie; jeden z nich, Longhi (1702—1762), prawie się nie wydalał z rodzinnego miasta, uczył się za młodu w malarskiej szkole Antoniego Balestry (1666—1740), następnie u Giuseppa Maryi Crespi'ego, zwanego Spagnuolem (1665—1747) i u niego najwięcej skorzystał w swej sztuce. Wcześnie stę ożenił z Katarzyną, córką Alvisa Rizzi, i zaczął ozdabiać freskami pałac rodziny patrycyuszowskiej Sagrado. Ta »Caduta dei Giganti« nie bardzo się powiodła, co było wielkiem szczęściem dla talentu młodego artysty, bo odtąd zabrał się do malowania tego, co widział, do pań przyjmujących z rana cicisbeów, dziewcząt, przechadzających się pod portykami pałacu dożów, panien, grających w ślepą babkę, lub uczących się śpiewu, szarlatanów, wyrywających zęby i do mnóstwa innych scen z weneckiego życia. Nie mało wpływu na niego miał Goldoni, który umiał skorzystać ze wszystkiego, co widział i co przeżył. Nazwano też Longhego »Goldoni della pittura«, a ten Goldoni-malarz żył na szczęście długo i malował przez lat czterdzieści weneckie typy; obrazy jego zapełniają galeryę municypalną, muzeum Querini-Stampalia, mnóstwo pałaców weneckich i sporo zbiorów zagranicznych.

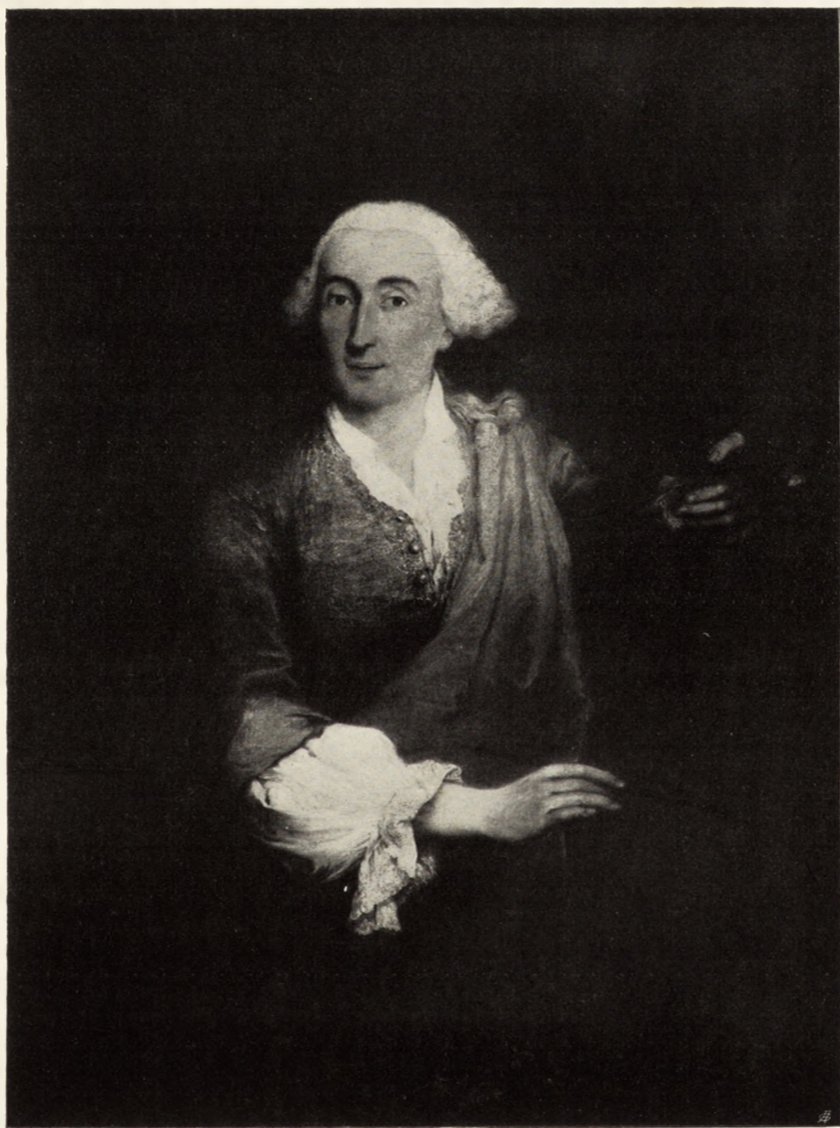
Nazwano Longhego weneckim Hogarthem, ale zupełnie niesłusznie, pomiędzy talentami tych dwóch mistrzów niema najmniejszego pokrewieństwa. Hogarth jest satyrykiem-moralistą, który często przesadza w swej złośliwości, aby tem większe wywołać wrażenie u tych, których chce przekonać i na dobrą drogę sprowadzić, gdy tymczasem Longhi dobrotliwie patrzy na swe społeczeństwo, kocha je i nie ma żadnych tendencyi, maluje, jak widzi. Zresztą i sposób malowania tych dwóch mistrzów zupełnie inny: Hogarth ostry, jak jego humory, Pietro Longhi łagodny i wesoły, jak lud wenecki i jak światło, które go otacza. Więcej już może pokre-

wieństwa ma Longhi z Chardinem; ale Wenecyanin rozporządza daleko szerszą skalą tematów i jest głębszym, większym fizyonomistą, jego postacie są pełne wyrazu, gdy przeciwnie francuski malarz nie patrzy w duszę swych najczęściej zmanierowanych postaci.

Syn Pietra, Alessandro Longhi, odznaczył się jako wyborowy portrecista, a jego obraz, przedstawiający prokuratora Luigego Pisani, otoczonego liczną rodziną, obecnie w posiadaniu markiza Bentivoglio, należy do najlepszych obrazów, jakie wydała szkoła wenecka pod wpływem rococo.

Niemniej znakomitym mistrzem był Francesco Guardi (1712—1793); lekkiem dotknięciem pędzla, rzutem licznych jasnych plam na ciemniejszem tle osiągał nadzwyczajne rezultaty. Gdy się z pewnego oddalenia przypatrujemy jego »koncertowi w klasztorze«, albo rautowi danemu na cześć hrabiów du Nord, mamy wrażenie tak łudzące, jak gdybyśmy widzieli ową salę, napełnioną świetną publicznością. Zbliżając oko do płótna, rozpoznajemy tylko jasne punkty. Dziwnie on pojął wrażenie, jakie tłumy sprawiają na widza, umiał w genialny sposób podporządkować szczegóły pod całość obrazu. Nikt lepiej od niego nie oddawał igrających świateł w uliczkach i kanałach Wenecyi, a widoki swe ożywiał małemi postaciami, które dodają wdzięku pejzażowi, w niczem się oku nie narzucając.

Antonio Canale (1697—1768) był w swych widokach Wenecyi sumienniejszy, oddawał architekturę z wszelkimi szczegółami, ale ani urokiem obrazu, ani oświetleniem nie dorównywał Guardemu. Był to rzetelny fotograf miasta, trochę suchy, ale dokładny. Antonio wcześnie zapoznawszy się w Wenecyi z ambasadorem angielskim Smithem, a później z innymi Anglikami, udał się do Londynu, gdzie bardzo ceniony, namalował mnóstwo widoków angielskich dla zamku w Windsorze i do galeryi księcia Richmond. Dużo widoków wykonał w miedziorytach, a zbiór ich poświęcił swemu pierwotnemu protektorowi, panu Smith. Ostatecznie wrócił Canale do Wenecyi, którą przekazał potomności wiernie, z całą synowską miłością. Antonio Canale miał siostrzeńca, Bernarda Bellotto, zwanego Canalettem (ur. około 1724), który będąc



Guardi Francesco.
Własny portret artysty w Museo Correr.

Do str. 194. Fot. Nava



Guardi Francesco. Koncert w żeńskim klasztorze.

Pinakoteka w Monachium.

Do str. 191.

Fot. Hanfstaengl w Monachium.



Bellotto-Canaletto. Halla w zamku królewskim w Warszawie przed pożarem w r. 1767.

Galerya drezdeńska.

Do str. 195.

Fot. Tamme w Dreźnie.

uczniem swego wuja, tak się umiał przejąć jego sposobem malowania, że trudno rozpoznać dzieło ucznia od mistrza.

Bernardo Bellotto mniej jednak malował widoków Wenecyi, a więcej zbierał tematów w Rzymie, Weronie, Padwie, Medyolanie, a nawet w Londynie. Później bawił dłuższy czas w Wiedniu, a następnie w Dreźnie i w Warszawie, gdzie umarł 17 października 1780 r. Hrabia Brühl był wielkim protektorem Bellotta i wyrobił mu w r. 1752 tytuł nadwornego malarza Augusta III z płacą miesięczną dwudziestu talarów. Bellotto odznaczył się także jako miedziorytnik; jemu zawdzięczamy, że mamy wyobrażenie, jak wyglądało podówczas Drezno i Warszawa.

III.

Obok tych artystów kronikarzy działał ostatni potomek dawnej wielkiej szkoły malarskiej, talent potężny, Gian Battista Tiepolo (1696—1770). Nosił on jedno z najgłośniejszych nazwisk weneckiego patrycyatu, ale doń nie należał, gdyż pochodził z mieszczańskiej rodziny. Publiczność wenecka, dumna ze swych wielkich rodów, nie nazywała zazwyczaj Giambattisty Tiepolem, ale Tiepolettem, albo Chiepolettem, aby go odróżnić od patrycyuszowskiego szczepu.

Ojciec Giambattisty, Dominik, był kapitanem kupieckiego statku; matki rodowe nazwisko nawet się nie przechowało, zwano ją powszechnie po imieniu Orsetta. Była to jednak dzielna kobieta, która wcześnie owdowiawszy, potrafiła dobrze wychować pięcioro dzieci, a widząc w swym Giambattyście talent malarski, oddała go na naukę do Giorgia Lazzariniego, artysty wówczas bardzo znanego w Wenecyi.

Zaledwie Giambattista poczuł się na siłach, że zdoła utrzymać rodzinę, ożenił się z Cecylią Guardi, siostrą Franceska, i miał z nią dziewięcioro dzieci, z których Giovan Domenico został także malarzem, pomagał ojcu w pracach, a nawet wcale dobrze naśladował jego sposób malowania.

Młodszy brat Domenika również wziął paletę do ręki, ale mniej był znany jako malarz, raczej jako rytownik.

Tiepoletto miał w sobie siłę i energię człowieka, pochodzącego z rodziny niezużytej w umysłowej pracy; stary Domenico oddychał całe życie powietrzem otwartego morza, więc śmiałość usposobienia przeszła na syna. Freski na dużych ścianach pałaców i kościołów najlepiej odpowiadały jego talentowi. Tam można było rozpuścić wodze żywej wyobraźni artystycznej, a w ugrupowaniu tematów, w skróceniach i perspektywach okazać, do czego artysta jest zdolnym.

Szybko się poznano na jego fantazyi; miasta północnych Włoch: Udine, Medyolan, Bergamo, Vicenza, Werona wyrywały go sobie, każdy z weneckich patrycyuszów rad był mieć swoją willę w Trevignano, w Padovano, ozdobioną freskami modnego mistrza, który przypominał Wenecyanom dawną epokę rodzinnej sztuki.

Sława mistrza przekroczyła wnet Alpy; książę biskup w Würzburgu oddał mu do ozdobienia freskami swój wspaniały pałac, przesyłając 3.000 florenów na koszta podróży, oprócz umówionej sumy 21.000 za podjętą pracę. Giambattista udał się tam ze swoim synem Dominikiem i w przeciągu trzech lat wykonał te olbrzymie freski, które swą śmiałością równają się dziełom najznakomitszych mistrzów Odrodzenia.

W r. 1753 powrócił Tiepolo do Wenecyi, gdzie przez lat kilka ozdabiał jeszcze pałace i kościoły freskami i olejnymi obrazami, dopóki go w r. 1762 nie powołał Karol III hiszpański do Madrytu. Przeszło sześćdziesięciopięcioletni mistrz nie uląkł się dalekiej podróży i zabrał ze sobą obydwóch synów malarzy, Giandomenica i Lorenza; powierzywszy domowe interesa trzeciemu synowi, Józefowi Maryi, wyjechał, nie obawiając się wielkich zadań, jakie go tam czekały. Giambattista miał w Wenecyi przez dłuższy czas modelkę Krystynę, córkę gondoliera, której twarz zachowała się w jego obrazach i rysunkach. Biografowie mistrza spierają się, czy Tiepolo zabrał ze sobą Krystynę do Hiszpanii, czy nie, pozostawiając małżonkę w domu, nie ruszającą się z Wenecyi i przekładającą grę w ridottach nad wszelkie podróże. Chodzi im w tej mierze



G. B. Tiepolo. Chrystus na Kalwaryi.

Kościół S. Alvise w Wenecyi.

Do str. 196.

Fot. Alinari.

o dobre imię i cnotę ich bohatera; nie chcieliby zatem przypuszczać, aby mistrz w późniejszym już wieku, a do tego na dwór króla katolickiego zabierał ze sobą Wenecyankę, choćby mu była nawet potrzebną jako model. Spór o Krystynę załatwia się wszakże na korzyść cnoty, gdyż w czasie, kiedy Giambattista wyruszał w podróż do Madrytu, ukochana jego Krystyna miała już lat około czterdziestu i postać zapewne nie dość wiotką, aby mogła służyć za wzór lekkich bogiń, uwijających się po sufitach królewskich pałaców. Giandomenico szukał, zapewne z pomocą swoich synów, nowej modelki w Madrycie, co pomimo Inkwizycyi nie musiało być tak trudnem, gdyż, jak wiadomo, malarz Greco mieszkał w Toledo z modelką pod jednym dachem i wprowadzał ją pod postaciami świętych kobiet nawet do kościołów. Zdaje się jednak, że Giambattista zabrał ze sobą murzynka, którego mu darował jeden z jego czarnych służących. Afrykańczyk bowiem czesto występuje w obrazach Tiepola, równie często, jak dwa piękne charty. Te wszakże nie były własnością artysty, ale patrycyuszki Heleny Balbi-Barozzi.

Giambattista był dobrym człowiekiem, w Madrycie zwano go »Tiepolo el bueno«; ale mimo to nie umiał tam sobie pozyskać przyjaźni słynnego z zawiści Rafaela Mengsa, którego za nadto bolało, że obok niego posiada Wenecyanin królewskie łaski. Powiadają nawet, że Mengs najął raz dwóch włóczęgów, »saltadores de caminos«, aby dobrze poturbowali przechodzącego Tiepola. Pisze o tem jakiś José de Ribera z Madrytu, dodając rzecz trochę niepodobną do prawdy, że Mengs, chcąc się osobiście przekonać, czy jego »saltadores« dobrze wykonują rozkazy, czatował na przydrożnem drzewie, aby być świadkiem egzekucyi. Gałąź jednak się ułamała pod zazdrośnikiem; Mengs spadł na ziemię, saltadores uciekli, a Tiepolo bez szwanku wrócił do domu.

W sztuce Tiepola uderza przedewszystkiem jego niesłychana śmiałość i łatwość kompozycyi i rysunku, tudzież igranie z światłem, cieniem i barwami. Z krwi i kości Wenecyanin, następca Tycyanów i Veronesów, nie jest wszakże wolny od pewnych wpływów współczesnych, a mianowicie wpływu tenebrosich i kierunku, który rococo narzuciło we-

neckiemu społeczeństwu. Przedewszystkiem znać w jego obrazach wpływ ówczesnej kobiety; wprawdzie Krystyna była modelem w duchu dawnych mistrzów, okrągła, pełna, urodziwa, ale nie zawsze można było malować jedną modelkę i podnosić ją do wysokości Kleopatry w pałacu Labia lub Amfitryty w jej »Tryumfie«. Spotykamy też w dziełach Tiepola już ową kobietę nerwową, bladą, trochę zagadkową, o ruchach szybkich, niespodziewanych, często gwałtownych. Na jego palecie dużo miejsca zajęły barwy żółtawe, bladawe, w duchu rococo. Łatwość kompozycyi i umiejętność rysowania kształtów ludzkich w najbardziej gimnastycznych pozach porywała go czasami za daleko, a niektóre freski bywają tak zawikłane, że zamiast sprawiać przyjemność widzowi, męczą oko, które się stara je zrozumieć. W tem nieoglądaniu się na harmonię, na symetryę w kompozycyi znać także wpływ rococo; pędzel buja poza przyjętemi granicami, obraz wygląda rozstrzępiony, postacie i draperye jakby niesione huraganem.

W wieku filozoficznym Tiepolo nie był filozofem, głębszych nauk nie posiadał; w jego postaciach nie trzeba też szukać psychologicznych zagadnień, chociaż czasami umie, zwłaszcza w kobiecych postaciach, wyrazić głęboką boleść, jak np. w swej św. Katarzynie sieneńskiej, na obrazie przedstawiającym Madonnę ze świętymi, w kościele dei Gesuati, w Wenecyi, ale wogóle przeważa u niego zmysł dekoracyjny nad znawstwem charakteru przedstawionych postaci. Wolny od skrupułów ludzi uczonych, nie wahał się w tymże samym obrazie poubierać swe postacie w rzymskie togi, w wspaniałe szaty XVI wieku i zmysłowe ubiory współczesnych mu kobiet.

Mimo to jednak był Tiepolo najpotężniejszym malarzem włoskim XVIII wieku, zadziwiającym swą południową wyobraźnią, swą siłą i niezmierną płodnością. W tych niezliczonych jego freskach i obrazach nie znać ani zmęczenia ani tego nudnego powtarzania się, które nas tak często niemile uderza w dziełach Rubensa.

Z Tiepolem kończy się w Wenecyi tradycya malarska epoki wielkiego rozkwitu. Umarł w Madrycie 17 marca 1770 r.

i nie widział już swej małżonki Cecylii, która żyła jeszcze lat dziewięć. Mówiono o niej, że tak się zapalała do gry w ridotto, że nie mając już gotówki, przegrała swoją willę w Zianigo, którą jednak później odkupił najoszczędniejszy z synów, abate Giuseppe Maria.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

ROSALBA CARRIERA.

I.

Młoda Wenecyanka, Rosalba Carriera, tak ładnie odportretowała na słoniowej kości Antonia Orsettego z Lukki (1700), że ucieszony patrycyusz przysłał jej w podarunku za miniaturę dwie pary rękawiczek i dwie pachnące poduszeczki, które wyrabiały zakonnice w Lukce. Honoraryum bardzo skromne, ale też Rosalba stawiała dopiero pierwsze kroki w artystycznym zawodzie.

Ojciec Rosalby, Andrea, rodem z Chioggii, zarządzał domem prokuratora Bon, a matka była córką bednarza z Wenecyi. Ale Andrea słynął ze zręczności i po trochu był artystą. To też gdy zobaczył, jak bambina illustruje swoje książki szkolne obrazkami, ocenił zaraz jej talent i kazał się uczyć malarstwa u Giuseppa Diamantini, a następnie u jego ucznia Antoniego Balestra. Ten Antonio był wybornym rysownikiem i Rosalba dużo od niego skorzystała, tak, że mogła wcześnie zarabiać, malując tabakierki, które wówczas bardzo były w modzie, i artystyczne wachlarze.

Bawił wówczas w Wenecyi zamożny Anglik, Krystyan Cole, bardzo zdolny malarz-dyletant; on to poznawszy Rosalbę, zaczął ją namawiać, aby porzuciła olejne farby, a malowała pastelami. Rosalba usłuchała jego rad i znalazła drogę, którą doszła do mistrzowstwa.

Rosalba miała jeszcze dwie młodsze siostry, Giovannę i Angelę; obydwie pełne zdolności do muzyki, do śpiewu, wogóle umysły żywe i pojętne, tak, że nawet nauczyły się szybko po łacinie i po francusku. Angela jednak poszła wcześnie za mąż za Antonia Pellegriniego, nadzwyczaj sumiennego i pełnego werwy malarza dekoracyjnego, który później, korzystając z protekcyi Rosalby, ozdobił pół Europy swojemi ściennemi malowidłami. Ślub Angeli był wielkiem zdarzeniem w rodzinie Carrierów; przyjaciel domu, kanonik Ramelli, nie mogąc przybyć do Wenecyi, przysłał na wesele słynną potrawkę z kiełbaskami, którą umiał wybornie przyrządzać, a nadto obiecał, że okaże całą swą zręczność kucharską na chrzcinach pierwszej latorośli młodego małżeństwa.

Rosalbie trudniej było wyjść za mąż; za nadto zajęta sztuką, nie myślała o romansach. Zresztą sława jej stała niejako na przeszkodzie małżeństwu. Gdy jakiś wielbiciel jej talentu zauważył, że szczęśliwym będzie artysta, który Rosalbę pojmie za żonę, przytomny temu malarz Crespi, zwany Spagnuolem, odpowiedział: »Ba! chcąc jej znaleźć odpowiedniego męża, trzebaby wskrzesić Guida Reniego!«

Wyjazd Giovanny tem ściślej połączył Rosalbę z Angelą, która się teraz stała najulubieńszą uczennicą i towarzyszką artystki. Angela była nadzwyczaj sympatyczna; mała, zręczna, dobra, dziecinnej prawie naiwności, trochę melancholijna, nie miała zawistnych i w całej Wenecyi nazywano ją zdrobniałem imieniem Nanettą. Była ona sekretarką Rosalby i miała czas na wszystko. Wstawała o świcie, biegła do kościoła, prowadziła rachunki domowe, odwiedzała znajomych, odpisywała na listy adresowane do Rosalby, przygotowywała jej farby, kopiowała miniatury i pastele, które zamawiali klienci siostry, szyła suknie, wymyślała przebrania i maski na karnawał, wreszcie wspierała cały legion ubogich, którzy się do niej udawali. Czasem zmęczona usnęła w fotelu, a wtedy całe towarzystwo, zebrane w pracowni, żartowało z poczciwej Nanetty, a ten i ów z artystów robił z niej karykaturę. Nanetta, obudziwszy się, bynajmniej się nie obrażała, ale na pocieszenie biegła do kuchni napić się swego nektaru, kawy, i po chwili wracała, aby się śmiać z samej siebie.

W pracowni Rosalby bywało mnóstwo znajomych, co artystce bynajmniej nie przeszkadzało w pracy. Wesoła, o wiele głębszego usposobienia, jak Nanetta, bardzo zdolna, a przytem pełna kobiecości. Czy ładna — trudno odpowiedzieć. Mamy dużo jej portretów, które sama malowała, ale o ile się zdaje, wszystkie trochę pochlebione. Małego wzrostu, ożywiona, o łagodnem spojrzeniu, pięknych ustach, bardzo zgrabnej ręce. Później straciła wiele ze swej urody, gdy bowiem w r. 1730 antykwarz Daniele Antonio Bertoli przedstawił ją w Wiedniu Karolowi VI, cesarz mu później powiedział: »Kochany Bertoli, ta twoja malarka może utalentowana, ale bardzo brzydka!«

Nazwisko Rosalby stało się w całych Włoszech głośnem. gdy wielbiciel jej talentu, Cole, pojechał do Rzymu i przywiózł tam kilka miniatur jej pędzla, a pomiędzy innemi i swój własny portret, artyści i cała kolonia angielska nie mogła wyjść z podziwu, a jeden z przyjaciół Colego, także Anglik, Sendamore, spakował zaraz tłumoki i wybrał się do Wenecyi, aby się dać portretować Rosalbie, inny zaś wyspiarz, Dawid Roberts, zamówił u niej Wenerę, śpiącą w ogrodzie. Cole posłał jej z Rzymu całą kollekcyę farb pastelowych, które kazał robić w swojej obecności, aby tem piękniejsze wydobyć barwy. Najgłośniejszym wówczas malarzem w Rzymie był Carlo Maratta; Anglicy więc wystarali się u niego, aby Rosalbę wybrano członkiem akademii S. Luca, co im się też udało przeprowadzić (1705).

Pracownia Rosalby w domu przy Canal Grande stała się niebawem ogniskiem weneckiej sztuki; pastele rozniosły sławę artystki po całej Europie. Z powodu hiszpańskiej wojny sukcesyjnej mnóstwo książąt i dyplomatów błąkało się po Włoszech, a każdy z nich chciał mieć portret pędzla weneckiej artystki. Maksymilian II bawarski, książę Ludwik meklemburski, Karol VI, elektor Palatynatu, zamówili u niej nie tylko własne portrety, ale także podobizny najpiękniejszych pań weneckich. Fryderyk IV, król Danii i Norwegii, który bawił w Wenecyi r. 1709 pod nazwą hrabiego Oldenburga, przesiadywał godzinami w pracowni mistrzyni i wywiózł z jej pracowni miniatury dwunastu Wenecyanek, pomiędzy innemi

portrety Marietty Corner, prokuratessy Lucrezyi Mocenigo, Maryi Labia i Izabelli Pisani. Prokuratessa Mocenigo, sławna z urody i z namiętności do gry, nie chciała pozować. Mówiono o niej, że jednej nocy przegrała sześć tysięcy dukatów; na szczęście przegrana nie pociągnęła utraty dwu najpiękniejszych pereł w Wenecyi, jakie posiadała Lukrecya, nazywana stąd »dalle perle«. Były to dwa wisiorki z olbrzymich pereł i pierścionek. Jakiś poeta wyraził wówczas w swoim sonecie zdziwienie, że Rosalba, pomimo że jej sława rozeszła się od Włoch aż po lodowatą Norwegię, ma odwagę zabrać się do portretowania szlachetnego oblicza prokuratessy: »Nie wolno nam, powiada rymotwórca, sięgać do rajskiej piękności«.

Del tuo penello i nobili prodigi
Mira l'Italia tutta, io non lo nego,
E so che giunto all'anglico Tamigi
Passò il tuo nome al gelido Norvego...
Ma che tenti Rosalba? Esprimer vuoi
Dell'inclita Lucrezia il nobil viso?
Duro annuncio per te: non lice a noi
Intender la beltà del Paradiso.

Raz zasmakowawszy w swych podobiznach, prokuratessa dała się Rosalbie kilka razy portretować; a miniatura i pastel jej pędzla, przedstawiające Lukrecyę »dalle perle«, znajdują się dzisiaj w galeryi drezdeńskiej.

Elektor Palatynatu pozazdrościł królowi duńskiemu portretów weneckich piękności i za pośrednictwem swego doradcy, Włocha Rappariniego, prosił Rosalbę, o kopie tej galeryi. Angela wykonała dublety, a Rosalba posłała nadto elektorowi miniaturę bachantki, grającej na cymbałach. Elektor tak się rozkoszował pracami Wenecyanki, że ją koniecznie chciał na swój dwór sprowadzić, w czem użył znowu pośrednictwa Rappariniego. Ale Rosalba odmówiła zaproszeniu, wolała pozostać w swej ukochanej Wenecyi. Rapparini się obraził i dość złośliwie napisał artystce, że bardzo żałuje, iż Rosalba nie wie o tem, że i poza lagunami można znaleźć świat, ludzi i chleb. Wenecyanka nie została dłużną odpowiedzi; napisała swemu ziomkowi, że bardzo dobrze jej wiadomo, iż

poza lagunami istnieje świat, ale że zgadza się z wolą Bożą' aby podróże odbywała tylko naokoło stolika i zadawalniała się małym kąskiem chleba.

Elektor zbierał wtedy obrazy, aby urządzić galeryę w Düsseldorfie, a zarazem ozdabiał tamtejszy swój zamek. W tym celu chciał sprowadzić do swej stolicy szwagra Rosalby; ale Antonio Pellegrini bawił ze swoją żoną w Anglii, gdzie dekorował jakiś zamek w hrabstwie Huntingdon, a następnie w Londynie, mając zamówień bez liku i zbierając gwinee. Rozrywano go sobie tem chętniej, że donna Pellegrini bardzo pięknie śpiewała, więc lordowie, powierzający ściany swych zamków jego pędzlowi, mieli jeszcze w dodatku włoskie koncerty, o które, zwłaszcza poza teatrami, było wówczas dość trudno. W tych koncertach brał czynny udział i sam Pellegrini; raz mu się wszakże zdarzyło w Londynie, że zaczął w towarzystwie śpiewać w niedzielę, zapomniawszy o tem, że w Anglii wolno było w święta tylko się modlić albo poważnie milczeć. Powstało więc wielkie oburzenie w salonie; panie protestowały przeciw zbezczeszczeniu niedzieli, a ponieważ liberalny Włoch nie przerywał swego koncertu, rzuciły się na niego, zerwały mu z głowy perukę i zaczęły nią rzucać po sali. Rozgniewany Pellegrini postanowił opuścić purytańską Anglię, z czego skorzystał zaraz elektor Palatynatu, powołując go do Düsseldorfu i do Bambergu.

W Düsseldorfie tworzyli Włosi dość liczną kolonię; bawili tam Bellucci, faworyt księcia, tudzież jakiś wielki pan z Turynu, a Rapparini, sekretarz księcia, sprowadził do Niemiec nie tylko żonę, ale i dwie siostry. To też gdy Pellegrini pojechał na roboty do Bambergu, pozostawił Angelę u Rapparinich, gdzie się tak wybornie bawiła, że Rosalba przestrzegała ją w listach, aby była rozsądną, dobrze się sprawowała i nie dawała powodu do złośliwych plotek. Zdaje się wszakże, że Angela za nadto kochała swego wesołego Pellegriniego, aby mu być niewierną. Lubiono ją powszechnie i obsypywano podarunkami; mimo to skarżyła się przed siostrą, że dawniej, kiedy miała klejnoty, dawano jej dyamenty, teraz, kiedy nie ma ani jednego pierścionka, dostaje same srebrne przedmioty. Rozumowała wszakże, że srebro łatwiej

sprzedać w razie potrzeby, aniżeli inne kosztowności. Państwo Pellegrini bowiem, pomimo znacznych dochodów byli często w potrzebie, wydawali za dużo, lubili prowadzić życie wesołe. W jednym z listów do Rosalby pocieszała się Angela, że nie potrzebują składać, bo nie mają dzieci, a na każdy sposób tyle pozostawią, aby ich miano za co pochować.

Północni książęta prześcigali się w życzeniu, aby mieć miniatury albo pastele Rosalby, ą do największych jej wielbicieli należał książę elektor saski, późniejszy August III, król polski. Bawił on w drugim dziesiątku ośmnastego wieku aż trzy razy w Wenecyi, a mianowicie w latach 1712, 1715 i 1717. Każdym razem dawał się portretować Rosalbie i skupywał jej prace, które teraz zdobią galeryę drezdeńską. W ostatnim roku swego pobytu na lagunach nabył od naszej pastelistki tak piękny obraz o niewiadomem dzisiaj temacie, że obiecywał mieć go zawsze w swoich pokojach i zakazał go nawet sprzedawać swoim spadkobiercom.

II.

Ważnym zwrotem w życiu Rosalby było poznanie Piotra Crozat, Francuza, który przyjechał w r. 1716 do Włoch, aby zakupywać obrazy, rysunki, kamee do swego słynnego zbioru. Crozat, wielki znawca sztuki, przytem człowiek pełen towarzyskich zalet, poznał Rosalbę i tak ją polubił, że do końca życia był jej szczerze oddanym przyjacielem. Nadzwyczaj wysoko cenił talent Wenecyanki i utrzymywał, że z żyjących artystów jeden tylko Watteau może jej dorównać. Gdy w r. 1718 młody patrycyusz wenecki Giambattista Recanati-Zucconi jechał do Paryża, Rosalba poleciła go swemu przyjacielowi, który go też serdecznie przyjął w swym prawdziwie książęcym pałacu przy Rue de Richelieu. Recanati, powróciwszy do Wenecyi, cuda opowiadał o zbiorach Crozata, o jego wspaniałej willi w Montmorency i wogóle o Paryżu i tamtejszem życiu, a Crozat napisał wkrótce do Rosalby, zachęcając ją w serdecznych słowach, aby i ona odważyła się się na daleką podróż. Dodawał zresztą, że artystka, nie mając

kobiecych słabostek i więcej warta, aniżeli stu mężczyzn, łatwo potrafi przezwyciężyć wszelkie przeszkody. Podał przyjaciółce cały plan podróży, namawiał, aby jechała na Loreto i na Rzym, gdzie się przypatrzy uroczystościom Wielkiego tygodnia. W Rzymie przyjmą ją zresztą jego dobrzy znajomi, słynny rzeźbiarz Piotr Le Gros z małżonką, którzy mieszkają w pałacu Farnese. Po Wielkiejnocy może się udać do Florencyi, a stamtąd do Livorna, dalej statkiem do Marsylii, gdzie na nią czekać będzie kareta »qu'on appelle la diligence«, która ją zawiezie do Lyonu. Z Lyonu znowu inny dyliżans i już tylko pięć dni jazdy do Paryża. W stolicy ofiaruje jej Crozat apartament w swoim pałacu, a chociaż jest kawalerem, może Rosalba przyjąć u niego gościnę, bo w domu są dwie panie: Mad. de Lafosse, wdowa po sławnym malarzu, i Mlle d'Argenon, jego siostrzenica. Wiedząc, że stosunki majątkowe Rosalby nie są zbyt świetne, tłomaczy jej Francuz, że koszta całej podróży nie będą wielkie, a w Paryżu znajdzie zamówień na pastele, ile tylko zechce. Co więcej, może stamtąd pojechać do Londynu, gdzie ją już znają i bardzo cenią jej talent.

Wszystkie te piękne obietnice na razie nie przydały się na nic, gdyż ojciec Rosalby był śmiertelnie chory i artystka nie mogła wyjechać; Andrea Carriera umarł też niebawem.

Wkrótce jednak zaszły inne okoliczności, które ją przecież skłoniły do podjęcia podróży do Francyi. A mianowicie John Law, osławiony założyciel banku królewskiego, mającego złudne hipoteki w Luizianie, w Mississipi i w Senegalu, stał wówczas u szczytu swego powodzenia, został jeneralnym kontrolorem finansów francuskiego państwa i powołał Pelleginiego w r. 1719 z Londynu, aby ozdobił wielką salę posiedzeń banku. Crozat skorzystał z tej sposobności, aby Rosalbę ponownie zachęcić do podróży do Paryża, gdzie się spotka z siostrą, i ofiarował już nie tylko dla niej, ale dla matki Carriery i dla Nanetty gościnę w swym pałacu,

Tym razem Rosalba się nie wahała. Matka staruszka powyciągała ze skrzyni najpiękniejsze czepki i koronki, wystroiła się, jak mogła, aby córkom nie zrobić wstydu we francuskiej stolicy, Nanetta zajęła się energicznie pakowaniem

tłómoków i według planu podróży, przepisanego przez Crozata, dotarły nasze Wenecyanki aż do Lyonu. Tam czekali już na nie państwo Pellegrini i witało je kilku przyjaciół Crozata, którym uprzejmy Paryżanin polecił opiekę nad Włoszkami.

W Paryżu przyjął Crozat Rosąlbę z matką i siostrą jakby jakie księżniczki i starał się zapoznać malarkę ze wszystkiemi znakomitościami świata artystycznego. Najwięcej ją może cieszyło zbliżenie się do słynnego Watteau, którego portretowała i dała mu też dawno listami przyobiecaną miniaturę. Poznała się także z oficyalnym malarzem królewskiego dworu, Hyacyntem Rigaud, którego zwano wtedy Van Dyckiem Francyi, tudzież z hrabią de Caylus, właścicielem dużego zbioru obrazów, rzeźb i zabytków archeologicznych, który tak dalece był zamiłowany w rzeczach egipskich, że w testamencie pozostawił rozporządzenie, aby go pochowano w egipskim sarkofagu. Do bardzo pożytecznych paryskich znajomości Rosalby należał także Piotr Mariette, krytyk sztuki, zbieracz rycin i rysunków, od którego Wenecyanka niemało skorzystała co do historycznych poglądów na zabytki dawnej sztuki.

Niebawem dzienniki paryskie zaczęły pisać o słynnej cudzoziemce; osobliwie jej pastele nadzwyczaj się podobały, a dwór królewski do tego stopnia się nią zainteresował, że rejencya zamówiła zaraz u Rosalby miniaturę dziesięcioletniego Ludwika XV, którego portret powtórzyła artystka także w prześlicznym pastelu, znajdującym się w galeryi drezdeńskiej. Rosalba nie mogła nastarczyć zamówieniom; cały wielki świat paryski odwiedzał ją w pracowni, a przed pałacem, w którym mieszkała, można było często widzieć cały szereg najpyszniejszych ekwipaży. Jakiś Francuz, nie mogąc się doprosić, aby wymalowała jego portret, ofiarował jej znaczną jak na ówczesne stosunki sumę sześćdziesięciu pistolów za swoje popiersie, zrobione pastelami i miał to sobie za wielką łaskę, gdy artystka przystała na jego warunki. Akademia malarstwa i rzeźby zamianowała ją swoim członkiem, pomimo że według statutu kobiety nie mogły dostąpić tego zaszczytu.

Aby uświetnić pobyt przyjaciółki w Paryżu i dać ją

poznać arystokratycznemu towarzystwu, urządził Crozat wielki koncert w swoim pałacu na cel dobroczynny, na którym Rosalba grała na skrzypcach z akompaniamentem Franciszka Rebel, przyszłego dyrektora opery, a Nanetta śpiewała z paniami Lafosse i d'Argenon. W sali był obecny rejent Francyi, dalej Law, Caylus, Watteau i prawie cała arystokracya paryska. Watteau oddał w lekkim rysunku, przechowanym w Louwrze, portrety muzyków i śpiewaków, biorących udział w tej akademii muzykalnej.

Niebawem po owym koncercie wielka katastrofa finansowa zatrzęsła całym Paryżem. Bank Lawa zawiesił wypłaty, mnóstwo majątków utonęło w bankructwie jego instytutu, a sam sprawca nieobliczonych nieszczęść zniknął z Paryża, pozostawiwszy tam żonę i córkę. Biedny Pellegrini stracił niewypłacone mu jeszcze honoraryum w sumie dwudziestu pięciu tysięcy franków za ozdabianie sali bankowej, a nawet postradał koszta, wyłożone na pomocników, na farby i różne przybory, potrzebne do wykonania pracy, będącej już na ukończeniu.

Katastrofa Lawa odbiła się na kasie Rosalby, artystka była bowiem zmuszoną ratować finanse swojego szwagra i siostry, z którymi jeszcze dwa miesiące pozostała w Paryżu.

Law prawie równocześnie z Rosalbą jechał do Wenecyi, tylko że finansista uciekał krętemi drogami przed lordem Londondery, który ślad w ślad gonił za nim, pragnąc odebrać swoje miliony, a artystka uciekała przed morową zarazą, panującą wówczas w Marsylii. Podróżowała więc na Lotaryngię, Niemcy i Tyrol do ojczyzny, gdzie okryta sławą, przyjmowaną była jak tryumfatorka przez swoich znajomych. Lord Londondery nie zdołał schwytać Lawa, który pod przybranem nazwiskiem pana Des Jardins osiadł w Wenecyi, grał w karty i tam umarł w r. 1729, pozostawiwszy około 80.000 talarów majątku.

Po dwu latach odpoczynku czekała Rosalbę nowa podróż. Książę Rinaldo d'Este z Modeny miał trzy córki na wydaniu: Benedettę, Amalię i Enrichettę, dla których szukał odpowiednich mężów. Cała esteńska dyplomacya była w ruchu, a wielką tą akcyą kierował roztropny i zręczny markiz Gio-

vanni Rangone, poseł księcia w Paryżu, pochodzący z rodziny od wieków Estom oddanej. Na razie chodziło o połączenie Benedetty z księciem Brunszwiku, a najmłodszej Enrichetty z jednym z Burbonów. Rangone potrzebował przedewszystkiem dobrych portretów księżniczek, aby módz wejść w układy, i napisał swemu księciu, że najodpowiedniejszą artystką do wykonania tego zadania byłaby Rosalba Carriera. Este przystał na wniosek swego posła i zawezwał artystkę, aby przybyła do Modeny. Ponieważ się zanosiło na liczne prace w stolicy Estów, więc »famosa donna« wybrała się tam znowu z matką i z Nanettą w lecie 1723 r.

Poseł modeński pragnął jak najrychlejszego przysłania portretów, bo osobliwie księżna matka brunszwicka chciała je mieć jak najprędzej. Rosalba się więc spieszyła i pracowała z takim zapałem, iż nawet księżniczki dziwiły się, że można tak szybko malować.

Po skończeniu pracy minęło dość dużo czasu, a wysłane portrety nie dochodziły do Paryża; poseł modeński się niecierpliwił, pisząc, że koniecznie ich potrzebuje »per dare motto alle cose«, »aby rzecz z miejsca ruszyć«. Sądzono więc w Modenie, że cenne pastele w drodze zaginęły i książę polecił Rosalbie zrobić trzy nowe, a gdy były gotowe, wysłał je zaraz umyślnym kuryerem z końcem roku 1723 do Paryża. Ale gdy paka z portretami doszła do stolicy Francyi, Rangonego nie było; bawił w Cambray z powodu odbywającego się tam kongresu. Zdaje się wszakże, że kwestya portretów ważniejszą była dla księcia modeńskiego, aniżeli kongres, bo poseł czem prędzej wrócił do Paryża i wręczył je księżnie Brunszwiku, która z niecierpliwości widzenia ich spać nawet nie mogła. Księżniczki krwi i cały wielki świat paryski ciekaw był zobaczyć słynne, jak mówiono, piękności modeńskie; ale co do dwóch portretów, a mianowicie księżniczek Amalii i Enrichetty, nastąpiło pewne rozczarowanie i tylko serenissima Benedetta bardzo się podobała. Losy jednak tak zrządziły, że właśnie Enrichetta, uważana za najmniej ładną, miała aż dwóch konkurentów, z których wybrała księcia Antonia di Parma. Amalia i Benedetta mimo zachodów pana Rangonego nie dostały mężów.

Większego jeszcze rozgłosu, aniżeli portrety księżniczek d'Este, nabrał pastel, przedstawiający dziewczynkę, przyciskającą gołębicę do łona, który Rosalba przysłała hrabiemu de Morville, ministrowi spraw zagranicznych. Hrabia, chory wówczas, tak się zachwycił i ucieszył tym pastelem, że, jak mówiono, wyzdrowiał, powiesiwszy go w salonie, w którym miał Rubensa, Pawła Veronesa, Giorgiona, Andrzeja del Sarto i Poussina. Porównywano wtedy Rosalbę do Correggia, a Carlo Coypel, który także malował pastelami, zrobił kopię obrazu Wenecyanki i pisząc do niej, zaadresował list w ten sposób: »Charles Coypel a Antoine Corége dit aujourdhui Rosa Alba«. Paryż tak się rozkochał w Rosalbie, że znów błagano ją, aby się jak najprędzej przeniosła do Francyi; Crozat ofiarował jej dawne mieszkanie w swoim pałacu, a nawet spodziewano się, że król wyznaczy jej pokoje w Luwrze. Crozat prosił ją, aby przyjechała z matką, z Pellegrinimi i z Nanettą, a nawet z mężem, jeżeli może przez ten czas wyszła za mąż. Ale Rosalba nie chciała opuścić matki, która była zanadto wiekowa, aby przedsiębrać jeszcze tak daleką podróż.

III.

W lecie r. 1728 wybrała się Rosalba na willegiaturę do Friulu, a ponieważ miały się odbyć w Gorycyi rozmaite festyny na cześć Karola VI, więc artystka skorzystała ze sposobności, aby się przypatrzyć wiedeńskiemu towarzystwu i odwiedzić tam dawnego przyjaciela Antonia dall'Agata, zacnego człowieka, ale malarza niewielkiej sławy. Cesarz dowiedział się, że Wenecyanka jest w Gorycyi i obiecał wezwać ją do Wiednia, aby odportretowała i tamtejsze znakomitości. Chwilowo wróciła jeszcze do Wenecyi, zabierając ze sobą siostrzenicę Antonia, Felicytę Sartori, młodą dziewczynkę, okazującą wielkie zdolności do rysunku, która się też wyrobiła na jedną z najznakomitszych uczennic artystki.

Zdarzyło się, że w niespełna dwa lata później powołano prawie równocześnie Pellegriniego i Rosalbę do Wiednia. Artystkę zaprosił cesarz za pośrednictwem wielkiego znawcy



Carriera Rosalba. Portret hrabiny Orzelskiej.
Pastel w galeryi drezdeńskiej.

Do str. 211. Fot. Tamme w Dreźnie.



Carriera Rosalba. Portret kobiecy.

Wenecya. Akademia.

Do str. 211. Fot. Andersen.

starożytności, Daniela Antoniego Bertolego. Rosalba wybrała się też z Nanettą w początkach maja r. 1736 do austryackiej stolicy, aby tam nowe zbierać wawrzyny. Portretowała cesarza i Piotra Metastasia, stojącego podówczas u szczytu sławy. Zdaje się, że wtedy zrobiła Rosalba także pastelowy portret Anny Orzelskiej, córki naturalnej króla Augusta II i Henryety Duval, kupcówny francuskiej w Warszawie, słynnej piękności. Historya Anny bardzo była romantyczna. Król w czasach wojny północnej i swej detronizacyi zupełnie o niej zapomniał i pozostawił prawie w nędzy. Dopiero hrabia Rutowski, regimentarz królewskiej jazdy, również naturalny syn Augusta II i Turczynki Fatymy, zajął się jej losem, wychował zupełnie po wojskowemu, nauczył szermierki, a gdy nastały znów czasy spokojniejsze, skorzystał ze sposobności, aby ją w grenadyerskim mundurze przedstawić królowi. August II niezmiernie się ucieszył piękną córką, która mu się tak podobała, że odtąd stała się jego największą ulubienicą i aż do śmierci ojca odgrywała rolę prawdziwej królewny. August II nadał jej nazwisko Orzelskiej, jak mówią, od orła, herbu polskiego, wyznaczył jej wysoką pensyę, darował tak zwany pałac błękitny w Warszawie i wydał za mąż za księcia Ludwika Holstein z linii Beck. Małżeństwo nie było jednak szczęśliwe; po śmierci króla Orzelska rozwiodła się z Holsteinem i przeniosła na stałe mieszkanie do Rzymu, gdzie umarła r. 1769.

Drugą piękną Polkę malowała Rosalba mniej więcej w tym samym czasie, a mianowicie księżnę Urszulę Jerzową Lubomirską, z domu Alten Bokum, z kurlandzkiej rodziny, osiadłej w Polsce. August II zakochał się w księżnie, rozwiódł ją i wystarał się u cesarza Karola IV, że jej nadał tytuł księżnej cieszyńskiej. Niestały król porzucił ją jednak po kilku latach i księżna wyszła za mąż za księcia Eberharda Wirtemberskiego.

O pobycie Rosalby w Wiedniu mało mamy wiadomości, gdyż bawiła tam tylko do połowy października r. 1730. Była jednak bardzo zadowoloną z przyjęcia, jakiego doznała, i tylko tęsknota za starą matką skłoniła ją do szybkiego powrotu do Wenecyi.

Nastąpiły znowu lata ciągłej, bezustannej pracy, zamówień i hołdów ze wszech stron. Z tych lat pochodzi prześliczny portret kardynała Melchiora de Polignac, znajdujący się we Francyi, dublet w akademii weneckiej, istny ideał przedrewolucyjnego prałata. Ale bo też i model nadawał się do lekkiej ręki Rosalby; mężczyzna piękny, o spokojnej twarzy, na której nie znać, aby ją kiedykolwiek zmarszczyły przeciwności życia, o oczach prawie kobiecego uroku, podniesionych jeszcze purpurową, niby kobiecą szatą.

Artystka za długo była szczęśliwą, aby nie miały po owej jasnej epoce nastąpić czarne lata smutku. Z wiosną r. 1738 umarła jej ukochana siostra Nanetta, powiernica wszystkich myśli artystki, a zarazem najdzielniejsza jej współpracowniczka. Nanetta była zawsze trochę słabą na piersi; naraz chroniczne to cierpienie przeszło w niebezpieczną chorobę i wydarło Rosalbie tą niejako drugą połową jej istoty. Artystka odczuła w wysokim stopniu stratę i odtąd miewała chwile czarnej melancholii. Do pomocy w swej pracowni powołała Angielettę Sartori, siostrę Felicyty, i z całą miłością starała się usilnie wykształcić ją na zręczną artystkę. Angieletta nie mogła jej wszakże zastąpić ukochanej Nanetty.

W grudniu r. 1739 przybył do Wenecyi syn króla polskiego, Augusta III, Fryderyk Krystyan, aby zakupić, ile się tylko da, prac Rosalby. W pracowni jej wybrał czterdzieści pasteli, znajdujących się teraz w galeryi drezdeńskiej, a prócz tego starał się dostać, co było można, z drugich rąk. Pomiędzy innemi chodziło mu bardzo o zdobycie pięknego portretu Maryi Capitanio, przyjaciółki Rosalby, za który ofiarował 150 cekinów. Ponieważ jednak właścicielka nie mogła się zdobyć na rozłączenie z dziełem drogiej jej artystki, więc książę dodał jej przepyszny serwis saski, który wart był zapewne jeszcze większą kwotę. Vittorio Malamani, biograf Rosalby, utrzymuje, że portret ten nie znajduje się pomiędzy portretami Rosalby, przechowanymi w Dreźnie.

Z elektorem saskim był w r. 1739 w Wenecyi także radca dworu Hofman, który miał czuwać nad miłosnymi zapędami młodego księcia. Bywając często w pracowni Rosalby, zakochał się jednak sam poważny radca w Felicycie i tak

widocznie okazywał jej miłość, że cała Wenecya mówiła o tym mentorze, który miał strzedz swego ucznia od strzał Amora we Włoszech, a sam został niemi zraniony. Rany były głębokie, bo Hofman, wyjechawszy z Wenecyi, pisywał do Felicyty, a po upływie półtora roku wyrobił to u swego króla, że Włoszkę powołano do Drezna, jako nadworną malarkę. Dziewczyna się wahała, czy przyjąć zaproszenie; ale Rosalba, pomimo że ze smutkiem miała utracić jedną z najlepszych swoich uczennic, namawiała ją, aby korzystała ze sposobności, która jej może zapewni spokojną przyszłość. Ulegając tym namowom, napisała Felicyta (16 maja 1741 r.) do Hofmana, że się uda do Drezna, gdzie też przybyła niebawem w towarzystwie swego brata, a w końcu czerwca była już panią Hofmanową. Wspaniałomyślny małżonek zapisał jej tysiąc ludwików w posagu, a tysiąc talarów posłał jej krewnym, nadto pozostawił jej do wolnego rozporządzenia pensyę, którą będzie otrzymywała z królewskiej kasy, a wszystko, co poza tem zarobi swemi pracami, ma służyć do wspierania jej niezamożnych krewnych. Nadto podarował jej Hofman kosztowny pierścionek, kolczyki, klejnot na szyję, tabakierkę i piękne przybory do gotowalni.

Szczęście wszakże niedługo trwało; Hofman umarł niebawem, a jego rodzina nie chciała nic wiedzieć o Włoszce, która popadła w Dreźnie w taką biedę, że musiała prosić swoich włoskich krewnych o wsparcie.

Nad Rosalbą zawisły także ciężkie chmury; Antonio Pellegrini, sparaliżowany, umarł w r. 1742. Angela sprowadziła się do domu swej siostry, która od dawna cierpiąc na oczy, ciemniała niespodziewanie na jedno oko, a drugie było także zagrożone kataraktą. Ostatni własny portret, który malowała pomiędzy rokiem 1744 a 1746, nosi już ślady niepewności wzroku, oczy na nim blade, zamglone. Ale na kilka miesięcy przed śmiercią i umysł się zamglił, wpadła w zupełną melancholię i umarła na wycieńczenie sił 15 kwietnia r. 1757.

Testament zrobiła jeszcze jasnym umysłem, majątek zapisała siostrze Angeli i dwom Pebrottim z Chioggii, krewnym swego ojca. Ukochanej uczennicy, Felicycie Sartori, przezna-

czyła sto dukatów, a na msze za swoją duszę pozostawiła 2500 dukatów z warunkiem, aby je odprawiał Giorgio Pedrotti, po nim duchowni z jego rodziny, a gdy Pedrottich zabraknie, księża z familii Penzo, także z Chiogii. Wkrótce zapomniano o mszach i dukatach, a nawet grób słynnej artystki i jej siostry został zburzony w r. 1808 wraz z kościołem św. Vio. Dopiero w pięćdziesiąt lat później wystawiono na tem miejscu kaplicę na pamiątkę jakiegoś Biondetti i przy tej sposobności przypomniano sobie o Rosalbie, kładąc tam napis: »Rosalba Carriera pittrice MDCCLVII«.

Rosalba uchodziła za cud uczoności i rozumu pomiędzy ówczesnemi kobietami w Wenecyi, które często nawet pisać nie umiały. Ona zaś nie tylko znała język francuski i czytała po łacinie, ale nawet biegłą była w historyi literatury i sztuki, miała o wszystkiem bardzo zdrowy sąd, nadewszystko jednak umiała sobie zyskiwać przyjaciół, którzy całe życie byli jej wierni.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

CASANOVA.

I.

Około roku 1720 liczył się do grona komedyantów i baletników północnych Włoch niejaki Gaetanello Casanova. Uciekł on z domu, z Parmy, do Wenecyi z »Fragolettą«, ładną i sprytną dziewczyną, która na małych scenach grywała »servettę«. Ale poczynająca swój zawód aktorka znalazła wkrótce bogatszego od Parmeńczyka wielbiciela i jednego pięknego wieczora opuściła kochanka, aby do niego więcej nie powrócić. Gaetanello pozostał w Wenecyi, wynajął stancyjkę, sąsiadującą ze sklepikiem szewca Geronima Farussi, a że szewc miał piękną córkę Zanettę, więc komedyant wkrótce się pocieszył po niewiernej Fragolecie i zakochał się w Wenecyance. Szewc jednak nienawidził »histryonów« i pogardzał nimi; martwił się więc stosunkiem swej córki, widząc jednak, że Zanetta bardzo zakochana, pozwolił wprawdzie, aby poszła za mąż za Gaetanella, ale ze zgryzoty umarł. Jeszcze na łożu śmierci wymógł na zięciu przyrzeczenie, że Zanetty nie zaprowadzi nigdy na deski teatralne i nie odda dyabłu jej duszy.

Gaetanello sądził wszakże, że szewc nie dowie się po śmierci, iż Zanetta została aktorką, i zaangażowany na włoską scenę do Londynu, zabrał ją ze sobą i wykształcił na

komedyantkę. W r. 1728 powrócił wszakże do Wenecyi z żoną i dwoma synami, Gian Giacomem i Franceskiem, o którym mówiono, że nie Gaetanello, ale król angielski Jerzy II był jego ojcem. Młoda para aktorska występowała w teatrze San Samuele i zyskiwała powszechne oklaski. Szczęście nie trwało jednak długo, w r. 1733 umarł Gaetanello, wskutek pomyłki lekarza, który na jakiś wrzód w głowie zapisywał pacyentowi proszki na żołądek. Zanetta, którą pospolicie zwano »Buranella«, została w dwudziestym piątym roku życia wdową z dwojgiem dzieci, spodziewającą się nowego potomka. Impressario Imer, o którym Goldoni często wspomina w swoich pamiętnikach, nie tylko, że ją zatrzymał w teatrze San Samuele, ale nawet zakochawszy się w niej, dawał jej najlepsze role. Imer, krótki, gruby, prawie bez szyi, o małych oczach, z nosem jak ogórek, był niezrównany w rolach komicznych, a gdy w intermezzach śpiewał wraz ze swą zręczną towarzyszką, wywoływał pusty śmiech nawet na najbardziej melancholijnej twarzy. Zanetta nie znała wprawdzie ani jednej nuty w muzyce, ale mając dobre ucho i ładny głos, wybornie się wywiązywała ze swego zadania. Po dwu latach znudził się jednak ładnej kobiecie tłusty impressario; skorzystała więc ze sposobności, że jakiś ajent poszukiwał artystki dla sceny króla Augusta III, i wybrała się z nim do Polski (1735). Po drodze jednak rozmyśliła się i pojechała w towarzystwie innych komedyantów do Petersburga, do teatru carowej Anny Iwanówny. W kilka lat później występowała przecież w Warszawie, a gdy ją nareszcie zaangażowano do Drezna (1750), miała już przeszło lat czterdzieści. Jakiś krytyk ze Stutgardu pisał wtedy o niej, że postać ma olbrzymią, twarz staruszki, ale ratuje się wprawą sceniczną. W rolach kochanek razi jej głos chrypliwy, pełna jednak dowcipu i życia, umie się przypodobać publiczności.

Wśród tych peregrynacyi swej matki rósł mały Giacomo, prawie jej nie znając. Opiekunem malca został Giorgio Baffo, patrycyusz wenecki, autor wielu lekkich poezyi, wydanych po jego śmierci, a jedynie babka, Marya Farusi, miała cokolwiek serca dla opuszczonego chłopaka. Babka ubrała ośmioletniego wnuka w suknie abatina, sprawiła mu jasną perukę i oddała

do szkoły księdza Gozzi w Padwie. Zacny abate nie był wprawdzie głębokiej nauki mędrcem, ale jak umiał, uczył Giacoma łaciny, logiki, kosmografii i gry na skrzypcach, a jego siostra Bettina, zajmujący podlotek, zawracała głowę dziesięcioletniemu uczniowi, otwierając mu horyzonty miłości.

Razu jednego powiedziano zakochanemu studentowi, że matka przyjeżdża do Wenecyi; Giacomo się ucieszył, ale jeszcze większą radość, aniżeli rodzicielka, sprawił mu obiad, który przyjaciele dali na cześć Zanetty. Podczas bankietu panował bardzo swobodny nastrój; jakiś Anglik, znajomy artystki, wygłosił dość nieprzyzwoity czterowiersz, na który Giacomo, ku wielkiemu zdziwieniu matki, opiekuna i całej kompanii, odpowiedział dowcipnym pentametrem. Chłopak się przy tej sposobności przekonał, że dowcip może przynosić realne korzyści, bo Anglik i matka dali mu po złotym zegarku. W piętnastu latach ukończył Giacomo nauki, został doktorem »utriusque iuris«, broniąc tezy: »Czy Żydom wolno stawiać nowe synagogi?« a następnie na życzenie matki i opiekuna miał się poświęcić duchownej karyerze. Patryarcha wenecki, monsignor Correr, dał mu cztery niższe święcenia i młodzieńcowi wycięto tonzurę na bujnych czarnych włosach.

Szczęście jednak, czy nieszczęście chciało, że Giacomo poznał się z senatorem Malipiero, starym libertynem, bogaczem, cynicznym filozofem, który znany był w całem mieście ze swych lukullusowych obiadów. Malipiero protegował Teresinę Imer, córkę dyrektora teatru, który miał dawniej stosunek z Zanettą. Matka Teresiny, wycofawszy się ze sceny, przepędzała całe dnie w kościele, a wieczór odprowadzała córkę do starego rozpustnika. Giacomo spotykał Teresinę u Malipiera i naturalnie zakochał się w niej bardzo szybko; zaczął się ubierać według ostatniej mody, pozwolił zarastać włosom na tonzurze i obficie używał jaśminowej pomady. Proboszcz w San Samuele, gdzie młody kleryk był na duchownej praktyce, miał dobre powonienie; poczuł zaraz jaśminy i przypomniał Giacomowi, że któreś koncylium zakazało pomadować się duchownym. »Clericus, qui nutrit comam, anathema sit!«

Kleryk nie zważał jednak na kościelne przepisy, ale szu-

kał coraz to nowych miłosnych awantur, zawiązywał stosunki to ze sławną Gardelą, córką gondoliera, a kochanką księcia Wirtemberskiego, to ze znaną z dowcipu w całej Wenecyi baletniczką Tintorettą, dopóki nie sprzedał i złotych zegarków i wszystkich gratów, jakie mu po matce pozostały.

W tej krytycznej chwili odezwało się jednak serce Zanetty do syna. Otrzymał list od matki, że poznała w Warszawie Franciszkanina z Kalabryi, który chętnie zająłby się jego losem, gdyby nawzajem Zanetta, mająca stosunki u dworu polskiego, wystarała się dla niego o biskupstwo w Kalabryi. Rzecz byłaby łatwa, gdyby królowa polska Marya Józefa, arcyksiężniczka austryacka, napisała do swojej córki, Maryi Amalii, królowej neapolitańskiej (małżonki Karola III), list polecający Franciszkanina. Zanetta udała się więc do Maryi Józefy, która uczyniła zadość jej prośbie i Kalabryjczyk został rzeczywiście biskupem w Martorano, miejscowości, położonej z dala od cywilizowanego świata.

Nowy biskup, udając się do swojej stolicy, wstąpił do Wenecyi, poznał Giacoma i zabrał go ze sobą na Południe. Z rozdartem sercem z przyczyny Tintoretty i innych znajomych pojechał Casanova w r. 1743 przez Rzym i Neapol do Kalabryi.

Stanąwszy pod Wezuwiuszem, miał lat ośmnaście i ośm karlinów w kieszeni; żal mu było opuszczać piękne miasto, ale biskupowi się śpieszyło. Nie zważając więc na swego przyszłego pryncypała, który odjechał, został jeszcze w Neapolu, dopóki szczęście będzie służyło. Karliny nie wystarczyły wszakże na długo, więc nie wiele myśląc, ruszył Giacomo piechotą, bez grosza, do Martorano, a miał dwieście mil drogi przed sobą. Ufał jednak, że sobie jakoś poradzi. I rzeczywiście szczęście nie opuściło go. Zaraz na pierwszej stacyi, gdzie przenocował, w Portici, spotkał w gospodzie jakiegoś Greka, który prowadził wielki handel merkuryuszem i winem z Cypru; kupcowi tak się Giacomo spodobał, że dał młodzieńcowi sporo złota na drogę i nadto parę brzytew ze sławnej wówczas fabryki w Torre del Greco. Pełen więc otuchy wenecki kleryk wsiadł do jakiejś przejeżdżającej karety i bez wypadku zajechał do Martorano.

Biskup, Don Bernardo de Bernardis, bardzo się ucieszył. Ale Casanova zaraz spostrzegł, że tam fortuny nie zrobi; bieda wyglądała ze wszystkich kątów, pożywienie złe, a za napój woda. Po kilku dniach i krótkim namyśle powiedział biskupowi:

— Daj mi swoje błogosławieństwo, Monsignore, i pozwól, abym wrócił pomiędzy ludzi; nie mam ochoty zakończyć życia w tym opuszczonym kącie. Jeżeli sam sobie dobrze życzysz, to pójdź ze mną, a przysięgam ci, że gdzieindziej lepiej nam się powiedzie, aniżeli tutaj.

Monsignor jednak próbował już szczęścia na Południu i na Północy, a gdy go wszędzie zawiodła fortuna, pragnął spokoju, choćby w Martorano. Casanova natomiast, pełen sił i życia, podarował biskupowi na pamiątkę brzytwy greckiego kupca, puścił się w świat i został awanturnikiem.

Podążył do Rzymu, mając przekonanie, że Stolica papieska to »la ville unique où l'homme partant de rien, peut parvenir à tout«.

Główną też charakterystyką awanturników XVIII wieku było, że urastali z niczego. Bez pomocy rodziny lub przyjaciół, ufając tylko własnym siłom, puszczali się na ocean świata; czasem fala ich tak przykryła, że zaledwie oddychać mogli, czasami jednak pływali w złocistym Bucentaurze i zdawało im się, że są Nabobami z zagadkowych Indyi. Spokojne zarabianie na grosz, oszczędzanie, nie było ich rzeczą; wierzyli w swoją gwiazdę, a nie mając nic do stracenia, nie bali się utonąć.

Jedynym kapitałem tych ludzi była wiara w ludzką głupotę, ta dawała im wysokie procenta. Sam Casanova powiada, że większość ludzkiego rodzaju stanowią głupcy, z których człowiek zręczny i przebiegły powinien umieć skorzystać.

Każda epoka ma swoją powszechnie uznaną zasadę, która zostaje wprawdzie w najzupełniejszej sprzeczności z etyką, moralnością i przykazaniami z góry Synai, ale mimo to nikogo nie gorszy, a nawet staje się niewzruszonem prawem. W czasach Odrodzenia panowało przekonanie, że każdego, kto jednostce lub społeczeństwu zawadza, można otwarcie, czy skrycie zamordować, bez poprzedniego procesu.

W XVII i XVIII wieku wyznawano zasadę, że cel uświęca środki, choćby najbardziej zbrodnicze; w XIX stuleciu wielki mąż stanu wypowiedział zdanie, które się stało podstawą dzisiejszej polityki: »siła przed prawem«. Za czasów Casanovy nie brano za złe nikomu, jeżeli wyzyskiwał bliźnich, niższych od siebie zręcznością i rozumem, a co więcej, człowiek tego rodzaju był pewien poklasku.

Casanova nie poniżał się bynajmniej w opinii większości społeczeństwa, jeżeli, mówiąc utartym frazesem, wywodził głupców w pole. Chwila zresztą, w której występował ten zręczny Wenecyanin, była dziwnie sposobną do korzystania z ludzkiej łatwowierności. Społeczeństwo nie pozbyło się jeszcze dawnej wiary w alchemię, w sztuki czarnoksięskie, w możność znalezienia kamienia filozoficznego, a nawet ta wiara jeszcze się spotęgowała wskutek wielkiego postępu fizyki i wogóle nauk przyrodniczych. Ludzie płytkich umysłów, widząc rozmaite odkrycia teleskopów, barometrów i t. p., a nie znając jeszcze dostatecznie sił przyrody, zaczęli wierzyć, że wszystko na świecie jest możliwem; nie rozumieli, że i doświadczenie ma swoje granice, że człowiek cudów działać nie potrafi. Rozpowszechniło się zresztą przekonanie, że wszelkie tajemnicze siły w naturze zbadali już wschodni mędrcy, że w Kabale są złożone skarby wiedzy ludzkiej i że każdy, kto dotrze do tej wiedzy, potrafi działać rzeczy, których zwykły śmiertelnik zrozumieć nie zdoła. Zręczni więc awanturnicy wyzyskiwali ową wiarę, udając najczęściej, że ich celem jest postęp w naukach i rozszerzenie wolności człowieka, w czem się podszywali pod filozofię francuską.

Każdego, kto się zastanawia nad stanem umysłów w drugiej zwłaszcza połowie XVIII wieku, w epoce racyonalistów i ateuszów, musi uderzać ta niesłychana łatwowierność ludzi nawet wykształconych, ta wiara w rzeczy, które w żaden sposób z racyonalizmem pogodzić się nie dadzą. Niejednokrotnie zaznaczano już ową sprzeczność, jaka istniała pomiędzy rozwojem filozofii i okultyzmem, pomiędzy encyklopedystami a towarzystwami Różokrzyżowców (»Rose-Croix«) we Francyi i stowarzyszeniami piekielnemi. Sprzeczność ta wkszakże nie jest wyłączną właściwością XVIII wieku; istnieje ona ciągle,

gdyż większość ludzi nie zadawalnia się tem, co wie, a raczej tem, czego nie wie o wszechświecie i o tajemnicach przyszłego życia, ale chciałaby wniknąć jeszcze głębiej. Nie mogąc zaś nic dociec własnym rozumem, daje się bałamucić tym, którzy w dobrej lub złej wierze zdają się coś więcej wiedzieć i swe tajemnice chcą drugim narzucić.

Mało jest wogóle ludzi, zadawalniających się tą prawdą, że człowiek wszystkich tajemnic stworzenia pojąć nie może.

II.

Przekonanie, że w Rzymie można znaleźć szczęście, przyniosło Casanowie zawód, głównie z powodu lekkomyślnych romansów. Nie zraził się jednak do świata, a po różnych wędrówkach we Włoszech, po zaciągnięciu się do armii weneckiej i awanturach w Konstantynopolu i na Korfù wrócił w r. 1745 do Wenecyi bez grosza, mając lat dwadzieścia.

W braku innego utrzymania grywał na skrzypcach w orkiestrze teatru San Samuele i na balach prywatnych. Szczęśliwym dla niego przypadkiem zdarzyło się, że wychodząc z takiego balu, spostrzegł, że senator Giovanni Bragadino został tknięty apopleksyą. Casanova pochwycił chorego w swe silne ramiona, wsadził do gondoli i zawiózłszy do pałacu, kazał szybko krew puścić zemdlonemu, wbrew radom lekarzy, którzy chcieli mu wcierać merkuryusz, i uratował tem starca, mającego duży majątek i rozliczne wpływy. Za kilka godzin rozgościł się młodzieniec w mieszkaniu Bragadina, który go uważał za swego zbawcę. Stary senator »miał, jak powiada Casanova, słabość zajmowania się okultyzmem« wraz ze swymi przyjaciółmi, Dandolem i Barbarem, dwoma bardzo majętnymi patrycyuszami. Wczorajszy skrzypek teatralny umiał zaraz skorzystać z tej słabości i w mgnieniu oka opanował trzech znakomitych przyjaciół, wmawiając w nich, że posiada tajemnicę dociekania przyszłości i oryentowania się w najtrudniejszych chwilach życia. Przepowiadał więc trzem senatorom, czego tylko mogli w duszy zapragnąć, leczył ich, a równocześnie za pieniądze Bragadina grał w karty po ridottach i używał ży-

cia. Sądził, jak sam opowiada, że i w państwie ściśle arystokratycznem można żyć zupełnie swobodnie, jeżeli się tylko nie przekracza praw istniejących. Poza tem zdawało mu się, że taki człowiek, jak on, może sobie drwić z zastarzałych przesądów i pozwalać rozmaitej swawoli, zwłaszcza jeżeli jest gotów za każdy wybryk własną skórą zapłacić. Dość zamożny, z natury pełen talentow, bezmierny rozrzutnik, ruchliwy, czynny, daleki od wszelkiej »pruderyi«, chciał zdobyć każdą piękną kobietę, zwłaszcza że się nie obawiał współzawodników i każdego z nich zwyciężyć potrafił. W towarzystwach szukał tylko zabawy i unikał salonów, które go nudziły. Miał jedną wielką wadę, szkodliwą w takiem państwie, jak Wenecya: był wielkim gadułą, łatwo wszystko i wszystkich krytykował, a uwagi swe zaprawiał gryzącym sarkazmem. Narobił sobie wskutek tego wielu nieprzyjaciół, a gdy mu już duszno było wśród lagun, pojechał się bawić, romansować, grać i płatać najrozmaitsze niedorzeczności to w Medyolanie i innych miastach włoskich, to w Genewie, dokąd go zaprowadziła piękna Henrietta, w której się szczerze zakochał. O stałość w miłości posądzić go wszakże nie było można; niebawem więc, zapoznawszy się w Lyonie z misteryami wolnomularstwa, znalazł się w Paryżu w r. 1750.

Najpopularniejszą aktorką była tam wówczas w »Komedyi włoskiej« Giovanna Benozzi Balletti, nazywana imieniem teatralnem »Silvia«, zamężna za Giuseppem Ballettim, również wybornym artystą. Syn tej aktorskiej pary Antonio, baletnik i komik, przedstawił przyjaciela Casanovę w domu rodzicielskim, gdzie nasz Wenecyanin zapoznał się ze światem artystycznym i literackim. Casanova, podobnie jak cały Paryż, zachwycił się Silvią, ale nie musiał mieć z nią stosunku, gdyż w swych pamiętnikach daje jej świadectwo, że była wzorową żoną i że »sa conduite fut toujours sans tache«. Wprawdzie w najnowszych czasach wyszukano w zapiskach paryskiej policyi, że Silvia miała stosunek z Casanovą i że go utrzymywała, ale w tym wypadku policya chyba dała się uwieść pozorom, gdyż Giacomo był codziennym gościem Ballettich.

Pędzony swym awanturniczym duchem wyjechał Casanova w r. 1752 z Paryża do Drezna, następnie do Wiednia;

ale nad Dunajem długo ostać się nie mógł, gdyż Marya Teresa zaprowadziła tak zwane »Komisye czystości«, »Keuschheitskommissionen«, które oczywiście Casanowie nie dogadzały. Marya Teresa zastanawiała się nad głównymi grzechami i przyszła do przekonania, że pozamałżeńska miłość zmysłowa jest największym występkiem. Sądziła, że pychę trudno odróżnić od chwalebnej jej siostrzycy, od godności; skąpstwo wprawdzie brzydką jest wadą, ale nie da się wykorzenić, albowiem zadałoby się cios oszczędności; gniew jest chorobą, prowadzącą często do zbrodni, ale na zbrodnie jest szubienica; obżarstwo samo się karze — niestrawnością; do zawiści nikt się nie przyzna, trudno ją sprawdzić; lenistwo sprzykrzy się, bo nudne, pozostaje tylko ta nieszczęsna zmysłowość, tę trzeba wykorzenić.

Casanova nie czekał skutków tych moralnych rozporządzeń i już w r. 1753 znalazł się w swej ukochanej Wenecyi, ku wielkiej uciesze Bragadina.

Ojczyste powietrze go upoiło; wrócił do dawnych zwyczajów i nie tylko grał w karty, uwodził zakonnice, ale co gorsza, w szale powodzenia zaczął krytykować rządy Rzeczypospolitej, mówić lekceważąco o religijnych instytucyach, rozszerzać francuskie filozofizne zasady, których się Inkwizycya bardzo obawiała. Na domiar złego zaprzyjaźnił się z ambasadorem francuskim Bernisem, bywał częstym gościem u niego i brał udział w rozpustnych wieczorach lekkiego dyplomaty. Inkwizytorzy zwrócili na to uwagę; nie chodziło im tyle o płoche postępki Casanovy, ile raczej o to, aby przed Bernisem nie zdradzał tajemnic rządu weneckiego, o których łatwo mógł wiedzieć, mając stosunki z weneckim patrycyatem.

Zaczęto go śledzić. Szpieg policyjny, Giambattista Manuzzi, oskarżył Casanovę w r. 1754 przed swą naczelną władzą, że ten awanturnik trwoni pieniądze Zuana Bragadina, że w nic nie wierzy, że ułożył jakiś wiersz, obrażający religijne uczucia, że pisze satyry na komedyopisarza Chiarego, że utrzymuje stosunek z tak podejrzaną osobistością, jaką jest Bernardo Memmo, i jak się zdaje, należy do masońskiej loży w Wenecyi, gdyż jednemu ze swych przyjaciół pokazywał symbole wolnych mularzy, wogóle że jest »un iperbolano«,

to jest, kabalistą. Wskutek tych doniesień, a głównie z uwagi na stosunek z ambasadorem Francyi, kazał Trybunał inkwizycyi uwięzić 21 sierpnia 1755 r. Casanovę, »specialmente in desprezzo publico della Santa Religione« i odprowadzić do osławionego więzienia, do »Piombi«.

Ucieczka z tego więzienia, tak trudna, że w nią na razie nie wierzono, stała się największą »reklamą« dla Casanovy; od tej chwili był on znanym w całej Europie, a jak tylko przyjechał 5 stycznia 1757 do Paryża, natychmiast przyjął go otwartemi ramionami abbé de Bernis, który tymczasem został radcą stanu, a nieco później ministrem spraw zewnętrznych. Minister prosił przyjaciela o dokładne szczegóły tej sławnej ucieczki; Casanova spisał wskutek tego swoją »L'Histoire de ma fuite des prisons de la République de Venise, qu'on appelle les Plombs«. Zanim jeszcze rzecz została wydrukowaną, czytała ją już pani de Pompadour, a cały wielki świat paryski o niczem przez dłuższy czas nie mówił, jak tylko o nadzwyczajnej zręczności i odwadze weneckiego więźnia.

Później zaczęto wątpić, czy Casanova rzeczywiście wydostał się w ten sposób z »Piombów«, jak to opisał; podejrzywano, że rzecz nie była zbyt trudna, bo ją ułatwił Bragadin swojemi pieniądzmi. Mało historycznych zdarzeń badano tyle razy i z taką dokładnością, jak ową ucieczkę, w nowszych nawet czasach, w r. 1880 zebrała się w czasie Wielkiejnocy cała komisya uczonych, do której należał profesor Alessandro d'Ancona i Francuz Uzanne wraz z ówczesnym konserwatorem pałacu dożów, p. Fabris, i badała na miejscu, czy opowiadanie Casanovy mogło być prawdziwe. Otóż wynik wszelkich dochodzeń był dodatni i dzisiaj nikt nie wątpi, że Casanova potrafił się wydobyć z »Piombów« własnym przemysłem, z pomocą tylko towarzysza więziennego, księdza Marina Balbi, gdyż sam jeden nie mógłby był urządzić niebezpiecznego wyłamania się z kaźni. Bragadin niczem się nie przyczynił do uwolnienia go, nie mógł nawet Casanovie przysłać pieniędzy do »Piombów« i awanturnik, wydobywszy się z więzienia z pustą kieszenią, radził sobie własnym przemysłem w dalszej podróży. Zabobonny, jak wogóle wszyscy współcześni, zapytywał tylko kabały, kiedy ma uskutecznić

swoje niebezpieczne przedsięwzięcie. Kabała odpowiedziała mu numerami 9, 7, 1. Wtedy zaczął szukać w ulubionym poemacie, w »Szalonym Rolandzie« Aryosta, czyby tam nie znalazł wytłomaczenia tych liczb. I rzeczywiście w IX śpiewie, siódmej stancy i pierwszym wierszu objawiła mu się upragniona odpowiedź:

Tra il fin d'ottobre e il capo di novembre.

Z ufnością więc oczekiwał tego terminu i w nocy 31 października na 1 listopada 1756 r. plan swój szczęśliwie wykonał.

III.

W Bernisie znalazł Casanova prawdziwego przyjaciela i protektora. Minister polecił mu rewizyę projektu wielkiej loteryi, która państwu miała przynieść nadzwyczajne korzyści, zamianował go następnie dyrektorem sześciu okręgów loteryjnych, tak, że Giacomo został w krótkim czasie bogatym człowiekiem.

Szczęście mu się zewsząd uśmiechało; z domem Ballettich wiązały go prawdziwie przyjacielskie stosunki, które były mu tem milsze, że córka Silvii, Manon, wyrosła od tego czasu, jak ją widział po raz pierwszy w Paryżu, na piękną, dobrze wychowaną pannę, w której Giacomo, jak łatwo się domyśleć można, bardzo szybko się zakochał, a pozyskawszy jej serce, zamierzał się z nią nawet ożenić.

Ale tymczasem założył fabrykę drukowanych materyi jedwabnych, bałamucił dziewczęta w niej zajęte, urządził się wspaniale w realności, położonej za kościołem Magdaleny, zwanej »Petite Pologne« [1]) i rozrzucał hojną ręką pieniądze pomiędzy przyjaciół i przyjaciółki. Co gorsza, zawikłał się w dziwaczne stosunki z markizą Joanną d'Urfé, która mimo

[1]) Zdaje się, że ta nazwa pochodziła od dawnej gospody »Cabaret au Roi de Pologne«, godłem, wybranem na cześć Henryka III Walezyusza.

dużego majątku chciała z miedzi robić złoto i całe dnie przepędzała w swem laboratoryum pomiędzy tyglami i retortami. Z markizą zapoznał go jej siostrzeniec, hrabia de la Tour d'Auvergne, zadłużony oficer, widocznie w tym celu, aby z pomocą Casanovy wyzyskiwać siedmdziesięciotrzechletnią waryatkę. Ówcześni awanturnicy chętnie posługiwali się teoryą odmładzania, aby tem łatwiej usidłać łatwowiernych. Nie było starej, zamożnej kobiety, któraby nie pragnęła wrócić do swej młodości, a do nich należała i markiza d'Urfé. Naprzód łudził ją podobnemi obietnicami hrabia St. Germain, który utrzymywał, że sam już żyje kilkaset lat dzięki eliksirom młodości i przygotowywanym w tajemniczy sposób pokarmom. Casanova poznał hrabiego w domu markizy i jak się zdaje, potrafił osłabić jego wpływ na staruszkę, a natomiast sam najzupełniej nad nią zapanował. Wmówił w nią, że pod wpływem gwiazd i kabały zostanie jeszcze matką, że po urodzeniu się dziecka na jakiś czas umrze, ale po siedmdziesięciu czterech dniach zmartwychwstanie jako urocza, młoda dziewczyna; musi się tylko o to postarać, aby nie wiedziano o jej chwilowej śmierci i aby jej nie pogrzebano.

Nim jednak doszło do tej próby, wdali się w całą sprawę spadkobiercy markizy, których to niepokoiło, że włoski awanturnik wyzyskuje bogatą ciotkę, i odsunęli od niej Casanovę. Wogóle naraził on swoją tak świetnie zapowiadającą się przyszłość w Paryżu, zawikłał się w procesy z powodu fabryki jedwabiów, tak, że znudzony rozmaitemi trudnościami, sprzedał swoją realność, konie, powozy, bogate umeblowanie, zlikwidował interes loteryjny i opuścił francuską stolicę 1 grudnia 1759, mając 200.000 liwrów w gotówce i klejnotach. Manon Balletti długo mu była wierną, jak się okazuje z listów do niego pisanych, ale nareszcie, widząc, że na stałość Giacoma zupełnie liczyć nie można, poszła za mąż za starszego wdowca.

Casanova prowadził dalej awanturniczy żywot w Niemczech, w Holandyi, w Szwajcaryi, w południowej Francyi i we Włoszech, a gdy pieniędzy zabrakło, przypomniał sobie znowu markizę d'Urfé, która ciągle jeszcze wierzyła w jego magiczną siłę, i pojechał do Paryża. Obiecał, że ją przemieni w męż-

czyznę, wyłudzał od niej mnóstwo gotówki i klejnotów, ale nareszcie wskutek pojedynku, jaki miał z jakimś panem Santis, musiał szybko Paryż opuścić i wyniósł się do Anglii. Tam mu jednak szczęście nie służyło, a gdy i markiza d'Urfé (1763) umarła, a z jej śmiercią wyschło niewyczerpane finansowe źródło, wrócił znów na kontynent.

Za pole swego działania wybrał tym razem Berlin, Rosyę, Warszawę, gdzie się 5 marca 1766 r. odbył jego głosny pojedynek z Ksawerym Branickim, a po wielu przelotnych romansach i najróżnorodniejszych zmianach fortuny znalazł się znowu w Paryżu. Ale wtedy (1767) miał lat czterdzieści dwa, kiedy szczęście do kobiet już zawodzi, a w jego losach kobiety główną grały rolę. Szczęściem senator Bragadino umierając, zapisał mu znaczny fundusz, co było ostatnią dlań kotwicą. W Paryżu nie mógł wszakże długo bawić, w teatrze spotkał bowiem markiza de Lille, synowca zmarłej markizy d'Urfé który mu w sposób obelżywy zarzucił, że jego ciotka wydała dla niego przeszło milion liwrów. Wyzwał więc markiza na pojedynek; ale rzecz się doniosła do króla i nasz Giacomo otrzymał królewski »lettre de cachet«, aby Francyę opuścił. Opłakiwała go tylko hrabina du Rumain, która podobnie, jak markiza d'Urfé, wierzyła w jego przepowiednie, czasami wspierała go w potrzebie i była szczerą jego przyjaciółką.

Najświetniejsze czasy awanturnika minęły; spuścizna po Bragadinie nie starczyła na długo, Giacomo pojechał do Hiszpanii, do kraju, w którym nie łatwo było żyć samym tylko przemysłem pod okiem Inkwizycyi. Dwa razy uwięziony, raz w Madrycie pod pozorem, że w swem mieszkanin broń przechowywał, drugi raz w Barcelonie, ponieważ wdał się w niebezpieczny romans z przyjaciółką gubernatora Katalonii, musiał się schronić do południowej Francyi, a następnie do Lugano.

W więzieniu w Barcelonie zatęsknił za ojczyzną, za Wenecyą i chcąc sobie powrót ułatwić, napisał w przeciągu czterdziestu dwóch dni trzechtomowe dziełko pod tytułem: »Confutazione della Storia del governo d'Amelot de la Houssaie«, w którem zbija rozmaite fałsze, rozsiane przez francu-

skiego historyka o historyi Wenecyi i o jej rządach. Książkę tę pisał ołówkiem, bez jakichkolwiek pomocniczych źródeł, co świadczy o jego nadzwyczajnej pamięci, zwłaszcza, że dzieła d'Amelota także nie miał w hiszpańskiej celi więziennej.

»Confutazione« bardzo było czytane; w przeciągu roku sprzedał autor cały nakład tysiąca dwustu egzemplarzy w drodze subskrypcyi i pojechał do Włoch, za któremi już oddawna tęsknił. Bawił w Rzymie, gdzie w roku 1770 spotkał dawnego swego przyjaciela, kardynała Bernisa, który już może wówczas mniej był zadowolony z odwiedzin zbyt głośnego awanturnika, aniżeli ongi w Paryżu. Wyjechał też do Neapolu, następnie do Florencyi, a stamtąd wygnany, udał się na jakiś czas do Bolonii i skracał sobie chwile wolne od romansów tłomaczeniem Iliady Homera.

Całem jego dążeniem wszakże było osiąść na starość w Wenecyi; krążył więc wokoło rodzinnego miasta, starając się o pozwolenie powrotu, błąkał się po Gorycyi, Tryeście i Istryi, a że z wiekiem zamiłowanie do literatury się u niego wzmagało, więc pracował nad książką większych rozmiarów, nad historyą rewolucyi w Polsce, o której poniżej jeszcze wspomnimy.

Ponieważ »Arkadyjczycy« stanowili do pewnego stopnia bractwo, wspierające się w potrzebie, więc Casanova korzystał w Tryeście ze swej arkadyjskiej nazwy »Pantaxena«, aby jadać obiady u braci poetów, którzy go zapraszali.

Wreszcie długoletnie pragnienie spełnić się miało. Rząd wenecki dał mu pozwolenie powrotu do ojczyzny (1774), ale pod ciężkim warunkiem, aby przesyłał Inkwizycyi państwa sprawozdania o osobistościach i stosunkach ją obchodzących, słowem, aby się trudnił politycznem szpiegostwem. Casanova przystał wprawdzie na ten warunek, ale Inkwizycya niewiele miała pociechy z jego referatów, które były raczej rozprawami, pełnemi bystrych spostrzeżeń filozoficznych i popisami klasycznej wiedzy, aniżeli zwykłymi donosami. Duma Casanovy nie pozwalała na zniżenie się do pospolitego szpiegostwa.

Żył odtąd przez lat ośm spokojnie w Wenecyi, mieszkając skromnie i mało się z ludźmi stykając, tak, iż zdawało

się, że Casanova z wiekiem pozbył się swego gwałtownego i niespokojnego usposobienia. Atoli stary awanturnik tylko przycichł, ale się nie zmienił. W r. 1782 wszczął jakąś kłótnię w domu swego dawnego przyjaciela, patrycyusza Grimaniego, a co gorsza, napisał przeciw niemu zjadliwą satyrę pod tytułem: »Ne amori ne donne ovvero la stalla d'Augia repulita« i oburzył tem na siebie całą patrycyuszowską Wenecyę. Grimani był potężnym przeciwnikiem; Inkwizycya wydała ponowny wyrok, na mocy którego Casanova skazany został na wygnanie.

We wrześniu r. 1782, zmuszony na zawsze opuścić Wenecyę, pojechał do Tryestu, a następnie do Wiednia, spodziewał się bowiem, że cesarz Józef II da mu jakie zajęcie. Myśl, że znów zostanie tułaczem, była dlań straszną: »Mam pięćdziesiąt ośm lat, pisał do jednego z przyjaciół, nie mogę już chodzić piechotą, zbliża się zima, a gdy o tem pomyślę, że znowu mam prowadzić awanturnicze życie, i gdy spoglądnę do lustra, pusty śmiech mnie bierze. Jedynem jeszcze mojem marzeniem, osiągnąć spokój, największy skarb w życiu!«. Ale te ideały były na razie niedoścignione. W Wiedniu także go szczęście zawiodło, więc dalej tułał się po Niemczech i północnych Włoszech, aż wreszcie oparł się w r. 1784 o Paryż, o tę stolicę, która go tyle razy uszczęśliwiła i tyle razy odepchnęła.

IV.

Lat pięćdziesiąt dziewięć, nadwątlone zdrowie, ani grosza oszczędności — w takim stanie znalazł się Casanova na paryskim bruku. Jedynym kapitałem, jaki mu pozostał z ruchliwego życia, było mnóstwo cennych znajomości, a nawet wielu przyjaciół, postawa i ułożenie człowieka wielkiego świata, wszechstronne wykształcenie, tudzież zręczność i swada prawdziwego południowca. O nowych zdobyczach z pomocą kobiet mowy już nie było, Casanova pragnął spokoju.

W Paryżu znalazł na razie przytułek u swego brata malarza, Franceska; starał się o zajęcie w dziennikarstwie, miał

zamiar jechać na Madagaskar – wszystko na próżno. Z bratem więc, który postanowił uciec od swej żony piekielnicy, udał się do Drezna, potem w lutym r. 1784 do Wiednia, a nie mogąc nigdzie otrzymać jakiejkolwiek posady, miał już ochotę zostać zakonnikiem.

Z tą ochotą wszakże nie bardzo się zgadzało jego zachowanie się w Wiedniu (1784). Jak się dowiadujemy z listu Wenecyanki, Franceski Buschini, której się zwierzał ze swoich przygód, był cztery razy na balach maskowych, tańczył menueta i kontredansa, ku niemałemu zgorszeniu ambasadora weneckiego, Sebastiana Foscariniego.

Nie dziw, że po tych balach spostrzegł, że do tego zawodu żadnego nie ma powołania.

Zostawała mu jeszcze jedna nadzieja. Podczas ostatniego pobytu w Paryżu poznał na obiedzie u posła weneckiego hrabiego Józefa Waldsteina, potomka wielkiego Wallensteina, wodza w trzydziestoletniej wojnie, pana na dobrach Dux w północnych Czechach. Waldstein bawił tam z wujem swym, księciem Karolem Józefem de Ligne, jednym z najdowcipniejszych ludzi swego czasu, którego pamiętniki dają wyborny obraz końca XVIII wieku.

Obydwaj magnaci zachwycili się żywością i opowiadaniami awanturnika, a po bliższem poznaniu się z nim ofiarował mu hrabia Waldstein mieszkanie i utrzymanie na swym zamku Dux, gdzieby mógł korzystać z jego przyjemnego towarzystwa i alchemicznych wiadomości, które hrabiego zajmowały.

Z niewiadomych powodów, najprędzej może dlatego, że Casanova nie miał jeszcze ochoty osiąść w małej, dalekiej od świata mieścinie, rzecz nie przyszła do skutku i dopiero widząc w Wiedniu, że minęły czasy, kiedy mógł marzyć o świetnej karyerze, postanowił udać się do hrabiego Waldsteina i skorzystać z jego uprzejmości. Rzemiennym więc dyszlem, na Morawy i Karlsbad, gdzie zastał swą dawną protektorkę, księżnę Lubomirską, pojechał do Cieplic, aby się spotkać z hrabią Waldsteinem. Tam ostatecznie został zawarty układ pomiędzy Casanovą a czeskim magnatem; Włoch otrzymał posadę bibliotekarza z mieszkaniem i wiktem, a nadto tysiąc

guldenów rocznej płacy. W pierwszych dniach września 1785 r. rozpoczął Casanova ostatni akt życia w Dux.

Słynny awanturnik musiał czternaście ostatnich lat swego tułaczego istnienia przepędzić w cichem, zapadłem czeskiem miasteczku i żyć przeszłością w ciągłej złości na teraźniejszość. A miał potemu powodów niemało, bo oprócz pana domu, którego najczęściej w Dux nie było, całe otoczenie nienawidziło intruza Włocha. »Aby więc nie zwaryować i nie zginąć ze złości«, widząc około siebie »samych zawistnych urwiszów«, zaczął dużo pisać. Począwszy od burmistrza Loesera, lekarza O'Reilly, garderobiany Karoliny, a skończywszy na kucharzu, cały dwór spiskował przeciw niemu i chciał go zgubić w opinii hrabiego.

Do takich »spisków« należało posądzenie, że Casanova uwiódł niejaką Dorotę, córkę sługi zamkowego, jak się zdaje, bardzo przystojną dziewczynę. Wprawdzie stary Giacomo nie posunął się tak daleko, jak sobie opowiadały kumoszki w Dux, ale przecież nie był zupełnie bez winy. Dorota bardzo mu się podobała, a że należała do licznej ubogiej rodziny, więc czuły Włoch nie szczędził dla niej ostatniego grosza. W liście do swojej dawnej weneckiej przyjaciółki, Franceski Buschini, usprawiedliwiał się, że nie może jej teraz przesyłać pieniędzy, ponieważ Dorota Kleer bardzo mu się podoba i musi ją wspierać, co świadczy o jego naiwności na starość. Dorota jednak źle się wywdzięczyła za tę dobroczynność, podała bowiem Casanovę za ojca potomka, którego się spodziewała. Giacomo mógł jednak dowieść swoje »alibi«, a rzeczywisty winowajca, malarz Schöbner, musiał się z nią ożenić.

Że Casanova nie był bardzo przyjemnym dla swego otoczenia i że służba zamkowa miała dość powodów, aby go nie lubieć, poświadcza to jeden z jego najlepszych przyjaciół.

Książę de Ligne, który często przepędzał letnie miesiące w Dux, wybornie opisuje niespokojne i dokuczliwe zachowanie się starego Włocha. Nie było dnia, powiada de Ligne, aby Casanova nie wywołał formalnej rewolucyi w zamku z powodu nie dość dobrego mleka, albo źle ugotowanego makaronu, który koniecznie musiał mieć codziennie. To kucharz przesolił mu polentę, to koniuszy dał mu na przejażdżkę nie-

zgrabnego furmana, z którym się wstydził wyjechać, to psy tak w nocy szczekały, że spać nie mógł. Obcy goście byli powodem, że musiał sam jeść przy małym stoliku, albo róg myśliwski nie dał mu już o świcie spać swymi fałszywymi tonami. Czasem znowu gniewał się na księdza proboszcza, że go się starał nawrócić na prawdziwą wiarę, albo na hrabiego, że mu pierwszy nie powiedział »Dzień dobry«. Wyrzekał, że mu przyniesiono z podstępnej złośliwości za nadto gorącą zupę, albo że służący nie nalał mu wina dość pośpiesznie. Innym razem obraził się, że go nie przedstawiono jakiemuś znakomitemu podróżnemu, przybyłemu do Dux, aby zobaczyć włócznię, którą wielki Wallenstein został zamordowany, albo znowu, że stajenny nie zdjął przed nim kapelusza, lub że przemówił do niego po niemiecku, czego on nie rozumiał. Obrażał się, gdy się z lekka śmiano z jego francuskich wierszy, lub drwiono z jego ruchów, gdy deklamował włoskie poezye. Były i inne powody do uraz. Wchodząc do salonu kłaniał się w sposób, jak go przed sześćdziesięcioma laty nauczył słynny tancmistrz Marcel, albo tańczył menueta z przesadną powagą. Co gorsza, służba przygryzała wargi, aby się nie śmiać, gdy się ubrał w swój biały kapelusz z piórem, lub przywdział kołnierz ze złotej koronki, albo przymocował jedwabne pończochy kwiecistemi podwiązkami. »Cospetto! krzyczał wtedy, wszyscy jesteście hołotą, Jakobinami. Brak u was posłuszeństwa dla hrabiego, a hrabia także ubliża mi, jeżeli was obić nie każe. Panie hrabio, dodawał, zwracając się do Waldsteina, ja wprawdzie się nie urodziłem szlachcicem, ale się sam uszlachetniłem, przestrzelając brzuch hetmanowi koronnemu w Polsce!«

Czasami hrabia z lekka śmiał się ze swego gościa, więc nowy powód do skargi i narzekań. Raz przyszedł Waldstein do niego z miną bardzo poważną i parą pistoletów w rękach, nie mówiąc ani słowa, jakby go chciał wyzwać, ciekaw, jak się Włoch zachowa. Casanovie łzy stanęły w oczach, rzuca się hrabiemu na szyję i powiada z patosem: »I ja miałbym zabić mego dobroczyńcę! Bella cosa!« Ale w tej chwili przychodzi mu na myśl, że jego znalezienie mogłoby być uważane za tchórzostwo; przyjmuje więc pistolet i oddaje go hrabiemu



Giacomo Casanova.

Według portretu Berny.

Do str. 232.

z ruchem, pełnym gracyi, jak gdyby podawał rękę tancerce w menuecie. Znowu łzy stają mu w oczach, dopóki nie zacznie mówić o kabale, o magii i o makaronie.

Mieszczki w Dux skarżą się na niego, że prowadzi z niemi »głupie rozmowy«, sam kłóci się z mnichami pobliz-kiego opactwa w Ossegg, a gdy sobie żołądek przeładuje, opowiada, że go Jezuici chcieli otruć. W fabryce sukna w Oberleutersdorf, należącej do Waldsteina, bierze sukno na kredyt i obraża się, gdy mu przyszlą rachunek.

Koniec końcem bardzo mu się nudzi w spokojnem miasteczku, powiada, że mu Bóg rozkazuje, aby Dux opuścił, i wybiera się w drogę. Nie wierzy wprawdzie w Boga, ale wszystko, co robi, robi w imię Stwórcy. Sądzi, że z nieba otrzymał wskazówkę, aby księcia de Ligne prosił o listy polecające do księcia wejmarskiego, do księżnej Sachsen-Gotha i do kilku żydów, bankierów berlińskich. Otrzymawszy te pisma, opuszcza Dux, pozostawiając hrabiemu Waldsteinowi list czuły, ale pełen pychy i ukrytego gniewu. Hrabia śmieje się i powiada, że Włoch wkrótce powróci.

Na książęcym zamku w Weimarze każą Casanowie długo czekać w przedpokoju; nikt mu nie ofiaruje posady bibliotekarza, albo nauczyciela, nazywa więc Niemców »dumme Teufel« i odchodzi. Nareszcie książę przychylnie go przyjmuje, ale Casanova zaczyna wygadywać niestworzone rzeczy na swoich »literackich poprzedników«, na Göthego i Wielanda, i staje się niemożliwym w niemieckich Atenach. Jedzie więc do Berlina; w rozmowach z tymi, do których ma listy polecające, zarzuca Berlińczykom brak wykształcenia, wymyśla na bankierów, a wreszcie pożycza jakąś kwotę na rachunek hrabiego Waldsteina i wraca do Dux.

Hrabia z radością całuje zabawnego Włocha i płaci berlińskie weksle z dobrodusznym uśmiechem. Casanova zanosi się od płaczu uszczęśliwiony, a na swe usprawiedliwienie utrzymuje, że Bóg przykazał mu odbyć tę sześciotygodniową podróż bez pożegnania się z hrabią dobrodziejem.

Zdanie swe o Casanovie ujął hrabia de Ligne w bardzo charakterystyczną sylwetkę. »Byłby on pięknym mężczyzną, powiada dowcipny autor, gdyby nie był brzydkim. Duży,

o herkulesowej postaci, o cerze twarzy ciemnej, prawie afrykańskiej, miał oczy żywe i pełne sprytu, wyrażające jednak pewien niepokój, co mu nadawało pozory dzikości. Łatwiej go rozgniewać, aniżeli rozweselić; sam mało się śmieje, ale drugich pobudza do śmiechu, ma taki sposób opowiadania, jakby stał przed nami Figaro. Utrzymuje, że posiadł wszystkie nauki i wiadomości, ale niezbyt poprawnie mówi po francusku, nie zna reguł tańca i co do »savoir-vivre« dużo miałoby mu się do zarzucenia.

Zresztą rzeczywiście jest studnią rozmaitych wiadomości, tylko za często przytacza Horacego, aż do znużenia. Do wielkich jego zalet należy wdzięczność wobec każdego, kto mu dobrze czynił, ale biada temu, kto mu się nie podoba. Milionem nie okupiłoby się żartu, któryby go obraził.

W nic nie wierzy, z wyjątkiem w to, co jak najmniej wiarogodnem, gdyż zabobonności nie pozbył się mimo długiego życia. Bardzo honorowy, jeżeli powie: »Przysiągłem Bogu, albo tak Pan Bóg chce«, niema rzeczy, którejby nie zrobił.

Używszy wszystkiego na ziemi, umie się obejść bez wszystkiego. Zawsze ma kobiety w głowie, a ponieważ płeć piękna już wobec niego jest obojętna, więc sierdzi się na cały rodzaj niewieści. Za to mści się na wszystkiem, co się da pić lub jeść, żadnej potrawy nie daruje, rozpoczyna obiad wesoło, a kończy smutno, ponieważ nie może go rozpocząć na nowo.

Jeżeli czasami korzystał ze swego rozumu i swej wyższości, aby wywodzić w pole głupich towarzyszy i niedowarzone kobiety, to tylko na to, aby uszczęśliwić innych. Wśród największej rozpusty w młodości i rozlicznych, bardzo nieraz dwuznacznych przygód okazywał się zawsze człowiekiem honorowym, delikatnym i odważnym. Jest dumnym, bo nie ma ani stanowiska, ani majątku; gdyby był kapitalistą, bankierem, albo wielkim panem, byłby łatwiejszym w pożyciu, ponieważ jednak do niczego nie doszedł, więc zawsze stoi na straży swej miłości własnej.

Niepospolita, nadzwyczajna wyobraźnia, żywość umysłu, podróże i rozmaite zajęcia w życiu, hart duszy robią z niego

człowieka rzadkich zalet, którego z przyjemnością się spotyka, człowieka godnego nawet szacunku i przyjaźni. Takich jednak, których on obdarza swą łaską, jest bardzo niewielu«. Innym razem określił książę de Ligne Casanovę, że jest to »un esprit sans pareil, dont chaque mot est un trait et chaque pensée un livre«.

Korzystna ta opinia księcia de Ligne o starym awanturniku nie zdaje się być przesadna; pani da Ponte, żona weneckiego poety, która go spotkała w Wiedniu w r. 1792, nie mogła się wydziwić jego łatwości słowa i kipiącemu życiu, które zdawało się tryskać z całej postaci. Sąsiadki zamku Dux, jak księżna Clary, lub księżna Lobkowitz, okazywały wiele przyjaźni staremu Włochowi. Gdy Casanova stracił swoją ulubioną lewretkę Aidę, przysłała mu księżna Lobkowitz inną psinę, »zręczną, ładną i tkliwą«, aby go rozweselała w samotności. Włoch tak się ucieszył tym podarunkiem, że obiecywał uszczęśliwić »Finetkę« i zapewniał księżnę, że biada temu, ktoby się naraził poczciwemu zwierzęciu. Eliza von der Recke, owa kobieta o dziwnych losach, przyjaciółka Katarzyny II, która poznała Casanovę w czasie swoich pobytów w Karlsbadzie i Cieplicach, wspierała moralnie starca w ostatniej jego chorobie. Casanova zasłabł w lutym r. 1798 na wodną puchlinę, której uległ po kilku miesiącach. Eliza posyłała choremu dobre wina i bulion, żałowała tylko, że go nie może uraczyć zupą rakową, którą Casanova szczególnie lubił, dlatego, że, jak opowiadał, matka w wigilię jego urodzin koniecznie zapragnęła tego przysmaku.

Z rodziny niewiele miał Casanova pociechy na starość. Z bratem Franceskiem, malarzem bitew, który w roku 1751 przeniósł się z Wenecyi do Paryża, utrzymywał dość chłodne stosunki. Francesco, chociaż dużo zarabiał, gdyż jego obrazy bardzo wówczas ceniono, więcej jeszcze wydawał, a będąc z pierwszą i z drugą żoną nieszczęśliwym, uciekał od rodziny i umarł w Brühl pod Wiedniem w r. 1802.

Drugi brat Giacoma, Giambattista, także malarz, wyszedł ze szkoły Rafaela Mengsa w Rzymie, osiadł w roku 1764 w Dreźnie, gdzie jako malarz obrazów historycznych i dyrektor akademii malarstwa doszedł do bardzo poważnego sta-

nowiska. Ożeniony z Włoszką, Teresą Roland, miał dwóch synów i dwie córki, z których jedna, Teresa, bardzo dobrze wyszła za mąż za barona von Wassenig, szambelana księcia Kurlandyi. Teresa słynęła z piękności, energii i wielkiej inteligencyi i stary Giacomo miał z tej siostrzenicy pociechę. Ona jedyna z rodziny bardziej się o niego troszczyła i pisywała do niego ładne listy. Księżna Clary poznała ją w Wiedniu jeszcze jako pannę i pisała wtedy do Giacoma: »Elle est charmante à tous égards, jolie comme un coeur et tout à fait aimable; elle a le plus grand succès. Le prince Kaunits l'aime aussi à la folie«. A Kaunitz miał wtedy lat ośmdziesiąt.

Casanova umarł 4 czerwca 1798 r. w Dux wobec hrabiego Waldsteina i księcia de Ligne. Ostatnie jego słowa były: »Wielki Boże i wy świadkowie mojej śmierci... żyłem, jak filozof, i umieram, jak chrześcijanin...« Nie należałby do XVIII wieku, gdyby nawet na łożu śmierci nie poświadczył, że był filozofem. Miał wtedy lat siedmdziesiąt cztery. Pochowano go na nowym cmentarzu, koło portalu kościoła św. Barbary i położono nad zwłokami zwykły stojący kamień z napisem »Jakob Casanova«.

V.

Swoje pamiętniki, to nieocenione dzieło do poznania kultury XVIII wieku, pisał Casanova w Dux i urwał je, doszedłszy do początku r. 1774, czyli do czterdziestego dziewiątego roku swego życia. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy nie skończył Casanova tej pracy, bo, jak się wyraził, późniejszy jego żywot był już za nadto smutny. Gdy te pamiętniki po raz pierwszy ukazały się w druku, w niemieckiem tłomaczeniu, w latach 1822—1828, tak uderzyły swoją barwnością i romantycznemi opowiadaniami, że je uważano za płód powieściopisarski, za dzieło jakiegoś nieznanego literata o bujnej wyobraźni, zaprzeczano nawet, aby kiedykolwiek istniał jakiś Casanova. Trzeba było dopiero badań takich znawców rzeczy wloskich, jak Armand Baschet i profe-

sor Alessandro d'Ancona, aby uwierzono, że owe pamiętniki nie są podrobione. Co więcej, ci uczeni stwierdzili prawdziwość ważniejszych opowiadań Casanovy i dowiedli, że sylwetki jego historycznych osobistości są prawie zawsze trafne i że Casanova pisze prawdę, chyba że go czasem pamięć zawiodła. Sam Casanova przytacza zresztą zgodne z jego charakterem powody, aby mówić o sobie prawdę: »Piszę dla siebie, powiada, a samego siebie oszukiwać trudno; co zaś świat o mnie pomyśli, to mnie nie obchodzi, bo żyć nie będę, gdy może ogłoszą te pamiętniki. Wówczas mógłbym powiedzieć tak, jak morderca Karola I: »Zupełnie mi to obojętne, że mnie za łotra będą uważali«.

Casanova, nudząc się w Dux, rad był dla własnej przyjemności niejako odtworzyć przeszłość, a przedewszystkiem rozkoszować się swymi niezliczonymi stosunkami z kobietami, które grały zawsze główną rolę w jego życiu. A mógł na te romanse spoglądać z zadowoleniem, bo chyba nie było kobiety, którąby dlań nie miała szczerej sympatyi. Czy ją zdradził, czy nie, czy ukochaną z lekkiem sercem porzucił, albo skorzystał z jej słabości, wszystko jedno: każda zachowała dlań przyjemne i przyjazne wspomnienie. Czemu to przypisać? — Każda miała to przekonanie, że wtedy, kiedy ją kochał, kochał namiętnie, byłby dla niej bez namysłu życie poświęcił i czuła w nim jakąś niebywałą męską siłę, która w niej wzbudzała najgorętszą namiętność. Że ta miłość trwała krótko, temu winno było właśnie to niezwykle żywe usposobienie Casanovy, który nie mógł się oprzeć żadnej pięknej kobiecie. Wiedział o tem dobrze, że stałym w miłości być nie potrafi, i niczego się tak nie obawiał, jak więzów małżeńskich. Piękna awanturnica, hrabina Rinaldi, chciała zupełnie zapanować nad Casanovą, pragnęła go przemienić w narzędzie swojej namiętności. W tym celu pomięszała kroplę jego krwi ze swoją i zaniosła ten skarb do słynnej w Medyolanie czarownicy, aby swemi sztukami podbiła jej Casanovę. Giacomo dowiedział się o tem, pobiegł do starej wiedźmy, zaopatrzony w pistolety i w dukaty, aby odwrócić od siebie niewolę. Przyznaje jednak, że gdy zobaczył przed sobą flaszeczkę, w której była już zmieszana krew hrabiny z jego krwią,

włosy mu na głowie stanęły ze strachu i zimny pot wystąpił na całem ciele. Z największą też radością wylał za okno niebezpieczny płyn i spalił woskową figurkę, na której było wyryte jego nazwisko. Czuł się znowu wolnym i strzegł się potem, aby żadna kobieta nawet kropli krwi jego nie posiadła.

W r. 1785 zapomniał jednak o nauce, którą otrzymał w Medyolanie, i tak się zakochał w Wiedniu w pannie Caton M., dziewczynie dość wolnych obyczajów, że później z radością zapisał w swoich pamiętnikach, że »sans mon génie tutelaire j'aurais épousé à Vienna une jeune étourdie dont j'étais amoureux«. A tym duchem opiekuńczym był poeta Da Ponte, który mu doniósł o rozmaitych lekkich postępkach panny M. Bądź co bądź, zawdzięczamy tej spóźnionej miłości Casanovy jeden z najpiękniejszych wierszyków, jakie napisał.

Casanova także i tem bardzo ujmował kobiety, że umiał zachować tajemnicę tam, gdzie było potrzeba. Jeżeli dzisiaj wiemy, że panna X. C. V., którą poznał w Padwie (1750), a następnie miał z nią stosunek w Paryżu (1759), była późniejszą hrabiną Orsini-Rosenberg, żoną ambasadora cesarskiego w Wenecyi, to nie winien temu Casanova, który tylko pod powyższemi literami wspominał o niej w pamiętnikach, ale dzisiejsi historyczni szperacze, którzy przez porównania i przez misterne dociekania doszli do tego odkrycia. Hrabina Rosenberg, wcale zdolna autorka, miała zresztą dość burzliwą przeszłość; była Greczynką z urodzenia, a po romansie z Casanovą wyszła za mąż za Anglika, barona Wynne, z którym miała kilkoro dzieci. Owdowiawszy, zawiązała romans z patrycyuszem weneckim Andrzejem Memmo, który miał ten nieprzyjemny dla niej skutek, że musiała na jakiś czas zniknąć z towarzystwa, do czego dopomógł jej dawny przyjaciel Casanova. Jemu zawdzięczała, że ją przyjęto na pewien czas w jednym z weneckich klasztorów. Po tem przykrem przejściu napisała dziełko pod tytułem »Pièces morales et sentimentales«, w którem znajduje się znacząca uwaga, »że dużo się ma w życiu kłopotu, zanim się naprawi błędy młodości, wynikające ze złego wyboru«. Pani Wynne umiała jednak przezwyciężyć trudności, wyszła bowiem za mąż po raz wtóry,

za hrabiego Orsini-Rosenberg i miała wielkie poważanie w arystokratycznym świecie.

Również nazwiska Henrietty, o której tak mile wspomina w swoich pamiętnikach, nie zdradził Casanova. Dopiero listy jej, które znalazł Anglik Symons w najnowszych czasach w Dux, bliżej nas zapoznały z ową kobietą wysokiej inteligencyi. Henrietta Schückmann była prawdopodobnie kuzynką pruskiego ministra tego nazwiska; za młodu żyła z Casanovą przez cztery miesiące w miłosnym szale, a mając wreszcie siłę wyrwać się z niebezpiecznych pęt, zachowała dla Giacoma przyjaźń i może więcej, jak przyjaźń, aż do czasów, kiedy awanturnik się zestarzał i był bibliotekarzem w Dux. Wtedy żądała od niego już tylko przyjaźni i w listach prosiła, aby był jej literackim przewodnikiem, tem bardziej, że mieszkała w Beyreuth i nudziła się w małomiasteczkowem towarzystwie tak dalece, że powtarzała słowa Fryderyka II, że »L'ennui est un siècle, la mort n'est qu'un moment«.

Zamożne kobiety zachowywały dla Casanovy sympatyczną pamięć, on zaś nie zapominał o ubogich dziewczynach, z któremi miał kiedykolwiek stosunek. Do nich należała owa Francesca Buschini, Wenecyanka, której sporo listów do Casanovy się zachowało. Posyłał jej pieniężne wsparcia z Dux według możności, a nawet wtedy, kiedy miał najmniej funduszów, we wrześniu r. 1783, dziękuje mu Francesca za 150 lir, którymi ją obdarzył. Ta przesyłka, pisze Francesca, była mi »balsamem«, ponieważ w owym dniu, kiedym ją odebrała, jeszcześmy nic z matką nie jadły, bośmy nie miały pieniędzy. Sprawimy sobie teraz bal, dodaje, w poniedziałek kupimy kasztanów i napijemy się »moscato« na zdrowie »di mio caro amico!«

VI.

Drugiem, może najważniejszem po pamiętnikach dziełem Casanovy jest »Historya rozruchów w Polsce« [1]), po włosku.

---

[1]) Istoria delle turbolenze della Polonia dalla morte di Elisabetta Petrowna fino alla pace fra la Russia e la Porta Ottomana, in cui si

Książki tej, napisanej w siedmiu częściach, wyszły tylko trzy, które się stały tak wielką bibliograficzną rzadkością, że o ile wiemy, istnieją tylko cztery jej egzemplarze.

Casanova pracował nad tem dziełem w r. 1773 w Gorycyi i poświęcił je ówczesnemu prezydentowi rządu cesarskiego w Gorycyi i Gradysce, hrabiemu Rudolfowi Coroniniemu, znanemu także z prac historycznych. Jak zwykle w owych czasach, zdobi pierwszą kartę symboliczna rycina, przedstawiająca konia rozhukanego, którego trzymają za wędzidło trzy orły, unoszące się w powietrzu. Nie trudno się domyśleć, że orłami mają być państwa, które dokonały rozbioru Polski. Sprawa świeżo dokonanego rozbioru zajmowała całą Europę; więc Casanova skorzystał ze swojej znajomości Warszawy i licznych Polaków, aby napisać książkę, będącą na czasie i mogącą mu przynieść bardzo pożądany dochód. Do poświęcenia jej Coroniniemu musiało się i to przyczynić, że prezydent był przyjacielem księcia Andrzeja Poniatowskiego, jenerała wojsk austryackich, ojca księcia Józefa.

Autor założył swe dzieło na szerokie rozmiary; kreśli w krótkości geograficzne położenie kraju, klimat, historyę polską, organizacyę państwa, charakterystyczne cechy arystokracyi, zalety i przywary narodu, zastanawia się nad stosunkiem Polski do Rosyi i daje bardzo udatne charakterystyki wybitnych ludzi, jak króla Stanisława Augusta, księcia Adama Czartoryskiego, Branickich, Radziwiłłów i t. d. Portret króla

---

trovano tutti gli avvenimenti, cagioni della rivulozione di quel regno. Gorizia. Per Valerio de Valerj 1774. Wyszło z druku 3 tomy; dalszych druk nie ukończony, gdyż pomiędzy autorem a wydawcą powstały jakieś spory pieniężne. Hr. Torres, znajomy Casanovy, poręczył wprawdzie układ autora z wydawcą, poręczenie to jednak nie wystarczało Valeriemu i dalszy ciąg dzieła pozostał w rękopisie. Czy jednak ten rękopis dotąd istnieje, nie wiadomo.

Drukowane egzemplarze istnieją w następujących bibliotekach: W bibliotece Ossolińskich we Lwowie część I i II tomu pierwszego. W bibliotece miejskiej w Gorycyi tom pierwszy i I część tomu drugiego. W bibl. ces. w Petersburgu obydwie części tomu pierwszego. W bibl. Querini-Stampalia w Wenecyi obydwie części tomu I i pierwsza tomu drugiego. (Por. Molmenti P. Una controversa di Casanova coll, Editore della sua Istoria delle turbulenze della Polonia 1910).



Rycina na tytule książki Casanovy: »Istoria delle turbolenze della Polonia«.

Do str. 240.

wypadł prawdziwie i sympatycznie, autor zarzuca tylko monarsze »una inaudita indolenza« w stosunku do księcia Repnina.

Casanova ma jeden wielki błąd w swoich pismach, że nie umie się skupić; lubi się popisywać wiadomościami, nie zawsze przeto trzyma się ściśle przedmiotu, ale ciągle zbacza, dotykając rozmaitych rzeczy, jak np. w książce, o której mówimy, zastanawiając się nad istotą zbytku, pisze dużo o Turkach, o Tatarach. Przyznać mu jednak trzeba, że wybornie jest o wszystkiem powiadomiony, że wydaje trafne sądy z zadziwiającą niekiedy przenikliwością i nie szczędzi stosunkom polsko-rosyjskim ostrej, ale sprawiedliwej krytyki. Dla panujących, których zna osobiście, jest wprawdzie uprzedzająco grzecznym, ale nie przestaje być bezstronnym. Książka ta, równie jak jego »Confutazione della storia del governo veneto d'Amelot de la Houssaie«, dowodzi niesłychanej pamięci autora. Trzeba bowiem wiedzieć, że Casanova nie mógł mieć w Gorycyi dostatecznych źródeł do swej pracy, że przeto większość faktów i nazwiska osób czerpał z pamięci. Pod tym względem był rzeczywiście wyjątkowym człowiekiem.

Casanova lubił dużo pisać; jego też fantastyczna powieść »Icosameron«, która powstała w Dux, liczy aż pięć tomów i wyszła w r. 1788 w Pradze. Przedmów jest tam kilka pod rozmaitemi formami, w których autor popisuje się swoją erudycyą. Treść romansu, oparta na ulubionym temacie wszystkich kabalistów, że życie może być przedłużone. Młoda para Edward i Elżbieta opuszcza w r. 1685 dom rodzicielski w Anglii i powraca po ośmdziesięciu latach do domu tak młodą, jak była w chwili wyjazdu. W czasie podróży zaniósł prąd morski ową parę aż w okolice bieguna, gdzie w cudowny sposób dostała się w głąb ziemi, do Megamikrów, państwa o idealnych urządzeniach, mogących służyć za wzór dla ludzi, mieszkających na powierzchni ziemi. Cała rzecz, niesłychanie rozwlekła i dość nudna, powstała pod wrażeniem pism utopistów, a zapewne i Tomasza Morusa.

Po Casanovie pozostało mnóstwo rozpraw i rzeczy polemicznych, częścią drukowanych, częścią w rękopisie. O wszechstronności jego wykształcenia świadczy rozprawa, wydana

w r. 1790 w Dreźnie, pod tytułem »Solution du probleme deliaque«, rzecz z dziedziny geometryi, która od dwóch tysięcy lat zajmowała umysły, chcące dowieść tego, co się dowieść nie da. Plutarch jeszcze opowiadał, że w jakiejś epoce, kiedy Grecyę nawiedzały różne klęski, zapytano wyrocznię, co trzeba uczynić, aby te nieszczęścia odwrócić. Wyrocznia odpowiedziała, że klęski ustaną, jeżeli ołtarz w Delos dwa razy będzie powiększony. Ołtarz był jednak sześcienny, a gdyby podwoić każdą ścianę, toby kostka stała się nie dwa, ale ośm razy większą. Casanowie zdawało się, że zadanie rozwiązał, i przedłożył swoją rozprawę rozmaitym uczonym i akademiom.

Casanova pisał także dużo o rewolucyi francuskiej i jej ludziach, a wszędzie zdradza nienawiść do ówczesnych Francuzów, których nazywa »najgłupszym, najlekkomyślniejszym i najokrutniejszym ze wszystkich narodów«. Wielki przyjaciel Polaków, ujmował się ciągle w swoich pismach za ich prawami. Oprócz swej historyi polskich rozruchów, pozostawił rozprawę pod tytułem »Histoire du Conseil permanent établi à Varsovie par la diète de l'année 1775«. Pisma jego o Polsce traktują rzeczy znane dzisiejszym historykom polskim, a przeto mniej już są zajmujące.

W ciągu długiego życia i tak różnorodnych kolei poznał Casanova niezliczone mnóstwo ludzi i lubił z nimi utrzymywać choćby piśmienne stosunki. Z tych kilkuset listów, które nas doszły, można mieć wyobrażenie, jak rozległą, jak olbrzymią była jego korespondencya. Umiał pisać, listy jego bywały dowcipne, ożywione, pełne erudycyi i filozoficznych uwag, czasem bardzo złośliwe, ale prawie zawsze zajmujące. Można sobie wystawić, że w czasach, kiedy dziennikarstwo nie było jeszcze zbyt rozpowszechnione, list Casanovy musiał sprawiać wielką przyjemność, jeżeli awanturnik niczego w nim nie żądał. Ale chociaż i prosił o jakąś łaskę, to tak zręcznie poruszał słabe strony osobistości, do której się udawał, tak umiał korzystać z jej dumy lub próżności, że chyba rzadko kiedy spotykał się z odmową. Z hrabią Maksymilianem Lambergiem, człowiekiem wielkiej nauki, z którym się zaprzyjaźnił w r. 1757 w Paryżu, korespondował przez lat trzydzieści

pięć, aż do roku 1792. W tym czasie napisał Lamberg do Casanovy 460 listów, a nawet na dziesięć dni przed śmiercią przysłał mu list o sześciu dużych stronicach, pisany drżącą już ręką. Taki przyjaciel, jak Lamberg, musiał wiedzieć, że Casanovie o wszystkiem donosić może, bez obawy, aby nadużył jego zaufania.

Casanova korespondował z bardzo głośnemi osobistościami, które bynajmniej się nie obawiały, aby sobie ubliżyć taką korespondencyą, owszem z listów się okazuje, że go uważano za człowieka, którego znajomość bynajmniej nie plami Moglibyśmy przytoczyć długą listę tych korespondentów, począwszy od księcia De Ligne lub Liechtensteinów i Lubomirskich aż do Ewy Frank, córki słynnego sekciarza z pod Krakowa, którą uczył w listach kabały, gdyż wierzył w te tajemnicze przepowiednie aż do śmierci.

Umiał pochlebiać, ale biada temu, kto jego prawa naruszył; wtedy były listy pełne zjadliwego dowcipu. Jeden z węgierskich magnatów, książę B. umarł, nie oddawszy mu pięćdziesięciu guldenów, pożyczonych przy jakiejś sposobności. Syn księcia nie chciał zwrócić tych pieniędzy, pomimo że odziedziczył pięć milionów po zmarłym. »Ktoby to myślał, pisał mu nasz awanturnik, że bogaty książę Adam B. umrze jako dłużnik biednego Casanovy. Doświadczenie mnie nauczyło, że więcej jest na świecie prawdziwych nieprawdopodobieństw, aniżeli prawdziwych prawdopodobieństw«.

Cokolwiek odmienną cechę od innych jego listów nosi korespondencya, którą zawiązał z Janem Ferdynandem Opizem, na owe czasy bardzo charakterystycznym literatem, a nawet miernym poetą. Ów Opiz urodził się w Czechach, przechodził rozmaite koleje, a w końcu został kontrolorem podatkowym w Czaslawie, małej czeskiej mieścinie. Umierając, pozostawił po sobie ni mniej ni więcej, jak 93 grubych tomów swoich rękopisów, które jednak nie na wiele się przydały, z wyjątkiem bardzo obszernej korespondencyi z hrabią Lambergiem. Opiz był podobnie, jak tylu innych w XVIII wieku, encyklopedystą, chcącym zapanować nad wszelką wiedzą, raczej erudytem, aniżeli uczonym o jasnych poglądach.

Jeden z jego ostatnich biografów powiada, że inspektor z Czaslawa miał tak ciasny horyzont, jak żaba siedząca w trawie.

Hrabia Lamberg bardzo go jednak cenił, a przeto zbliżył do niego Casanovę, spodziewając się, że ta para uczonych wyda coś nadzwyczajnego. Bibliotekarz z Dux i kontrolor podatkowy poznali się i postanowili utrzymywać pomiędzy sobą stałą korespondencyę, opartą naturalnie na wspólności filozoficznych zasad. Zrazu wszystko szło jak najlepiej, osobliwie gdy Opiz chwalił książki Casanovy i zachęcał go do pisania pamiętników. Opiz nazywał Casanovę »Mon trés aimable et trés venérable ami«; nasz Wenecyanin pisał do Opiza »Monsieur et cher ami« i tak trwało kilka lat, ale w końcu stosunki się zepsuły wskutek różnicy w filozoficznych poglądach. To też Casanova przyszedł do przekonania, że »nie można żyć z kimś w spokoju, jeżeli się nigdy z nim nie zgadza«. »Opiz chce być przyjacielem całego świata, utrzymywał Casanova, musiałbym mimowoli znaleźć się kiedyś w złem towarzystwie«. Opiz ciągnął na prawo, Casanova na lewo, a nasz bibliotekarz nie przebierał w wyrazach, gdy mu się w wywodach inspektora podatkowego coś nie podobało. Zabrakło mu wszakże cierpliwości gdy Opiz raz oświadczył, że jego rodzina musi zapewne pochodzić od sławnej włoskiej familii Obizzich. Tego było Wenecyaninowi za wiele, arystokratyczna krew włoska w nim zawrzała. »Twoje nazwisko podobniejszem jest raczej do czeskiego słowa »opice«, które oznacza małpę«, odpisał inspektorowi w Czaslawie.

Przyjaźń się zerwała, a listy »przyjaciół« potwierdzają tylko to, co książę De Ligne utrzymywał o Casanovie, że wiecznie go coś gniewa i wiecznie się na kogoś obraża. Korespondencya ta robi zresztą dzisiaj na nas takie wrażenie, jak gdyby dwóch studentów rozjechało się na wakacye i postanowiło pisać do siebie, aby się nawzajem popisywać swoją erudycyą.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

ALFIERI I HRABINA D'ALBANY.

I.

»Wygląda jak Bóg rozgniewany, powiada o Alfierim pani Albrizzi w swoich »Portretach«; bujne, złociste włosy opromieniają mu twarz całą, a oczy zdają się dalekie niebo przenikać, to znowu tkwią nieruchomie w ziemi. Nadzwyczajny człowiek«. Wrażenie, jakie sprawiał Alfieri na pani Albrizzi, najzupełniej potwierdzają portrety poety, a przedewszystkiem ów portret Fabra we florentyńskiej galeryi, z którego mógłby jaki rzeźbiarz brać wzór do zmodernizowanego Jowisza.

Ten umysłowy i fizyczny siłacz wyrósł z wątłego, chorobliwego chłopięcia, będącego pośmiewiskiem szkolnych kolegów. Mały Vittorio stracił włosy, musiał nosić perukę, którą chłopcy bawili się przy sposobności, jakby piłką. Upokorzenia, znoszone w dzieciństwie, wyrobiły w nim niesłychaną odporność i siłę charakteru.

Rodzina hrabiów Alfierich osiadłą była od wieków w Piemoncie, a Vittorio urodził się 17 stycznia 1749 r. w Asti, miejscowości słynnej z dobrego wina. Ojciec Antonio wcześnie go odumarł, matka poszła po raz wtóry i trzeci za mąż, ale Vittorio zachował dla niej zawsze głęboką miłość i szacunek. Do dziewiątego roku wychowywał się w domu matki, gdzie panowała zasada rozpowszechniona we wszystkich arystokratycznych rodzinach, że szlachcic nie powinien być uczo-

nym. Dano mu też za pedagoga księdza nazwiskiem don Ivaldi, który tłomaczył z malcem »Żywoty Korneliusza Neposa«, ale sam niewiele z nich rozumiał. Szczęściem przyjechał raz w odwiedziny stryj Vittoria, cavaliere Pellegrino-Alfieri, człowiek obyty w świecie, który podróżował po Francyi, Holandyi i Anglii. Ten, poznawszy księdza Ivaldi, zaraz spostrzegł, że chłopak nic się od niego nie nauczy i wpłynął na matkę, aby Vittoria oddała do najsłynniejszej w kraju szkoły, do wojskowej »Akademii« w Turynie. Niebawem więc jechał mały Alfieri do stolicy na bidze, zaprzężonej w dwa spokojne woły, bo drogi były złe i podróżowano jeszcze w Piemoncie w przedpotopowy sposób. Dopiero w pobliżu Turynu wsiadł Vittorio do pocztowej kolasy i pierwszy raz w życiu jechał szybko, co mu się nadzwyczaj podobało, bo matczyne konie były przyzwyczajone do powolnego, »śmiertelnie nudnego truchcika«.

»Akademia«, składająca się z trzech oddziałów, czyli »apartamentów«, była instytucyą, przeznaczoną do wychowania i kształcenia młodzieży szlacheckiej. Kierowali nią księża, ale Alfieri zapewnia, że o jakichkolwiek zasadach moralności, albo o rzetelnej nauce uie było tam mowy, bo sami panowie profesorowie, gbury i nieuki, nie znali świata ani w teoryi, ani w praktyce. A przecież ta Akademia była w owych czasach słynnym zakładem, do którego przyjeżdżali na nauki Anglicy, Niemcy, a nawet Rosyanie. Uczenie się Wergiliusza na pamięć było głównym celem nauki, a Alfieri miał kolegę, który recytował sześćset wierszy »Georgik« bez zająknięcia się. Ten wysiłek pamięci tak rozbudził ambicyę Vittoria, że zaczął się uczyć i stał się jednym z najpilniejszych studentów. Ale prócz Wergiliusza i Korneliusza Neposa nie miał żadnych książek do czytania. Zdarzyło się jednak, że jeden z kolegów posiadał w tajemnicy przed księżmi cztery tomiki dzieł Aryosta; Vittorio zrobił układ z tym szczęśliwcem i obiecał mu dawać po pół kurczęcia przez kilka niedziel (bo w niedzielę bywały zawsze kurczęta), jeżeli mu odstąpi ów skarb nieoceniony. W ten sposób dowiedział się, jak wielkiego Włochy miały poetę. Ale te kurczęta były wielkim uszczerbkiem w jego pożywieniu, zarząd bowiem akademii dawał

uczniom źle i mało do jedzenia; biedny Vittorio, który u matki jako tako wyglądał, stawał się podobnym do świeczki łojowej. Oprócz poematu Aryosta otwierał mu świat daleki krewny, którego czasami widywał, hr. Benedykt Alfieri, królewski architekt i tak zamiłowany w historyi sztuki włoskiej, że ile razy wymawiał nazwisko Michała Anioła Buonarottego, zdejmował kapelusz albo głowę pochylał, aby oddać hołd wielkiemu artyście.

Vittorio był już kilka lat w akademii, a jeszcze nie wiedział o poecie, który się nazywał Tasso, natomiast szczęśliwym przypadkiem dostały mu się do rąk komedye Goldoniego i zapoznały ze współczesną literaturą dramatyczną. Metastasio natchnął go do pierwszego sonetu; tematem była piękna kobieta, którą jego stryj uwielbiał. Stryj jednak zganił ten sonet, co tak zabolało młodego poetę, że do lat dwudziestu pięciu nie próbował już pisać wierszy. W akademii uczono go także gry na fortepianie i tańca, ale nigdy się nie mógł nauczyć czytania nut, a do sztuki tańczenia menueta także w swem życiu nie doszedł. Natomiast w jeździe konnej odrazu wielkie robił postępy i konie, jak później utrzymywał, zahartowały go, wróciły mu zdrowie, zrobiły odważnym, a co najważniejsza, po jeździe konnej urosły mu włosy i mógł zrzucić upokarzającą go perukę. Nie zapomniał też nigdy o pierwszym swym rumaku, którego kupił, pojechawszy na wieś w r. 1764, na ślub swojej siostry. Był to bardzo piękny, biały koń sardyński o zgrabnych kształtach i nadzwyczaj małej głowie. Vittorio tak umiłował swego rumaka, że nie mógł spać i tracił apetyt, gdy zwierzęciu cośkolwiek brakowało.

Obok konnej jazdy powstawała w młodym Alfierim druga namiętność, chęć podróżowania. Pomiędzy jego kolegami byli Anglicy, Niemcy, Polacy i Rosyanie, którzy mu opowiadali cuda o obcych krajach; zaledwie też wystąpił z akademii, pierwszą jego myślą było zwiedzić Florencyę, Rzym i Neapol. Ale rzecz nie była tak łatwa. Idąc za przykładem większości synów znakomitych rodów sardyńskich, wstąpił do wojska i jako siedmnastoletni młodzieniec został »porte drapeau« pułku, rekrutującego się w Asti. Chodziło więc o pozwolenie królewskie do odbycia podróży. Ale Karol

Emanuel mieszał się w najdrobniejsze szczegóły życia szlachty i nie lubił, aby »jego młodzież« podróżowała, a tem więcej młodzieniec, który zaledwie ukończył dopiero lat siedmnaście. Po długich jednak staraniach i po użyciu rozmaitych protekcyi dał król swoje pozwolenie pod warunkiem, że Alfieri pojedzie ze znanym nauczycielem, Anglikiem, człowiekiem starszym i bardzo lubianym w Turynie.

Podróżni wyruszyli 4 października 1766 z dwoma służącymi, z których jeden, starszy, nazywał się Elia. Był on najmądrzejszy z całej kompanii, bo jeździł już ze stryjem Vittoria nie tylko po Włoszech, ale po Francyi, Anglii i Holandyi. Ze szkół nie wyniósł Alfieri dokładnej znajomości żadnego języka; po włosku mówiono w Turynie niepoprawnie, a pisano jeszcze gorzej, mową wyższego świata tak w Piemoncie, jak w Genui i Medyolanie, był język francuski, bardzo skoszlawiony. Najlepiej wszakże mówił Vittorio jeszcze po francusku i myślał w tym języku. Młody podróżny nie miał też dość wykształconego smaku, aby mógł rozumieć dzieła architektury, rzeźby lub malarstwa. Galerye i kościoły we Florencyi nudziły go i dopiero później, gdy zwiedził Francyę i Anglię, nauczył się oceniać włoską sztukę.

W podróży z Rzymu do Neapolu przykry się zdarzył wypadek Alfieremu; drogi były tak straszne, że Elia, pomimo że był dobrym jeźdźcem, spadł z konia, złamał rękę. Ale zręczny i doświadczony sługa w braku chirurga sam sobie z pomocą zębów obwiązał ramię, a co więcej, miał jeszcze dość siły, aby naprawić złamany dyszel u karety, w której siedział Vittorio z Anglikiem.

Pomimo rozmaitości wrażeń dochodził Alfieri do przekonania, że prawie nic go nie bawi, a początki melancholii, które się w nim rozwinęły wskutek chorób, przebytych w dzieciństwie, coraz się bardziej wzmagały i zasłaniały mu wszelki urok życia. W kobietach szukał skromności, a ponieważ spotykał po największej części same wyzywające lwice i półlwice, więc w nich nie mógł znaleźć zadowolenia. Co gorsza, robił nad sobą spostrzeżenia, które zazwyczaj zajmują dopiero starszych ludzi, że jego umysłowe zdolności podobne są do barometru, gdyż na nie z niezwykłą siłą oddziaływują zmiany

powietrza; wiatry wiosenne, ekwinokcyalne, zupełnie go ogłupiały i wogóle umysł jego bywał daleko bystrzejszy wieczór, aniżeli rano. Zauważył także, że siła jego wyobraźni i twórczość umysłu potęgowały się w zimie i w lecie, a słabły w porach przejściowych, jak wiosna i jesień. Świadczyło to o wrażliwości jego nerwów.

Zatrzymano się jakiś czas w Wenecyi, gdzie mimo teatrów, jarmarku na Wniebowstąpienie i rozmaitych uroczystości i zabaw przepędzał czas na melancholijnych rozmyślaniach; stąd udał się Vittorio do Paryża, gdzie opanowała go »furya zmieniania miejsca i krajów«. Ale Paryż jak najgorsze zrobił na nim wrażenie; po słonecznych dniach Południa znalazł się w »tej deszczowej kloace«, gdzie brud nie do opisania w gotyckich kościołach, a kobiety pobielone na twarzy. Znów wpływ atmosfery, dni smutnych, pochmurnych. Nie zabawił też długo w stolicy Francyi, ale własnym powozem pojechał dalej do Holandyi, a stamtąd okrętem do Anglii. Było to w połowie stycznia, mróz, o jakim Włoch nie miał wyobrażenia. Z towarzyszem podróży, synowcem ambasadora hiszpańskiego w Londynie, księcia Masserano, zamknęli szczelnie karetę i zapalili świecę, aby im było cieplej; ale mimo to wino zamarzło we flaszce.

Anglia i Holandya nadzwyczaj się podobały Alfieremu; tem bardziej, że w Hadze pierwszy raz się zakochał w młodej pięknej kobiecie, żonie bogatego Holendra, którego namiętnością było także podróżowanie. Pojechali razem do Szwajcaryi; gdy jednak przyszło się rozłączyć z Holenderką, Vittorio postanowił z rozpaczy umrzeć. Zawołał chirurga, kazał sobie krew puścić, a gdy cyrulik odszedł, zerwał bandaże, aby go krew uszła. Ale wierny Eliasz, który śledził wszystkie melancholie swego pana, wpadł do sypialni, zawiązał ranę i dziewiętnastoletniemu męczennikowi miłości umrzeć nie pozwolił.

II.

Vittorio wrócił do ojczyzny, na wieś, a że się bardzo nudził i od dawna prowadził próżniacze życie, więc postano-

wił czytać. Rozpoczął »Heloizą« Rousseau'a; ale książka zdawała mu się tak zmanierowaną, tyle znalazł w niej płomieni w głowie autora, a lodu w jego sercu, że nie mógł doczytać pierwszego tomu i rozstał się z francuskim filozofem. Wrócił do starożytnych, do Plutarcha; po pięć i sześć razy czytał żywoty Timoleona, Cezara, Brutusa i Pelopidasa, które w nim taki zawsze budziły entuzyazm, że zastanawiając się nad nimi, płakał, wydawał okrzyki przerażenia lub radości, a sąsiedzi w mieszkaniu, słysząc te głosy, mogli go posądzać, że dostał pomieszania zmysłów.

Plutarch nie wystarczył wszakże młodzieńcowi; gorączka podróżowania znowu go napadła. Wystarawszy się więc o pozwolenie wydalenia się z granic państwa, pojechał drogą na Trydent, Innsbruck i Monachium do Wiednia. Jako Włoch powinien się był zapoznać z najpopularniejszym wówczas poetą, z Metastazyem, bawiącym na dworze austryackim. Zdarzyło się jednak, że owego nadwornego poetę zobaczył w ogrodzie, w Schönbrunn, w chwili, kiedy tak głęboki i uniżony pokłon bił przed przechodzącą Maryą Teresą, że nabrał wstrętu do tego pochlebcy. Bohaterowie Plutarcha nie byli takimi służalcami.

Ponieważ pomimo kilkumiesięcznego pobytu w Wiedniu niczego się tam nie nauczył, pojechał dalej na północ, do Drezna i Berlina. W Berlinie chciał zobaczyć Fryderyka Wielkiego, wystarał się więc, że go hr. Finch przedstawił królowi. Przyszedł jednak na audyencyę w cywilnem ubraniu, pomimo że był piemonckim wojskowym. Hr. Finch zwrócił na to uwagę i zapytał, dlaczego nie wdział munduru. Alfieri mu na to odpowiedział: »U nas i tak za dużo mundurów«. Podczas posłuchania Fryderyk zapytał go o cztery rzeczy, o które pytać nie było warto, a Alfieri, odchodząc, dziękował niebu, że się nie urodził niewolnikiem tego monarchy. »Odtąd, pisze w swoim pamiętniku, znienawidziłem Berlin, te pruskie koszary«. Z Berlina pojechał Alfieri do Kopenhagi i Danii, a następnie do Szwecyi, którą polubił, gdyż nie było tam ani Prusaków, ani ich stolicy. Mniej przyjemne wrażenie zrobił nań Petersburg, gdzie mu się podobały tylko konie i brody

obieszczyków; zresztą, jak mógł, uciekał z tego państwa, nad którem ciężyła ręka filozofki.

Szczęśliwy też był, znalazłszy się po raz wtóry w Londynie, zwłaszcza że tam miał spotkać bardzo piękną kobietę wyższego towarzystwa, małżonkę lorda Edwarda Ligonier, która mu się podobała jeszcze podczas pierwszego pobytu w angielskiej stolicy. Tym razem powziął ku niej tak gwałtowną miłość, że pisząc o niej w późniejszym już wieku, czuł jeszcze żar w sercu. Angielka rozlewała dziwny urok około siebie; spotykał ją codziennie w Hyde-Parku, to w operze, to znów w towarzystwie, a wreszcie na wsi, w jej zamku. Zakradał się tam z największem niebezpieczeństwem: jechał konno aż do parku, zostawiał swego rumaka, przywiązanego do drzewa, i w sposób przepisany przez panią pałacu, wchodził do jej komnaty. W tych wycieczkach służył mu ulubiony koń, którego kupił jeszcze na kontynencie, w Spa. Często popisywał się na nim swoją zręcznością, przeskakiwał najwyższe płoty i szerokie rowy. Raz jednak spadł tak niebezpiecznie z rumaka, że złamał rękę, a było to w przeddzień drugiej schadzki, którą miał wyznaczoną w zamku pięknej Angielki. Mimo to z ręką na temblaku i ze szpadą u boku dostał się do parku ukochanej, przeskoczył przez płot i dotrzymał słowa. Odwiedziny były tem milsze, że lord małżonek bawił tej nocy w Londynie.

Ale nazajutrz, będąc w loży włoskiego teatru, usłyszał swoje nazwisko na korytarzu. Wyszedł i znalazł się wobec lorda.

— Mam panu coś do powiedzenia — rzekł lord ze złowrogą miną. — Wyjdźmy; moja żona wszystko mi wyznała.

Panowała wtedy moda, aby przy frakach nosić szpady; dwaj przeciwnicy byli zatem gotowi do walki. Pojechali na łąkę koło Green-Parku, zmierzyli się. Alfieri został lekko ranny w prawe ramię. Lord oświadczył, że jest zadowolony i w tej chwili się oddalił. Włoch z jedną ręką na temblaku, a z drugą ranną, zawiązał z pomocą zębów ramię, a przekonawszy się przy świetle latarni, że nie widać krwi, powrócił do loży, do znajomych.

Lord, mając dowody niewierności małżonki, oświadczył

jej, że poda o rozwód, z czego Alfieri był uszczęśliwiony, sądząc, że już nic nie będzie stało na przeszkodzie jego połączeniu się z ukochaną Angielką. Stało się jednak inaczej. Gdy Vittorio wyznał jej z tego powodu swą radość, lady zmieszała się, wybuchła gwałtownym płaczem i wyjąknęła, że jest niegodną, aby ją pojął za żonę, gdyż przedtem, nim jego pokochała, miała stosunek z kim innym. »Z kim?« zapytał wzburzony Alfieri. »Z dżokejem, będącym w służbie mojego męża« odrzekła lady, upadając z omdlenia. Ów to dżokej śledził tajemnicze wizyty Alfierego w zamku swego pana i opowiedział o nich lordowi.

Sprawa rozwodowa stała się głośną w Londynie i w całej Anglii; biedny Alfieri musiał czytać swoje nazwisko we wszystkich dziennikach obok nazwiska dżokeja, ale mimo to i mimo gwałtownych scen, jakie zaszły pomiędzy nim a biedną kobietą, nie miał zrazu dość siły, aby ją porzucić. Wyjechali oboje z Londynu, błądzili kilka tygodni po angielskiej prowincyi, aż wreszcie brzydkie szczegóły stosunku lady z dżokejem, które wyszły na jaw w ciągu procesu, skłoniły Alfierego, że się z nią rozstał w Rochester. Wrócił do Londynu na krótki czas, aby sprzedać konie i uporządkować swoje interesa, a lady wyjechała do Francyi. Alfieri postanowił zwiedzić Hiszpanię i Portugalię, a ponieważ pora była bardzo gorąca, więc po drodze zatrzymał się miesiąc w Paryżu. Tam przypadkowo ujrzał u księgarza piękne wydanie najznakomitszych włoskich autorów w trzydziestu sześciu tomikach. Wstydząc się, że mając lat dwadzieścia dwa i będąc Włochem z urodzenia, nie znał ani Dantego, ani Petrarki, Tassa, Boccacia i Machiawela, zaczął czytać ich dzieła. Ale tak obcym był mu język ojczysty, że z największą trudnością wczytywał się w skarby ojczystej literatury. Mimo tego nowego dlań zajęcia nie mógł istnieć bez koni, kupił więc w Barcelonie dwa pyszne rumaki, jednego Andaluza, złotawego kasztana rasy Chartreux de Xeres, drugiego mniejszego, zwanego »Hacha korduański«, ognistego południowca. Podróżował wtedy po Hiszpanii jakby wskrzeszony z grobu Don Quixotte, bez celu, nie zawierając znajomości, z nikim się nie wdając. Drogi zresztą od czasów błędnego rycerza nie poprawiły się na iberyjskim

półwyspie i trzeba było mieć dużo wytrwałości i siły, aby znajdować przyjemność w jeżdżeniu po tych skalistych pustkach, gdzie milami nie było widać człowieka, i nocować w barbarzyńskich gospodach. Wierny Elia kłusował obok swego pana na bardzo pięknym mule i strzelał króliki, a gdzieniegdzie nawet zmierzył się do zająca lub jakiego ptaka.

Ale niespodziewanie włoski Don Quixotte poróżnił się ze swoim Sancho Pansą. Elia fryzował zazwyczaj na noc bujną czuprynę swego pana, co czynił z wielką zręcznością; zdarzyło się jednak, że w Madrycie pociągnął go przypadkowo tak mocno za włosy, że Vittorio skoczył z furyą ze stołka, chwycił srebrny kandelabr i rzucił go na głowę służącego. Krew trysnęła, jak z fontanny; Elia, nie zważając na ranę, chciał, jak rozwścieczony tygrys, chwycić Vittoria i wywrzeć straszną zemstę, lecz Vittorio zdołał mu się wyśliznąć, wyjąć szpadę z pochwy i skierować ją ku piersi służącego. Na krzyk Elii zbiegli się domownicy i zdołali rozłączyć zaperzonych Włochów. Obydwaj się zresztą wkrótce uspokoili; Vittorio przeprosił Elię, że tak gwałtownie się uniósł, opatrzył mu ranę, a gdy Hiszpanie przestrzegali Alfierego, aby się przed służącym miał na baczności, Vittorio umyślnie otworzył drzwi w nocy do jego pokoju, mówiąc mu, że jeżeli go chce zabić, to może to spokojnie uczynić; nie będzie się bronił, bo czuje się winnym. Nastąpiła zgoda, Elia jednak na znak swego żalu pokazywał niekiedy Alfieremu dwie chustki, swoją krwią zbroczone.

W Lisbonie poznał Alfieri księdza Caluso z Turynu, bardzo wykształconego i zacnego człowieka, który wywarł niemały wpływ na rozwój jego dramatycznego talentu. Dwaj Włosi się zaprzyjaźnili, a gdy raz czytali razem poezye, Caluso zauważył, że Alfieri stworzony na to, aby zostać poetą, że mógłby pisać bardzo piękne wiersze. Alfieri nie wiele na razie zważał na to powiedzenie, zwłaszcza, że nie umiał dotąd dobrze po włosku, ale ziarno, rzucone na bujną glebę, powoli, powoli kiełkowało.

Alfieri wrócił w końcu r. 1770 do Turynu, gdzie wynajął wspaniały dom na placu św. Karola, urządził go z wielkim smakiem i oryginalnością, a w stajni trzymał dwanaście koni.

Namawiano go, aby wstąpił do dyplomacyi; ale to zajęcie wcale mu się nie uśmiechało, nie chciałby nawet być przedstawicielem Wielkiego Mongoła, a tem mniej najmniejszego z europejskich monarchów, króla Sardynii i Piemontu. Jego charakter dumny, gwałtowny, nie znoszący cudzego zdania, nie nadawał się do dyplomatycznych i dworskich intryg. Chcąc jednak korzystać z młodości, z majątku i świetnie urządzonego pałacu, zawiązał pomiędzy znajomą młodzieżą stowarzyszenie, które nosiło zewnętrzne cechy wolnomularstwa, ale niem bynajmniej nie było, gdyż miało za jedyny cel zabawy, okraszone pewnem literackiem zacięciem. Do wielkiej urny wrzucano rozmaite utwory młodzieńczej wyobraźni, czasem dowcipne, często dziwaczne, a że żaden z tych piemonckich arystokratów nie umiał dobrze po włosku, więc owe utwory pisane były złą francuszczyzną. Alfieri wrzucił tam raz jakąś dramatyczną scenę, pod tytułem »Le jugement dernier«, w której występowało kilka osób, krytykujących własne charaktery. Ta fraszka dramatyczna miała wielkie powodzenie i natchnęła autora myślą, że abate Caluso może przecie miał słuszność, prorokując mu, że zostanie poetą. Literackie zabawy nie wystarczały więc umysłowi, pełnemu polotu i siły; próżniactwo zabijało Vittoria. Spowiadał on się później w swoim pamiętniku, że gdyby się nie był zabrał do rzetelnej, całe jego jestestwo zajmującej pracy, toby był zwaryował albo sobie życie odebrał. Chwilowo jednak do urzeczywistnienia pięknych zamiarów przeszkodziła zalotna kobieta, i to starsza od Vittoria o lat dziesięć. Markiza Gabriela Falletti, żona markiza Turinetti, znana była w Turynie ze swych rozlicznych stosunków miłosnych. Niebawem umiała najzupełniej zawładnąć Alfierim. Od ósmej z rana do północy ciągle był w jej domu; gniewał się z tego powodu sam na siebie, ale nie miał siły jej opuścić. Po kilku miesiącach tego stosunku, wycieńczony, zdenerwowany, ciężko zaniemógł na jakąś chorobę, połączoną z konwulsyami i wymiotami, której żaden lekarz nie mógł określić. Pięć dni męczono go w rozmaity sposób; puszczano krew, dawano pigułki i mikstury, wreszcie włożono do gorącej kąpieli, składającej się do połowy z wody i oliwy. Ta kąpiel wpłynęła na uspokojenie nerwów Vittoria, powta-

rzano ją przez dni kilka i wkrótce go wyleczono. Rekonwalescent skorzystał wszakże ze stanu swego zdrowia, aby wystąpić z wojska i zerwać stosunek miłosny z ową Cyrce, która go usidliła swymi wdziękami. Nie była to jednak rzecz łatwa; przestał bywać u niej, ale to nie pomagało: nadchodziły listy, przysyłała znajomych, nie chciała w żaden sposób go opuścić. Alfieri postanowił wytrwać w swym oporze, a obawiając się, aby nie uległ w słabej chwili, kazał sobie wystrzydz duży kosmyk włosów z czupryny, rodzaj tonzury, aby nie módz wychodzić z domu bez ośmieszenia się. Ale niekiedy napadał go taki paroksyzm miłosny i chęć powrócenia do tej w gruncie rzeczy znienawidzoeej kobiety, że kazał się aż przywiązywać do fotelu swemu wiernemu służącemu, aby nie uciec z pokoju. Wreszcie przezwyciężył się, a co więcej, pokuta i niewola, którą sobie dobrowolnie nałożył, miała ten dobry skutek, że zaczął pisać tragedye. Czuł, że szkoda życia, aby je dzielić pomiędzy sybarytyzm a kobietę, która nie była wartą gorącej miłości. Zapragnął sławy. W pałacu markizy znajdował się szereg gobelinów, przedstawiających sceny z życia Kleopatry i Antoniusza; te kobierce tak się wbiły w pamięć Alfierego, że postanowił napisać sztukę sceniczną, którąby miała za temat starożytną bohaterkę. W ten sposób powstała pierwsza jego tragedya »Kleopatra«, którą wystawiono w Turynie 16 czerwca 1775 r.

III.

Jak wyglądał ten człowiek, który miał zostać najznakomitszym tragikiem włoskim XVIII wieku i wywierać olbrzymi wpływ na kierunek umysłów i na literaturę półwyspu?

Miał wtedy lat dwadzieścia siedm, był dużego wzrostu, silny, odważny, gwałtowny, w swych postanowieniach uparty, trochę dziwaczny, znający wszelkie stopnie miłości, ale niezużyty i zionący nienawiścią do wszystkiego, co było tyranią. Czuł jednak, że nie ma gruntownego wykształcenia, i powiedział sobie: »Cofnę się wstecz, zostanę studentem, aby się uczyć gramatyki i tego wszystkiego, co potrzeba do po-

prawnego pisania po włosku«. Uparł się, aby posiąść ojczysty język tak, jak nim włada toskański profesor literatury.

Na to trzeba spokoju i oddalenia się od życia światowego w Turynie. Pojechał więc w lecie roku 1775 w góry, do Cézannes, małej wioski, leżącej na granicy Sabaudyi i Delfinatu; tam zaczął pisać, próbować swych skrzydeł, a znalazłszy bardzo ostrych krytyków w przyjaciołach, proboszczu literacie Paciandim i hrabi Tana, wyrobił sobie dzięki ich uwagom formę i styl literacki. Mawiał też później, że został poetą »par la grace de Dieu, du comte Tana et du père Paciandi«. Przechodził wiersz za wierszem dzieła wszystkich pierwszorzędnych poetów włoskich i rzec można, wyżłabiał w swym umyśle »Gerusalemme« Tassa, »Orlanda« Aryosta, »Komedyę« Dantego i sonety Petrarki.

Na dokończenie, że tak powiem, lingwistycznego wykształcenia, pojechał do Toskanii, ojczyzny najpiękniejszego języka włoskiego; tam się uczył, a zarazem pisał swoje tragedye, jak »Antigona«, »Polinice«, »Agamemnon«, »Oreste« i doszedł do takiej doskonałości, że myślał odtąd tylko w języku toskańskim. Gdy zaś z końcem r. 1776 zawiózł swój sonet z bijącem sercem hrabiemu Tana i otrzymał od niego pochwałę, zdawało mu się, że osiągnął najwyższe szczęście. Czując, że odniósł nad sobą takie zwycięstwo, wrócił jeszcze do starożytnych pisarzy, aby ich czytać rozumnie; czytając Liwiusza, powziął myśl napisania swego arcydzieła, tragedyi »Virginia«, w której przebija cała nienawiść poety do wszelkiego rodzaju tyranii, czy ona pochodzi od klas »urodzonych« do panowania, czy od tyranów, którzy wyszli z ludu.

Pobyt we Florencyi stał się przełomem w życiu poety. Spotkał on tam kilkakrotnie w towarzystwie piękną i miłą cudzoziemkę, kobietę pod każdym względem bardzo zajmującą. Nie było możliwem, powiada poeta, spotkawszy, nie zauważyć jej, a wcale niemożliwem, zauważywszy ją, nie starać się jej podobać. Pomimo że większa część mężczyzn, należących do wyższego świata, składała jej wizyty, Alfieri, zawsze oporny i dziki, a nadto unikający pięknych kobiet, nie starał się zrazu bywać na jej salonach, poprzestając na widywaniu jej w teatrze i na spacerach. Kobieta ta zrobiła na nim jednak

wielkie wrażenie. Czarne oczy, pełne życia, a przytem jak najłagodniejszego wyrazu, biała płeć i jasne blond włosy nadawały jej urodzie wdzięk, któremu się oprzeć było niepodobna. Dwadzieścia pięć lat, dużo zamiłowania do literatury i do sztuk pięknych, a nadto bardzo smutne domowe stosunki, które ją czyniły nieszczęśliwą — aż nadto powodów dla Alfierego, aby pokochać tę niezwykłą istotę.

Alfieri, doznawszy dotąd samych zawodów w miłości, bronił się długo; wreszcie czując, że mu grozi niebezpieczeństwo zakochania się, postanowił uciec do Rzymu. Najął pocztę, jechał co koń wyskoczy, ale po dwunastu dniach był już z powrotem we Florencyi i przyjął na siebie więzy, które nosił przez resztę życia.

Ową cudzoziemką była Luiza hrabina d'Albany, małżonka ostatniego pretendenta do korony angielskiej, Karola Edwarda. Luiza urodziła się 20 września 1752 r. w Mons, w prowincyi Hainau; ojciec jej Gustaw Adolf Stolberg-Geldern był jenerałem wojsk Maryi Teresy i należał do najwyższych rodów Rzeszy niemieckiej, wysługujących się dynastyi habsburskiej. W matce, Elżbiecie hrabinie Hornes, płynęła obok niemieckiej także krew angielska, rodziła się bowiem ze szkockich hrabiów Bruce, wiernych stronników dynastyi Stuartów. Po wygnaniu Jakóba II z Anglii osiadła w Brukseli, wówczas już pomimo dwudziestu czterech lat wdowa, z czterema córkami. Dochody jej były szczupłe; przeto cesarzowa zajęła się małemi dziećmi wiernego dynastyi jenerała, matce zaś nadała prebendę w arystokratycznej kapitule świeckiej S. Wandru, w Belgii, gdzie opatką była księżniczka Anna Carlotta lotaryńska, siostra cesarza Franciszka I.

Klasztor w S. Wandru wychowywał swe kanoniczki do świeckiego życia; wolno im było jeździć do rodziny i zajmować się, czem chciały. Luiza miała lat sześć, gdy ją tam oddano; nie lubiła matki egoistki i w jednym z późniejszych listów skarżyła się, że od dzieciństwa nie zaznała szczęścia. Była pierwszem dzieckiem hrabiny, która życząc sobie mieć syna, a nie córki, od urodzenia jej nie lubiła, obchodziła się z nią surowo i oddała do klasztoru, aby mieć więcej pieniędzy na zabawy i na granie w karty, gdyż o niczem innem

nigdy nie myślała, jak tylko o grze, przyjemnościach i strojach.

W klasztorze niewiele się Luiza nauczyła, ale dobrze poznała życie światowe z opowiadania, bo tam znoszono nowinki z różnych arystokratycznych rodzin. Właśnie kiedy skończyła lat dwadzieścia, poszukiwał dwór francuski małżonki dla pretendenta do tronu angielskiego, Karola Edwarda Stuarta, pragnąc, aby ta dynastya nie wygasła i aby się nią w danym razie módz posługiwać przeciw rodowi hanowerskiemu.

Przypatrzmy się temu pretendentowi.

Karol Edward przyszedł na świat w Rzymie, w palazzo Sachetti, 31 grudnia 1720 r. w obecności aż siedmiu kardynałów, przytomnych połogowi Maryi Klementyny Sobieskiej, małżonki króla bez tronu, Jakóba, którego zwano powszechnie Le chevalier de St. George. Papież Klemens XI kazał z tego powodu odśpiewać w kościołach Te Deum, uznając jeszcze Stuartów za legalną dynastyę angielską.

Karol Edward wychowywał się z młodszym bratem w Rzymie, wyrósł na młodzieńca wykształconego i pełnego zalet, mówił trzema językami, nadzwyczaj był muzykalnym i powszechnie lubiano go w rzymskiem towarzystwie. Przystojny, ożywiony, odważny, śnił tylko o odzyskaniu tronu angielskiego i przygotowywał się do walki z dynastyą hanowerską, biorąc już w czternastym roku życia udział w wyprawie neapolitańskiej Karola Burbona, a następnie w wojnach lombardzkich, gdzie przyjął po raz pierwszy nazwisko hrabiego d'Albany.

W roku 1744 zdawało się Pretendentowi, że wyprawa do Anglii celem pokonania i wypędzenia znienawidzonych Hanowerczyków mogłaby mieć powodzenie, zwłaszcza że Francya przyobiecała mu swoje poparcie. Pozwolił więc synowi, który się rwał do walki, stanąć na czele wyprawy; Karol Edward miał wtedy dwadzieścia pięć lat. Spodziewając się poparcia w Szkocyi, gdzie stronnictwo Jakobitów było najliczniejsze, wylądował tam z siedmioma jeszcze towarzyszami, mając tysiąc dwieście strzelb i 50.000 franków — jak na podbicie Anglii, nie wiele. Rozpoczęła się wyprawa, która posłu-



Karol Edward Stuart, jako młodzieniec.

Według współczesnego miedziorytu.

Do str. 258.

żyła Walter-Scottowi za temat do jednego z jego najpiękniejszych utworów. Pod sztandarem młodzieńca gromadzili się szybko szkoccy górale; Karol Edward dokonał cudu, na równinie Preston-Pans pobił angielskie wojsko i niebawem stał się w Szkocyi prawie legendarną postacią, serca kobiet całego kraju biły ku niemu. W Berlinie, w Wiedniu, w Paryżu mówiono o nim jak o bohaterze, równającemu się odwagą i zręcznością najgłośniejszym kondotierom. Lada dzień oczekiwano, że stanie pod bramami Londynu i zdobędzie znów tron dla Stuartów.

Ale szczęście niedługo się doń uśmiechało; wysłany silny oddział wojska królewskiego rozbił Jakobitów 27 kwietnia 1746 r. pod Culloden; młody bohater musiał uciekać, przyjaciele go odstąpili. Obawiając się wysłanej za nim pogoni, błąkał się w Szkocyi po lasach i górach, nocując przez kilka miesięcy w jaskiniach i ubogich chatach. Gdy i tam nie czuł się bezpiecznym, schronił się na wyspy Orkady, a stamtąd dostał się do Francyi, gdzie został przyjęty z oznakami największego uwielbienia. Dwór Ludwika XV rozciągnął nad nim swoją opiekę, ministrowie obiecywali pomoc na nową wyprawę do Szkocyi. Gdy jednak kardynał Tencin dał mu do zrozumienia, że w razie wygnania dynastyi hanowerskiej będzie musiał odstąpić Francyi Irlandyę, Karol Edward dumnie odrzekł: »Non, monsieur le cardinal. Tout ou rien, point de partage«.

Przyjaźń rządu francuskiego dla pretendenta nie trwała wszakże długo; w układach, zawartych z Anglią w Aix-la-Chapelle, zobowiązał się Ludwik XV nie dawać Stuartom schronienia we Francyi. Karol Edward oświadczył jednak, że nie wyjedzie z Paryża, chyba że go rząd zmusi siłą do opuszczenia Francyi, a liczył w tem na bardzo mu przychylną opinię publiczną i na to, że król nie zechce złamać swych przyrzeczeń, danych Stuartom. Karol Edward uzbroił się więc w pistolety i zagroził policyi, że każdego zastrzeli, ktoby go się śmiał dotknąć. Chciał przed całą Europą okazać, że ta Francya, która go niedawno przyjmowała okrzykami radości, dzisiaj na rozkaz Anglików odmawia mu przytułku. Sam Delfin, późniejszy Ludwik XVI, wstawiał się za nim do króla

i u ministrów; ale polityka była silniejsza, aniżeli przyjacielskie słowa.

Karol Edward, chcąc okazać swoją odwagę i zaufanie w przyjaźń narodu francuskiego, kazał 10 grudnia 1748 r. zajechać karecie przed swój pałac i w towarzystwie dwóch przyjaciół udał się na przedstawienie opery. Ale zaledwie wysiadł przed teatrem, rzucili się na niego ajenci policyi, odebrali pistolety, wsadzili do przygotowanego powozu i odwieźli do Vincennes. Policya tak zręcznie urządziła napad, że publiczność dowiedziała się dopiero nazajutrz o uwięzieniu Stuarta. Rząd zaś, wstydząc się swego czynu, kazał rozpuścić pogłoskę, że sam ojciec Karola Edwarda napisał do syna, aby się zastosował do życzenia króla francuskiego i wyjechał z Paryża.

Z Vincennes odstawiono Stuarta do granicy szwajcarskiej (1748) i przez kilka lat opinia Europy mało się o niego troszczyła.

W tych czasach jednak spotykały Karola Edwarda ciężkie zawody. Brat jego, Henryk Benedykt, zadał ostateczny cios nadziejom pretendenta do odzyskania tronu angielskiego. Obrażając uczucia swego protestanckiego narodu, został w Rzymie księdzem, aby otrzymać kardynalską purpurę. Karol się temu sprzeciwiał, ale napróżno; więc zerwał z nim stosunki, które dotąd były bardzo ścisłe. Ale niedość jednego zmartwienia, przyszły inne. Przez lat kilkanaście żył nasz pretendent jakby w małżeństwie z miss Walkinshaw, pochodzącą z dawnej do Stuartów przywiązanej szkockiej rodziny. Miał z nią córkę, ale miss W. opuściła go w r. 1760 i oddała dziecko na wychowanie do klasztoru. Stronnicy pretendenta byli bardzo przeciwni temu stosunkowi, życzyli sobie bowiem, aby się Karol Edward ożenił z osobą z wyższego towarzystwa i miał syna, któryby po nim mógł dziedziczyć prawa Stuartów. Mówiono także, że miss Walkinshaw była właściwie szpiegiem dynastyi hanowerskiej i że miała śledzić pretendenta na każdym kroku, a nadto, że to ona głównie przyczyniła się do tego, że Karol Edward nadużywał spirytusowych napojów.

Nastąpiły ciemne lata w życiu Karola Edwarda. Nie miał nikogo przywiązanego koło siebie, tracił nadzieję odzyska-



Kardynał d'York, jako młodzieniec.

Według pastelu Rosalby Carriery w Galeryi drezdeńskiej.

Do str. 260. Fot. Tamme w Dreźnie.

nia tronu angielskiego, a pociechy szukał w alkoholu, upijając się aż do nieprzytomności. Dopiero w r. 1770 występuje on znowu na widownię.

Minister książę de Choiseul powziął w r. 1770 dość awanturniczy projekt restauracyi Stuartów w Anglii. W tym celu wysłał do Rzymu tajnego ajenta, mającego uwiadomić pretendenta o zamiarach Francyi i prosić go, aby przybył do Paryża celem bliższego porozumienia się. Karol Edward wybrał się zaraz do stolicy Francyi, a książę Choiseul, dowiedziawszy się o jego przybyciu, wezwał go, aby jeszcze tego samego dnia o północy przyjechał w przebraniu i w najętej karecie do pałacu ministeryalnego. O naznaczonej godzinie oczekiwał Choiseul ze swoim marszałkiem angielskiego gościa; minęła jednak dwunasta, minęła nawet pierwsza po północy, a pretendenta jeszcze nie było. Sądząc, że zaszła jakaś nadzwyczajna przeszkoda, zamierzał minister już odejść do swoich pokoi, gdy usłyszano turkot karety. Po chwili wszedł Karol Edward, ale tak pijany, że nie można z nim było nawet rozmawiać o sprawach, tak blizko go obchodzących. Choiseul się przekonał, że mając takiego pretendenta, trudno było myśleć o zrzuceniu z tronu dynastyi hanowerskiej; zaraz też z rana wysłał Stuartowi rozkaz bezzwłocznego opuszczenia Francyi. Pretendent wrócił do Rzymu.

Burboni jednak nie porzucili zamiarów nieprzyjaznych Hanowerczykom. Jeżeli już Karol Edward nie był człowiekiem, którego możnaby postawić na czele katolickich stronnictw w Anglii, to pocieszali się często, że pretendent mógłby mieć syna, przydatnego kiedyś do tej roli. Zapewne w tym celu ułożyli małżeństwo Stuarta. To też gdy Karol Edward bawił w r. 1771 w Syenie, otrzymał od francuskiego ministra spraw zagranicznych, księcia d'Aiguillon, poufne zawiadomienie przez księcia Fitzjames, że życzeniem byłoby rządu francuskiego, aby pojął żonę. A że właśnie w tym czasie Karolina Augusta Stolberg, siostra Luizy, wyszła za mąż za starszego syna księcia Fitzjames, wybrano więc księcia za pośrednika i proszono go, aby namówił pretendenta do ożenienia się z drugą Stolberg, z Luizą.

Karol Edward zgodził się na żądanie Francyi; księżna

Stolberg udała się z Bruksel|li do Paryża z córką, gdzie 28 marca 1772 r. zawarte zostało małżeństwo Luizy z pretendentem, którego zastępował książę Fitzjames, piśmiennie do tego upoważniony od Karola Edwarda. Luiza pojechała na Wenecyę do Ancony, a stamtąd do Maceraty, gdzie w pałacu kardynała Maryi Marefoschi, przyjaciela Stuartów, odbył się kościelny ślub nie znającej się dotąd pary w Wielki Piątek 17 kwietnia 1772 r. Na pamiątkę tego obchodu kazał Karol Edward wybić medal z portretami obojga małżonków i królewskim napisem: »Carolus III Rex et Ludovica Regina«. Księżniczka Stolberg mogła na chwilę wmówić w siebie, że została królową Wielkiej Brytanii.

Z małżeństwa tego, zawartego bez wiedzy cesarzowej, była Marya Teresa bardzo niezadowolona; pragnąc bowiem utrzymywać dobre stosunki z Anglią, nie chciała wzbudzać w Londynie podejrzenia, jakoby knuła jakie spiski przeciw panującej dynastyi. Wydała więc rozporządzenie, aby księżnie Stolberg matce nie wypłacano dalej jej pensyi, »ponieważ bardzo zbłądziła, nie uwiadamiając nawet cesarzowej o zamiarze wydania córki za tego rodzaju osobistość, jak pretendent do tronu angielskiego«. Wkrótce jednak dała się Marya Teresa ułagodzić i ze względu na zasługi zmarłego jenerała Stolberga i na bardzo przykry stan majątkowy wdowy kazała jej dalej wypłacać pensyę.

Tymczasem młoda para wjeżdżała 22 kwietnia do Rzymu z królewską pompą. Czterech kuryerów poprzedzało szereg karet, z których trzy było zaprzężone w sześć koni, bo w jednej jechał brat pretendenta, kardynał Stuart. Kardynał ofiarował bratowej szkatułę, wysadzaną brylantami, w której znajdowało się czterdzieści tysięcy skudów. Tłumy ludu oczekiwały w Rzymie przyjazdu »królewskiej pary«; ale papież Klemens XI nie był zadowolony z tej demonstracyi, gdyż polityka Kuryi rzymskiej wymagała wtedy, aby żyć w zgodzie z rządem angielskim. Papież też nie pozwolił, aby Karolowi Edwardowi oddawano, podobnie jak jego ojcu, królewskie honory. »Królestwo« zamieszkali w pałacu Muti, przy placu SS. Apostoli, a Luiza Stolberg podpisywała się Luiza R. (Regina) i miała kilka dam dworskich. Znajomi nadali jej nie-

bawem, trochę z powodu zalet jej charakteru, trochę przez pochlebstwo, miano »królowej serc«. W kołach duchownych nazywano ją »Regina Apostolorum«, bo mieszkała na placu św. Apostołów aż do roku 1776.

Szczęśliwem to niedobrane małżeństwo nie było; ona młoda, świeża, pełna życia, wesołego usposobienia, on o trzydzieści dwa lat od niej starszy, zniszczony swym nałogiem, przytem tyran w domowem pożyciu. Na razie prowadził pretendent dom otwarty; hrabina, zamknięta do niedawna w ciasnem kole klasztornem, widziała się otoczoną ludźmi, wobec których Karol Edward musiał bardzo tracić. Do ulubieńców jej należał miły światowiec, Szwajcar, trochę awanturnik, Karol Bornstetten, z którym widocznie przyjaźń daleko już zaszła, skoro »królowa« we dwa lata po ślubie mogła do niego pisać: »tenons nous a l'amitié; l'amour est trop dangereux«. Bornstetten musiał jednak z Rzymu wyjechać, z czego się jej przyjaciółka i dama dworu, pani de Maltzan, cieszyła, gdyż utrzymywała, »że„Bornstetten etoit le seul homme qui aurait été dangereux pour elle«.

Po dwóch latach pobytu w Rzymie przenieśli się hrabstwo d'Albany na mieszkanie do Florencyi (1774). Powód był ten, że ani papież Rezzonico ani papież Ganganelli nie chcieli go uważać za króla i nie pozwolili mu oddawać królewskich honorów. Spodziewał się nasz pretendent, że we Florencyi łatwiej będzie uznany jego tytuł królewski. Przytem powietrze rzymskie mu nie służyło; chorował na żołądek i upadał na siłach. Temu wszystkiemu chciał zaradzić piciem bardzo mocnego wina, co oczywiście jeszcze rzecz pogarszało.

Z początku mieszkali hrabstwo w pałacu Corsini, następnie przenieśli się do palazzo Guadagni. Ale i tam »regina dei cuori« śmiertelnie się nudziła. »Nasze przyjemności — pisała do jednego z przyjaciół, który, jak się zdaje, pocieszał ją po wyjeździe Bornstettena z Rzymu — są straszne, jeszcze gorsze, jak wtedy, kiedyśmy się rozjechali. Staram się nudy zabić czytaniem Newtona, Voltaira, Rousseau'a, ale moja głowa za nadto roztrzepana »trop folle«, jak na filozofię«. Gniewa się na przyjaciela, że się ożenił, nie uwiadomiwszy jej o tem, a przecież mógł wiedzieć, że miała zawsze dla

niego »un petit faible«. Zważywszy jednak, że żyją w oddaleniu czterystu mil od siebie, szczera jej miłość nie powinna obudzić zazdrości w jego »ukochanej połowicy«.

O jakimś młodym Angliku opowiada pani Vernon-Lee, że wyjechał z Florencyi zakochany w hrabinie d'Albany, która go obdarzyła swoim portretem. Starała się więc »królowa«, jak mogła, uprzyjemniać sobie życie.

Florencya była zresztą wówczas, zwłaszcza dla cudzoziemców, bardzo przyjemnem miastem. Panował tam od lat dziewięciu Wielki Książę Piotr Leopold lotaryński.

Leopold I, brat cesarza Józefa II, był bardzo zajmującą postacią. Objął panowanie Toskanii w r. 1765, w ośmnastym roku życia, ożeniony już z Maryą Luizą hiszpańską, która mu wniosła nadzwyczaj duży posag, prawa do dóbr alodyalnych domu Medyceuszów, a nadto mnóstwo klejnotów, drogocennych sprzętów, karet, zaprzęgów. Była to może najlepiej wychowana i najroztropniejsza z kobiet, zasiadających na włoskich tronach. Leopold, człowiek niepospolity, mający najlepsze zamiary, chcący uszczęśliwić swoje państwo, ale despota, nie znoszący cudzej obok własnej woli, pragnął odrazu wszystko reformować, administracyę, rolnictwo, przemysł, a nawet i religię, gdyż przeznaczony zrazu na duchownego, lubił się zajmować rzeczami, należącemi do Kościoła. Skutek był taki, że jego reformy, nieraz za nadto pośpieszne, nie odpowiadały wiekowym wyobrażeniom ludności, że często nie bywał zrozumiany i że sobie robił wielu nieprzyjaciół. Chcąc poprawić to, co niedawno zarządził, wydawał bezustannie nowe przepisy, a jego przeciwnicy poprzylepiali raz na murach Florencyi kartki z napisem, mającym charakteryzować wielkoksiążęcą administracyę: »Ordini, contrordini, tutto in ordine, ma con disordine«. Zresztą Leopold lubił się wdawać w drobnostki tak w rzeczach publicznych, jak i w sprawach prywatnych, a napotykając tu i ówdzie na niechęć i opór, stał się nadzwyczaj podejrzliwym. Całą Toskanię otoczył siecią szpiegów, których zadaniem było śledzić domowe stosunki nie tylko arystokratycznych, ale i mniej wybitnych rodzin. Biskupi, proboszczowie, sędziowie, notaryusze, podestowie i wogóle wszyscy wybitniejsi urzędnicy państwa musieli co

tydzień przesyłać wielkiemu księciu sprawozdania o ludziach i o rzeczach. Czasami nawet, pod pozorem moralnej kontroli, przedkładano Leopoldowi uwagi o zajmujących kobietach w państwie, co go nadzwyczaj obchodziło, należał bowiem do największych wielbicieli płci pięknej, a romanse jego liczono na tuziny. Zaprowadzone szpiegostwo z czasem mu tak dokuczało, że nie miał chwili spokoju, a cesarz Józef II pisał mu raz, że z własnej woli robi się człowiekiem nieszczęśliwym, i radził, aby odsunął od siebie tajemnych ajentów, którzy podniecają jego nieufność do całego rodzaju ludzkiego. To jednak nie na wiele się przydało; podejrzliwość stała się charakterystyczną cechą charakteru i już takim został przez dwadzieścia pięć lat panowania w Toskanii, dopóki po śmierci cesarza Józefa nie został powołany na tron cesarski.

Gdy Leopold przybył do Toskanii (1765), Florencya liczyła 70.000 mieszkańców w obrębie murów, a prócz tego 150.000 ludności poza murami, należącej jednak do miasta. Marya Teresa dała synowi za ochmistrza i gubernatora swego ulubieńca, hrabiego Franciszka Turn, którego małżonka została ochmistrzynią Wielkiej księżnej. Za poradą cesarzowej złożono rząd częścią z Włochów, częścią z Niemców; ale zaraz w początkach panowania młodego księcia wkradła się piękna intrygantka pomiędzy ministrów, a była nią znakomita śpiewaczka, zręczna kobieta, z pomocą której sprzedawano najważniejsze urzędy. Angela Branchi, bo tak się nazywała, nie przyjmowała sama pieniędzy, ale składano je na ręce Andrzeja Parenti, poufnika marszałka dworu, starego już Botty Adorno, także protegowanego przez Maryę Teresę. Młody książę, przyzwyczajony do posłuszeństwa wobec swej znakomitej matki, starał się zrazu w ważnych sprawach poddawać woli marszałka, ustanowionego przez cesarzową; powoli jednak zaczął się wyłamywać z pod wiedeńskiego wpływu. Jako niedoszłemu duchownemu chodziło przedewszystkiem o poszanowanie form religijnych, więc dbał bardzo o wszelkie w tej mierze pozory, a pomiędzy innemi wydał nakaz, aby książęca rodzina i cały dwór nie tylko w dnie świąteczne brał udział w nabożeństwie, odprawianem w kościele świętej Felicyty, ale i chodził na wykłady ewangelii

i katechizmu, które przed południem miewał po niemiecku Jezuita Sommating, a popołudniu inny Jezuita także po niemiecku dla dworzan, przybyłych z Wiednia. Włochów raziło takie wprowadzenie niemczyzny w stolicy Boccaccia i Danta i w całym wyższym świecie florentyńskim bardzo na to sarkano. Co gorsza, Leopold zabrał się do klasyfikowania toskańskiej arystokracyi. Do pierwszej klasy należała szlachta, która mogła dowieść dwieście lat patrycyatu, do pośledniejszej arystokracyi zaliczano tych, których drzewo genealogiczne nie sięgało tak wysoko. Patrycyuszki pierwszej klasy były przed innemi dopuszczane w dnie uroczyste i przy wielkich festynach do ucałowania rąk, do »bacciamano« Wielkiej księżny, a po nich dopiero dostępowały tego zaszczytu tak zwane »nuvolone«, arystokratki drugiej kategoryi. »Nuvolonami« nazwano je od słów »Nous voulons«, któremi Leopold zaczynał zazwyczaj swoje rozporządzenia.

Mnóstwo osób wykluczano z publicznych widowisk, a przed teatrem była przed każdem przedstawieniem wywieszona i jedną świecą oświecona lista tych, którym nie było wolno wejść do przybytku dramatycznej sztuki. Przepisy policyjne wchodziły w najdrobniejsze szczegóły prywatnego życia, zakazywano np. pewnym rodzinom odwiedzać się wzajemnie, albo pozwalano przyjmować w domu tylko krewnych drugiego i trzeciego stopnia. Byli i tacy, którym nie wolno było wychodzić z mieszkania od zmroku aż do wschodu słońca, innym znowu zakazywano odwiedzać lokale publiczne, jak kawiarnie, osterye, a nawet i pewne kościoły.

Mimo policyjnych dokuczliwości należała wówczas stolica toskańska do najświetniejszych środowisk życia towarzyskiego we Włoszech; mnóstwo rodzin arystokratycznych, jak Corsini, Riccardi, Ferroni, della Gherardesca, Niccolini, Ginori, Rinuccini i wiele innych miało tam swoje pałace i mieszkało w mieście całą zimę. Osobliwie salony markizy Niccolini były zawsze bardzo ożywione i spotkać tam można było każdego niemal znakomitszego cudzoziemca, który bawił we Włoszech. Karol Edward utrzymywał bliższe stosunki z rodziną Corsinich, których znał jeszcze za młodych lat w Rzymie i bywał na świetnych przyjęciach w palazzo Corsini na

Zatybrzu. Obecnie ofiarowali Corsini pretendentowi i jego małżonce na mieszkanie swoje casino, położone na Prato, otoczone pięknymi ogrodami. W r. 1777 kupił jednak Karol Edward dom od rodziny Corsinich, palazzo Guadagni, i kazał na nim wyryć napis, że ten, co tam zamieszkał, jest królem Wielkiej Brytanii i obrońcą wiary.

Hrabina d'Albany nie wychodziła zrazu ze swej roli »królowej«, nie oddawała wizyt paniom z towarzystwa florenckiego, co jej tak dalece wzięto za złe, że prawie tylko mężczyźni bywali na jej salonach. Karol Edward lubił nadzwyczaj teatr, więc przepędzał tam wieczory z małżonką, a gdy w r. 1775 zachorował i pojawiły się u niego oznaki wodnej puchliny, kazał się z karety przenosić służącym do loży, aby tylko nie opuścić przyjemnej rozrywki. Mimo bardzo złego stanu zdrowia nie przestał pić gorących trunków, tak, że się często upijał i w teatrze zasypiał na kanapie. Butelka z winem di Cipro i tam go nie opuszczała, a raz podczas balu w teatrze tak się podochocił, że chciał tańczyć menueta z jakąś piękną panią i zaledwie wstrzymał go od tego popisu jego towarzysz, conte Spada.

Pijaństwo sprawiło, że ten pretendent do jednego z pierwszych tronów świata, był teraz już zupełną ruiną i robił najprzykrzejsze wrażenie. Żywe dawniej oczy zupełnie przygasły, policzki obwisły, a na twarzy pozostał wyraz człowieka na pół chorego, a na pół znudzonego życiem. Nosił zawsze ubranie ze szkarłatnego sukna, ozdobione złotymi galonami, wstążką orderu podwiązki i małą dekoracyą szkockiego orderu św. Andrzeja, na głowie miewał małą perukę.

Stosunki też małżeńskie w pałacu Guadagni stawały się coraz gorsze, a poznanie się Luizy z Vittoriem Alfierim musiało być dla obojga bardzo niebezpiecznem. Vittorio miał wtedy (1777) lat dwadzieścia dziewięć i już nosił swą lwią grzywę.

IV.

Oprócz wdzięków hrabiny i »lwiej grzywy« Alfierego próżność zbliżała do siebie tę parę; jemu schlebiało, że jest

w łaskach »królowej«, jej, że potrafiła odrazu podbić serce najpierwszego poety we Włoszech. Zręczna kobieta, pomimo że się skarżyła na książki filozoficzne, zaczęła teraz naprawdę czytać i kształcić się, aby dorównać poecie, uczyła się także po włosku, bo dotychczas pisywała tylko złą francuzczyzną. Poznała też, że u Alfierego żądza sławy, ambicya wielkiego pisarza panuje nad wszystkiemi innemi dążeniami; starała się więc uderzyć w tę strunę i zostać muzą poety. Alfieri po raz pierwszy spotkał kobietę, która swą miłością nie stała mu na przeszkodzie w dążeniach literackich, lecz owszem całemi siłami je wspierała, mówiła z nim o jego tragedyach, o planach do nowych dzieł dramatycznych.

Vittorio spostrzegł niebawem, że ta kobieta stała mu się potrzebną, że bez niej żyć nie może. Ale na przeszkodzie ich bliższych stosunków stał mąż zgryźliwy, zazdrosny. Alfieri starał się mu przypodobać, starał się o jego przyjaźń, aby módz bywać w pałacu Guadagni codziennym gościem. Zrazu się to udawało; Karol Edward znosił poetę, Vittorio został według ówczesnego zwyczaju rodzajem cavaliere servente jego małżonki. Ale prawa tego towarzysza bardzo były ograniczone, pretendent jak cień chodził zawsze za hrabiną i nie pozwalał jej nigdy samej wyjeżdżać. Jedyna chwila, w których hrabina mogła z Alfierim prowadzić jakąś poufałą rozmowę, była w salonie, gdy Karol Edward, zmorzony trunkiem, zasnął w fotelu, albo w teatrze, gdzie często także spał na swej sofie w głębi loży.

Te przeszkody podniecały tylko miłość poety do hrabiny; ale i pretendent stawał się coraz bardziej podejrzliwym i dawał swą zazdrość uczuwać hrabinie nieraz w sposób bardzo brutalny.

W początkach tej nowej miłości musiał Alfieri powziąć ważne postanowienia co do swego majątku. Mieszkanie we Florencyi było dlań coraz trudniejsze; król sardyński pozwalał mu już cztery czy pięć razy na wydalenie się z kraju, ale otrzymanie takich pozwoleń połączone było zawsze z trudnościami, a staranie się o nie upokarzało wolnomyślnego poetę. W Piemoncie istniało prawo, że poddani królewscy mogli się wydalać z granic państwa tylko za pozwoleniem, wydanem na piśmie, a prawo to było często zasto-

sowane z prawdziwie tyrańską surowością. Co więcej, król oznaczał każdej wybitniejszej osobistości ze szlachty, gdzie ma mieszkać, na wsi czy w mieście, uchylających się od tych przepisów zamykano w twierdzy. Jeden z markizów dell' Borgo cierpiał tak na reumatyzm, że nie mógł znosić ostrego klimatu; król Wiktor Amadeusz pozwolił mu więc na razie wyjechać, ale upiększając stolicę, kazał markizowi, jako człowiekowi zamożnemu, wybudować pałac w Turynie. Król zawezwał budowniczego, polecił mu zrobić plany na mieszkanie dla markiza, przesłać rysunki do przejrzenia właścicielowi i kazał budować. Gdy zaś stanął gmach obszerny i bardzo piękny, odpowiedni znakomitości rodu Borgów, król polecił i wewnątrz go urządzić i wydał »Biglietto regio«, że markiz ma z Pizy powrócić i zamieszkać w nowym pałacu. Markiz, zrozpaczony i ziejący gniewem, przybył do Turynu, przeznaczył pokój kamerdynera na swoją sypialnię, a wspaniałych salonów nie chciał nawet oglądać. Po marmurowych schodach i dywanami zasłanych posadzkach przychodziła tylko do niego codziennie koza, której mleko pijał. Innej istocie żeńskiego rodzaju nie pokazał swego pałacu.

Cenzura w Turynie jeszcze bardziej, aniżeli zakaz wydalenia z kraju, obchodziła Alfierego. Bez pozwolenia tak zwanych rewizorów nie wolno było drukować jakichkolwiek książek pod najcięższą, a nawet »cielesną« karą. Dramaty zaś i pisma Alfierego, wymierzone najczęściej przeciw tyranii, były bardzo niebezpiecznymi drukami. Poeta powziął więc myśl zrzeczenia się zaszczytu należenia do poddanych króla Piemontu i postanowił, jak się wyrażał, »se dépiemontiser«.

Rzecz nie była tak łatwa, bo dobra jego leżały w Piemoncie; postanowił jednak jak największe ponieść ofiary, aby się tylko uwolnić od królewskiej opieki. Wyobraźnia jego była tak rozgorączkowana, że zdawało mu się, iż popadnie w nędzę, że mu król dobra skonfiskuje. Na ten wypadek przemyśliwał, jakby sobie zarobić na utrzymanie i postanowił zostać ujeżdżaczem koni, na czem się wybornie rozumiał. W przewidywaniu tej biedy przyzwyczajał się do jak najskromniejszego i jak najoszczędniejszego życia. Przestał pić wino i kawę i jadał tylko ryż, sztukę mięsa lub pieczyste,

nie zmieniając tego »menu« przez lat kilka. Konie częścią sprzedawał, częścią darował przyjaciołom, w zbytkowną garderobę ubrał swego służącego, a sam postanowił aż do końca życia nie nosić się inaczej, jak w dzień ciemnogranatowo, a wieczór czarno.

Chcąc uniknąć konfiskaty dóbr, wystawił akt darowizny wszystkich swoich posiadłości siostrze Julii, zamężnej za hrabią Cumiana, zastrzegając sobie roczną rentę czternastu tysięcy liwrów, to jest, połowę tych dochodów, jakie miał zazwyczaj. Był jednak szczęśliwym, że za tę ofiarę mógł sobie kupić niezależność opinii, wolność zamieszkania, gdzie mu się podobało, i wolność pisania.

W ten sposób odsunąwszy od siebie troski materyalne, zaczął dużo pracować i żyć w towarzystwie florentyńskich literatów. Objął obowiązki sekretarza akademii, zbierającej się w domu Gavarda, do której należał także słynny abate Nicolini.

Wielki wpływ na Alfierego miał wówczas jego przyjaciel, abate Tomaso Valperga di Caluso, z którym się poeta poznał przed siedmioma laty w Lisbonie. Caluso, starszy o dwanaście lat od Alfierego, pochodził również z Sardynii i należał do najrozumniejszych i najuczeńszych ludzi swego czasu. Alfieri nazywał go »Montaigne redivivus«, gdyż podobnie, jak słynnego francuskiego pisarza, cechowały go dziwna równowaga umysłowa i rozsądek, o który było trudno w owych czasach przedrewolucyjnych. Pisał on dość dużo, ale największy rozgłos miało jego dzieło »Il Primato degl'Italiani«. Alfieri spowiadał się raz w liście do Calusa, że on pierwszy obudził w nim chęć poznania piękna i wstyd, że tak mało umiał. Poeta wprowadził Calusa do domu hrabiny d'Albany, bywali tam często razem, a ten rok, w którym uczony abate bawił we Florencyi, należał do najbardziej kształcących umysł Alfierego i najszczęśliwszych w jego życiu.

Ale to szczęście nie trwało długo. Mąż Luizy, którą Alfieri coraz bardziej kochał i do której coraz bardziej się przywiązywał, tak nękał swoją żonę, że jej położenie stało się wreszcie nieznośnem. Ciągle pijany, zgryźliwy, ponury, nie pozwalający jej nigdy samej wychodzić, do rozpaczy ją do-

prowadzał swojem towarzystwem. Alfieri widywał Luizę tylko wieczorem, wobec męża, który albo siedział w tym samym pokoju, albo drzemał w sąsiednim, przy drzwiach otwartych. Straszną to było boleścią dla poety patrzeć na kobietę, która, jak się wyrażał, zamierała »en detail«. Wreszcie w noc św. Andrzeja wywołał pretendent taką jakąś straszną scenę bachiczną w sypialni, że Luiza postanowiła cokolwiekbądź wyzwolić się z tyranii tego pijaka, aby ratować zdrowie i życie. Wtedy Alfieri, pomimo że miał wstręt nie do opisania, aby prosić despotyczne rządy o jakąkolwiekbądź protekcyę, udał się do otoczenia Wielkiego księcia, aby wyzwolono niewinną ofiarę z niewoli tego barbarzyńcy. Leopold zgodził się na to, aby ją oddać do klasztoru, pod opiekę Dominikanek, tak zwanych »Bianchette« od tego, że nosiły białe habity. Ale jak ją było wyrwać z niewoli, w której zostawała? Alfieri ułożył plan ucieczki, a ponieważ potrzebował w tym celu pomocy, wciągnął do sprzysiężenia panią Orlandi, wielką przyjaciółkę Luizy, i jej wielbiciela, Irlandczyka, pana Gehegan, którym mógł zupełnie zaufać. Postanowiono zwiedzić klasztor owych Dominikanek, gdzie były wystawione jakieś kobiece hafty. Pani Orlandi, mająca stosunki z zakonnicami, miała po Stuartów pojechać. Karol Edward zgodził się na to, oczywiście pod warunkiem, że on także będzie towarzyszył Luizie, której bez niego nie wolno było się z domu wydalać.

O naznaczonej godzinie stanęła kareta pretendenta przed bramą klasztoru, gdzie się jakby przypadkowo znalazł także Gehegan. Obydwie kobiety wysiadły pierwsze, poszły szybko pod bramę, która się otwarła i bezzwłocznie za niemi zamknęła, tak, że Stuart i Gehegan wejść nie mieli już czasu. Karol Edward zaczął dzwonić do bramy, dopiero jednak po chwili przyszła ksieni i przez małe zakratowane okienko oświadczyła, że hrabina wybrała sobie ich klasztor za schronienie i że w nim zostanie pod protekcyą Wielkiej księżnej.

Pretendent zaczął wymyślać, gniewać się, odgrażać, że się uda do rządu, aby mu małżonkę oddano; ale wszelkie jego zachody na nic się nie przydały. Hrabina napisała do kardynała d'York, aby ją wziął pod opiekę, a nie mając ochoty pozostać we florentyńskim klasztorze, prosiła, aby pa-

pież pozwolił jej zamieszkać w Rzymie. Kardynał, dotąd obrażony, że Karol Edward zawarł związek małżeński z Luizą bez jego wiedzy, gorąco zajął się sprawą bratowej, odpisał, że nie przyczynił się do nieszczęśliwego jej związku z pretendentem, że prosi ją, aby przyjechała do Rzymu, gdzie znajdzie odpowiedni przytułek w klasztorze Urszulanek, w którym królowa matka kardynała, Sobieska, dłuższy czas przepędziła.

W tajemnicy więc przed pretendentem wyjechała Luiza z Florencyi z końcem r. 1780 do Rzymu pod eskortą ludzi zbrojnych, gdyż się obawiała, że małżonek, dowiedziawszy się o jej wyprawie, zechce ją przemocą uprowadzić. Pomiędzy zbrojnymi znajdował się także przebrany Alfieri, który jednak wrócił z drogi do Florencyi, przekonawszy się, że hrabinie nie grozi już żadne niebezpieczeństwo.

W marcu r. 1781 pozwolił papież hrabinie opuścić klasztor i zamieszkać w części apartamentów pałacu Cancellaryi, który miał kardynał oddany do swego użytku. Kardynał jednak prawie nigdy nie bawił w Rzymie, mieszkając stale w swej willi we Frascati, gdzie był biskupem. Mimo że tam wydawał 40.000 talarów rocznie, ludność go nie lubiła, gdyż twardy ten rygorysta, posuwający się nieraz do okrucieństwa, chciał całe miasteczko zamienić w klasztor. Zakazywał wszelkich zabaw ludowych, a najmniejsze podejrzenie niemoralnego zachowania się wystarczało, aby kazał na ulicy aresztować najspokojniejsze kobiety. Gdy taką biedaczkę schwytano, obito ją w okrutny sposób i zamykano do więzienia o chlebie i wodzie. Tak samo postępował ów tyran wobec księży i mnichów; nie sprawdzony donos wystarczał, aby ich więziono za niemoralność. Do Rzymu wyjeżdżał karetą, zaprzężoną w sześć koni, a dwóch laufrów musiało biedz naprzód całą długą drogę, bo kardynałowi więcej chodziło o rumaki, aniżeli o ludzi.

Pałac Stuarta we Frascati był prawie nie umeblowany, tu i ówdzie stała jakaś kanapa lub kilka foteli i taburetów przerywało pustkę. W zimie nawet nie pozwalał kardynał rozpalać ognia na kominkach i siedział okryty dwoma płaszczami, nogi trzymając na »chaufferetce«, napełnionej żarzą-

cymi węglami, ręce ukrywał w zarękawku, a głowę w ciepłej kapucy. Gdy hrabina de Boigne przyjechała do niego z matką w odwiedziny, kazał z wielkiej przyjaźni dla tych pań zapalić kilka szczepek drzewa na kominku w czwartym salonie, utrzymywał bowiem, że gdyby ogień był bliżej, toby to źle wpływało na jego zdrowie. Służba nazywała go »Maesta«, zaproszeni goście unikali tego tytułu, co we włoskim języku było dość łatwem. Kardynał mówił tylko po włosku i po angielsku i gniewał się, gdy go Francuzi nie rozumieli. Wogóle nosił wszelkie cechy zdegenerowanej rasy, jak wszyscy z ostatnich Stuartów. Raz poszedł do Benedykta XIV na audyencyę i nudził papieża przez półtorej godziny najrozmaitszemi błahemi żądaniami. Gdy wyszedł, zwrócił się Lambertini do kogoś z otoczenia i ze zwykłym sobie humorem powiedział: »Cozzo, nie dziwię się, że Anglicy pozbyli się tej nieznośnej i natrętnej rodziny nudziarzów; boli mnie tylko, że ją nam odstąpili«.

Pod opieką takiego szwagra nie była hrabina d'Albany dość pewną swoich losów. Utrzymanie wprawdzie miała dostateczne, bo papież, królowa francuska Marya Antoinetta i kardynał d'York powyznaczali jej dość znaczne pensye, ale musiała się strzedz najmniejszych nawet pozorów, dających powód do obmowy ze względu na przyjaźń z Alfierim. Poeta bowiem sprowadził się po niejakimś czasie do Rzymu i zamieszkał na razie na piazza di Spagna, tuż przy schodach, prowadzących do Trinità dei Monti, a później w willi Strozzi na Esquilinie. Aby jednak przynajmniej w salonach módz się widywać z hrabiną, zaczął zawiązywać tam stosunki i brać udział w arystokratycznych przyjęciach.

V.

W czasie swego pobytu w Rzymie pracował Alfieri bardzo dużo; dość powiedzieć, że tam napisał siedm tragedyi wierszem, a pomiędzy niemi tragedyę »Saul«, którą uważał za swoje najlepsze dzieło.

Publiczność mówiła o nim jako o dziwaku, gdyż poeta

szedł zazwyczaj bardzo rano na plac fontanny di Trevi, siadał na jakim złomie marmuru i dumał, albo z wielkim smakiem zajadał pierwsze swoje śniadanie: chleb z serem. Wynajmował jednak całą willę Strozzi, co zresztą nie mogło przeciążać jego budżetu, gdyż wówczas ceny mieszkań w Rzymie były bajecznie nizkie, a czynsz za ową willę, będącą prawdziwym pałacem, i za należące do niej stajnie wynosił dziesięć skudów miesięcznie. Najwięcej go jednak kosztowały konie, pomiędzy którymi miał wyścigowce »Barberi«, wygrywające premie w czasie karnawału. Codziennie przepędzał jakiś czas w stajni, cieszył się swoimi końmi, a gdy raz zobaczył chłopca stajennego, jadącego na jego ulubionym rumaku, rozgniewany zaczął biedz za nim, chwycił śmiałka za nogę i ściągnąwszy go na ziemię, tak wytargał za czuprynę, że cała garść włosów została mu w rękach.

Książęta Rospigliosi mieli sławne konie maści, zwanej »Isabella«, które Guido Reni uwiecznił w swojej »Aurorze« na suficie kasyna Rospigliosi w Rzymie. Alfieri zaprzyjaźnił się ze szczęśliwym właścicielem rzadkiej tej rasy, chodził do jego stajni, chełpił się, że tam ujeżdżał konia, którego żaden koniuszy nie potrafi okiełzać.

Wieczorem bywał poeta u hrabiny d'Albany, której odczytywał ustępy z napisanych tragedyi, gdyż bardzo ufał jej literackiemu smakowi.

Niekiedy odwiedzał jedną z pań, nie należących do rzymskiej arystokracyi, Maryę Pizelli, córkę adwokata Cuccovilli, o której salonie jeszcze mówić nam przyjdzie.

Czytał on tam swoją »Virginię«, która sprawiła na słuchaczach wielkie wrażenie. Był to pierwszorzędny fakt literacki. Do pojawienia się Alfierego panował jeszcze w Rzymie duch Metastasia, harmonijne wiersze i spokojne myśli, nikomu nie odbierające snu; siła nowego tragika i śmiałość jego wyrażeń prawie przestraszyła potulnych literatów, porównywano go do trybuna, do Coli di Rienzo.

Marzeniem też Alfierego było przedstawić »Virginię« na scenie. Aktorzy z powołania grać jej wszakże nie mogli, przyzwyczajeni bowiem do płaskich komedyi »a soggetto«, nie mieli dość siły i wprawy do prawdziwie dramatycznej akcyi.

Poeta postanowił więc zebrać towarzystwo amatorów w kołach arystokratycznych; ale osobistości zdolnych do sceny było bardzo mało. Porzucił więc myśl przedstawienia »Virginii« i wybrał swoją »Antigonę«, gdzie było potrzeba tylko czterech osób, a właściwie trzech, gdyż sam postanowił grać Kreonta, uważał się bowiem za wybornego aktora. Jako scena amatorska były już znane salony księcia Grimaldi, ambasadora hiszpańskiego. Do księcia więc w tej mierze się udał. Pierwszą aktorkę znalazł w bardzo pięknej księżnie di Zagarola-Rospigliosi, której przypadła rola Antigony, inne role powierzył księciu Ceri-Odescalchi i jego małżonce, Caterinie Giustiniani.

Przedstawienie odbyło się w listopadzie 1782 i należało do największych tryumfów poety. Już samo towarzystwo było wielce zajmujące i barwne; panie w małych perukach, zwanych toupé, upudrowanych i ozdobionych piórami i sztucznymi kwiatami, w sukniach z genueńskich aksamitów, lyońskich złocistych i srebrzystych brokatów, ubranych koronkami z Brukseli lub Murano i upstrzonych przepysznymi klejnotami. A te suknie w dziwaczny sposób przeinaczały kobiecą postać; cała klatka piersiowa i biodra ściśnięte w istne narzędzia torturowe, w stalowe obręcze, które poniżej się rozszerzały w nieskończoność i stanowiły ową sławną »guardinfante«, opiewaną przez komicznych poetów, zakrywającą bardzo często skutki nielegalnych związków miłosnych. Ów robron (robe-ronde) kończył się zazwyczaj długim ogonem, który niósł paź za swoją panią i usuwał się do drugiej sali, gdy ją już usadowił. Miejsca więc na pomieszczenie tych dziwacznych postaci trzeba było dużo, a fotele w sali przedstawień nie mogły stać tak blizko siebie, jak dzisiaj. Barwność towarzystwa podnosili książęta Kościoła swemi purpurami, a każda ze znakomitych pań miała swego kardynała. Pierwsze miejsce zajęła stosownie do godności męża księżna senatorowa Rezzonico, a wyglądała tego dnia, zdaniem jednego z obecnych, jak wenecka dogaressa, w sukni z brokatu, obszytego gronostajami, z dużym dyademem na głowie, ozdobionym głównie brylantami. Porównanie to zdaje nam się nie być prawdziwem, bo chyba nigdy nie było weneckiej dogaressy

o tak olbrzymich rozmiarach, jak pani senatorowa. Patrząc na nią, zdawało się, że się ma przed sobą mężczyznę w »toupé« i w robronie: rysy, ruchy i głos co najmniej szwajcara papieskiej gwardyi. Wogóle była to bardzo oryginalna kobieta; żyła tylko w towarzystwie prałatów, ale ich serdecznie nienawidziła i swój wstręt do purpury i fioletów okazywała bardzo wyraźnie przy każdej sposobności. Raz miała na obiedzie szesnastu prałatów; piętnastu już przyszło, wchodzi szesnasty: Borgia. Uradowana księżna mówi swym stentorowym głosem: »Zawsze się cieszę, widząc Borgię, ponieważ jest jedynym pośród tutejszego duchowieństwa, z którym można mówić rozsądnie«.

Innym razem spotkała w towarzystwie pewnego markiza, który był w wielkich łaskach u księżny Borghese. Nie długo się namyślając, powiedziała mu, że się jej nie podoba i że księżna Boghese nigdy nie umie sobie dobrać przyjaciół. Obok księżnej Rezzonico usiadł kardynał Giacinto Gerdil; purpurat ten pomimo swego podeszłego wieku nie zapomniał uprzejmych słów i sonetów, których się nauczył w młodości i teraz może za często je paniom powtarzał. Cała grupa kardynałów otaczała wszakże piękną Constanzę Braschi, nepotkę panującego papieża, uprzejmą dla wszystkich, która pomimo wielkiego wpływu na papieża nie wynosiła się nad inne panie. Powszechną także uwagę zwracały księżna Rospigliosi, której brylanty szacowano na milion franków, tudzież księżna Rosa Corsini z powodu swego »kostyumu«, który zaprowadziła w Rzymie królowa polska Sobieska. Dom sabaudzki słynął na całe Włochy z tak drogocennych klejnotów, jakimi się tylko Estowie mogli poszczycić; donna Leopolda di Savoia-Carignano zadziwiała też swemi perłami, a siostra jej Caterina, małżonka Gianandrea Doryi, szmaragdami nadzwyczajnej wielkości. O księżnej Borghese mówiono, że nosi brylanty po dwóch papieżach, Pawle V i Klemensie VIII.

Towarzystwo przestało szacować brylanty i szmaragdy, gdy weszła do sali hrabina d'Albany. Lekkiem skinieniem głowy powitała siedzące panie i zajęła miejsce, przeznaczone dla niej w orkiestrze, gdzie się zaraz do niej przysunęło kilku cudzoziemskich ambasadorów. Gospodarz domu był w kło-

pocie, gdzie posadzić małżonkę pretendenta, gdyż według zwyczaju honorowy fotel należał się księżnie senatorowej; poradził więc sobie w ten sposób, że osobno, przy orkiestrze, kazał ustawić rodzaj małego tronu dla hrabiny d'Albany. Hrabina nie odznaczała się w tem zgromadzeniu pięknością, ale rozumnem spojrzeniem i wielką powagą w zachowaniu się uderzała nawet w tak dostojnem towarzystwie, jakie było w sali. Powszechnie zauważano, że brakowało kardynała d'York, i oczywiście tłumaczono sobie tę nieobecność niechęcią księcia do Alfierego.

Przedstawienie rozpoczęło się symfonią, którą umyślnie w tym celu napisał Cimarosa, najmodniejszy i najbardziej ceniony wówczas w Rzymie kompozytor. Gdy jednak podniosła się zasłona małej sceny, wszystkie oczy zwróciły się ku Alfieremu, czy odpowie jako autor i jako artysta sławie, o której tyle mówiono. I jak piszą naoczni świadkowie, zawodu nie było; amatorzy grali doskonale, a siła akcyi i prostota, a zarazem jędrność dyalogu tragedyi zrobiła nadzwyczajne wrażenie na rozdelikacone dusze zgromadzenia. Po ostatniej scenie powstało całe towarzystwo i z niewidzianym entuzyazmem dziękowało Alfieremu, że im sprawił taką artystyczną rozkosz.

Alfieri, któremu nie brak było zarozumiałości, tryumfował, a hrabina d'Albany zaledwie mogła pokryć swe wzruszenie, zwłaszcza, że miała pewne wątpliwości, czy przedstawienie zupełnie dobrze wypadnie.

Aktorzy szybko się przebrali i całe towarzystwo przeszło do innych sal, oświeconych setkami świec z białego wosku. Natychmiast stu lokai w żółtej liberyi, w pończochach z czerwonego jedwabiu wniosło na srebrnych tacach sorbety, które się różniły co do dobroci od wszystkich cukierniczych arcydzieł, jakie podawano w Rzymie w najwykwintniejszych salonach. Książę Grimaldi sprowadził z Neapolu cukiernika-artystę, który wskrzesił tradycyę podawania lodów w ten sposób, jak je przyrządzano przed dwoma wiekami na bankietach u kardynała Ascania Colonny. Sorbety te leżały na podstawach z lodu i z cukru i miały najwykwintniejszy smak owoców i zapachy kwiatów.

Sława Alfierego rosła; Gian Gherardo de Rossi, jeden

z najpłodniejszych wówczas literatów rzymskich miał w »Arkadyi« wykład o tragedyach Alfierego, z którego słuchacze wynieśli przekonanie, że »Astigiano«, bo tak nazywano poetę, ponieważ z Asti pochodził, pierwszy obdarzył włoską literaturę prawdziwą tragedyą. Co więcej, papież Pius VI, słysząc o niezwykłym talencie Alfierego, zapragnął go poznać, wyznaczył mu posłuchanie i przyjął bardzo łaskawie.

Ale nad głową poety zbierały się już chmury. Im bardziej jego sława rosła, tem więcej powstawało zazdrosnych i tem więcej zwracano uwagi na częste jego wizyty u hrabiny d'Albany. Zresztą inna jeszcze okoliczność przyczyniła się do osłabienia jego stanowiska w Rzymie. Pretendent coraz bardziej nadużywał gorących trunków, tak, że w marcu r. 1783 ciężko zachorował. Sądząc się blizkim śmierci, zawezwał do siebie brata kardynała, który się też zaraz udał do Florencyi. Hrabia przedstawił kardynałowi, że głównym powodem jego nieporozumień z hrabiną stał się Alfieri, że kardynał niesłusznie wszelką winę składa na niego, na brata i że go to bardzo boli, iż dał mieszkanie hrabinie w swoim pałacu. Te rozmowy z bratem bardzo rozjątrzyły kardynała; wyjechał on z Florencyi w niedobrem usposobieniu dla hrabiny, a do podniesienia tych złych humorów przyczyniali się jeszcze otaczający go księża, którzy w tragedyach poety widzieli niebezpieczeństwo dla spokojnego Rzymu. Zaczęto rozgłaszać nieprawdziwe a bardzo ubliżające hrabinie plotki o jej stosunku do Alfierego, pomimo że poeta unikał wszelkich pozorów, któreby jej dobrej sławie zaszkodzić mogły. Utrzymuje on, może trochę za śmiało, w swoim pamiętniku, że zachowaniu się hrabiny wobec niego w Rzymie nic zarzucić nie było można, że owszem stosunek jej do niego nie wykraczał poza granice przyjaźni i poważania i że wszelkie plotki i intrygi pochodziły od duchownych, których postępowanie w tej sprawie bynajmniej nie było ewangelicznem, nie miało swej podstawy w zasadach moralności, ale raczej w literackiej zazdrości i zawiści.

Widząc jednak, że te intrygi i obmowy mogą szkodzić dobrej sławie hrabiny, postanowił wyjechać z Rzymu, pomimo że to było dlań największe poświęcenie, na jakie się mógł

zdobyć. Alfieri zresztą uprzedził tylko starania kardynała d'York, który chciał skłonić papieża do wydalenia poety z granic państwa kościelnego.

Czwartego maja 1783 r., w dzień, jak powiada poeta, dlań najsmutniejszy, udał się najprzód do Syeny, aby się trochę pocieszyć w towarzystwie swego przyjaciela, Francesca Gori Gandellini, następnie pojechał do Rawenny na grób Dantego, stamtąd do Ferrary i Padwy, gdzie poznał Cesarottego, słynnego podówczas poetę. W Medyolanie złożył hołd drugiemu poecie, Pariniemu, wrócił do Toskanii, a nie mogąc znaleść nigdzie spokoju, wybrał się po raz trzeci do Anglii.

Tymczasem zdrowie Karola Edwarda cokolwiek się polepszyło, tak, że mógł zrobić wycieczkę do Pizy, gdzie się zbliżył do króla szwedzkiego Gustawa III, podróżującego po Włoszech pod nazwiskiem hrabiego de Haga. Król, człowiek rozsądny, wywarł bardzo korzystny wpływ na Stuarta, a widząc nadto, że ten ostatni potomek wielkiego królewskiego rodu bardzo się musi oszczędzać z powodu zmniejszonych, dochodów, wyrobił mu pensyę u Ludwika XVI i u Karola III króla hiszpańskiego. Karol Edward taką ufność pokładał w Gustawie III, że się zgodził na jego przyjacielską radę, aby się formalnie separować z Luizą, wskutek czego oboje oszczędzą sobie wielu drażliwych nieprzyjemności. Separacya też w kwietniu r. 1784 przyszła do skutku; hrabina zrzekła się dotychczasowych pensyi od męża i od kardynała, a natomiast Karol Edward przyrzekł jej płacić sześć tysięcy skudów rocznie pod warunkiem, że pani Stolberg nie będzie nosiła jego nazwiska, czego zresztą Luiza nie dotrzymała, tytułując się do końca życia »królową«.

Hrabina zobowiązała się mieszkać w państwie papieskiem; pozostała więc na razie w Rzymie, następnie przeniosła się do Bolonii, ale w lecie r. 1784 otrzymała od papieża pozwolenie do odjazdu za granicę. Celem jej było usunięcie się z pod rzymskiej kontroli i zbliżenie do Alfierego.

Dziwnem zresztą musiało się wydawać, że podczas gdy Luiza jechała na Ankonę, Bolonię i Trydent na północ, Alfieri zamiast korzystać z jej wolności i z nią się połączyć, udawał się w przeciwnym kierunku, do swoich angielskich koni, do

Syeny. Hrabina robiła mu z tego powodu wyrzuty i miała słuszność, bo według wszelkich oznak zapały miłosne Alfierego do Luizy stygły w miarę, jak nikły przeszkody widywania się z nią.

Hrabina osiadła chwilowo w Colmar, w Alzacyi, wynajęła tam willę i czekała na Alfierego, który miał przybyć z Włoch ze swymi końmi. Gdy nareszcie królowa i poeta znaleźli się razem i mieli, jak utrzymywano, po raz pierwszy sposobność bliższego ze sobą pożycia, Alfieri więcej się zajmował wydaniem swych tragedyi, które się miały drukować u Didota w Paryżu, aniżeli ubóstwianą Luizą.

Karol Edward, wróciwszy do Florencyi, czuł się zanadto osamotnionym, pomyślał więc o swojej córce, którą miał z Klementyną Walkinshaw. Skończyła ona teraz trzydzieści jeden lat i mieszkała z matką w opactwie Meaux; postanowił ją zatem sprowadzić do Florencyi i legitymować, nadając jej nazwisko księżniczki Carlotty d'Albany. Kazał odnowić swój pałac we Florencyi, przesłać część mebli pozostałych w Rzymie, darował księżniczce srebra i kosztowności, odziedziczone po matce Maryi Klementynie, a wreszcie mianował ją w testamencie uniwersalną dziedziczką swego majątku. Ba, nawet tak się rozmiłował w córce, której długie lata nie widział, że wydawał na jej cześć przyjęcia i bale. Florencya zdawała mu się wreszcie za ciasnym horyzontem; rad był odnowić swe wspomnienia młodości i postanowił przenieść się do Rzymu. Osłabiony, znękany, całymi dniami odbywał podróż do stolicy papieskiej. Tu chciał prowadzić życie światowe, ale już mu sił zabrakło. Leżał po większej części na kanapie, pieszcząc pieska, który go nigdy nie opuszczał, a budził się tylko wtedy z ponurego przygnębienia gdy mu wspomniano o przeszłości, o ukochanej Szkocyi. Takie chwile jednak wyczerpywały jeszcze bardziej jego siły, w styczniu r. 1788 dostał ataku apoplektycznego, a 30 tegoż miesiąca życia smutnego dokonał.

Carlotta Stuart, księżniczka d'Albany umarła niespełna we dwa lata po ojcu i zapisała swoje mienie kardynałowi d'York pod warunkiem, że będzie matce jej wypłacał roczną

pensyę. Matka mieszkała pod nazwiskiem hrabiny d'Alberstorff we Fryburgu w Szwajcaryi, gdzie umarła r. 1802.

VI.

Po śmierci męża przeniosła się hrabina d'Albany do Paryża, gdzie zaczęła prowadzić otwarty dom, rzec można, »mały dwór«, zgromadzając około siebie najznakomitsze osobistości tak francuskiego, jak cudzoziemskiego świata. Bywali u niej ministrowie, dyplomaci i przedstawiciele sztuki i literatury. Wynajęła apartament w hotel de Bourgogne na Faubourg St. Germain, kazała się służbie tytułować »Majestée«, a w jednym z salonów ustawiła rodzaj tronu pod baldachimem, nad którym błyszczały królewskie herby Wielkiej Brytanii. Dopiero teraz, gdy już nie żył mąż prześladowca, zaczęła się lubować w swej królewskości.

Do wielkich jej przyjaciółek należała w Paryżu baronowa Stael-Holstein, słynna córka Neckera, a żona szwedzkiego dyplomaty; bywała także w jej domu dowcipna i uczona pani Du Boccage, wówczas już ośmdziesięcioletnia staruszka. Często także spotkać było można w hotelu de Bourgogne pana Beaumarchais, który tam czytał nawet swój utwór dramatyczny »La Mère coupable«, będący zakończeniem trylogii »Figara«. Na prośbę hrabiny, aby jej salon tym odczytem zaszczycił, odpowiedział Beaumarchais dowcipnym listem, że z przyjemnością uczyni zadość żądaniu hrabiny, ale prosi, aby na owo posiedzenie nie dopuściła ludzi o zużytem sercu i wyschłej duszy, nie umiejących się rozkoszować w boleści. Chciał mieć słuchaczów, którzy umieją płakać strumieniami łez i potrafią ocenić »un douleureux plaisir«.

A w salonie hrabiny spotykało się jeszcze rzeczywiście »oschłe dusze«, należące do kończącej się epoki Ludwika XV, jak Marmontel, jak La Harpe i Abbé Barthélemy, który niedawno wydał swego »Anacharsisa«. Ale obok nich widywało się tam i takich, którzy potrafili odczuwać »un douleureux plaisir«, jak obydwa Chénier, jak Mirabeau, którego książkę

»Histoire secrete du cabinet de Berlin« nakazał parlament spalić ręką kata.

Alfierego nie mało zajmowała rewolucya teatralna, wówczas bowiem (1789) Talma po raz pierwszy odważył się wystąpić na scenie w starożytnym rzymskim stroju w Voltaira »Brutusie«, tudzież rozgrzewała go walka w świecie muzykalnym pomiędzy zwolennikami Picciniego a stronnikami Glucka.

W domu hrabiny bywał także malarz Dawid, skrajny rewolucyonista, który w niemałe przerażenie wprowadził towarzystwo, zgromadzone tam na obiedzie w dzień uprowadzenia króla i królewskiej rodziny z Wersalu do Paryża. Gdy była mowa o tym smutnym wypadku, Dawid się odezwał, że wielka szkoda, iż baby uliczne nie udusiły tej Megery, Maryi Antoinetty, gdyż dopóki żyje, nie będzie we Francyi spokoju.

Nie dziw, że wobec takich objadów zaczynało być hrabinie duszno w Paryżu.

Co gorsza, groziło jej niebezpieczeństwo, że pensya, którą otrzymywała od Ludwika XVI w pokaźnej sumie 60.000 lir rocznie, nie będzie dalej wypłacana, jeżeli rewolucya zwycięży. Pensya ta stanowiła główną podstawę jej świetnego utrzymania, więc myślała nad tem, jakby ją zastąpić innem pewnem źródłem dochodu. Pod pozorem, że jeszcze nie zna Anglii, swego królestwa, wybrała się z Alfierim do Londynu; powód wszakże podróży był mniej idealny, a jak lord Camelford w jednym ze swych listów zapewniał, chciała hrabina otrzymać od rządu angielskiego stałą pensyę. Pomysł trochę śmiały, ale obawa o przyszłość była silniejsza, aniżeli szacunek dla tradycyi Stuartów. W Londynie wystarała się o posłuchanie u króla Jerzego III i królowej Karoliny, zaproszono ją na operę do dworskiej loży, przyjęto bardzo grzecznie, ale pensyi odmówiono.

Hrabina więc prędzej, jak się spodziewała, musiała wracać do Paryża (1791), gdzie jednakże porzuciła wspaniały »apartament« na Rue de Bourgogne, a wynajęła skromne mieszkanie na Rue de Provence.

Jakie stanowisko zajął Alfieri w tej całej sprawie, nie wiadomo. Przypuścić jednak trzeba, że musiał wiedzieć o celu wspólnej podróży.

Tymczasem w Paryżu rewolucya owładnęła rządy, mie-

szkać już tam było niebezpiecznie, zwłaszcza utytułowanym cudzoziemcom.

Hrabinie nie podobało się angielskie życie towarzyskie, a przedewszystkiem rozkład godzin tamtejszych pań. Opowiadała, że Angielki wielkiego świata właściwie nie znają pięknego poranku, dopiero o czwartej z rana idą spać i wstają o dwunastej w południe. O drugiej rozpoczynają szereg wizyt i spacerów, a wieczór i w nocy zebrania towarzyskie, teatr i bale zajmują im resztę »pracowitego życia«.

Charakterystyczne wszakże zrobiła tam spostrzeżenie, a mianowicie, że we Włoszech łatwiej zamężnej kobiecie dopuszczać się niewierności, aniżeli w Londynie. Mężowie angielscy są »plus sages« i budują tak domy, że nikt nie może wejść potajemnie do pani; służba i małżonek zarazby się dowiedzieli o intruzie.

Dziesiątego sierpnia 1792 r. został król uwięziony, zaczęło się panowanie terrorystów. Alfieri powziął szybko postanowienie, aby z hrabiną wyjechać i wrócić do Włoch, a mianowicie do Florencyi. Wyjazd wszakże nie był tak łatwy. Po wielu staraniach i z wielkim trudem otrzymał pozwolenie wyjazdu i paszporty dla siebie, dla hrabiny i służby od sekcyi komunalnej »Montblanc«, w której obrębie mieszkali. Poeta, dotychczas marzyciel wolności, nienawidzący wszelkich oznak tyranii, gniewał się, że w paszportach, które im wystawiono, były bardzo szczegółowe opisy ich postaci. Nie brakowało tam ani oznaczenia koloru włosów i oczu, ani roku urodzenia, ani wysokości postaci, wogóle wszystkich tych »znaków«, do których się później Europa przyzwyczaiła w paszportach.

Dwudziestego sierpnia wyjechano w podróż. »Gdy się znajdujemy pomiędzy małpami, powiada Alfieri, niemożliwem jest nie mieć pewnych obaw, gdyż nie można wiedzieć, czy nie zniszczą wszystkiego wokoło siebie«. Poeta miał słuszność. Na rogatce miejskiej Barriere blanche stał oficer gwardyi narodowej z trzema żołnierzami; przeczytał paszporty, porównał opisy osób i chciał podróżnych przepuścić przez ogromną żelazną bramę. Ale na nieszczęście przy baryerze znajdował się wyszynk win i wódek, z którego wybiegło ze trzy-

dziestu oberwusów, przedstawicieli wolności, pijanych, bez koszuli i prawie bez innego ubrania, prawdziwych sansculotów.

Ci najwyżsi władcy w nowym rządzie zaczęli znowu porównywać paszporty, pomimo że większa ich część czytać nie umiała, i wrzeszczeć: »Podpalić powozy!«, »Ukamienować!«, to znowu ryczeć: »Ludzie bogaci, szlachta!«. Stanowczość Alfierego, który wydobywał jeszcze dziksze głosy ze swojej piersi, aniżeli francuscy obywatele, i ciągle wołał: »Nie jesteśmy Francuzami, wracamy do Włoch!« ocaliło wyjeżdżających. A gdy się te »tygrysie małpy« trochę uspokoiły kazał ruszyć z miejsca i pędzić co koń wyskoczy. »Byliśmy szczęśliwi, powiada Alfieri, gdyśmy się wydobyli z tego śmierdzącego szpitala, gdzie są tylko waryaci, albo nieuleczalnie chorzy«, a w uszach naszych podróżnych brzmiały jeszcze długo przekleństwa, świstania i wycie tłuszczy, żałującej, że wypuściła »ludzi bogatych« ze swych drapieżnych szponów.

Całe swe oburzenie na Francuzów, a przedewszystkiem na owych przedstawicieli wolności wylał Alfieri, człowiek, który dążył zawsze do prawdziwej swobody, w ulotnych wierszykach i artykułach, zebranych w książce pod tytułem »Misogallo«. Mała rycina poprzedza pełną jadu książkę; kury i koguty (Galli e Galline) mordują się pomiędzy sobą, a sowa siedzi na drzewie i wrzeszczy przez długą trąbę »Ils s'organisent«.

Tragik i niedoszła królowa podążyli do Florencyi, gdzie od dwóch lat panował rozumny, powszechnie lubiany Wielki książę Ferdynand III. W jesieni 1793 r. zamieszkali w domu na Lung'Arno koło mostu Trinità, z przecudnym widokiem na San Miniato i Mont'Oliveto. Lata też 1793—1798 należałyby w ich życiu do najspokojniejszych, gdyby nie obawy co do rozszerzenia się rewolucyi francuskiej na Włochy i znaczna utrata kapitałów, które ulokowali we francuskich walorach.

Alfieri lubił, zakosztowawszy oklasków w Rzymie, występować jako aktor w swych tragedyach i uważał się za niezwykle uzdolnionego do teatralnego zawodu. Korzystał też z umysłowego spokoju, aby urządzać amatorskie przedstawienia i grać osobliwie w swoim »Saulu« i »Królu Filipie« gło-

wne role. W roli Saula występował nie tylko we Florencyi, ale i w Pizie (1795) w domu Roncionich, podczas tak zwanej Luminary. Co trzy lata obchodzono tam illuminacyą i rozmaitemi zabawami uroczystość św. Ranierego, patrona miasta. Ci jednak, co widzieli grającego Alfierego, nie sądzili, aby był urodzonym aktorem, gdyż raził przesadnym patosem i nienaturalną deklamacyą.

Życie domowe hrabiny i Alfierego we Florencyi opisuje bardzo barwnie Massimo d'Azeglio w swoich pamiętnikach; jako mały chłopak bywał on na dziecinnych zabawach w jej domu, ale odebrane wówczas wrażenia pozostały mu żywo w pamięci. Co sobotę bywało przyjęcie u hrabiny, a czasami i bankiet dla dzieci znajomych rodzin. Pani domu siedziała w salonie w dużym fotelu, naprzeciw okien, ubrana, jak Marya-Antoinetta, bo ten strój nosiła w późniejszym wieku, a dzieci dostawały po porcyi lodów i po dwa wafle; hrabina nie była rozrzutną.

Alfieri starzał się i nudniał, a przytem nie pozbył się swojej gwałtowności. W zimie r. 1795 bawił Melchior Delfico, historyk rzeczypospolitej San Marino, we Florencyi i prosił Hipolita Pindemonte, znanego literata i przyjaciela Alfierego, aby go zaprowadził do poety, którego jeszcze nie znał. Zdarzyło się jednak, że przechodząc przez Lung'Arno, zobaczyli obydwaj przyzwoicie ubranego mężczyznę z zaciśniętym na czoło kapeluszem, który biegł za jakimś chłopakiem, a pochwyciwszy malca, uderzył go kilka razy w twarz tak, że echo policzków odbiło się o mury kamienic.

Był to Alfieri, który w ten sposób doraźnie ukarał ulicznika za to, że mu błotem pończochy opryskał.

Przestraszony Delfico czem prędzej zwrócił się do swego towarzysza mówiąc: »Nie potrzebujesz mnie Alfieremu przedstawiać, już go poznałem«.

Na wiosnę r. 1796 przyjechała Izabella Teodochi Albrizzi do Florencyi i przywiozła list polecający od Cesarottego do Alfierego. Poeta, odpisując Cesarottemu, dziękował, że mu dał sposobność poznania kobiety, będącej prawdziwą ozdobą Wenecyi; natomiast sądził, że Wenecyanka musiała się zawieść na jego znajomości, bo właśnie teraz stał się większym od-

ludkiem, aniżeli zazwyczaj, najczęściej milczy, czasem się sprzecza, a zawsze jest opryskliwym i nieprzyjemnym. Znając te swoje właściwości, stara się jak najmniej ludzi widywać.

Do złych humorów musiała się także przyczyniać krytyka jego tragedyi, miał bowiem wielu zawistnych i wielu niepodzielających jego zapatrywań. Do najbardziej zawziętych przeciwników należał Angelo Maria Pannochieschi, hrabia d'Elci, pochodzący z dawnego syeneńskiego rodu, bardzo uczony, pełen greckich i łacińskich frazesów, który stale nazywał Alfierego fałszywym Katonem i co chwilę rozgłaszał przeciw niemu złośliwe epigramy. Nawet po śmierci nie dał mu spokoju, drukując nadzwyczaj zjadliwą satyrę: »Il Poeta e il Cane«, odnoszącą się do faktu, że właśnie wtedy, kiedy hrabina d'Albany starała się o pochowanie ciała Alfierego w Santa Croce, wydano także surowy zakaz prowadzenia ze sobą psów do kościoła.

Bardziej, aniżeli na krytyków, gniewał się jeszcze Alfieri na Francuzów, gdyż paryska burza zbliżała się i groziła Florencyi. W grudniu 1798 republikański Dyrektoryat pozbawił tronu króla Sardynii, Karola Emanuela IV, który się schronił do Florencyi i zamieszkał w willi Poggio Imperiale. Alfieri, jako dawny poddany dynastyi sabaudzkiej poszedł do zdetronizowanego króla.

— Ecco il tiranno! — przywitał go Karol Emanuel z uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: tak wyglądają ci, których dawniej nazywałeś tyranami, obecnie zaś poznawszy Francuzów, przekonałeś się, jakimi są prawdziwi tyrani.

Nie chcąc się zetknąć z tymi nowymi tyranami, którzy obrabowawszy Livorno, zajęli 25 marca 1799 r. Florencyę, wyjechał Alfieri ze swoją przyjaciółką, jak hrabinę d'Albany stale nazywa, na wieś w Toskańskie, do Montughi, będąc zmuszonym oddać swe mieszkanie na zakwaterowanie sanskiulotów. Tym razem jednak Francuzi krótko bawili we Florencyi, gdyż po trzechniowej bitwie nad Trebbią (18 do 21 czerwca 1799), którą przegrał Macdonald, musieli opuścić Toskanię; ale 15 października znowu wrócili nad Arno. Rozgoryczony Alfieri, nie chcąc widzieć tych Gallów, wychodził tylko bardzo rano na dwugodzinną przechadzkę, aby nie spo-

tkać wrogów. Ale Francuzi zapragnęli go zobaczyć. Komenderujący generał, także literat, posłał służącego do poety z zapytaniem, kiedy go może zastać w domu. Alfieri odpowiedział, że jeżeli jenerał jako reprezentant najwyższej władzy wojskowej każe mu przyjść do siebie, gotów jest stawić się każdej chwili; jeżeli jednak chodzi o poznanie Alfierego, to ten jest dziwakiem i nie rad robić nowych znajomości. Jenerał rad nie rad musiał się zadowolnić tą odpowiedzią.

Na drzwiach swego mieszkania kazał poeta umieścić kartkę z napisem »Hrabiego Alfierego niema w domu«; na przechadzkę chodził do Cascin, które wówczas dość były puste, lub wałęsał się wzdłuż murów pomiędzy porta la Croce i Porta San Gallo, gdzie, jak mówi w jednym ze swych sonetów, przerywało mu poetyczne myśli kwiczenie świń, które ważono koło bramy Pinti celem poboru miejskich opłat.

Alfieri stawał się zgryźliwszym, aniżeli pełna jeszcze życia hrabina d'Albany. Pomiędzy przyjacielem a przyjaciółką powstawała próżnia, a ponieważ wówczas prawo przyrody, że »natura horret vacuum«, odnosiło się nawet do serc starszych kobiet, więc nie dziw, że tę próżnię w ciężkiej atmosferze domu na Lung'Arno zapełnił nowy przybysz. Był nim François Xavier Fabre (ur. w Montpellier 1 kwietnia 1768 r.), syn malarza i sam znakomity portrecista. Najprzód kształcił się on u Jana Couston, później przeszedł do pracowni wszechwładnego w paryskiej sztuce Ludwika Davida i pod jego wpływem namalował obraz, przedstawiający zamordowanie synów Zedekiasza, króla Judy, na rozkaz Nebukadnezara. Za tę pracę otrzymał Fabre wielki medal paryskiej Akademii, a król wysłał go do Rzymu na dalsze ksztacenie się. W Rzymie był świadkiem gospodarstwa sansculottów za czasów Konwentu i Dyrektoryatu i takiego nabrał wstrętu do rozpasanych najpodlejszemi namiętnościami francuskich republikanów, że stał się na całe życie nieprzyjacielem ludowych ruchów. To też gdy go rząd francuski wezwał do złożenia przysięgi »obywatelskiej«, Fabre odmówił tego zaszczytu i pozostał w Rzymie, a po r. 1790 przeniósł się do Fioreucyi, gdzie przepędził większą częśc życia. Florencya zawdzięcza mu, że Francuzi nie zrabowali wszystkich cenniejszych obra-

zów z pałacu Pitti; zawezwany bowiem przez rząd francuski do oznaczenia dzieł sztuki, które mają być wywiezione, starał się o to, aby jak najwięcej obrazów pozostało na miejscu.

Nienawiść do francuskich republikanów zbliżyła go wkrótce do Alfierego i do hrabiny d'Albany, tem bardziej, że był człowiekiem wykształconym i pomimo gwałtowności charakteru bardzo przyjemnym towarzyszem. Zresztą hrabina wcale dobrze malowała, a prowadząc bardzo spokojne życie, tem goręcej oddawała się swym artystycznym zamiłowaniom, w r. 1796 ukończyła nawet portret Alfierego. Teraz Fabre został jej nauczycielem, a ponieważ miał dużo zalet charakteru, jak szczerość, otwartość, a przedewszystkiem był młodszym i nie tak zgryźliwym, jak poeta-tragik, więc pomiędzy uczennicą a nauczycielem zawiązał się więcej, jak przyjacielski, stosunek, który już trwał aż do śmierci hrabiny.

Naturalnie pierwszą, która zauważyła wzajemne sympatye hrabiny i malarza i miała sobie za obowiązek przekazać swe spostrzeżenia potomności, była markiza de Prie, kobieta bardzo zręczna, pobożna i nieprzyjaciółka francuskich nowości. Raz grano w salonie hrabiny jedną z tragedyi Alfierego i poeta, jak zwykle, sam należał do aktorów; markiza siedziała w pierwszym rzędzie krzeseł, a na lewo od niej, pod drzwiami stał oparty o słup Fabre. Markiza zauważyła, że malarz co chwilę podnosi rękę do ust, jakby ją całował, i patrzy się w jej stronę. »Czego u licha chce on odemnie?« pypytała się sama siebie; ale wkrótce przekonała się, że znaki Fabra zwrócone są do pani domu, a nie do niej. Artysta, rzucając ku hrabinie czułe spojrzenia, całował pierścionek, który miał na palcu, oczywiście podarunek od niej.

Zdaje się, że Alfieri wkrótce się spostrzegł, że już nie wystarcza swej przyjaciółce; nie musiał jednak mieć siły, aby zerwać tyloletni stosunek, a może i nie chciał zwracać uwagi na swój domowy dramat. Czuł, że życie się kończy. Z Fabrem godziły go zresztą wyborne portrety, którymi przekazywał potomności jego i obopólną ich przyjaciółkę.

Poeta tak był zadowolony ze swego portretu, znajdującego się dzisiaj w Ufficyach, że potwierdził podobieństwo sonetem, nie szczędząc zresztą pochwał swej postaci, z której

zawsze był dumny. Sonet zaczyna się słowami »Sublime specchio di veraci detti« i mniej więcej tak brzmi w wolnem tłomaczeniu:

»Wierne zwierciadło, ty jedynie mówisz mi prawdę, jakim jestem na ciele i duszy! Trochę jasnych włosów naokoło czoła, postać długa, głowa pochylona. Ciało lekko zbudowane, oko niebieskie, nos prosty, foremne zęby w pięknych ustach, bladość twarzy większa, jak u królów, którzy na tron wstępują. Zrazu twardy i zgorzkniały, gotów jednak do pojednania się, rozum i serce ze sobą w niezgodzie; zawsze gniewny, ale nie złośliwy. Najczęściej smutny, ale ma i wesołe chwile; myślałby kto, że to raz Achilles, a innym razem Tersytes. Człowieku! czyś wielkim, czy pospolitym, musisz umrzeć, aby się o tem dowiedzieć«.

Do najlepszych obrazów Fabra należy król Saul, przedstawiony w chwili, kiedy mu się ukazuje cień zamordowanego arcykapłana Abimelecha. Temat do tego obrazu, który zdobił salon hrabiny d'Albany, a później dostał się do muzeum Fabra w Montpellier, wziął artysta z ostatniego aktu tragedyi Alfierego, kiedy Saul pełen przestrachu błaga widziadło, aby go opuściło i upada przed niem pokornie na kolana. Fabre nienawidził Napoleona, uważał go za uzurpatora i jak mówiono, nie chciał malować jego portretu. I pod tym względem zgadzał się z Alfierim i z hrabiną.

Alfieri coraz bardziej czuł, że go siły opuszczają, więc chciał jeszcze ostatnie swe spełnić marzenie i wykończyć sześć komedyi, które były w zarysie ułożone, ale potrzebowały jeszcze wiele pracy. Ze zwykłą swą gwałtownością zabrał się do dzieła, co tydzień pisał jedną; ale umysł jego nie mógł już podołać temu naprężeniu. Przy piątej komedyi poeta ciężko zachorował; na szczęście choroba nie trwała długo i Alfieri, podniósłszy się, mógł resztę swej pracy dokonać.

Tymczasem po zwycięskiej bitwie pod Marengo cała Toskania przeszła na lat czternaście pod panowanie Francyi; jenerał Dupont zajął w jesieni r. 1800 Florencyę, a po pokoju, zawartym w Luneville, oddał ją hiszpańskiej linii Burbonów, panujących w Parmie. Pokój jednak w Luneville wpłynął na

chwilowe ustalenie się stosunków we Włoszech. Napoleon zaprowadził porządek monetarny, obieg złotej monety stał się powszechnym, a kardynał d'York nie przesyłał już bratowej pieniędzy papierowych, na których musiała dużo tracić we Florencyi. Natomiast jednak groziła jej katastrofa, że kardynał zupełnie nie będzie mógł wypłacać pensyi, do której się zobowiązał. Podczas rewolucyi francuskiej stracił większą część swego majątku, ulokowanego w rentach francuskich, prawie zupełnie zrujnowało go zaś zajęcie Rzymu w r. 1798 przez jenerała Berthier i bankructwo skarbu papieskiego. Po wywiezieniu Piusa VI do Valence większa część kardynałów rozprószyła się także po świecie, kardynał d'York schronił się na Sycylię. Na wiadomość o śmierci papieża musiał się udać do Padwy, gdzie pod opieką rządu austryackiego miało się odbyć conclave. Siedmdziesięciopięcioletni starzec przyjechał tam chory na nogę, prawie bez żadnych środków utrzymania, tak, że kardynał Borgia postanowił udać się do rządu angielskiego, aby ostatniemu członkowi dawnej rodziny panującej wyznaczono jaką pensyę. Król angielski, nie robiąc trudności, kazał zaasygnować cztery tysiące funtów kardynałowi, który w długim liście, pisanym do lorda Minton, wówczas posła angielskiego w Wiedniu, pełnem sercem dziękował za wspaniałomyślność, z jaką zaradzono jego wielkiej potrzebie. Ostatni Stuart wyciągał ręce do nowego królewskiego rodu, który uważał za uzurpatorski.

Z ustaleniem się stosunków we Włoszech i Alfieremu wraz przyjaciółką lepiej się pieniężnie dziać zaczęło. Wypłacano mu znowu rentę z dóbr, które w Piemoncie odstąpił siostrze, a poeta też zaraz kupił konie, aby nie jeździć więcej z hrabiną »podłym« fiakrem po Florencyi. Sprawił sobie powozik, rodzaj »tilbury« i sam z wielką uciechą powoził, ubrany w płaszcz czerwony, na który spadały jego rudawe włosy, nader rzadko tylko tykane nożycami.

Ostatni jednak ten błysk szczęścia nie trwał długo. W jesieni r. 1803 zapadł poeta na mocny atak artretyczny; lekarze nie przywiązywali na razie wielkiej wagi do choroby, ale hrabina musiała przeczuwać coś złego, gdyż całą noc z 7 na 8 października siedziała przy jego łożu. Rano jednak

Alfieri się podniósł, wydobył ostatni zapas sił i niebawem upadł w fotelu nieżywy. Miał niespełna pięćdziesiąt pięć lat. Pobożna markiza de Prie, obawiając się, że poeta umrze bez religijnej pomocy, udała się na godzinę przed jego śmiercią do zakonnika Stanisława Canovai, aby odwiedził chorego; zakonnik oświadczył jednak, że pójdzie tylko w takim razie, jeżeli go sam chory zawezwie, wiedział bowiem, że Alfieri nie był religijnym, a hrabina d'Albany także hołdowała wolnomyślnym ideom, jakie panowały przy końcu XVIII wieku. Gdy się jednak ksiądz Canovai dowiedział, że Alfieri lada chwila może umrzeć, poszedł doń niewezwany; ale gdy wchodził do pokoju, poeta właśnie głowę przechylił w fotelu i wydał ostatnie tchnienie.

Młody wówczas Lamartine napisał, że Alfieri umarł »na zły humor«. Może to prawda, ale zły humor był wynikiem choroby serca.

Alfieri należał do ludzi, których nazywano wówczas »esprit fort«, nie wyznających żadnej pozytywnej religii; rewolucya francuska przekonała go wszakże o potrzebie pewnych religijnych praw, tak, że hrabina przyjaciółka drwiła sobie z niego, przepowiadając mu, że jeżeli dłużej pożyje, to skończy z różańcem w ręku. Woltera też w owych latach nienawidził i nazywał go »wynalazcą nicości«, wynalazcą zera.

Przeciwnie hrabina wytrwała w swej niewierze aż do śmierci i wyznawała zasady francuskich filozofów. Śmierć Alfierego głęboko odczuła; żyła z nim lat dwadzieścia sześć, a od lat dziesięciu prawie się nie rozłączali. Stosunki domowe tego małżeństwa z miłości, a potem z przyjaźni, gdyż ślubu według form przyjętych nigdy nie brali, nie zawsze były przyjemne; poeta nieraz dawał hrabinie uczuwać swoją despotyczną wolę, unosił się gniewem i był przykrym w pożyciu. Jakaś Angielka, pisząc o hrabinie do Alfierego, wyraziła się »on dit qu'elle vous craint«; ale hrabina znosiła humory swego »tyrana«, gdyż potęga jego umysłu olśniewała ją. Ten despota zresztą szczerze do niej był przywiązany i nazywał ją lepszą połową samego siebie »la dolce metà di me stesso«, a gdy się czuł blizkim śmierci, nic mu nie sprawiało więk-

szego cierpienia, jak rozstanie się z przyjaciółką, »dla której i w której żył tylko na świecie«. Mimo tych zapewnień swych stałych uczuć dla hrabiny, uczuć, które wtedy, kiedy je pisał, były z pewnością szczere, miewał Alfieri chwile, w których swej przyjaciółce bywał niewiernym. Mówiono o jego stosunku z panią Albą Corner Vendramin, żoną weneckiego baila w Konstantynopolu, która przez jakiś czas mieszkała w Pizie i tam poznała Alfierego; mówiono o innych jego słabostkach w Syenie i we Florencyi.

Poeta ustanowił hrabinę spadkobierczynią majątku i pozostawił jej także swą literacką spuściznę, prosząc wyraźnie, aby oznaczyła to, co może być drukowane, i sama się zajęła wydaniem jego dzieł.

Hrabina d'Albany jak najsumienniej wykonała wolę przyjaciela; sprowadziła do Florencyi abata Caluso, aby się rozglądnął w rękopisach i pomógł jej swą radą w wydawnictwie. Dzieła zmarłego drukowała we Florencyi, ale na okładce był wypisany Londyn, jako miejsce druku, ażeby uniknąć cenzuralnych trudności. Tak zresztą robiło wielu autorów, jak np. słynny Botta, drukując swoją historyę Włoch, jak wydawcy dzieł Machiawella i wielu innych.

Hrabina użyła nadto wszelkich swoich stosunków i wpływów, aby uzyskać od rządu pozwolenie pochowania popiołów Alfierego w Santa Croce, czemu się duchowieństwo bardzo sprzeciwiało. Przezwyciężywszy te trudności, powierzyła wykonanie grobowca najznakomitszemu ówczesnemu rzeźbiarzowi Canovie i nie spoczęła, dopóki pomnik nie wzniósł się tam, gdzie należało uczcić pamięć jednego z największych patryotów włoskich, przy grobowcu Machiawella.

VII.

Czem stanął Alfieri na tak wysokim piedestale, że przez długie czasy wymawiano jego nazwisko obok nazwisk Danta i Petrarki i czoło jego otoczono najpyszniejszym wawrzynem, jaki się znalazł na włoskiej ziemi? On sam odpowiedział na to zapytanie: »Pogardzać niewolnikami i nienawidzić tyra-

nów, to była cała moja umiejętność«. Zapewne, że w tem powiedzeniu niemało było przesady, ale bezsprzecznie on pierwszy w XVIII wieku zaczął mówić prawdę swemu narodowi, przedstawiać mu śmiałemi słowy, w jakim się znajduje upadku, marzyć o »przyszłym włoskim narodzie« i wychowywać go do wolności.

Do jakiego stopnia Alfieri znał ułomności i wady Włochów, nabyte w długiej niewoli, i jakie w tej mierze panowały wyobrażenia w domu na Lung'Arno, mogą świadczyć listy hrabiny d'Albany do Uga Foscola, a więc do patryoty, o którym musiała mieć przekonanie, że w zupełności podziela jej zdanie, gdyż inaczej nie byłaby doń w ten sposób pisała. Pomiędzy innemi wyraża się hrabina w jednym z tych listów, że »Les Italiens ne sont pas murs, ou sont trop corrompus pour faire une nation. Ils auraient besoin d'un homme comme celui de l'île d'Elbe qui les aurait fait aller à coups de pieds et de bayonnettes«.

Zrazu zdawało się Alfieremu, że rewolucya francuska, której hasłem miała być wolność, zamieni w czyn to piękne słowo; po smutnych doświadczeniach wszakże, jakie zrobił w Paryżu, zachwiał się i powiedział sobie: »Tak wolność nie wygląda. Jeżeli Gallowie są wolnymi, to ja chyba jestem podłym sługą«. »Liberi i Galli, od io vil servo son«.

Rozgniewany, rozżalony, zgorzkniały, że sponiewierano jego ideały, rzucił się wtedy z tem większą energią do studyowania dzieł Greków i Rzymian, o których sądził, że byli stróżami prawdziwej wolności. Chciał poznać dzieje ludzkości do głębi, postanowił »się odoślić«, jak się wyrażał. Ale chyba i tam nie znalazł swoich ideałów, o czem świadczy jego tragedya »Virginia«, gdzie czuć już skeptycyzm człowieka, który wolność ukochał, a napróżno jej szuka, nawet w starożytnym świecie. I na rzymskiem Forum rządziła oligarchia, podobnie, jak w rewolucyjnem Paryżu, i tam ojciec, aby ocalić niewinność swojej córki przed despotyzmem, musiał utopić puginał w jej sercu.

Na »Casa Alfieri« napisano we Florencyi: »Vittorio Alfieri principe della tragedia, qui con magnanimi sensi molti anni detto e qui morì«.

Nie chcemy porównywać ani wymieniać tutaj nazwiska Shakespeara; obok niedoścignionego angielskiego tragika nie wolno stawiać Alfierego. Ale i Włochowi nie można odmówić zasług na polu dramatycznej literatury, zwłaszcza, gdy się uwzględni ten wielki, dobroczynny wpływ, jaki wywarł na swoje społeczeństwo. »Urodzony z Wandalów i wychowany, jak Wandal«, jak o sobie powiedział, pozostał nim zawsze o tyle, że zachował siłę, hart duszy człowieka nieprzecywilizowanego, wyrosłego w sabaudzkich górach. W swoich tragedyach przemawiał zwięźle, twardym nieraz stylem uderzał, jakby młotem, na publiczność, przyzwyczajoną do seicentyzmu, do mdłych i ckliwych sonetów, na publiczność giętką, pozbawioną dumy narodowej, naginającą się do okoliczności. Brał tematy z przeszłości, ale jego rzymscy republikanie równie są nieprawdziwi, jak republikanie z czasów Wawrzyńca Medyceusza; jedni i drudzy są postaciami, jakie poeta stworzył w swojej wyobraźni, aby Włochom pokazać, jakimi być powinni. Co więcej, zachował tragedyę włoską od naśladownictwa Francuzów, a przedewszystkiem od brania niewolniczego wzorów z Corneilla, który wówczas był ideałem tragicznego pisarza. Ma on tę samą zasługę w dramacie, jaką miał Goldoni w komedyi, tj. że mimo wielkiego rozkwitu literatury dramatycznej we Francyi, stanął przeważnie na gruncie narodowym, na gruncie włoskim. Goldoni ma wszakże szerszą skalę tematów i osobistości; Alfieri rzeźbi swe postacie trochę jednostajnie, według raz urobionego wzoru. Umysł jego za mało giętki, za mało wszechstronny, aby wprowadzać na scenę mnogość szekspirowskich postaci; ale w każdej z nich jest część duszy autora, jest gniew, duma, miłość w swej naiwnej samorodności, są zalety, które miał Dante. Często też spotyka się porównanie Alfierego z Dantem, a to chyba wystarcza, aby »sabaudzkiemu Wandalowi« zapewnić pierwszorzędne stanowisko w rozwoju ducha włoskiego narodu.

Alfieri, umysł twardy, hartowny, lekceważył słodycz i śpiewność Metastazya; to też przeczytawszy jakiś sonet, napisany w duchu gładkiego abata, z pewnem lekceważeniem powiedział: »Roba Metastasiana!« I słusznie też zauważył

Massimo D'Azeglio, że jedną z wielkich zasług tego potężnego umysłu było, że zastawszy Italię »Metastasianą«, pozostawił ją »Alfierianą«. Ale to powiedzenie jest zdaniem polityka patryoty, oceniającego Alfierego ze względu na przyszłość narodu, ale nie oceną historyka literatury. Jeden z największych jej znawców, De Sanctis, nie ujmując zasług Alfieremu wobec narodu, powiada, że »Metastazyo był urodzonym poetą, Alfieri zaś chciał być poetą, ale nim nie był«.

VIII.

Jedną z ambicyi hrabiny d'Albany było zgromadzać około siebie najznakomitsze towarzystwo, przyjmować dyplomatów, literatów, artystów i wszelkiego rodzaju wybitnych cudzoziemców. Rewolucya francuska zdmuchnęła jej salon w Paryżu, z tem większą też ochotą, prawie z zawziętością otwarła podwoje swojego pałacu we Florencyi. Ponieważ dochody bardzo się uszczupliły wskutek śmierci kardynała d'York więc nie wahała się jeszcze raz prosić Jerzego III o naznaczenie jej dożywotniej pensyi. Król angielski postąpił podobnie, jak z kardynałem d'York, przychylił się do żądania hrabiny i kazał jej wypłacać po tysiąc sześćset funtów rocznie. Mogła więc żyć przyzwoicie i spokojnie; ale hrabina, pomimo że głosiła, iż się zupełnie nie miesza do politycznych intryg, co przy ciągłej zmianie ówczesnych rządów nie było bezpiecznem, przecież nie mogła się powstrzymać od towarzyskich plotek, które jej często szkodziły. Wogóle lubiła, gdy w jej salonie wytrząsano wszelkie nowinki, nawet polityczne. To też gdy Napoleon zamienił Toskanię na prowincyę francuską, gdy 26 czerwca 1808 r. wydał proklamacyę, w której ludności ogłosił zaszczyt wcielenia jej do wielkiej rodziny państwa francuskiego, wszelkie polityczne plotkarstwo stało się bardzo niebezpiecznem. Foucher, znając namiętność Włochów do knowania spisków, osaczył Toskanię całą siecią szpiegów, ajentów, a nazwa »Mouchard« stała się postrachem Florencyi.

Hrabina d'Albany była o tyle nieostrożną, że chciała iść dalej drogą, wytkniętą jej przez Alfierego, i okazywać pewien

wstręt do Francuzów. I tak, gdy jenerał Clarke, późniejszy książę de Feltro, przez jakiś czas wielkorządca Florencyi, rad się był z nią poznać, hrabina wzbraniała się go przyjąć w swoim domu. Wogóle jej salon miał u Francuzów niedobrą opinię, zdawało im się, że się tam knują rozmaite intrygi przeciw istniejącemu rządowi, a nawet przeciw Napoleonowi. Pierwszą ofiarą tych podejrzeń padła przyjaciółka hrabiny, markiza de Prié. Wyraziła się ona w liście, pisanym do księcia Adama Czartoryskiego, nieprzychylnie o Napoleonie; list dostał się w ręce francuskiej policyi i cesarz, nie zważając na stanowisko markizy we florentyńskim świecie, kazał ją uwięzić w Fort Fenestrelles, gdzie biedna hrabina przeszło dwa lata musiała rozmyślać nad swoją nieostrożnością.

Z hrabiną d'Albany obszedł się Napoleon trochę łagodniej; w lecie r. 1809 otrzymała dawna pretendentka do tronu angielskiego rozkaz udania się do Paryża. Narzuconą podróż osładzało jej towarzystwo Fabra, który jej nie odstępował. Napoleon przyjął hrabinę dość łaskawie, powiedział jej wszakże w sposób żartobliwy, że dokładnie jest powiadomiony o jej wpływie na wyższe towarzystwo florentyńskie, jako też i o tem, że hrabina przeszkadza połączeniu Toskańczyków z Francuzami, co jest jego życzeniem. Z tego powodu polecił jej, aby zamieszkała w Paryżu, gdzie zresztą będzie miała sposobność zadowolnić swe zamiłowanie do sztuk pięknych. Aby zaś okazać swe względy, dał jej nawet lożę w dworskim teatrze do rozporządzenia. Mimo to hrabina tęskniła za Florencyą, a po roku prosiła cesarza, aby jej pozwolił powrócić do Włoch, czemu się już Napoleon nie sprzeciwiał, sądząc, że po danej nauce będzie hrabina bardziej wyrozumiałą dla Francuzów.

Tak się też stało; hrabina zajęła znów z końcem 1810 r. swoje salony nad Arnem, bywała na dworze wielkiej księżny Elizy Bonaparte Baciocchi, księżny na Luce i Piombino, i przyjmowała u siebie Francuzów. Dwudziestoletni zaledwie Lamartine, bawiąc we Florencyi, był u niej na obiedzie. Trzech lokai oczekiwało go na schodach i wprowadziło do małego saloniku, przeznaczonego na »conversazioni«. Tam zastał Lamartine hrabinę, która w podeszłym już wieku, niczem nie zdradzała ani królowej wielkiego państwa, ani królowej serca

wielkiego człowieka. Dość otyła, nizka, straciła lekkość i swobodę ruchów. Rysy twarzy zokrąglały, ale pozostał jeszcze blask oczu, przyjemny wyraz w ustach i bujne, jasne włosy o popielatym odcieniu. Zresztą twarz jej znamionowała kobietę, pełną bystrości i uprzejmości, która, jeżeli już nie mogła wzbudzać podziwu, to przynajmniej przypominała dawny swój urok. Nadzwyczaj naturalna w obejściu, podbiła zaraz swego gościa. Wiedząc, że Lamartine zajmuje się literaturą i pisze poezye, zapytała go, czy zechce zwiedzić pokój i bibliotekę »wielkiego człowieka«, a gdy Francuz okazał swą radość z tego powodu, dała znak starszemu już abbé, znajdującemu się w salonie, aby go zaprowadził do pokoi, w których mieszkał Alfieri. Do jakiego stopnia postać zmarłego poety rzucała jeszcze blask na obcą nawet młodzież, świadczy opis Lamartina tej wizyty. Był on tak przejęty wspomnieniami Alfierego, że nie umiał się nawet odezwać do swego Cicerone. Wróciwszy do salonu, zastał tam kilku przyjaciół domu, także zaproszonych. Obiad był krótki i skromny, zato po obiedzie zeszło się bardzo wykwintne towarzystwo. Służba zapowiadała co chwilę jakieś historyczne nazwisko włoskie lub znane nazwisko uczonego lub artysty. Goście zasiedli w półkole, pani domu zaś ułożyła się na kanapie za stolikiem, na którym leżały książki. Zebranie to sprawiło na Lamartinie wrażenie raczej jakiejś Akademii, a nie swobodnego towarzyskiego zebrania; rozmowa o polityce i bieżących kwestyach była wykluczona z powodu podejrzliwego czuwania francuskiej policyi, zdawało się więc, że mówią pomiędzy sobą umarli, a nie żywi. Mimo to słyszane tam uwagi o sztuce i literaturze zrobiły na młodym Francuzie wrażenie, że narodowi można odebrać wolność ciała, ale nie ducha.

Hrabina nie zawsze bywała tak uprzejmą, jak wobec Lamartina, i umiała, zwłaszcza młodzieży, okazać swą powagę.

W owych czasach bawił we Florencyi Massimo D'Azeglio, już jako dorosły młodzieniec; bywał u hrabiny i jednego wieczora chciał jej przedstawić swoich przyjaciół, braci Robilant. Towarzysze poszli jednak pierwej do teatru i dopiero po przedstawieniu ukazali się na salonach hrabiny. Pani

d'Albany spostrzegłszy ich, zwróciła się do księcia Borghese i prawie głośno powiedziała: »A quelle heure viennent ces messieurs!«

Na taką uwagę starali się młodzieńcy skryć za innych gości; ale nieszczęście chciało, że D'Azeglio, widząc na jednym ze stolików słodycze w koszyku, nie wiele myśląc, wziął do ręki cukierek, przedstawiający brzoskwinię i tak go nieszczęśliwie rozłupał, że połowa odskoczyła, odbiła się o orderową wstęgę jakiegoś dyplomaty i upadła tuż u nóg pani domu. Hrabina się surowo popatrzyła, a D'Azeglio czem prędzej się wymknął z salonu i już więcej do jej domu nie wrócił.

Pomiędzy gośćmi, którzy bywali, począwszy od lata 1812 r., w domu hrabiny d'Albany, widywano też często Uga Foscola. Wyjechał on wówczas z Medyolanu, naraził się bowiem francuskiej policyi i obawiał się uwięzienia. Hrabina była już starszą kobietą, a Foscolo jeszcze w sile wieku. Czytając listy poety, zdawałoby się, że serce grało jakąś rolę w tym niedobranym związku; dużo jednak zdań i zwrotów namiętnego poety trzeba położyć na karb jego zamiłowania do wygórowanej frazeologii.

Natomiast na hrabinę robił Foscolo bezsprzecznie jeszcze silne wrażenie; za nadto był z postawy i z namiętnego, burzliwego usposobienia podobnym do Alfierego, aby hrabina, patrząc na niego, nie miała odczuwać wspomnień dawnej swej miłości.

Z tej to przyjaźni, graniczącej z miłością, hrabina dawała poecie nadzwyczaj mądre rady, aby się nie wdawał w politykę, ale pilnował tego, do czego stworzony, tj. literatury, a nadto, aby nie marnował czasu z kobietami i poświęcał im tylko kilka wieczornych godzin.

Podczas owego florentyńskiego pobytu wymalował Fabre portret Foscola, który później stał się własnością Johna Murraya w Londynie, nakładcy dzieł Byrona. Do tej swej podobizny napisał Foscolo wiersz, naśladując sonet, którym Alfieri podpisywał swój portret: »Przed czasem, powiada Foscolo, poorało się moje czoło; włosy jasne, zapadłe policzki, oko bystre, usta niby koralowe, głowa pochylona, długa szyja i pierś szeroka. Budowa ciała kształtna, skromne ubranie;

myśl szybka, szybki chód, rwie się do czynu i gniewem unosi. Rozrzutny, lecz w użyciu mierny, każdemu chce być przyjacielem i współczuje z cierpieniem, chociaż świata nie lubi. Śmiały w mowie, odważny w czynie, zawsze zamyślony, często samotnik, pełen zadumy. Przytem niespokojny, porywczy, uparty. Bogaty w przywary i w dobre przymioty, ma poczucie tego, co się godzi, a przecież idzie za pokusą. Spokój i sława dopiero w grobie na niego czekają«.

Przyznać trzeba, że autorom obydwu sonetów, podpisanych pod ich portretami, nie zbywało na dobrem o sobie rozumieniu, pomimo bowiem że wyliczają swe błędy, krytyka wypada bardzo sympatycznie, na korzyść przedstawionych osobistości. W autoportrecie Foscola brakuje wszakże jednego z najważniejszych rysów, że był dziwnie niestałym w swoich politycznych zapatrywaniach, sprzeciwiał się sam sobie, raz w Napoleonie widział szczęście swego narodu, to znowu w austryackich rządach, a z natury deklamator, upajał się swoją wymową i własnymi argumentami.

IX.

Hrabina d'Albany miała szczęśliwszą, spokojniejszą starość, jak się po jej burzliwem życiu spodziewać było można. Alfieri opromienił jej przeszłość, wierny przyjaciel Fabre był podporą lat późniejszych. Po powrocie wielkiego księcia Ferdynanda III na tron toskański w r. 1814, zawiązała przyjemny stosunek z »dworem«; książę nie zapomniał jej bowiem, że zawsze, w chwilach nawet napoleońskich tryumfów, była wierną przyjaciółką dynastyi Lotaryńskiej i że z tego nawet powodu musiała znosić wygnanie w Paryżu.

O swoje materyalne interesa umiała się starać; po restauracyi Burbonów zwróciła się do francuskiego rządu, aby jej znowu wypłacano pensyę, którą utraciła za rewolucyi. Starania te nie odniosły pożądanego skutku, mimo to wszakże miała dostateczne dochody, aby utrzymywać dom odpowiednio do swego stanowiska dawnej pretendentowej. Umysł hrabiny, wypróbowany czasem i doświadczeniem, zachował

siłę i świeżość młodości, a chociaż brak jej było zajmującej postaci i kobiecego wdzięku, to przecież ujmowała otoczenie prostotą i powagą w obejściu. Thomas Moore scharakteryzował ją krótko: »Rozumna i sans gene«. Wychodząc na przechadzkę, ubierała się prawie zawsze jednakowo, w czarne suknie, szal i duży kapelusz, szła poważnie, trochę ciężko, często się pod boki podpierając. Ze służby nikt jej nie towarzyszył, a zwykłym jej spacerem było Lung'Arno i dalsza okolica ku Cascinom. Wróciwszy do domu, udawała się po śniadaniu do swej biblioteki, dużo czytała, często kreśliła uwagi na książkach, lub robiła wyciągi z dzieł historycznych; bliższych przyjaciół dopuszczała nawet do tego sanctuarium. Spisywała dokładnie, jakie książki przeczytała, a wychodząc mało z domu podczas francuskiej okupacyi, żartowała z pewnem zadowoleniem, że udało jej się przeczytać aż trzydzieści dziewięć dzieł i porobić z nich wyciągi.

Najwięcej czasu zajmowała jej korespondencya. Była to epoka pisania listów; udzielano sobie w nich nie tylko wiadomości osobistych i towarzyskich, ale i wrażeń z przeczytanych książek i politycznych faktów. Korespondentów miała cały legion; prawie niema znakomitego nazwiska pomiędzy ówczesnymi literatami Włoch i Francyi, któreby się nie znalazło podpisane pod listami, pozostałymi po niej. Część tej korespondencyi wydał Reumont w swojej monografii o hrabinie, mnóstwo listów do niej pisanych wydrukowano w nowszych czasach, a dużo jeszcze istnieje w rękopisie w bibliotece w Montpellier, gdzie Fabre złożył piśmienną spuściznę po swej przyjaciółce.

Po katastrofie napoleońskiej życie towarzyskie w Rzymie, w Neapolu i we Florencyi na nowo zawrzało. W czasie tryumfów francuskich brak było na kontynencie najbardziej podróżującego narodu, Anglików. Zresztą dawniej wstrzymała wielu wyspiarzy od zwiedzenia Włoch agitacya religijna, narodowa, antipapieska »no-popery«. Później nie obawiali się już Anglicy wpływu Rzymu na swe religijne stosunki, więc po roku 1814 potop wyspiarzy zalał całe Włochy. We Florencyi arystokracya włoska zamykała jeszcze swoje pałace przed cudzoziemcami, życie towarzyskie skupiało się po naj-

większej części w salonach zagranicznych posłów; ale najpierwszym i najbardziej kosmopolitycznym był dom hrabiny d'Albany. Lady Sidney Morgan opowiada, że hrabina d'Albany jest właściwie królową Florencyi; od niej zależy, czy cudzoziemiec tam przyjeżdżający zostanie dobrze przyjęty w towarzystwie, czy nie, przez bramę jej domu przechodzi cała Europa, a w jej salonach zbiera się co sobotę kongres, który ma większe prawo do nazwania się europejskim, aniżeli kongres w Lublanie. Oprócz wielkich zebrań w sobotę przyjmowała hrabina co wieczór bliższych znajomych; miała swój uprzywilejowany fotel, w którym siedziała w staromodnej czarnej jedwabnej sukni, z zarzuconą dużą białą chustką, a bujne jeszcze, chociaż białe włosy, ujęte były szeroką czarną wstążką. Moda siadania w półkole około pani domu zawsze jeszcze istniała, z tą tylko różnicą, że krąg stanowiły tylko panie, a mężczyźni chodzili około foteli, prowadząc swobodnie rozmowę. W zimie dawała hrabina, jak dawniej, małe bale dla ośmio- lub dziesięcioletnich dzieci z towarzystwa arystokratycznego, wskutek czego cieszyła się wielką popularnością u młodego pokolenia.

Ze znakomitych Włochów, którzy w owym czasie bywali częstymi gośćmi w domu hrabiny, najbardziej może uderzajacą postacią był Gino Capponi, zaledwie dwudziestokilkuletni młodzieniec, ale bardzo wykształcony, obyty w świecie, gładki w obejściu, mający nad wiek swój wyrobione zdanie o wszystkiem. Spotkać tam było można także Lorenza Bartoliniego, najznakomitszego rzeźbiarza we Florencyi, tudzież Rafaela Morghen, słynnego miedziorytnika, który jednak poza swemi pracami niczem się nie odznaczał. Fabre go lubił, gdyż wybornie oddał portret Alfierego jego pędzla. O znakomitym »habitué« hrabiny, o Canovie, przyjdzie nam jeszcze pomówić. Do zajmujących ludzi, których tam spotkać było można, należał też hrabia Leopold Cicognara, uczony esteta, którego rozprawy z historyi i krytyki sztuki jeszcze dzisiaj mają niepospolitą wartość. Pomimo swej uczoności był doskonałym światowcem; piękna postać, wysoki, uprzejmy, o nadzwyczaj gładkiem ułożeniu, może za wiele chciał się podobać i za dużo robić wrażenia.

Z baronową de Staël, z autorką »Corinny«, znała się hrabina d'Albany od dawna, a że baronowa z powodu własnego zdrowia i zdrowia swego męża, Alberta Rocca, przebywała dłuższy czas we Florencyi, więc stosunek tych pań jeszcze się tam zacieśnił.

Do częstych a zajmujących korespondentów należał chevalier Francois de Sobiratz, w młodości oficer w »gardes vallons«, później zamieszkały w południowej Francyi, w Carpentras, gdzie miał niewielką posiadłość, uprawiał winnicę i, jak raz pisał, »qu'il cultive et mange ses choux«.

Ów Sobiratz widocznie się nudził na swym partykularzu i miał czas do pisania długich i wcale ładnych listów. Zajmowały go dwie rzeczy: nie młody już, chciał się majętnie ożenić, choćby z jaką niezbyt uroczą Angielką, a dopóki to marzenie się nie spełni, zbierać rzadkie książki za tanie pieniądze. Do zaspokojenia jednych i drugich pragnień potrzebował pomocy hrabiny, która z widoczną przyjemnością zajmowała się swataniem znajomej młodzieży, a zarazem znała się na książkach i na rzadkich wydaniach. Z ożenieniem Sobiratza jakoś się nie wiodło; zato w doborze i kupowaniu książek chętnie mu hrabina pomagała, gdyż Florencya była wówczas jednym z głównych targów antykwarskich.

Nie skończyłbym, gdybym chciał wymieniać wszystkich korespondentów i korespondentki hrabiny; z tych stosów listów wynosi się jednak wrażenie, że w jej domu spotykało się Anglików, Włochów, Niemców, Rosyan, Francuzów, ludzi najrozmaitszych zapatrywań politycznych i literackich, że posiwiałej przyjaciółce Alfierego i Fabra chodziło przedewszystkiem o sławę jej salonu.

Stosunek hrabiny do Fabra tak był znanym i uznanym, że niema prawie listu do niej pisanego, w którymby nie pozdrawiano artysty, albo nie dopisano dla niego jakich słów przyjemnych.

Hrabina d'Albany cieszyła się prawie całe życie czerstwem zdrowiem; w późniejszych latach przyczyniało się do

utrzymania jej sił regularne życie i brak trosk, ale w r. 1817 musiała czuć zbliżający się kres swego istnienia, gdyż spisała testament, w którym mianowała uniwersalnym swym spadkobiercą Franciszka Ksawerego Fabra »na znak wdzięczności za przywiązanie, jakie jej okazywał w ciągu dwudziestu czterech lat, w którem się nigdy nie zachwiał, jakiekolwiek przechodziła koleje«. Znaczną zaś część majątku przeznaczyła żyjącej jeszcze matce i trzem siostrom. Portret Alfierego i swój własny pędzla Fabra darowała zbiorom w Uffiziach we Florencyi, książki zaś i rękopisy Alfierego galeryi Brera w Medyolanie. Dopiero jednak w r. 1820 zaczęła upadać na siłach; w jesieni 1823 r. ukazały się u niej symptomy wodnej puchliny, a 29 stycznia umarła w siedmdziesiątym siódmym roku życia. Wielki książę Ferdynand kazał jej ciało pochować w Santa Croce, gdzie w pobliżu popiołów Alfierego znalazła swój ostatni spoczynek. Fabre wystawił jej tam później w kaplicy św. Sakramentu grobowiec, do którego dał rysunek Percier, architekt łuku tryumfalnego Carrousel w Paryżu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

RZYM W DRUGIEJ POŁOWIE XVIII WIEKU.

I.

Wjeżdżając do Rzymu przez Porta del Popolo, nie odnosiło się właściwie wrażenia, jakiego się można było spodziewać po »Roma, caput mundi«. Całą ozdobą placu »del Popolo« był obelisk, ustawiony za SykstusaV, i trzy kościoły, zresztą bowiem otaczały plac tylko ubogie domy, składy siana i kamienne koryta, w których kobiety prały bieliznę. Na bruku, zarosłym trawą i zielskiem, błąkały się kozy i osły, a tam, gdzie dzisiaj zamyka plac ku Monte Pincio przepyszna terasa, rozpościerała się winnica mnichów z Santa Maria del Popolo. Dopiero za krótkiego panowania Napoleona I zrobiono plan upiększenia tej części miasta, który później kazał wykonać słynny kardynał Consalvi za Piusa VII, pragnąc, aby cudzoziemiec zaraz na wstępie do papieskiej stolicy był uderzony jej wspaniałością.

Sam pagórek Pincio był ulubionym spacerem ludu, poetów i artystów; w dni zwłaszcza świąteczne tańczono tam do późnej nocy przy blasku księżyca i świetle latarni, zawieszonych na budach przekupniów. Czasami schodziły się na Pincio wesołe towarzystwa, poprzebierane za pasterzy i pasterki, aby śpiewać ulubione pieśni, albo grać na mandolinie. Prawie każdy mężczyzna miał wszakże ostry nóż lub sztylet w kieszeni, aby módz bezpiecznie powracać do domu. Ulice

były ciemne, gdzieniegdzie tylko migotało światełko lampki, palącej się przed obrazem Madonny; opowiadano też sobie o ciągłych napadach, a kobiety z największem niebezpieczeństwem mogły wieczorem wychylać się poza bramę swego mieszkania. Gdy prezydent de Brosses chciał na sposób francuski zapalać pochodnie za powozem, aby go inna kareta nie najechała, ostrzeżono go, aby tego nie czynił, bo publiczność nie lubi, aby ją w nocy za nadto oświecano. Było nawet w zwyczaju, że gdy jaka latarka raziła pary, ukryte w zaułkach, wołano »Volti la lanterna!«, »Obróć latarkę!«, czemu się właściciel światełka bynajmniej nie sprzeciwiał, nie chcąc się spotkać z ostrzem sztyletu. Moroni, autor wielkiej encyklopedyi kościelnej, zapewnia, że za Klemensa XIII popełniono w Rzymie w przeciągu dziesięciu lat i siedmiu miesięcy 4.000 morderstw, a w całem państwie kościelnem liczba ta doszła do 13.000.

Rzecz prosta, że każdy cudzoziemiec, przybywający do Rzymu, dążył przedewszystkiem na plac hiszpański, bo tam znajdowały się dwa najlepsze hotele, jeden pod schodami, prowadzącemi na »Trinita de' Monti«, zwany »Della scalinata«, drugi francuski, »Monte d'Oro«, bliżej Monte Pincio. Na placu zwracały uwagę tylko dwa większe gmachy: ambasada hiszpańska i »Collegio de propaganda Fide«, a obelisk, panujący nad schodami, także nie był jeszcze ustawiony. O leżących w zapomnieniu czterech obeliskach, spuściźnie po starożytności, przypomniał sobie dopiero słynny z nauki abate Cancellieri; napisał on broszurę »Supplica dei quattro obelischi« i dokazał tego, że nimi ozdobiono cztery place: Trinita de' Monti, Monte Pincio, Montecitorio i wstęp do Kwirynału.

Na placu hiszpańskim mieszkało się najbezpieczniej, bo według dawnego przywileju wykonywanie policyi i sądownictwa przysłużało tam ambasadorowi hiszpańskiemu, który prawa swe wykonywał energiczniej, aniżeli policya papieska.

Z wyjątkiem ulicy Condotti wszystkie ulice, prowadzące z »Piazza di Spagna« na Corso, zamieszkiwała ludność uboższa, tudzież kobiety złego życia i malarskie modelki. Przestrzeń od Corso aż do Tybru najgęściej była zabudowana i tam najwięcej liczono pałaców i publicznych gmachów.

W ulicach sklepów niewiele, a zamiast napisów i wystaw wywieszone godła. Czerwony kapelusz albo olbrzymia ręka z drzewa, wijący się wąż żelazny wskazywały, gdzie można nabyć nakryć na głowę, rękawiczek, albo gdzie apteka. Nad wejściem do hoteli, do lokand wisiały godła z pomalowanego żelaza, jak kogut, orzeł, jastrząb, niedźwiedź, a często rozpościerał się nad drzwiami przybity prawdziwy sokół lub jastrząb, który kiedyś swobodnie latał nad Kampanią.

Przekupnie rozkładali swe stragany po ulicach, pod gołem niebem smażono ryby, pieczono kurczęta, gotowano flaki, a nawet obracano prosięta na rożnach; zewsząd więc dolatywały zapachy, przyjemne tylko dla bardzo głodnych przechodniów. Rzemiosła skupiały się w pewnych dzielnicach i na pewnych ulicach; znaczna ilość rodzin miała przywileje na wyrabianie ściśle oznaczonych przemysłowych produktów; tak na przykład tylko Albanim wolno było dostarczać szpilek dla całego papieskiego państwa. Ponieważ jednak szpilki, gdzieindziej, a mianowicie w Niemczech wyrabiane, były lepsze, więc Albani sprowadzali po cichu znaczną ilość towaru z północy, głosząc, że to wyrób krajowy. Na przemytników nakładano jednak wysokie grzywny, albo skazywano ich na cielesne kary.

Wprawdzie bez pisemnego przywileju, ale na mocy milczącego przyzwolenia publiczności istniała w Perugii fabryka trucizny, powszechnie znanej pod nazwą »Acqua tophana«, albo »Acqua di Perugia«. Rząd i gubernatorzy papiescy w Perugii wiedzieli o tym zbrodniczym przemyśle, ale nikt nie miał odwagi dochodzić źródeł strasznej mikstury, bojąc się otrucia. Sama nazwa tej trucizny rozszerzała jakiś zabobonny postrach.

Do ożywienia ulicznego ruchu w Rzymie przyczyniali się bardowie, tak zwani »Cantastorie«, którzy opowiadali ochrypłym głosem romantyczno-zbójeckie historye. Bywali i poeci, którzy, chcąc się popisać swoim talentem, szli na ulicę, stawali na pierwszej lepszej ławce i deklamowali zgromadzonym przechodniom właśnie co ułożony sonet, lub jakąś do okoliczności zastosowaną improwizacyę. Temu zwyczajowi zawdzięczał Metastasio swe szczęście. Jako młody jeszcze

chłopak improwizował na ulicy wiersz, w którym wymienił nazwisko znane w Rzymie Gian Vincenza Graviny, zamożnego literata. Zdarzyło się, że Gravina właśnie przechodził w towarzystwie abata Lorenziniego, zatrzymał się, a chłopak tak go uderzył swym talentem, że Gravina chciał mu ofiarować srebrną monetę. Metastasio grzecznie odmówił wsparcia, wskutek czego literat prosił go, aby mu wskazał mieszkanie swego ojca. W ten sposób poznał Gravina rodzinę Metastasia, żyjącą prawie w niedostatku, a zbliżywszy się do niej, zaopiekował się młodzieńcem, przyszłym twórcą nowoczesnego melodramatu. Umierając zapisał mu 15.000 talarów, na dzisiejszą monetę około 150.000 franków, które Metastasio wprawdzie wkrótce roztrwonił, ale się wykształcił i dał się poznać szerszemu światu.

Charakterystyczną cechą rzymskiej ulicy była niezliczona liczba mężczyzn w czarnych, długich surdutach, krótkich płaszczach i małych, białych kołnierzach na szyi, tak zwanych abatów. Kto tylko chciał mieć stanowisko w społeczeństwie i wstęp do lepszego towarzystwa, przywdziewał suknie abata. Taki abate nie miał wyższych święceń kapłańskich, mógł się żenić, ale uważany był za należącego do »armii Kościoła« i mógł się szczycić tem, że nosi suknię, która go równa z monsignorem. Ubiór abatów stał się niejako mundurem państwa papieskiego; nosili go notaryusze, prokuratorzy, archiwiści, profesorzy, lekarze, adwokaci, poeci, a nawet i dentyści. Abaci zarabiali na utrzymanie jako służący w wielkich domach, jako senzale u kupców i bankierów lub oprowadzali cudzoziemców po mieście. Po kilkudziesięciu stało ich nieraz na ulicach, szukając zajęcia, a jeżeli przechodził jaki abate w nadzwyczaj wytartem i połatanem odzieniu, to był nim z pewnością biedak, należący do tak zwanych »ecclesiastici erranti«, którzy się ściągali do Rzymu z całego świata. Taki »błędny sługa Kościoła«, nie mający ani parafii ani posady, utrzymywał się zazwyczaj z tanich mszy, albo z tanich pogrzebów. Kanonicy, proboszczowie głównych kościołów, zastrzegali sobie odprawianie mszy, za które pobożni dawali hojne ofiary; taniemi mszami rozporządzał zazwyczaj zakrystyan i sprzedawał je, oczywiście za dobrem wynagrodzeniem,

takim błędnym księżom, którym każda, choćby najmniejsza ofiara była pożądaną. »Preti di morto« nazwali się ubodzy duchowni, korzystający w podobny sposób z pogrzebów, w niezamożnych rodzinach.

Wogóle co chwila spotykało się księży i zakonników na ulicy. W r. 1766 liczono w Rzymie na 170—180.000 ludności 5.000 księży świeckich, 3.500 zakonników, 1.500 zakonnic i 34 biskupów, nie wliczając w to watykańskich prałatów. Prócz księży mnóstwo mężczyzn, zostających w jakimkolwiek stosunku z kościołami, jak zakrystyanie, organiści, braciszkowie laicy nie wchodzili w związki małżeńskie, chcąc niejako należeć do klasy uprzywilejowanej, wskutek czego liczba mężczyzn bezżennych wynosiła prawie trzydzieści ośm tysięcy, co nie wychodziło na korzyść publicznej moralności. Osobliwie mnichów bardzo źle widziano w domach mieszczańskich, a nawet dawano im jałmużnę najczęściej przez okno, nie wpuszczając ich do mieszkania, aby sąsiedzi nie rozpuszczali o rodzinie złośliwych plotek.

Niesłychaną plagą byli żebracy; 1.500 ubogich żywiły szpitale i rozmaite fundacye, ale około 10.000 dziadów włóczyło się po mieście, zalegało wejścia do kościołów, a celem obudzenia litości odkrywało na widok publiczny najobrzydliwsze rany i ułomności. Zresztą z całej Kampanii, która była pełną bandytów, cyganów, czarownic, schodzili się do miasta włóczęgi, z którymi policya nie zawsze zdołała się uporać.

Natomiast weselszą nutę w życiu ulicznem stanowili szarlatani, którzy się tem różnili od »cavadentów« w innych miastach włoskich, że głównym ich zarobkiem było sprzedawanie amuletów i rozmaitych »świętości«. Jeden wychwalał mannę św. Mikołaja z Bari, skuteczną na wszelkie możliwe choroby, lub »agnus Dei« św. Jakóba z Kompostelli, chroniące od morowej zarazy, inny zapewniał, że wraca właśnie z Jerozolimy i ma wodę z Jordanu, dającą moc nawracania Żydów. Bywali zresztą i tacy, którzy na postrach kucharek i dzieci pokazywali szpaka, umiejącego »Paternoster«, utrzymując, że czarownica została przemieniona w szpaka i skazana na ciągłe powtarzanie modlitwy. Wreszcie nie brakło

i szarlatanów, którzy sprzedawali zupełnie »pewne« numera na rzymską i genueńską loteryę.

Dość smutne przeznaczenie miewał czasami plac Navona. Przy fontannie, zwanej »Il Moro«, ustawiano na podwyższeniu ludzi, przywiązanych do ławek, z napisami, za co i na jaką karę są skazani. Gdy się zebrało dość gawiedzi, uderzano w trąby, przychodzili oprawcy i wymierzali im wobec publiczności po dwadzieścia pięć do pięćdziesięciu razów skórzanym pocięglem w upośledzoną część ciała. Publiczność bawiła się wybornie tym widokiem, a nieraz wołała na oprawców »Bić jeszcze! bić jeszcze!«. Jezuici chcieli korzystać z tych egzekucyi, aby poprawiać ludność, stawiali podwyższenia koło środkowej wielkiej fontanny Berniniego i wskazując na skazańca, pouczali widzów, do czego prowadzi występek lub zbrodnia.

Największą wadą rzymskiej ludności od średnich wieków aż po wiek XIX było lenistwo. Jak w czasach Odrodzenia, tak i w XVIII stuleciu Rzymianie nie byli zdolni do takiej pracy, która wymagała jakiej takiej wytrwałości i przemysłowej lub rzemieślniczej zręczności. Nawet osterye utrzymywali po większej części Genueńczycy, cukiernie należały do Szwajcarów z Engadyny, kowalstwem i ślusarstwem trudnili się Włosi z Friulu i tak dalej; nie widziało się Rzymianina, którýby był murarzem, krawcem albo kapelusznikiem. Rzym nie miał mieszczaństwa; ludność składała się z duchowieństwa, ze szlachty, z niezliczonej służby i z właściwego ludu, na którego czele stali Trasteweranie. Jedna z arystokratek opowiadała, że w młodości miała przekonanie, że społeczeństwo składa się tylko z panów i ze służby.

Najgłówniejszymi punktami zbornymi, mówiąc po dzisiejszemu, »inteligencyi«, były trzy kawiarnie, z których, jak się zdaje, najstarszą była kawiarnia »del Greco«. Turecka kawa zaczęła powoli wypierać ulubioną czekoladę, a jakiś przedsiębiorczy Grek skorzystał podobno już przed r. 1660 z tej mody, aby założyć przybytek wschodniego nektaru na Via Condotti. Café Greco z dodatkiem »antico« istnieje do dzisiaj, a zmieniając właścicieli, może się poszczycić przeszło dwustu pięćdziesięcioletniem istnieniem. Podobno dochował

się dawny drzeworyt z drugiej połowy XVII wieku, przedstawiający otwarty sklep, w którym Grek w narodowym stroju ugaszcza kawą swoich współziomków. Rycina ta ma się odnosić do założyciela albo późniejszego dzierżawcy tej poważnej wiekiem kawiarni. Z czasem jednak kawiarnia zmieniła publiczność, stała się w XVIII stuleciu ulubionem miejscem schadzki dla poetów, literatów i artystów po większej części cudzoziemskich, a pomiędzy znakomitościami, które tam bywały, wymieniają Goethego i Goldoniego, a z późniejszych Gogola, Gounoda, Mendelssohna, Wagnera, Rossiniego, Schopenhauera i wielu innych. Nasz Mickiewicz ze swym towarzyszem Odyńcem przepędzał tam także wolne chwile podczas swego pobytu w Rzymie. W XVIII wieku przeważali w kawiarni niemieccy artyści i stąd też nazywano ów lokal także Cafė Tedesco.

Daleko, że tak powiem, arystokratyczniejszą kawiarnią była »Caffė Inglese«, która istniała jeszcze w początkach XIX wieku na Piazza di Spagna, tam, gdzie dzisiaj się znajduje księgarnia Spithövera. Angielska kawiarnia słynęła ze swoich malowideł ściennych w stylu egipskim, które wykonał słynny miedziorytnik Giambattista Piranesi. Bywał tam malarz Gavin Hamilton, antykwarz Jenkins i wogóle schodziło się tam wielu znakomitszych artystów, którzy szukali znajomości angielskich, aby tem łatwiej sprzedać swe obrazy albo antyki.

Ulubioną kawiarnią Rzymian była kawiarnia »del Veneziano«, która się tam znajdowała, gdzie dzisiaj stoi piękny gmach kasy oszczędności. Mogła się ona także poszczycić poważnym wiekiem, bo jeszcze w r. 1745 przyłączył się do istniejącego tam sklepiku z lemoniadą i innymi chłodnikami (Acquafrescaio) Wenecyanin, umiejący wybornie przyrządzać kawę »na wenecki sposób«. Sklepik przemienił się w kawiarnię. Wymagania publiczności zresztą nie były wtedy wielkie. Pokoje, stanowiące kawiarnię, nie miały szyb w oknach, ale tylko białe, a raczej brudne płócienne firanki, które zsuwano w nocy albo podczas deszczu. Za siedzenia służyły drewniane stołki, wyplatane słomą, kawę nalewano do kubków, a »jedyna« z rąk do rąk podawana łyżeczka służyła do zamiesza-

nia czarnego nektaru. Wieczór oświetlano lokal szklannymi kagankami kształtu cebuli, w których się palił knot niemiłosiernie kopcący.

Mimo tych niewygód, na które wówczas nie zważano, przychodziły do kawiarni na sorbety i na lody panie wyższych klas społeczeństwa, monsignorzy, abaci, literaci, muzycy, a czasami zabłądził tam nawet ten i ów kardynał. Na sposób wenecki zaprowadzono w kawiarni czytanie gazet, a głównym dziennikiem był »Caracas«, najdawniejsza gazeta rzymska, nazwana od pierwszego swego wydawcy. Caracas, człowiek przedsiębiorczy, skorzystał z gorączkowego pragnienia wiadomości w czasie odsieczy Wiednia przez Sobieskiego, aby założyć ten dzienniczek, który się już utrzymał i po wojnie tureckiej.

W kawiarni »del Veneziano« bywał Metastasio; tam Monti deklamował swe polityczne wiersze przeciw Francyi, tam rodziły się pasquinaty i rozmaite złośliwe sonety. U »Veneziana« zawierał pierwsze interesa zbożowe i pieniężne bankier Turlonia, kiedy jeszcze nie był markizem, a tem mniej księciem. Turloni dopiero później zamienili swoje nazwisko na lepiej brzmiące »Torlonia«, a połączywszy się małżeństwami ze znakomitymi rodami, zaliczeni zostali do pierwszorzędnej arystokracyi.

Założycielem tego wielkiego domu był właściwie Giovanni Turlonia, urodzony 1754 r., zrazu kupiec, potem bankier, który umiał sobie pozyskać zaufanie Piusa VI i Piusa VII, a robiąc interesa z rządem, pozostawił olbrzymią fortunę. Papieże nadali mu najprzód godność markiza, potem »duki«, a wreszcie nazwano go »principe«. Pierworodny jego syn, Marino, ożenił się z Maryą Sforza-Cesarini, drugi, Alessandro, poprowadził do ołtarza siostrę Colonny z Paliano, a stojąc na czele rodzinnych interesów, powiększył jeszcze ojcowski majątek. Siostra ich wyszła za księcia Orsiniego.

Alessandro zapragnął dorównać dawnym rodzinom nepotów; budował więc pałace, wille, zakładał muzea i galerye obrazów. W willi swej za porta Pia wzniósł dwa obeliski, aby uczcić pamięć ojca i matki, wybudował w bazylice św. Jana przepyszną rodzinną kaplicę, nabył później willę i muzeum Albaniego i ufundował jeszcze jedno muzeum, które

zapełnił wykopaliskami z dóbr Roma Vecchia, Cari, Caffarelli i Fiumicino.

Ów Alessandro mógł już skłonić swego zięcia Giulia Borghese, aby zmienił swe odwieczne rodowe nazwisko na nazwę Torlonia.

Rzym i wogóle i całe państwo kościelne należało w XVIII w. do najgorzej administrowanych państw w Europie. Pisarz bardzo przychylny Kościołowi, autor żywota Piusa VI, Francesco Beccatini, utrzymuje, że chyba tylko w Turcyi gorsze były rządy. »Una aristocrazia avvilita, un popolo di mendicanti«, »Arystokracya spodlona i lud żebraków«, to było powszechne zdanie. Ludność samego Rzymu żyła z okruchów, które spadały ze stołów piętnastu do dwudziestu tysięcy cudzoziemców, przepędzających tam zimę, ze stołów kardynałów, z kuchni dworu papieskiego i książąt rzymskich.

Całe państwo liczyło tylko półtrzecia miliona mieszkańców, pomimo że oprócz dawnych ziem papieskich obejmowało Umbryę, Bolonię i Ferrarę. Upadek jednak tych krajów rozpoczynał się z chwilą, kiedy Innocenty X, a za nim następni papieże zaczęli ścieśniać autonomię tak stolicy, jak i prowincyi, i zamiast świeckiej administracyi zaprowadzać rządy, spoczywające w rękach duchowieństwa. Ta administracya miała jedynie chwilowe dobro swej kasty na oku, a nie dbała zupełnie o ekonomiczny rozwój kraju, nie patrzyła w przyszłość, wogóle odznaczała się najzupełniejszą nieudolnością. Zaledwie Bolonia, która najdłużej umiała zachować swoją autonomię i przez długie czasy uważała papieża raczej za swego protektora, a nie za panującego, była miastem zamożnem, nawet cokolwiek fabrycznem i miała znaczne dochody z powodu napływu studentów do tamtejszego uniwersytetu. Ludność też tej prowincyi należała do najbardziej kulturalnych całego państwa. Administracya papieska najzupełniej zaniedbywała rolnictwo, co więcej, przyprowadziła je do upadku. Głównym tego powodem był fiskalizm, posunięty do ostateczności. Każdy rolnik musiał sprzedawać główne swe produkta, a mianowicie zboże, oliwę i bydło rządowi po cenach z góry ustanowionych, zazwyczaj niższych od rzeczywistej wartości produktu, rząd zaś odprze-

dawał je publiczności, zarabiając dużo na tej spekulacyi. Wywóz zboża poza granice państwa był zakazany pod surowemi karami; rząd więc mógł oznaczać ceny, jakie mu się podobały, publiczności zaś rzymskiej nie wolno było kupować mąki od kogo innego, jak tylko od piekarzy, których zaopatrywała w nią Kamera Apostolska. Zarabiał więc rząd, zarabiał piekarz, a tracił rolnik; żyzne też ziemie wzdłuż Adryatyku w więcej, jak piątej ezęści, były nieuprawne, bo się robota nie opłacała. Duchowieństwo i związana z niem ludność rzymska chciała żyć jak najtaniej; doprowadzono też do tego, że Rzym należał do najtańszych stolic w Europie, ale zrujnowano rolnictwo.

Prowincyami zarządzali kardynałowie legaci; z dawnych miejskich magistratów zostali wprawdzie radcy, anziani, ale nie mogli nic działać bez upoważnienia legata lub jego zastępców. Słusznie też powtarzano, że ze statutów miejskich, które stanowiły podstawę dawnego rozwoju gmin, zostały tylko ubiory gonfalonierów. Na czele rzymskiej gminy stał wprawdzie senator, trzech konserwatorów i priorzy, ale ci urzędnicy gminni nie mieli żadnej władzy. Dawali uczty, mieli zaszczyt asystowania w uroczystościach papieskich w pobliżu tronu, przechowywali klucze od tabernaculum, w którem były złożone głowy św. Piotra i Pawła, ale poza tem nie mieli nic do czynienia. Kamera Apostolska rządziła.

Prawie wszystkie urzędy piastowali ludzie, którzy je nabyli za pieniądze. Różnica polegała na wysokości płaconej kwoty. Celnik uzyskiwał swą posadę za kilkadziesiąt skudów, minister za kilka tysięcy. Ani zdolności, ani charakter nie odgrywały głównej roli w doborze kandydatów do rządowych posad; skarbowi państwa więcej chodziło o dochód, aniżeli o uzdolnienie urzędników. Taki system szkodził administracyi, zwłaszcza że każdy nabywca posady pragnął w jak najkrótszym czasie odzyskać cenę kupna od publiczności, z którą miał do czynienia.

Do jakiego stopnia nadużyć doprowadzały tego rodzaju stosunki i jak długo anarchia administracyjna państwa kościelnego się utrzymywała, za dowód niech posłużą choćby dwa tylko przykłady.

Rząd madrycki przysłał dużą kwotę w srebrnych piastrach na wypłacanie pensyi Jezuitom, wydalonym z Hiszpanii, i kazał je tymczasowo złożyć w papieskiej mennicy. Pomimo że te piastry były i we Włoszech w obiegu i że nic nie stało na zawadzie, aby je wypłacić emigrantom, kazał rząd papieski za Piusa VI wybić z nich drobną monetę, tak zwane paole, karliny, papety, gdyż w Rzymie czuć się dawał wielki brak zdawkowych pieniędzy, a srebra nie było. W mennicy domieszano jednak do czystego srebra hiszpańskiego trzecią część innego, taniego metalu, tak, iż skarb papieski zarobił na tej operacyi dwadzieścia siedm na sto. Ale i tej monety nie dano Jezuitom, ale im wypłacano papierami, na których emigranci bardzo dużo tracili. Wskutek tych operacyi papieskiego skarbu prosili Jezuici Karola III, króla hiszpańskiego, aby kazał przesyłać przeznaczone dla nich pieniądze na ręce swego ambasadora w Rzymie, Azary, człowieka znanego z uczciwości. I tak się stało.

W ostatnich czasach istnienia państwa kościelnego, a więc w połowie XIX wieku, otrzymał rzeźbiarz Brodzki, zamieszkały w Rzymie, od dworu cesarskiego w Petersburgu kwotę dwóch tysięcy franków za jakąś pracę. Kwotę przesłano mu pocztą; urząd pocztowy w Rzymie uwiadomił artystę o tem, ale dodał uwagę, że pieniądze będą mu dopiero wtedy wypłacone, jeżeli przeznaczy z nich dwieście pięćdziesiąt franków na »Kościół«.

Najzupełniejsza samowola panowała w całej administracyi, a nikt nie mógł przeciw tym nadużyciom wystąpić, ponieważ urzędnikiem był duchowny i w razie potrzeby zasłaniał się poważną wymówką: »Kościół tego wymaga!« Apelacyi nie było.

II.

Usłużni heraldycy wywodzili dawne włoskie rody od bohaterów starożytności, od paladynów Karola Wielkiego, a nawet od bogów Olimpu. Późniejsza arystokracya była zadowolona, że pochodzi od papieskich nepotów; następnie

nawet wzbogaceni mieszczanie i bankierzy sięgali po herbowe zaszczyty, gdyż już zabrakło bogatych nepotów, bo papieże XVIII wieku coraz mniej zostawiali majątków swoim krewnym. Do złotej księgi rzymskiego patrycyatu bywały już wpisywane i rodziny z prowincyi, które osiadły w Rzymie, a nadużyć musiało w tej mierze być niemało, skoro Benedykt XIV swem »motuproprio« z 4 stycznia 1746 r. ustanowił warunki, pod jakimi można zaliczać nowe rody do rzymskiej szlachty.

Należenie do arystokracyi nie było rzeczą tylko samej próżności; w państwie papieskiem hierarchia kościelna ściśle łączyła się z możnowładztwem, jedna organizacya wspierała drugą. Wyższe duchowieństwo wychodziło po większej części z patrycyatu, stawało więc po stronie arystokracyi, broniło jej przywilejów, a nawzajem szlachta podtrzymywała i broniła interesów kościelnej hierarchii. Papiestwu zależało na tem, aby możnowładztwo rzymskie nie upadało; wszelkimi więc sposobami starano się je utrzymać. Kilkakrotnie wydawano rozmaite przepisy, mające zapobiegać rujnującemu zbytkowi szlachty i ułatwiano adopcyę w dawnych rodzinach, aby istnienie ich zapewnić, przynajmniej pozornie. Gdy zaś ani jeden ani drugi sposób nie wystarczał, starano się wciągać nowe rody do patrycyatu, któreby wypełniały ciągłe ubytki.

W XVIII wieku widzimy więc obok Colonnów, Orsinich, Chigich, Aldobrandinich, Doriów, Altierich, zupełnie nowe nazwiska w złotej księdze patrycyatu; weszli tam Grazioli, Ferraiuoli, Braschi, Silvestrelli, Tittoni, Piacentini, Del Gallo i wielu innych, którzy prócz znacznego majątku nie mieli żadnej zasługi około państwa.

Z historycznej szlachty jeden tylko dom Colonnów utrzymywał się na swej wysokości, pomimo że się rozdzielił na trzy gałęzie Colonnów: z Paliano, ze Stigiano i z Cesaro. Spowinowaceni z domami panującymi, otoczeni aureolą świetnej przeszłości, rozporządzający zresztą zawsze jeszcze wielkimi majątkami, byli Colonnowie najpopularniejszym rodem. Nianki śpiewały dzieciom o wielkości Colonnów:

Vi vengo a riverir Colonna d'oro...

Najbardziej jednak lubiana, zwłaszcza z końcem XVIII wieku była rodzina Borghese. Nadzwyczaj zamożni, wzbogacili się Borghese za Pawła V, a pomnożyli jeszcze swe majątki spuścizną po Aldobrandinich i później olbrzymim posagiem ostatniej z Salviatich, z którą się ożenił Marcantonio Borghese. Nie byli oni wszakże tak wierni papiestwu, jak inne rody nepotów; popularność ich głównie na tem się opierała, że szli zawsze z ludem, dzielili losy narodu nawet wtedy, gdy interes narodowy nie pokrywał się z interesami papiestwa. Za Napoleona połączyli się z francuskiem cesarstwem, Camillo Borghese ożenił się z Paoliną Bonaparte, siostrą Napoleona, i tak dalece związał się z cesarzem, że będąc gubernatorem Piemontu, nie chciał odwiedzić Piusa VII w Turynie, gdy go tamtędy wieziono na wygnanie do Valence.

Ruiną arystokracyi rzymskiej był zbytek i gra. Wprawdzie rząd papieski zakazywał bassetty, macao, faraona i innych gier hazardowych, ale ani rozporządzenia, ani surowe kary, grożące szulerom, nie na wiele się przydawały. Rozporządzenia zaś przeciw zbytkowi właściwie nie ochraniały kieszeni arystokracyi, ale były korzystne dla klas niższych. Zakazywano bowiem nieszlachcie nosić ubiory z aksamitu i brokatu, jeździć w złoconych karetach, podczas gdy arystokracyi wolno się było rujnować na szalony zbytek. Lekarze, adwokaci mogli używać tylko czarnych uprzęży, co im wychodziło na dobre, tem bardziej, że patrycyat wielkie sumy wydawał na złocone karety, malowane przez najznakomitszych artystów i na liberye licznej służby. Trzymać na stajni sto koni i dwustu masztalerzy, furmanów, lokai, było czemś zwykłem u wielkich rodzin. Konie były bardzo kosztowne, po większej części czystej rasy hiszpańskiej, z długiemi grzywami i ogonami, albo ze sławnych stad Chigich, Borghesów i Rospigliosich. Dopiero Paolina Borghese zaczyna krzyżować hiszpańską rasę z normanami, sprowadzanymi z Francyi.

W wyższych klasach społeczeństwa rzymskiego trwał karnawał prawie przez cały rok; w lecie urządzano »feste campestri« w willach Borghesów, Pamphilich, Ludovisich, Altierich i innych. Pomiędzy kardynałami najsławniejsze fe-

styny bywały u Alessandra Albaniego i kardynała de Bernis, ambasadora Ludwika XV.

Arystokracya mniej uczęszczała do publicznych teatrów, gdyż najpiękniejsze przedstawienia i koncerty urządzano na scenach prywatnych. Częste przedstawienia dawali Odescalchi, Cesarini-Sforza, Rospigliosi, a mistrzem reżyserem był duca Grimaldi, ambasador króla hiszpańskiego.

Na wiosnę, zazwyczaj w maju, otwierał wesołe salony markiz Giuseppe Zagnoni, Bolończyk i ostatni z rodu, człowiek nadzwyczaj zamożny. Miał on pałac na Corso, a oprócz tego willę w pobliżu porta Pia z ogrodem, pełnym wspaniałych drzew, wodotrysków, w którym na cześć nowego arabskiego napoju wystawił pawilon »caffeaus«. Kawiarnie zwano zrazu w Rzymie »caffeausami«, a jakim sposobem dostało im się właśnie niemieckie nazwisko, to już trudno dociec; może dlatego, że w Wiedniu, po odsieczy, założył pierwszą kawiarnię zasłużony około miasta Kulczycki, który się podczas oblężenia przekradał przez obóz turecki, przynosząc Sobieskiemu wiadomości z oblężonego miasta. Marchese Zagnoni miał około pięćdziesięciu lat; przystojny, żądny zabaw, a dość próżny, wystarał się o komandoryę orderu świętego Stanisława u króla polskiego, a następnie został nawet honorowym regimentarzem jednego z polskich pułków. Trzeba przypuścić, że pośrednikiem w otrzymaniu tych zaszczytów był monsignor Taruffi, który i Albergatemu wyrobił polskie tytuły.

Na majówkach u Zagnoniego bywał cały wielki świat rzymski, gdyż się tam wybornie bawiono, a na zbyt swobodne zachowanie się gości patrzano pobłażliwie przez szpary. Do największej świetności doszły te przyjęcia za Piusa VI, którego panowanie w pierwszych dwudziestu latach było ciągłym karnawałem. Towarzystwo ożywiał monsignor Ruffo, podskarbi papieski, prałat bogaty, gościnny, urządzający ciągłe zabawy i koncerty w swoim pałacu przy placu SS. Apostoli. Nadwornym niejako poetą wesołego świata był Monti, który w swych sonetach opiewał wdzięki rzymskich piękności. Co do Montego nie było najmniejszej obawy, aby zdradzał miłosne tajemnice; znalazł się jednak jakiś mniej obyty w świecie wierszokleta, który w satyrze »La Galleria« wyja-

wiał niepotrzebne rzeczy. Zajmował on się osobliwie uroczemi siostrami Petracchi, które nosiły piękne imiona: Palmira, Rosalinda i Teresina, a zwano je trzema Gracyami i mówiono o nich za dużo.

Satyryk był nadzwyczaj złośliwym wobec pań już niemłodych, wymalowanych i po wiosennemu wystrojonych, które przybywały na majówki Zagnoniego, aby po raz może ostatni usłyszeć w cieniu wawrzynów dwuznaczne słowa miłości. O jednej z nich, o signorze Remoli, powiada poeta, że wyglądała jak starożytny obraz pędzla św. Łukasza, zakopcony i poczerniały z biegiem czasu:

Immagine antichissima creduta di S. Luca
Affumicata e rancida con una grossa buca.

Każda z zaproszonych, młoda czy podeszłego wieku, przybywała ze swoim cicisbejem, najczęściej abatem, z wyjątkiem może księżnej de Ceri, Katarzyny Odescalchi, której satyra nic nie mogła zarzucić, prócz serca, jakby z marmuru.

Quel volto nulla dice, e fredde quel colore
Ma l'occhio ognor ridente nostra sincero il core.

Przyjęcie u Zagnoniego było zawsze bardzo wykwintne, roznoszono chłodniki i sorbety, »lambrusco« z winnic gospodarza, wina hiszpańskie, a pomiędzy innemi maderę, wówczas bardzo modną. Bufet był ustawiony w »Caffeausie«. Gdy muzyka zagrała, panie, osobliwie młodsze, pobiegły za odgłosem trąb, gdy wtem naraz słychać było piskliwe okrzyki przerażenia. Co się stało? Na mostku, przez który trzeba było przechodzić do muzyki, otwarły wodotryski ze wszystkich stron swe dzióby: z góry, z boków i z pod spodu. Panie nie wiedziały, w którą stronę uciekać, młodzież korzystała z przerażenia, aby z tej niespodziewanej kąpieli powynosić na rękach lekkie i piękne, gdy tymczasem otyłe i podstarzałe musiały się ratować same. Dla tych, które przemokły, były już przygotowane przebrania, ale tylko stroje ludowe, jako dające się łatwiej zastosować do rozmaitych figur. Wkrótce całe towarzystwo stanęło do saltarelli lub tarantelli.

Wieczorem kolacya.

III.

Bardziej może zajmujący, aniżeli ściśle rzymskie towarzystwo, był świat cudzoziemski, który się łączył z rzymską arystokracyą, zawsze bardzo uprzejmą dla »stranierów«. Rzym był wówczas rajem dla podróżników z Północy; nęciła ich tam wielka taniość, urok przeszłości, koncerty, przyjemne życie i najzupełniejsza swoboda. O ile rząd papieski śledził na każdym kroku własnych poddanych i inkwizycya miała ich zawsze na oku, o tyle dla cudzoziemca był nadzwyczaj wyrozumiałym, bo Anglicy, Niemcy, Francuzi przywozili pieniądz do ubogiego kraju, a po większej części zajmowali się archeologią, sztuką, nie mięszając się wcale w religijne i polityczne sprawy. Przed wojnami napoleońskiemi przeważali w Rzymie Anglicy, a pomiędzy nimi było jeszcze dużo takich typów, jakie zwłaszcza w XIX wieku przedstawiano we francuskich komedyach.

Pierwszeństwo należy się synowi znanej lady Montagu, słynnej autorki. Charles Wortley Montagu bawił w roku 1762 w Rzymie, a mówiono o nim i w salonie i na ulicy. Gdyby przyszło rozstrzygać, kto był większym awanturnikiem, Casanova czy Montagu, to chyba drugiemu trzebaby przyznać palmę pierwszeństwa. Do charakterystyk awanturników XVIII wieku należało, że po większej części byli ludźmi bardzo wykształconymi, a nawet uczonymi i chętnie się popisywali swoją wiedzą. Charles urodził się w Konstantynopolu, gdzie ojciec był angielskim ambasadorem (1716—19), i podobno na nim pierwszym z Europejczyków próbowano szczepienia ospy. Powóciwszy do Anglii, oddali rodzice malca do szkoły w Westminster; ale chłopak niespokojny uciekł stamtąd, a obawiając się powrócić do domu, najmował się do zamiatania ulic w Londynie. Gdy mu się znudziło wywożenie nieczystości z miasta, pracował u rybaków, dopóki się nie dostał na okręt angielski, płynący do Portugalii. Z kapitanem, rygorystą Kwakrem, nie mógł się wszakże zgodzić; pozostał więc w Portugalii i znalazł zajęcie jako poganiacz mułów. Przypadkiem odkryła go rodzina i oddała na uniwersytet w Lipsku. Tam

był przez jakiś czas zadowolony, poświęcił się matematyce, fizyce, botanice, pracował nad rozmaitemi odkryciami w dziedzinie astronomii i fizyki, a w wolnych chwilach studyował języki wschodnie.

Ale i tu mu się znudziło, a rodzice, znając już awanturnicze usposobienie syna, wysłali go do Indyi Zachodnich. Liczne podróże, poznanie świata były powodem, że się nieco ustatkował; wrócił więc do Anglii i tak dalece spoważniał, że mógł zasiąść w parlamencie, gdzie się niebawem odznaczył jako znakomity mowca. Wróżono mu świetną przyszłość, posażne panny miały na niego oko zwrócoee, gdy wtem nagle rozgłoszono w Londynie, że zaślubił praczkę. Niedobrany związek wkrótce go znudził, a nie mogąc inaczej zerwać małżeństwą, nikomu nic nie mówiąc, wyjechał z Anglii, prawie bez grosza. Na stałym lądzie wyszukiwał sobie najrozmaitsze zajęcia: w Niemczech służył wojskowo, w Holandyi i w Szwajcaryi najmował się do gospodarstwa wiejskiego, z potrzeby bywał lokajem, pocztylionem i furmanem po pańskich domach. Czasami wznosił się wyżej w hierarchii społecznej, w Paryżu próbował śmiesznego zawodu jako petit-maitre, w Rzymie przywdział suknie abata, w Hamburgu głosił słowa Boże, jako pastor z wielką białą kryzą na szyi, słowem, najdziwaczniejsze przechodził koleje. Do jednego ze znajomych pisał, że próbował wszystkich zawodów, które Fielding wymyślił dla swego Juliana: »Mój los, mówił, był losem gwinei, którą raz miała królowa w swej ręce, a drugi raz ubogi Żyd w brudnej kieszeni!«

Tymczasem ojciec, który umarł w r. 1761, wydziedziczył go na korzyść córki, lady Bute, ale mu wyznaczył tysiąc funtów rocznej pensyi, która po śmierci matki miała się jeszcze podwoić. Charles mógł więc żyć przyzwoicie i nie szukać przypadkowych zajęć. Pojechał też do Rzymu, gdzie się dostał w towarzystwo uczonych i poznał Winckelmanna. Archeologów zajmował właśnie spór, jak tłómaczyć napisy sinaityckie, zwłaszcza, że nie mieli dobrych kopii. Skory do dalekich podróży Montagu, oświadczył, że pojedzie do Azyi i odcyfruje litery. Miał zamiar przebrać się za Araba, pozostać dziesięć lat w Egipcie i Arabii; zapuścił więc brodę

i uczył się wschodnich języków. W Rzymie mówiono, że nie tyle jest oryginałem, ile chce za takiego uchodzić, że postawił sobie za cel życia, aby do nikogo nie być podobnym. Umysł to pełen sprzeczności, uderzał niezwykłą logiką, lub raził brakiem konsekwencyi. Wiadomości miał mnóstwo, albo w wykształceniu pełno było braków, tak, że często dziwiono się jego nieuctwu.

Dwa lata trwała podróż dziwaka z Aleksandryi na Kair do Sinai, gdzie wprawdzie dłuższy czas bawił, ale napisów, o które chodziło, odcyfrować nie mógł; natomiast w Palestynie porobił odkrycia, które zajęły archeologów. Z Aleppo pisał zajmujące listy do Winckelmanna, drukowane później w Paryżu.

Montagu miał dość oryginalny, lubo niezbyt honorowy zwyczaj, że prawie wszędzie, gdzie dłużej mieszkał, zawierał związek małżeński z kobietą tej narodowości, pomiędzy którą przebywał; raz był żonaty z Hiszpanką, dwa razy z Greczynkami, tylko w Rzymie bawił z Angielką, o której mówił, że jest jego krewną. Zawsze był wzorowym mężem, ale tylko do pewnego czasu; gdy mu się towarzyszka życia znudziła, porzucał ją, wyjeżdżając w świat pod jakimkolwiekbądź pozorem. W Aleksandryi bardzo mu się podobała żona duńskiego konsula; aby sobie ułatwić z nią stosunek, wysłał Duńczyka do Holandyi, rzekomo za swymi majątkowymi interesami, i był tak szczęśliwv ze słomianą wdową, że ją postanowił poślubić. Po kilku więc miesiącach pobytu w Aleksandryi pokazał konsulowej list z Holandyi, donoszący, że mąż jej umarł, że przeto ich małżeństwu nic nie stoi na przeszkodzie. Konsulowa się zgodziła na nowe śluby; szczęśliwa para pojechała w podróż do Syryi, a następnie do Konstantynopola. Duńczyk jednak powrócił do Aleksandryi, zaczął poszukiwać żony i z pomocą swego urzędowego kolegi w Stambule dowiedział się o jej podróży z Anglikiem. Montagu spostrzegł, że mu grozi niebezpieczeństwo; zniknął więc pewnego dnia z tureckiej stolicy, pozostawiając żonę na los szczęścia, i wypłynął na widok publiczny dopiero we Włoszech, w r. 1765, w Pizie.

Wschód i tureckie zwyczaje bardziej go pociągały, aniżeli

Europa. W r. 1768 znów wybrał się do Turcyi, wiedząc, że mu tam już nie grozi żadne niebezpieczeństwo; w Konstantynopolu przeszedł na wiarę Proroka, zachowywał muzułmańskie zwyczaje i modlił się zwrócony do Mekki. Starzał się jednak i zatęsknił za Zachodem. Przeniósł się więc do Wenecyi, gdzie żył w odosobnieniu, jak prawdziwy Turek. Anglicy dowiedzieli się o jego pobycie w stolicy dożów, a ambasador angielski w Neapolu, przejeżdżając przez Wenecyę i jego towarzysz Moor, postanowili go odwiedzić. Montagu przywitał rodaków uprzejmie i zaprowadził przez kilka po wenecku urządzonych pokoi do tureckiej komnaty. Zwyczajem wschodnim nie było tam krzeseł, goście usiedli na sofie, a gospodarz na poduszce, na ziemi, skrzyżowawszy nogi jak prawdziwy muzułmanin. Młody chłopak, piękny murzyn, siedział koło niego, a stary Turek z długą, siwą brodą podawał kawę i w srebrnem naczyniu palił aromatyczne żywice. Montagu wdychał zapach z rozkoszą i wcierał sobie dym w brodę. W rozmowie z Anglikami nie mógł się nachwalić uczciwości i szlachetności Turków, a stanowisko kobiet we wschodniem społeczeństwie wydawało mu się bardzo rozumne. Mimo to, zdaje się, że musiał przejść później na katolicyzm, gdyż został pochowany w klasztorze Augustyanów w Padwie (1776 r.).

Do takich typowych angielskich oryginałów należał także lord Baltimore, który często przebywał w Rzymie, bogacz nad bogacze. Był właścicielem prawie całej Virginii i Marylandu, miał 30.000 funtów rocznego dochodu, a tak go świat znudził, że postanowił ciągle podróżować. Jeździł zresztą w wesołem towarzystwie ośmiu pięknych kobiet, których pilnowało dwóch murzynów. W r. 1768 bawił jakiś czas w Wiedniu. W haremie swoim robił dyetetyczne doświadczenia; skłonnym do otyłości swoim huryskom kazał podawać same kwaśne potrawy, za nadto szczupłe żywił mlekiem i rosołem. Gdy w stolicy zaczęto się gorszyć haremem Anglika i dyrektor policyi kazał się zapytać, która z towarzyszek jest jego żoną, lord zaraz wyjechał, mówiąc, że nie znosi tego, aby się wdawano w jego domowe stosunki. W Rzymie policya była mniej ciekawą.

Pomiędzy Angielkami, mieszkającemi w Rzymie, słynęły

przez jakiś czas z piękności lady Sidney i miss Taylor, w której się zakochał młody, przystojny i bardzo bogaty Anglik, Wilbraham Bootle. Miss Taylor nie miała posagu, ale ufała w swoją urodę. Na wielkim obiedzie przedślubnym u lorda Camelforda opowiadano, że właśnie tego dnia umieszczono krzyż na kopule św. Piotra i że robotnik okazał niemało odwagi i zimnej krwi, aby się dostać na szczyt, gdyż trzeba było drapać się po kuli na zewnątrz. Mister Bootle zauważył, że z powodu zawrotu głowy nie odważyłby się za nic w świecie próbować tego zadania.

— Za nic w świecie? — zauważyła miss Taylor.

— Tak, rzeczywiście — odpowiedział Bootle.

— Nawet gdybym Pana o to prosiła?

— Jestem przekonany, że nie zażądałabyś Pani odemnie czegoś, do czego mam wstręt nieprzezwyciężony.

— Owszem, ja Pana o to proszę, a jeżeli trzeba, wymagam tego.

Bootle chciał rzecz obrócić w żart, ale miss Taylor uparcie trwała przy swojem żądaniu, pomimo że lord Camelford przedstawiał jej niedorzeczność tego zamiaru.

Gdy miss Taylor nie dała się przekonać, umówiono się o godzinę, w której jej narzeczony miał nazajutrz wykonać niebezpieczne przedsięwzięcie. Całe towarzystwo angielskie zebrało się przed św. Piotrem; Bootle z zimną krwią i z wielką zręcznością wyszedł na gałkę kopuły, a gdy wrócił z karkołomnej wyprawy, całe towarzystwo powitało go z szczerą radością, miss Taylor zaś z tryumfem zbliżyła się do niego z wyciągniętą ręką. Młody Anglik rękę pocałował i z powagą rzekł do narzeczonej: »Miss Taylor, zadość uczyniłem kaprysowi pięknej kopiety, pozwól pani jednak, że nawzajem dam jej radę, że władzę trzeba się starać utrzymać, ale jej nie nadużywać. Życzę pani wiele szczęścia, a teraz żegnam ją«.

Bootle pokłonił się towarzystwu, wsiadł do przygotowanego już powozu i wyjechał z Rzymu. Miss Taylor została starą panną.

Od początku XVIII wieku ogromnie powiększa się ilość niemieckich podróżnych, cały szereg książąt zwiedza Rzym, ale mało takich rodzin, któreby brały udział w towarzyskiem

życiu. Artyści niemieccy i uczeni, o których jeszcze będzie mowa, tworzyli najczęściej osobne koło, oddani pracy, inne zaś osobistości przybywały tylko, aby studyować zabytki starożytności, a po zwiedzeniu jeszcze Neapolu wracały na północ.

Po zakończeniu hiszpańskiej wojny sukcesyjnej, kiedy cesarz Karol VI mógł zaliczyć do swych krajów oprócz Medyolanu i Mantuy także Neapol i Sardynię, stał się Rzym ważną stacyą dla dyplomatów i dygnitarzy habsburskich, dążących na południe. Cesarscy posłowie w Rzymie występowali z wielką okazałością, osobliwie hrabina Gallas z domu Dietrichstein zasłynęła ze wspaniałych przyjęć, a gdy hr. Gallas wyjeżdżał w r. 1719 z Rzymu, aby objąć stanowisko wicekróla w Neapolu, całe miasto się dziwiło, że nikomu nic nie został winien, wszystkich kupców gotówką pozapłacał, a nawet służbie rzymskiej podarował znoszone liberye. A zdarzało się często, że obcy ambasadorowie wyjeżdżali z Rzymu, pozostawiając mnóstwo długów. To też arystokracya rzymska odprowadzała Gallasa aż do Velletri, a książę Gaetani z Sermonety wydał mu pożegnalną ucztę pod namiotem, na błotach pontyńskich. Dziennik »Caracas« opisywał z wszelkimi szczegółami przyjęcia i bale, które dawali cesarscy ambasadorowie. W r. 1721 arystokratyczna kolonia niemiecka była tak liczna, że podczas karnawału trzydziestu sześciu panów, w części należących do ambasady, urządziło pochód, przedstawiający tryumf Herkulesa. Kardynał Althann dostarczył im koni i powozów.

Gdy w r. 1734 Austryacy musieli opuścić Neapol i Sycylię i cesarstwo uznało tam panowanie Burbonów, ustały te wspaniałości.

Ze znakomitości literackich bawił w Rzymie w drugiej połowie XVIII wieku poeta Herder, który pisywał barwne listy do swej żony, pozostałej w Niemczech. Życie w pałacach nie bardzo mu się podobało, sądził, że zanadto się tam uważa na zewnętrzne pozory i że stolica papieska jest właściwie wyższą szkołą ceremoniału i salonowego życia. Narzekał, że sobie musi sprawić czarny i fioletowy frak, gdyż przywiózł ze sobą tylko czarny surdut. Kapelusza i butów robionych w Niemczech nie może nosić, a przebranie się za Rzymianina pociąga za sobą znaczne wydatki.

Także Goethe nie życzył sobie, aby mu przeszkadzano w jego pracach; więc przybył do Rzymu pod nazwiskiem jakiegoś Müllera, mieszkał u malarza Tischbeina i gniewał się, gdy Arkadyjczycy, chcąc mieć w swoim gronie tak znakomitą osobistość, zdradzili jego incognito i przysłali poecie dyplom na członka Akademii arkadyjskiej, nadając mu nazwę Megalio Melpomenio. Goethe obracał się, jak zobaczymy, prawie wyłącznie w towarzystwie artystów niemieckich, a najchętniej bywał w domu Angeliki Kaufmann. Temu brakowi światowości zawdzięczamy jednak jego »Podróż do Włoch«, która do dziś dnia się nie przestarzała i jest może najwięcej czytaną książką ze wszystkich opisów Włoch w XVIII wieku.

Fryderyk Schiller tylko marzył o Włoszech, nie mogąc nigdy przedsięwziąć podróży na Południe. Ale w jednej ze swych pięknych strof wyraził całe pragnienie północnego poety do zwiedzenia Rzymu:

Prächtiger, als wir in unserm Norden,
Wohnt der Bettler an den Engelspforten,
Denn er sieht das ewig einz'ge Rom!
Ihn umgibt der Schönheit Glanzgewimmel,
Und ein zweiter Himmel in den Himmel
Steigt Sankt Peters wunderbarer Dom.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

PAPA LAMBERTINI.

I.

W pierwszych czterdziestu latach XVIII wieku zasiadali na papieskim tronie sami członkowie wielkich rodów, jeden Umbryjczyk, Albani, trzech Rzymian: Conti, Orsini i Corsini.

Albani przyjął imię Klemensa XI (1700—1721) i rzec można, panował za długo. Mierny umysł, charakter chwiejny, nieszczęśliwy w polityce, wydał słynną bullę »Unigenitus«, potępiającą zasady francuskich Jansenistów. Ale spory religijne mniej go martwiły, aniżeli nieszczęśliwe wojny z cesarzem Józefem I. »Jeżeli wiara upada we Francyi, mawiał, to mniejsza o to, powstanie tysiąc apostołów, aby ją znowu przywrócić; ale gdy niemieckie żołdactwo zniszczy ziemię państwa papieskiego, to apostołowie całego świata nie potrafią stworzyć jednej główki kapusty«. Widocznie papież miał zdrowy rozsądek, mimo to jednak nic pożytecznego nie zdziałał dla państwa. Za niego powstało przysłowie, którego się później Napoleon trzymał dosłownie, że papieżowi trzeba całować nogi, a związać ręce.

Po Albanim nastąpił Michele Angelo Conti (1721—1724) jako Innocenty XIII, jeden z najznakomitszych papieży XVIII wieku. Wyborny administrator, państwo kościelne zaczęło się za jego rządów podnosić, publiczne bezpieczeństwo

się wzmogło; ale za krótko panował, aby naprawić wszystko złe, nagromadzone przez długie czasy.

Co było dobrego za Innocentego XIII zepsuło się pod jego następcą, Wincentym Maryą Orsinim, Benedyktem XIII (1724—1730). Ówczesny jenerał Dominikanów Cloche powiedział o nim, że Orsini to jak róg myśliwski, twardy, kręty i pusty. Do tej charakterystyki trzeba było dodać, że papież był niesłychanie zarozumiały na swe pochodzenie i do niemożliwości uparty, co nie przeszkadzało, że się dał zupełnie opanować swemu ulubieńcowi, kardynałowi Nicoli Coscia, który do reszty zrujnował finanse państwa ździerstwami i przekupstwem. Benedykt był bardzo pobożny i większą część dnia spędzał na modlitwie, pozostawiając rządy Coscii. Nieprzyjaciele kardynała znaleźli sposobność, aby powiedzieć papieżowi o bardzo niemoralnem życiu jego ulubieńca; było zresztą wiadomem w całym Rzymie, że zanadto często przyjmuje płeć piękną w swoim pokoju. Coscia postanowił więc papieża przekonać, że to był wymysł oszczerczy. Postarał się, że ktoś doniósł Ojcu świętemu, że o tej a o tej godzinie będzie u kardynała osóbka znana w mieście z niemoralnego życia; papież się rozgniewał i poszedł do pokoju swego ulubieńca, szybko drzwi otworzył i — zastał Coscię klęczącego i pogrążonego w modlitwie przed krucyfiksem.

Benedykt się przekonał, że kardynała oczerniono.

W ostatni wtorek r. 1730 był Coscia w teatrze w chwili, kiedy się rozeszła wiadomość, że papież umarł. Natychmiast spuszczono zasłonę, a publiczność zaczęła krzyczeć »Spalić Coscię! spalić Coscię!« Kardynał uciekł jednak czem prędzej, a lud zemścił się tylko na jego pałacu, rabując i niszcząc całe mienie znienawidzonego ździercy. Zresztą następny papież uczynił zadość publicznej opinii, skazując Coscię na dziesięcioletnie więzienie w zamku św. Anioła, na zapłacenie 100.000 skudów i na utratę beneficyów.

Tym następnym papieżem był Klemens XII Lorenzo Corsini (1730—1740), który miał tę zasługę wobec artystycznej potomności, że założył kapitolińskie muzeum, zakupując od kardynała Aleksandra Albaniego zbiór popiersi rzymskich cesarzy i marmurów z napisami za cenę 66.000 skudów. Zresztą

papież nie wiele mógł zdziałać, bo w chwili wyboru był już prawie ciemnym, a jego synowiec Neri Corsini rządził papieskiem państwem. Sekretarz stanu przychodził do papieża, leżącego prawie zawsze w łóżku, zdawał mu sprawę z interesów i przedkładał bullę do podpisu, kładąc rękę Klemensa na miejscu, gdzie miał swoje imię położyć. Oczywiście papież nie wiedział nigdy, co podpisuje; sekretarz stanu dodawał słowa: »Annuit Sanctissimus« i rzecz była skończona.

Wobec takich stosunków największy był czas, aby wybrano papieża, któryby coś działał, a przedewszystkiem doprowadził finanse państwa do ładu.

Conclave po Klemensie XII w r. 1740 trwało bardzo długo; stawiano rozmaitych kandydatów, ale w żaden sposób nie było można uzyskać większości głosów. Kardynał Lambertini miał wtedy powiedzieć do swych przyjaciół w conclave: »Szkoda czasu na płonne narady; jeżeli chcecie mieć świętego, to wybierzcie kardynała Goti, jeżeli wolicie polityka, oddajcie głosy Aldobrandiniemu, a jeżeli zadowolnicie się poczciwcem (se volete un buon coglione), to go macie we mnie«.

Otwartość, zdrowy rozum, dobra wola charakteryzowały tego Bolończyka, a gdy nareszcie większość kardynałów zgodziła się na niego, wybrano najpopularniejszego papieża XVIII wieku. Ktoś ze współczesnych powiedział o Lambertinim, który przyjął imię Benedykta XIV i o sułtanie Mahmudzie, że obydwaj są tak rozumnymi ludźmi, że gdyby zamienili swe stanowiska, a pierwszy z nich został sułtanem, drugi zaś papieżem, toby nikt tej zmiany nie spostrzegł. Powiedzenie trochę śmiałe, ale dowodzące tylko, że rozsądek połączony z dobrocią serca wszędzie potrafi zapanować nad okolicznościami.

Odpowiedzialność za ocenienie Mahmuda pozostawiamy twórcy owego porównania; nam tylko stwierdzić przychodzi, że papa Lambertini stał się właśnie z powodu wielkiej trze-

źwości umysłu i dobroci serca wysoce szanowanym i lubionym papieżem w całej nie tylko katolickiej, ale i protestanckiej Europie. Już postać Benedykta XIV wzbudzała zaufanie; nizki, trochę otyły, o okrągłej i świeżej twarzy, o wydatnym nosie, dużych niebieskich oczach i jowialnym uśmiechu, chodził po ulicach i zaułkach Rzymu, opierając się na długiej lasce z hiszpańskiej trzciny, jak zwykły monsignor. Znała go publiczność. gdy bowiem dawniejsi papieże rzadko kiedy pokazywali się poza ogrodami Kwirynału albo Watykanu, Lambertini chciał wszystko widzieć własnemi oczyma, powiadają nawet, że raz wstąpił ze swym towarzyszem do jakiejś ludowej osteryi, aby się przypatrzyć, jak się bawią Rzymianie.

Z usposobienia skromny, niezarozumiały, pomimo że pochodził z jednej z najznakomitszych rodzin bolońskich, pozostał na tronie papieskim takim, jakim był jako prałat w Bolonii. »Wyżej doszedłem, aniżeli się spodziewałem, mówił raz do monsignora Pallaviciniego, nie wskutek moich zasług, ale że zawsze służyłem, jak umiałem najlepiej, papieżom i ludziom uczciwym, »e per aver assegnato agli altri un appartamento nelle parti derettane del mio corpo«.

Na papieskim tronie nie czuł się wszakże szczęśliwym; skarżył się, że go ceremonie i pochlebstwa na śmierć zamęczają, ubolewał, że ciągle musi się bronić przed kłamstwami, które ludzie chcą w niego wmówić i walczyć przeciw dworszczyźnie, którą go radzi upoić.

Z usposobienia otwarty, ożywiony, lubił mówić, co myślał i okraszać swą rozmowę wesołymi żartami. Gdy mu po wyborze przyniesiono papieskie suknie, zauważył, że są za ciasne, że się monsignorzy omylili, że myśleli, iż papieżem zostanie suchotnik; kazał sobie więc podać nożyce i sam rozciął kamizelę według potrzeby. Szczerość i żartobliwość Lambertiniego raziła prałatów, lubujących się w ukrywaniu swych myśli, a nawet publiczność rzymska, przyzwyczajona do otaczania papieża jakąś tajemniczością, miała mu je za złe. Pasquino zauważył, że papież często mówi rzeczy, które raczej zamilczeć był powinien i napisał mu taki nagrobek:

Qui giace Lambertini da Bologna,
Che visse e scrisse più che non bisogna.

Słynny prezydent De Brosses, znając sposób wyrażania się Lambertiniego jeszcze jako kardynała, sądził, że zacny prałat będzie się musiał pozbyć na Stolicy Apostolskiej »de l'habitude plus grenadière que papale« dobierania słów zbyt dobitnych. Ale i najwyższa godność w chrześcijaństwie nie wykreśliła ze słownika profesora bolońskiego najulubieńszego wyrazu »caglione«, oznaczającego człowieka, który bardzo przypomina głupca.

Kardynał Spinelli jednak lepiej, aniżeli Pasquino i De Brosses, ocenił prawdomówność papieża, utrzymując, że Lambertini musi mieć nadzwyczaj czystą duszę, jeżeli się nie obawia, aby swoboda języka nie rzuciła cienia na jego cnotę.

Równie i do ceremoniału watykańskiego nie mógł się papa Lambertini przyzwyczaić, a gdy mu było za wiele tego nudziarstwa, uciekał do małego Casina w ogrodzie kwirynalskim, aby się wyswobodzić od płaszczących się pochlebców. To Casino kazał wybudować, aby w niem przyjąć króla Karola neapolitańskiego, którego sam niby przypadkowo miał spotkać i w ten sposób uwolnić się od męczących przepisów powitalnych dwóch monarchów. Ale rzecz się nie udała, bo jak tylko król Karol zobaczył papieża na końcu cienistej alei, szybko uklęknął według przyjętego zwyczaju.

— Che caglione! — powiedział Lambertini do swego otoczenia; ale w tej chwili poprawił się i dodał, że trzeba Boga prosić, ażeby wszyscy monarchowie katoliccy byli ulepieni z tej samej gliny, co ten król neapolitański.

Mimo że papież nie lubił ceremoniału, bardzo mu jednak na tem zależało, aby znakomite osobistości, przyjeżdżające do Rzymu, oddawały mu hołdy należne głowie Kościoła. Gdy książę würtemberski, bawiąc w Rzymie, nie prosił papieża o posłuchanie, jak mówiono, z tego powodu, aby mu nóg nie całować, papież się uraził i w kilku listach do kardynała de Tencin z niechęcią się o tem wyrażał. »Król obydwóch Sycylii poddał się temu ceremoniałowi, pisał papież, a przecież większą jest osobistością, aniżeli ten książę niemiecki«. Cieszyło też papieża, gdy mógł donieść Tencinowi, że książę bardzo nędznie wyglądał w Rzymie. Jeździł wraz żoną w wynajętej dorożce jednokonnej i z cudzym lokajem. Zakupił kilka

mniemanych antyków, które bardzo przepłacił. Zacni ludzie odsuwali się od niego, gdyż się w pałacu (w Watykanie) nie przedstawił«.

Mimo tych słabostek papież dopiero wtedy był szczęśliwym, gdyż się pozbył wszystkich posłuchań i ze swoimi ulubieńcami, majordomem Colonną, priorem Bouget de Saumur i kardynałem Aleksandrem Albanim zaczął swobodnie rozmawiać o nowinąch miejskich, o znajomych, o sztuce i literaturze. Wtedy puszczał wodze swemu dowcipowi i nie czuł się skrępowanym nieszczęsnym ceremoniałem.

Osobliwie lubił Bougeta dla jego dowcipu i dobrego humoru; zapraszał go też do siebie na willegiaturę do Castel Gandolfo. Prałat miał słabość do piwa, a Lambertini zapewniał raz Tencina, że pomimo nagromadzonego zapasu tego napoju w papieskiej piwnicy, Bouget tak gładko powypróżniał butelki, że trzeba było posyłać po piwo do Albano, do króla Stuarta, do Frascati i do Rzymu. Przeor wszystko wypił bez najmniejszej szkody dla zdrowia i skarżył się tylko, że mu w nocy było trochę za gorąco, ale winne temu, jak utrzymywał, nie piwo, tylko ciężkie kołdry. Gdy mu zwrócono uwagę, że może za dużo używa owego nektaru, wymawiał się, że papieski lekarz radzi mu usilnie, aby nie zapominał o piwie.

Papież mógł śmiać się z prałata, gdyż sam był bardzo wstrzemięźliwym; rano filiżanka czekolady z sucharkiem, w południe zupa, jarzyna, pieczyste i jedna gruszka, a wieczór czysta woda z cynamonem. Pościć nie lubił, bo jaja mu szkodziły; zamiast więc postnych potraw jadł wogóle mniej w piątki i soboty, aby się umartwić. Zamiast pieczystego kazał sobie podawać pot-au-feu. Gdy kardynał Tencin skarżył się na bole żołądka, radził mu także nie pościć.

Papież był słynnym kanonistą, ale czytywał i poetów, a zwłaszcza Dantego i Aryosta, aby zachować żywość wyrażeń i energię myśli. Pomimo że na tronie papieskim nie miał dużo czasu do literackich zajęć, wiedział o wszystkiem, co się działo w świecie naukowym, bo pilnie słuchał opowiadań i miał nadzwyczajną pamięć, a rzec można, że jedyną jego słabostką była sława literacka; o tę mu bardzo chodziło.

Głośna kanoniczka paryska, pani Claudine Alexandrine Guérin de Tencin, ułatwiała papieżowi zaznajamianie się z francuskim ruchem umysłowym, przesyłając do Rzymu co roku almanachy, zawierające najważniejsze wiadomości o osobistościach słynnych w literaturze. Gdy się raz z tą przesyłką spóźniła, papież bardzo się na nią obruszył; ale pani de Tencin starała się zaraz rozwiać te złe humory, wywiązując się zaraz potem ze swego obowiązku.

Literacki stosunek Lambertiniego z ową kanoniczką mógł każdego zadziwić, kto znał przeszłość tej francuskiej intrygantki. Pani de Tencin, urodzona w roku 1682 w Grenoble, oddana wcześnie do klasztoru, starała się jak najprędzej stamtąd uwolnić; otrzymawszy unieważnienie swych zakonnych ślubów, piękna i dowcipna, rozpoczęła tak wesołe życie, że nawet w XVIII wieku zwracała na siebie uwagę. Irlandzkiego hrabiego Artura Dillon obdarzyła dwojgiem dzieci; chevalier Destouches, oficer od artyleryi, wybierając się na Antyle, pozostawił jej syna, którego oddała do domu podrzutków, słynnego później d'Alamberta. Tak się mało wszakże troszczyła o swego potomka, że przez całe życie raz go tylko widziała, i to w pierwszym czy w drugim roku po urodzeniu. W taki to sposób schodziła jej młodość; romansów liczyła na dziesiątki, a przytem umiała wyzyskiwać kochanków, zrobiła duży majątek. Do tego przyczynił się niemało jej stosunek z Lawem i spekulacye na akcye Mississippi, które sprzedała jeszcze przed bankructwem bankiera. Przez długi czas miała romans z ministrem Dubois i z jego pomocą wyprotegowała swego brata, młodego duchownego, człowieka bardzo miernych zdolności, na konklawistę kardynała de Bissy.

Mając lat czterdzieści pięć i otyłą postać, zaczęła pani de Tencin grać rolę w religijnym świecie; otworzyła salon na rue St. Honorée, w którym bywało kilku znakomitych ludzi, jak Marmontel, Bernis, Helvetius, Montesquieu i wielu Jezuitów; prowadziła wojnę z Jansenistami i była poważną matroną, którą zaczęto nazywać »une mère de l'Eglise«. Brat François nauczył się zręczności od siostry, pochlebiał Jezuitom w Rzymie, został kardynałem, a jakby przeczuwał, że Prosper Lambertini będzie kiedyś papieżem, zaprzyjaźnił się

z nim i stał się nieodstępnym towarzyszem bolońskiego prałata. To wszakże nie przeszkadzało, że pisał o nim, iż Lambertini »bardzo umiarkowany w rzeczach religijnych i najlepszy na świecie komik«.

Przewidywania się sprawdziły; Lambertini został papieżem, w znacznej części dzięki intrygom Tencina, i zachował dla francuskiego kardynała dawną przyjaźń. Łaski Ojca świętego spłynęły tym sposobem i na panią de Tencin. Papież zapewne niewiele wiedział o burzliwej przeszłości dawnej mniszki, mówiono mu tylko o jej przywiązaniu do Kościoła, o jej wpływowym salonie. Wskutek tego zawiązała się pomiędzy papieżem a panią de Tencin korespondencya, której wynikiem było przesyłanie paryskich almanachów do Rzymu. Na Nowy Rok 1742 podarował jej nawet papież swój portret, aby go zawiesiła w literackim salonie. Zręczna Francuzka, dziękując za tę łaskę, umiała trafić w najtkliwszą stronę Benedykta XIV, pisząc mu, że zanim uświetnił szereg panujących, zajmował pierwsze miejsce pomiędzy najznakomitszymi uczonymi. Siebie zaś wychwalała. pisząc »J'étais Votre fille spirituelle, avant que Vous fussier le père commun des fideles«. Prawdę powiedziawszy, papież mógł tylko z daleka być dumnym, że ma taką »duchową córkę«.

Papieżowi zależało także na tem, aby jego dzieła błyszczały w pięknem wydaniu w bibliotece na rue St. Honorée. »Posłałbym pani de Tencin, pisał do jej brata kardynała, moje książki, ale wstyd mnie, że papier taki nędzny; wolę więc zaczekać na drugie wydanie, które się drukuje, gdyż dorówna najpiękniejszym książkom paryskim«. Nie tylko książką, ale i przysługami starał się papież wywdzięczyć pani de Tencin za almanachy; i tak wskutek jej protekcyi kazał zmniejszyć jakieś należytości, które winno było Rzymowi opactwo Boulainvilliers, a gdy do niej pisał, rad był, aby te listy były odczytane na zgromadzeniach w jej salonie. »Jeżeli nasz list, wyrażał się 9 sierpnia 1743, będzie odczytany na zebraniu »de ses beaux esprits«, to tuszymy, że będzie przyjęty równie dobrze, jak nasze pisma poprzednie«.

Benedykt XIV namiętnie lubił książki; nie można mu było sprawić większej przyjemności, jak wzbogacić jego bi-

bliotekę, którą w testamencie zapisał miastu Bolonii. Ambasadorowie francuscy prosili często króla, aby przesyłał papieżowi najpiękniejsze wydawnictwa, jakie wychodziły z drukarni Luwru. Wiedzieli o tem autorowie, więc i Montesquieu ofiarował swój »Esprit des Lois« i Wolter »Mahometa« z nadzwyczaj uniżonym listem, w którym prosił papieża o błogosławieństwo i o podpisanie pod swym portretem następującego dystychu:

Lambertini hic est, Romae decus et pater orbis,
Qui mundum scriptis docuit, virtutibus ornat.

Na to trochę niezręczne pochlebstwo odpowiedział papież dobrotliwym, ale niezbyt dowcipnym listem, zakazał wszakże wydania tragedyi Woltera w Rzymie w tłomaczeniu włoskiem.

Lambertini sprzyjał jednak, o ile to mógł pogodzić ze swem stanowiskiem, francuskiemu ruchowi umysłów; był człowiekiem postępowym, uczonym bez uprzedzeń i jeżeli jakąś myśl uważał za dobrą dla ludzkości, to starał się ją popierać, choćby nawet pochodziła od protestantów, czy też od Jansenistów. To też Benedykt XIV był monarchą, którego szanowali wszyscy, rzec można, że był prawdziwie »powszechnym« papieżem. Protestant Anglik Walpole napisał długą pochwałę jego osoby w formie epigrafu, nazywając go:

Principe senza favoriti,
Papa senza nepotismo,
Dottore senza orgoglio i t. d.

Do nepotyzmu nie miał ani powodu, ani skłonności. Zamężna siostra Lambertiniego nie miała dzieci; gdy jednak brat został papieżem, postarała się aż o dwóch synów. Benedykt XIV był trochę zdziwiony tem niespodziewanem pomnożeniem się rodziny i gdy mu doniesiono o pierwszym z tych »radosnych zdarzeń«, ruszył ramionami i powiedział: »Jo credeva che la razza de caglioni fosse finita!« Później zakazał tym nepotom mieszkać w Rzymie, powtarzając, że Kościół jest jego familią; nareszcie jednak dał się udobruchać,

kupił im jakąś skromną kamienicę, a jak mówiono, zapisał w testamencie tylko cztery tysiące skudów.

II.

Hasłem Lambertiniego w polityce było doprowadzić stosunki pomiędzy Stolicą apostolską a państwami katolickiemi do jak największej harmonii. A dążenie to było koniecznem. Burbońskie dwory ubiegały się prawie pomiędzy sobą, aby lekceważyć wszelkie zarządzenia papieskie, a i stosunek Austryi do Rzymu był także jak najgorszy. Lambertini zrozumiał, że czasy się zmieniły, że papież nie może się już uważać za panującego nad panującymi, że stanowisko tak pojęte sprowadza ciągłe zawikłania z europejskimi rządami, a papiestwu nie tylko że nie przynosi żadnych korzyści, ale je nawet osłabia.

Tarcia między państwami katolickiemi a Rzymem miały głębsze przyczyny. Dążeniem Ludwika XIV było nie tylko zgnieść protestantyzm, ale nawet zatrzeć wszelkie różnice, jakie się okazywały w pojęciach religijnych katolików Francyi, i ukuć niejako moralną obręcz, któraby ich ściśle z Rzymem łączyła. Ten religijny despotyzm potężnego króla wywołał powszechne niezadowolenie, które po jego śmierci zwróciło się przeciw katolicyzmowi. Powstały dążenia wrogie Kościołowi, wzrosła opozycya przeciw wszystkiemu, czego Kościół uczył, i tworzyły się nowe prądy filozoficzne, które już nie tylko występowały przeciw religii, ale i przeciw państwu, związanemu z Rzymem.

Podczas gdy skrajne umysły zrywały z religią i Kościołem, ludzie trzeźwiej myślący, a pomiędzy nimi i znaczna część duchowieństwa francuskiego uważała odsuwanie się od Rzymu za rzecz szkodliwą, więc chciała tylko Kościół zreformować, pogodzić go przynajmniej z najkonieczniejszemi dążeniami nowszej filozofii. Potężne to stronnictwo, które zwano Jansenistami, miało swych przyjaciół w najwyższych sferach rządowych południowych krajów katolickich, a w połowie XVIII wieku najznakomitsi ministrowie widzieli konieczność

osłabienia wpływu rzymskiego duchowieństwa. Do nich należał taki Choiseul we Francyi, Squillace w Hiszpanii, Tanucci w Neapolu, Carvalho w Portugalii, a za nimi stały sfery inteligencyi tych krajów.

Z kierunkami postępowymi walczyli otwarcie i ukrycie Jezuici, używając przedewszystkiem do swych celów arystokratycznych warstw społeczeństw. Dążeniem ich była najzupełniejsza ortodoksya i poddanie się kierunkowi, jaki wychodził z Rzymu, a właściwie od nich.

Do groźnej walki więc przyjść musiało; z jednej strony stały rządy państw, chcących zrzucić pęta, nakładane im z Rzymu, ciążące na całej katolickiej Europie, z drugiej skrajna ortodoksya, której przedstawicielami byli Jezuici.

W Rzymie zorganizowały się także dwa stronnictwa, może na zewnątrz nie tak wyraźne, jak we Francyi, w Hiszpanii lub Portugalii, ale mimo to bardzo poważne. Na czele łagodniejszego prądu stał sam papież Lambertini, który, o ile możności, za pomocą konkordatów chciał przywrócić pokój w katolickim świecie, a znaczna część kardynałów szła w tym samym kierunku. Papież był niezadowolony z działania Jezuitów, potępiał ich handlowe i bankierskie interesa, a nadto poddawał ostrej krytyce ich postępowanie w misyach. Stronnictwo skrajne składało się z Jezuitów i z osobistości, podlegających ich wpływom.

Mimo oporu Jezuitów pozawierał papież konkordaty z państwami katolickiemi, jak zwykle w takich razach, opierające się na wzajemnych ustępstwach. Kardynałowie, którzy stali jeszcze na dawnem stanowisku »non possumus«, tudzież znaczna część rzymskiego duchowieństwa brała mu osobliwie za złe konkordat, zawarty w r. 1730 z Hiszpanią, ponieważ Kurya rzymska traciła wskutek tego układu znaczną część swoich dochodów. Papież nie dał się wszakże odstraszyć opozycyą nieprzejednanych, ale wytrwale dążył do tego, aby ustał stan wojenny pomiędzy państwami katolickiemi a Stolicą apostolską, i zawierał z kolei układy z Portugalią, z Sardynią, z Neapolem, a nawet z dworem cesarskim. W ten sposób zapanował przynajmniej pozorny pokój, który jednak nie trwał długo.

Jezuici starali się wszelkimi sposobami usunąć jednego z najgroźniejszych swoich przeciwników, ministra portugalskiego Carvalha. Wszelkie intrygi na nic się wszakże nie przydawały; Carvalho pozostał na czele rządów w Lisbonie, a co więcej, imieniem swego króla przedłożył memoryał, przedstawiający konieczność zreformowania tego zakonu. Krok ten rządu portugalskiego był papieżowi na rękę, gdyż i Benedykt XIV uważał zmianę w organizacyi Towarzystwa Jezusowego za potrzebną. Papież polecił też kardynałowi Saldanta przeprowadzić dochodzenie co do interesów handlowych, jakie prowadzą Jezuici. Badania wypadły na ich niekorzyść; kardynał zakazał Jezuitom dalszego prowadzenia handlu i polecił portugalskiemu rządowi, aby zarządził konfiskatę towarów, będących ich własnością.

Równocześnie poruszoną została sprawa Jezuitów we Francyi. Bezpośrednim do tego powodem było bankructwo wielkiego domu na Martynice, który zostawał w stosunkach z Jezuitą, ojcem Lavalette. Bankructwo to pociągnęło za sobą mnóstwo upadłości we Francyi, a poszkodowani zwrócili się do sądów z zażaleniami i pretensyami do Jezuitów.

Wszystkie te zajścia zrobiły w Rzymie wielkie wrażenie i tak źle usposobiły Benedykta XIV przeciw zakonowi Loyoli, że papież postanowił rzeczy gruntownie zbadać i zakon zreformować.

Ale papież był już chory, a rozdwojenie w łonie Kościoła i cała sprawa Jezuitów bardzo niekorzystnie wpływała na jego zdrowie. Benedykt wiedział dobrze, że kardynałowie życzą sobie zawsze śmierci papieża i że im żyje za długo. Często z tego powodu żartował, a gdy w rocznicę jego wyniesienia na Stolicę Apostolską składano mu zwykłe życzenia, przyjmował je bardzo obojętnie, chociaż nadzwyczajnie uprzejmie. Jeden z kardynałów okazywał osobliwą pilność w tych powinszowaniach, tak, że nieszczerych życzeń było już Lambertiniemu za dużo, przerwał więc prałatowi jego wynurzenia i zapytał niespodziewanie, czy kardynał dzisiaj mszę już odprawił? Gdy zagadnięty twierdzącą dał odpowiedź, papież zauważył w swój sposób szorstko dobrotliwy: »Cazzo! Dopiero odprawiłeś mszę, a już w mojej obecności mówisz

takie kłamstwa!« Ten sam kardynał wikaryusz opowiadał mu jakieś niezwykłe, niepodobne do prawdy zdarzenie. Benedykt zniecierpliwiony obrócił się wtedy do obrazu, przedstawiającego Chrystusa i rzekł z namaszczeniem: »Chryste Panie! Ty masz we mnie wikaryusza, który z pewnością zasługuje na nazwę »coiona«; ale zapewniam Cię, że mój zastępca jeszcze gorszy«.

W końcu r. 1756 papież ciężko zaniemógł, a kardynałowie tak byli pewni jego śmierci, że kazali już przygotować cele na przyszłe conclave. »W ostatnim tygodniu, pisze jakiś Francuz, przyjął papież ostatnie namaszczenie, a równocześnie robiono już przygotowania do pogrzebu i do conclave; za kilka dni jednak podniósł się, febra go opuściła, a dowiedziawszy się, że budują cele dla kardynałów, życzył sobie roboty oglądać. I ku rozpaczy wszystkich »papabilich« wyzdrowiał, na noworocznym konsystorzu usprawiedliwiał się jednak przed kardynałami, że zrobił im zawód i że jeszcze żyje.

Ale drugiego maja 1758 r. wszystkie dzwony Rzymu, a wśród nich wielka campana na Kapitolu oznajmiły śmierć Lambertiniego. Zacny człowiek zakończył życie. Anglik Pitt, krewny słynnego ministra, kazał w swoim pałacu ustawić marmurowe popiersie Benedykta XIV i wyryć na postumencie następujące słowa:

JAN PITT,
który nigdy w życiu nie powiedział nic dobrego
o jakimkolwiek duchownym rzymskiego Kościoła,
postawił ten pomnik na cześć papieża Benedykta XIV.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

KLEMENS XIV.

I.

Następcą Benedykta XIV został Wenecyanin Carlo Rezzonico, ze znakomitej rodziny, pochodzącej z Como. Rezzonico, wychowany w Rzymie, był przez lat szesnaście biskupem w Padwie, a wybrany 6 lipca 1758 r. papieżem, przybrał imię Klemensa XIII. Człowiek ze wszech miar godny, dobrotliwy, spokojny, ale bardzo miernych zdolności. W Padwie nazywano go świętym, gdyż z powodu swej dobroczynności, mimo wielkich dochodów, był zawsze bez grosza. Gdy mu kardynałowie zapowiadali jego wybór, wahał się, płakał, dostał febry. »Kościół, mówił, nie może być powierzony rękom tak niegodnym do rządzenia, jak moje. Co powie świat o takim wyborze«? Kardynał Passionei, gdy przed nim podnoszono czystość i dobroć serca Rezzonica, zauważył, że to samo świadectwo dał Chrystus Nathanaelowi, ale mimo to nie zrobił go Apostołem.

Na wybór odpowiedział nowy papież rzęsistemi łzami i tęsknił za swoją rodziną i Wenecyą. Gdy Goldoni przybył w r. 1759 do Rzymu, papież kazał mu przychodzić często do siebie, aby usłyszeć jakie nowiny z Wenecyi. Do Rzymu sprowadził swego synowca Carla, i mianował go kardynałem; ale nie był to niebezpieczny nepot, gdyż sprawy Kościoła go nudziły, a przy dłuższych konferencyach ziewał, a nawet zasypiał.

Gdy stara księżna Bracciano, jedna z najrozumniejszych kobiet swego czasu, dowiedziała się o wyborze Rezzonica, westchnęła, mówiąc do obecnych: »Tego nam jeszcze brakowało. Klemens XIII jest dobrym człowiekiem, ale nie ma wyobrażenia o czasach, w których żyjemy, i o obcych dworach, a nadto nie zna ani swoich nepotów, ani samego siebie«.

Papież bojaźliwy, nie ufający sobie, poddał się najzupełniej wpływowi Jezuitów i woli ministra Torrigianiego. Ten człowiek gwałtowny, namiętny, gbur i despota, który kazał ambasadorom czekać godzinami w przedpokoju na audyencye, doprowadził do tego, że posłowie obcych państw zupełnie zaprzestali się z nim widywać.

Torrigiani sądził, że robiąc wszystko na przekór burbońskim dworom, że nie zważając na skargi, jakie podnoszono we Francyi i w Hiszpanii przeciw Jezuitom, potrafi przywrócić czasy Bonifacego VIII. Postępowaniem swem drażnił opinię publiczną i szkodził papiestwu. Rozmaite zarządzenia Klemensa XIII zachęcały w Rzymie wprost do pisania złośliwych paszkwilów. Archeolog Winckelmann donosił jednemu ze swych przyjaciół, że statuom greckim i rzymskim, któremi niedawno tak się cieszono, jak Apollinowi, Laokoonowi i wielu innym posągom pozawieszano blaszane listki wstydliwości około bioder, a księgarz Bouchard zaczyna płótnem handlować, bo nikt już książek nie kupuje. Innego księgarza, Pegliariniego, wrzucono w barbarzyński sposób do więzienia za paszkwil »I lupi smascherati«, wymierzony przeciw Jezuitom, którego autorem miał być kardynał Passionei. Związanego wywleczono z domu, a jenerał Jezuitów żądał, aby go za tę »zbrodnię« skazano na galery. Tak się też stało; zasądzono go na siedm lat galer, aby dogodzić ojcu Ricciemu, ale papież był miłosierniejszy od swoich ministrów i zmniejszył karę owemu nieprzyjacielowi Jezuitów. Zresztą cztery miesiące więzienia hojnie mu wynagrodził król portugalski, nadając szlachectwo i mianując sekretarzem poselstwa z dożywotnią pensyą.

Jeden z korespondentów Kaunitza donosił austryackiemu kanclerzowi w r. 1765, że nienawiść jezuickiego stronnictwa do wszystkich, którzy do niego nie należą, doszła do ostateczno-

ści. Przeciwnicy zakonu nie czują się bezpiecznymi, codziennie słychać o prześladowaniach, uwięzieniach, wygnaniach.

Nie dziw, że rozgoryczenie przeciw Jezuitom przybrało takie rozmiary, że nawet ściśle katolickie dwory Burbonów domagały się gwałtownie zniesienia zakonu. W r. 1759 wygnano Jezuitów z Portugalii, w r. 1763 z Francyi, w r. 1767 z Hiszpanii i z Neapolu. Papież poddał się odrazu wpływowi zakonu Loyoli i dlatego opierał się żądaniom Burbonów, trzymając się zasady, że rzecz ta należy do głowy Kościoła i że wszelkie mięszanie się w sprawy Jezuitów jest zamachem na wolność Stolicy apostolskiej. To też gdy lennik Kościoła, książę Ferdynand parmeński, przyłączył się do akcyi wielkich państw, wydał papież 30 stycznia 1768 »monitorium« przeciw słabemu książątku. Ale królowie ujęli się za nim. Francya zajęła Avignon i Carpentras, neapolitańskie wojsko Benevent i Pontecorvo.

Dziesiątego grudnia 1768 r. zażądały połączone dwory stanowczo zniesienia zakonu, a gdy papież się opierał, zagroził francuski ambasador przy Watykanie, markiz d'Aubeterre, blokadą Rzymu.

Wtedy postanowił papież przedstawić sprawę na Konsystorzu dnia 3 lutego 1769 r. Dzień jednak przedtem umarł i losy oszczędziły mu ciężkich postanowień. Niemiłą spuściznę objął jego następca Klemens XIV.

Z końcem lutego 1769 r. przybył do Rzymu w zwykłym powozie cesarz Józef II pod przybranem nazwiskiem hrabiego Falkensteina i zamieszkał u brata, wielkiego księcia toskańskiego Leopolda, w willi Medici, na Pincio, należącej wówczas do wielkich książąt toskańskich.

Cesarz liczył lat dwadzieścia ośm, ubierał się skromnie i zachowywał jak zwykły turysta. Zwiedzał muzea, biblioteki, kościoły, pałace rzymskiej arystokracyi i pracownie artystów. Z ochotą przyjmował zaproszenia na bale i festyny, które dlań urządzano; szybko też stał się popularnym, publiczność bo-

wiem nie była przyzwyczajona widzieć monarchy wielkiego państwa, któryby się nie chciał odróżniać od innych śmiertelników. Powtarzano sobie zaraz o nim mnóstwo anegdot, które znamionowały człowieka o wielkim darze spostrzegawczym, wypowiadającego swe zdanie otwarcie, nieraz bardzo dowcipnie.

Po kościele »Gesù« oprowadzał go jenerał zakonu, O. Ricci, i pomiędzy innemi zwrócił uwagę cesarza na duży posąg św. Ignacego, ulany ze srebra.

— Skąd mieliście tyle funduszów, aby zgromadzić tak ogromny skarb? — zapytał cesarz.

— Z pobożnych ofiar — odpowiedział Jezuita.

— A może i z zysków w Indyach — dodał Józef II z uśmiechem.

Właśnie w chwili przyjazdu cesarza odbywało się conclave, więc trzej rządzący kardynałowie wysłali do Józefa II aż siedmiu książąt z najznakomitszych rodów, aby go powitali i towarzyszyli mu w zwiedzaniu wiecznego miasta. Cesarz przyjął z wielką uprzejmością wysłańców, ale rzadko korzystał z ich towarzystwa. Idąc za dawnym zwyczajem, kazali kardynałowie zanieść cesarzowi spiżarniane zapasy, mogące zaopatrzeć całą armię smakoszów. Stu pięćdziesięciu pachołków dźwigało te wykwintne dary, składające się z trzech mis cielęciny, ubranej w liście i kwiaty, z ośmiu barył rzymskiego wina, siedmnastu baryłek wina z wysp kanaryjskich, z Malagi i Cypru, z dwóch beczułek rosolisu, trzech fasek wybornych ryb marynowanych, z owoców, kawy, czekolady, pawiów, bażantów, prosiąt, kiełbas i t. d., i t. d.

Aby zaś cesarz zachował wieczne miasto w miłej pamięci dołączyli książęta Kościoła do kuchennych zapasów także dwanaście albumów z widokami Rzymu, kilka obrazów z mozaiki i kilkanaście kobierców, przedstawiających dawne rzymskie historye. Wreszcie ufając w religijne usposobienie cesarza, przysłali mu rozmaite relikwie, oprawne w złoto i drogie kamienie, w łącznej wadze siedemnastu funtów.

Urządzono też na cześć cesarza »Girandolę«, illuminacyę zamku św. Anioła, której się znakomity gość przypatrywał z loggii pałacu Altovitich. Innym razem pojechał cesarz do

pałacu Doria na Corso, aby zobaczyć wyścigi »Barberów«, które go bardzo zajęły. Książę Doria wydał dla cesarza festyn, jakiego oddawna w Rzymie nie widziano, a chcąc powiększyć salony pierwszego piętra, kazał na przepysznem podwórzu swego pałacu wybudować salę na słupach, sięgających do pierwszego piętra i łączącą się z przepyszną galeryą, w której się dzisiaj mieszczą zbiory obrazów.

Na wielkiem przyjęciu u Corsinich, gdzie odśpiewano kantatę ulubionego wówczas w Rzymie mistrza Picciniego zauważono, że cesarz najwięcej rozmawiał z księżną Maryanną Colonną, z domu Este. Maryanna należała do najpiękniejszych kobiet w Rzymie, a jakiś satyryk nazwał ją:

Questa superba amazzone del cor saettatrice.

Cesarz zdawał się w Rzymie kłaść nacisk na to, że jest wiernym synem Kościoła, i codziennie słuchał mszy, a w Wielki piątek spowiadał się i komunikował wraz ze swym bratem Leopoldem w kościele S. Lorenzo in Lucina. Zwiedzał nadto niektóre klasztory i hojnie rozdzielał wsparcia. Ciekaw był oczywiście zobaczyć urządzenia w conclave, a zarazem chciał odwiedzić pozamykanych kardynałów. Rzecz była jednak niewidziana, aby jaki monarcha wchodził do murów Watykanu podczas conclave. Ale święte Kollegium zgodziło się na tę wizytę i Józef II wybrał się 16 marca z bratem do Watykanu, który był podczas conclave otoczony wojskiem. Starzy kardynałowie tak się obawiali rozruchów i nacisku bezwładnego senatu rzymskiego, że nakazali, aby przy działach wymierzonych na miasto z zamku św. Anioła stali ciągle bombardyerzy z zapalonymi lontami. Czy ten rozkaz był zupełnie ściśle wykonany, wątpić się godzi; chodziło o szerzenie postrachu. Kordon straży, otaczającej Borgo, wolno było przekroczyć tylko za okazaniem medalu, wydanego przez kardynała camerlinga, przedstawiwszy się prefektowi policyi.

Powóz cesarski wpuszczono bez tych formalności, ale gdy Józef II przekroczył progi Watykanu, przyjął go najstarszy kardynał, Alessandro Albani, na czele całego świętego Kollegium żartobliwą uwagą, że Jego cesarska Mość złamał

przepisaną w conclave klauzurę. Cesarz chciał się cofnąć, ale Albani usilnie prosił, aby monarcha zechciał iść dalej.

— Złożę szpadę — rzekł cesarz po włosku.

— Owszem — odezwał się przytomny kardynał Serbelloni — niech ją cesarska Mość zatrzyma na naszą obronę.

Albani w otoczeniu jeszcze kilku kardynałów oprowadził cesarza po celach, po Sykstynie, gdzie się odbywały głosowania, a monarcha, opuszczając conclawe, powiedział znaczące słowa: »Wybierzcie nowego Lambertiniego, który był człowiekiem dobrym i każdemu przyjacielem«.

Skromnemu w swych zwyczajach cesarzowi nie uszło uwagi, że obiady dla kardynałów wieziono w karetach, otoczonych całą zgrają sług i klientów, a wewnątrz karet siedzieli tak zwani »dapiferi«, urzędnicy, trzymający skrzynkę z potrawami, przykrytą purpurowym adamaszkiem. Cesarz nie wyniósł też przyjemnego wrażenia z tych odwiedzin w conclave i żartował, że purpuraci chcieli odgadnąć jego myśli, ale tak niezgrabnie mu się przypatrywali, jak gdyby oglądali rynocerosa.

Conclave odbywało się właściwie pod hasłem, czy wybrać papieża, który zniesie zakon Jezuitów, czy też wynieść na tron ich protektora. Spowiednicy kardynałów, prawie wszyscy Jezuici, i dawny sekretarz stanu, kardynał Torrigiani, używali wszelkich sposobów, aby przeprzeć swego kandydata, kardynała Chigi; przeciwnie, kardynałowie związani z Burbonami dążyli do tego, aby tylko taki kandydat był wybrany, któryby się na piśmie zobowiązał, że zniesie Towarzystwo Jezusowe. Do nieprzyjaciół potężnego zakonu należał sześćdziesięcio-czteroletni kardynał Ganganelli, dawniej zakonnik, Franciszkanin, znakomity prawnik, który jednak w wolnych chwilach z większem zamiłowaniem zajmował się naukami przyrodniczemi, a przedewszystkiem botaniką, aniżeli subtelnościami teologii.

Już na zewnątrz widać było w conclave, że obydwa stronnictwa dobywają ostatnich sił, aby wyjść zwycięsko z zapasów. Wielkie wrażenie zrobiło na publiczności, gdy zobaczono, że w lektykach niosą dwóch kardynałów starców, o których już słuch zaginął, ośmdziesięcio-trzechletniego kar-

dynała Conti i dziewięćdziesięcioletniego kardynała Oddi, wielkich przeciwników Towarzystwa Jezusowego. Obydwaj byli całą duszą oddani cesarstwu, a kardynał Oddi znał Józefa II osobiście i bardzo go cenił. Jeden z konklawistów pisał, że Conti wyglądał w swej portantinie jak szkielet, którego w paradzie obnoszą, i że go zaraz położono do łóżka; nie rozumie co się do niego mówi, nie odzywa się i tylko uśmiecha do wchodzących.

Przy końcu trzechmiesięcznych intryg i zabiegów zaczynano coraz głośniej wymawiać nazwisko Ganganellego; dwory madrycki i wiedeński nie miały nic do zarzucenia jego wyborowi, a najbardziej wpływowi kardynałowie, jak obydwaj Albani, stary Alessandro i jego brat Francesco, zaczęli go popierać. Przy wieczornem głosowaniu 18 maja wyszedł nad wszelkie spodziewanie z urny Ganganelli, kardynał, który otwarcie utrzymywał, że zakon Jezuitów musi być zniesiony.

Nowo obrany papież, pojmując swoją twardą misyę, chciał się nazwać Sykstusem VI, aby przypomnieć surowe rządy Sykstusa V; ale przyjaźni mu kardynałowie, których sama tradycya Sykstusa przejmowała postrachem, odradzili mu to, przestrzegając, aby nie odnawiał groźnych wspomnień. Ganganelli przybrał więc imię Klemensa XIV.

Józef II napisał zaraz po wyborze do matki cesarzowej, że nowy papież pochodzi z niżkiego stanu, gdyż jego brat jest dotąd stolarzem, a synowiec skrzypkiem, grywającym po osteryach, że się nie będzie podobał szlachcie rzymskiej, a przedewszystkiem Jezuitom, których zawziętym jest nieprzyjacielem. Cesarz sądził jednak, że Ganganelli jest człowiekiem wyższego umysłu i znakomitym »kazuistą«.

Lorenzo Ganganelli był synem lekarza z Sant Angelo in Vado, w Urbinackiem, urodził się 31 października 1705 r. Człowiek łagodny, pełen szlachetnych zamiarów, wrażliwy na wszystko, co piękne, co szlachetne, zdolny do entuzyastycznych porywów. Skromny, zachowywał nawet na papieskim tronie klasztorne zwyczaje, nienawidził pompy, zbytku, wystawne uroczystości go nudziły i jak tylko mógł, uciekał z Rzymu do Castel Gandolfo, gdzie największą jego przyjemnością było robić konne wycieczki w góry i w lasy.

Jak tylko objął rządy, starał się oprzeć stosunek Kuryi Apostolskiej do państw europejskich na podstawach polityki realnej, wyzyskiwał faktyczny stan rzeczy na korzyść Kościoła, nie wyrażając żądań, których się już w drugiej połowie XVIII wieku do skutku przywieść nie dało. Więc przedewszystkiem kazał zaprzestać ogłaszania w wielki piątek bulli »In coena Domini«, sięgającej jeszcze czasów Bonifacego VIII, w której papieże rzucali klątwę na każdego monarchę, naruszającego w czemkolwiek świecką władzę papieża. Pragnąc zawiązać dobre stosunki z Anglią, nie pozwolił oddawać królewskich honorów pretendentowi do korony angielskiej, Karolowi Edwardowi Stuart, a natomiast wysłał do Londynu monsignora Caprarę, aby traktował z Jerzym III o rozmaite ułatwienia religijne dla katolików w Irlandyi. Z Portugalią zawiązał zerwane stosunki, ale nie dawał na siebie nikomu wpływać, zwłaszcza w sprawie zniesienia zakonu Jezuitów, która poruszała całą Europę. Gdy król francuski napierał na Stolicę apostolską, aby jak najprędzej zakon rozwiązała i obiecywał natomiast zwrócić Rzymowi Avignon, papież odpowiedział, że zastępca Chrystusa jest pasterzem dusz, a nie kupcem dóbr doczesnych.

Dyplomaci uważali sprawę rozwiązania zakonu za konieczną dla publicznego spokoju, zwłaszcza że fanatyczni zwolennicy Jezuitów nie przestawali rzucać najbrzydszych obelg na Burbonów i ich ministrów. W Rzymie o niczem nie mówiono, jak tylko o zniesieniu Towarzystwa Jezusowego. Zakładano się, czy papież będzie miał dość siły, aby podjąć to zadanie, zwłaszcza że burzono lud i arystokracyę przeciw Stolicy apostolskiej. Bardzo rozumna i wielki wpływ w towarzystwie rzymskiem mająca księżna Bracciano utrzymywała, że zupełne zniesienie zakonu musi być orzeczone. Prałat Livizzani, częsty jej gość, przyjaciel Jezuitów, był przeciwnego zdania. Stanął zakład o trzydzieści cekinów, oznaczono rok terminu, w którym proces przeciw Jezuitom ostatecznie miał być przeprowadzony. Rok jednak upłynął, a bulla o zniesieniu zakonu nie została wydana. Księżna kupiła dzieła d'Arnauda, Pascala i kilka innych rozpraw, pisanych przez stronników Jansenistów, w wartości trzydziestu cekinów i po-

słała je Livizzaniemu z listem, że czytanie tych książek przekona go, iż postanowienie Ojca świętego tylko się opóźniło.

I księżna miała słuszność. Papież z nadzwyczajnym spokojem i rozwagą zabierał się do orzeczenia w tak ważnej sprawie, aby zaś uniknąć pozorów, jakoby pracował pod wpływem obcych ambasadorów, zamknął się w pałacu, począwszy od końca czerwca aż do połowy sierpnia i prócz kardynała sekretarza stanu i kardynała Zelady ani innych kardynałów do siebie nie dopuszczał, ani żadnych nie udzielał posłuchań. Wypracowywał w tym czasie breve, znoszące zakon Jezuitów, a podpisawszy dokument 21 lipca 1773 r., jeszcze go nie ogłaszał, aby się nad nim wszechstronnie zastanowić. Z początkiem sierpnia ustanowił kongregacyę, składającą się z pięciu kardynałów, a odebrawszy od nich przysięgę, że nie zdradzą, nad czem będą obradować, oddał im owo breve pod rozwagę.

Tymczasem Jezuici i ich przyjaciele rozpoczęli straszną kampanię przeciw papieżowi. Zaczęto rozgłaszać, że ambasador hiszpański siłą wymógł na papieżu podpisanie owego breve i że Ganganelli podpisawszy je, wpadł w stan obłędu i szaleństwa. W samym Rzymie podburzano lud, a mniemana »profetessa« Bernardina Baruzzi, poza którą stał adwokat Achilli, rozszerzała przepowiednie, że papież i Karol III nagle umrą i rozgłaszała wszędzie, że papież został heretykiem. W Valentino ukazała się znów jakaś Anna Teresa Pali, którą nazwano »Teresą del cuore di Gesù«, przepowiadająca także rychłą śmierć papieża i króla. U Teresy miały się okazywać stygmaty, jak ongi u św. Teresy, aby zaś pobudzać lud do fanatyzmu i rozszerzać wiarę w przepowiednie prorokini, rozdawano jej włosy, kawałki sukna, rzekomo umaczane w krwi stygmatów, i inne odpadki, których, jak powiada Theiner, przyzwoitość nie pozwala wymienić. Kampania przeciw papieżowi tak dalece się zaostrzyła, że musiano zarządzić dochodzenia, o ile w niej biorą udział Jezuici. Trzech kardynałów, jeden w Rzymie, drugi w Bolonii, a trzeci w Ferrarze, prowadziło badania, które dowodziły, że sprężyną, poruszającą całą agitacyę byli Jezuici. Walka jednak nie ustawała; zaczęto rozpuszczać przeciw papieżowi, człowiekowi najczyst-

szych obyczajów, rozmaite pogłoski, uwłaczające jego godności, a ponieważ Klemens XIV obdarzał oddawna zaufaniem hrabiego Mikołaja Bischi z Tivoli, którego małżonka Vittoria była niepospolitą kobietą, więc zaczęto złośliwie łączyć imię papieża z signorą Bischi i nazwano ją »Sibilla tiburtina«. Sybilla, ponieważ podejrzywano ją, że ma wpływ na papieża, a »tiburtina«, ponieważ w Tivoli zachowała się rzymska świątynia tej Sybilli.

Zastępcy obcych państw i cała publiczność rzymska z niewypowiedzianem zaciekawieniem oczekiwała wyniku klauzury, którą papież na siebie nałożył, i dopiero 17 sierpnia dowiedziano się, że zakon Jezuitów zniesiony. O dziewiątej wieczór monsignor Macedonio doręczył breve, rozwiązujące Towarzystwo Jezusowe jenerałowi Ricci, a ponieważ papież obawiał się z tego powodu rozruchów ulicznych, więc policya obstawiła jezuickie zakłady. Notaryusze opieczętowali archiwa i zakrystye, kardynał Corsini odwiózł we własnej karecie jenerała Jezuitów do kolegium angielskiego, gdzie dlań urządzono na razie mieszkanie z wszelkiemi wygodami i odpowiednią służbą. Inni Jezuici musieli pozostać w swych celach w Gesù, dopóki im krawcy nie zrobią ubrań świeckich księży.

Okazało się, że przygotowania policyi były zupełnie zbyteczne, bo publiczność przyjęła wiadomość o zniesieniu zakonu spokojnie i z zupełną obojętnością. Tłumów zebrało się dużo koło Gesù, ale jak to zwykle bywa, z ciekawości.

Klemens XIV odetchnął; zauważono, że był weselszym, aniżeli w ostatnich miesiącach, rozmowniejszy, zaczął znowu dawać posłuchania, widocznie ciężar spadł mu z serca. Papież ukazał się na ulicach, pojechał nawet na Trastevere, gdzie go lud przyjął oznakami uszanowania i sympatyi. Kardynał de Bernis pisał 22 sierpnia 1773 r. do księcia d'Aiguillon, że sekularyzowanym Jezuitom częścią sam papież dał rozmaite zajęcia, częścią umieszczono ich jako nauczycieli i sekretarzy w arystokratycznych domach, i dodał, że powszechnie uważają breve, rozwiązujące zakon jako »arcydzieło roztropności, zręczności i ludzkości«.

Breve papieskie było przyjęte z radością w Paryżu,

w Madrycie, w Neapolu i w Wiedniu. Pobożna cesarzowa Marya Teresa wysłała nawet umyślnego kuryera do Rzymu z listem, winszującym papieżowi ważnego postanowienia. W Lisbonie trwały z tego powodu przez trzy dni uroczystości i illuminacye, a patryarcha zaintonował w obecności króla dziękczynne »Te Deum«.

Mimo to rozszerzyli Jezuici agitacyę antipapieską na całą prawie Europę i chcieli zwołać przeciw Klemensowi powszechne Koncylium. We Francyi walczył przeciw niemu z ambony Jezuita Vrillier, w Kolonii Fuller, w Polsce Łuskina.

Breve »Dominus ac Redemptor«, mimo wszelkich agitacyj, było spokojnie przeprowadzone, w Polsce sejm uchwałą z dnia 27 września 1773 r., powziętą na wniosek biskupa poznańskiego, oddał do rozporządzenia króla wszystkie dobra nieruchome i ruchome »zniesionego zakonu«, powierzając tymczasowo wychowanie młodzieży w ich zakładach naukowych dawnym członkom zakonu, w porozumieniu jednak z biskupami. Nuncyusz apostolski w Warszawie wraz z rządem starali się jednak jak najprędzej dać stałą podstawę systemowi edukacyjnemu w Polsce i stąd powstała owa zasłużona instytucya, zwana Narodową Komisyą edukacyjną.

Protektorów znaleźli Jezuici tylko we Fryderyku II pruskim i carowej Katarzynie II. Ci monarchowie nie pozwolili publikować w swych krajach papieskiego breve, a zamiarem ich było użyć Jezuitów do łatwiejszego przeprowadzenia asymilacyi nowych polskich poddanych z państwem rosyjskiem i pruskiem. Rosya i Prusy przygotowywały już drugi podział Polski i spodziewały się, że Jezuici ułatwią im zaborczą politykę przez swe szkoły i wpływy na szlachtę. Tak się też stało; »jawnie i niedwuznacznie, jak mówi Maciej Loret w swej cennej monografii »Kościół katolicki i Katarzyna II«, stanęli Jezuici po stronie nowego porządku, pociągnęli za sobą nie tylko kler, ale także znaczną część ogółu ludności, której byli wychowawcami, pasterzami i spowiednikami«. W swych kościołach na Białorusi kazali z powodu pierwszego podziału Polski śpiewać hymn dziękczynny »Te Deum« i jedni z najpierwszyah pośpieszyli do Petersburga, aby złożyć przysięgę nowej władczyni; z całą też okazałością urzą-

dzili obchód imienin cesarzowej 24 listopada 1772 r. W podobnym celu, jak rząd petersburski, rozciągnął Fryderyk II swą opiekę nad Jezuitami, nazywał ich »Mes bons pères Jesuites«, a obok zamiarów politycznych miał w protegowaniu zakonników bezpośrednio cel praktyczny, gdyż nie mógł tak łatwo zastąpić profesorów na uniwersytecie wrocławskim innemi siłami, a nadto chciał przez nich działać w pruskim duchu na ludność katolicką Śląska.

Po oznakach sympatyi, jakich papież zewsząd z wyjątkiem Berlina i Petersburga doznawał z powodu wydania swego breve, postanowił w dzień świętej Annuncyaty 25 marca 1774 r., udać się na nabożeństwo dziękczynne do kościoła Santa Maria sopra Minerva. Według zwyczaju papież jechał konno w otoczeniu kardynałów; ale zaledwie kawalkata wyruszyła z Watykanu, padł ulewny deszcz i większa część prałatów pouciekała do domu, sam tylko papież z kilku nieustraszonymi jechał dalej wśród okrzyków ludu, który podziwiał jego dzielność i wytrwałość. Ta nieostrożność pociągnęła jednak wkrótce za sobą smutne skutki. Artretyczne bole, na które Klemens XIV cierpiał oddawna, odnowiły się z całą gwałtownością i odtąd zaczął papież upadać na zdrowiu. Ale przez jakiś czas mimo swego wieku opierał się chorobie siłą ducha. Kardynał de Bernis, ambasador francuski, widywał częściej papieża i donosił swemu rządowi z końcem lipca 1774 r., że twarz Klemensa przybrała znów swój naturalny wyraz, że papież był bardzo wesoły i śmiał się z dziwacznych opowieści o jego wyglądzie. Dwudziestego czwartego sierpnia 1774 r. miał Bernis znowu u papieża posłuchanie i znalazł go trochę wychudłego i zmęczonego, ale co do żywości umysłu i co do usposobienia nie widział w nim żadnej różnicy, pomimo że nieprzyjaciele papieża bezustannie rozgłaszali, że siły jego duchowe widocznie upadają, że wkrótce umrze.

Chcąc zaprzeczyć tym pogłoskom, wyszedł Klemens dwa razy na przechadzkę, ale 10 września dostał tak silnej gorączki, że musiał się położyć do łóżka, z którego już więcej się nie podniósł. Lekarze według ówczesnego zwyczaju puszczali aż cztery razy krew choremu, co tylko zwiększyło gorączkę; papież cierpiał wielkie bole w żołądku, bywał nie-

przytomny, chudł gwałtownie, podejrzywał całe otoczenie, że go otruto, widział truciznę w każdej potrawie. Dwudziestego pierwszego września przyjął ostatnie sakramenta wobec kardynałów i jenerałów prawie wszystkich zakonów, był bardzo spokojny i ciągle przytomny, a około ósmej rano umarł. Miał lat sześćdziesiąt dziewięć, Kościołem rządził przeszło pięć lat. Ciało pochowano w kościele Franciszkanów, w SS. Apostoli.

Kardynał de Bernis pisał do swego króla 28 września 1774 r. następujące słowa: »Le genre de maladie du Pape et surtout les circonstances de la mort font croire communement qu'elle n'a pas été naturelle«. Powszechnie mówiono, że papież został otruty, a silne bóle żołądka zdawały się to potwierdzać.

To samo przekonanie miał następca Klemensa XIV, papież Pius VI, gdyż kilka razy dał do zrozumienia kardynałowi de Bernis, że mu dobrze wiadomo, w jaki sposób umarł jego poprzednik i że nie chce się narażać na podobną śmierć.

Po zgonie Klemensa XIV wyprawiali jego nieprzyjaciele orgie radości, bezczeszczące pamięć zmarłego. Podczas gdy ciało spoczywało jeszcze na katafalku w kościele św. Piotra, rozrzucano brzydkie napisy, tak, że kardynał de Bernis musiał tam utrzymywać na swój koszt straż, ażeby przeszkodzić niecnym napaściom. Epigrafy, paskwinaty sypały się, jak z szatańskiego rogu obfitości; złorzeczono pamięci papieża, nazywano go heretykiem i barbarzyńcą, wypominano mu nawet, że nie uczynił nic dobrego dla swojej rodziny, że się nie kierował nepotyzmem. Obrzucano błotem kardynałów, przychylnych Klemensowi, a podczas następnego conclave, z którego wyszedł papież Braschi, rozpuszczano paszkwil w formie melodramatu w trzech aktach, pod tytułem »Il conclave del 1774«, który hańbil całe święte kollegium.

Afisz owego »dramatu«, napisanego rzekomo przez Piotra Metastasia, z muzyką Niccola Picciniego, został poprzylepiany w nocy na murach kamienic i wymieniał wszystkich

kardynałów, którzy mieli brać udział już to w sztuce samej, już to w balecie. Policya poździerała te ogłoszenia, ale odpisy »libretta« krążyły z rąk do rąk i zawierały najzłośliwsze satyry na członków świętego kollegium. Wreszcie kardynałowie kazali konfiskować egzemplarze tego melodramatu i spalić je katowi na placu »Campo de' Fiori«.

Inkwizycya wyśledziła, że autorem paszkwilu jest abate Gaetano Sertor i skazała go na dożywotnie więzienie, ale Pius VI zamienił tę karę na wygnanie z państwa kościelnego. Wstawił się za nim kardynał Zelada, którego paszkwilant dotknął najboleśniej.

Gorszą od tych chwilowych paszkwilów była książka Francuza, Crétineau Joly: »Clement XIV et les jesuites«, w której autor na podstawie rzekomo »autentycznego« sprawozdania Jezuity Vincenza Bolgeni, wyciągniętego z archiwum Towarzystwa Jezusowego w Rzymie, daje opis stanu umysłowego Klemensa XIV po podpisaniu breve »Dominus ac Redemptor noster«. Bolgeni kreślił najstraszniejszy obraz biednego papieża, który w ciągłych wyrzutach sumienia z powodu zniesienia zakonu dostał obłąkania, wykrzykiwał, że jest potępieńcem, którego mieszkaniem piekło, że niema dlań ratunku, wogóle, że wpadł w stan szaleństwa, który go doprowadził do śmierci.

Ten paszkwil Bolgeniego, dyktowany wzburzoną żółcią i zaprawny brzydkim jadem, stanowił właściwie jedyne »źródło« do opisu ostatnich chwil Klemensa XIV, począwszy od końca XVIII wieku aż po rok 1847. Dopiero w owym roku wydał Augustyanin Theiner, radca kongregacyi Inkwizycyi w Rzymie i członek kilku innych kongregacyi, tudzież prefekt tajnych archiwów w Watykanie, poważne dzieło »Historyę pontyfikatu Klemensa XIV«, spisaną na podstawie dokumentów watykańskich, która zbija wszystkie kłamstwa Bolgeniego i Jolego i przedstawia nam zgon Klemensa w sposób zgodny z rzeczywistością.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

KOLLEKCYONERZY.

I.

Jednym z najcharakterystyczniejszych objawów umysłowego życia w XVIII wieku w Rzymie było antykwarstwo. Zachęcało do tego otoczenie, pobudzał i rząd papieski, który uważał wszelkie inne nowomodne nauki, otwierające szersze horyzonty, za podejrzane, mogące szkodzić ustrojowi państwa. Do takich należała francuska filozofia, angielska ekonomia polityczna, nauki przyrodnicze, a nawet agronomia, ponieważ wykazywała brak opieki Kamery apostolskiej nad rolnictwem i nadużycia administracyi. Wolno było tylko pisać sonety i zabawiać się archeologią, bo to nikomu nic nie szkodziło, a co więcej, przynosiło pewien zaszczyt i materyalne korzyści Stolicy papieskiej.

Wyrobiła się też w społeczeństwie rzymskiem opinia, że opiekowanie się zabytkami starożytności należy do najszlachetniejszych zajęć wykształconego człowieka, i nie było łatwiejszego sposobu pozyskania sobie popularności, jak być znawcą antyków. Kardynał Braschi-Onesti, człowiek grzeczny, uprzejmy, który nikomu nic złego nie zrobił, ale zupełnie niezdolny do jakiejkolwiek pożytecznej pracy, pozyskał sobie wielką popularność, ponieważ uważano go za znakomitego archeologa. W rzeczywistości jednak nauczył się tylko kilkunastu frazesów o sztuce, którymi się popisywał przed nieu-

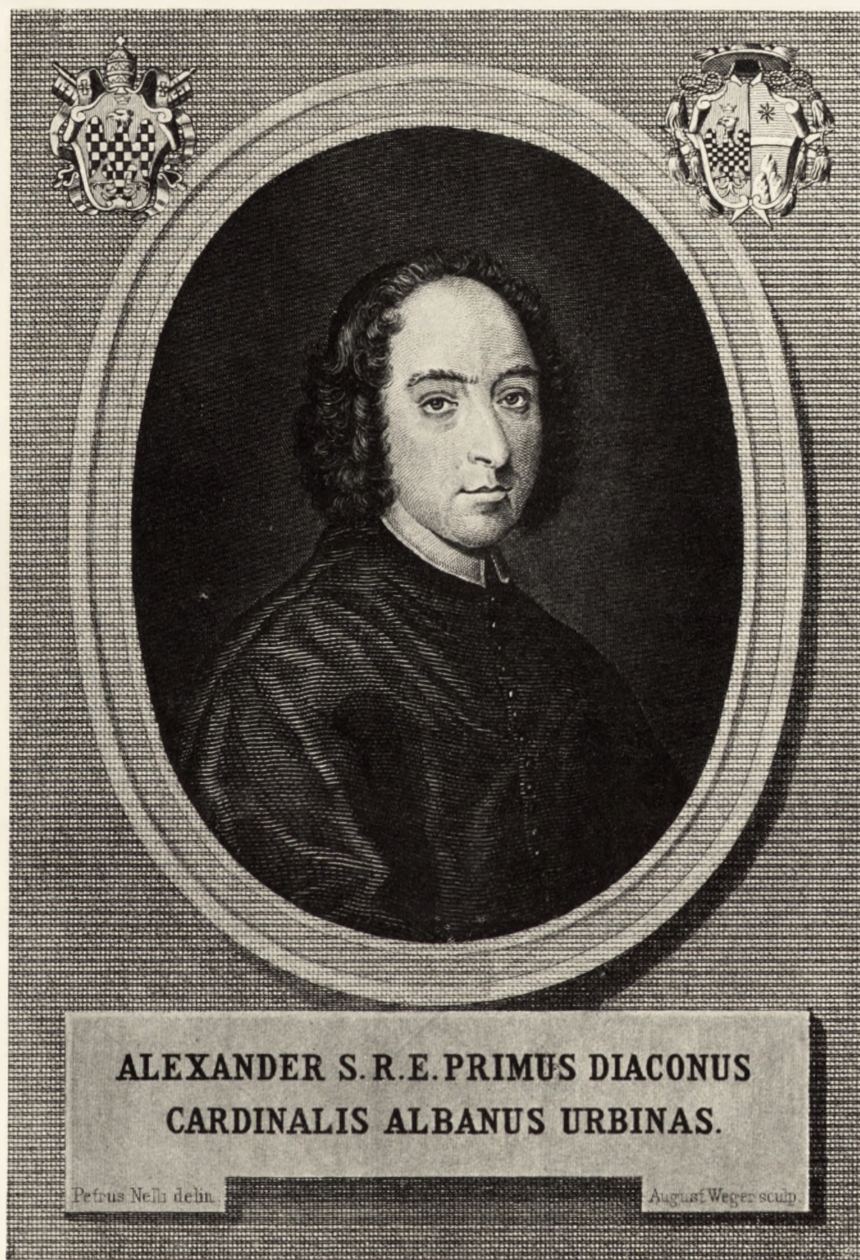
kami, z uczonymi zaś roztropnie unikał wszelkich głębszych rozpraw.

Do prawdziwych znawców należał przed innymi kardynał Alessandro Albani, którego snadnie możnaby nazwać królem antykwarzy XVIII wieku we Włoszech. Żył on ośmdziesiąt kilka lat, miał więc dość czasu, aby zebrać cały skarb wiadomości i doświadczeń w rzeczach starożytnej sztuki, zwłaszcza że antykwarstwo stało się u niego namiętnością, dla której poświęcił cały majątek.

Zamiłowanie do starożytnych zabytków wyniósł Alessandro już z młodości, gdy na Stolicy apostolskiej zasiadł jego stryj, Klemens XI Albani (1700—1721). Klemens, zachęcony po trosze współzawodnictwem królowej szwedzkiej Krystyny, która kazała swoim kosztem rozkopywać ziemię w okolicach Rzymu celem poszukiwania antyków, powziął pierwszy myśl założenia w Watykanie zbioru marmurów ze starożytnymi napisami (Museo lapidario). Myśl ta została urzeczywistniona dopiero później (1773), ale za Klemensa XI zaczęło się w Rzymie ustalać przekonanie, że skarbów ukrytych w ziemi marnować się nie godzi i że trzeba zakładać muzea, któreby uświetniały papieską stolicę.

Aleksander Albani, najmłodszy syn brata papieskiego Horazia z Urbino, urodził się 15 października 1692 r. Było to dziecko bardzo piękne i pełne życia; nazywano go »divino putto«, gdyż miał niebieskie oczy, blond włosy, ładne rysy twarzy, zgrabne ruchy, a przytem posiadał nadzwyczajne zdolności. Raz nauczył go jeden ze starszych znajomych gry w L'hombra; dwunastoletni wówczas chłopiec ograł tego samego wieczora swego nauczyciela.

Papież oddał go do seminaryum w Rzymie, rokując sobie po nim, że to będzie znakomity książę Kościoła. Ale »cavalierino« uciekł wraz z bratem z nudnego seminaryum, puścił się piechotą do ojczystej Umbryi. Po drodze dogonił go jednak papieski posłaniec i namówił do powrotu, zapewniając, że papież nie myśli go wcale zmuszać do duchownego zawodu, ale pozwoli mu wstąpić do wojska. Aleksander szybko, w piętnastym roku życia, został pułkownikiem dragonów; gdy jednak zaczął rozsądnie patrzeć na świat, przyszedł do



Alessandro Card. Albani

Do str. 355.

Kardynał Alessandro Albani za młodu.
Według dawnego miedziorytu.

przekonania, że w państwie kościelnem najlepiej jest być duchownym. W roku więc 1712, jeszcze za życia stryja, przywdział sutannę i umiał się przypodobać papieżowi, pomimo że więcej się oddawał towarzyskim przyjemnościom i chętniej składał hołdy pięknym kobietom, aniżeli kardynałom. A miał szczęścia w tej mierze niemało; papież to zauważył i chcąc przerwać wesołe życie synowca, wyprawił go w nadzwyczajnem poselstwie do Wiednia. Chwilowe wygnanie na nic się jednak nie przydało; Alessandro narobił w Wiedniu długów co niemiara, a co gorsza, chciał się tam ożenić, wyrzekając się w ten sposób wszelkiej myśli o kardynalskiej purpurze. Papież go odwołał i tak się podobno zmartwił tymi wybrykami swego ulubieńca, że niebawem ze zgryzoty umarł.

Będąc w młodości papieskim nepotem, musiał Alessandro i po śmierci swego protektora wypłynąć w rzymskiem społeczeństwie, zwłaszcza że z latami przybywał rozsądek. Innocenty XIII (1721—1724) mianował go kardynałem, a honory i duże dochody same z siebie spadały na »Benjaminka świętego Kollegium«. Jako znający już wiedeńskie stosunki i to »z najpiękniejszej strony«, został protektorem cesarstwa, ale święceń kapłańskich nigdy nie chciał przyjąć, aby zachować przynajmniej trochę wolności świeckiego człowieka. Był więc tylko kardynałem dyakonem kollegiaty S. Maria in via Lata.

Za młodu miał Alessandro nauczycielem wielkiego pedanta, Marc Antonia Sabatini'ego, który był głębokim znawcą antyków. Sabatini pierwszy wpoił w swego ucznia zamiłowanie do starożytności. To też gdy Aleksander został kardynałem i dochody obficie płynęły, zaczął skupywać stare marmury, robić poszukiwania w Tivoli, w Civita Lavigna, w Nettuno i t. d. i zaprzyjaźnił się z baronem Stoschem, słynnym już antykwarzem, którego zaraz poznamy. Wkrótce miał Albani prawie zupełny zbiór popiersi rzymskich cesarzy, siedmdziesiąt głów starożytnych i bez liku cennych marmurów z napisami. Skarby te gromadził w pałacu przy Quattro Fontane, ale tak się przez to zadłużył, że już w r. 1728 musiał sprzedać część zbiorów kurfürstowi Augustowi w Dre-

przekonania, że w państwie kościelnem najlepiej jest być duchownym. W roku więc 1712, jeszcze za życia stryja, przywdział sutannę i umiał się przypodobać papieżowi, pomimo że więcej się oddawał towarzyskim przyjemnościom i chętniej składał hołdy pięknym kobietom, aniżeli kardynałom. A miał szczęścia w tej mierze niemało; papież to zauważył i chcąc przerwać wesołe życie synowca, wyprawił go w nadzwyczajnem poselstwie do Wiednia. Chwilowe wygnanie na nic się jednak nie przydało; Alessandro narobił w Wiedniu długów co niemiara, a co gorsza, chciał się tam ożenić, wyrzekając się w ten sposób wszelkiej myśli o kardynalskiej purpurze. Papież go odwołał i tak się podobno zmartwił tymi wybrykami swego ulubieńca, że niebawem ze zgryzoty umarł.

Będąc w młodości papieskim nepotem, musiał Alessandro i po śmierci swego protektora wypłynąć w rzymskiem społeczeństwie, zwłaszcza że z latami przybywał rozsądek. Innocenty XIII (1721—1724) mianował go kardynałem, a honory i duże dochody same z siebie spadały na »Benjaminka świętego Kollegium«. Jako znający już wiedeńskie stosunki i to »z najpiękniejszej strony«, został protektorem cesarstwa, ale święceń kapłańskich nigdy nie chciał przyjąć, aby zachować przynajmniej trochę wolności świeckiego człowieka. Był więc tylko kardynałem dyakonem kollegiaty S. Maria in via Lata.

Za młodu miał Alessandro nauczycielem wielkiego pedanta, Marc Antonia Sabatini'ego, który był głębokim znawcą antyków. Sabatini pierwszy wpoił w swego ucznia zamiłowanie do starożytności. To też gdy Aleksander został kardynałem i dochody obficie płynęły, zaczął skupywać stare marmury, robić poszukiwania w Tivoli, w Civita Lavigna, w Nettuno i t. d. i zaprzyjaźnił się z baronem Stoschem, słynnym już antykwarzem, którego zaraz poznamy. Wkrótce miał Albani prawie zupełny zbiór popiersi rzymskich cesarzy, siedmdziesiąt głów starożytnych i bez liku cennych marmurów z napisami. Skarby te gromadził w pałacu przy Quattro Fontane, ale tak się przez to zadłużył, że już w r. 1728 musiał sprzedać część zbiorów kurfürstowi Augustowi w Dre-

źnie za 20.000 skudów, a nieco później papieżowi Klemensowi XII resztę marmurów, które się stały zawiązkiem muzeum kapitolińskiego. Gdy jeszcze Benedykt XIV nabył od kardynała zbiór monet, opustoszał pałac przy Quattro Fontane.

Tej pustki Albani znieść nie mógł; namiętność antykwarska za nadto go opanowała, aby się od niej mógł uwolnić. Zaczął zbierać na nowo, a miał już taką wprawę w wyszukiwaniu antyków i taką znajomość sztuki starożytnej, że go nazywano najznakomitszym antykwarzem świata. Obrabował więc dwie wille w Tivoli, dawną cesarza Hadryana i nową Estów, rozkopał niemal całe Porto d'Anzio, zapuszczał swe antykwarskie zagony aż po Neapol, Marsylię i Efez i namówił zakonnice Kartuzki w Rzymie, aby szukały relikwii w glinie z Katakomb. Zakonnice musiały przetrząsać suchą ziemię przez sito, przyczem kardynał pozostawiał im ułamki starych kości, a sam zabierał najdrobniejsze szczerby marmurów, był bowiem mistrzem w składaniu rozbitych płyt lub rzeźb marmurowych. Powiadają nawet, że to on pierwszy powziął myśl dorabiania brakujących części do dawnych posągów, co niezupełnie się zgadza z prawdą, bo już kardynał Scipio Borghese używał młodego Berniniego do tego rodzaju uzupełnień.

Zbiory Albaniego ponownie tak szybko rosły, że w pałacu nie było już na nie miejsca. Przybocznym doradcą kardynała, antykwarzem domu był prałat Baldani, którego nazywano najuczeńszym człowiekiem w Rzymie, a obok niego został później Winckelmann ulubieńcem Albaniego. Słynny Niemiec, który po różnych niepowodzeniach w ojczyźnie, gdzie go nie umiano ocenić, przeniósł się do Rzymu, pozyskał sobie europejską sławę. Znał wybornie grecki język, co wówczas pomiędzy uczonymi rzadko się zdarzało, gdyż w Rzymie uchodził jedynie monsignor Giacomelli za »znakomitego« Greka. Winckelmann wyrobił się na wielkiego znawcę starożytnej sztuki, tak, że kardynał nie miał przyjemniejszego nad niego towarzysza. Nieraz już o bardzo rannej godzinie przychodził Winckelmann do Albaniego, siadał przy łóżku kardynała i dwaj archeologowie rozprawiali o nowych zdobyczach i o dalszych planach poszukiwań.

Wtedy, około r. 1756, powziął Albani myśl wystawienia willi barokowej z ogrodem za porta Salara, w którejby mógł pomieścić i artystycznie ułożyć zebrane antyki. Zamiar swój wykonał tak szybko, że w pierwszych miesiącach roku 1758 willa już była gotowa. Jest to owa przepyszna willa, należąca dzisiaj do Torloniów, która mieści prawdziwe skarby starożytnej rzeźby.

Ale znowu funduszów zabrakło; kardynał musiał sprzedać zbiór rysunków i rycin papieżowi (1762), zrobił jednak dobry interes, gdyż otrzymał za nie 14.000 skudów, a marmury pozostały jego własnością.

Obok zamiłowania do antyków miał Albani inną, równie kosztowną słabość; do późnych lat nie mógł się oprzeć kobiecym wdziękom. Zdaje się, że ostatnią w licznym szeregu piękności, z któremi go łączyły bliższe stosunki, była markiza Checca Cherufini. Albani zawsze wieczorem jeździł do markizy; czasem, gdy miano rozmawiać o starożytnościach, brał ze sobą Winckelmanna. Cherufini bowiem uległa wpływowi kardynała i zbierała także gemmy, a Albani, rad nie rad, musiał się przyczyniać do powiększenia tej kollekcyi. Gdy kardynał w późniejszym wieku nie mógł wieczorem odwiedzać markizy, Checca przyjeżdżała do niego na partyę »Minchiatti«. Co tydzień bywał koncert u markizy; starsza jej córka pięknie śpiewała, młodsza nie odznaczała się wprawdzie »talentami«, ale odziedziczyła po matce żywość usposobienia i palące oczy. Stosunek Albaniego z markizą tak był od dawna znany, że Rzymianie nazywali go kardynałem »tituli divae Cheruffinae«.

Ale kardynał był już stary, a markiza o wiele młodsza; różnicę wieku trzeba było wyrównać złotem i dyamentami. Markiza stała się pod tym względem tak wymagającą, że była chwila, kiedy majątkowe stosunki kardynała bardzo się zachwiały i mogła zajść konieczność ponownej sprzedaży antyków. Wiedział o tem jego powiernik i marszałek domu, którego Albani nazywał żartobliwie Markiem Agryppą, aby nie raził swem włoskiem imieniem w otoczeniu starożytnych marmurów.

— Grozi mi zupełna ruina — skarżył się raz kardynał przed Agryppą — nie mam nic pieniędzy.

— Natychmiast je dostarczę Waszej Eminencyi — odpowiedział usłużny marszałek.

— Zaciągniesz pożyczkę?

— Nie, na uregulowanie finansów Waszej Eminencyi potrzebuję tylko jednego bajoka.

— Zwaryowałeś, przyjacielu?

— Bynajmniej; za jednego bajoka kupię smolankę, podpalę nią pałac Cheruffinich, a gdy wszyscy mieszkańcy nieszczęsnego gmachu wyginą, oszczędzi sobie Eminencya te olbrzymie sumy, które tam przepadają.

Kardynał nie kazał wprawdzie podpalić mieszkania swej przyjaciółki, ale może od tego czasu trudniej otwierał swoją szkatułę.

Przyjaciółki kardynała szły widocznie za jego przykładem i stawały się kollekcyonerkami, gdyż nie tylko markiza Cheruffini wdała się w antykwarstwo, ale i dawniejsza jego przyjaciółka, markiza Anna Grimaldi z Bolonii, zbierała kamee i monety. Grimaldi podzielała także z kardynałem zamiłowanie do teatru i do muzyki. Gdy w r. 1739 dawano w Collegio Germanico łacińską tragedyę »Sanherib«, a kobietom wstęp na przedstawienie był wzbroniony, umówiła się markiza z dwoma znajomemi paniami, aby wejść do sali w przebraniu męskiem. Sama miała na sobie mundur rycerski polskiego orderu św. Stanisława, który jej pożyczył Orazio Albani z wiedzą kardynała.

Kardynał Alessandro był sympatyczną postacią; nadzwyczaj uprzejmy, grzeczny dla całego otoczenia, taką sobie wyrobił umiejętność w obcowaniu z ludźmi, że stał się bardzo popularną osobistością w Rzymie. Obok gruntownych wiadomości z dziedziny historyi sztuki i niesłychanego znawstwa praktycznego w ocenianiu antyków, miał wielki talent pojmowania i rozumienia najtrudniejszych zagadnień naukowych i politycznych. Opowiadano o nim, że po ośmiu rozmowach z Monteskiuszem tak rozprawiał o jego dziełach, jak gdyby je w całości przeczytał. Pamięć nigdy go nie zawodziła.

Antyki i markiza Cheruffini stały się powodem, że kar-



Baron Stosch przewodniczy aukcyi starożytnych kamei.

Do str. 359. Według rysunku Ghezzi'ego w Albertynie. Fot. Schramm w Wiedniu.

dynał zasłynął w późniejszym wieku z chciwości. Cesarzowa Marya Teresa nie lubiła go, gdyż przy każdej sposobności z coraz to większą natarczywością starał się u niej o rozmaite materyalne korzyści, a mimo to, jako protektor cesarstwa, zaniedbywał interesa Austryi. Gdy w r. 1765 rozeszła się w Rzymie wiadomość, że cesarska rodzina udaje się do Insbruku na ślub arcyksięcia Leopolda, a Albani zapytywał w Wiedniu, czy może się tam udać, Marya Teresa poleciła Kaunitzowi, aby odpowiedział odmownie, gdyż przybycie kardynała na uroczystości byłoby »eine grausame Seccatura«.

W późnym wieku ociemniał Albani, jak się zdaje, wskutek częstego puszczania krwi w młodości; ale wprawa jego w rozpoznawaniu gemm i rzeźbionych kamieni była tak wielka, że dotykając przedmiotów oznaczał, z jakiej epoki pochodzą i jaką mogą mieć wartość.

Kardynał umarł w r. 1779, mając lat ośmdziesiąt siedm.

Prawie rówieśnikiem kardynała, bo tylko o rok od niego starszy, i zajmującym również ważne stanowisko pomiędzy rzymskimi znawcami starożytności był baron Filip Stosch (1691—1744), Niemiec, postać trochę dziwaczna i niezupełnie dobrej sławy. W latach pomiędzy 1720—31 znał cały Rzym tego długiego, cienkiego barona, ubierającego się zawsze bardzo oryginalnie i słynącego z tego, że on pierwszy w papieskiej stolicy chodził z monoklem w oku, co sprawiało zawsze uciechę publiczności. Stosch był synem lekarza z Cüstrin, nie miał prawa do tytułu, ale wybornie udawał pruskiego arystokratę i rozmaitemi dziwactwami zwracał na siebie uwagę. W swojem pomieszkaniu, tuż za pałacem Borghese, miał sowy wolno latające i utrzymywał, że go te ponure ptaki rozweselają w chwilach melancholii. Raz nawet posunął zamiłowanie oryginalności do tego stopnia, że trzymał w mieszkaniu oswojonego młodego dzika, do którego się goście barona nie mogli przyzwyczaić. Zresztą wyglądało u niego jak u jakiego czarownika: jakieś retorty i tygle, których przeznaczenia nikt się nie mógł domyśleć, stare księgi, marmury i rozmaite rupiecie. Obcował z dyplomatami, artystami, archeologami i pomimo że go miano za ateusza, potrafił sobie pozyskać względy i protekcye kardynałów Po mi-

strzowsku wyzyskiwał łatwowiernych i wyłudzał od nich starożytności. Właściwym powodem jego pobytu we Włoszech było śledzenie Stuartów, Jakóba III i jego zwolenników, czy nie knują jakich spisków przeciw nowej dynastyi, za co mu rząd angielski płacił stałą pensyę. Więcej jednak, aniżeli Stuarci, obchodziły go gemmy i monety starożytne; skupywał je więc, gdzie mógł, a chcąc mieć potrzebne na to fundusze, kazał podrabiać antyki i sprzedawał falsyfikaty cudzoziemcom. Urządził formalną fabrykę gemm, a najsławniejsi we Włoszech, w Paryżu i w Niemczech rzeźbiarze drogich kamieni, »maestri in glittica«, jak obydwaj Costanzi, Flavio Sirleti, jak Giovanni Pichler i Netter, podrabiali starożytne gemmy według jego wskazówek. Był zresztą człowiekiem nadzwyczaj wykształconym i oczytanym.

Obok gemm najbardziej wówczas fałszowano wazy greckie i freski herkulańskie. W podrabianiu waz odznaczał się Wenecyanin, Pietro Fondi, freski zaś po mistrzowsku malowali jacyś dwaj Genueńczycy z pomocą złotnika Gropallessego i wysyłali całe ładunki tych antyków do Francyi. Także malarz Guerra († 1761) należał do najznakomitszych fałszerzy.

Leo Ghezzi, malarz, którego nazwano rzymskim Hogartem, wyrysował Stoscha w r. 1728, jak przewodniczy aukcyi monet. Najzabawniejsze towarzystwo handlarzy, uczonych, poetów stoi wokoło, naprzeciwko rozpiera się Stosch w wielkim fotelu, a nad nim siedzi nieodstępna sowa. Pod ryciną podpis: »Congresso de migliori antiquari di Roma«. Ghezzi narysował jeszcze inny portret Stoscha z podpisem na dole: »Veramente Barone, anci Baronissimo«. Widocznie więc przyjaciele Stoscha niezupełnie wierzyli w jego baronostwo.

W nocy 21 stycznia 1731 r. został Stosch na ulicy napadnięty przez nieznajomych, którzy mu pod karą śmierci nakazali opuścić Rzym. Stosch musiał wiedzieć o powodach tej groźby, bo natychmiast przeniósł się do Florencyi, gdzie umarł w r. 1757, pozostawiwszy znaczny majątek, a prócz tego zbiór gemm i monet, który rząd pruski zakupił za 30.000 skudów.

II.

Bardzo zajmującą postacią pomiędzy ówczesnymi antykwarzami był także bankier Tomasz Jenkins, Anglik osiadły w Rzymie, który tam przybył, aby się kształcić w malarstwie. W tej sztuce jednak nie daleko doprowadził, natomiast nabył ogromnej wprawy w rzeczach antykwarskich, znał się wybornie nie tylko na dawnych obrazach i rzeźbach, ale i na medalach i kameach, w czem mu dopomagała znajomość rysunku i wielkie oczytanie w historyi sztuki. Stał się też powagą w ocenianiu zabytków przeszłości; z dziwną zręcznością umiał składać kawałki potłuczonych rzeźb, a kardynał Albani i Winckelmann zawsze zasięgali jego rady, ilekroć chodziło o wytłumaczenie jakiej niezbyt zrozumiałej płaskorzeźby, albo ornamentu na rzymskim sarkofagu.

Jako człowiek praktyczny, chciał Jenkins mieć także materyalne korzyści ze swoich wiadomości antykwarskich; założył więc handel starożytności, z którym połączył później kantor wymiany pieniędzy i innych bankierskich interesów. Dziwnie się jednak przywiązywał do pięknych antyków i prawdziwą mu sprawiało boleść, gdy sprzedawał jakiś ważniejszy przedmiot ze swoich zbiorów. Wtajemniczał wtedy kupującego w całą historyę i wartość owego zabytku przeszłości i prawie do łez się rozczulał, gdy zabierano z botegi ukochany antyk. Rozstając się z jakąś rzeźbą lub kameą, prosił nabywcę, aby w razie, gdyby się chciał jej pozbyć, udał się przedewszystkiem do niego, gdyż zawsze jest gotów zwrócić mu wydaną kwotę. A nie była to wcale przechwałka, gdyż się nieraz zdarzyło, że odkupywał sprzedane przedmioty i tak był uradowany odzyskując swój skarb, że zapraszał sprzedającego na obiad, aby mu okazać swą wdzięczność.

Antykwarstwo stało się podstawą znacznych majątków kilku szczęśliwców, osobliwie takich, którzy mieli stosunki z północnymi dworami. Do takich należał Ercole Aldovrandi, za młodu pomocnik w jakimś antykwarskim sklepie, później mistrz w ocenianiu antyków i w fałszowaniu rzeźb i kamei.

Odziedziczywszy po ojcu około sześćset talarów, nosząc zresztą nazwisko brzmiące arystokratycznie, wyjechał w r. 1731, mając lat dwadzieścia trzy, na Północ, zabrawszy ze sobą mały zbiór antyków. Przepędził długie lata w Wiedniu, w Dreźnie, w Brunszwiku, Hamburgu, Trewirze i w wielu innych miastach niemieckich, prowadząc wszędzie handel starożytnościami. Tym, którzy się zupełnie nie znali na sztuce, sprzedawał rzeczy podrobione, dla bogatych książąt niemieckich sprowadzał z Rzymu antyki i obrazy, mające rzeczywistą wartość. W ten sposób dorobił się z czasem znacznej fortuny i wrócił do Rzymu, aby używać owoców swej pracy i przebiegłości. Kupił piękny pałac, ożenił się z młodą Rzymianką i prowadził dalej handel obrazami i antykami, pomimo że go szacowano na pięćdziesiąt tysięcy liwrów renty. Dożył późnego wieku i musiał być zabawnym typem dorobkiewicza, bo Goldoni umieścił go w jednej ze swych komedyi.

W handlu rzymskim znajdowało się bez liku podrobionych antyków, w której to sztuce artyści ówcześni doszli do mistrzowstwa. Co gorsza, nie sami tylko handlarze, ale nawet kollekcyonerzy i mecenasi kazali często fałszować rzeźby albo kamee. Kardynał Albani miał na swoich usługach takiego mistrza, który zwłaszcza w restaurowaniu prawdziwych zabytków starożytności stał się mu bardzo pożytecznym. Był nim słynny Bartolomeo Caraceppi, »celebre ristauratore«, który z jednej wykopanej ręki lub nogi jakiegoś starożytnego posągu umiał tak umiejętnie i z takim talentem zrobić całą postać, z takiem zrozumieniem epoki ją wyrzeźbić, że najznakomitsi znawcy uważali ją za autentyczną.

Do dziś dnia błąkają się po najcelniejszych muzeach Europy marmury, a osobliwie rznięte kamienie i medale, które wyszły z pracowni ówczesnych rzymskich antykwarzy.

Wobec cudzoziemców używali handlarze tych samych »sztuczek«, jakie do dziś dnia bywają w zwyczaju. Za panowania Piusa VI przyjechał do Rzymu hr. Fries z Wiednia, aby podziwiać dzieła sztuki i zakupywać antyki. Miał się za wielkiego znawcę, a był bardzo próżny. Handlarze poznali odrazu swą ofiarę; zaczęli się unosić nad jego znawstwem, jego głęboką erudycyą, a gdy widzieli, że mu te pochwały

pochlebiają, zwrócili jego uwagę na obrazy, kamee, marmurowe popiersia, medale, znajdujące się w posiadaniu pewnego markiza. Właściciel potrzebuje wprawdzie gotówki z powodu zawikłanych interesów, ale tak jest przywiązany do swoich skarbów artystycznych, że trzeba będzie dużo zachodu, aby cokolwiek z nich odstąpił. Trzeba jednak spróbować. Wskutek rozmaitych rzekomych »poleceń« wprowadzono wreszcie Wiedeńczyka do pałacu owego markiza, aby mu pokazać przepyszne zbiory. Oczywiście zachwycał się nimi, a po długich zachodach i targach zakupił mnóstwo »starożytności« od markiza i powrócił do domu z całym ładunkiem kopii dawnych obrazów, podrabianych medali i rozmaitych innych rupieci. Cały Rzym antykwarski cieszył się, że tak »ubrano« Wiedeńczyka. Słynny artysta Pichler skorzystał także z pobytu Friesa i sprzedał mu za bardzo wysoką cenę kameę, przedstawiającą Lunę. Fries żądał poświadczenia, że kamea jest rzeczywiście starożytna; Pichler wystawił ten certyfikat bez wahania, ale wystylizował go dość ostrożnie.

W r. 1741 grywali zakonnicy klasztoru S. Bartolomeo all'Isola w swym refektarzu bardzo zabawną komedyę, wyśmiewającą rozmaite oszukaństwa rzymskich antykwarzy. Komedya miała takie powodzenie, że cały Rzym bywał na tych przedstawieniach.

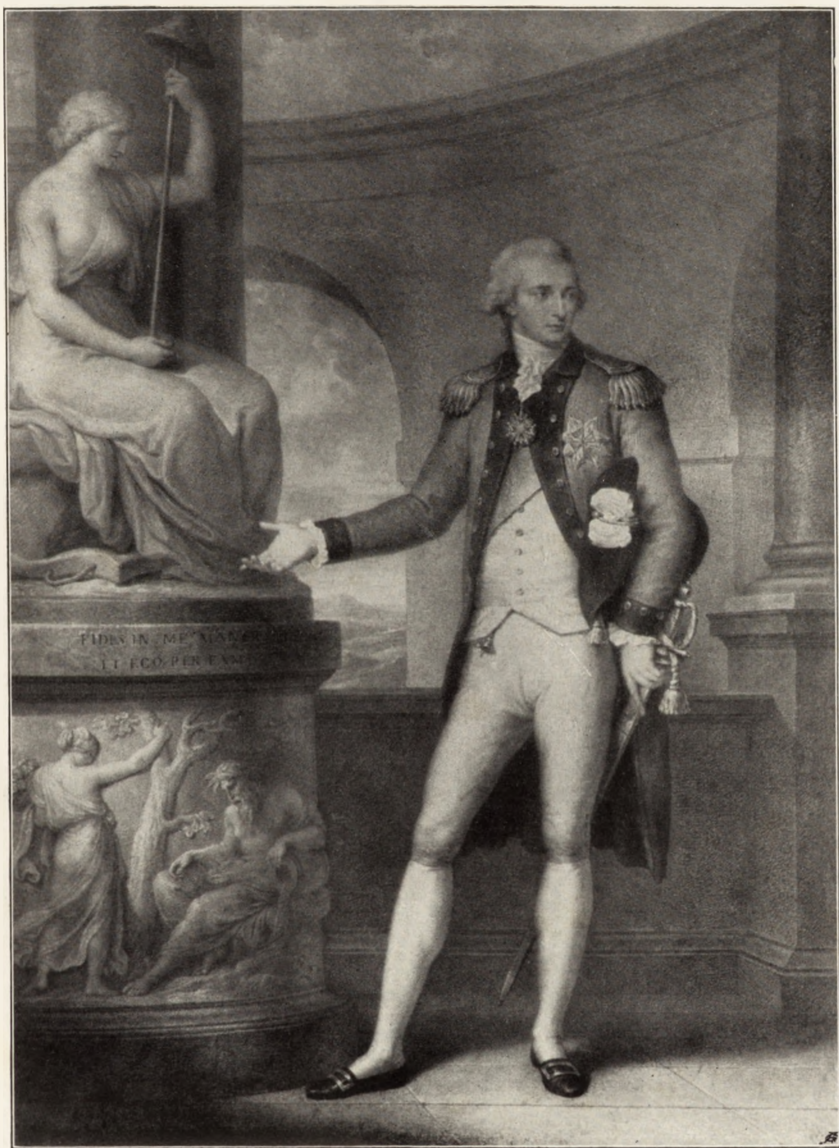
W niektórych kawiarniach niższego rzędu stale schodzili się amatorowie lub handlarze antyków i tam spotykało się nadzwyczaj oryginalne postacie. Ten i ów wychudzony, prawie obdarty księżyna, o wyżółkłej twarzy i świecących oczach, całe życie marzył o tem, aby wyłowić kawał cennego marmuru, albo rzadką kameę i sprzedać ją bogatemu cudzoziemcowi. Na tem marzeniu opierał wszystkie swoje nadzieje. Gdy mu się udało odszukać jaką starożytną głowę, niósł ją jak największy skarb, zawiniętą w starą szmatę do kawiarni, nadał jej szumne nazwisko i pokazywał znawcom. Jeden z północnych podróżnych był przytomny, jak pomiędzy antykwarzami powstał namiętny spór, czy marmurowa głowa, którą właśnie wykopano, była głową Gajusa, czy Tyberyusza Grakcha, a tak samo mogła być podobizną pierwszego lepszego, najspokojniejszego Rzymianina.

W domach prywatnych, na tak zwanych »conversazioni« najczęściej rozprawiano o antykach. Najgłośniejszym za czasów Piusa VI był salon signory Maryi Pezzelli, którą i Goethe odwiedzał. Gorani, autor słynnych pamiętników, poszedł raz także na taką conversazione i bardzo się wynudził. Pezzelli, z natury uzdolniona, odebrała wykształcenie tylko od pedantów i nie miała dość zmysłu, aby wyrobić w sobie przekonanie, że łatwiej znieść nieuctwo, aniżeli erudycyę bez smaku i taktu. Z nauki starożytnych języków, w których była bardzo biegła, wyniosła tylko zarozumiałość i odpychającą sztywność.

Według przyjętego zwyczaju zasiadała signora Marya w głębi salonu, po obydwu stronach, w rzędach krzeseł mieścili się goście. Pani domu napuszona, uczeni przejęci ważnością chwili, jakby w kościele. Metodę czuć było w powietrzu, rozprawiano o każdym przedmiocie zimno i długo, a przedewszystkiem w sposób nudny i męczący. Na jednem z tych posiedzeń prawie cały wieczór była przedmiotem rozmowy kamea, którą niedawno nabył książę Braschi-Onesti. Wyrazy techniczne mąciły głowę, przytaczano Homera, Sofoklesa, Euripidesa, Demostenesa, Eschila i wielu innych greckich autorów.

W końcu sami nawet uczeni zmęczyli się własną erudycyą i przeszli do bardziej nowoczesnego przedmiotu, do stosunków amerykańskich. Z pogardą i lekceważeniem raczyli się wyrażać o Stanach Zjednoczonych, narzekać na nowe filozoficzne kierunki, bo te nie zgadzały się z papieską polityką. Rozmowa przeszła na protestantów, na kalwinów i Genewę, której zarzucano brak kultury, ponieważ jej mieszkańcy nie kupują rzymskich antyków.

Gorani zauważył, że rzymscy uczeni wiedzą doskonale, a przynajmniej zdaje im się, że wiedzą, gdzie Hannibal rozbił swe namioty, gdzie stracił oko, wykazują z wszelką dokładnością miejsce, gdzie bracia Grakchowie zostali zamordowani, zbadali wybornie położenie trybun na Forum, ba, nawet nie uszły ich uwagi poruszenia rąk i głowy Cycerona podczas mowy »Pro lege Manilia«, wiedzą wszystko, tylko nie to, co wiedzieć potrzeba, aby być człowiekiem wykształconym.



Książę Stanisław Poniatowski.

Według portretu Angeliki Kaufmann, własn. ks. Andrzeja Poniatowskiego w Paryżu.

Do str. 365. Fot. Choumoff w Paryżu

Rząd opierał swą władzę na tem, że kształcił społeczeństwo nie na tem, co pożyteczne, ale uczył tylko tego, co tamowało postęp kultury.

III.

Jeszcze jedna postać, już nie fałszerza monet lub rzeźb starożytnych, ale namiętnego zbieracza. Był nim książę Stanisław Poniatowski, syn Kazimierza, brata królewskiego. Stanisław August bardzo się tym synowcem opiekował, wysłał go na studya na Cambridge i w podróż do Włoch, a młodzieniec tak się rozmiłował w sztuce i w południowych krajach, że kilka razy tam wracał i ostatecznie, po różnych zawodach w ojczyźnie, stale osiadł w Rzymie.

Stanisław August rad był zapewnić mu nawet następstwo tronu po swojej śmierci, czemu jednak sprzeciwiła się cesarzowa Katarzyna, pomimo że go bardzo lubiła i chciała wyswatać z wielką księżną Aleksandrą. Charakterystycznem jest dla antykwarskiego kierunku owoczesnych umysłów, że carowa miała zamiar z pomocą księcia Stanisława wydać Homera z tekstem greckim i rosyjskim i z rycinami, robionemi według najpiękniejszych greckich kamei. Projekt ten powstał w r. 1796, w jesieni, podczas obiadu dworskiego w Petersburgu, na który Poniatowski otrzymał zaproszenie. Wydawnictwo nie przyszło do skutku z powodu śmierci cesarzowej.

Były czasy, kiedy uważano księcia Stanisława za najzamożniejszego właściciela dóbr ziemskich w Europie, a jego obligi miały lepszy kurs na giełdzie amsterdamskiej, aniżeli weksle wielu głów koronowanych. Po pierwszym rozbiorze Polski sprzedał jednak książę swe olbrzymie posiadłości na Wołyniu i na Ukrainie za bardzo nizką cenę, za milion cekinów; ale nie żałował tego kroku, gdyż, jak pisał w swym bardzo zajmującym pamiętniku, okupił tym sposobem wolność i spokój. Pozostało mu z wielkiej fortuny jeszcze tyle, że mógł dogadzać swym artystycznym i naukowym namiętnostkom. Bardzo wykształcony, umiał być kollekcyonerem

i zajął znaczące stanowisko pomiędzy miłośnikami badań acheologicznych we Włoszech. W rzymskiem towarzystwie bardzo był lubiany; często go widywano w salonie hrabiny d'Albany, a zamiłowanie do antyków łączyło go z kilkoma uczonymi przyjaciółmi, do których należał Jan Akerblad, szwedzki archeolog, i Jan Baptysta d'Agincourt, Francuz, archeolog i numizmatyk, który zamieszkał w r. 1778 stale w Rzymie, a mając znaczny majątek, poświęcił się studyom zabytków rzymskich i po wielu latach pracy wydał olbrzymią historyę sztuki w języku francuskim, ozdobioną licznemi rycinami. Pani Vigée Le Brun nazywa go w swoich pamiętnikach »entuzyastą« sztuki. D'Agincourt, umierając, zapisał Poniatowskiemu całą swoją bibliotekę.

Książę miał ślicznie położoną willę przy via Flaminia i pałac przy via della Croce, który podczas trzęsienia ziemi w r. 1811 bardzo został uszkodzony. Nadto wybudował w początkach XIX wieku dużą willę w Albano, gdzie pomieścił swoje artystyczne zbiory. W późniejszym już wieku poślubił Hiszpankę, z którą miał trzech synów i córkę, i przeniósł się do Florencyi. W r. 1826 sprzedał najcenniejszy swój zbiór: rznięte kamienie, gemmy i kamee, Anglikowi M. Sykes. Zbiór ten liczył 2601 przedmiotów częścią bardzo cennych, autentycznych, częścią imitacyi dawnych kamieni. Pomiędzy innymi duże medaliony z tematami z Iliady i Odyssei nie były dziełami starożytnych rzeźbiarzy, ale bardzo pięknemi robotami artystów XVIII wieku. Duży więc opisowy katalog owych gemm i kamieni, który książę wydał, nie może bezkrytycznie służyć za podstawę badań o starożytnej sztuce medalierskiej [1]).

W zbiorach księcia znajdowało się także mnóstwo obrazów, rzeźb ze słoniowej kości i innych zabytków, które po jego śmierci rozproszone zostały.

Dla dwóch najstarszych synów, którzy mieli tytuł rzymskich książąt, ufundował książę Stanisław kommendy zakonu św. Szczepana. Młodszy z nich, Józef, był znanym i cenio-

---

[1]) Catalogue des pierres graves antiques de S. A. le prince Stanislaus Poniatowski. In 4°, str. XXIV i 135. Florence, Piatti.

nym kompozytorem oper, a nadto tak pięknie śpiewał, że pomimo swego wysokiego stanowiska, jakie zajął w społeczeństwie włoskiem i francuskiem, wystąpił kilka razy ze swoją siostrą, księżniczką Elizą, publicznie w »Lukrecyi Borgii« w Liwornie (1844) i w »Otellu« Rossiniego w Bolonii. Później (1860) objął kierownictwo włoskiej opery w Paryżu, a w jego utworze, w słynnej swego czasu operze »Genuina« śpiewała Adelina Patti, w r. 1872, w Covent-Garden, w Londynie.

Księżniczka Eliza wyszła za mąż za p. Ricci i była matką słynnej hrabiny Walewskiej.

Książę Stanisław umarł we Florencyi r. 1833; wyborny jego portret wymalowała Angelika Kauffmann.

IV.

Znaczna część rzymskich bibliotek powstała, a przynajmniej wzbogaciła się w XVIII wieku. Celnicy przy porta del Popolo, przetrząsając tłómoki podróżnych, konfiskowali tylko nowe książki francuskie, a przedewszystkiem pisma niedowiarka Woltera, zapylone zaś tomy, oprawne w oślą skórę, pozwalali wnosić do miasta. Handel też dawnemi książkami rozwinął się na wielkie rozmiary, zwłaszcza że pomiędzy kupującymi stare szpargały było kilku bardzo wybitnych kardynałów.

Najznakomitszym z nich i najoryginalniejszym był kardynał Domenico Passionei, którego Rzymianie z powodu despotycznego usposobienia nazywali kardynałem Scanderbegiem, a nawet baszą z Fossombrone, Passionei był bowiem rodem z tego miasteczka, gdzie się urodził jeszcze w r. 1682. Znano go jako człowieka wielkiej nauki, który umiał kilka języków, a że Klemens XI posyłał go jako nuncyusza do Holandyi, do Szwajcaryi, do Wiednia, więc Passionei miał szersze pojęcie o świecie i o ludziach, aniżeli ci kardynałowie, którzy wychodzili z murów rzymskich co najwięcej na przechadzkę, na Kampanię. Wolter uważał Passioneiego za najbardziej uzdolnionego pomiędzy kardynałami i żałował tylko,

że się starzeje. Pisał też do jednego ze znajomych kardynała: »Je serais fort aise, avans que nous partions lui et moi de ce sot monde, qu'il sut combin je le respecte«. Ta sympatya Woltera nie szkodziła jednak księciu Kościoła w Rzymie, gdyż miał wielkie zasługi, mógł się np. szczycić, że nawrócił księcia Würtemberskiego na religię katolicką, a wszędzie poważano go jako człowieka nieskażonych obyczajów.

Casanova charakteryzuje kardynała jako trochę dziwaka, człowieka próżnego i gadułę. Gdy po raz pierwszy był u niego po swojej ucieczce z więzienia weneckiego, zastał go w dużym pokoju, gdzie nie było żadnego krzesła prócz tego, na którem siedział kardynał. Audyencya trwała krótko, ale dość długo, aby Passionei miał czas zwierzyć się awanturnikowi, że papież kardynała nie lubi.

Podczas drugiej wizyty prosił Passionei Casanovę, aby mu opowiedział swoją ucieczkę. Ale znowu nie było drugiego krzesła.

— Gdzież mam usiąść, Eminencyo? — zapytał Casanova — na podłodze?

Kardynał zadzwonił, służący przyniósł taburet. Ale taburet był niewygodny, Casanova się śpieszył z opowiadaniem. Nie zadowolnił kardynała, który zauważył, że Wenecyanin nieświetnie opowiada.

— Ba, na taburecie!

— Ach, lubisz wygody.

I na załagodzenie sprawy ofiarował Passionei Casanowie swoją mowę pogrzebową na cześć księcia Eugeniusza, chwaląc się, że napisana dobrą łaciną.

Casanova się odwdzięczył, posyłając przy sposobności kardynałowi piękne wydanie Pandektów, które nabył w Szwajcaryi. Na posłuchaniu w Watykanie zapytał go papież, czy Passionei przyjął ten podarunek?

— Zdaje się, że przyjął.

— Jeżeli tak, to przyśle Winckelmanna, aby ci za książkę zapłacił.

— Nie jestem handlarzem, nie przyjmę pieniędzy.

— To kardynał odeśle Pandekta.

— W takim razie zwrócę mu jego oracyę pogrzebową.



Kardynał Passionei, przewodniczący dyspucie nad pismami św. Augustyna.

Według rysunku Ghezzi'ego w Albertynie.

Do str. 368. Fot. Schramm w Wiedniu.

Papież się roześmiał, widocznie nie lubił kardynała. Nazajutrz Passionei przysłał rzeczywiście Winckelmanna do Casanowy z pieniądzmi za kodeks. Awanturnik nie przyjął pieniędzy i książkę ofiarował bibliotece watykańskiej.

Papież nadał Casanowie krzyż zakonu »złotej ostrogi«, z czego awanturnik bardzo był dumny; ale gdy Giacomo nosił później tę dekoracyę w Warszawie, książę wojewoda Czartoryski radził mu, aby schował tę odznakę, ponieważ: »C'est une drogue que n'osent plus porter que les charlatans«, a Casanova nie chciał uchodzić za szarlatana.

Passionei nienawidził Jezuitów, nie mógł ich znosić. Kamerdyner kardynała, do połowy już także biblioman, układał co rano wszystkie książki, które nadchodziły, na wielkim stole przy oknie, tak, aby Eminencya mógł zaraz po śniadaniu przeglądać nowości. Regularnie się jednak zdarzało, że jak tylko Eminentissimus zobaczył przy nazwisku autora litery S. J. (Societatis Jesu), zaraz wyrzucał książkę przez okno. Wiedział o tem Benedykt XIV i rad był z kardynała zażartować. Okna biblioteki Passioneiego były naprzeciwko okien papieskich pokoi; papież kazał raz cichaczem położyć kardynałowi na stół jezuickie dzieło »Medulla theologica«, a wiedząc, o której godzinie Passionei przychodzi do swej biblioteki, ukrył się w swym pokoju za kotarą przy oknie. Po chwilce wszedł kardynał, spostrzegł na książce złowrogie litery S. J., chwycił ją oburącz i z gniewem wyrzucił na dziedziniec.

Żart się udał zupełnie.

Najszczęśliwsze chwile przepędzał Passionei w swojej willi przy klasztorze Kamedułów we Frascati, którą urządził także dla zakonników, ale zakonników wesołych. Były tam, podobnie jak w Camaldoli, małe pawilony, rozsiane po cienistych gajach ogrodu, przeznaczone dla gości, których kardynał zapraszał zwykle na dłuższy pobyt, ale porozstawiane tu i owdzie marmury z greckimi i łacińskimi napisami i posągi greckich bogów przypominały, że tam więcej się mówi o starożytnym, aniżeli o dzisiejszym świecie. Kardynał mieszkał w głównej willi, obszernej, gdzie był także wspólny pokój, przeznaczony na pogadanki, i kazał się nazywać przeo-

rem. Na drzwiach każdego domku w ogrodzie było napisane nazwisko gościa, który chwilowo tam bawił.

W tej kolonii, jakby na obudzenie zazdrości w biednych sąsiadach Kamedułach, panowała najzupełniejsza swoboda; sam kardynał-przeor chodził cały dzień w szlafroku z jakiejś kwiecistej materyi i w dużym słomianym kapeluszu, a goście, najczęściej uczeni, w kaftanach i pantoflach. Do stołu nie wolno się było inaczej ubierać, przedewszystkiem chodziło o wygodę. Gdy nowy gość miał przybyć, urządzał kardynał głosowanie, czy można go przyjąć za towarzysza, a gdy zaproszony się stawił, witano go komiczną, zazwyczaj wierszowaną mową.

Do częstych gości w Camaldoli i największych przyjaciół Passioneiego należał słynny kaznodzieja Paolo Maria Pacciandi, którego łączyło z kardynałem zamiłowanie do rzadkich książek i niechęć do Jezuitów. Obydwaj prałaci zbierali niezliczone satyry i karykatury, jakie tylko wychodziły na nielubiany zakon, a Passionei szczycił się, że mu żadnego paszkwilu nie brakowało. Posuwali się tak daleko w swej nienawiści, że gdy markiz Pombal przesyłał Klemensowi XIII całe okręty wygnanych z Portugalii, wynędzniałych Jezuitów, przyjaciele z Camaldoli nie posiadali się z tego powodu z radości.

Raz zawitała do Frascati słynna pani du Boccage i wtedy cała kolonia wystroiła się po świątecznemu, po miejsku. Kardynał bardzo polubił dowcipną Francuzkę, pokazywał jej ciekawości Rzymu i nazwał się jej »chevalier«. Wydał dla niej festyn w watykańskiej bibliotece, chodził z nią po placu św. Piotra i cieszył się, gdy Rzymianie mówili, że kardynał zakochał się w pięknej Francuzce. Ale i Benedykt XIV rad był poznać Paryżankę; urządzono więc ich spotkanie przy S. Maria Maggiore. Papież, chcąc wzbudzić zazdrość w obecnym tam kardynale, chwalił się, że i on zna poezye pani du Boccage i umie je na pamięć, przytoczył więc kilka wierszy. Zazdrość była niewinna, bo obydwaj wielbiciele Francuzki liczyli sobie już po lat blizko ośmdziesiąt.

Passionei lubił wyśmiewać swoich kolegów purpuratów, ich brak wykształcenia, ich formalizm i politykę. Że zaś miał

czasem powody do złośliwych uwag, niech posłuży za dowód jeden tylko wypadek z trochę późniejszych czasów. Któryś ze znakomitych podróżnych spotkał na obiedzie u ambasadora weneckiego kardynała Carrarę, który uchodził w Rzymie za bardzo uczonego człowieka. Rozmawiano o słynnym panu Saussure, który kilkakrotnie wyszedł na szczyty Mont-Blanc. Jego Eminencya zauważył, że to nic szczególnego, bo on także chodził po Apeninach. Jeden z obecnych z cicha się odezwał, że pomiędzy wysokością szczytów alpejskich a Apeninami zachodzi pewna różnica.

— A czy Pan mierzył tę wysokość? — zapytał podrażniony kardynał.

— Nie, ale De Luc, Saussure i kilku innych przyrodników mierzyło wysokości szczytów alpejskich.

— Mogli się pomylić.

Na takie »dictum« starano się kardynałowi wytłomaczyć zastosowanie barometru do tego rodzaju pomiarów. Carrara jednak niedowierzająco kiwał głową, a wreszcie, gdy rozmowa weszła na elektryczność, zniecierpliwiony, zakończył wszelkie spory zapewnieniem, że »Arystoteles więcej wiedział, aniżeli wszyscy ci fizycy razem wzięci«.

Tego rodzaju »uczeni« mogli gniewać człowieka o szerszym umyśle, jakim był Passionei. Wybór Klemensa XIII zaciemnił ostatnie lata jego życia. Po rozsądnych rządach Benedykta XIV nastąpiła najzupełniejsza reakcya.

Wpływy Torrigianiego i jenerała Jezuitów Ricciego na papieża tak gniewały kardynała, że ciągłe rozdrażnienie szkodliwie wpływało na jego zdrowie. Marzył o tem, aby skłonić papieża do wydania bulli, znoszącej zakon Loyoli, mówiono nawet, że tekst odpowiedniego pisma nosił zawsze w brewiarzu. Ale łagodny papież nie mógł się wyzwolić z pod wpływu Ricciego i Passionei nie dożył swego zwycięstwa.

Zdarzyło się, że Jezuici wnieśli do Stolicy Apostolskiej skargę przeciw Ojcu Mésenguy z Beauvais, którego katechizm (Exposition de la doctrine chrétienne) miał być napisany w duchu Jansenistów. Papież złożył kongregacyę do zbadania tej książki, do której powołał także Passioneiego. Gdy jednak kardynał spostrzegł, że większość kongregacyi stanie po stro-

nie Jezuitów, opuścił posiedzenie i pojechał do swego klasztoru, nie chcąc się już mieszać w tę sprawę. Zgryziony, zasiadł właśnie do obiadu z kardynałem Sciarra i księciem Colonną z Palestryny, gdy przybył servita Baldoriotti, urzędnik Kamery Apostolskiej »Substitutus Brevium«, z rozkazem papieża, aby Passionei podpisał Breve, wydane przeciw owemu katechizmowi. Kardynał zbladł, zamyślił się i szybko opuścił jadalnię. Baldoriotti, dawny znajomy kardynała, pobiegł za nim; zaczął go uspokajać, namawiać, aby się zastosował do woli papieża i tak długo go nudził, aż wreszcie Passionei, nie czytając nawet aktu, uchwycił pióro i podpisał.

Oczy mu zaszły łzami; łkając, wypowiedział jeszcze słowa: »E'fatto della Sancta Sede« i upadl na krzesło, sparaliżowany. Chwilami odzyskiwał jeszcze przytomność, ale mówić już nie mógł i 5 lipca (1761) umarł.

Cenną spuściznę, bibliotekę kardynała, zakupił jenerał Augustyanów Vasquez i połączył z książnicą przy S. Agostino, zwaną »Angelica«. Zbiór miedziorytów nabył kardynał Sciarra dla cesarzowej Maryi Teresy.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

ARTYŚCI W RZYMIE.

I.

W Rzymie pracowało w XVIII wieku dwóch malarzy, z których każdy uważał się za najpierwszego mistrza w Europie, pomimo że właściwie żadnemu z nich nie należało się pierwszeństwo; Pompeo Batoni z Lukki (1708—1787) i Rafael Mengs z Drezna (1728—1779).

Pompeo był tak przekonany o swojej wielkości, że gdy raz siedział przy obiedzie obok bardzo ładnej sąsiadki, powiedział jej niezgrabną grzeczność, że ona jest bez wątpienia najpiękniejszą kobietą, a on największym artystą świata.

Batoni był malarskim Metastasiem; podobnie jak ten ostatni w poezyi, tak pierwszy w malarstwie wyrażał ową czułostkowość i gładkość, będącą charakterystyczną cechą ówczesnego społeczeństwa.

Jego płótna przypominają po większej części grupy z żywych obrazów, pięknie ustawione, nie rażące niczem oka, o postaciach ładnych, strojnych, zgrabnych i pełnych gracyi, o kolorycie łagodnym, spokojnym. Gdy jednak chciał przedstawić temat tragiczny, jak np. pożegnanie Hektora z Andromachą, albo przedmiot bliblijny, to wpadał w przesadny patos, w mimikę teatralną i rzec można, że on dał początek temu stylowi neoklasycznemu w malarstwie, którego Louis Dawid stał się uznanym mistrzem. Młodzieńcem przybył do

Rzymu; nauczycielami jego byli malarze o miernych talentach, jak Sebastyan Conca, Imperiali, Massucci; przetrawił w sobie przeszłość włoskiego malarstwa od Rafaela do szkoły bolońskiej, skorzystał z techniki swoich poprzedników i został »przyjemnym« artystą. Ceniono go bardzo jako portrecistę, malował mnóstwo znakomitych osobistości, papieży i królów, a kto chciał w godny sposób przejść do potomności, dawał się portretować Batoniemu. W Rzymie zarzucano mu zbyt miękki koloryt, nie zgadzający się z tradycyami mistrzów Odrodzenia; zato więcej ceniono go na północnych dworach Europy, aniżeli w ojczyźnie. »Achilles z Chironem« we florentyńskich Uffiziach może najlepiej cechuje jego talent. Batoni był człowiekiem niezwykle dobrym i tak łatwo się rozczulał, że niektórych obrazów nie kończył, gdyż temat ich wyciskał mu łzy z oczu. Raz pytał się go niemiecki malarz Tischbein, dlaczego nie kończy obrazu »Koryolan i jego matka«, który wisiał w przedpokoju do pracowni mistrza. Batoni odpowiedział: »Nie mogę, gdyż malując go, za nadto się rozrzewniam. Patrz, Koryolan idzie ku matce, którą w tłumie spostrzega, aby ją uściskać, a ona go odpycha i z oburzeniem mówi: Wyrodku! moja pierś cię wykarmiła, Rzym cię wychował, tutaj zostałeś silnym, a teraz chcesz to miasto ogłodzić! Precz! Droga do Rzymu po moim trupie!« To mówiąc, Batoni się rozpłakał.

Mistrz należał do najpobożniejszych ludzi w Rzymie; o czwartej z rana szedł na mszę, a tłumy żebraków czekały już na niego. Dawał więcej jałmużny, aniżeli dochody na to pozwalały, a młodych artystów wspierał pieniądzmi i radą.

Trzy córki Batoniego cieszyły się w Rzymie również pewnym rozgłosem, gdyż słynęły z urody; bardzo pięknie śpiewały i przy każdej uroczystej sposobności, czy to w pałacu kardynała de Bernis, czy w salonach rzymskiej arystokracyi, zbierały oklaski. Batoni umieścił ich portrety na obrazie, malowanym dla Fryderyka Wielkiego, p. t. »Rodzina Daryusza«. W późniejszych latach brał mistrz najczęściej tematy z Wergiliusza i Homera, ulegając w tem prądowi neoklasycznemu. Około roku 1780 stał u szczytu sławy.

Mniej sympatyczną postacią był Rafael Mengs, może

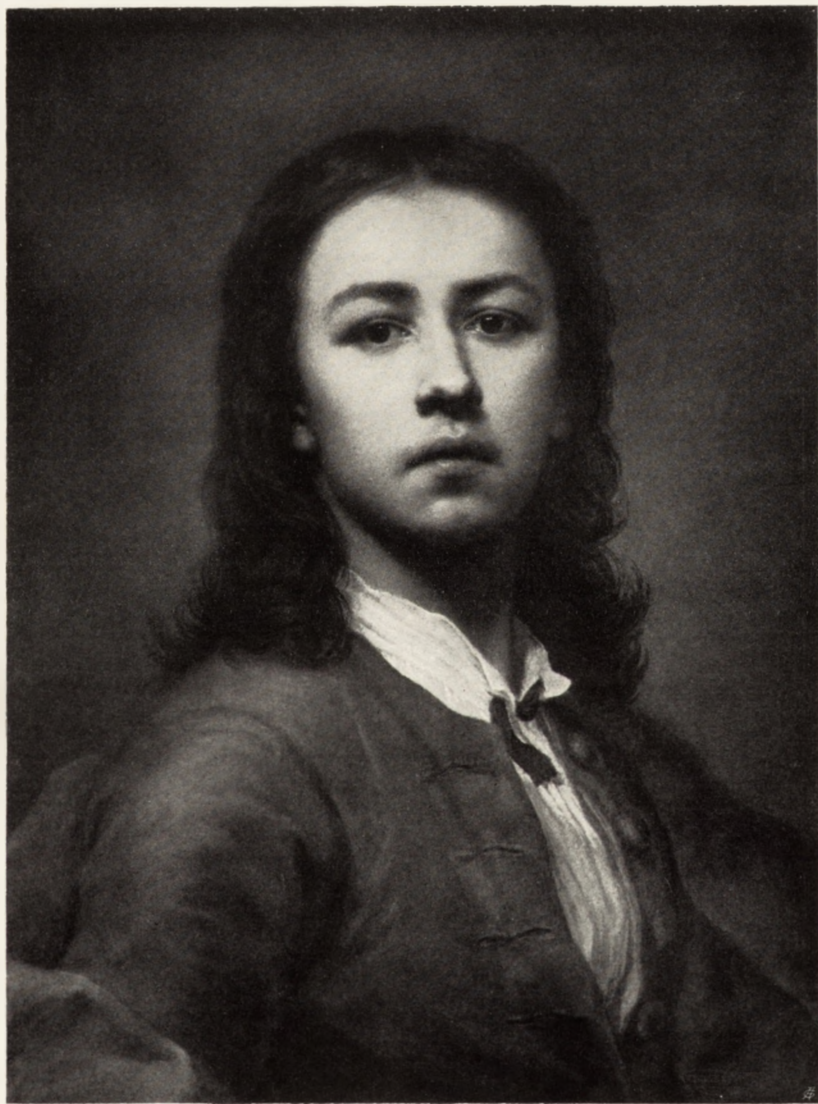


Batoni. Centaur Chiron i Achilles.

Galerya Uffizi.

Do str. 374.

Fot. Alinari



Rafael Mengs.

Portret własny artysty w Galeryi drezdeńskiej.

Do str. 375.

jeszcze sławniejszy, aniżeli Batoni, z pewnością głośniejszy, aniżeli na to zasługiwał. Porównywano go z Rafaelem, a dwory królewskie ubiegały się o niego, jak o najpierwszego malarza w Europie. Pochodził on z Drezna, gdzie ojciec tyran, także malarz, uczył go swego kunsztu harapem, a nie pędzlem. Widocznie jednak ta nauka nie była bezowocna, bo czuły rodzic mógł wyjechać z żoną i z synem już w r. 1738 do Rzymu, aby go dalej kształcić w malarstwie. Po czterech latach studyów wróciła malarska rodzina do Drezna, a młody artysta podobał się królowi i został »nadwornym malarzem«. Zresztą tytuł był zasłużony; Mengs zrobił portret Augusta III i jego małżonki, tudzież portret Reginy Mingotti, słynnej śpiewaczki, będącej w służbie króla polskiego, do której wzdychało co najmniej stu wielbicieli, a pomiędzy innymi i sam artysta. Podobizny te należą może do najlepszych, jakie w życiu wymalował.

Mengs marzył jednak o Rzymie; powrócił tam w r. 1746, chodził do szpitala San Spirito, aby studyować anatomię, ożenił się z modelką, która mu pozowała do Madonny i odtąd stał się prawie Rzymianinem. Wprawdzie w r. 1749 bawił znowu w ojczyźnie, gdzie król zamówił u niego obraz do kościoła katolickiego; ale po dwóch latach znalazł się po raz trzeci w Rzymie i już nie tęsknił za Drezneni. Bardzo pilny i sumienny, Mengs za nadto się uczył i rozbierał zalety i wady dawnych mistrzów, a w tej krytycznej pracy stracił wszelką indywidualność. W teoryi był biegły, wystudyował każde pociągnięcie pędzla Rafaela, Correggia i Tycyana, przy ich obrazach gotów był godzinami wykładać o sztuce Odrodzenia, a jak pisze Casanova, rozprawiał o wszystkiem »métamphysiquement«, co było niesłychanie nudne. Co gorsza, rozmaite teorye pomięszały mu się w głowie i często najkomiczniej je zastosowywał. Zamówień miał dużo; malował freski w kościele św. Euzebiusza, tudzież w kaplicy w Casercie, a portretów rozmaitych znakomitości cały szereg, pomiędzy innymi podobizny Klemensa XIII i Lorda Percy. Stanowczym zwrotem w jego artystycznej karyerze było zapoznanie się z archeologiem Winckelmannem, który przybył do Rzymu na stały pobyt w r. 1755. Ta znajomość jeszcze bardziej wpłynęła na jego teoretyczny kierunek; artysta stał się niejako dopełnie-

niem niemieckiego uczonego i żył tylko starożytnością. Nazwano go też malarzem filozofem.

Sława jego rosła, bo Grecy i Rzymianie byli w modzie; król hiszpański powołał go do Madrytu, skąd Mengs powrócił do Rzymu jako nadworny malarz królewski. Wskutek tego powodzenia wyrobiła się w nim taka zarozumiałość i pycha, że stał się jednym z najnieznośniejszych ludzi, jakich się spotykało w Rzymie i w Madrycie. Gdy w Hiszpanii otrzymał szlachectwo, nie przyjmował listów, na których nie było napisu: »A. M. le chevalier Mengs«, ba, nawet chodziło mu bardzo o to, aby mu dawano obydwa imiona, które na chrzcie otrzymał: Antoni, Rafael, ponieważ te imiona przypominały jego wielkich poprzedników w sztuce: Correggia i Rafaela Urbinata.

Miał nawet przekonanie, że urodą może się równać z Apollinem, pomimo że był brzydkim i trochę niekształtnym. Gdy raz Casanova zauważył, że na obrazie, który Mengs właśnie w Madrycie malował, główna postać ma czwarty palec za krótki, artysta pokazał mu swoją rękę na dowód, że palec dobrze narysowany.

— To pański palec jest krótszy, jak u innych ludzi — zauważył Casanova.

Mengs nie chciał przyznać słuszności swemu gościowi, zwołał służbę, aby pokazywała ręce, a gdy rzeczywiście artysta się przekonał, że u wszystkich czwarty palec był dłuższy, aniżeli u jego ręki, z dumą zakończył rozmowę: »Jestem szczęśliwy, że nawet w tej mierze stanowię wyjątek na świecie«.

Innym razem powstał pomiędzy nim a Casanową spór, czyj talent stoi wyżej, malarza czy poety? Casanova utrzymywał, że dzieło malarza jest raczej pracą rąk, aniżeli ducha. Na co się Mengs oburzył, utrzymując, że geniusz malarza prześciga zdolności wszystkich poetów tragicznych.

— Pokaż mi — odrzekł Casanova — poetę tragika, któryby w chwili tworzenia jakiej sceny zamawiał u służącego, co mu ma przynieść na obiad.

A Mengs właśnie, trzymając pędzel i paletę, dyktował »menu« swego obiadu.

Malarz zamilkł i wydał tylko jakiś niezrozumialy głos niezadowolenia.

Winckelmann żył z Mengsem w przyjaźni, ale zapewniał, że trzeba anielskiej cierpliwości, żeby z nim nie zerwać. Artysta robi zawsze z muchy słonia, waży słowa, które sobie inaczej tłómaczy, aniżeli były wypowiedziane, i całe szczęście, że obydwaj przyjaciele mówili ze sobą najczęściej o sztuce i że Winckelmann ustępował, gdy przyszło do sprzeczki. Zresztą wieczorem bywał Mengs w lepszym humorze, miał bowiem przyjemne domowe otoczenie, prostą, ale piękną żonę Margheritę, małe dzieci i dwie siostry, Julię i Teresę, które malowały bardzo ładne miniatury.

Ci dwaj Niemcy tak z czasem zapomnieli o północnej ojczyźnie, że mówili ze sobą tylko po włosku, językiem sztuki. Jednego wszakże północnego zwyczaju się nie pozbyli i po pracy, w domu Mengsa tak pilnie wypróżniali butelki rzymskiego wina, że najczęściej rozchodzili się w dziwnie dobrych humorach.

Margherita miała ciężkie chwile w pożyciu z mężem; nie tylko że ją nudził i teroryzował, ale co gorsza, musiała mu wiecznie służyć za model w najdrażliwszych pozach. Cnotliwa Rzymianka miała z tego powodu skrupuły; radziła się spowiednika, jak ma postąpić. Ale rozsądny ksiądz nie brał rzeczy tragicznie i radził jej, aby pozowała dalej, bo jeżeli się nie zechce podejmować tego nudziarstwa, to szanowny małżonek wyszuka sobie inną modelkę, a wtedy mogłoby być jeszcze gorzej.

Przyjaźń Mengsa z Winckelmannem, tych dwóch teoretyków, marzących tylko o greckiej i rzymskiej przeszłości, była nadzwyczaj szkodliwą dla rozwoju malarstwa w Rzymie. Wówczas stała francuska szkoła wysoko, a cokolwiekby można prądom »rococo« w sztuce zarzucić, niepodobna temu kierunkowi zaprzeczyć nowych idei, wielkiego wdzięku i ujmującego kolorytu. Otóż ci dwaj przyjaciele, malarz i archeolog, wyrobili się na takich przeciwników wszystkiego, co tchnęło nowością i tak się starali przywrócić klasyczną przeszłość, choćby bardzo sfałszowaną, że ktokolwiek z artystów dostał się w ich towarzystwo, musiał uledz szkodliwemu wpływowi.

Teorye tych dwóch ludzi popierał Gawin Hamilton, Szkot, który młodzieńcem przybył do Rzymu uczyć się malarstwa i tam już całe życie pozostał. Był to artysta pracowity, zupełnie oddany sztuce, dobrze rysował i znał anatomię ludzkiego ciała. Brał tematy po większej części ze starożytności, chociaż czasami pociągało go i Odrodzenie. W niektórych obrazach naśladował Rafaela i pod wpływem jego kultu wydał w r. 1772 dzieło »Schola Italica Picturae«. Hamilton zaprzyjaźnił się z Jenkinsem i podobnie, jak ten przedsiębiorczy Anglik, zaczął zbierać antyki, handlować nimi, a w późniejszych latach swego życia zarzucił prawie malarstwo i zajmował się tylko poszukiwaniem dawnych marmurów, rozkopywaniem starożytnych gruzów w Albano, w Genzano, w Castel Gandolfo i w Roma Vecchia. Jak zobaczymy, miał on co do kierunków sztuki bardzo niekorzystny wpływ na Canovę.

II.

Wiek XVII rozwinął i pomnożył w nieskończoność naukowe akademie, hasłem zaś XVIII stulecia było tworzyć akademie dla kształcenia artystów. W czasach Odrodzenia rośli mistrze malarstwa i rzeźby w botegach złotniczych, kamieniarskich, w pracowniach głośnych artystów; w XVIII wieku trzeba już było instytucyi, któreby rozporządzały całemi galeryami odlewów gipsowych, gronem nauczycieli, a przedewszystkiem znacznymi funduszami. Gdy raz uwierzyły społeczeństwa, że tylko w Rzymie można czerpać prawdziwą artystyczną naukę, że sztuka nie powinna iść nowemi drogami, ale tylko dążyć do tego, aby dosięgła starożytnych mistrzów, wtedy zwycięstwo Rzymu było zupełne.

Ludwik XIV założył pierwszą akademię w Rzymie, a jej dyrektor nadawał sobie stanowisko jakby ambasadora sztuk pięknych i mieszkał w pałacu Mancinich. Uczniowie akademii niepokoili swą artystyczną swobodą i zarozumiałością całą stolicę, urządzali festyny, maskarady, a w wolnych chwilach od uciech światowych kopiowali obrazy mistrzów Odrodzenia, przedewszystkiem Rafaela, a nawet rysowali według

żywych modeli. Za Ludwikiem XIV poszli inni książęta, tak, że się z czasem utworzyło kilka cudzoziemskich akademii. Korzystnym zwrotem w tem wiecznem kopiowaniu i rysowaniu starożytnych marmurów była szkoła »nagości«, którą Benedykt XIV założył na Kapitolu. Szkoła miała wielkie powodzenie, albowiem nauka była bezpłatna i co poniedziałek przychodził tam nauczyciel, aby dawać uczniom wskazówki. Na Kapitol uczęszczało wielu cudzoziemców, a od r. 1755 do 1800 zapisanych tam było dwudziestu czterech Francuzów dwudziestu Niemców i dwudziestu Hiszpanów, szesnastu Flamandów, ośmiu Szwajcarów i tyluż Portugalczyków, pięciu Anglików, czterech Polaków i dwóch Rosyan.

Później współzawodniczyły z tą publiczną szkołą prywatne akademie rzeźbiarzy i malarzy, które miały tę wyższość nad kapitolińskim zakładem, że nauczyciel bezustannie czuwał tam nad postępem swych uczniów. Najsławniejszą z tych akademii była w drugiej połowie XVIII wieku akademia Szwajcara, rzeźbiarza Aleksandra Trippla (1744—1793), przyjaciela Winckelmanna, Rafaela Mengsa i rzeźbiarza Wiedewelta.

W r. 1775 wysłał rząd francuski, jako stypendystę, do swej akademii malarza Ludwika Dawida (1748–1825), ucznia Boucher'a, który w Paryżu walczył z trudnościami, nie okazywał bowiem wiele talentu i nie był zamożnym. Boucher polecił go tancerce Guymard, aby jej wymalował sufit w salonie. Tancerka zapłaciła 1000 talarów i Dawid mógł się starać o »Grand prix de Rome«. Jego prace uznano wszakże za niedostateczne, co sobie młody artysta tak wziął do serca, że zamknąwzy się w swej pracowni, w Luwrze, postanowił umrzeć z głodu. Dwa dni nic nie jadł i dopiero koledzy dostali się trzeciego dnia do niego i uratowali od śmierci.

Niebawem jednak otrzymał Dawid stypendyum w akademii Ludwika XIV w Rzymie i przyszłość się przed nim otwarła. Był brzydki, miał wzrok nieprzyjemny, trwardy, nos i usta małe, długie włosy spadały mu na ramiona, wogóle robił prawie wstrętne wrażenie. Ale był niesłychanie pracowity, uparty w swych dążeniach. Wyjeżdżając z Paryża, oświadczył

znajomym, że »starożytność go nie pociągnie, gdyż brak jej polotu i uczucia«.

W Rzymie zachwycali go zrazu artyści, których później lekceważył, jak Guercino, Pietro di Cortona lub Carlo Maratta. Ale zaszła ważna zmiana w jego życiu. Pojechał w r. 1779 do Neapolu ze swym przyjacielem, Quatremere de Quincy, rysował tam bezustannie rzeźby starożytne, a nawet greckie wazy i tak się w »linii« rozmiłował, że odtąd powtarzał, iż mu dopiero w Neapolu spadła z oczu katarakta. »Dużo mnie to kosztowało, wyraził się do któregoś z przyjaciół, zanim się pozbyłem fałszywej maniery, panującej we Francyi«.

Przyjechał do Rzymu nawrócony, Batoni i Winckelmann się cieszyli. Odtąd malował tylko »Hektora z Andromachą«, »Belizaryusza proszącego o jałmużnę« ulubione tematy miłośników przeszłości. Ale później, w Paryżu zdawało mu się, że jeszcze za mało przejął się starożytnością, tęsknił za południem.

Po kilku latach, w r. 1784 zjawił się znowu w papieskiej stolicy z projektem dzieła, które miało rozgłosić jego nazwisko. Wtedy to powiedział do jednego ze swych kolegów: »Je veux faire un tableau qui fasse trembler et fremir!«

Zabrał się na nowo do studyów, kopiował płaskorzeźby, a przedewszystkiem sceny z kolumny Trajana, stał się, jak ongi Mantegna, archeologiem w oddawaniu rzymskiej przeszłości. Wreszcie zamknął się w pracowni i wymalował obraz »Przysięga Horacyuszów«, będący dzisiaj w Luwrze. Gdy płótno było gotowe, zaprosił jednego z młodszych malarzy, którego talent cenił, Szwajcara Tischbeina, i zapytał o zdanie. Tischbein odważył się zauważyć starszemu od siebie mistrzowi, że grupa kobiet trochę za blada, w tonach niewyraźna. »Nic a nic nie zmienię, obraz gotowy«, odpowiedział Dawid i niebawem odjechał do Paryża, pozwalając służącemu wprowadzać publiczność do pracowni.

I stało się coś nadzwyczajnego. Całe procesye, powiada Tischbein, szły do pracowni Dawida na Trinitá de'Monti. Książęta i księżne, kardynałowie i prałaci, monsignorzy i abaci, mieszczanie i robotnicy, wszyscy tam dążyli. W osteryach sprzeczano się o artystyczną wartość obrazu; jedni mówili:



Louis David. Przysięga Horacyuszów. Louvre.

Do str. 330.

»Niczem Rafael«, drudzy przeczyli: »Rafael górą!« »Horacyusze« w połączeniu z wypróżnionemi butelkami wina tak rozgrzewały Rzymian, że przychodziło do bitek i do puginałów.

Czemu przypisać to powodzenie? Dawid dał najsilniejszy wyraz starożytnemu prądowi, który od lat przeszło dwudziestu działał na umysły, a nadto umiał podnieść ów republikanizm, zaczerpnięty z Liviusza, który się stał ideałem społecznych dążeń. Alfieri i Dawid spotkali się przynajmniej na chwilę w swych zasadach. Przez kilka tygodni o niczem nie mówiono po salonach, jak o obrazie Francuza; duch wolności, miłości ojczyzny i bohaterskiego dla niej poświęcenia zdawało się, że odżył w trzech Horacyuszach.

Powoli jednak fale entuzyazmu się ułożyły, krytyka wmieszała się w powszechne oklaski. Sami Francuzi wywołali opozycyę, przesadnie głosząc, że dzieło Dawida przewyższa prace Michała Anioła. Włosi, dotknięci w swej narodowej dumie, zaczęli się wyśmiewać z tych przechwałek, mówiąc, że Francuz grzeszy przeciw najzwyklejszym zasadom kompozycyi, że jego koloryt zimny, że niedorzecznością jest porównywać go do wielkich mistrzów Odrodzenia. Jeden tylko Batoni raczył uznawać talent Francuza i powiedział mu: »Tu et io siamo pittori, pel rimanente si puo gettarlo al fiume!« »Tylko ty i ja jesteśmy malarzami, innych możnaby wrzucić do Tybru!«

Niemcy, zostający pod wpływem historycznej erudycyi, nadający sobie nazwę Homerydów, unosili się nad obrazem Dawida, czemu dał wyraz Wieland w piśmie »Der teutsche Merkur« (1785), nazywając dzieło Dawida »obrazem naszego stulecia«. I pod tym względem miał słuszność najzupełniejszą, gdyż było ono owocem pseudoklasycyzmu, natchnionego ideami, przygotowującymi wielką rewolucyę.

Dzisiaj »Horacyusze« nie wzbudzają takiego zapału, aby w ich obronie aż sztylet wyciągać z za pasa, a jeżeli czem jeszcze Dawid do nas przemawia, to swoimi portretami, wystudyowanymi z natury, gdyż niektóre są rzeczywiście mistrzowskie, chociaż pozbawione ciepłego kolorytu. »Horacyusze«, »Andromedy«, to sceny teatralne, a tylko prawda, tylko niesfałszowane artystycznemi teoryami życie może wydawać

dzieła, które zawsze będą robiły wrażenie. Portret Stanisława hrabi Potockiego na koniu (w posiadaniu hr. Ksawerego Branickiego) każde stulecie zrozumie.

Równocześnie z Dawidem wybijał się w Rzymie Włoch, rzeźbiarz Canova, jedyny genialny przedstawiciel neo-greckiego kierunku w sztuce, ale o nim później pomówimy.

III.

Teorye Mengsa i Winckelmanna spaczyły tak znakomity talent, jakim była Angelika Kaufmann, która przybyła do Rzymu w początkach roku 1763, mając lat zaledwie dwadzieścia dwa. Niemka ta o dużych niebieskich oczach i słodkiem obliczu, przepędziła swą młodość w szwajcarskich górach, w Chur (ur. 1741—1807), następnie bawiła nad jeziorem Como i w Medyolanie, gdzie odnosiła pierwsze potężniejsze malarskie wrażenia. W Rzymie spotkała Winckelmanna, który rozbudził w niej miłość greckiej przeszłości i w tak żywych barwach przedstawił starożytnych bohaterów, że Angelika zamiast trzymać się wpływów francuskich, pod którymi wzrosła, i kształcić się na wzorach, wziętych z natury, zaczęła malować obrazy, przedstawiające gładkich aktorów w rolach greckich bohaterów, w sztucznem, jakby bengalskiem oświetleniu.

Szczęściem, że malowała wybornie portrety, co ją przecież wiązało z prawdą, i że się na dłuższy czas dostała do Anglii, gdzie się zbliżyła do wielkiego Reynoldsa, stojącego wtedy u szczytu swej sławy. Sir Josua malował jej portret i tak się zakochał w cudzoziemskiej artystce, że poprosił o jej rękę. Angelika nie chciała wejść w związek małżeński z podstarzałym już mistrzem, ale natomiast wpadła w sieci jakiegoś awanturnika nizkiego rzędu, który, zrujnowawszy ją majątkowo, kazał sobie zapłacić za to, że po długich targach zgodził się na rozwód. Pozbawiona miłosnych ideałów, z tem większym zapałem zabrała się do pracy i stała się w Anglii bardzo modną artystką, której portrety płacono po pięćdziesiąt gwinei.

Południe ją jednak ciągnęło; aby nie być samotną, poszła za mąż za starszego od siebie Wenecyanina, Antonia Zucchi, malarza bez talentu, ale człowieka lubiącego zbierać grosz, choćby na niekorzyść zdrowia swej małżonki, gdyż ją namawiał do ciągłej pracy.

Angelika osiadła w Rzymie, otworzyła pięknie urządzoną pracownię na Trinità de'Monti, a wszyscy znakomici Niemcy, którzy do Włoch przyjeżdżali, jak Göthe, Herder, J. L. Stolberg, zostawali pod jej urokiem; Göthe wyraził się nawet o niej, że to rzadki, a jak na kobietę, nadzwyczajny talent. Porównywano tę »szlachetną duszę« do świętej Cecylii, zwłaszcza gdy śpiewając z akompaniamentem harmonii Pergolesa »Stabat Mater«, wzniosła ku niebu swe duże niebieskie oczy.

Jako portrecistka była i we Włoszech nadzwyczaj wziętą i na stare lata zebrała znaczny majątek z pomocą skąpego męża. Do najznakomitszych jej portretów należał portret Winckelmanna, baronowej Krüdener i portrety księżnej Devonshire, tudzież rodziny Gower (w zbiorze księcia Sutherlanda). Mnóstwo jej portretów znajduje się jeszcze w prywatnych pałacach w Anglii i w Rosyi; mało który z artystów namalował zresztą tyle własnych podobizn, co Angelika, zdobiących w znacznej części prywatne galerye.

Z Angeliką Kaufmann zaprzyjaźniła się pani Vigée Le Brun, która z końcem r. 1789 przybyła do Rzymu i mieszkała tam trzy lata. Nie zamącony niczem stosunek dwóch znakomitych artystek mógł istnieć tylko pomiędzy tak szlachetnemi kobietami, jak te malarki, zwłaszcza że obydwie miały odmienne usposobienia: jedna spokojna, skłonna do zadumy, druga żywa i nerwowa. Nerwowość pani Le Brun dała się jej we znaki zaraz w pierwszym roku zamieszkania w Rzymie. Sześć razy zmieniała mieszkanie; już to przeszkadzały jej uliczne śpiewy i nabożeństwa przed obrazem Madonny, jużto szmer pompy na wodę, to znowu wilgoć i zimno w wysokich pokojach, albo wreszcie szczury. W kolonii malarskiej dużo opowiadano o niej z tego powodu anegdotek, a sama artystka żartowała z siebie, iż wszelkie łoskoty i głosy tak na nią działają, że byłaby zdolna napisać rozprawę o »szmerach«. Wogóle była bardzo bojaźliwą. Raz malowała córkę

lorda Camelforta w postaci Heby w obłokach, trzymającej czarę, z której pił orzeł. Kardynał Bernis miał na podwórzu orła, uwiązanego na długim łańcuchu; pożyczył go więc artystce, aby pozował do portretu. Ale ptak, nie przyzwyczajony do służenia za model, tak się rwał i tak się gniewał na malarkę, że pani Le Brun nie wiedziała co począć ze strachu i zarzekła się malować »le maudit animal«.

Le Brun była większym talentem, aniżeli Angelika, i miała to szczęscie, że nie podlegała wpływowi Mengsów i Winckelmannów, ale trzymała się przepisu, który jej w młodości dał Józef Verbet, aby się radzić tylko wielkich mistrzów włoskich i flamandzkich, a przedewszystkiem patrzyć na naturę.

Jak wszędzie, tak i w Rzymie miała pani Le Brun mnóstwo zamówień na portrety, a pomiędzy innemi i Pius VI życzył sobie, aby zrobiła jego podobiznę. Dawny jednak zwyczaj stanął na przeszkodzie wykonaniu tej myśli. Papieża mogła malować kobieta-artystka tylko z twarzą, zasłoniętą welonem. Na to wszakże Francuzka zgodzić się nie mogła, a żałowała bardzo, że nie mogła portretować papieża, gdyż widząc Piusa VI, jak błogosławił »urbi et orbi«, zachwycała się jego nadzwyczaj piękną i poważną postacią.

Mówiąc o malarzach, którzy się kształcili w Rzymie pod wpływem klasycyzmu i zajęli tam dość ważne stanowisko, nie można pominąć Jana Henryka Wilhelma Tischbeina (ur. 1751—1829) już z tego powodu, że był ciągłym towarzyszem Göthego podczas pobytu wielkiego poety w Rzymie i wymalował ów bardzo charakterystyczny portret Göthego na tle rzymskiej Kampanii. Poeta, przedstawiony w całej postaci, rozkłada się tam wygodnie na złomie marmuru, owinięty w duży płaszcz, artystycznie udrapowany. Obok niego widać kawałek obeliska, kapitel i płaskorzeźby z willi Albani, symbole egipskiej, greckiej i rzymskiej sztuki.

Tischbein wynajął Göthemu pomieszkanie w Rzymie i wprowadził go w swoje artystyczne towarzystwo, do którego należała i Angelika Kaufmann. Bawiło wtedy w papieskiej stolicy około ośmdziesięciu niemieckich artystów, lecz oczywiście słynny poeta nie mógł ze wszystkimi przestawać.



Wilhelm Tischbein. Göthe na tle rzymskiej Kampanii.

Do str. 384.

Frankfurt, Städlsches Institut.

Tischbein został w r. 1787 dyrektorem akademii sztuk pięknych w Neapolu, skąd jednak musiał uciekać w r. 1799 przed najazdem francuskim do niemieckiej ojczyzny. Jest on dla potomności głównie z tego powodu zajmującą osobistością, że zostawił barwny pamiętnik: »Aus meinem Leben«, w którym opisuje także ówczesne życie artystów w Rzymie.

Najskromniejszą postacią pomiędzy malarzami, przejętymi duchem neoklasycyzmu, był Asmus Jakób Carstens (1754—1798), który przybył do Rzymu w r. 1792. Był to ideolog, który widząc, że ówcześni artyści, hołdujący starożytniczym prądom, naśladują po większej części dawnych mistrzów bezmyślnie, pragnął w malarstwo wlać duszę. Uznawał piękność klasycznych form, ale nie chcąc niewolniczo naśladować dawnych mistrzów, zupełnie przestał kopiować ich dzieła. Celem jego było przejąć się wprawdzie wielkością i prostotą starożytnej sztuki, ale okrasić ją własnym indywidualizmem.

Co więcej, przestał rysować żywe modele, ponieważ najlepiej zbudowany model nie dościga w jego mniemaniu kształtów greckich postaci. Sądził, że przejąwszy się pięknością starożytnych rzeźb i odrzucając żywe modele, potrafi stworzyć idealne formy, nie dające się porównać z niczem istniejącem. Ażeby te formy były zupełnie poprawne, odrzucił cienie, barwy, a nawet światłocienie, pozostawiwszy tylko rysunek.

Carstens wywołał pomiędzy rzymskimi artystami wielką wrzawę, a chcąc przekonać przeciwników o prawdziwości swej metody, urządził w r. 1795 wystawę swoich prac o tematach filozoficznych, allegorycznych i historycznych. Jak każdy skrajny kierunek, obrazy niemieckiego artysty wywołały nie tylko bardzo ostre krytyki, ale zarazem i podziw wielu artystów. Do jego zwolenników i naśladowców należał Fernow, który z aptekarza został artystą i krytykiem, i Fryderyk Hartmann, a nawet Thorwaldsen przejął się jego ideami.

IV.

Wędrówka ludów północnych do Rzymu w celu poznania zabytków sztuki rozpoczęła się w XVII wieku na wielkie

rozmiary i trwa do dziś dnia nieprzerwanie. Jednym z jej bodźców było coraz większe rozpowszechnianie się obrazów i miedziorytów, przedstawiających w poetyczny sposób wieczne miasto i Kampanię z jej ruinami. Widoki tak odmienne od wszystkiego, co się widzi w północnych krajach, pobudzały wybraźnię.

Claude Lorrain i Poussin, a po części starszy od nich Niemiec Elsheimer pierwsi starali się przedstawić cały urok okolic Rzymu. Za nimi poszły gromady Flamandów i Holendrów, którzy z początkiem XVII wieku rozsyłali na całą Europę widoki Rzymu i Kampanii, urozmaicając je figurkami, zwanemi Bambociate. Mnóstwo z tych pejzażów malowali Holendrzy w domu, w Harlem albo w Hadze, według przyjętego szablonu, nie widziawszy nigdy południowego słońca, ale wielu z nich krócej lub dłużej bawiło w Rzymie. Dalekie góry, zamczyska w ruinie, rzeka, akwadukt, podróżnik na koniu, to była owa »Italia di convenzione«, najczęściej z oświetleniem »Herrengrachtu« albo »Polders di Harlem«.

W pierwszej połowie XVII w. założyli Holendrzy w Rzymie stowarzyszenie, zwane Schilderbent (»banda malarska«) albo La Banda, które istniało prawie całe sto lat, dopóki je Watykan nie rozwiązał, jak się zdaje, z powodów religijnych. To stowarzyszenie, w którem panował duch wesołej swawoli, miało na czele przewodniczącego »Valdpaap«, a członkowie nazywali się »Bentvogels«. Każdego nowego artystę przyjmowano do swego grona »chrztem winnym«, a »novellino«, przebywszy rozmaite próby, bywał uwieńczony wawrzynem i otrzymywał jakieś dowcipne przezwisko, jak np. Eremita, Archimedes, Platluizenbaard (»Zapchlona broda«) i t. d. Taki chrzest dawał sposobność do rozmaitych zabaw, połączonych z całonocną pijatyką, która się zwykle kończyła pielgrzymką na »grób Bachusa«, do starożytnego porfirowego sarkofagu z płaskorzeźbami, przedstawiającemi winobranie. Sarkofag ten, właściwie grobowiec św. Konstancyi, córki Konstantyna Wielkiego, stał wówczas w kościele S. Constanza fuori Porta Pia, a później (1788) przeniesiono go do watykańskiego muzeum.

Duszą stowarzyszenia był z początku Pieter van Laer z Harlemu, zwany Bamboots, gdyż on był właściwym twórcą



Pieter van Leer. Rzymskie pospólstwo w podwórzu klasztornem.

Do str. 386. Obraz w Galeryi drezdeńskiej. Fot. Tamme w Dreźnie.



Veduta dell' Arco di Tito

Presso l'autore a Strada Felice vicino alla Trinità de' Monti

Esso fu eretto a questo Imperadore dopo la di lui morte in memoria della distruzione di Gerosolima, e inoggi è spogliato della maggior parte de' suoi ornamenti. A. Bassirilievi indicanti il di lui trionfo, adornato colle spoglie del Tempio di Salomone. B. Apoteosi dello stesso Cesare, espressa in un' Aquila che lo solleva al Cielo. C. Orti Farnesiani. D. Chiesa di S. Sebastiano. E. Polveriere. F. Rovine della Casa Augustana sul Palatino. G. Strada che conduce a S. Bonaventura.

Gio. Batta Piranesi Architetto dis. e incise

Giovanni Battista Piranesi. Widok łuku Tytusa w Rzymie.

Calcografia Romana.

Do str. 387.

malowania Bambociów, artysta pełen humoru, którego włoska akademia S. Luca nie mogła cierpieć, ponieważ »poniżał« sztukę, »szpecąc« swe widoki Rzymu postaciami »niegodnemi malarstwa, jak żebracy, pasterze, albo co gorsza, pijani żołnierze«. Do Bandy należał przez jakiś czas Joachim von Sandrart z Frankfurtu (po r. 1628), nie tyle sławny jako malarz, ile jako wydawca doskonałego na owe czasy dzieła: »Teutsche Academie der edlen Bau- Bild- und Malerei Künste (1675)«, które na rozwój pojęcia o artystycznem znaczeniu Włoch niemały wpływ wywarło.

Najwięcej jednak do upoetyzowania Rzymu w umysłach cudzoziemców przyczynił się Giovan Battista Piranesi (1721—1778), Wenecyanin, osiadły w Rzymie. Piranesi, człowiek gwałtowny, namiętny, miał burzliwą młodość; artystyczny włóczęga, jak go ktoś nazwał, nie mógł znaleźć spokoju, dopóki nie zobaczył rzymskich ruin, rzymskiego pejzażu.

Z zawodu właściwie architekt, nie mógł tam nic budować, albowiem ludzi zamożnych było wówczas bardzo mało, a ci, którzy mieli jeszcze jaki taki majątek, mieszkali w dawnych pałacach. Piranesi zaczął więc wznosić swe gmachy w wyobraźni, albo rylcem odtwarzać kolumny, łuki tryumfalne, świątynie i takim stał się mistrzem światłocienia, taki romantyzm umiał wlać w swe miedzioryty, że wzbudzał podziw całej Europy. Wyprzedził Byrona w poczuciu piękności papieskiej stolicy i wywołał na Północy pragnienie zobaczenia tego miasta o dziwnej powadze i dziwnym uroku. W tysiącach i tysiącach egzemplarzy rozchodziły się jego ryciny i działały jakby jakiś czar, idący z Południa, na wrażliwe umysły. Włochy stały się tem Elizyum, do którego chciał podążyć, choćby raz w życiu, każdy wykształcony człowiek.

Nazywano Piranesego Rembrandtem Południa i było w tem porównaniu cokolwiek prawdy, tylko że Wenecyanin miał bujniejszą wyobraźnię, a każda kreska, którą rył na miedzi, wyrażała jakąś namiętną siłę. Jako artysta zaparł się zupełnie rodzinnego miasta, przestał być Wenecyaninem. U Wenecyan przeważa pewna trzeźwość w oddaniu natury, wierność jest ich zaletą. Piranesi panuje nad przedmiotem swoją indywidualnością, stwarza obrazy niepodobne nieraz

do rzeczywistości, ale pociągające fantastycznością i werwą rysunku. Często ponury, groźny, nigdy słodki w tym wieku peruk i menueta, jest jedną z najpotężniejszych indywidualności, jakie wydała sztuka XVIII wieku we Włoszech.

Złomy marmurów, kawały kapiteli, walące się łuki nabierają życia pod rylcem Piranesego; patrząc na jego pejzaże, ma się to wrażenie, że te kamienie i te resztki rzeźb starożytnych tworzą jedną całość z dębami i wawrzynami, które koło niego rosną, że te niewidome soki, krążące we wszelkiem stworzeniu, tętnią także w okruchach rzymskiej architektury.

Nikt nie stworzył o gruzach Rzymu tak przejmującej epopei, jak Piranesi, nikt nie był potężniejszym ich bardem.

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

PAPA BRASCHI.

I.

Obejmując panowanie, jechał nowy papież na białym koniu z placu watykańskiego aż do Lateranu wśród świetnego, wspaniałego otoczenia. Uroczystość tę nazywano »Possesso«; należała ona do najbarwniejszych widowisk Rzymu. Białego, ale dla wszelkiego bezpieczeństwa starego rumaka dosiadł przy tej sposobności po raz ostatni Klemens XIV; ale nieszczęście chciało, że wysłużony rosynant miał słabe nogi i na pochyłej drodze, prowadzącej do Foro Romano, potknął się tak, że papież wypadł z siodła.

Powstało wielkie zamieszanie, ale Klemens szybko się podniósł i z uśmiechem powiedział do otoczenia, że odbywa swe Possesso za przykładem św. Pawła, a nie na sposób św. Piotra.

Świadkiem tego wypadku był pomiędzy innymi skarbnik Kamery apostolskiej, monsignor Braschi, późniejszy kardynał. To też, gdy Braschi został papieżem i 5 listopada 1775 r. obejmował publicznie swoje panowanie, nie chciał już konno jechać do Lateranu, ale wsiadł do karety, pokrytej czerwonym aksamitem, ze złotymi frendzlami. Karetę ciągnęło sześć wspaniałych białych koni, a masztalerze pilnowali, aby rumaki nie wpadły w zbyt wesoły humor.

Braschi przyjął imię Piusa VI, ale liczba VI obok imienia panującego niekorzystnie się zapisała w pamięci rzymskiego ludu. Za Aleksandra VI obiegał następujący dystych:

Sextus Tarquinius, sextus Nero, sextus et iste;
Semper sub sextis perdita Roma fuit.

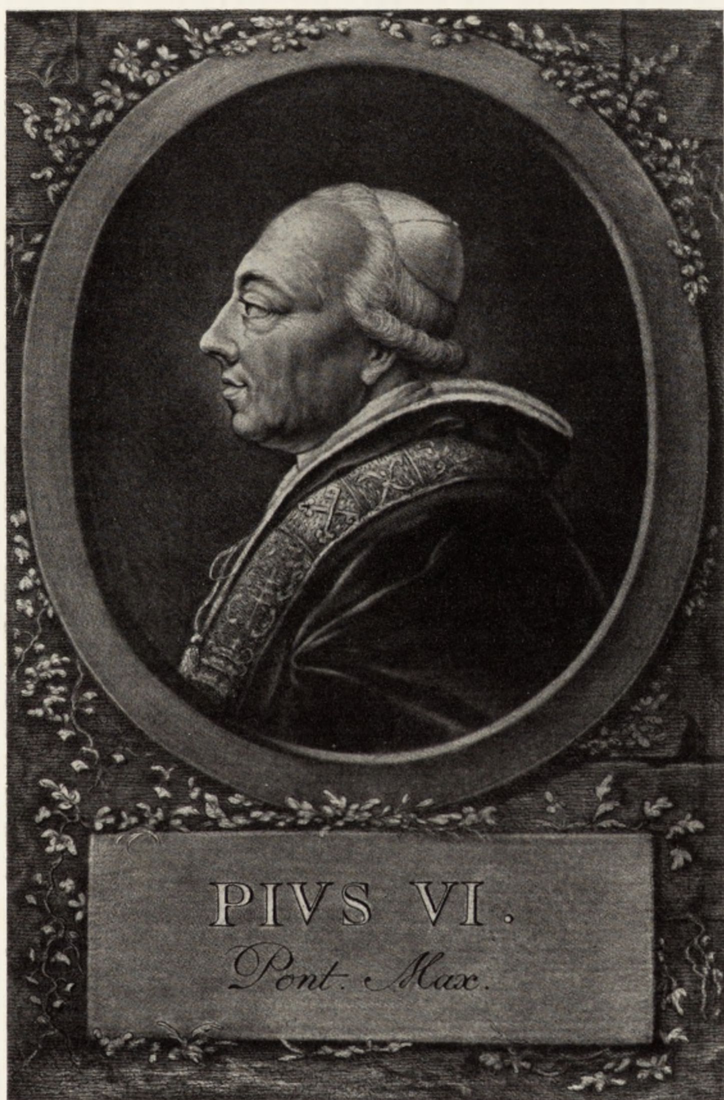
Kanonik u św. Piotra, monsignor Onorati, przypomniał sobie tę złą opinię szóstki; skorzystał więc ze sposobności, aby się przypochlebić nowemu papieżowi i wymyślił dwuwiersz, łagodzący złośliwą tradycyę:

Si fuit, ut iactant, sub sextis perdita Roma;
Roma est sub sexto reddita et aucta Pio.

Braschi lubił pochlebstwa, więc kazał zawołać do siebie dowcipnego kanonika i pochwalił jego udatny pomysł.

Papież pochodził z Ceseny w państwie kościelnem, gdzie rodzina hrabiów Braschich była oddawna osiadłą, ale z czasem zubożałą. Ojcu na imię było Marco Aurelio, a matka, contessa Anna Teresa Baudi, należała także do miejscowej arystokracyi. Giovanangelo, bo tak było na imię nowemu papieżowi, urodził się 27 grudnia 1717 r., a więc miał lat pięćdziesiąt ośm, gdy wstąpił na Stolicę apostolską.

Duchownym został dość późno, bo w trzydziestym siódmym roku życia i to właśnie w chwili, kiedy jedna z zamożnych rodzin rzymskich odmówiła mu ręki swej córki z powodu, że nie miał majątku. Jako abate został conclawistą kardynała Ruffo, przeszedł praktykę wszelkich intryg, połączonych z wyborem Benedykta XIV, później miał sposobność oddać jakąś ważną usługę Karolowi III, królowi Neapolu, tak, że wkrótce stał się w Rzymie znaną osobistością. Klemens XIII mianował go w r. 1768 skarbnikiem Stolicy apostolskiej, a w ten sposób Braschi miał już niedługą drogę, aby dojść do najwyższych stopni kościelnej hierarchii. Klemens XIV nie lubił niewygodnego skarbnika, a chcąc go odsunąć od swego boku, zamianował kardynałem. Jako kardynał zbliżył się Braschi bardzo do Jezuitów i z ich głównie pomocą został wybrany papieżem.



J. F. de Göz ad vivum del. J. Elias Haid fecit A. V. 1782.

Pius VI.

Według miedziorytu Eliasza Haid.

Do str. 390.

Wkrótce po wyborze sprowadził dwóch synów swej siostry Giulii i hrabiego Onesti do Rzymu, a pragnąc, aby ród Braschich nie wymarł, nadał im nazwisko Braschi-Onesti i herb Braschich. Idąc zaś w ślady papieży Odrodzenia, mianował starszego z nich, Romualda, kardynałem, a drugiemu, Ludwikowi, nadał tytuł księcia Nemi, nabywszy dla niego to księstwo od Frangipanich. Później, ożeniwszy go z Constanzą Falconieri, wybudował mu ów pałac Braschich, w którym się dzisiaj mieści ministerstwo spraw wewnętrznych. Ostatni to architektoniczny pomnik nepotyzmu.

O wzbogacenie rodziny dbał papież w sposób przypominający cokolwiek wieki Odrodzenia. Do olśnienia jej mistyczną przeszłością przyczyniali się płatni poeci, z których jeden, Claudio Tedeschi, napisał poemat wywodzący Braschich od szwedzkich rycerzy, a później wydał książkę pod tytułem »De gente Honestia«, w której starał się wykazać, że ród Onestich pochodzi od książąt Rawenny i że ma za sobą tysiącletnią przeszłość.

Papież kazał wymalować dla siebie i dla swej rodziny herb, który odpowiadał tradycyom, spisanym w dziele Tedeschiego, i w ten sposób przybyły do herbowej tarczy Braschich lilie francuskie, orzeł cesarski i gwiazdy z nieba, najwyższe znaki, na jakie się heraldyka zdobyć mogła. Ponieważ jednak dotychczas główną ozdobą tej tarczy był Zefir, jako symbol wiatru, więc jakiś złośliwiec napisał zaraz następujący dystych:

Redde aquilam imperio, Francorum lilia regi,
Sidera redde coelo, caetera, Braschi, tibi.

Gdyby jednak Braschi oddał to, co sobie przyswoił, a mianowicie orła cesarstwu, lilie królowi francuskiemu, a gwiazdy niebu, toby mu się tylko wiatr pozostał.

Pius VI, podobnie jak Paweł II, był bardzo zarozumiały na swoją piękną postać, co zresztą usprawiedliwiały jego regularne rysy twarzy i powaga w ruchach. Goethe widział papieża w dzień zaduszny r. 1787 i powiada, że wydawał mu się jednym z najpiękniejszych i najpoważniejszych mężczyzn. Gdy go raz w lektyce niesiono ulicą, jakaś młoda kobieta za-

wołała z okna: »Quanto e bello, o quanto e bello!«; starsza jednak sąsiadka z przeciwka zaraz ją poprawiła, mówiąc: »Tanto e bello, quanto e santo!« Pius VI dbał też o dobre wrażenie, jakie sprawiał swoją osobistością; z wielką starannością kazał sobie włosy fryzować, a ponieważ miał bardzo małe nogi, więc siadając, zawsze wyrzucał jedną stopę z pod swych długich szat. Nie darowali mu tego złośliwi Rzymianie, pomiędzy publicznością obiegał dwuwiersz:

Aspice, Roma, Pium, Pius haud est: aspice mimum
Luxuriante coma, luxuriante pede.

Z usposobienia był Pius VI cholerykiem, unosił się często gniewem, a o jego porywczości opowiadano sobie mnóstwo anegdotek. I tak np. mówiono, że raz rzucił służącemu filiżankę czekolady w twarz, ponieważ ten rozlał na tacę kilka kropli, albo że się zawsze niecierpliwił na auditora Roty, który miał obowiązek ubierać go w pontyfikalne szaty, i że biedny monsignor ciężko musiał pokutować za swoje zaszczytne stanowisko.

Świadectwo tej gwałtowności papieża daje także książę Stanisław Poniatowski, brat króla, w swoim pamiętniku, wyrażając się, że Pius VI miewał wybuchy gniewu »d'un prêtre au XVI siècle«, że był wprawdzie utalentowanym człowiekiem, ale zupełnie niewykształconym, nie znającym świata, a nad wyraz zarozumiałym. Poniatowskiemu naznaczył raz papież dzień i godzinę audyencyi, ale gdy książę przyjechał do Watykanu, kazano mu się zatrzymać i wpuszczono pierwej angielskiego pretendenta. Poniatowski wyszedł, nie czekając na posłuchanie, co narobiło w Rzymie dużo hałasu. Chcąc rzecz naprawić, przysłał Pius VI do księcia sekretarza stanu, kardynała Zeladę, aby papieża wytłomaczył i umówił się o inny dzień audyencyi. Książę przybywa o naznaczonej godzinie, nie widzi nikogo ze służby, wszystkie przedpokoje próżne. Wreszcie znajduje kogoś, kto uwiadamia papieża o jego przybyciu. Papież wychodzi, ale »avec un air furieux«, wyciąga zegarek i mówi: »Vous voyez bien que ce n'est pas l'heure«. Na co Poniatowski spokojnie odpowiada: »Mais qui pourrait douter que l'heure, qu'l fait sur cette montre est celle de la

Chrétienté?« To wprowadziło papieża w dobry humor i odtąd już był bardzo grzecznym dla księcia.

Papież zaprowadził zupełnie osobiste rządy; kardynałowie nie mieli żadnego wpływu, zwłaszcza że Pius VI usunął z najważniejszych posad członków możnych rodzin, jak Pallavicini i Buoncompagni, a na ich miejsce powołał kardynałów o nieznanych nazwiskach, jak Zelada i Busca, ażeby módz im narzucić swą wolę, nie obawiając się najmniejszej opozycyi.

Z nepota swego, księcia Braschi-Onesti, nie miał papież wiele pociechy; nie lubił go, ale obsypywał łaskami, a robił to dla jego małżonki, donny Constanzy Falconieri, z której matką łączyła go za młodych czasów bardzo ścisła przyjaźń. Książę wychowany na ciemnej prowincyi, nie miał towarzyskiej ogłady, a przytem twardy, skąpy, brutalny wobec ludzi niższego stanu, był powszechnie nielubianym. Bardzo wszakże przystojny, o postaci atlety, miał wielkie powodzenie u kobiet. Gdy przybył do Rzymu, nie mógł się oswoić ze stolicą i wszystkiemu się dziwił. Oparty raz o kominek u księżnej Borghese, zapragnął szklanki wody. Księżna powiedziała mu, aby pociągnął za taśmę, wiszącą obok kominka. Gdy niebawem wszedł służący z wodą na tacy, książę głośno się roześmiał z uciechy i nie mógł pojąć, jakim sposobem lokaj się dowiedział, że go w salonie potrzebują. Kilka dni o niczem nie mówił, jak tylko o nadzwyczajnym wynalazku dzwonka na drucie i dopiero papież zakazał mu o tem wspominać, gdy się dowiedział o głupocie swego nepota. Innym razem, chcąc się w salonie księżnej Boccapaduli Gentili popisać swoją erudycyą, utrzymywał, że Wolter, którego nazwiska nie umiał dobrze wymówić, był Mahometaninem i wielkim przyjacielem Lutra. Papież był w rozpaczy i surowo go upominał, aby się nauczył milczeć, jeżeli nie wie, co mówić.

Natomiast donnę Constanzę wyróżniał Pius VI z pośród wszystkich pań rzymskiej arystokracyi. Papież nie dawał w Rzymie obiadów i tylko wtedy zapraszał gości do swego stołu, kiedy bawił w Castel Gandolfo. Sąsiad, connetable Colonna, mieszkający latem w Marino, przysyłał wtedy do kuchni papieskiej w podarunku według zwyczaju żywe cielę,

wielką osełkę masła, szynkę, świece woskowe, głowy cukru i rozmaitych konfitur bez liku. Mieszkając w Rzymie, przyjmował Pius VI czasem albo w »Caffeaus«, w Kwirynale, albo w ogrodzie watykańskim i wtedy podawano gościom rozmaite chłodniki. Jeżeli jednak trzeba było uczcić obiadem lub festynem jaką znakomitą cudzoziemską osobistość, to polecał papież donnie Constanzy Braschi, aby w swoich salonach urządziła przyjęcie. Donna Constanza z taktem i uprzejmością wywiązywała się ze swego zadania, odsuwając o ile możności swego męża na plan dalszy. Do obiadów wprowadziła księżna wielką nowość. W owych czasach podawano »dessert« na półmiskach ze srebra lub pozłacanego bronzu; donna Constanza wznowiła pomysł z czasów Odrodzenia, kazała rzeźbiarzowi Ludwikowi Valandier zrobić wielką zastawę »trionfo« ze złota i drogich kamieni, która była pierwszy raz użyta podczas obiadu, danego dla króla szwedzkiego i wzbudzała powszechny podziw.

Pius VI rad był we wszystkiem wstępować w ślady renesansowych papieży; lubił przepych, pompę i pragnął Rzym ozdobić monumentalnemi budowlami, ale jak prawie wszyscy współcześni, nie miał artystycznego smaku. Największym mistrzem w malarstwie był dlań Batoni, którego pracownię bardzo często zwiedzał; Marchionniego i Antinorego uważał za znakomitszych architektów, aniżeli mistrzów Odrodzenia. Kult swój dla sztuki chciał okazywać wobec publiczności; gdy w r. 1779 przybył do pracowni rzeźbiarza Valandiera, zawiesił mu własnoręcznie krzyż kawalerski na piersiach i zamianował dyrektorem muzeum bronzów w Watykanie.

W Bazylice św. Piotra uczuwał się oddawna brak zakrystyi, odpowiedniej wspaniałości świątyni. Papież postanowił zaradzić tej potrzebie i wykonanie dzieła powierzył Carlowi Marchionniemu, budowniczemu willi Albani, który się też wywiązał z zadania w sposób, jak na ówczesne wyobrażenia, najlepszy. W krótkim czasie stanęła owa harmonijna, powiedzmy, arystokratyczna budowa, której i dzisiejsze czasy nie wiele mają do zarzucenia. Początkowo zamierzał papież jeszcze większy gmach wystawić, ale pieniędzy nie było. Mimo zmniejszenia planu kosztowała zakrystya 900.000 sku-

dów, które miały być zebrane z dochodów nowo zaprowadzonej loteryi. Gdy jednak te fundusze nie wystarczyły, urządzono emisyę listów dłużnych, a w r. 1781 pomnożono papierową monetę. Mimo to został papież winien 100.000 skudów, których przedsiębiorcy budowy, przynajmniej na razie, nie otrzymali.

Publiczność sarkała, a ponieważ na kamieniu węgielnym pod zakrystyę kazał papież położyć napis, zaczynający się od słów: »Ut Vota publica impleret«, więc Pasquino w lot odpowiedział:

Publica! Mentiris: non publica vota fuere,
Sed tumidi ingenii vota fuere tui.

Ale mimo braku dochodów nie poprzestał papież na wystawieniu zakrystyi, za co mu zresztą potomność tylko wdzięczną być może; dokończył bowiem budowę muzeum, zwanego Pio-Clementino. Jeszcze Klemens XIII, zachęcony przez słynnego archeologa Winckelmanna, powziął myśl wystawienia dużego muzeum w Watykanie, któreby mogło pomieścić coraz liczniej gromadzące się dzieła starożytnej rzeźby. Klemens XIV rozpoczął budowę, ale Pius VI musiał dokończyć wielkiego dzieła. Zachęcona wspaniałym gmachem arystokracya rzymska przyczyniła się znakomicie do zapełnienia obszernych sal dziełami sztuki, znajdującemi się w prywatnych zbiorach, a osobliwie connetable Colonna podarował do muzeum bardzo cenne starożytne rzeźby.

Papież nosił się z myślą jeszcze większego, ekonomicznie pożytecznego dzieła: osuszenia błot Pontyńskich, rozciągających się od Cisterna di Roma aż do Terraciny. Appius Klaudius wybudował przez te malaryczne trzęsawiska wielki gościniec; Juliusz Cezar i kilku późniejszych imperatorów przedsiębrało liczne próby osuszenia bagien, ale w średnich wiekach zaniedbano to wszystko i błota Pontyńskie ziały trujące powietrze przez lat tysiąc, pomimo chwilowych projektów i usiłowań osuszenia ich za Bonifacego VIII, Leona X i Sykstusa V. Braschi miał odwagę wejść w ślady rzymskich cesarzy, kazał przekopać kanały, odprowadzające wodę do morza, a zaniedbany gościniec odbudowywać wielkim ko-

sztem. Złośliwi mówili wprawdzie, że Pius VI przedsięwziął to olbrzymie dzieło tylko w tym celu, aby jego nepot mógł założyć feudalne księstwo na osuszonych ziemiach; jakikolwiek jednak cel miał papież na oku, rzecz była pożyteczna dla całych Włoch i wielka szkoda, że tylko częściowo mogła być przeprowadzona. Ktokolwiek przejeżdżał do Neapolu przez via Pia, bo tak nazwano dawną via Appia, czy złośliwy Gorani, czy lekkoduch Casanova, błogosławił Piusa VI.

Korzystając z przedsiębiorczości papieża, napisał słynny abate Cancellieri dowcipną broszurę imieniem nie ustawionych jeszcze rzymskich obelisków, pod tytułem: »Supplica degli obelischi giacenti«; skutek był ten, że Pius VI rozkazał odgrzebać z pod tysiącletniego rumowiska trzy egipskie monolity, które zdobiły za czasów rzymskich Forum Romanum, Campus Martius i Horti Sallustiani. Olbrzymie głazy ustawiono przed Kwirynałem, na Montecitorio i na Trinità dei Monti.

Wszystkie te prace pożerały ogromne sumy, a finanse państwa były już od dawna w opłakanym stanie. Klemens XIV (1759—1774) pomimo swej oszczędności pozostawił długu 74,000.000 talarów, a dochody państwa nie wystarczały na opłacanie procentów i wydatków. Roczny niedobór wynosił 300.000 talarów.

Osobliwie osuszanie błot Pontyńskich zachwiało do reszty finansami państwa. W braku złota i srebra kazał papież wydawać ceduły, papierowe pieniądze, nie mające innej gwarancyi, jak tylko papieskie słowo, i tracące ciągle na wartości. Papież ratował się, jak mógł; samowolnie zabrał z Casa di Loreto trzydzieści sześć tysięcy funtów srebra, w wartości mniej więcej trzechkroćstutysięcy lir: ale to była za mała suma, aby zapełnić skarb państwa. To też w końcu panowania Piusa VI dług państwa papieskiego wynosił sto milionów skudów, czyli na dzisiejszą monetę przeszło miliard lir.

Bieda w Rzymie i na prowincyi była coraz większa; lud wołał przy każdej sposobności, gdzie się tylko papież pokazał: »Chleba! chleba!« Na obelisku, który ustawiono w r. 1787 na Monte Cavallo, znaleziono kartkę z napisem: »Signore! dica a questa pietra che divenga pane!« »Powiedz, o Panie, temu

kamieniowi, aby się w chleb zamienił!« W nowej zakrystyi u św. Piotra przylepiono napis:

Le Paludi, Subiaco e la Segrestia
Sono tre coglioneria
Di Vosignoria.

»Moczary, Subiaco, (gdzie Pius VI kazał odnowić kościół wielkim kosztem) i zakrystya są to trzy niedorzeczności Jego Świątobliwości«.

Dochodów jednak nie przybywało, a wydatki się zwiększały; piętnaście pierwszych lat panowania Piusa VI były ciągłym karnawałem, naturalnie nie dla ludu.

II.

Dwudziesty ósmy czerwca, wigilia św. Piotra, była dniem uroczystym, którego z rozciekawieniem oczekiwali cudzoziemcy. Papież przyjmował wtedy trybuty od swoich wasali: siedm tysięcy dukatów od króla neapolitańskiego, dwa tysiące skudów i złoty kielich od Sardynii, kielich bez skudów od Parmy i Piacenzy, a byli i tacy wasale, baronowie rzymscy, którzy składali na znak poddaństwa po uncyi złota, po dwa żywe bażanty, albo po parze kuropatw.

Publiczność gromadziła się przedewszystkiem na placu św. Apostołów, przed pałacem Colonnów, bo książę, jako connetable królestwa neapolitańskiego, wiózł do Watykanu w licznem otoczeniu królewski trybut. Niebawem ukazał się też Colonna w ubraniu ze złocistego brokatu; poprzedzali go dobosze i trębacze kapitolińscy, tudzież oddział wojska papieskiego, a za nim szli szwajcarscy gwardziści papieża, wśród których poważnie postępowała biała mulica w purpurowym rzędzie, niosąc na sobie szkatułę z dukatami. Kawalkatę zamykała liczna grupa prałatów na koniach bogato przybranych, a za nią toczyły się karety.

Papieża zniesiono tymczasem po wspaniałych watykańskich schodach aż do statuy Konstantyna, gdzie już czekał Camerlingo, aby przeczytać monarsze nazwiska tych wasalów,

którzy się nie stawili z powinnym trybutem. Pius VI, wysłuchawszy tej listy, która była dość długa, kazał opieszałych podać do wiadomości fiskalnego prokuratora, poczem udał się do bazyliki św. Piotra, gdzie zasiadł na tronie pomiędzy dwoma filarami, przy których się znajdują kropielnice.

Colonna czekał już na tę chwilę, aby zsiąść z konia i wyjść po schodach aż do przedsionka świątyni. Dwóch koniuszych prowadziło za nim białą mulicę, która, wyuczona ceremoniału, uklękła przed papieżem na przednie nogi. Connetable zdjął z niej cenną szkatułę i w przepisany sposób, znacząc swą drogę ukląknieniami, ofiarował ją papieżowi z krótką przemową. Pius VI kazał swemu skarbnikowi, monsignorowi Palocie, odebrać skarb i potwierdził przyjęcie trybutu odwieczną formułą.

Na tem się skończyła ceremonia; ale uroczystość dla ludu, dla cudzoziemców i rzymskiej arystokracyi zaczęła się dopiero wieczorem. Kopuła św. Piotra zajaśniała od lamp i pochodni, a na platformie zamku św. Anioła zapalono »Girandolę«. Niebo zdawało się skrzyć od snopów ogni sztucznych, ale świetlane, pyszne zjawisko trwało tylko krótko, za krótko dla tłumów, które się zgromadziły w tej części miasta, albo przypatrując się z daleka, obległy Monte Pincio. Gawiedź też pocieszała się, idąc do licznych osteryi, i piła do rana rubinowe wino »di Castelli«.

Arystokratyczne zaś towarzystwo pojechało na plac Apostołów, gdyż connetable dawał tego wieczora wielkie przyjęcie dla dygnitarzy, którzy przybyli z Neapolu i z Sycylii. Cały plac jaśniał od pochodni, a na podwyższeniu, w pobliżu bramy wjazdowej pałacu grała muzyka. Na schodach, prowadzących na pierwsze piętro, stali saraceńscy niewolnicy, przebrani po wschodniemu, piraci, którzy jeszcze niedawno czyhali na brzegach Tunisu lub Marokka na bezbronne statki, a teraz służyli za ozdobę wejścia do pałacu Colonnów.

W pierwszej sali »delle cape nere« witali maggiordomi wchodzących, bijąc głębokie lub bardzo głębokie ukłony, stosownie do godności zaproszonych. W następnej sali zgromadzili się panowie, należący do dworu Colonnów, tudzież klienci i przyjaciele księstwa, wszyscy ubrani w czarne kaf-

tany i takież pończochy, w brabanckie koronki i złote łańcuchy na szyi. Ci wprowadzali gości do sali zwierciadlanej, właściwie sali przyjęć, panie pod ramię, panów biorąc za rękę, aby każdemu wskazać przeznaczone miejsce, wszystko ściśle według przepisów, według kodeksu hiszpańskiej etykiety. Za paniami paziowie nieśli ogony, a do noszenia ogonów purpurowych sukien kardynalskich przeznaczeni byli osobni ludzie, tak zwani »caudatari«. Księżna Colonna siedziała w pobliżu drzwi, za nią stał cavalier servente, Livizzani, szlachcic z Modeny; panie witały ją głębokiem ukłonem, a panowie całowali w rękę.

W sali ustawionych było kilka rzędów krzeseł w półkole, przeznaczonych tylko dla pań i dygnitarzy, jak ambasadorowie, kardynałowie i książęta; inni mężczyźni stali wokoło.

Principe Colonna wszedł dopiero wtedy do sali, kiedy już wszyscy goście byli zgromadzeni, a wejście jego zapowiedział gentilhuomo, wymieniając głośno wszystkie tytuły connetabla. Całe zgromadzenie podniosło się z siedzeń, zapanowało milczenie. Colonna podszedł do swojej małżonki, zaprowadził ją na przygotowane miejsce obok siebie i wtedy zaczęło się właściwe przyjęcie, »circolo«, wzajemne przedstawienia i rozmowy. Ceremoniał się skończył, podawano chłodniki, część towarzystwa rozprószyła się po przyległych salonach.

Z uderzeniem dwunastej podszedł connetable do senatorowej Rezzonico, podał jej ramię i poprowadził całe towarzystwo do przepysznej galeryi, której okna wychodzą na dzisiejszą via Nazionale, a stamtąd do owego ogrodu, z którego, jak niesie tradycya, miał Neron przypatrywać się pożarowi Rzymu. Noc była jasna, niebo pokryte gwiazdami spuszczało łagodny blask na odwieczne pinie i dęby, a towarzystwo oglądało ową najdawniejszą pinię, którą zasadzono przed pięcioma wiekami, w dzień, kiedy został zamordowany Cola di Rienzi, najzawziętszy nieprzyjaciel rodu Colonnów.

Przez zielone gałęzie dębów i wawrzynów przedzierały się barwne światełka, czerwone, białe i różowe, lamp, któremi była oświecona ogrodowa willa, a ucho głaskała łagodna mu-

zyka, ukryta w kląbach, muzyka pasterska, arkadyjska, po której dały się słyszeć silniejsze tony męskich chórów.

Potem znów podawano rinfreschi, tym razem i zimne mięsa i przedziwne wina z Sycylii, z Hiszpanii i z Burgundyi, a niebawem ukazał się balet, dwadzieścia cztery tancerek, w krótkich, różnobarwnych sukienkach z rodzajem castagnetów w rękach i z dzwonkami u nóg. Baletniczki wykonywały jakiś namiętny, zmysłowy taniec, poczem niejako dla uspokojenia wrażeń nastąpiły inne rozrywki, popisywali się nekromanci, muzycy i deklamatorzy. Wreszcie chór śpiewaków zanucił hymn na cześć rodu Colonnów, a światło dzienne przypomniało towarzystwo, że zmęczone twarze całonocną ucztą mogłyby popsuć urok przepędzonych godzin.

Większa część towarzystwa nie wiedziała wszakże, że w dzień złożenia trybutów zaszło ważne nieporozumienie pomiędzy dworzanami ambasadora hiszpańskiego a monsignorem Cornaro, gubernatorem Rzymu, w sprawie pierwszeństwa: Cornaro obraził się, że w kawalkacie, udającej się do Watykanu, dworzanie ambasadora jechali przed nim i przed jego otoczeniem. Zwrócono na to uwagę Colonny, który chciał w ten sposób rzecz załagodzić, że polecił owej szlachcie jechać obok siebie, co wszakże nie miało być precedensem na przyszłość. Ale neapolitański minister Tanucci, wielki nieprzyjaciel papiestwa, dowiedziawszy się o tem, skorzystał ze sposobności, aby oświadczyć papieskiemu sekretarzowi stanu, kardynałowi Pallaviciniemu, że na przyszłość Ferdynand IV neapolitański będzie odsyłał Rzymowi ową »rzekomą« daninę prywatnie, bez uroczystej procesyi, chodzi tutaj bowiem o akt »dewocyi«, a nie o właściwy trybut.

Rzecz stała się powodem kilkuletniej dyplomatycznej korespondencyi; król neapolitański posyłał owe siedm tysięcy i trzysta dukatów za białą mulicę jako akt dewocyi, papież przyjmował zaś tę sumę, kładąc w pokwitowaniu nacisk na to, że ją odbiera jako trybut królestwa neapolitańskiego.

Wreszcie stosunek pomiędzy Piusem VI a królem zaostrzył się wskutek innej jeszcze sprawy. Księżna di Maddaloni, donna Giuseppa de Carenas, wniosła skargę o separacyę przeciw swojemu mężowi Maddaloni-Carafie, a arcybiskup



Louis David. Portret hr. Stanisława Potockiego w Willanowie.

Do str. 382.



Angelika Kaufmann. Opuszczona Aryadna.

Galerya drezdeńska.

Do str. 382.

Fot. Tamme w Dreźnie.

neapolitański przyznał słuszność księżnie; Carafa, któremu donna Giuseppa zarzucała brak męskiej siły, obraził się i odniósł do trybunału w Rzymie.

Minister Tanucci sądził, że w tej mierze Rzym nie ma prawa wydawać wyroków, i skłonił króla, aby mianował swego delegata, któryby w drugiej instancyi rzecz rozstrzygnął. Separacya Carafów została ostatecznie uchwaloną. Pius VI, chcąc wywrzeć nacisk na króla, kazał mu oświadczyć, że na przyszłość nie będzie nigdy mianował arcybiskupa neapolitańskiego kardynałem. Król natomiast odgrażał się, że każe ubrać swego kapelana w strój kardynalski i nada mu przywileje arcybiskupa.

Gdy po Tanuccim objął tekę ministra neapolitańskiego skłonniejszy do zgody cavaliere Riciardelli, posłano znowu ową sumę 7.000 dukatów papieżowi na ręce sekretarza stanu, kardynała Boncompagni. Kardynał jej nie przyjął, żądając, aby król wyraźnie uznał, że ta suma jest trybutem. Ferdynand IV się na to nie zgodził i kazał złożyć dukaty jako »pobożną ofiarę dla świętego Piotra« w Monte di Pietà.

Kwota ta leżała w banku podobno aż do roku 1870. Neapol przestał płacić trybut, a król odtąd nie był wasalem Rzymu.

III.

Stosunki pomiędzy Wiedniem a Rzymem także nie były najlepsze. Urazy domu austryackiego do Stolicy Apostolskiej zaczęły się od tego, że Benedykt XIV nie chciał uznać cesarzem Franciszka I, księcia lotaryńskiego, małżonka Maryi Teresy, i podtrzymując pretensye elektora bawarskiego do tronu cesarskiego, wysłał do niego nuncyusza, monsignora Stappani, późniejszego kardynała. Następnie Rzym nie zgadzał się na liberalne reformy Józefa II, a przedewszystkiem na zniesienie wielu klasztorów, których było w Austryi aż 2.000

Pius VI, bardzo wiele tuszący sobie po swym wpływie osobistym, postanowił pojechać do Wiednia, aby skłonić cesarza do ustępstw. Józef II dowiedział się o tym zamiarze,

a nie chcąc łudzić papieża, napisał doń w grudniu 1781 r. krótki list, w którym, zapewniając głowę Kościoła o głębokiem dla niej poważaniu, ostrzegał, że jeżeli celem podróży papieża mają być sprawy przez cesarza już postanowione, to lepiejby było, gdyby się papież nie trudził, gdyż zamiary cesarza zgodne są z rozumem, ze sprawiedliwością, z ludzkością i z religią. List ten wszakże nie sprawił na Piusie VI pożądanego wrażenia, a papież oświadczył na konsystorzu, że przedsięweźmie długą i męczącą podróż do Wiednia. Rzeczywiście też wyjechał we dwa dni później z Rzymu, pozostawiwszy kardynałowi Conti »anello pescatorio«, a sekretarzowi stanu, kardynałowi Pallaviciniemu, jak najszersze pełnomocnictwo.

Podróż rozpoczęła się pod najlepszą wróżbą; włoskie miasta przyjmowały Piusa VI nader uroczyście. W Cesenie, rodzinnej miejscowości papieża, panowała wielka radość, do Bolonii przybył Ferdynand, książę Parmy, a w Ferrarze oczekiwał już Piusa VI świetny oddział szlacheckiej gwardyi konnej węgierskiej, którą Józef II wysłał, aby towarzyszyła papieżowi aż do Wiednia. Na ziemiach weneckich witali Piusa VI dwaj prokuratorzy św. Marka, Manin i Contarini, w Gorycyi czekał hrabia Cobenzel, w Lublanie arcyksiężna Maryanna, a w Wiener-Neustadt sam cesarz.

W wiedeńskim Burgu przedstawił Józef II papieżowi swego ministra Kaunitza, któremu przypisywano w Rzymie wrogi Kościołowi wpływ na cesarza. Pius VI przywitał go też niezbyt grzecznemi słowy: »Siete molto vecchio e avete poco tempo per ravvedervi«, na co Kaunitz wprawdzie nic nie odpowiedział, ale dobrze sobie zapamiętał złośliwość papieża. W czasie też pobytu Piusa VI w Wiedniu wyszła słynna broszura Eybla pod tytułem »Quid est Papa«, w której były wyłuszczone wszystkie prawa cesarstwa wobec Stolicy Apostolskiej. Broszura opierała się w znacznej części na książce Fabroniusza »Stato presente della chiesa«, która dużo narobiła hałasu.

Papież i jego nuncyusz, monsignor Garampi, zaczęli używać wszelkich sposobów, aby odwieść cesarza od jego postępowania z klasztorami i ze Stolicą Apostolską. Przedstawienia

na nic się wszakże nie przydały; cesarz trwał w swoich zasadach, a Pius VI, chcąc jako tako pokryć swoją przegranę, zawarł z Józefem II umowę, w której rozszerzał władzę cesarską nad duchowieństwem i ustalał wpływ biskupów w Austryi.

W miesiąc po przyjeździe wracał papież do Rzymu, żegnany z wszelkimi możliwymi honorami, ale opuszczał Wiedeń w przekonaniu, że cesarz nie odstąpi od swych reform. I rzeczywiście, zaledwie Pius VI przybył do Rzymu, dowiedział się ze smutkiem, że cesarz wydał rozporządzenie do biskupów w Austryi i Lombardyi, aby prawa tyczące się duchowieństwa i spraw kościelnych jak najprędzej zostały przeprowadzone. Papież wystosował w tej mierze list do cesarza, sądząc, że jeszcze potrafi powstrzymać zarządzenia rządu wiedeńskiego; ale Józef II odpowiedział na to pismo tak stanowczo, że Pius VI musiał stracić wszelką nadzieję, aby cośkolwiek mógł uzyskać w Wiedniu. Józef II, nie lubiący pisać długich not dyplomatycznych, oświadczył papieżowi, że nie myśli bynajmniej odbierać wszystkich dóbr kościołom i duchowieństwu, że jednak idąc za swem przekonaniem prawodawcy i protektora religii i mając uczciwe zamiary, spodziewa się z boską pomocą w błędy nie popaść.

Papież, zdając sprawę na Konsystorzu z wyników swej podróży, starał się całą rzecz o ile możności ubarwić; ale kardynałowie i cała Europa widziała, że wpływ papiestwa na świeckie sprawy państw się skończył i że monarchie będą się rządziły, nie oglądając się w rzeczach cywilnych na Rzym.

I rzeczywiście nie upłynęło dużo czasu, a kardynał Rohan, wielki jałmużnik króla francuskiego, został uwięziony (1785) i osądzony przez parlament w Paryżu, a w tym samym czasie monsignor Rieci, biskup w Pistoi, zwołał w porozumieniu z Wielkim księciem Leopoldem synod, na którym chciał usunąć z Kościoła nagromadzone z biegiem czasu szkodliwe naleciałości. Zgromadzenie biskupów toskańskich, zebrane 23 kwietnia 1787 r., potwierdziło uchwały synodu w Pistoi.

Mimo swego oporu w rzeczach prawodawstwa przeciw zamiarom papieża, cesarz Józef II nie zszedł z drogi dyplomatycznych zwyczajów i chcąc okazać winne uszanowanie

dla Piusa VI, wybrał się późną jesienią do Rzymu, gdzie stanął w połowie grudnia 1783 r. pod nazwiskiem hrabiego Falkensteina i zamieszkał w pałacu Ruffo, na placu S. S. Apostoli. W tym samym czasie miał także przybyć do Rzymu Gustaw Adolf, król szwedzki, a gdy Józef II zjawił się w Watykanie, powiedziano papieżowi, że król szwedzki przyjechał. Pius VI niemało się zdziwił, gdy zamiast króla zobaczył przed sobą cesarza; ale już nie mówił z nim więcej o rzeczach, tyczących się Kościoła, aby się nie spotkać z ponowną odmową. Józef II zabawił tylko kilka dni w Rzymie i pojechał stamtąd w towarzystwie króla szwedzkiego do Neapolu.

IV.

Za panowania Piusa VI narobiło wielkiego hałasu w Rzymie i w całych Włoszech uwieńczenie na Kapitolu poetki Corilli Olimpiki.

Powaga »Arkadyi«, która od przeszło stu lat panowała w świecie poetów i wierszokletów, zaczynała się chwiać; w samym jej łonie powstawali rozsądni ludzie, widzący śmieszność sonetów, nastrojonych ciągle na tę samą nutę. Stolicą tego stowarzyszenia, mającego rozsiane filie po wszystkich miastach włoskich, był zawsze jeszcze Rzym, a rzymscy Arkadyjczycy uważali się niejako za stróżów poetycznego skarbu, przekazanego im jeszcze przez szwedzką Krystynę.

Otóż stronnictwo skrajne w rzymskiej Arkadyi, które bądź co bądź chciało utrzymać jej urok i wpływ i ochronić jej ducha od francuskich wpływów, od Wolteryanizmu, postanowiło jakimś głośnym czynem zaznaczyć raz jeszcze swoją przewagę i nawrócić duchy chwiejne, umysły żądne nowości. A był to ostatni czas, aby ratować rysujący się gmach, gdyż satyra coraz bardziej podmulała rozsypujące się fundamenty, Goldoni wyśmiewał dawne przesądy, a Parini wydał już »Giorno«.

Ale na szczęście Arkadyjczyków ukazała się jeszcze wspaniała gwiazda na ich horyzoncie, donna Maria Magdalena Morelli-Fernandez. Morelli miała niesłychany dar impro-

wizatorski, z największą łatwością mówiła wierszem o jakimkolwiek przedmiocie filozoficznym lub historycznym. Najczęściej śpiewała swoje poezye przy akompaniamencie skrzypiec, co sprawiało w znacznej części, że wiersze jej wydawały się rozumniejsze, aniżeli były w istocie. Corilla popisywała się swoim talentem w całej Europie i wszędzie zbierała oklaski i podarunki. Wielka księżna Marya Ludwika toskańska zaczęła ją popierać, następnie zyskała sobie Corilla możną protekcyę cesarzowej Maryi Teresy, wreszcie carowej Katarzyny II. W Bolonii wydała poemat na cześć Maryi Teresy, wydrukowała swe sonety i canzony, a pomiędzy jednym a drugim występem na scenach i w salonach Europy znalazła męża, pułkownika w wojsku neapolitańskiem, Hiszpana, Ferdynanda Fernandez.

Ten Fernandez gubi się wszakże gdzieś w drodze, a na jego miejsce występuje ostatni z Gonzagów mantuańskich, principe Luigi di Castiglione, który nie miał jeszcze lat dwudziestu pięciu, gdy się poznał ze starszą od siebie poetką. Luigi urodził się w Wenecyi w r. 1745, a że jego ojciec nie miał majątku, prócz księstwa Castiglione, które mało przynosiło dochodu, ale był patrycyuszem weneckim, więc Rzeczpospolita kazała wychowywać młodzieńca na swoje koszta. Na szczęście Gonzagi księstwo Castiglione potrzebne było do zaokrąglenia posiadłości austryackich we Włoszech, więc Marya Teresa nabyła je za dziesięć tysięcy rocznej renty. Luigi nieźle się więc urządził, miał piękny dochód, był wolnym i mógł się oddawać literaturze. Niepotrzebnie zaczęła go zajmować i polityka; rozgłaszał w Wenecyi zasady Rousseau'a, wskutek czego inkwizytorzy państwa wydalili go z granic Rzeczypospolitej i pozbawili przyjemności rozszerzania francuskich nowości. Gonzaga przeniósł się do Rzymu, a spotkawszy zaraz na wstępie do wiecznego miasta Corillę, zakochał się w niej bez pamięci i już jej nie odstępował. Przyjęty do Arkadyi, przybrał nazwisko Emerina Alantina, pisał wolnomyślne broszury, ale przedewszystkiem starał się, aby skroń uwielbianej Corilli została uwieńczoną wawrzynem, podobnie jak czoło wielkiego Tassa. Gonzaga umiał poruszyć mnóstwo wpływowych osobistości, aby dopiąć tego celu,

a przedewszystkiem pozyskał Wielkiego księcia toskańskiego, który należał do wielbicieli talentu Corilli, tudzież abata Pizzi, kustosza Arkadyi.

Znalazło się jednak stronnictwo poważnych ludzi, bardzo niechętnych tej profanacyi Kapitolu, a na ich czele stali Filip La Barthe, sekretarz ambasadora króla polskiego przy Kuryi papieskiej, tudzież uczony abate Francesco Cancellieri. Przeciwnicy »tej komedyi na Kapitolu« udali się do uniwersytetu w Bolonii, aby ta najwyższa naukowa instytucya we Włoszech zaprotestowała przeciw uwieńczeniu poetki. Uniwersytet nie chciał się jednak wdawać w spory Arkadyjczyków, zwłaszcza, że musiano się dowiedzieć, że papieża już skłoniono do zezwolenia na odznaczenie Corilli.

Dziesiątego lipca 1776 r. odbyła się w Arkadyi rozprawa, na podstawie której miano uwieńczyć poetkę. Podano jej dziesięć tematów z historyi biblijnej, z fizyki, matematyki, z prawodawstwa, mitologii i t. d., na które miała odpowiedzieć wobec egzaminatorów. Co więcej, urządzono publiczne posiedzenia, aby dać sposobność i paniom rzymskim »interpelowania« kandydatki o różne kwestye, obchodzące ówczesne umysły. Na jednem z tych posiedzeń obudziła markiza Spinola zaciekawienie i wesołość w całem »auditorium«, zadała bowiem Corilli pytanie, kto jest wierniejszym w miłości, kobiety czy mężczyźni? Corilla odpowiedziała na wszystkie kwestye ku powszechnemu zadowoleniu, tak, że konserwatorowie kapitolińscy nie wątpili już w geniusz poetki i postanowili skroń jej uwieńczyć wawrzynem.

Znaczna część jednak publiczności zwróciła się przeciw temu, aby improwizatorkę stawiać na równi z Tassem, a Pasquino bardzo złośliwymi wierszami dokuczał z tego powodu papieżowi. Pomiędzy innemi obiegał po Rzymie dwuwiersz:

Plaudite, lascivae! Quintus vos expulit urbe,
Nunc habet a Sexto serta Corilla Pio,

który tak niemiłe sprawił wrażenie w Watykanie, że Pius VI nie chcąc odwoływać swego pozwolenia na uwieńczenie Corilli, kazał o ile możności obniżać znaczenie uroczystości. Nie pozwolił, aby koronacyę urządzono za dnia, w sali Ho-

racyuszów i Kuryacyuszów i zakazał oficerom swej milicyi wystąpić w mundurach. Uroczystość miała się odbyć wieczorem, Kapitol nie mógł być illuminowany i Corilli nie wolno było wjeżdżać na pagórek główną senatorską drogą. Książę Gonzaga i prezes Arkadyi, abate Pizzi, starali się jednak osłabić te obostrzenia papieskie, a Senat uprosił trzy panie z arystokracyi, aby w karecie Gonzagi uroczyście zawiozły Corillę przez Campo Vaccino na Kapitol. Gonzaga, obawiając się, aby ukochaną jego poetkę nie spotkała jaka nieprzyjemność, otoczył powóz grupą uzbrojonych brawów.

Konserwatorzy, sprzyjający Corillli, ustroili salę karmazynowym adamaszkiem, obramowanym złotemi taśmami, ustawili dla kandydatki rodzaj tronu i zgromadzili, co mogli, rzymskiej arystokracyi na tę uroczystość, która się odbyła 31 sierpnia 1776 r. Na placu kapitolińskim witał wjeżdżającą poetkę szpaler czerwonej gwardyi papieskiej, a jak tylko solenizantka wysiadła z karety, służba senatorska uderzyła w trąby, a publiczność wołała »evviva«.

Corilla, wysoka, o bardzo wyniosłem łonie, o żywych, niebieskich oczach, z rozpuszczonymi, jasnymi włosami, ubrana była w białą suknię atłasową i biały płaszcz aksamitny, upstrzony srebrnemi gwiazdami. Prowadził ją Gonzaga, a publiczność zauważyła pewne podobieństwo pomiędzy poetką a cesarzową Maryą Teresą.

Gdy trąby umilkły, Corilla uklękła przed konserwatorami a cavaliere Giuseppe Fargna, prior kaporionów, włożył jej po krótkiej przemowie wieniec laurowy na skronie, na co poetka odpowiedziała, dziękując za zaszczyt papieżowi, senatorom i ludowi rzymskiemu, poczem się szykko podniosła, usiadła na przeznaczonem dla niej krześle, a muzyka zagrała bardzo melodyjną symfonię. Uroczystość się wszakże na tem nie skończyła; pisarz senatu, cavaliere Cenci, przeczytał akt koronacyi po łacinie, poczem sześciu Arkadyjczyków wygłosiło okolicznościowe sonety, a kustosz Arkadyi, abate Pizzi, zwany »Nivildo Amarinzio«, odśpiewał wiersz swój »Trionfo della Poesia«. Wreszcie solenizatka, dziękując za tyle zaszczytów, zaimprowizowała poezyę »Trionfo di Roma«, sama sobie akompaniując na skrzypcach.

Dotąd uroczystość niczem nie została zakłócona; ale gdy poetka opuściła Kapitol i kareta jej ukazała się na placu Ara coeli, tłum czekający tam zaczął gwizdać niemiłosiernie. Protest przeciw owacyom kapitolińskim urządzali przeciwnicy arkadyjskich sielanek, a nazajutrz podawano sobie z rąk do rąk niezliczoną ilość pasquinat i satyr, wymierzonych przeciw Corilli i Gonzadze, przeciw Arkadyi i Senatowi, a nie oszczędzano nawet papieża.

W trzy dni później otrzymała Corilla i jej przyjaciel Gonzaga rozkaz bezzwłocznego opuszczenia Rzymu. Pius VI zakazał sprzedawania portretu poetki i wyznaczył grzywnę tysiąca skudów na autora sonetu, obelżywego dla papieża.

Dopiero po latach dziesięciu, w maju 1786 r. zawitała znowu »pastorella« Corilla do Rzymu, gdzie ją przyjmowali abate Goudard, kustosz Arkadyi, i kardynał de Bernis. Epoka arkadyjskich sonetów i wieńczenia poetek dobiegała już wówczas do swego kresu.

V.

Kardynał de Bernis był przez długie lata ambasadorem francuskim w Rzymie (1769—1791), gdzie tak znaczące i despotyczne zajął stanowisko, że się pytano, czy ten Warwick papieży nie ma pierwszeństwa przed Piusem VI. Sława jego obiadów utrzymała się do późnych czasów, a Pius VI mawiał żartobliwie, że kuchnia Bernisa była jeszcze w XIX wieku »in odore sanctitatis«. Zresztą przypatrując się portretom tego słynnego kardynała, jego opasłej postaci i okrągłej twarzy, z której wyglądają małe żywe oczy, łatwo się domyśleć, że de Bernis miał wybornego kucharza.

Ale wykwintne przyjęcia były tylko środkiem do dyplomatycznych celów; książę Kościoła hołdował bowiem zasadzie, że nic tak nie ułatwia dobrych międzynarodowych stosunków, jak pięknie i dobrze zastawiony stół, przy którym można pokojowo załatwiać najdrażliwsze spory. Kardynał głosił wielką prawdę, że »Europa nigdy nie jest szczęśliwszą, jak w chwilach, kiedy ambasadorowie nie mają nic do czynienia«.

Ów zajmujący kardynał pochodził ze znakomitej arystokratycznej rodziny hrabiów de Bernis, zamieszkałej w Chateau de Saint-Marcel en Vivarais, która jednak prócz zamku i wielkich koligacyi nie posiadała żadnych dóbr doczesnych. François Joachim comte de Bernis urodził się w r. 1715; w dwudziestym roku życia znalazł się w Paryżu, w domu swego krewnego, barona de Montmorency, a nie mając na razie innego zajęcia, pisał wiersze i robił długi. Były to wszakże czasy, kiedy poezyami można sobie było zyskać wysokie protekcye. Bernis pisał wprawdzie tak lekkie i puste wiersze, że Wolter nazwał autora »Babette la Bouquetiere«, ale madrygały utorowały młodzieńcowi drogę do łask pani de Pompadour. Podróż do tych względów była długa, trwała lat szesnaście, a w tym czasie teka z poezyami coraz bardziej się zapełniała, długi zaś urosły do poważnej sumy 80.000 liwrów. Bernis przywdział suknię abata, sądząc, że w tym poważnym stroju prędzej dojdzie do korzystnego stanowiska, aniżeli ze szpadą u boku. Pani de Pompadour wyrobiła mu u króla małą pensyjkę i wolne mieszkanie w Tuillierach, jako nadwornemu poecie; ale na tem poprzestać było trudno, zwłaszcza że wierzyciele coraz bardziej stawali się natrętnymi. Trzeba się było ratować, koniecznie znaleźć znaczniejsze dochody. Dla członka znakomitej rodziny otwartą była tylko karyera wojskowa lub dyplomatyczna, ta ostatnia wszakże przynosiła znaczniejsze materyalne korzyści. To też gdy w owym czasie opróżniła się posada ambasadora w Polsce, zadłużony poeta starał się wszelkiemi siłami, aby się dostać do Warszawy. Ludwik XV jednak rozwiał te marzenia, utrzymując, że do Polski na to tylko idzie każdy ambasador, aby stamtąd zostać kardynałem, a Bernis jest za wielkim lekkoduchem, aby na jego rozpoetyzowanej i rozromansowanej głowie miał spocząć kiedyś purpurowy kapelusz. Powoli jednak król oswoił się ze śmiałymi zamiarami poety, a gdy trzeba było nowego ambasadora posłać do Wenecyi, zamianował nim (1752 r.) hrabiego Joachima.

Bernis obracał się dotąd po największej części w salonach, był przyjemnym, dowcipnym towarzyszem, wstawał z łóżka o dwunastej w południe i nie miał wyobrażenia o pi-

saniu not dyplomatycznych. Pojechał jednak śmiało do Wenecyi; zaciągnął jeszcze więcej długów, urządził dom nadzwyczaj dostatnio i dawał wyborne obiady, sprowadzając według ówczesnego zwyczaju pasztety aż z Francyi, jak to czynił niegdyś Filip II, król Hiszpanii, któremu dwa razy co tygodnia przywożono z Paryża ten specyał wątpliwej wartości. De Bernis zapraszał do siebie bawiących w Wenecyi znakomitych cudzoziemców, a utrzymując stosunki z kobietami, starał się przez znajome patrycyuszki dowiadywać o najskrytszych zamiarach weneckiego rządu. Wówczas należała pani Barberigo do najbardziej wpływowych kobiet, o jej łaski się więc zaraz postarał. Wprawdzie dumna Wenecyanka powiedziała mu »Soyez sur, que je Vous serai toujours constante, et jamais fidele«; ten brak wierności nie odstraszał jednak Paryżanina, a Bernis wkrótce się przekonał, że jest stworzonym na dyplomatę. Chcąc sięgać po najwyższe zaszczyty, przyjął duchowne święcenia z rąk weneckiego patryarchy i trzy lata jeszcze bawił nad lagunami, poczem Ludwik XV powołał go do Francyi, aby prowadził dyplomatyczne układy z Austryą. W tych trudnych targach bardzo się odznaczył i jako nagrodę wyniósł z poza zielonych stołów dwie teki: radcy stanu i ministra spraw zewnętrznych. Nominacye następowały z piorunującą szybkością. 30 listopada 1758 r. otrzymał Bernis z rąk Ludwika XV kapelusz kardynalski, ale książę Choiseul pozazdrościł mu politycznego powodzenia i łask pani de Pompadour; powstała pomiędzy obydwoma ministrami walka, w której Bernis uległ. Król wysłał go na wygnanie do Soissons, a następnie nadał mu arcybiskupstwo d'Alby, słynne ze smutnej pamięci rzezi Albigensów; dzięki jednak wysokiemu stanowisku i oddanym państwu zasługom, wygnanie długo nie trwało, a zręczny prałat mógł wkrótce udać się do Rzymu na conclave, z którego Klemens XIII wyszedł papieżem (1758—1769), i tak umiał popierać interesa Francyi, że Ludwik XV, pogodziwszy się z nim zupełnie, zamianował go ambasadorem Francyi przy Stolicy Apostolskiej (1769—1792) na miejsce księcia d'Aubeterre.

Paryżanie streścili wyniesienie Bernisa, jego upadek i powrót do łask królewskich w następującym wierszyku:

Moins religieux que profane,
Bernis à la cour en soutane
Fut ministre dès qu'il parut;
On fit pour lui ce qu'il voulut,
Il eut une grande dépense;
De sa chute est — ce le signal?
On dirait que cette Éminence
N'a le chapeau de cardinal
Que pour tirer la révérence.

W Rzymie zaczęły się najświetniejsze czasy karyery Bernisa. Ambasador wynajął pałac Boncompagnich na Corso, otoczył się niewidzianym zbytkiem, mówiono nawet, że ma dwór liczniejszy, aniżeli sam król w Paryżu. Przyboczna szlachta, marszałkowie, wygalonowani lokaje, wspaniale ubrana straż wojskowa zapełniała przedsionki i przedpokoje, a pomimo mnóstwa służby panował w pałacu wzorowy porządek. Ambasador korzystał z każdej sposobności, aby dawać obiady i głośne przyjęcia, na których robiła honory domu piękna księżna Santa Croce. Kardynałowie nie urządzali u siebie tańcujących zabaw, ale tylko akademie, koncerty i wieczorne festyny. Dawnym zwyczajem jedna z pań arystokracyi rzymskiej grała rolę gospodyni; tym razem jednak gorszono się tymi rządami, mówiono bowiem głośno o stosunku księżny z ambasadorem.

Księżna, z domu markiza Falconieri, młoda, piękna, smukła, dowcipna, roztaczała wokoło siebie niewypowiedziany urok. Nadzwyczaj ożywiona, miała serce na ustach, jak utrzymuje Casanova, w towarzystwie mówiła bezustannie, nie czekając nawet odpowiedzi, przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, ale z takim wdziękiem, że się ją słuchało z prawdziwą przyjemnością.

Książę małżonek, także przystojny, nie wiele starszy od księżnej, był bardzo skąpym i chciwym, wdawał się wbrew zwyczajowi rzymskiej arystokracyi w różne kupieckie spekulacye, co mu brano za złe. Mówiono nawet, że dla oszczędności miał stosunek z księżną di Fiano, a nie z inną panią z towarzystwa, ponieważ księżna bardzo bogata, nie wymagała kosztownych podarunków. Księżna di Fiano, jak się można spodziewać, nie lubiła swojej legalnej rywalki i utrzy-

mywała, że Santa-Croce jest właściwie tylko pięknie ubranem wieszadłem.

Książę rzadko bywał w domu; zastępował go kardynał de Bernis, który zazwyczaj trzy razy dziennie przyjeżdżał do księżny: raz w godzinach porannych, kiedy była sama, następnie o trzeciej po południu pił u niej czarną kawę, a wreszcie spędzał w pałacu Santa Croce wieczory, grając z panią domu w pikietę. Jako człowiek światowy, urządzał kardynał zazwyczaj w ten sposób partyę, że przegrywał do księżny znaczne kwoty, co małżonkowi wcale dogadzało. Książę z usposobienia bardzo zazdrosny, nie cierpiący, aby się młodzież do jego małżonki przybliżała, był względem kardynała nadzwyczaj pobłażliwy, co sobie różnie tłómaczono. Wobec świata usprawiedliwiał tę obojętność wiek kardynała, który zostawszy ambasadorem miał lat pięćdziesiąt cztery; ale nie były to znowu lata, odsuwające wszelkie podejrzenia w stosunku z kobietami. Dla księcia, a może i po trosze dla księżny wystarczało, że De Bernis był najpotężniejszym ambasadorem w Rzymie, a zapewne i najrozrzutniejszym, gdyż jego olbrzymie dochody z arcybiskupstwa, z rozmaitych beneficyów, z płacy ambasadorskiej i kardynalskiej wystarczały na zaspokojenie wszelkich wymagań rozumu i serca.

Do najświetniejszych takich przyjęć u kardynała pod uroczym kierunkiem księżny Santa-Croce należały dwa festyny, dane na cześć króla szwedzkiego Gustawa Adolfa III w czasie jego pobytu w Rzymie z końcem r. 1783. Przed północą popisywali się najznakomitsi śpiewacy swemi kantatami i aryami, a jakiś tercet tak zachwycił słuchaczów, że jakby w teatrze wołano »Bis! bis!« Nastąpiła wieczerza, tem urozmaicona, że każdy z gości znalazł przy desserze jakąś »boite à surprise«, zastosowaną do swych upodobań. Późno w noc przeszło towarzystwo do salonów gier hazardownych, gdzie zamiast niewinnych głosów śpiewaczek słychać było tylko brzęk złota, bo grano bardzo wysoko.

W kronice wydarzeń towarzyskich za czasów Piusa VI zapisano jako najwspanialszą salonową uroczystość festyn, który Bernis urządził z powodu urodzin Delfina, syna Maryi Antoinetty.

Kuryer, wysłany z Paryża, aby donieść kardynałowi radosną wiadomość, przybył do Rzymu 2 listopada 1781 r., przebiegłszy daleką drogę w dniach jedenastu. Bernis bawił wówczas w Albano, ale natychmiast przeniósł się do Rzymu i kazał przez trzy wieczory illuminować swój pałac na Corso, a 3 marca 1782 r. zgromadził u siebie na bankiet wszystkich kardynałow i ambasadorów.

Monti ułożył na tę uroczystość kantatę, a Cimarosa dorobił do niej muzykę. Przed rozpoczęciem jednak koncertu zaszedł fakt »sporu o pierwszeństwo«, o którym długo potem mówiono. Dwie karety zjechały się prawie równocześnie przed bramą pałacu, jedna ulicą od placu SS. Apostoli, druga od placu św. Marka (Piazza di Venezia). W pierwszej siedział kardynał d'York, w drugiej senatorowa Rezzonico, z domu Boncompagni-Ludovisi, nepotka dwóch papieży i córka księcia Piombino. Woźnice wstrzymali konie, ale moretto kardynała, niosący zapaloną pochodnię, szybko zwrócił ją ku pyskom koni senatorowej, tak, że konie się cofnęły, a tymczasem kareta kardynała wjechała pierwsza do bramy. Senatorowa tak się rozgniewała, że nie chciała zająć pierwszego miejsca dla niej przeznaczonego i zaledwie dała się udobruchać. Nazajutrz przyszedł do jej pałacu maggiordomo kardynała d'York, aby ją przeprosić za przykre zajście; ale dbała o swój honor Rezzonico poleciła powiedzieć jego Eminencyi, że każe swoim sługom obić jego lokaja i że kardynał nie jest tak dobrze wychowanym, jak jego brat, który spotkawszy księcia Glocester na placu Navona, pozwolił mu jechać przed sobą.

Kardynał de Bernis sprawiał wprawdzie huczne bankiety, ale sam z powodu słabego zdrowia żył bardzo skromnie. Pani Vigée Le Brun była raz u niego na obiedzie z Angeliką Kauffmann i zauważyła, że gospodarz jadł tylko trochę jarzyn.

Z rewolucyą minęły świetne czasy kardynała. Jakobini potrzebowali innych ambasadorów, aniżeli Ludwik XV. De Bernis stracił posadę, stracił znaczną część majątku, a co może go najwięcej zabolało, księżna Santa-Croce odwróciła

swoje oblicze od upadłego dyplomaty. Kardynał został wielkim pokutnikiem i wkrótce potem umarł w Rzymie r. 1794.

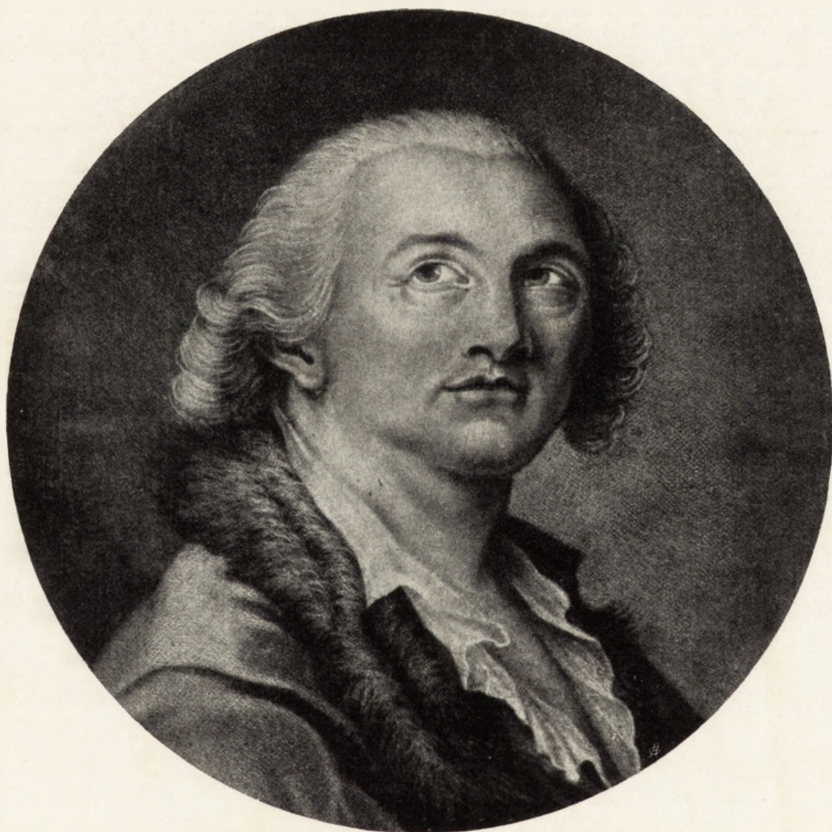
VI.

Casanova, widząc pierwszy raz Cagliostra, przepowiedział: »Ten człowiek zginie na galerach«. Przepowiednia była blizką spełnienia się, gdy głośny magik-szarlatan przyjechał w maju r. 1789 z żoną do Rzymu. Zamieszkał w modnym hotelu »della scalinata« na placu hiszpańskim. występował odrazu z wielką pompą i zaczął szerzyć pogłoskę, że wprowadza nowy rodzaj wolnomularstwa, massoneryę egipską, z której już zasłynął w Paryżu i w Lyonie. Mimo całej swej przebiegłości i doświadczenia za mało znał Inkwizycyę, przypuszczając, że w jej sąsiedztwie będzie mógł dalej szerzyć swoją »naukę«. Zawody jednak, których doznał w ostatnich czasach, zachodząca jego gwiazda skłoniły go, że wdał się w niebezpieczne przedsięwzięcie.

Nie przyjeżdżał zresztą z próżnemi rękami; wiózł ze sobą listy polecające od biskupa trydenckiego do kardynałów Albaniego, Colonny i Buoncompagniego, a przedewszystkiem miał nadzieję trafić do księżny Santa-Croce, przez nią zaś do kardynała De Bernis. Ufał nadto, że papież zatwierdzi jego rytuał egipski, oddalający się od powszechnego wolnomularstwa, zwłaszcza że spodziewał się w tej mierze poparcia zakonu Maltańskiego.

Biskup trydencki polubił Cagliostra i zdawało się, że magik znajdzie tam oparcie; ale Józef II, dowiedziawszy się o jego pobycie w austryackiem państwie, napisał do owego księcia Kościoła list, w którym wyraził swoje niezadowolenie z powodu opieki, dawanej »niebezpiecznemu człowiekowi, wielkiemu mistrzowi nieznanego rytuału« i Cagliostro był zmuszony wyjechać z Trydentu.

W Rzymie istniała już od dwóch lat, w części miasta Trinità del Monte, loża masońska »Szczerych braci«, którą założyli sami cudzoziemcy: pięciu Francuzów, jeden Polak i jeden Amerykanin. Cagliostro nie chciał zbliżać się do tych



Cagliostro.

Według miedziorytu Bartolozzego.

Do str. 414.

wolnomularzy i zamyślał, przynajmniej na razie, utrzymywać się ze swych wiadomości lekarskich; ale chorzy nie przychodzili, dochodów nie było, trzeba było zastawiać wszystko, co jeszcze pozostało ze świetnych czasów, brylanty prawdziwe i fałszywe i nawet część ubrań. W ostateczności dopiero myślał zbliżyć się do »Szczerych braci«, aby im objawić »Egipski rytuał«. Dawny wielki Kopta, który z samej Warszawy potrafił wywieźć 8.000 dukatów, który dowolnie rozporządzał przez jakiś czas kasą kardynała Rohan w Strasburgu, teraz włóczył się po Rzymie w wytartym płaszczu i przemyśliwał nad tem, jakby najmniejszy grosz zdobyć. Nareszcie po wielkich trudach znalazł dwóch uczniów, którzy chcieli się wtajemniczyć w egipski rytuał. Gdy jednak Cagliostro zażądał od nich po pięćdziestąt talarów za patent na członków loży, kandydaci znikli: żart był za drogi.

Nareszcie po dłuższej walce z biedą potrafił znaleźć adeptów, którzy mu pożyczyli pieniędzy, i narażając się na niebezpieczeństwo, otworzył lożę egipską w pobliżu willi Malta, przy porta Pinciana. Swoją przeszłością, o której opowiadano mnóstwo legend, umiał niebawem tak rozciekawić wyższe klasy społeczeństwa rzymskiego, a osobliwie kobiety, że zaraz na pierwsze posiedzenie w loży zgromadziła się liczna wyborowa publiczność.

Cagliostro był też rzeczywiście dziwną i zajmującą postacią. Nazywał się właściwie Józef Balsamo i urodził się 8 czerwca 1743 r. w Palermo. Ojciec jego pochodził z żydowskiej uczciwej rodziny. Wychowanie i początkowe nauki odebrał mały Balsamo u Braci miłosierdzia w Cartagirone, ale uciekłszy ze szkoły zaczął wcześnie awanturniczy żywot. Z powodu rozmaitych fałszerstw musiał szukać schronienia w Messynie, gdzie poznał Greka Altotas'a, z którym podróżował po Wschodzie i Egipcie, wprawiając się w rozmaite magiczne szalbierstwa. Następnie znalazł się na Malcie i zdołał pozyskać zaufanie Wielkiego mistrza Pinto, zagłębiającego się w magii i tak zwanych umiejętnościach hermetycznych. Pinto był mu bardzo pomocnym do przyszłej »karyery«, polecił go bowiem znakomitym osobistościom we Włoszech i otworzył nawet wstęp do kół watykańskich. W Rzymie ożenił się Bal-

samo w r. 1770 z ładną dziewczyną z ludu, Lorenzą Feliziani, ale sfałszowawszy weksle, musiał stamtąd uciekać. Błąkał się po południowej Francyi i Hiszpanii, aż w r. 1777, po różnorodnych przejściach, dostał się do Londynu.

Szczegóły życia lat młodzieńczych zacierał Cagliostro, aby się wydawać mistyczną osobistością; od pobytu w Anglii stał już jako »mistrz« na widowni, podlegał kontroli europejskiej publiczności i nie mógł się ukrywać za magiczną kotarą.

Widzimy przed sobą człowieka nizkiego wzrostu, o szerokich barkach, wypukłej klatce piersiowej, o dużej głowie, pokrytej czarnym, trochę kędzierzawym włosem, zaczesanym od czoła. Krótka, gruba szyja, wysokie czoło, nos silnie zaokrąglony, białe, mocne zęby nadawały jego postaci znamiona fizycznej siły, którą często można spostrzedz u magików-hipnotyzerów. Powiadają, że wielu ludzi nie mogło znieść wzroku Cagliostra, takie miał przenikliwe spojrzenie. Znakomity portret Bartolozzego przedstawia nam magika z podniesionemi oczyma do nieba, jakby w tragicznej pozie. Widocznie chciał »mistrz« przejść do potomności w postaci proroka, szukającego w niebie natchnienia do swych czynów. Komedya się wszakże nie bardzo udała; mamy przed sobą aktora, a nie proroka.

Przypatrzmy się wszakże, jak ten »mistrz« wyglądał, gdy działał, gdy chciał zahipnotyzować swoich widzów i słuchaczów. Mamy w tej mierze bardzo cenne sprawozdanie naocznego świadka, który, przypatrując się »przedstawieniu«, zachował zupełną trzeźwość sądu.

Abate Lucantonio Benedetti udał się na pierwsze posiedzenie loży egipskiej w towarzystwie markizy P. Przyszedłszy o drugiej w nocy, o oznaczonej godzinie, do willi przy porta Pinciana, musiał powiedzieć swoje nazwisko służącemu w liberyi i został wprowadzony wraz z towarzyszką do dużej sali wybornie oświetlonej, na której ścianach były wymalowane jakieś trójkąty, jakieś linie, ważki i inne symbole czarnoksięstwa, tudzież bożyszcza egipskie, asyryjskie i chińskie. Na jednej ścianie było dużemi literami napisane: »Sum, quidquid fuit, est et erit, nemoque mortalium mihi adhuc

»velum detraxit«. Sala była pełna, a pomiędzy publicznością znajdowały się takie znakomitości, jak ambasador De Bernis z księżną Santacroce, jak książę Federico Cesi, abate Ennio Quirino Visconti, baron de Breteuille, marchese Massimi i księżna Rezzonico. W dalszych rzędach krzeseł zwracał uwagę także jakiś kapucyn francuski, który żywy brał udział w przedstawieniu.

W głębi sali znajdował się przykryty stół, podobny do ołtarza, na którym leżały białe czaszki, małpy zabalsamowane, żywe węże w słojach szklanych, sowy, stare pergaminy, tygle, ampułki, amulety, paczki z jakimś proszkiem i inne podobne »dyabelstwa«.

Gdy się towarzystwo zgromadziło, ukazał się hrabia Cagliostro, o którym Benedetti powiada, że był nizkiego wzrostu, tłusty, o ciemnem, podejrzliwem spojrzeniu i złośliwym wyrazie twarzy. Za nim weszła hrabina-małżonka, ładna, sympatyczna kobieta, o żywem, łagodnem oku. W długich podróżach z mężem nabrała ta prosta Rzymianka dobrego ułożenia i towarzyskiej ogłady, pomimo że nigdy się niczego nie uczyła, a nawet sztuka pisania była jej obcą. Cagliostro, chcąc wytłómaczyć jej nieuctwo, mawiał, że w najwyższem towarzystwie rzymskiem zazwyczaj nie uczą się panny pisać, albowiem matki chcą im w ten sposób utrudnić zawiązywanie miłosnych intryg. W przeciwieństwie do owych ostrożnych matron miał Cagliostro bardzo wolne wyobrażenia o stosunkach miłosnych i powszechnie utrzymywano, że ułatwiał romanse swej żony z ludźmi, których potrzebował, aby zapełnić złotem wypróżniającą się kasę. W ten sposób żył długo na koszt kardynała księcia de Rohan. Trzymał się zresztą »zasady«, że kobieta mężatka tylko wtedy zdradza męża, jeżeli popełnia niewierność z miłości do innego mężczyzny; jeżeli się oddaje obcemu dla interesu swego męża, jest niewinną.

Po wejściu hrabiny do sali usiadł Cagliostro na trójnogu i zaczął dłuższą przemowę do zgromadzenia mniej więcej tej treści: »Rzecz słuszna, abym wam opowiedział mój żywot, odsłonił moją przeszłość i rozdarł kotarę, która ją osłania. Jestem człowiekiem przedpotopowym. Chciejcie mnie

zrozumieć, słuchajcie: Widzę jeszcze przed sobą nieskończoną pustynię, olbrzymie palmy, rzucające cień na płowe piaski, spokojnie płynący Nil, sfinksy, obeliski i kolumny, wznoszące się majestatycznie. Widzę wspaniałe mury, liczne świątynie, piramidy, dotykające nieba i egipskie labirynty. Świętem miastem jest tam Memfis. Widzę, jak król Thotmes III pełen chwały wjeżdża w tryumfie, zwyciężywszy Syryjczyków i mieszkańców kraju Kanaan. Ale oto znajduję się w innych ziemiach, w innej stolicy, w której cześć odbiera Jehowa, a nie Ozirys. Nowe bogi zaćmiły dawne. Słyszę głosy, wielbiące proroka, syna Bożego. Kto nim jest? Chrystus. Widzę Go, jak w Kanie zamienia wodę w wino!«

To mówiąc, podniósł się Cagliostro i jakby uniesiony duchem proroczym, zawołał: »I ja Wam pokażę cuda; nic mi nie jest nieznanem; jestem nieśmiertelnym, przedpotopowym. Wszystko u mnie jest możliwem. Ego sum, qui sum«. A chcąc niejako potwierdzić swe słowa, zamienił w tak zręczny sposób dzbanek czystej wody w musujące wino orwietańskie, że publiczność nie mogła wyjść z podziwienia. Niektórzy z gości kosztowali napój, który im się wydawał wyborny.

Zapewne dla odwrócenia uwagi widzów opowiadał Cagliostro dalej o swoich tajemnicach, o balsamach i eliksirach, z których jeden miał życie przedłużać, drugi przywracać siłę młodzieńczą, i dał po kilka kropel tego płynu wypić starszym mężczyznom, zapewniając, że skutek będzie bezzwłoczny. Abate Benedetti dodaje, że w istocie owi ochotnicy młodości zaraz poczerwienieli na twarzy, jakby wychylili kielich Montefiascone. Trudniejsza sprawa była z dalszym »cudem« magika; utrzymywał on, że umie powiększać kamienie i rzeczywiście wziął od kardynała de Bernis solitera, którego eminencya zawsze nosił na palcu, włożył pierścień do naczynia, zawierającego jakiś płyn tajemniczy, następnie wymawiał dla większego wrażenia słowa arabskie, egipskie, wsypywał do płynu rozmaite proszki i oddał po chwili kardynałowi pierścień z dwa razy większym brylantem.

Eminencya okazał wielkie zdziwienie i zawołał, że rzeczywiście stało się coś cudownego. Nasz abate nie wierzył

jednak w nadzwyczajności, dodał też w swym pamiętniku, że kardynał musiał dostać w zamianie za brylant zwyczajny kryształ. Abate nie wiedział jeszcze o wrażeniach, wywoływanych hypnozą; kardynał musiał się jednak później przekonać, że dyament w jego pierścieniu bynajmniej się nie powiększył, bo stał się zawziętym nieprzyjacielem Cagliostra.

Po sztuce z pierścieniem nastąpiło rzeczywiście coś nadzwyczajnego. Magik zawołał, aby weszła dziewczynka, którą nazywał swoją wychowanicą, i kazał jej opowiadać, co widzi w szklanej flaszce, napełnionej czystą wodą. Dziewczyna, wpatrując się w butelkę, mówiła, że widzi długą ulicę, prowadzącą z jakiegoś wielkiego miasta do innej, mniejszej miejscowości, i spostrzega tłumy ludu biegnące ku wspaniałemu pałacowi i wołające: »Precz z królem!« Cagliostro zapytał się jej, czy nie spostrzega, w jakim kraju się to dzieje, na co dziewczynka odpowiedziała, że tłum krzyczy: »à Versaille!«

Wtedy Cagliostro obrócił się do publiczności, zapewniając, że jego wychowanka prawdę powiedziała, gdyż wkrótce wzburzony lud pod przewodnictwem jakiegoś księcia oblegnie Wersal, gdzie się znajdować będzie Ludwik XVI, że rewolucya obali monarchię, zburzy Bastylię i że po tyranii nastąpi wolność.

Kardynał Bernis się żachnął:

— A to piękna przepowiednia dla mojego króla... zobaczymy...

— Żałuję, ale to wszystko się stanie — odrzekł Cagliostro.

Przepowiednia rzeczywiście się spełniła, gdyż następnie 5 października lud paryski pod przewodnictwem księcia d'Aiguillon szedł na Wersal, a 21 maja 1791 r. Bastylia została zburzona.

Po tej zbyt śmiałej wówczas przepowiedni Cagliostra powstało wielkie zamieszanie pomiędzy publicznością; jedni nazywali dziwnego proroka szarlatanem, inni mędrcem, a szmer się w zgromadzeniu uciszył, gdy abate Visconti powstał i zapytał magika, na czem polega jego umiejętność przepowiadania przyszłości.

— Uczony Lavater — odrzekł Cagliostro — zadał mi to

samo pytanie; mogę więc i dzisiaj powtórzyć to samo, co odpowiedziałem słynnemu znawcy ludzi, a mianowicie, że cała moja umiejętność polega »in verbis et in herbis«.

Słowa te oczywiście nic nie tłómaczyły; ale Cagliostro, chcąc cokolwiek jaśniej przedstawić swój system, zaczął wykładać o istocie i celach egipskiego wolnomularstwa; mówił tak przekonywająco, że obecny francuski kapucyn, Francesco di San Maurizio, i markiz Viraldi zaraz oświadczyli gotowość przystąpienia do towarzystwa. Abate Benedetti wyszedł jednak z owego posiedzenia w przekonaniu, że hrabia Cagliostro jest wielkim szarlatanem. Za takiego uważali go zresztą i sami wolnomularze, którzy się bynajmniej nie przyznawali do jego »egipskiej masoneryi«.

Cagliostro musiał wierzyć w szybkie zwycięstwo rewolucyjnych idei we Francyi, bo w Rzymie igrał z ogniem; zaczął otwarcie pochwalać wolność francuską i napisał petycyę do jeneralnych stanów w Paryżu, aby mu pozwolono tam powrócić. Tego Inkwizycyi było za wiele; w Watykanie obawiano się, aby dziwny ten człowiek nie zawiązał jakiego rewolucyjnego spisku. W niedzielę 27 października 1789 r. zebrała się kongregacya czterech członków świętego Officyum u kardynała Zelady, a nawet sam Pius VI przybył na to posiedzenie, pomimo że nie było przykładu, aby papież kiedykolwiek brał udział w naradzie, odbywającej się w pomieszkaniu jednego z kardynałów. Uchwały zapadły bezzwłocznie, bo jeszcze tego samego dnia wieczorem policya Inkwizycyi weszła do mieszkania Cagliostra i uwięziła go wraz z żoną. Markiza Vivaldi, która się tam wówczas znajdowała, potrafiła się wymknąć i w kilka dni później uciekła do Wenecyi w przebraniu węgierskiego huzara. Mąż jej, markiz Vivaldi, zdołał także Rzym opuścić; uwięziono tylko kapucyna Francesca de San Maurizio, oraz mnóstwo osób, które z Cagliostrem miały jakąkolwiek styczność. Rezydent toskański donosił Wielkiemu księciu, że ciągle kogoś aresztują, i to w największej tajemnicy. Zdaje się — pisał — że się znajdujemy w jakimś zaczarowanym kraju. Minister Astorri zaś wyrażał się w liście do syeneńskiej municypalności, że Rzym znajduje się pod obuchem najstraszniejszej inkwizycyi, że niknie wszel-

kie zaufanie, że nie można wierzyć nikomu. Inkwizycya podejrzywała wszystkich o należenie do związku Illuminatów i w każdym ruchu społecznym widziała ich robotę.

Cagliostra osadzono w jednej z cel zamku św. Anioła, a po pierwszem przesłuchaniu, 16 stycznia, kazano mu włożyć kajdany na szyję i ręce. Badania zmierzały do tego, aby go oskarżyć o herezyę; pozwalano mu też jak najwięcej mówić, aby się zawikłał w swych zeznaniach. Oskarżony bronił się, że »uważając dotychczasowe wolnomularstwo za niebezpieczne, bo prowadzące do ateizmu, chciał ratować wolnomularzy od tego niebezpieczeństwa przez zaprowadzenie nowego obrządku, opierającego się na wierze w Boga i w nieśmiertelność duszy«.

Sędziowie pytali się, jaką drogą doszedł do tej nauki i do tej wiary; Cagliostro odpowiadał, że »Bóg go natchnął i dał mu siłę do działania. Bez łaski bożej nic się nie dzieje«; zaklinał się też, że nigdy nie »pracował« z pomocą szatana.

Równocześnie przesłuchiwano hrabinę Cagliostro, która pod grozą tortur opowiedziała całe życie męża z wszelkimi szczegółami, a nawet oskarżała, że ją bił, że ją zmuszał do złego życia i tyranizował w najstraszniejszy sposób. Potakiwała na wszystko, co jej podsuwał sędzia śledczy. Słaba, bojaźliwa, złamana, stała się zabawką w rękach inkwizytora. »Powiedz — mówił sędzia — że mąż twój jest nieukiem, który swoje operacye zawdzięcza tylko kuglarstwu i podnieceniu, wywołanem alkoholem, a uwolnisz go od zbrodni magii«. Hrabina i na to przystała, a w nagrodę za swe zeznania została zamkniętą w klasztorze S. Apolonia na Trastevere, gdzie zapewne umarła. W r. 1799 już jej tam nie było.

W czasie, kiedy Cagliostro był uwięziony w Castel San Angelo, zaszedł fakt dość pocieszny. Szarlatan, który nawet w ciężkich chwilach nie wychodził ze swej roli, opowiadał stróżom, że spokojnie patrzy w przyszłść, gdyż w wielki piątek dyabeł przyjjdzie go uwolnić i wytępi całą wojskową załogę, która go pilnuje. Zdarzyło się, że w oznaczonym dniu szalała straszna burza i że piorun uderzył tuż koło bramy zamkowej. Przestraszeni żołnierze, sądząc, że dyabeł już nadchodzi, czemprędzej uciekli i nie chcieli wrócić na swój po-

sterunek, dopóki księża egzorcyzmami nie wygnali złego ducha, który się tak niepotrzebnie umieścił w zamku. Nie dziw, że ta trwożliwa armia nie miała później na tyle odwagi, aby się oprzeć rewolucyjnym oberwańcom jenerała Berthier.

Badania Cagliostra trwały aż do kwietnia 1791 r.; sędziowie koniecznie chcieli go zmusić do wyznania, że stał się winnym zbrodni herezyi. Gdy jednak uwięziony stanowczo i ciągle wypierał się herezyi, wzięto go na tortury, a wtedy zbolały, wyczerpany z sił fizycznych, zeznał wszystko, czego sobie życzyli inkwizytorzy. Chciano go nadto zgubić w opinii wolnomularzy i zmusić do publicznego zaprzeczenia nauk, które głosił. Nasyłano mu spowiedników, Kapucynów i Jezuitów, którzy go do tego kroku nakłaniali, a gdy Cagliostro okazywał się w tej mierze opornym, przysłano mu dwóch adwokatów Inkwizycyi, którzy mu oświadczyli, że jeżeli się publicznie nie wyprze swych zasad i nie uzna, że jest heretykiem, to będzie spalony na stosie. Cagliostro się przestraszył i podpisał akt, który mu podano.

Siódmego kwietnia 1791 r. zaprowadzono go przed kongregacyę Inkwizycyi, gdzie w przytomności Piusa VI klęcząco, z głową nakrytą czarnem suknem musiał wysłuchać wyroku, skazującego go za herezyę, magię i tworzenie związku wolnomularzy na karę śmierci.

Papież jednak zaraz wyrok złagodził i zamienił karę śmierci na dożywotnie więzienie.

Natychmiast też pod wojskową eskortą adjutanta gwardyi korsykańskiej Grilloniego i czterech żołnierzy przewieziono Cagliostra do fortecy San Leo, pod Urbinem, a papiery i rzeczy jego spalił kat 3 maja 1791 r. na placu Minerwy. Operacya ta trwała aż trzy kwadranse, bo zgromadzony lud bawił się wybornie i wydawał okrzyki radości, gdy rzucano do ognia książki, dyplomy i znaki wolnomularskie.

W San Leo przechodził Cagliostro straszne męczarnie; jęki więźnia słychać było poza mury forteczne, a gdy tych rozpaczliwych krzyków było za wiele komendantowi załogi, zniecierpliwiony, kazał go smagać kijami i głosić, że więzień się upił i w niepoczytalnym stanie wydaje nieludzkie głosy. Prócz wody nie dostawał wszakże Cagliostro innego napoju.

Po kilku miesiącach nadszedł z Rzymu rozkaz, aby więźnia przeniesiono ze zwykłej kaźni do strasznego lochu, zwanego »il pozzetto«; powodem tego rozporządzenia był donos, jakoby zwolennicy mistrza chcieli go uwolnić za pomocą »tego nowego przyrządu do latania, który zowią balonem«. Próby Mongolfiera były już znane. Zresztą Medyolańczyk hr. Andreani, a za nim słynny matematyk Cossali w Weronie (1784) próbowali wzlotów balonami ku wielkiemu zdziwieniu publiczności [1]).

Pięć lat wytrzymał Cagliostro to życie w podziemnym lochu. Naraz 28 sierpnia 1795 r. rozpuszczono wieść, że umarł na apopleksyę; ale jeden z urzędników watykańskich zapewniał antykwarza Hirta, że go uduszono, ponieważ stał się niebezpiecznym furyatem i rzucił się na księdza, który go odwiedził. Hirt napisał też o tem zaraz do słynnego Lavatera, który się bardzo zajmował losem Cagliostra.

Wyrok Inkwizycyi, skazujący Cagliostra na śmierć, a złagodzony na straszne męczarnie, wywołał w całej Europie bardzo przykre wrażenie. Uważano wyrok za zbyt surowy i niesprawiedliwy.

Wolnomularstwo nadzwyczaj się wówczas już rozszerzyło i nie było prawie znakomitszej osobistości w Europie, którąby nie należała do jakiejś masońskiej loży. W samej Francyi liczono w r. 1776 trzysta lóż, a całe Niemcy hołdowały »Illuminizmowi«.

Polska stała się jednem z ognisk nauk kabalistycznych, do czego się niemało przyczynili rabini kabaliści. Jean de Toux de Salverte otworzył jeszcze w r. 1750 lożę »Pod dobrym pasterzem« w Warszawie, gdzie przepędził pięć lat na studyach kabały i alchemii. Następnie powstała tam »Loża cnotliwego Sarmaty«, a na jej otwarciu byli prócz innych przytomni: prymas Podoski i ks. prałat Chigiotti, o którym jużeśmy wyżej mówili. Także minister hr. Brühl zaprowadził

[1]) Prawie równocześnie, 6 lipca 1784 r., wzniósł się Jan Stuwer w Wiedniu balonem z sześcioma osobami. W jednym z następnych wzlotów miał wziąć udział także Giacomo Casanova, bawiący wówczas w Wiedniu, ale przyjaciółka, Francesca Buschini, przestrzegała go listownie, aby się powstrzymał od tej próby, gdyż jest za ciężki.

w Warszawie lożę według rytuału szkockiego, pod tajemniczą nazwą »Karol pod trzema hełmami«. Król Stanisław August Poniatowski, któremu jeszcze dawniej przepowiedział jakiś astrolog jego wyniesienie i nieszczęścia, wstąpił w r. 1777 do tej loży, jako »Eques Salsinatus«, albo »Salsinatus magnus«, i otrzymał dwudziesty pierwszy stopień kawalera »Rose Croix«, złożywszy przepisaną przysięgę, z zastrzeżeniem swych »obowiązków obywatelskich i królewskich« i pod warunkiem, że jego wstąpienie pozostanie tajemnicą.

Można więc sobie wystawić, że proces i uwięzienie Cagliostra sprawiło wielkie wrażenie i było wiadomem nawet w szeregach wojsk napoleońskich, które zajmowały północne i środkowe Włochy. Do San Leo przybył pierwszy jenerał Dąbrowski ze swym legionem, na wiosnę r. 1796. Natychmiast dowiadywano się o losy Cagliostra, ale »mistrz« już nie żył. Dąbrowski kazał wypuścić na wolność wszystkich więźniów Inkwizycyi i uwiadomił ich o tem krótką proklamacyą: »Amis, vous êtes libres! La Republique Cisalpine, en detruisant une des Bastilles du gouvernement pontifical, vous a rendu tous vos droits«.

Gdy więźniowie wyszli, wojsko republikańskie wysadziło fortecę w powietrze.

Cagliostro ma więcej nieprzyjaciół, aniżeli obrońców, ale i tych jest niemało. Bądź co bądź, zasługuje on pomiędzy szarlatanami na honorowe miejsce. Umiał hypnotyzować otoczenie i słuchaczy i nie można zaprzeczyć, że swoją nadzwyczaj znaczącą osobistością wywierał wpływ wielki. Z natury despota, narzucający swoją wolę w sposób gwałtowny i gburowaty, zadziwiał tem, że się przed nikim nie korzył. Niesłychanie czynny, sypiał czasem tylko kilka godzin w fotelu, jadał bardzo mało, zwykle ulubiony makaran, i pił tylko wodę. Wpływowi kobiet nie ulegał, co stanowiło także do pewnego stopnia jego siłę. Mówił płynnie po francusku, umiał po łacinie i po włosku, trochę po arabsku, ale najlepiej znał język portugalski, tak, że przypuszczano, że jest portugalskim

Żydem. Pomiędzy szeroką publicznością jedni uważali go za samego szatana, zesłanego z czeluści piekielnych do bałamucenia ludzi, inni za Mahometanina, a byli i tacy, którzy utrzymywali, że Cagliostro i hr. de Saint-Germain, to jedna i ta sama osobistość. Najlepiej charakteryzuje go wierszyk pod miedziorytem Devéra, zrobionym w r. 1786 według portretu Gueriniego.

L'homme dans chaque siecle a connu les prestiges;
Ce docteur que tu vois a profite des siens:
Il etudia l'homme et grand magicien,
Sur l'ignorance humaine il fondu ses prodiges.

VII.

Po pierwszej wyprawie do Włoch zajął Napoleon Bonaparte tak zwane Legacye, należące do papieskiego państwa, które się nie potrafiły obronić francuskim najeźdźcom. Traktatem z 19 lutego 1797 r. zawartym w Tolentino, okupił sobie papież Pius VI chwilę spokoju, ale musiał uznać Rzeczpospolitę francuską i oddać jej Bolonię i Romanię.

Do tak okrojonego państwa papieskiego wysłała Francya, jako swego ambasadora, brata jenerała Bonapartego, Józefa, późniejszego króla Neapolu i Hiszpanii. Józef Bonaparte przybył do Rzymu 31 sierpnia 1797 r. z żoną i siostrą i zamieszkał chwilowo w osteryi »di monsieur Pio«, w pobliżu placu hiszpańskiego. Niebawem jednak wynajął pałac Corsinich na Lungarze, w którym za dawnych czasów mieszkała królowa szwedzka.

Do otoczenia ambasadora należał Eugeniusz Beauharnais, siedmnastoletni wówczas młodzieniec, syn Józefiny, małżonki Bonapartego, i jenerał Leonard Duphot, młody, fanatyczny republikanin, literat i poeta. Jego odę »Bohaterowie ginący za wolność« śpiewało z upodobaniem wojsko francuskie. Duphot był zaręczony z siostrą małżonki Józefa Bonapartego, z Eugenią Clary, która także przyjechała w grudniu do Rzymu w towarzystwie matki. Ci Clary pochodzili z Marsylii, gdzie należeli do dawnych zamożnych kupieckich rodzin.

Jenerał Bonaparte nie miał jeszcze zamiaru podburzać ludności rzymskiej przeciw papieżowi i połączyć państwo papieskie z posiadłościami Francyi; owszem, polecił swemu bratu, aby się starał utrzymywać jak najlepsze stosunki z Watykanem i umocnić tam wpływ francuski. Bonaparte sądził, że pozyskawszy sobie papieża i jego otoczenie, potrafi osłabić nieprzyjazne wpływy monarchów przeciwnych rzeczypospolitej francuskiej.

Ale wielu Włochom, marzącym o wolności, śpieszyło się bardziej, jak Bonapartemu; chcieli jak najprędzej usunąć rządy papieskie i ogłosić rzymską rzeczpospolitę. Owi patryoci republikanie zgromadzili się wieczór 27 grudnia 1797 r. na monte Pincio i po krótkich rozprawach postanowili udać się nazajutrz do pałacu Corsinich z prośbą do francuskiego ambasadora, aby rzeczpospolita francuska wzięła ich pod opiekę, broniąc przed despotyzmem papieskim. Na czele tej deputacyi szedł notaryusz Agretti z Perugii, młody adwokat Antonio Pacifici i rzeźbiarz Cerracchi, który później spiskował przeciw Napoleonowi i padł ofiarą guillotyny.

Deputacya, uzbrojona na prędce, szła przez całe miasto, nie spotkawszy nigdzie oporu policyi, a stanąwszy przed pałacem Corsinich zaczęła krzyczeć: »Viva la republica! viva il popolo Romano!« Jeden z przywódców, Cerracchi, dostał się do samego Bonapartego i w gwałtowny sposób domagał się pomocy Francyi. Ambasador starał się go uspokoić i prosił, aby się zgromadzenie rozeszło do domów, gdyż ani jego stanowisko, ani jego instrukcye nie pozwalają mu stawać na czele sprzysiężenia. Gdy jednak te uwagi nie skutkowały i coraz więcej ludu zbierało się przed ambasadą, pojechał Bonaparte do kardynała Dorii, sekretarza stanu, aby opowiedzieć, co się stało, i prosić o skuteczną osłonę. Wróciwszy do domu, zastał gwałtowny tumult na ulicy i usłyszał strzelanie z muszkietów. Dragoni papiescy rozpędzali tłumy i po chwili zdawało się, że już wszystko skończone; ambasador siadł do obiadu. Na ponowne wystrzały zeszedł jednak na ulicę w towarzystwie jenerała Duphot i Beauharnais'ego, zaczął tłomaczyć ludowi, że nie może się spodziewać jego pomocy, i prosił, aby opuszczono pałac ambasady i ogród. Roz-

sądne słowa ginęły jednak w namiętnych okrzykach; z tłumu padły strzały do wojska, wskutek czego patrol wojskowy pod komendą dziewiętnastoletniego kaprala Marinellego dał ognia. Padło kilka trupów, a jedna kula trafiła Duphota, który się zsunął na bruk, śmiertelnie ranny. Bonaparte cudem prawie ocalał, uchodząc przez ogród do pałacu, Duphot tymczasem wydał ostatnie tchnienie.

O jedenastej wieczór zapanował spokój, patrole wojskowe rozprószyły rewolucyonistów.

W ambasadzie jednak rozgrywała się straszna tragedya. Nazajutrz z rana miał się odbyć ślub Duphota z Desirė Clary; narzeczona dowiedziawszy się o śmierci jenerała odchodziła prawie od zmysłów, obawiano się, że sobie życie odbierze. Stało się jednak inaczej; w niespełna siedm miesięcy, 16 sierpnia 1798 r., szła Desirė do ołtarza z jenerałem Bernadotte, a w kilka lat później została królową szwedzką.

Śmierć francuskiego jenerała, spowodowana kulą papieskiego kaprala, wymagałą zemsty, a właściwie była dla Dyrektoryatu pożądaną sposobnością, aby zaprowadzić w Rzymie rzeczpospolitę. Napoleon rozkazał jenerałowi Berthier, który wtedy stał w Ankonie, aby ruszył do Rzymu. W instrukcyi z dnia 11 stycznia 1798 r. polecono jenerałowi jak największy pośpiech; gdy stanie w papieskiej stolicy, ma użyć całego swego wpływu, aby tam zorganizować rzeczpospolitę, unikając jednak wszystkiego, coby na zewnątrz pozwalało się domyślać, że rząd francuski zmierza do tego celu. Obawiano się, że król neapolitański mógłby przeszkodzić wyprawie; cztery tysiące Polaków pod wodzą Dąbrowskiego i trzy tysiące wojska włoskiego miało szachować Neapolitańczyków.

Dziewiątego lutego 1798 r., w czterdzieści sześć dni po śmierci Duphota, stał Berthier ze swojem wojskiem tuż pod Rzymem, na Monte Mario. Tego samego dnia oficer francuski, poprzedzony przez trębacza, udał się przed bramę Angelica i zażądał rozmowy z komendantem zamku św. Anioła. Gdy go tam wprowadzono, oświadczył imieniem rzeczypospolitej francuskiej, że 10.000 Francuzów pod wodzą jenerała Berthier

przybyło pomścić zamordowanie jenerała Duphota i żądał oddania zamku w przeciągu trzech godzin.

Natychmiast doniesiono o tem papieżowi, a Pius VI, stary, chory, przerażony ostatnimi wypadkami, które wzburzały całą Europę, wydał rozkaz, aby pozwolono wojsku francuskiemu zająć Castel Sant' Angelo; prosił tylko o kilkogodzinną zwłokę, aby gwardya papieska mogła wyjść ze swych koszar.

Nie dość, że zajął zamek, Berthier nakładał jeszcze na Rzym kontrybucyę w sumie sześciu milionów piastrów, kazał sobie dostawić 3.000 koni, żądał dostarczenia żywności dla swej armii, rozbrojenia papieskiego wojska, wystawienia ekspiacyjnego pomnika dla jenerała Duphot i wysłania ambasady do Paryża, któraby imieniem Stolicy Apostolskiej wyraziła Dyrektoryatowi żal z powodu zamordowania francuskiego żołnierza.

Nie było rady; papież przystał na wszystko, a nadto posłał Berthierowi czterdzieści butelek najlepszego wina w podarunku.

W nocy z dziewiątego na jedenasty lutego krążyły już po Rzymie francuskie patrole, a wojsko republikańskie zajęło plac św. Piotra, Monte Cavallo, Trinità dei Monti i Ara coeli.

Tymczasem Berthier gromadził około siebie przyjaciół Francyi i mniemanej wolności, mając do pomocy agitatora Cervoniego, który znał wybornie rzymskie społeczeństwo. W połowie lutego rzymscy Jakobini zorganizowali już małe wojsko, które w pełnych mundurach zgromadziło się koło kasyna księcia Poniatowskiego, gdzie zamieszkał Berthier, i wysłało lekarza neapolitańskiego del Monaco, aby imieniem ludu żądał wolności.

— Liberté! Liberté! — wołały tłumy. Berthier usłyszał głosy, które słyszeć pragnął, i orzekł, że skoro lud żąda wolności, rzeczypospolitej, trzeba mu ją urządzić.

Nazajutrz, piętnastego lutego, chcąc »uczcić« rocznicę wyboru Piusa VI, zawieszono na fasadzie akademii francuskiej olbrzymie malowidło, przedstawiające rodzaj amazonki z odkrytem łonem, w czerwonej czapce, na Forum zaś zasadzono drzewo wolności, ustrojone chorągiewkami o kolorach

czerwonym, białym i czarnym, a przypominając dnie chwały starego Rzymu: Pharsalos, Actium i t. d., zredagowano wobec notaryuszów »Akt panującego ludu«. Jenerał Cervoni był reżyserem tej komedyi, a gdy już wszystko zostało przygotowane, wysłano deputacyę do Berthiera, aby przybył do Rzymu i objął panowanie. Do deputacyi należał także książę Sforza Cesarini.

Berthier raczył zjechać z Monte Mario; wysłańcy Jakobinów przyjęli go przy porta del Popolo, ofiarowali mu wieniec z gałązek oliwnych, a zwycięzca, który nie potrzebował wystrzelić ani jednego naboju, udał się w towarzystwie Murata i Cervoniego na Kapitol, gdzie wywołując cienie Pompejusza, Katona, Brutusa i Cycerona, oświadczył, że synowie Gallów przychodzą teraz z różdżką oliwną, aby wznieść w Rzymie ołtarze wolności.

Przemowę jenerała przyjęto z niesłychanym zapałem, »obywatele« rzucali się sobie w objęcia, całując się i zapewniając, że są braćmi. Doszło do takiej uciechy, że zaczęto tańczyć około drzewa wolności i zawierać małżeństwa wobec znaku swobody. Pierwszy pomiędzy publicznością, baron Carlo Daste, oznajmił narodowi, że pojmuje za towarzyszkę życia obecną tam młodą Klementynę Truglia, córkę byłego kapitana papieskiej armii, a za nim przystąpił cały szereg młodych par, aby się połączyć wiecznym związkiem »sotto l'albero«. Przywrócone później rządy papieskie unieważniły te śluby.

Wieczorem całe miasto było illuminowane, tłumy przeciągały ulicami, krzycząc: »Viva Roma! Viva la liberta! Viva la gran nazione!«

Jak ta wolność wyglądała, zaraz zobaczymy.

Jenerał Cervoni ogłosił wprawdzie nazajutrz z logii pałacu na Monte Citorio obywatelom rzeczypospolitej skład nowego rządu, w którym wybitni Jakobini otrzymali zyskowne posady; ale do właściwego rządu należeli tylko jenerał Berthier i dostawca wojenny Haller, dawniej bankier paryski, przyjaciel Robespierra, teraz zausznik Bonapartego i naczelnik republikańskich piratów, którzy się nazywali »Agens charges de l'argenterie des églises«. Zręczny Haller zawarł zaraz przymierze z najbogatszym bankierem w Rzymie, z Torlo-

nią, u którego nawet zamieszkał, i rozpoczął się rabunek na wielką skalę. Państwo papieskie musiało zapłacić dalsze trzy miliony piastrów, a finanse państwa w następujący sposób zostały uregulowane. Aby wycofać z obiegu papieską monetę bez wartości, tak zwane ceduły, postanowiono sprzedać dobra duchowne i zaprowadzić dobry pieniądz. Na tej operacyi miało państwo zyskać dwadzieścia milionów piastrów, nie licząc tego, co pozostanie w kieszeniach Hallera i w kasach Torlonii. Ponieważ sprzedaż dóbr kościelnych nie dała się tak prędko przeprowadzić, przeto na rachunek przyszłych zysków musiały rodziny Doriów, Borghesów, Altierich, Chigich, Colonnów, Ruspolich, Rospigliosich, Sermonetów, Braccianów, Polich i Cesarinich wypłacić rządowi zaliczkę w sumie 200.000 skudów.

Równocześnie wydawały rządy Rzeczypospolitej mnóstwo potrzebnych i niepotrzebnych rozporządzeń. Chcąc sobie pozyskać niższe klasy ludu, polecono, aby bank Monte di Pietà zwrócił właścicielom wszystkie zastawione rzeczy aż do wartości czterech skudów, zakazano służbie nosić liberyę, a panom mundury rycerskich zakonów i używać szlacheckich tytułów. Do bardzo pożądanych rozporządzeń należało zniesienie jurysdykcyi i prawa azylu, które przysłużało książętom i kardynałom.

Dziewiętnastego lutego przyszli do papieża jenerał Cervoni i komisarz Haller, prosząc go, aby się zrzekł tronu i przyjął pensyę od Rzeczypospolitej. Podobno nawet chcieli Piusowi VI przypiąć trójkolorową kokardę. Papież z powagą krótko odpowiedział, że niczego zrzec się ani przyjąć nie może. Posłowie odeszli niezadowoleni, ale nazajutrz wrócił Haller w otoczeniu żołdactwa i wezwał papieża, aby wsiadł do powozu, gdyż będzie odwieziony na razie do Syeny, a następnie do Francyi. Gdy papież prosił, aby mu ze względu na jego wiek zgrzybiały pozwolono umrzeć w Rzymie, Haller sucho odrzekł: »Vous mourrez partout«.

Zanim Pius VI zebrał się do odjazdu, zaczęto rabować wszystko, co się znajdowało w pokojach papieskich, zdjęto nawet starcowi pierścień z palca (l'anello pescatorio), a gdy papieska kareta ruszyła ku Syenie, zabrano się do rabowania

Kwirynału, willi w Castel Gandolfo, pałaców kardynała Braschiego, Yorka i Albaniego. Wreszcie pozabierano z kościołów prawie wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. To jednak nie przeszkadzało, że ludność, upojona chwilową wolnością, odbywała jakby bezustanny karnawał, a panie rzymskie korzystały z obecności oficerów francuskich, aby urządzać »festinacci«.

Siódmego lipca 1798 r. zdarzyła się podczas tych zabaw historya, o której cały Rzym sobie opowiadał. Na bal do Borghesów i Cesarinich chciała wejść grupa zamaskowanych pań i panów; gwardzista jednak, stojący przy bramie, nie wpuścił nieznajomych, gdyż nie wiedzieli hasła, otwierającego wstęp do pałacu. Zamaskowani rzucili się do drzwi, chcąc je wywalić; gwardzista dał strzał w powietrze, wzywając tem pomocy najbliższego patrolu. Patrol nadszedł, otoczył gwałtownych gości i zaprowadził na posterunek policyjny. Tam musieli gwałtownicy zdjąć maski i cóż się okazało? Oto jedna para — to książę Cesarini z pokojową swej żony »en bonne fortune«, druga — to księżna Cesarini z przyjacielem domu. Na bal u Colizzich w braku pań pospraszano znajome z ulicy. Wszak »równość« na to pozwalała.

Starzy ludzie nie mogli sobie dać rady z nową rachubą lat, ze zmianą nazw miesięcy i dni świątecznych. Jeden z abatów, piszący rodzaj pamiętnika, woła: »Addio, kalendarzu, addio, święci; niema już tygodnia, znikły niedziele, są tylko dekady, a wczoraj obchodzono święto Federacyi na placu św. Piotra. Ulica inaczej wygląda, jak dawniej; nowomodne ubiory, zamiast trójgraniastych kapeluszy zapanowały podłużne o dwóch rogach, kto może, obcina warkocz, a są tacy, którzy przybijają tę ozdobę głowy na murach kamienic, sami z siebie żartując. Komendant placu każe wyjeżdżać wszystkim cudzoziemcom, a publiczność nie pyta, jakim sposobem potrafi ludność żyć bez »stranierów«, bez ambasadorów, co będzie jadła, gdy braknie papieża i kardynałów. Wypędzają wszystkich Neapolitańczyków i to się nazywa braterstwo ludów! Drożyzna coraz większa, lud oczekuje cudów, rozchodzą się pogłoski, że Madonna w pałacu Bonacorsich otworzyła oczy; to samo miało się stać w kilku kościołach w Syenie«.

Oczywiście Haller i Cervoni w powszechnym rabunku pamiętali przedewszystkiem o sobie i o swoich przyjaciołach; przywódców zaczęło naśladować wojsko, zabierało, co mogło, zwłaszcza że żołd bardzo nieregularnie bywał wypłacany. W szeregach republikańskich zapanowało niebawem najzupełniejsze rozprzężenie, tak, że rząd francuski widział się zniewolonym wycofać z Rzymu pierwotnych »zwycięzców«, a zastąpić ich żołnierzami karnymi, umiejącymi szanować życie i mienie mieszkańców. Powołano więc jenerała Dąbrowskiego, stojącego w Rimini ze swoją polską legią, która dnia 3 maja 1798 r. stanęła na Kapitolu i przyniosła przynajmniej na chwilę trochę ulgi rzymskiemu ludowi.

Na Kapitolu zasiadał wtedy jako mer Rzymu własny nepot Piusa VI, duca Braschi, z oznakami rewolucyi na piersiach, a znękany papież powoli umierał na wygnaniu we Francyi.

Ktoś życzliwy napisał mu później nagrobek:

Pius VI in Sede magnus,
Ex Sede maior
In coelo maximus.

Na cuda, których się spodziewał lud rzymski, niedługo trzeba było czekać; kilkanaście jeszcze lat niepewności, przewrotów, czy Napoleon, czy papież, aż w r. 1814 nadeszła reakcya i przynajmniej na razie nastały dawne stosunki. Reakcya tak była gwałtowna, że usuwano nawet to, co rewolucya zrobiła dobrego. Hasłem stało się, aby wszystko przywrócić tak, jak było w »Novent-ott«, znieść, co tylko zaprowadzili Francuzi. Król Wiktor Emanuel I sardyński uważał nawet gabinet ornitologiczny, założony przez Francuzów, za dzieło szatana. Za czasów, kiedy Wiktor Emanuel bawił na wygnaniu w Cagliari, a namiestnikiem Piemontu był książę Kamil Borghese, mąż Pauliny Bonaparte, zawieszono w teatrze w Turynie przepyszny pająk. Co zrobić z tym rewolucyjnym zabytkiem, gdy król powróci, sprzedać czy pozostawić — oto było wielkie pytanie, nad którem się zastanawiała reakcya. Wreszcie niebezpieczny sprzęt został usunięty, bo przyćmiewał blask »de la couronne« królewskiej loży.

W Rzymie reakcya przyjęła za zasadę, że lata, które upłynęły po wyjeździe Piusa VI aż do powrotu Piusa VII w r. 1814 z Fontainebleau, nie istniały, że więc powinny być wykreślone z historyi; urzędnicy, zamianowani przez tymczasowe rządy, nawet najzacniejsi, zostali pozbawieni posad, małżeństwa zawarte za rzeczypospolitej uznano za nieważne.

Ząb za ząb, rewolucya za rewolucyę.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

CANOVA.

I.

Znakomity biograf Canovy, Vittorio Malamani, rozpoczyna swe opowiadanie o wielkim rzeźbiarzu bardzo miłą anegdotą. Senator wenecki, Zuan Falier, dawał na imieniny wielki obiad w willi swej, w Pradazzi, miejscowości położonej w pobliżu Asolo. Uwagę gości zwrócił skrzydlaty lew św. Marka, z masła, wyróżniający się wśród srebrnych koszów, które stół zdobiły. Zapytano gospodarza, jaki to znakomity artysta tak wybornie wymodelował ulubiony znak Wenecyan, na co senator skromnie odpowiedział, że tym rzeźbiarzem jest dziesięcioletni Tonin Canova (ur. 1757 r.), towarzysz zabaw jego syna. Goście byli ciekawi zobaczyć młodego artystę, sprowadzono go z kuchni, gdzie właśnie przebywał, zarzucono pytaniami; ale zawstydzony Tonin dawał nieśmiało odpowiedzi i był szczęśliwy, gdy obdarzony cukierkami, mógł uciec ze wspaniałej jadalni.

Tonin (Antonio) pochodził z rodziny osiadłej oddawna w Possagno; ojciec jego, kamieniarz-rzeźbiarz, zubożał i wcześnie go odumarł, a matka, Angela Zardo, wyszła po raz wtóry za mąż za Franciszka Sartori i zamieszkała w poblizkiej wiosce Crespano. Tonin pozostał przy dziadku, zwanym Pasino, który zamierzał wychować wnuka także na zwykłego kamieniarza. Ale malec wolał rzeźbić figurki, aniżeli obrabiać ka-

mienie; stary się gniewał o te artystyczne zapędy, które zdaniem jego chleba dać nie mogły. A Pasino nie był łagodnym człowiekiem, tyranizował malca, zmuszał do prostej pracy, a gdy się przypadkowo dowiedział, że Tonin cichaczem wyrzeźbił jaką figurkę i zaniósł do dworu, kijem i pięścią starał mu się wybić z głowy fantazye. Chłopiec też posmutniał, dziczał, robił się niedowierzającym, a przychodziły na niego chwile takiej rozpaczy, że chciał się rzucić z okna na podwórze.

Lew św. Marka z masła stał się dlań zbawieniem. Senator Zuan widząc, że znakomici goście tak się zachwycili talentem malca, zawołał do siebie starego Pasina, oświadczył, że szkoda, aby Tonin się zmarnował i wymógł na starym, aby go oddał na naukę do rzeźbiarskiego zakładu Torrettego, w poblizkim Pagnano. Pasino przystał z niechęcią, ale Tonin tak szybkie robił postępy w swojej sztuce, że Torretti, który miał także botegę w Wenecyi, zabrał go ze sobą do miasta i polubił jak syna. Tam zaprzyjaźnił się Tonin ze swoim kolegą, Antonim d'Este, a stosunek serdeczny dwóch rzeźbiarzy trwał aż do śmierci Canovy. D'Este był średnim talentem, ale wyrobił się na człowieka wielkiego rozsądku i hartu, więc miał bardzo korzystny wpływ na Canovę, którego charakter miękki i marzycielski nie zawsze odpowiadał potrzebom życia.

Patrycyusz Filippo Farsetti, idąc za duchem czasu, zebrał znaczną galeryę odlewów gipsowych według starożytnych rzeźb; dwaj młodzieńcy korzystali więc z każdej wolnej chwili, aby studyować te wzory, a wieczorem rysowali w »Accademii del nudo« żywe modele.

Niebawem jednak Torretti umarł, a jego następca, Giovanni Ferrari, nie cieszył się dobrą sławą; Canova wystąpił więc z botegi z wiedzą swego protektora Faliera i zaczął pracować na własną rękę. Aby wesprzeć młodzieńca, zamówił u niego Falier dwa posągi naturalnej wielkości, przedstawiające Orfeusza i Eurydykę, które miały być ustawione na schodach jego pałacu.

Uszczęśliwiony rzeźbiarz udał się do Possagno, gdzie mógł się urządzić w domu starego Pasina, i zabrał ze sobą przyjaciela, Antonia d'Este, do pomocy. Ale zaraz na początku

napotkał na wielką trudność; nie można było dostać modelki, którąby pozowała jako Eurydyce; na samą myśl, że wiejska dziewczyna miałaby się obnażyć przed siedemnastoletnim młodzieńcem, robił Pasino znak krzyża świętego z przerażenia i sądził, że się w całej wsi nie znajdzie taka grzesznica. Wiejski światowiec, Giambattista Biasi, lepiej znał wszakże kobiety w Possagno i bez wielkich trudności znalazł dziewczynę o pięknych kształtach, która się ofiarowała poświęcić dla sztuki. Pasino zaledwie temu chciał wierzyć i miał tyle skrupułów z powodu, że pod jego dachem mogłyby się odbywać takie bezeceństwa, że poszedł na radę do księdza proboszcza, co począć. Proboszcz, bardziej wolnomyślny, sądził, że można pozwolić, aby dziewczyna pozowała Canovie, pod warunkiem, że podczas modelowania Biasi i d'Este będą zawsze przytomni. Ksiądz proboszcz dał nadto radę, aby Canova dla oddalenia jakichś zbyt świeckich myśli napisał na postumencie do rzeźbionej figury słowa: »Memento mori« i często na nie spoglądał.

Tak się też stało; dziewczyna musiała pozować artyście wobec dwóch świadków, ale »Memento mori«, jak się zdaje, nie na wiele się przydało, bo owa wiejska modelka była pierwszą miłością Canovy.

Gdy grupa została ukończoną, wszyscy byli zadowoleni: i stary Pasino i ksiądz proboszcz, tylko modelka rzewnemi łzami żegnała rozpoczęte posągi, gdyż Canova wywiózł je do Wenecyi, aby tam wygładzić swe dzieło. Trzy lata poświęcił tej pracy, ale mógł być dumnym, bo statuy Orfeusz i Eurydyce, wystawione podczas Sensy, podczas jarmarku »Wniebowstąpienia«, wzbudzały powszechny podziw i przysporzyły mu kilka zamówień.

Najważniejszą pracę powierzył mu prokurator Vittor Pisani, grupę naturalnej wielkości, z marmuru, mającą przedstawiać »Ikara i Dedala«. Grupa ta, znajdująca się po dziś dzień w weneckiej galeryi, była wystawioną na Sensy w r. 1779 i przyczyniła się do rozgłosu młodego artysty. Po odtrąceniu kosztów pozostało Canovie sto cekinów, a skromna ta suma posłużyła mu do wykonania dawnego marzenia o rzymskiej

podróży, upragnionej tem bardziej, że tam przebywał już od dwóch lat przyjaciel Antonio d'Este.

We wrześniu więc r. 1779 wybrał się Canova w towarzystwie dwóch jeszcze przyjaciół, weneckiego budowniczego, nazwiskiem Selva, i francuskiego malarza, Fontain'a, do wiecznego miasta. Miał list polecający do ambasadora Rzeczypospolitej przy stolicy papieskiej, do Girolama Zulian, który go przyjął nadzwyczaj życzliwie, ofiarował mu mieszkanie, wikt i pracownię w pałacu ambasady.

Młody artysta tak się podobał dygnitarzowi, że Zulian obiecał mu się wystarać u senatu Rzeczypospolitej o pensyę dwudziestu pięciu dukatów miesięcznie na lat trzy, aby tylko mógł bez troski o codzienne potrzeby pracować nad rozwojem swego talentu. Uszczęśliwiony Canova napisał zaraz do Wenecyi, aby mu przesłano odlew »Ikara i Dedala«, a tymczasem pojechał zwiedzić Neapol.

W grudniu r. 1780 powrócił do Rzymu na stały pobyt, a widując się codziennie z d'Estem, który tam pracował u jednego z francuskich rzeźbiarzy, poznał się z kilkoma ludźmi, którzy po trochu wpłynęli na jego losy. Do nich należał Gawin Hamilton, o którym jużeśmy mówili, zapalony zwolennik starożytnej sztuki. Ten Szkot, wykształcony i rzetelny przyjaciel Canovy, wywierał z czasem za wielki wpływ na niego, trochę szkodliwy dla samoistności talentu rzeźbiarza. Przeciwnie, abate Giuseppe Foschi, uczony literat, poznawszy braki, jakie istniały w wykształceniu Wenecyanina, nie szczędził mu swej pomocy w tym względzie, ucząc go po angielsku i po francusku i zapoznając z historyą.

Pomiędzy rzeźbiarzami rzymskimi był niejaki Angelini, bardzo mierny artysta, który się niepokoił Wenecyaninem, a to z obawy współzawodnictwa. Gdy grupa »Ikara« po dłuższem oczekiwaniu przybyła do Rzymu, ambasador Zulian kazał ją ustawić w pałacu i zwołał znawców, aby wydali o niej swe zdanie. Pomiędzy owymi sędziami był Hamilton, miedziorytnik Volpato, Angelini i kilku innych. Angelini miał ochotę odrazu zmiażdżyć weneckiego intruza swoją krytyką, Volpato nie bardzo śmiał coś stanowczego orzec; więc Hamilton, który już uchodził za powagę w ocenianiu dzieł sztuki,

pierwszy wystąpił z swoją opinią. Nie była ona zupełnie przychylna Canovie, gdyż Hamilton utrzymywał, że dziełu młodego rzeźbiarza brak stylu, ale że stylu może się w Rzymie nauczyć od greckich mistrzów. W Wenecyi nie miał sposobności poznać dokładnie starożytnej rzeźby, za nadto wiernie trzymał się natury, postępując według zasad, jakie panują w jego ojczyźnie; w Rzymie będzie miał sposobność głębiej wniknąć w ducha greckich mistrzów. Hamilton prosił więc ambasadora, aby dał Canovie kawał marmuru do rozporządzenia, a tutaj będzie rzeźbił pod innym wpływem, anizeli w Wenecyi. Pobity Angelini mścił się na Canovie, rozgłaszając, że ten cudzoziemiec w swej zarozumiałości chce uczyć Rzymian rozumu.

Zdanie Hamiltona trafiało do przekonania ambasadora, który do tego stopnia zostawał pod wrażeniem greckiej sztuki, że radził Canovie, aby rzeźbiąc, odtwarzał tylko dzieła starożytnych. Taka rada obraziła młodego mistrza, który słusznie utrzymywał, że niewolnicze kopiowanie niszczy samodzielność talentu, i sądził, że należy się radzić starożytnych, ale ich nie naśladować.

Otrzymawszy kawał marmuru od ambasadora, wybrał sobie Canova za temat »Tezeusza z Minotaurem« i wziął się z zapałem do dzieła.

Gdy grupa prawie już była skończona, wszedł do pracowni Canovy starszy, poważny mężczyzna, aby oglądać Tezeusza. Zaledwie się jednak rozglądnął po pracowni, zapytał z rozciekawieniem:

— A kto robił »Ikara i Dedala?«

— To moja praca — skromnie odpowiedział Canova.

— Dlaczegoż zmieniłeś styl w Tezeuszu i wstępujesz na drogę, która cię oddala od prawdy, od natury. Słuchaj, przyjacielu, jeżeli Ikar jest rzeczywiście twojem dziełem, poślę cię do Paryża, a zrobisz fortunę.

Powiedział i wyszedł, zostawiając młodego rzeźbiarza w zamyśleniu.

Poważnym gościem był malarz Ludwig Legrenèe, dyrektor Akademii francuskiej w Rzymie.

Te odwiedziny stały się epoką w życiu Canovy. Gdyby

był szedł za własnym popędem, byłby posłuchał Francuza i stał się twórcą nowej epoki rzeźbiarstwa; ale otoczenie, a przedewszystkiem Hamilton, odwiódł go od prawdziwej drogi, przekonał swoją erudycyą, że obok greckiej nie może być innej rzeźby.

Stary Pasino tyrańskiem obchodzeniem się ze swym wnukiem zabił w nim energię woli; talentu wprawdzie zabić nie potrafił, ale Canova, z natury łagodny, pełen zapału do sztuki, stał się nieśmiałym, łatwo ulegającym cudzemu wpływowi, a Gawin Hamilton, wyższy od niego wykształceniem, stał się jego złym duchem. Zresztą i sam ambasador wenecki nie miał dobrego wpływu na młodzieńca, nie zbyt wiele bowiem rozumiejąc się na prądach artystycznych, wierzył tylko w to, w co wówczas wierzyli Batoni, Rafael Mengs, Winckelmann i cały zastęp rzymskich archeologów i antykwarzy.

II.

Canova nie lubił bywać na ambasadorskich wieczorach i obiadach, które go onieśmielały do reszty i odrywały od pracy, ale oddalony od rodziny pragnął jakiej znajomości, którąby mu choć w części mogła zastąpić ciepło domowego ogniska. Przygarnęła go do siebie rodzina miedziorytnika Giovanniego Volpato, gdzie było tem milej, że córka domu, Domenica, należała do rzymskich piękności. Wkrótce też zakochał się w pannie, a dobrze przyjmowany, co wieczór, we dwie godziny po Ave Maria przychodził tam na wieczerzę. Panna zachęcała go swojemi spojrzeniami i całem zachowaniem się; Canova oświadczył się rodzicom o jej rękę i został przyjęty. W domu Volpata panowały surowe, staroświeckie zwyczaje; narzeczonemu nie wolno było siadać przy stole obok Domeniki, wyznaczono mu miejsce naprzeciwko. Ale tego młodzieńcowi było za mało; więc przynajmniej pod stołem, nogą chciał dawać znaki narzeczonej, że całem sercem ją kocha. Razu pewnego ów telegraf Amora sprowadził katastrofę: Canova stracił równowagę i wraz z krzesłem się przewrócił. Stary Volpato spostrzegł, jaki był powód tego upadku;

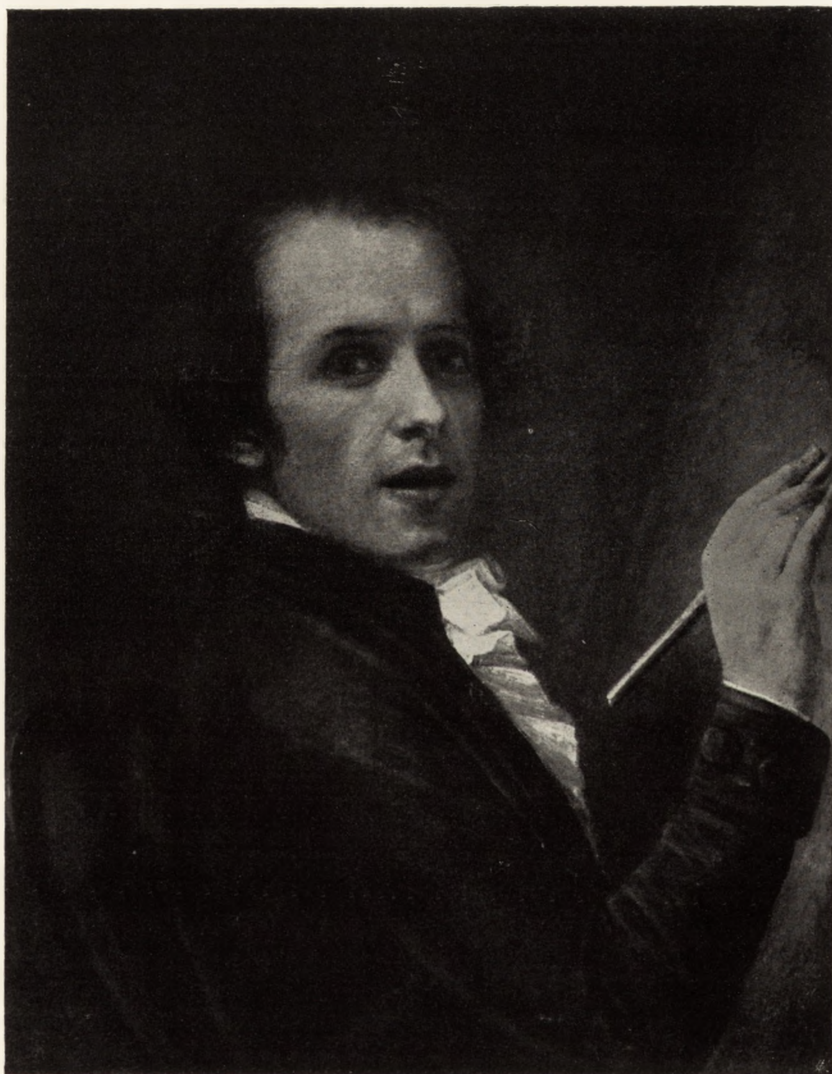
ale udając nieświadomość, tylko żartobliwie zapytał rzeźbiarza, czy nie słaby; panna się uśmiechnęła i nie bardzo ją jakoś cała rzecz obeszła, a Canova spostrzegał, że im bardziej się zbliżał dzień ślubu, tem się stawała dlań oziębłejszą. Zwierzył się z tem najlepszemu swemu przyjacielowi d'Estemu, który jako starszy i doświadczeńszy wpadł na domysł, że Domenika musi być kim innym zajęta. Przyjaciele Canovy zaczęli ją śledzić i przekonali się, że Domenika dawała przez okno jakieś znaki Rafaelowi Morghen, miedziorytnikowi, który mieszkał naprzeciwko. Gdy zaś naiwny Canova, nie chciał w to wierzyć, podsunęli mu myśl, jak się sam może przekonać, że ich spostrzeżenia są prawdziwe. Rzecz urządzono w ten sposób. Canova namówił roznosiciela pieczywa, aby go zaniósł, około pierwszej w nocy, w swym koszu, przykrytym tylko lekkiem wiekiem na róg Via della Croce i Via Barazzi, dzisiaj Bocca di Leone, pod mieszkanie Volpatów i tam na chwilę postawił. Tak się stało; nasz Wenecyanin nie długo czekał w swem ukryciu, gdy usłyszał w oknie rozmowę, w której poznał głos swojej Domeniki.

— Nie mamy dużo czasu do stracenia — odezwał się głos męski — wkrótce musisz wyjść za mąż za Canovę, a wtedy wszystko się skończy.

— To prawda — odpowiedziała Domenica — tem bardziej, że idąc za niego, uczynię jedynie tylko zadość woli mojego ojca; nie kocham Canovy.

Nasz artysta miał dowód dostateczny; ze zbolałem sercem napisał nazajutrz do Volpata, iż ma przekonanie, że jego córka kocha innego, i że wobec tego cofa swoje słowo. Rodzina panny starała się jeszcze rzecz nawiązać, ale Canova nie dał się już nawrócić. A zawód ten tak dalece go zabolał, że postanowił się nie żenić, a jeżeliby samotnie żyć nie potrafił, pojąć żonę w dojrzalszych latach, aby mógł spokojnie oddać się sztuce.

Wkrótce też wynajął większą pracownię, urządził dom i sprowadził ciotkę z Possagno, aby mu prowadziła gospodarstwo. Ciotka jednak nie mogła znieść rzymskiego klimatu i musiała powrócić do ojczyzny. Ale na szczęście zdarzyło się, że małżonkowie Girolamo i Luigia Giuli Boccolini szukali



Canova.

Własny portret w Uffizi.

Do str. 441.

spokojnego zajęcia. Canova ugodził się z nimi i miał na całe życie w Luigii prawdziwy skarb, kobietę, która pamiętała o jego potrzebach i starała się, aby mógł spokojnie myśleć o sztuce.

Sława Canovy coraz bardziej rosła. Volpato został mu na zawsze przyjacielem i gdy powstała myśl wykonania pomnika dla Klemensa XIV, niedoszły teść Canovy i Gawin Hamilton poradzili monsignorowi Giorgi, fundatorowi tego wielkiego rzeźbiarskiego dzieła, aby je powierzył Wenecyaninowi. Ale grobowiec wymagał dużych wkładów na marmury i robotników, a młody rzeźbiarz nie miał potrzebnych funduszów. Wtedy Luigia, nie mówiąc o tem artyście, sprzedała swoje skromne klejnoty i ofiarowała pieniądze Canovie. Luigia, rodem z Ravenny, była niepospolitą kobietą, rzec można, opatrznością dla zatopionego w swych artystycznych ideałach Canovy. Posiadała nawet, jak na mieszczankę, dość duże wykształcenie i umiała trochę malować, tak, że kilka razy portretowała swego mistrza.

Pomnik Ganganellego został ustawiony w kościele S. S. Apostoli, a obok pochwał obudził zazdrość pomiędzy rzymskimi artystami. Canova nie był wszakże zadowolony ze swego dzieła i powiedział do jednego ze swoich przyjaciół: »Widzę, że jeszcze mam długą drogę przed sobą, aby dojść do celu«.

Po pomniku Klemensa XIV nastąpiło zamówienie grobowca dla Klemensa XIII, który miał zdobić bazylikę św. Piotra. Don Abbondio Rezzonico był fundatorem. Rzymscy artyści podnieśli okrzyk oburzenia, że ten »Venezianello« poważył się wejść do przybytku największych mistrzów.

Gdy Canova rozpoczął to dzieło, miał oszczędzonych cztery tysiące skudów, z których utrzymywał matkę na wsi i przyrodniego brata, Giambattistę Sartori, w seminaryum w Padwie. Trzy tysiące pięćset skudów miał złożonych u notaryusza Boni'ego, pięćset u jednego z krewnych. Obydwaj sprzeniewierzyli te depozyty i Canova znalazł się znowu bez funduszów wobec rozpoczętego już tak wielkiego dzieła, jak grobowiec Rezzonica. Pracował więc bez wytchnienia, robił tymczasem rzeczy mniejsze, a pomiędzy innemi piękną Psy-

chę, znajdującą się obecnie w Anglii, i Adonisa, którego Venus uwieńcza, ale nie spuszczał z oka papieskiego grobowca.

Nareszcie po tylu troskach, po tylu wysileniach nastąpił tryumf. W Wielki Piątek 1792 wszedł Pius VI z całym swoim dworem, aby zobaczyć w bazylice św. Piotra odsłonięte dzieło i zawołał: »Bello! bello!« Osobliwie poważna i w rysunku niesłychanie udana postać klęczącego papieża nadzwyczajnie się podobała. Wprawdzie entuzyaści greczyzny krytykowali tę postać, że za nadto wzięta z natury, ale nie mogli zbyt tryumfować, bo w tej postaci była linia, była harmonia.

Podczas gdy w ów Wielki Piątek cały Rzym podążał do bazyliki św. Piotra, aby oglądać pomnikowe dzieło, Canova, nie wierząc w pochwały swych przyjaciół, zniknął im z oczu: chciał wiedzieć, co mówi publiczność o jego pracy. Przebrał się więc do niepoznania za zubożałego księdza, włożył na głowę starą, wyżółkłą perukę, wdział wyszarzaną sutannę, umalował twarz, wziął nawet kawałek chleba do ust, aby zmienić kształt swej twarzy i chodził po kościele, aby słyszeć prawdę. Zmienił się w przebraniu tak bardzo i wyglądał tak podejrzanie, że gdy w tłumie zbliżył się do księcia Rezzonico, senator szybko chwycił się za kieszeń z obawy, aby mu ten włóczęga nie wyciągnął sakiewki.

Gwałtowna jednak praca nad grobowcami dwóch papieży, wzruszenia, które przeszedł, tak podkopały zdrowie Canovy, że musiał odpocząć, odetchnąć. Z drogim sercu przyjacielem Estem pojechał więc do Wenecyi, gdzie go czekały przyjęcia, jakich od dawna nie doznał żaden Wenecyanin. Ubiegano się, aby mu ofiarować gościnę; stary senator Falier, Valentino Francesconi, zwany Florianem, właściciel do dziś dnia istniejącej kawiarni, zapraszali go do siebie w gościnę. Canova zamieszkał u Faliera, dla którego miał obowiązki wdzięczności. Uczty, obiady, akademie muzyczne, przedstawienia w teatrach, urządzane na cześć znakomitego gościa, tak zmęczyły artystę, że po miesiącu tych przyjemności odjechał z Estem do Possagno, sądząc, że tam znajdzie prawdziwy odpoczynek. Ale Possagno było dumne ze swego syna

gdy się tam zbliżał, drogi były wysłane kwiatami i mirtem, dziewczęta w świątecznych strojach obsypywały go różami, a okrzyki: »Viva Canova! viva il nostro compaesano!« nie ustawały przez całą drogę. Co więcej, dzwony w wiejskich kościółkach biły, jak gdyby sam papież przyjeżdżał, a w Possagno na rynku zasłanym kwiatami przyjmowało go duchowieństwo i władze gminne. Od tej chwili dowiedziała się Europa, że jest miejscowość tego nazwiska, a na włoskich mapach napisano: »Possagno patria del Canova«.

Nareszcie jednak mieścina wróciła do zwykłego spokoju i Canova mógł wypocząć, oddychając czystem, górskiem powietrzem. W czerwcu zabrał się do powrotu. Tymczasem wypróżniła się jednak kasa młodych artystów; w Vicenzy, w Veronie, w Mantui, w Bolonii przyjmowano ich z wielkimi honorami, gdy wszakże przyszło opuścić Bolonię, zapytał rozsądny Este przyjaciela: »A czy masz jeszcze pieniądze?« »Nie mam, brzmiała odpowiedź, idź, zastaw nasze zegarki. Może nie wiesz, że Michała Anioła spotkała w Bolonii ta sama przygoda; gdy wracał jako wygnaniec z Wenecyi do Florencyi, nie miał ani solda, aby zapłacić »kopytkowe« u bramy miasta. Musiał się udać do Aldovrandego, aby go wykupił«.

Pocieszywszy się przygodą Michała Anioła i zastawiwszy zegarki, dojechali przyjaciele szczęśliwie do Rzymu, gdzie ich z upragnieniem oczekiwała Luigia i witał Hamilton.

W Rzymie coraz to więcej otrzymywał Canova zamówień na rzeźby, osobliwie od Anglików. Pomiędzy wyspiarzami bawił wówczas w stolicy papieskiej biskup Bristol, człowiek zamożny, ale bardzo skąpy. Zaprosił on raz Canovę na obiad, a pomiędzy gośćmi był i Gawin Hamilton. W rozmowie zauważył gospodarz po angielsku, zwracając się do Hamiltona, żeby chętnie nabył jaką rzeźbę Canovy, ale ten młody artysta bardzo drogo ceni swoją pracę. Canova usłyszał te słowa, zwrócił uwagę biskupa, że rozumie język angielski, a gdy Anglik się trochę zmieszał, prosił go rzeźbiarz, aby się uspokoił, bo póki życia, nie będzie miał ani palca jego roboty. Nieprzyjemne zajście załagodzili przyjaciele domu, a nawet niebawem Hamilton starał się nabyć jakieś dzieło

Canovy dla Bristola; ale rzeźbiarz był nieugięty i nic Anglikowi nie sprzedał.

Zresztą Canova mógł się już drożyć i żądać wysokich cen za swoje prace. Sława jego doszła aż do Petersburga i Katarzyna II starała się go sprowadzić do swej stolicy; artysta jednak nie pojechał na Północ, szanował przedewszystkiem wolność i bał się dworskich intryg i ceremonii. Rzym polubił, a w miarę powodzenia zrzucał z siebie melancholijne usposobienie, a nawet bywał wesołym w towarzystwie przyjaciół. Ponieważ całymi dniami pracował i nie miał czasu na czytanie, więc często ten lub ów z przyjaciół czytał mu jakąś książkę, gdy on gładził gips lub glinę. Razu pewnego czytano mu Ridolfiego żywoty malarzy, a mianowicie rozdział o Giorgionie, gdzie autor opowiada, że Giorgione zrobił własny portret i że obraz ten dostał się do rodziny Widmanów. To mu nasunęło myśl, aby okazać nieuctwo rzekomych wielkich znawców sztuki w Rzymie. Poprosił Esta, aby mu wyszukał jaki stary obraz z XVI wieku bez wartości, a otrzymawszy taką deskę, namalował na niej w wolnych chwilach głowę Giorgiona w ten sposób, że obraz rzeczywiście robił wrażenie pędzla wielkiego artysty. W całą sprawę wtajemniczył senatora Rezzonika i prosił go, aby rozpuścił wiadomość, że jego siostrzeńcy Widmany w Wenecyi znaleźli ów portret, o którem wspomina Ridolfi, i że go przyślą niebawem do Rzymu. Rzecz się wybornie udała; po śniadaniu danem u Rezzonika dla artystów, na którem byli i tacy znawcy, jak Hamilton, Volpato, Angelika Kaufmann, Cavaleucci i inni, wniesiono obraz. »Oczywiście Giorgione, Giorgionissimo!« — zawołali artyści prawie jednogłośnie — »jaki rysunek, jakie barwy!« Jeden tylko Burri zauważył, że prawe oko nie dobrze odrestaurowane, na co Angelika Kauffmann z oburzeniem odpowiedziała: »Chciałabym umieć tak restaurować!« Cavalier de Rossi, dyrektor portugalskiej szkoły malarskiej, prosił księcia, aby pozwolił zrobić kopię tego arcydzieła, celem posłania jej do Lisbony. Jeden tylko Canova oświadczył, że się nie rozumie na obrazach, że przeto nie może wydać swego sądu.

Nasz Wenecyanin tworzył tymczasem coraz to nowe

arcydzieła: prześliczną grupę Amora, podającego motyla swej towarzyszce Psyche, grupę, która się znajduje w Luwrze, i drugą podobną, może mniej udaną kompozycyę, będącą obecnie w Eremitażu. W tym samym czasie powstała grupa skrzydlatego Amora i leżącej Psyche, jedno z najbardziej znanych i najbardziej podziwianych dzieł Canovy, którego wyborna kopia Adama Tadoliniego znajduje się w willi Carlotta w Candenabii. Ciężki marmur zdaje się tutaj ulatywać w powietrze, nieopisany wdzięk rozlany na tych dwóch postaciach. Zrazu zwolennicy klasycznej sztuki surowo krytykowali to odbiegnięcie od pięknych linii greckich, ale publiczność zagłuszyła sarkania pedantów, a Canova co chwilę dostawał zamówienia na kopie tej grupy, którym nie chciał i nie mógł uczynić zadość.

Gdy tylko nowe jakie dzieło wyszło z jego pracowni, zaraz udawano się do mistrza o duplikat. Zaledwie dla księżnej Lubomirskiej ukończył skrzydlatego Amora, a już książę Jussupoff z Petersburga pragnął mieć takiego samego boga miłości. Łatwość Canovy w modelowaniu stawała się zadziwiającą, równała się chyba jego pracowitości. Ba, nawet, gdy burza rewolucyi francuskiej zbliżała się do Rzymu, artysta jeszcze pracował; tworzenie stało się dlań koniecznością życia.

III.

Drugiego lutego 1798 r. armia francuska zajęła Rzym. Canova bolał nad losem swojej ojczyzny, nad losem papieża, którego poważał. W czyste zamiary Francyi wobec Włoch nie wierzył, pomimo że Francuzi szczególne mieli dla niego względy, jako dla wielkiego artysty, i zamianowali go członkiem narodowego instytutu artystycznego. Gdy go zaproszono na otwarcie instytutu, wziął wprawdzie udział w tej uroczystości, aby nie zaszkodzić dziełu, które mogło być pożyteczne, ale gdy mu kazano złożyć przysięgę według republikańskiej formuły na wieczną nienawiść monarchii, zerwał się i zawołał: »Mi no odio nissun!« — »Niema nikogo, kogobym nienawidził«, i wyszedł z sali. Poczem zażądał paszportu, zabrał

Giulę, polecił swe sprawy Estemu i wyjechał z Rzymu do Wenecyi i do swego rodzinnego Possagno.

Wenecya już należała do Austryi, Canova starał się u gubernatora, aby mu przywrócono wypłatę dożywotniej pensyi, uchwalonej jeszcze za rządów Rzeczypospolitej weneckiej, którą mu jednak odebrali Francuzi. Gubernator skorzystał ze sposobności, aby takiego artystę, jak Canova pozyskać dla Wiednia; namówił go, aby się udał osobiście do ministerstwa, bez którego on tej sprawy załatwić nie może, a miał przekonanie, że artysta będzie miał tyle zamówień w stolicy Austryi, że tam pozostanie. Tej wiedeńskiej podróży (1798 r.) Canovy, zawdzięcza Wiedeń grobowiec Maryi Krystyny, siostry Maryi Antoinetty, w kościele Augustyanów, wykonany według planów do mauzoleum Tycyana. Przed kilkoma laty powziął bowiem patrycyusz Zulian zamiar, aby Canova uwiecznił pamięć wielkiego mistrza marmurowym pomnikiem; ale dzieło nie zostało na razie wykonane z powodu śmierci Zuliana. Mistrz zastosował więc odpowiednio zmieniony plan do pomnika u Augustyanów.

W Wiedniu nie czuł się Canova swobodnym; zabawił tam niespełna dwa miesiące i na Monachium powrócił do Wenecyi, gdzie całą zimę pozostał i co dziwna, bywał nawet w liczniejszych towarzystwach, a mianowicie na zebraniach u słynnej Izabelli Teotochi Albrizzi i u Giustyny Renier Michiel.

Gdy w r. 1799 nadeszły wiadomości, że Ferdynand IV, król neapolitański, zajął Rzym i zdawało się, że nastaną spokojne czasy, mistrz nasz wrócił do stolicy papieskiej i wtedy wykonał jedno z najwdzięczniejszych swoich dzieł, boginię Hebe, którą musiał kilka razy powtarzać z małemi zmianami w szczegółach. Rządy neapolitańskie nie trwały długo; w lipcu 1800 roku nowy papież Pius VII przybył do Rzymu, a ponieważ otoczenie przedstawiło mu Canovę jako Jakobina, więc artysta, nie chcąc się narzucać, nie prosił nawet przez jakiś czas o posłuchanie. Ale miał już wtedy w swym domu przyrodniego brata, Giambattistę Sartorego, który jako duchowny opuścił seminaryum w Padwie. Abate rad był oczywiście zyskać sobie protekcyę w Watykanie z pomocą brata;

więc tak długo nudził Canovę, dopóki go nie wyprawił do papieża na audyencyę.

Canova zrobił na Piusie VII jak najlepsze wrażenie, tak, że papież pożegnawszy go, wyraził się z pewnym wyrzutem do swego otoczenia: »Przecież ten Canova bynajmniej nie jest Jakobinem, jak mi go przedstawiono; już sama twarz świadczy o poczciwości«. — »E un brav' uomo, assolutamente brav' uomo«.

Odtąd stał się nasz artysta doradcą Stolicy Apostolskiej w rzeczach sztuki. Papież nabył od niego dla muzeum Pio-Clementino statuę Perseusza, tak podobną do Apollina belwederskiego, że właściwie trudno orzec, która z nich piękniejsza; ale Canova dał się porwać już zupełnie prądowi klasycznemu i tylko czasami przypominał sobie jeszcze swoje realistyczne początki. Replikę Perseusza nabyła w roku 1806 hrabina Tarnowska. Canova, uznany już teraz za współzawodnika greckich rzeźbiarzy, wykonał znowu »Gladyatorów«, znajdujących się w muzeum watykańskiem, którzy wraz z Perseuszem prawie przenoszą widza w czasy starożytnej rzeźby.

Napoleon, wtedy pierwszy konsul, idący już pewnymi krokami ku cesarskiemu tronowi, zapragnął mieć Canovę w Paryżu i jak był we wszystkiem żądny bezzwłocznego posłuszeństwa, tak i w tym razie chciał sprowadzić mistrza zaraz, bez zwłoki. Ambasador francuski, Franciszek Cacault, mając bardzo energiczne polecenia, wezwał do siebie Canovę i zaprosił go do Paryża, celem zrobienia portretu, a następnie posągu pierwszego konsula. Artysta się opierał, mówiąc, że zdrowie jego nie zniesie tak dalekiej podróży, że zima się zbliża, i prosił przynajmniej o odroczenie projektu. Najważniejszym powodem jego oporu była niechęć rzeźbienia posągu nieprzyjaciela Włoch, człowieka, który ujarzmił jego najukochańszą Wenecyę. Canova odpowiedział wprost, że »jego dłuto jest wolne i nie podlega nikomu...« Ale p. Cacault udał się do papieża i do wszechmocnego kardynała Consalvi, aby skłonili rzeźbiarza do spełnienia woli Bonapartego. Papieżowi bardzo zależało na dogodzeniu konsulowi, gdyż wtedy stosunki pomiędzy Rzymem a Paryżem były wcale znośne.

Consalvi pojechał więc sam do Canovy, aby mu rzecz przedstawić; artysta się rozpłakał, mówiąc, że nie może działać przeciw swemu przekonaniu, że choćby nawet starał się zrobić posąg Bonapartego, rzeźbiłby go z niechęcią i wstrętem i dzieło nie miałoby ani duszy, ani poezyi; robiąc je, zdradziłby sam siebie.

Kardynał odjechał niezadowolony, ale ujęty piękną duszą artysty. Cacault się jednak nie zraził tą odmową. Późno już w nocy posłał sekretarza ambasady, pana Artaud, do Canovy, aby mu rzecz jeszcze raz przedstawił, gdyż kuryer do Paryża odjeżdżał nazajutrz i trzeba było dać stanowczą odpowiedź pierwszemu konsulowi. Francuski dyplomata znał dobrze artystę, jego dobroć, wrażliwość i przywiązanie do ojczyzny. Kazał więc panu Artaud uderzyć w najtkliwsze struny, kazał powiedzieć, że Canova, który tyle zawdzięcza Rzymowi, nie może przecież ściągać gniewu potężnego konsula na miasto i na papieża, i gdyby nie zechciał uczynić zadość jego woli, wyrządziłby ciężką szkodę swej ojczyźnie. Szczwany dyplomata chciał wyzyskać także i sentymentalizm artysty. Polecił mu przypomnieć, że ambasador ma obowiązki wdzięczności wobec Canovy i z tego powodu szczerą mu daje radę. Gdy przed laty kilkunastu brat Cacaulta, początkujący malarz, popadł w Rzymie prawie w nędzę, Canova mu dopomógł i wyratował z biedy; teraz ambasador radby przynajmniej w części odpłacić jego dobroć.

Gdy Artaud przyszedł z tem posłannictwem do Canovy, artysta już był w łóżku, ale nie spał, rozmyślając jeszcze nad odwiedzinami kardynała. Pełen niepokoju wysłuchał p. Artaud, który chcąc go ująć, potrafił jeszcze wtrącić do rozmowy anegdotę, świadczącą, jak wysoko pierwszy konsul ceni artystów. Gdy bowiem podczas pobytu Bonapartego w Egipcie wykopano w jego obecności jakiś piękny starożytny posąg, zawołał: »Gdybym nie był zdobywcą, chciałbym być rzeźbiarzem!«

Na to Canovie łzy stanęły w oczach i odrzekł krótko, że pojedzie do Paryża.

Pomimo słabego zdrowia odbył podróż szczęśliwie; Bonaparte przyjął go z wielką życzliwością, a gdy Canova się



Canova. Ikar i Dedal, grupa marmurowa w weneckiej Akademii.

Do str. 449.

zapytał, w jakiej pozie i w jakim stroju ma go rzeźbić, pierwszy konsul odpowiedział, że geniuszom nie daje się przepisów. Na co Canova zauważył, że Bonaparte ma głowę jakby ze starożytnego posągu.

Pierwszy konsul tak był nieustannie zajęty sprawami państwa, że Canova mógł na nim wymódz zaledwie pięć posiedzeń. Józefina była przytomną pracy artysty, a Bonaparte tak go polubił, że go wypytywał o stosunki włoskie i pozwolił mówić o wszystkiem, z całą otwartością. Artysta też korzystał z tej uprzejmości i skarżył się, że przez całe życie nie przeboleje zniesienia Rzeczypospolitej weneckiej. Bonaparte słuchał, ale nic nie odpowiadał. Chciał artystę koniecznie zatrzymać w Paryżu, ale Canova nie dał się do tego nakłonić, a skończywszy popiersie pierwszego konsula z gipsu, wrócił do Rzymu, gdzie go przyjaciele oczekiwali z upragnieniem. Pomiędzy nimi nie było już Gawina Hamiltona, który umarł w r. 1797.

Zamówienia napływały ciągle, Canova nie mógł im nastarczyć. Zgłosiła się także hrabina d'Albany, życząc sobie, aby mistrz wykonał grobowiec dla Alfierego, który chciała umieścić w jednym z kościołów we Florencyi. Mistrz na razie odmówił, będąc zanadto zajętym innemi pracami; ale hrabina poruszyła cały Rzym, udała się do kardynała Consalviego, aby skłonił artystę do wykonania nagrobka, tak, że nareszcie Canova podjął się tego dzieła. Ale hrabina była oszczędna, wymagała dużo, a ofiarowała tylko 12.000 skudów, »ani solda więcej«. Canova zrobił szkic do płaskorzeźby przedstawiającej dwie kobiece postaci: »Tragedyę« i »Italię«, płaczące nad podobizną poety. Ale to nie wystarczało hrabinie, chciała mieć postacie »in tondo« i zaczęła dość nieprzyjemnie krytykować gotowy już model. Canova trochę się obraził tonem jej listu i odpowiedział, że jeżeli sobie życzy mieć inny model, to musi zaczekać, gdyż jest zajęty innemi pracami.

Tymczasem musiał się artysta udać do Wiednia, aby ustawić pomnik Maryi Krystyny u Augustyanów i zawieźć popiersie Franciszka II, o które toczył się przez dłuższy czas spór pomiędzy dworem wiedeńskim a Canovą. We Wiedniu życzono sobie, aby cesarz był ubrany w mundurze z orde-

rami i wstęgami, artysta zaś chciał go mieć po rzymsku »all'eroica«, sądząc, że jeżeli go ubierze w strój nowoczesny, to będą mieli »brzydactwo«. Ostatecznie zgodzono się na to, aby z Franciszka II zrobić Rzymianina, podobnego z twarzy do cesarza. Monument Krystyny został odsłonięty w październiku 1805 r. i zyskał powszechne pochwały z wyjątkiem rzeźbiarzy wiedeńskich, którzy byli obrażeni, że im nie powierzono wykonania grobowca.

W czasie pobytu swego w Wiedniu otrzymał Canova zupełnie niespodziewanie nominacyę na generalnego inspektora sztuk pięknych w Państwie Kościelnem z płacą 400 skudów rocznie, a nadto doniesiono mu, że Pius VII zamierza wystawić mu odpowiednie jego sławie studio na piazza del Popolo. Co się stało? Rząd papieski nie był wówczas zbyt hojny dla artystów, miał zresztą po części słuszność, bo w państwie panowało ubóstwo. Rzecz się jednak łatwo tłumaczyła. Z końcem maja Napoleon koronował się na króla włoskiego, a gwiazda jego coraz wyżej pięła się na horyzont; w Watykanie uznano za potrzebne, zająć się bliżej artystą, którego cesarz polubił. Canova wyprosił się, aby nie stawiano nowej pracowni ze względu na inne potrzeby państwa; urząd inspektora przyjął z wielką niechęcią, ponieważ nowe zajęcie będzie go odrywało od prac rzeźbiarskich, a ofiarowane 400 skudów odstąpił Akademii Luca.

Artysta wyrzeźbił w owych czasach kilka grobowych pomników, pomiędzy którymi może najpiękniejszy był monument dla miedziorytnika Giovaniego Volpata w SS. Apostoli, w którym osobliwie głowa artysty uderza prawdą i charakterystyką. Zbliżenie się naszego mistrza do rodziny Napoleona dało mu sposobność do stworzenia arcydzieła, może najpiękniejszego, jakie wyszło z pod jego dłuta.

Siostra Napoleona, Paulina Bonaparte, wyszła powtórnie za mąż za księcia Kamilla Borghese, którego cesarz zamianował w r. 1808 gubernatorem Piemontu i Genuy. Paulina uchodziła za najpiękniejszą kobietę w Europie, a że była próżna i wierzyła w swoje pierwsze stanowisko w świecie urody, więc uprosiła Canovę, aby ją wyrzeźbił jako »zwycięzką Wenerę«, »Venere Vincitrice«. Dworzanie napoleońscy rozpuścili

wieść, że Paulina pozowała tylko do zrobienia popiersia, a że artysta dorobił resztę postaci według innego modelu. Wenus zwycięska, znajdująca się teraz w galeryi Borghesse w Rzymie, do połowy obnażona, tak, że draperya zakrywa jej tylko środek ciała, spoczywa na stylowem rzymskiem łożu, opierając głowę na prawej ręce. Legenda dworska nie zdaje się być prawdziwą; sama Paulina, która jak wiadomo, nie należała do najmoralniejszych kobiet swego czasu, miała opowiadać, że na pierwszych posiedzeniach była przykryta lekką zasłoną: ale widząc, że ten welon przeszkadza artyście w oddaniu jej kształtów, sama zrzuciła materyę, mówiąc: »Każda zasłona powinna spaść przed wzrokiem Canovy!« — Gdy się jej zaś jedna z przyjaciółek wyraziła żdziwienie, że miała odwagę pozować artyście zupełnie obnażona, odpowiedziała krótko, że przecie w pracowni było ciepło.

Canova wysłał posąg najprzód do Turynu, gdzie była wówczas rezydencya Borghesów, później jednak wróciło słynne dzieło do rodzinnej ich willi w Rzymie, gdzie dotąd się znajduje. W stolicy papieskiej wzbudził posąg Pauliny powszechny podziw, całe miasto wędrowało do ogrodu Borghesów, aby zobaczyć, jak wówczas mówiono, najpiękniejszą rzeźbę Canovy, a tłumy cisnęły się tak wielkie, że musiano otoczyć cenny marmur żelazną poręczą, aby go ustrzedz od uszkodzenia.

Równocześnie prawie wykończył Canova posąg, przedstawiający matkę Napoleona, Letycyę, w całem ułożeniu może zanadto podobną do starożytnej Agryppiny w muzeum kapitolińskim. Tylko głowa jest oczywiście stylizowanym portretem Letycyi. Oryginalniejszym jest posąg księżnej Leopoldyny Esterhazy, w postaci siedzącej. Księżna, trochę artystka, malarka, trzyma w lewej ręce tablicę, a w prawej kredkę i zdaje się spoglądać na model, który chce portretować. Piękne to dzieło znajduje się w Eisenstadt na Węgrzech, w zamku Esterhazych.

Na nalegania hrabiny d'Albany zrobił wreszcie Canova w r. 1809 nowy projekt pomnika dla Alfierego, z postacią płaczącej »Italii« nad trumną poety. Hrabina postanowiła koniecznie umieścić ten grobowiec w Santa Croce, we Floren-

cyi; ale duchowieństwo, które nie było życzliwe dramaturgowi, sprzeciwiało się temu zamiarowi i dopiero Elisa Baciocchi, która w r. 1809 została Wielką księżną toskańską, dopomogła swoim wpływem hrabinie, że monument stanął w Santa Croce.

IV.

Wśród tych prac otrzymał Canova od hrabiego Piotra Daru, jeneralnego intendanta domu Napoleona, list z 22 sierpnia 1810 r., wyrażający życzenie, prawie rozkaz wszechwładnego wówczas cesarza, aby się udał do Paryża, a nawet, aby się tam osiedlił. Bezpośrednim powodem do tego listu był zamiar Napoleona, aby mistrz zrobił portret, a następnie posąg cesarzowej Maryi Ludwiki, którą niedawno Napoleon poślubił we Wiedniu.

Nowa katastrofa dla spokojnego, pracy swej tylko oddanego artysty. Opierać się jednak nie było można; Canova stanął dnia 11 października 1810 r. w Fontainebleau i za dwa dni znalazł się wobec Napoleona i cesarzowej, którzy właśnie siadali do obiadu.

Rozmowy Napoleona z Canovą, które mistrz spisywał za świeżej pamięci, należą do najciekawszych, jakie cesarz miewał z artystami. Większa ich część da się w ten sposób streścić, że Napoleon chciał prawie zupełnie obrabować Włochy z dzieł sztuki, a biedny artysta, jak mógł, bronił swojej ojczyzny. »Wszystkie piękne rzeczy każę tutaj zgromadzić«, mówił Imperator. »Jeżeli nie zabrać mieczem, to kupić, a Paryż musi być ogniskiem sztuki«.

Canova kreślił Napoleonowi w czarnych barwach obraz ówczesnego Rzymu. Najbiedniejszy to kraj i nie może się podnieść po stracie papieża, czterdziestu kardynałów, wszystkich ministrów, przeszło dwustu prałatów i kanoników, tudzież tylu kapitałów, które napływały ze wszystkich krajów.

— Zrobię z Rzymu stolicę Włoch — rozpoczął znowu cesarz — połączę z nią nawet Neapol; będziecie zadowoleni?

— Wtedy będzie lepiej — zauważył Canova — ale dlaczego Wasza Cesarska Mość nie pogodzi się w jakikolwiek sposób z papieżem?

— Bo księża wszędzie chcą rządzić, do wszystkiego się mieszać, panować, jak Grzegorz VII. Czyż papież sądzi, że ja jestem takim panującym, jak bywali inni królowie Francyi? Ja jestem następcą Karola Wielkiego, po nim ja idę. Mam ośmdziesiąt milionów poddanyeh, 900.000 żołnierzy, 100.000 konnych, tyle, ile nigdy nie mieli Rzymianie. Stoczyłem 40 bitew, a w samem Wagram dano 100.000 strzałów z moich dział. A ta pani (wskazując na cesarzową) życzyła sobie, aby mnie trafiła kula nieprzyjacielska.

— Rzeczywiście, rzeczywiście — przerwała Marya Ludwika.

— Teraz się rzeczy zmieniły — dodał cesarz z uśmiechem. — Zresztą na wszystko pozwolę papieżowi, ale niech rozkazuje tylko w rzeczach religii.

Gdy popiersie Maryi Ludwiki było z gipsu ukończone, Napoleon zauważył, że Canova przedstawił ją trochę za młodą, gdyż cesarzowa ma lat dziewiętnaście. »Ależ nie mam jeszcze tyle!« oburzyła się Marya Ludwika. »Bah! bah! wykrzyknął Napoleon. »Doprawdy nie mam«, dodała cesarzowa. Ale Napoleon rozprawę zakończył, mówiąc: »Basta, cesarzowa Canovy wygląda jeszcze jak dziewczynka«.

Przypatrując się innym razem temu popiersiu, był zado wolony, że cesarzowa ma tam wesoły wyraz twarzy, co odpowiada celowi, gdyż będzie przedstawiona jako posąg »Concordii«, co się zgadza z prawdą; za jej pośrednictwem nastąpiło porozumienie pomiędzy dwiema potęgami.

Powracając z Paryża do Rzymu, mógł Canova być zadowolnionym, gdyż wystarał się u Napoleona o rozmaite subwencye dla sztuki, pomiędzy innemi na poszukiwania starożytnych marmurów w »Agro romano« 200.000 lir, nie zaprzedał zaś swojej wolności, bo odmówił ofiarowanej mu godności senatorskiej i nie chciał przyjąć krzyża Legii honorowej.

W Bolonii, we Florencyi i nareszcie w Rzymie przygotowano dla niego uroczyste przyjęcia; mowy, wiersze miały podnosić pod niebiosa wielkiego artystę, ale Canova, wiedząc, na co się zanosi, ominął Bolonię, a w Rzymie usunął się także od wielkiego festynu urządzonego na jego cześć na Kapitolu, pod przewodnictwem jenerała Miollis. Był zresztą po-

grążony w wielkim smutku, bo jego przyjaciółka, nieoceniona Giuli, była ciężko chora i wkrótce umarła. Nie mógł też odżałować tej rozumnej, całą duszą mu oddanej kobiety; zdawało mu się, że już nie ma oparcia na świecie. Giuli, obok swej dobroci, miała wrodzony instynkt piękna i nieraz dawała Canovie bardzo zdrowe rady w rzeczach jego sztuki. W kilka miesięcy później umarła i jego matka w Weneckiem, a artysta, wspominając te kobiety, mawiał, że miał dwie matki: jedna wydała go na świat, druga kierowała nim i dawała mu zawsze roztropne rady.

Jak zwykle bywa w życiu wielkiego człowieka, Canova oddał się po tych bolesnych przejściach z tem większem zapałem swym pracom, wykończył olbrzymi posąg Napoleona, zupełnie obnażonego, jak posągi bogów greckich. Zmniejszoną kopię posągu odlano w bronzie we Włoszech i przesłano do Medyolanu, gdzie przez długie lata znajdowała się w składach Brery i dopiero później została ustawioną w podwórzu. Gdy kolos marmurowy przybył do Paryża, Napoleon właśnie przygotowywał wyprawę do Rosyi i nie miał czasu oglądać siebie zamienionego na greckiego bohatera. Dopiero po trzech tygodniach wszedł niespodziewanie do muzeum, gdzie posąg był ustawiony, i nie powiedziawszy ani słowa, nie okazawszy ani zadowolenia, ani nie zrobiwszy krytycznej uwagi, kazał statuę przykryć płócienną kotarą i nie wystawiać jej na widok publiczny. Rozmaicie sobie tłumaczono ten rozkaz imperatora; być może, że przecież Napoleon bał się ośmieszyć. Nizki, gruby, mógł się obawiać, że na porównaniu z posągiem Canovy jego postać nie zyska.

W późniejszych latach miał Canova słabostkę, aby współzawodniczyć ze starożytnymi mistrzami, a przynajmniej okazać wybitnie różnicę swego stylu od stylu Greków. Świadczyły już o tem dwa dawniejsze posągi gladyatorów; obecnie wystąpił z »Wenerą wychodzącą z kąpieli«, znajdującą się w galeryi Uffizi. Artysta sam pojechał do Florencyi, aby swe dzieło ustawić i tam poznał (1811 r.) Hiszpankę Madamę Minette, kobietę bardzo wykształconą i wielkiego wdzięku. Pięćdziesięciopięcioletni Canova zakochał się, a hrabina d'Albany, która, jakeśmy wspomnieli, niesłychanie lubiła swatać w swych

późniejszych latach, bardzo popierała ten związek. Ale nasz artysta, nieśmiały, jak zawsze, obawiający się zresztą małżeństwa ze względu na swój wiek spóźniony, wyjechał do Rzymu, odwlekając postanowienie. Nie mało w tej mierze wpłynął na niego przyrodni brat, ksiądz Sartori, który czyhając na spuściznę po rzeźbiarzu, obawiał się, aby to małżeństwo jego nadziei nie rozwiało. Wkrótce po powrocie do Rzymu dowiedział się Canova, że Hiszpanka wyszła za swego ziomka, starego barona d'Armendariz i zaczął bardzo żałować, że nie posiadł jej ręki. Ponownie więc pojechał do Florencyi i starał się nakłonić Minettę, aby się rozwiodła z mężem i wyszła za niego. Baronowa jednak odmówiła i biedny Canova ubolewał zawsze, że się nie połączył »z tą rajską istotą«.

W owych czasach posądzano także mistrza o gorące uczucie dla hrabiny Izabelli Teotochi Albrizzi w Wenecyi. Uczucia mistrza były wszakże bardzo chłodne. Pani Albrizzi, która z pomocą znakomitych ludzi, bywających w jej salonie, chciała zostać sławną, nie mogła na sobie przenieść, żeby nie zarzucić sieci na Canovę. O stosunku miłosnym mowy nie było, boć artysta mieszkał w Rzymie, a pani Albrizzi w Wenecyi; ale przynajmniej nazwisko swoje rada była połączyć w jakiś sposób z nazwiskiem mistrza, a jeżeli się da, mieć jakie dzieło jego, o czem oddawna marzyła. Wydała więc książkę z opisem dzieł Canovy, którą jej poprawił poeta Ippolito Pindemonte i posłała Canovie aż sto egzemplarzy. Oczywiście artysta nie mógł przyjąć tego daru bez odwdzięczenia się; wyrzeźbił jej więc w podarunku głowę idealną greckiej Heleny i uszczęśliwił Wenecyankę. Radość pani Albrizzi była tem większa, że Byron napisał następnie, podczas swego pobytu, ośmiowiersz, w którym podnosi piękność tego marmuru. Złośliwe języki w Wenecyi wymyśliły na ten temat romans Canovy z hrabiną, a jakiś karykaturzysta wyrysował nawet obrazek, przedstawiający mistrza, jak rzeźbi obfite łono pani Albrizzi; hrabina słynęła bowiem z bardzo wydatnych form okazałego popiersia.

Starzejący się mistrz zamyślał teraz wykonać jakieś dzieło, któreby przewyższyło wszystko, co dotąd wyrzeźbił, i uwieczniło w Rzymie jego nazwisko. Chciał obdarzyć bazy-

likę św. Piotra olbrzymim posągiem, przedstawiającym religię katolicką, raziły go bowiem zawsze kościoły protestanckie brakiem dzieł artystycznych. Był nawet gotów ponieść znaczne koszta takiego posągu ze swych oszczędności. Ponieważ jednak to dzieło wymagało dłuższych przygotowań, więc nie ustawał w innych pracach, a mianowicie z większych rzeźb wykonał dużą grupę w duchu starożytnym: »Herkules i Lichas« dla Torlonii, znajdującą się dzisiaj w galeryi Corsini.

V.

Tymczasem marmurowy kolos Napoleona imperatora stał zakryty w Luwrze, a kolos żywy, ubezwładniony, dogorywał na dalekiej wyspie. W Paryżu rządził Ludwik XVIII i Talleyrand pod opieką oddziałów wojska państw sprzymierzonych, a nad ministrami i jenerałami górowali lord Wellington i lord Castlereagh. Kraje obrabowane z dzieł sztuki zażądały zwrotu wywiezionych skarbów; Prusy, Bawarya, Holandya i Hiszpania pierwsze podały swe żądania. Wtedy i Pius VII przypomniał sobie, że wypadałoby przyłączyć się do tej artystycznej akcyi; ale nieśmiały i sympatyzujący z Francuzami, nie mógł się odważyć na krok stanowczy. Kardynał Consalvi prawie zmusił papieża, aby zażądał zwrotu obrazów, rzeźb, rękopisów, zabranych w Rzymie i w państwie kościelnem. Zawołano Canovę i kazano mu jechać do Paryża w imię miłości ojczyzny. Ale mistrz wiedział dobrze, że ani papież, ani kardynał nie wierzą w powodzenie tego posłannictwa.

Z ciężkiem sercem przedsiębrał tę trzecią podróż do Paryża. Jedyną nadzieję pokładał w tem, że Prusacy odebrali to, co Napoleon wywiózł; ale też Prusacy występowali odrazu z całą stanowczością i poparli siłą swoje żądania. W Paryżu przedstawiła mu się sprawa bardzo smutno. Jedyne państwo katolickie, które miało siłę zbrojną w stolicy Francyi, Austrya, nie chciała się narazić Ludwikowi XVIII, ponieważ zamierzała zająć ziemie ferrarskie po lewym brzegu Padu, a w tym zamiarze Francya mogłaby jej przeszkadzać. Rosya była przeciwną odbieraniu skarbów artystycznych, które Napoleon w Paryżu nagromadził.

Prusy odebrawszy to, co było ich własnością, nie troszczyły się o papieża i o Włochy. Canova znalazł jednak szczere poparcie tam, gdzie się go najmniej spodziewał, w Anglii. Książę Wellington pomógł najprzód Holandyi, aby jej oddano to, co Napoleon zrabował, a następnie z całą stanowczością oświadczył przedstawicielom innych państw, że »trzeba dać narodowi francuskiemu lekcyę moralności« i kazać zwrócić to, co Włochom zabrali.' Książę Metternich widząc, jakie stanowisko zajęła Anglia wobec papieża i Włoch, musiał jako przedstawiciel państwa katolickiego także stanowczo wystąpić i polecił Canovie, aby się udał do dyrektora muzeów, pana Denon i zażądał zwrotu dzieł sztuki.

Denon, był zakochany w dziele, które stworzył z pomocą Napoleona, w tem muzeum najwspanialszem, jakie istniało na świecie, a rozdrabnianie zbiorów było dla niego niemal kwestyą życia. To też gdy Canova przyszedł do niego z żądaniem oddania tego, co się papieżowi i Włochom należy, Denon przyjął go niegrzecznemi słowy, na co artysta także ostro odpowiedział, że w ten sposób nie przyjmuje się ambasadorów.

— Ambassadeur! Allons donc! — zakrzyczał — Vous voulez dire emballeur, sans doute!

Odtąd pozostał już Canovie we Francyi przydomek »emballeur«.

Gdy Denon się opierał, przyszedł Canova za kilka dni w asystencyi silnego oddziału wojska austryackiego i pruskiego i zażądał oddania włoskiej własności. Denona nie było, jego zastępca Lavallée musiał ustąpić przemocy.

Odzyskane w ten sposób dzieła sztuki kazał Canova poprzewozić do koszar wojskowych, a ponieważ nikt z Francuzów nie chciał się podjąć zapakowania tych odebranych im skarbów, więc sami tylko cudzoziemcy artyści pomogli Canovie w pracy. Mr. Denon miał słuszność nazwawszy rzymskiego mistrza »un emballeur«.

Canova chcąc osłodzić Ludwikowi XVIII ciężkie wyrzuty, jakie mu z tego powodu robiło społeczeństwo francuskie, pozostawił Francyi dwadzieścia trzy dzieł sztuki, które były już umieszczone w pałacach królewskich, w kościołach, albo w muzeach prowincyonalnych. Nie małe były trudności

w odstawieniu odebranych przedmiotów do Włoch. Przedewszystkiem papież nie przysłał potrzebnych Canovie pieniędzy i dopiero Anglicy zupełnie bezinteresownie dali mu prawie 200.000 włoskich lir, aby mógł pokryć wydatki transportu.

Ponieważ w Rzymie uważano poniżej godności papiestwa podziękować Anglikom za taką przysługę, więc Canova udał się z przyjacielem Estem i swoim przyrodnim bratem do Londynu, aby księciu Rejentowi wyrazić imieniem Włoch słowa dziękczynne za tak wielką przysługę.

W Londynie przyjęto Canovę z nadzwyczajnymi honorami, a przyjazd jego był tem pożądańszy, że właśnie British Museum miało zakupić od Tomasza Bruce, hrabiego d'Elgin przywiezione z Grecyi rzeźby Partenonu, a zdanie najpierwszego rzeźbiarza w Europie mogło zaważyć w tym układzie z Elginem. Canova był zachwycony owemi rzeźbami; sądził, że w nich jest więcej naturalności, aniżeli w innych dziełach starożytnych, i zauważył, że warto było przyjść z Rzymu piechotą, aby je zobaczyć. Rząd zakupił też greckie marmury za 35.000 funtów szterlingów. Na pożegnalnej audyencyi zapytał się książę rejent Canovy, czy zażywa tabakę, i mimo odpowiedzi, że nie ma tego zwyczaju, wręczył mu bardzo piękną tabakierkę, wysadzaną brylantami.

Powróciwszy do domu, wyjął Canova ów podarunek z pakunków, otworzył i znalazł tam zamiast tabaki asygnatę angielską na pięćset funtów szterlingów.

W uznaniu zasług swego posłą nadał papież Canovie tytuł markiza d'Ischia z dożywotną pensyą trzech tysięcy lir. Canova, jak zwykle, nie chciał przyjąć ani tytułu ani pensyi; gdy jednak kardynał Consalvi przedstawił mu, że odmową obrazić mógłby swego monarchę, artysta przyjął tytuł, a pensyę porozdzielał pomiędzy instytucye artystyczne i ubogich artystów w Rzymie. Gdy następnie żądano od niego, aby podał rysunek herbu, jakiego chce używać, wyrysował na tarczy z jednej strony lirę, a z drugiej węża, jako znaki Orfeusza i Eurydyki, gdyż senator Fallier pierwszy zamówił u niego posągi tych greckich postaci, a tem samem dał mu możność rozwinięcia swego talentu.



Canova. Trzy Gracye.

Grupa marmurowa w Eremitażu, w Petersburgu.

Do str. 459.

Watykan uznał wprawdzie zasługi Canovy, ale nie chciał o tem pamiętać, że głównie Anglicy, protestanci, przyczynili się do tego, iż artysta mógł swoje posłannictwo przeprowadzić z dobrym skutkiem. Canova postanowił na własną rękę i własnymi środkami naprawić ten brak wdzięczności. Podarował więc Wellingtonowi popiersie z marmuru, przedstawiające Wenerę, lordowi Castlereagh nimfę, Wilhelmowi Hamiltonowi i doktorowi Granville, szczeremu orędownikowi jego sprawy, obrazy Tycyana, które dawniej nabył dla siebie; nadto posłał angielskim artystom kosztowne podarunki.

Te tak naturalne a konieczne uprzejmości wobec Anglików wzięto Canovie za złe w Watykanie i w dość dotkliwy sposób postanowiono mu to dać uczuć. Wspomnieliśmy już wyżej, że marzeniem mistrza było, wykonać dla bazyliki św. Piotra olbrzymi posąg, przedstawiający religię katolicką. Artysta posłał już Esta do Carrary, aby wybrał potrzebny blok marmuru, ale duchowieństwo zaczęło mu robić najrozmaitsze trudności w uskutecznieniu tego planu, tak, że artysta, widząc złą wolę w Watykanie, postanowił zrobić posąg w nieco zmniejszonych rozmiarach, usunąć dodatki, znamionujące religię katolicką, i sprzedać go Anglikowi Brownlow. Hrabia Brownlow ozdobił tem dziełem Canovy grobowiec swej małżonki Zofii w kościele protestanckim w Belton, w hrabstwie Lincoln.

W ten sposób bazylika św. Piotra pozbawiona została wielkiego dzieła Canovy, które w dodatku Watykan nic nie miało kosztować.

Mimo podeszłego już wieku, mimo tyloletniej wytężającej pracy, Canova się nie starzał, a dowodem tego grupa trzech Gracyi, którą wykonał w r. 1817 z prawdziwie młodzieńczym zapałem. Grupa była przeznaczona początkowo dla Józefiny Bonaparte; po katastrofie napoleońskiej dostała się do Eremitażu, a replikę jej z małemi zmianami nabył książę Bedford, w Woburne Abbey, w Anglii. W grupie tej osobliwie podziwienia godne jest ustawienie tych trzech postaci, bez porównania artystyczniejsze, aniżeli ugrupowanie Gracyi na obrazie Rafaela, znajdującym się w Chantilly.

Za jedną z najlepszych rzeźb mistrza uważano także po-

wstałą w owym czasie grupę, nazwaną »Pokój i wojna«, a przedstawiającą Marsa, którego animusz wojenny swym miłosnym uśmiechem łagodzi Wenus. Grupa ta, jak mnóstwo innych dzieł mistrza, znajduje się w Anglii, w Buckingham Palace.

Ciągłe zmiany polityczne w latach napoleońskich odbijały się dość komicznie w pracowni Canovy. Stał tam model wielkiego konia, na którym miał usiąść najprzód Napoleon, a następnie książę Murat z bronzu. Gdy Murat został pozbawiony tronu i rozstrzelany, czekał rumak na nowego jeźdzca. Ferdynand IV Burbon postanowił wsadzić nań swego ojca Karola III i przeznaczył pomnikowi miejsce na placu S. Francesco di Paola w Neapolu. Ferdynand IV nie był, jak się zdaje, dość pewnym, czy długo będzie panował pod Wezuwyuszem, bo polecił Canovie śpieszyć się z wykonaniem postaci Karola III. Jeden z Francuzów, zwiedzając pracownię Canovy, podziwiał model tego konia i zapytał, który śmiertelnik będzie śmiał usiąść na tak pysznym rumaku. Canova odpowiedział, że jego konie nie przynoszą szczęścia swym jeźdzcom; zanim ma czas wsadzić ich na siodło, wszyscy opróżniają swe królewskie trony.

Na wiosnę r. 1818 udał się cesarz Franciszek I ze swoją, czwartą już z kolei małżonką na miodowe miesiące do Rzymu. Oczywiście zwiedzał studio Canovy i tam zobaczył grupę »Tezeusza zabijającego centaura«, która mu się nadzwyczaj podobała. Grupa ta była przeznaczona na ozdobienie jednego z placów w Medyolanie, ale wskutek zmian politycznych pozostała w pracowni. Franciszek I ją nabył, zbudował dla niej małą świątynię w stylu greckim, w wiedeńskim »Volksgarten«, gdzie stała przez długie lata i dopiero po ukończeniu gmachu muzealnego sztuk pięknych znalazła nowe wspaniałe umieszczenie w niszy głównych schodów. Canova modelując centaura, kazał zabić konia, aby módz śledzić wszystkie stopnie agonii zwierzęcia i zastosować je w owej rzeźbie. Mimo całej tragiczności przedmiotu, grupa nie robi na nas dzisiaj wzruszającego wrażenia.

W r. 1807 umarł ostatni Stuart, kardynał d'York, którego już poznaliśmy. Kardynał zapisał swój majątek przyja-



Canova. Tezeusz zabijający Centaura.

Grupa marmurowa w wiedeńskiem muzeum cesarskiem.

Do str. 460.

cielowi, monsignorowi Cesariniemu, o co żyjąca jeszcze hrabina d'Albany bardzo się gniewała. Skarżyła się w liście do pani de Maltzan na dziwactwo kardynała; przyjaciółka zauważyła, że »les prêtres de tous les pays sont habiles à succéder«. Spadkobierca jednak kardynała nie poczuwał się do obowiązku względem kardynała i nie wystawił mu pomnika; dopiero rząd angielski wyznaczył na ten cel sumę pięćdziesięciu tysięcy franków, aby uczcić pamięć potomków dawnej dynastyi. Wykonanie pomnika powierzono Canovie, a to jego dzieło miało być nawet ustawione w kościele św. Piotra. Miejsce przeznaczone na sarkofag było bardzo wązkie, pomiędzy dwoma kolumnami; ale artysta wybornie ominął tę trudność, narysowawszy pomnik w ten sposób, jak gdyby był wejściem do grobowca, którego strzegą dwaj prześlicznie pomyślani aniołowie. Na tym monumencie umieścił Canova trzy popiersia ostatnich Stuartów w płaskorzeźbie. Aniołki wywołały w Watykanie zgorszenie, ponieważ były za nadto obnażone. Udano się do mistrza, aby je przerobił na istoty przyzwoitsze; ale Canova, który nie cierpiał, aby mu się mieszano w jego artystyczne pomysły, rozgniewał się i odpowiedział na pismo maggiordoma papieskiego, że ani myśli cokolwiek zmieniać w swem dziele. Dopóki też żył, nie śmiano zakryć mniemanych nieprzyzwoitości aniołów.

Mistrz oddawna nosił się z myślą, aby swej rodzinnej miejscowości Possagno pozostawić jakąś pamiątkę. Postanowił więc wybudować tam rodzaj greckiej świątyni, do której wziął motywa z Panteonu w Rzymie i z Partenonu Ateny. Jak mógł, oszczędzał się i pracował, aby tylko to dzieło mógł wykonać; fundamenta zostały też położone w czerwcu r. 1819 i Canova pojechał z Rzymu na tę uroczystość. Ludność całej okolicy zebrała się w Possagno; znowu przemowy i świątecznie przebrane dziewczęta, kwiaty i tańce. Ale tego rodzaju uroczystości były już nad siły mistrza; w drodze do Rzymu zachorował i musiał się zatrzymać we Florencyi. Tym razem zwyciężyła jeszcze silna natura i mistrz mógł wrócić do dalszej pracy, do wielkiego dzieła. Stany Zjednoczone zamówiły u niego olbrzymi posąg Washingtona za cenę 25.000 funtów szterlingów. Canova przedstawił wielkiego Amerykanina jako

rzymskiego wodza; tak dalece miłość do starożytnej rzeźby, a może już i rutyna nad nim zapanowały. Posąg został ustawiony w pałacu państwa Karoliny północnej, w Raleigh, ale w kilkadziesiąt lat później, podczas pożaru rządowego gmachu, został zgruchotany.

Ostatniem wielkiem dziełem Canovy był posąg modlącego się Piusa VI w bazylice św. Piotra w Rzymie, mniej więcej w tej samej postawie, co postać Klemensa XIII na grobowcu, który mistrz wykonał w młodszych latach, tylko, że postać Piusa VI daleko sympatyczniej do nas przemawia swą rzetelną prawdą.

Od zimy r. 1822 zdrowie Canovy coraz bardziej się pogarszało; miał jeszcze na tyle sił, aby wyjechać do Possagno, musiał jednak stamtąd powrócić do Wenecyi, aby zasięgnąć rady lekarskiej, a przedewszystkiem rady słynnego doktora Agliettego, i tam umarł 13 października 1822 r.

Abate Sartori skorzystał z agonii Canovy, aby uzyskać taką ostatnią wolę, jakiej sobie życzył. Mistrz spisał przed kilkoma laty w Rzymie testament, w którym wyznaczył wykonawcami swej ostatniej woli kardynała Consalviego, monsignora Nicolai i Antonia d'Este. W akcie tym rozporządził, aby w jego pracowni i z jego spuścizny urządzono akademię rzeźbiarską, przyrodniemu zaś bratu Sartoremu zapisał dożywocie 400 skudów rocznie, jeden pokój do mieszkania z łóżkiem, z bielizną, kołdrą i przyzwoitem urządzeniem, nadto książki z wyjątkiem dzieł, tyczących się sztuki i rysunków, Canova bowiem wiedział, że abate ani się zajmuje sztuką, ani się na niej rozumie.

Sartori słyszał o tym zapisie, który go bynajmniej nie zadawalniał, i skorzystał z tego, że mistrz umierał w Wenecyi, pod rządem austryackim, aby w sposób podstępny uzyskać nowy testament, który go robił uniwersalnym spadkobiercą. Według praw austryackich dostatecznem było, aby umierający objawił swoją ostatnią wolę wobec dwóch świadków. Sartori więc podyktował wobec dwóch lekarzy testament, którego treści Canova już nie rozumiał, i objął w posiadanie całą spuściznę, poczem posprzedawał znaczną ilość rzeźb i ani wspomniał o życzeniu mistrza, aby założyć aka-

demię rzeźbiarską. Nie chcąc sprowadzić na siebie wielkiej burzy, zajął się później dokończeniem Tempia w Possagno, w którem umieszczono cały szereg odlewów gipsowych dzieł Canovy. Uczynił nawet zadość woli testatora, aby tam był pochowany, ale zrobił to w sposób pochlebiający swej własnej próżności, bo kazał zbudować jeden wspólny grobowiec dla siebie i dla mistrza, nazywając się na nim Canovą-Sartorim, lubo nie miał najmniejszego prawa do pierwszego z tych nazwisk. Większą część majątku pozostałego po Canovie użył na uprzyjemnienie życia swojej siostrzenicy Antonietty Bianchi Canal, którą szczególnie pokochał.

Wogóle ten Sartori był złym duchem Canovy; chcąc spełnić życzenie swej matki oddał go mistrz na swój koszt do seminaryum w Padwie, następnie już jako księdza sprowadził do swego domu, otoczył opieką, zabierał ze sobą w dalekie podróże, nawet do Londynu. Abate był jednak niegodnym tej dobroci; chciwy, podstępny, myślał tylko o tem, jakby zebrać majątek i korzystać ze sławy artysty, a z zazdrością patrzył na wpływ, jaki miała Giuli w domu Canovy, i gdy umarła, nie ukrywał swej radości. Sartori miał skłonności do handlu, czem nieraz sprawiał kłopot poczciwemu Canovie. I tak spodziewał się pewnego razu, że oliwa bardzo podrożeje; skupywał więc całe dzbany oliwy i składał je w pracowni i w magazynach mistrza, nie zważając na to, że te zapasy zawadzają artyście i tym, którzy do niego przychodzą. Na nieszczęście przemyślnego abata oliwa spadła w cenie i spekulacya się nie udała. Canova był niezmiernie dobroczynny. Ale Sartori, gdzie mógł, odsuwał potrzebujących, aby tylko dla niego więcej pozostało po śmierci mistrza. Nie lubiano też abata w całym Rzymie, wiedziano, że gdzie może, wyzyskuje Canovę, a co gorsza, namawia go do pracy nad siły, chcąc z jego talentu korzystać. Dziwiono się też, że Canova, pomimo że wiedział o różnych sprawkach przebiegłego abata, trzyma go u siebie i dobrze się z nim obchodzi. Artysta chciał jednak uszanować w nim pamięć i życzenie matki.

Lekarze nie wiedzieli właściwie przyczyny śmierci Canovy, a chcąc się »nauczyć«, pokrajali jego ciało, przeciw czemu abate Sartori nic nie miał do zarzucenia. Cała Wene-

cya była jednak z tego powodu oburzona; skoro jednak stał się ten czyn barbarzyński, wyjęto serce zmarłego i umieszczono je w kościele dei Frari, prawą rękę zaś zachowano w Akademii sztuk pięknych w spirytusie, w wazie porfirowej. Resztę ciała złożono w kościele w Possagno, a później w tamtejszem Tempio.

W Wenecyi i w Rzymie z wielkiemi uroczystościami urządzono egzekwie na pamiątkę mistrza, a w Watykanie czem prędzej przykryto gipsowemi szmatami wstydliwości »Geniusza« na grobowcu papieża Rezzonico i dwóch »Aniołów« na pomniku Stuartów. Dopiero papież Leon XIII, wolnomyślniejszy od wielu swoich poprzedników, kazał usunąć te gipsowe zasłony.

VI.

Postać Canovy jest zespoleniem tych zagadnień, które były treścią umysłowego życia artystów na przełomie XVIII na wiek XIX. Klasyk i romantyk zarazem, stoi on jak gdyby marmurowy posąg w dziejach ówczesnej sztuki, przewyższając cały zastęp mierności. Klasycy mówili jednak, że za mało przejął się starożytnością, a tacy krytycy, jak Fernow i Quatremère de Quincy, którzy się nim bardzo zajmowali, mieli wielki żal do mistrza, że nie potrafił dorównać starożytnym rzeźbiarzom i robili mu wyrzuty, że stanął w połowie drogi, prowadzącej do osiągnięcia ideału klasyków. Przeciwnie, późniejsi krytycy podnosili zbytne przejęcie się starożytnością, i naśladownictwo Greków.

Jedno i drugie zdanie niezupełnie sprawiedliwe. Canova był samoistnym talentem, który jednak pojął całą wielkość greckiej rzeźby i starał się wyzyskać ze starożytnej sztuki wszystko, co mogła dać późniejszym artystom. Że posunął się w tej mierze za daleko, że rzeźbiąc »Gladyatorów«, »Perseusza«, »Tezeusza zabijającego Centaura« i kilka innych dzieł, chciał być prawie Grekiem, to się nie da zaprzeczyć; ale jeżeli się weźmie pod uwagę cały jego »dorobek artystyczny«, to widzimy w mistrzu zupełnie inną tendencyę.

Gdyby Canova był został w Wenecyi, nie byłby uległ tak bardzo wpływom klasycyzmu, ale Rzym go spaczył. Z poczucia i rozumu trzymał się natury i przybył do Rzymu jako rzeźbiarz »Ikara i Dedala«, grupy najzupełniej wystudyowanej z natury. Młody artysta znalazł się jednak w Rzymie w innym świecie, w chwili, kiedy tendencye neoklasyczne wszechwładnie panowały. Całe otoczenie tłumiło w nim wrodzone popędy, narzucało zupełnie inny kierunek, a jedynie dyrektor akademii francuskiej pochwalił mu grupę wenecką. Młody artysta więc zaczął z całym zapałem studyować Greków; nęciła go w ich dziełach mistrzowska technika, o jakiej nie marzył. Próbując rzeźbić marmur sposobami, których, jak się zdawało, używali starożytni, przyszedł do przekonania, że Grecy musieli mieć jakieś inne narzędzia od nowoczesnych rzeźbiarzy; i rzeczywiście usilnemi doświadczeniami udało mu się zdobyć narzędzia, które mu pozwalały obrabiać marmur na sposób starożytnych mistrzów. Udoskonalił też i posunął, jak nikt przed nim i po nim w nowszych czasach, technikę rzeźbiarską naprzód, a późniejsi artyści zawdzięczają mu pod tym względem niesłychanie wiele. To go może nieraz zachęcało do obierania tych samych tematów, co Grecy i Rzymianie, aby niejako współzawodniczyć z nimi.

Ale dusza Canovy była inna, aniżeli dusza starożytnych. Nasz mistrz był człowiekiem niesłychanie uczuciowym, idealistą, powiedzmy, romantykiem. Trzeźwości i wesela greckich rzeźbiarzy nie mógł i nie chciał sobie przyswoić. Nie mógł, bo był patryotą Włochem, bolał bezustannie nad smutnymi losami, które jak napady ciężkiej febry, ciągle miotały jego ojczyzną. Odczuwał każde nowe wstrząśnienie, podobnie jak je odczuwał Ugo Foscolo, tylko że Canova był umysłem spokojniejszym, którego w równowadze utrzymywała ciągła praca. Talentem swoim chciał służyć ojczyźnie, bez względu na zmienne czasy i rządy.

Przez całe życie snuła się w jego usposobieniu ciemna nić melancholii, zaszczepiona może jeszcze przez tego dziada, który go chciał mieć koniecznie kamieniarzem. W tych postaciach, w których zupełnie był samym sobą i zapominał o starożytności, jest serca, jest miłości dużo, jak np. w grupie

Adonisa i Wenery, która pomimo starożytnego tematu ma tyle nowożytnego romantyzmu, w aniele śmierci strzegącym grobowca Klemensa XIII, w grupie boleści na pomniku Maryi Krystyny i w wielu jeszcze innych jego dziełach.

Są czasami nie dające się wytłómaczyć ewolucye w dziejach sztuki i literatury. Zapisano gdzieś widać w księgach przeznaczenia, że nowoczesna sztuka musi przejść przez klasycyzm do romantyzmu i przekonawszy się, że ani w jednym ani w drugim kierunku niema zbawienia, oprzeć swe fundamenty na rzetelnej naturze.

Canova całe życie walczył z prądem klasycyzmu, zawsze, można powiedzieć, każdy dzień swego działania zaczynał od studyów z natury. Rano sprowadzał do swej pracowni ludzi, nieraz z ulicy, o twarzach typowych, rysował ich, modelował, a po jego śmierci znaleziono mnóstwo głów i popiersi, najsumienniej zdjętych z żyjących modeli. Ale świat żądał wyidealizowanego piękna, społeczeństwa stały na brzegu romantyzmu. Trzeba było w postać wlać, często mimowiednie, trochę sentymentalizmu, a obok tego pilnować — linii. Gdy Canova wystąpił ze swoją prześliczną grupą Amora i Psychy, która się z czasem stała najbardziej znaną ze wszystkich dzieł mistrza, krzyczał z oburzeniem cały świat krytyków i antykwarzy, że Canova idzie na bezdroża, że stworzył dzieło bez linii, że wykuł jakieś dziwactwo, na które szkoda marmuru. A w tem dziele oddał on cały romantyzm swej duszy, podał rękę Byronowi.

Gdzie tylko Canova mógł, bez popełnienia śmiertelnego grzechu przeciw prądom czasu, trzymać się natury, jak w popiersiach osób żyjących, tam był mistrzem nad mistrzami, że przytoczymy tutaj tylko leżącą postać Pauliny Borghese, jedno z największych arcydzieł, jakie wydała nowożytna rzeźba, albo posągi dwóch modlących się papieży. Gdzie tylko mógł portretować, gdzie mógł się trzymać natury, tam wszędzie był niedościgniony.

To samo spostrzedz można u francuskiego Dawida. Dzisiaj portrety są najcenniejszą spuścizną po francuskim mistrzu. »Przysięga Horacyuszów« robi na nas wrażenie sceny teatralnej i nie przemawia do duszy. Dodać jednak należy, że Da-

wid nie miał tego serca, tej szlachetności w swym charakterze, co nasz Wenecyanin.

Północni uczeni zaczęli nad Canovę wynosić Thorwaldsena, jego ucznia i następcę. Pomiędzy tymi dwoma artystami niema pokrewieństwa, pomimo, że Duńczyk był wtedy profesorem rzeźby w akademii, kiedy Canova był jej »principe«, jej prezesem. Thorwaldsen ściśle naśladował starożytnych, urósł pod wpływem Winckelmanna; umysł pedantyczny, nie miał siły twórczej, tej szlachetności uczucia, tego romantyzmu wreszcie, które cechowało Canovę, jednego z najpotężniejszych artystów w nowszych czasach.

ROZDZIAŁ OŚMNASTY.

UGO FOSCOLO.

I.

W chwili, kiedy sława Bonapartego rosła, a wszystkie narody Europy uciśnione spodziewały się po nim wyzwolenia, zaczęto po raz pierwszy powtarzać w Wenecyi nazwisko Foscola. Był to niespełna jeszcze dwudziestoletni młodzieniec, piszący piękne sonety, zdobywca serc kobiecych, pomimo że był podobniejszy do małpy, aniżeli do Apollina. Portret Uga, według opisu jednego ze współczesnych nie wypadł uroczo. Maria Pieri powiada, że Foscolo miał rude, rozczochrane włosy, wypukłe czoło, małe oczy, pełne żaru, i brzydkie, nieforemne policzki o bladawej cerze. W rozmowie niesłychanie ożywiony, chociaż trochę jąkający się, biegał po Wenecyi od kawiarni do kawiarni, odziany wytartym, wyszarzanym zielonym płaszczem, opowiadając o swoich troskach.

A miał dość powodu do skarg i narzekań. Był synem Andrzeja, Wenecyanina, lekarza na wyspie Zante, ożenionego z Greczynką, Diamantą Spathis, córką krawca. Urodził się 6 lutego 1778; kilka lat dziecinnych przepędził w Zante, następnie z rodzicami udał się do Dalmacyi, a gdy miał lat dziesięć, ojciec go odumarł. Matka wraz z kilkorgiem dzieci musiała wracać do Wenecyi, aby tam przy pomocy mężowskiej rodziny jako tako się utrzymać i potomstwo wychować. Zamieszkała w Sestiere di Castello, w jakimś starym domu,

w którym nie było szyb w oknach, a tylko brudne rozpięte płachty chroniły biedaków od deszczu i zimna. To też słońce jońskiej wyspy, wyniosłe palmy, rozmaryny były dla Uga ideałem, do którego rozbujała wyobraźnia zawsze wracała. »Sacra citta e Zacinto!« powtarzał nieraz i był z usposobienia do połowy Grekiem, a do połowy Wenecyaninem, »Greco di nascita, Veneto d'origine e d'elezione«.

Wdowa po lekarzu mimo ciężkich stosunków zapewniła jaki taki byt swym sierotom, posyłała Uga do szkoły w San Cipriano na Murano, gdzie chłopak nauczył się języków klasycznych i nabrał ochoty do kształcenia się. Przytem zaczął uczęszczać do biblioteki miejskiej, do Marciany, gdzie go bliżej poznał prefekt zakładu, Jacopo Morelli, i bardzo polubił.

Rewolucyjne wiadomości z Francyi coraz bardziej rozgrzewały umysły; wrażliwy Ugo zaczął pisać ody, pełne patryotycznego zapału, w młodej wyobraźni przesuwały się postacie starożytnych bohaterów Grecyi, rzymska rzeczpospolita była jego ideałem. Całe społeczeństwo weneckie wrzało, zwycięstwa, które odnosił Bonaparte, zdawały się zwycięstwami Włoch, wierzono w obietnice francuskiego bohatera, że wolność i niepodległość zapanuje także na apenińskim półwyspie. Patrycyusz Alessandro Balbi pisał, że chętnie zostałby poganinem, aby módz ubóstwiać Bonapartego, tego człowieka niepojętego, który obejmuje niezmierzone horyzonty. Gdy Napoleon ukazał się w r. 1796 we Włoszech, Ugo powitał go odą, będącą apoteozą rewolucyi i jej wielkiego syna, zapowiadającą ojczyźnie nową epokę szczęścia, wskazywał na słoneczne promienie Aurory, oświecające już horyzot: »Wolność, mówił w swym wierszu, zstępuje do Włoch z gór alpejskich; przybywa w śpiewie tysięcy żołnierzy, którzy ją głoszą, na czele jej stoi młody wódz, pan zwycięstwa. W całym świecie runęły niesprawiedliwe rządy, tylko we Włoszech jeszcze panują. Włochy, niewolą spętane, leżą nieruchome, spokojne, w rozpaczy. Lecz oto wojna rozpoczyna się na ich własnej ziemi; widać pożary, poniszczone pola, idące legiony, krew płynie: wolność odnosi zwycięstwo!«

Italia, Italia, con fulgenti rai
Sul'orizzonte tuo sorge l'aurora
Annuziatrice di perpetuo sole.

Równocześnie prawie, a miał wtedy lat siedmnaście, wystąpił z tragedyą »Tieste«, wznawiając temat, który już najwięksi dramaturdzy wprowadzili na scenę. Młody Foscolo nie przeląkł się, że go poprzedzili w tej mierze Euripides, Seneka, Crebillon, Wolter i opowiedzieli tę najstraszniejszą fabułę greckiej mitologii, miłość Tyesta do bratowej Ajropy i wendettę jej męża Atreusza. Temat tragedyi, walka arystokracyi z demokracyą, podburzał lud wenecki przeciw uciskowi patrycyatu; to też przedstawienie (1797) dzieła miało niesłychane powodzenie, uderzało w chwilowe, polityczne namiętności. Już w pierwszym akcie zerwał się huragan oklasków, zwłaszcza że piękna artystka, Anna Fiorelli, z nadzwyczajnym przejęciem grała rolę Ajropy. Publiczność chwytała nadto skwapliwie słowa Tyesta, schlebiające ludowi, i przez dziewięć wieczorów powtarzano tragedyę młodego autora. Foscolo wziął sobie za wzór Alfierego i pierwszy odpis swego dzieła posłał »wielkiemu tragikowi Włoch«, prosząc go, aby przyjął pracę »młodzieńca, urodzonego w Grecyi«.

Powodzenie na scenie otwarło Foscolowi najpierwsze salony pań weneckich: Giustiny Renier-Michel i Izabelli Teodochi-Albrizzi. Pani Albrizzi, pomimo, że o wiele starsza od niego, obdarzała go zrazu sympatyą, gdyż w jej żyłach także grecka krew płynęła, a później wywiązało się u niej głębsze uczucie ku poecie. Pindemonte nazwał ją mądrą Izabellą »saggia Isabella«, ale, jak wiadomo, mądrość z sercem nic nie ma do czynienia. Pomimo że wiele listów, jakie biegały pomiędzy Izabellą a Foscolem, zostało poniszczonych, przecież sądząc po wiadomościach, które nas doszły, nie ulega prawie wątpliwości, że młody poeta i piękna Izabella pałali ku sobie gorącą miłością. Pierwszy okres, najbardziej namiętny, tych uczuć odnieść trzeba do lat 1795—6; później odwiedzał poeta przy każdej sposobności Izabellę, a po wydaniu »Ostatnich listów Jakóba Ortis« podpisywał się w listach do niej »Il tuo Ortis«.

Biografów Foscola bardzo ten romans obchodzi, gdyż

do Izabelli, przytaczanej pod pseudonimem Laury albo Lauretty, mają się odnosić niektóre z jego poezyi, a przedewszystkiem elegia »Rimembranze«, w której się poeta upaja wspomnieniem pierwszego pocałunku.

Odą do Bonapartego i pierwszym okresem romansu z panią Teodochi-Albrizzi zamyka się młodość Foscola. Polityczne wypadki zagłuszyły romanse i zachwiały wiarę w Napoleona. Traktatem z Campo Formio »odstąpił« Bonaparte Wenecyę Austryi; dla poety rewolucyonisty, dla autora ody, wsławiającej Napoleona, nie było już miejsca w ojczystem mieście. Będąc na liście najzagorzalszych demokratów, usunął się od możliwych prześladowań, wyjechał do Lombardyi, przyjął obywatelstwo rzeczypospolitej Cysalpińskiej i zamieszkał w Medyolanie, gdzie został dyrektorem dziennika »Monitore Italiano«, założonego przez kilku młodych patryotów.

Odstąpienie Wenecyi Austryi bardzo ochłodziło zapały Foscola ku Francuzom; dwudziestego stycznia 1798 r. pisał w swoim »Monitorze«, że »wczoraj weszli Niemcy do Wenecyi, gdzie zostali przyjęci z entuzyazmem, właściwym Wenecyanom. Dzięki zdradzie i zdzierstwu francuskiemu, doszliśmy do tego, że pragniemy Niemców«.

Dla policyi rzeczypospolitej Cysalpińskiej był »Monitor« zanadto radykalnem pismem; Direttorio cisalpino zawiesiło wydawnictwo, a Foscolo znalazł się bez utrzymania. Wtedy wstąpił do armii cysalpińskiej, został przydzielony do ministerstwa wojny w Medyolanie, brał udział w kilku potyczkach, otrzymał nawet od swego dowódcy pochwałę, że jako lejtnant »s'est comporté avec bravoure et distinction, et a encouragé ses camerades avec l'ardeur d'un vrai Republicain«. To mu nie przeszkadzało w wolnych chwilach pisać miłosne canzonetty, których ideałem nie była już Laura, ale jakaś Eloisa. Eloisa nie widziała jednak szczęścia w stosunku z młodym wojskowym i wyszła za mąż, co dało poecie sposobność do ułożenia wierszy, wymyślających na niewierność kobiet.

Ugo nie brał sobie wszakże bardzo do serca podobnych zawodów. W Medyolanie poznał się z poetą Montim i jego żoną, prześliczną Teresą Pikler. Teresa była lwicą Cisalpiny;

wybornie jeździła konno, bałamuciła wojskowych i cywilnych młodzieńców, w czem jej małżonek, pragnący spokoju do pisania swych poezyi, bynajmniej nie przeszkadzał. Miał słabość do orderów, obrzucał swymi poetycznymi kwiatami z równą łatwością dwór rzymski, rewolucyę francuską, nieszczęśliwego Ludwika XVI i jego katów. Raz idealizował wolność republikańską i drzewo ozdobione frygijską czapką, innym razem wracał do krzyża, jako symbolu religii chrześcijańskiej. Monti więc nie miał czasu zastanawiać się nad swoją piękną Teresą, pozostawiał innym tę troskę, tem bardziej że całe życie wylewał jady na Alfierego i Pariniego, obawiając się, aby ci poeci nie zajęli na Parnasie należnego mu miejsca. Na Alfierego wymyślał, że to:

Apostol furibondo
Che virtù gridi e al cuor maligno in fondo
Nè fè, nè carità, nè Dio ricordi.

Romans z Teresą trwał krótko i nie pozostawił śladów w poezyach Foscola; przydzielony do armii w Bolonii, musiał opuścić Medyolan. Zresztą w tkliwem jego sercu zamieszkała inna, może nie tak piękna, ale znacznie młodsza. W drodze do Florencyi poznał Izabellę Roncioni, która mu później posłużyła za ideał, uwielbiany przez nieszczęśliwego bohatera powieści »Listy Ortisa«. Foscolo wstępował jednak do cysalpińskiego legionu w stopniu kapitana sztabu jeneralnego; walczył pod Cento, nad Trebią, nie było czasu na idealne romanse. Należał do armii Masseny w oblężonej Genui, gdzie mimo głodu i strasznych przejść w mieście, zamkniętem od morza i lądu, znalazł powód i czas do pisania miłosnych sonetów.

Najpiękniejsza kobieta Genui, Luigia Pallavicini, jechała razu pewnego konno Rivierą di Sesti, gdy rumak z jakiegoś powodu się przestraszył, zerwał wędzidło i zrzucił amazonkę tak nieszczęśliwie, że o mało nie wpadła do morza. Nie wyszła jednak bez szwanku z tego wypadku; zraniona w twarz, musiała zakrywać odtąd jedno oko lekkim welonem. Młodzież genueńska bardzo się Luigią zajmowała, posypały się udatne lub mniej zręczne wiersze. Najwspanialszą odę »A Luigia

Pallavicini caduta da cavallo« ułożył Foscolo, a liryczne tchnienie otworzyło mu bramy jej pałacu i tajemne wejście do serca markizy. Była to jedna z największych zdobyczy kapitana sztabu. Inna podobna oda, napisana później z powodu wyzdrowienia Antonietty Fagnani-Arese pod tytułem: »All'amica risanata«, uchodzi za najbardziej liryczną w literaturze włoskiej; znać w niej wpływ starożytnej greckiej poezyi Pindara i Safony, jak wogóle duch Foscola czerpał zawsze swe natchnienie z Grecyi »di nativo aer sacro«.

Podczas gdy Foscolo układał swoją odę do Pallavicini, spadł Bonaparte, jak piorun, na nieprzyjacielskie armie, oblegające Genuę, doprowadzoną do ostateczności. Odniósł wiekopomne zwycięstwo na równinach małej wioski Marengo, a Lombardya zmieniła znów panującego, z austryackiej prowincyi stała się francuską. Napoleon wszedł do Medyolanu, a Foscolo śpiewał:

Tutta d'armi tùonar l'Alpe s'udio
E in maestade alteramente onesta
Un guerrier discendea pari al Dio.

Polityczne wypadki nie przeszkadzały, że serce i wyobraźnia Foscola ciągle były zajęte. Dziewiątego stycznia 1801 r. otrzymał list od Izabelli Roncioni, w którym mu piękna Florentynka donosi, że mimo miłości dla niego musi poświęcić serce twardej woli ojca i wyjść za mąż za Leonarda Bartolomei z Florencyi, starszego człowieka, którego nie kocha. Ugo zmienił wskutek tego swoje »Ultime lettere di Jacopo Ortis«; zamiast Izabelli Albrizzi weszła tam Izabella Roncioni. Poeta, natchniony Wertherem Goethego, oddał w powieści rozpacz za kochanką, ale uszlachetnił jeszcze swe cierpienie bólem za utraconą ojczyzną, za Wenecyą. Uczucia swe osnuł na prawdziwej historyi dawnego przyjaciela, Girolama Ortis, studenta z Padwy, który sobie życie odebrał z powodu nieszczęśliwej miłości.

Romans Foscola nie jest arcydziełem; ale poeta tak

umiał w nim trafić w patryotyzm i patetyczno-romantyczny sentymentalizm społeczeństwa, że książka pozyskała sobie niebywałą popularność we Włoszech, gdzie w XIX wieku doczekała się około pięćdziesięciu wydań i została przetłómaczoną na kilka obcych języków[1].

Do popularności Listów Ortisa i to się przyczyniło, że były we Włoszech nową formą psychologicznego romansu, w którym miłość zupełnie inaczej, głębiej była traktowaną, aniżeli w powiastkach Boccacia, Castego i innych.

Jako kapitan jeneralnego sztabu zamieszkał Foscolo w Medyolanie, który się miał stać dla niego Kapuą. Przybył tam, opromieniony sławą poety i zdobywcy serc kobiecych; najpiękniejsze też oczy ku niemu się zwracały. Do lwic towarzystwa należała Antonietta, małżonka hrabiego Arese, która po matce, markizie Fagnani, odziedziczyła urodę i załotność. Sterne opowiada, że podczas swego pobytu w Medyolanie spotkał hrabinę Fagnani w progu sali koncertowej. Sterne chciał wejść do sali, podczas gdy madame wychodziła. Uderzony jej pięknością tak się niezgrabnie znalazł, że kilka razy zastąpił jej drogę nie usprawiedliwiwszy się nawet. Aby swą niegrzeczność naprawić, pobiegł za nieznajomą, aby jej rękę podać przy wsiadaniu do powozu.

— Proszę mi darować — rzekł do niej — ale sześć razy starałem się pani wyjście ułatwić.

— A ja sześć razy chciałam panu drogę do sali otworzyć.

— O, gdyby niebo było panią natchnęło, aby po raz siódmy stanąć mi w drodze!

— Całem sercem — odpowiedziała markiza i zaprosiła go, aby zajął obok niej miejsce w karecie.

Córka takiej matki była doświadczona w podbijaniu serc, a zauważywszy raz Foscola w teatrze della Scala, prosiła jednego ze znajomych, aby go jej przedstawił. Antonietta nie potrzebowała długiego czasu, aby poetę zaprządz do swego rydwanu. Ugo wynajął piękne mieszkanie, gdzie potajemnie

---

[1]) Między innymi także na polski: »Hugo Foscolo. Listy Jakuba Ortis. Z włoskiego przełożył Adam Grąbczewski«. Lwów 1885.

mógł przyjmować hrabinę; ubrał swego służącego w świetną liberyę, w zielony kubrak, popielate spodnie z czerwonemi wypustkami, trójgraniasty kapelusz, sobie sprawił wspaniałe futro — to wszystko za pożyczone pieniądze. Aby zapełnić pustą kieszeń, zaczął grać po nocach faraona, a miał od dawna skłonność do gier hazardowych. Chcąc dogodzić kaprysom Antonietty, dał się portretować Appianiemu, najpierwszemu wówczas malarzowi w Medyolanie, słowem, żył odpowiednio do stanowiska bogatej hrabiny. Co gorsza, Antonietta rada przywiązać do siebie Foscola, pobudzała go do zazdrości, otaczając się złotą młodzieżą, pomiędzy którą najpierwsze miejsce zajmował Petracchi, uprzywilejowany cicisbeo.

Życie Foscola zupełnie się paczyło; doprowadzony do rozpaczy, chciał wyzywać na pojedynek Petracchiego, ale zręczna kobieta, nie chcąc dopuścić do »skandalu«, tak umiała obydwu obałamucić, że Foscolo musiał pohamować swe gniewy, aby się nie ośmieszyć, bo Petracchi mu dowiódł, że ma do Antonietty prawo pierwszeństwa.

Romans ten pomnożył wszakże poetyczną spuściznę po Foscolu; prócz wspomnianej ody do Antonietty, przychodzącej do zdrowia, zostały listy poety, pełne prawdziwie południowego żaru. Gdy stosunek Foscola do hrabiny dobiegał kresu, miały wzajemne listy być spalone; poeta sumiennie dotrzymał obietnicy, zniszczył pisane czułości Antonietty, hrabina jednak wolała pokazać światu, jak głęboką umiała wzbudzać namiętność, i dzięki temu mamy jego listy drukowane.

II.

Bonaparte organizował właśnie wielki obóz w Boulogne-sur-mer, aby zagrażać nim Anglii. Wysłał tam także oddział wojska włoskiego, do którego należał i Foscolo w randze kapitana piechoty. Poeta nie miał wszakże w duszy tej nienawiści do Anglików, co jego wódz naczelny, i w owych czasach zawiązał stosunek z młodziutką wyspiarką o jasnych włosach; owocem tej przelotnej miłości była piękna dziewczynka, o której później pomówimy, jako o Miss Floryanie.

Upośledzenie włoskich wojskowych przez Francuzów, niemożliwość awansu skłoniły Uga do wystąpienia z armii napoleońskiej i powrotu do ojczyzny, do Wenecyi w r. 1806. Tam na krótki czas odnowił swój stosunek z hrabiną Albrizzi, a następnie zamieszkał w Brescyi.

Kobiety były słupami milowymi burzliwego życia Foscola. W Brescyi staje przed nami, jako duch opiekuńczy, hrabina Marya Martinengo o czarnych, palących oczach, kobieta, która miała dobry wpływ na poetę. Pod jej znakiem napisał najpiękniejszy swój poemat »Sepolcri« i zaczął tłómaczyć Iliadę Homera.

We wrześniu r. 1806 wydał rząd republikański dekret, zakazujący chowania zmarłych w kościołach, a zarazem łączący rozporządzenie, aby grobowce były jednakie, aby nie wyróżniały się jedne od drugich, ze względu na równość obywatelską. Takie rozporządzenie oburzyło poetę pomimo jego republikańskich zasad. Jakto? tacy ludzie, jak Dante, Macchiavelli, Alfieri nie zasługują na większe zaszczyty po śmierci, aniżeli prosty handlarz, który całe życie oszukiwał swych bliźnich? Pamięci geniuszów nie wolno uczcić nawet zewnętrznym znakiem? Melancholijne usposobienie zwracało od młodości wyobraźnię Foscola ku poezyi cmentarzy, ku powadze cyprysów; pociągał go zawsze, a nawet upajał urok grobowców, z upodobaniem czytał elegię Gray'a, wiersze Zaccarii, a przedewszystkiem poezye Younga. Zresztą był to dość powszechny kierunek poetycznych umysłów; Pindemonte napisał także poemat »Cimiteri« i idealizował smutek i melancholię:

Malinconia
Ninfa gentile
La vita mia
Consegno a te.

Foscolo zaczyna swój poemat od nagany i gromów, które rzuca na bogaty Medyolan za to, że bijąc medale eunuchowi Marchesemu, który swym głosem w szał wprawia publiczność, zapomina wystawić pomnik nieśmiertelnemu poecie Pariniemu. W starożytności były grobowce wielkich ludzi zachętą do cnoty; Alfieri uciekał przed ludźmi, którymi pogardzał, do Santa Croce, aby rozmyślać wśród pomników Dan-

tego, Michała Anioła, Machiavella, Galilea-Galilei, wśród tych czterech żywiołów, które według Byrona mogłyby stworzyć nowy świat.

W tym poemacie grobów są zarodki potężnego życia, w przeszłości Włoch jutrzenka przyszłości narodu. Dlatego też »Sepolcri« zostały hasłem nowej narodowej pracy i cała młodzież włoska zrozumiała, że to nie poemat śmierci, ale hymn zmartwychwstania.

Jest coś tytanicznego w tych wierszach jędrnych, pełnych siły, barwności, harmonii i muzyki słowa, a Carducci miał słuszność, gdy powiedział, że to jedyny poemat liryczny we Włoszech w wielkim stylu Pindara. Foscolo nazwał krótko swój poemat »Carme«, co odpowiadało temu wierszowi, jakby z bronzu odlanemu. De Sanctis utrzymywał, że to hymn, mający coś świętego w sobie, hymn kultu, opierającego się na najwznioślejszych uczuciach natury ludzkiej, kultu ojczyzny, rodziny, sławy, nieskończoności i nieśmiertelności, a jeden z francuskich krytyków, Etienne, wyraził przekonanie, że jak długo istnieć będzie historya włoskiej poezyi, tak długo poemat ten będzie czytany. »Sepolcri« zostały przetłómaczone, o ile nam wiadomo, cztery razy na niemiecki, dwa razy na grecki, raz na hiszpański i raz na łaciński język.

III.

W czasie swego pobytu w Brescyi został Foscolo w r. 1807 równocześnie z Canową wybrany deputowanym do rady państwa (Consiglio di Stato) rzeczypospolitej Cisalpińskiej. Nie naszą rzeczą wchodzić tutaj w działanie polityczne poety, tem bardziej, że w Medyolanie wolno było wprawdzie radzić, ale sprężyną działania był zawsze wicekról napoleoński. Na każdem jednak stanowisku, które poeta zajmował, bronił dzielnie swych demokratycznych zasad, zawsze był wielkim patryotą, a gdy go powołano na katedrę wymowy w uniwersytecie w Pawii, poruszył swoimi wykładami młodzież i cały świat literacki w Medyolanie. Po wstępnym wykładzie urządzili mu przyjaciele wspaniałą ucztę, która miała te złe na-

stępstwa, że Foscolo dość ciężko zachorował. Wskutek tego bankietu wróciło u niego usposobienie melancholijne, które już dawniej było zasadniczym tonem listów Ortisa. Zdaje się jednak, że poeta mimo złych humorów był dość przywiązany do życia, gdyż z wielką wytrwałością zażywał zawsze jakiś eliksir długiego życia i dekokty z chininy, a jeden z przyjaciół naśmiewał się z niego, że nie odbierze sobie życia, a powodem jego śmierci będą eliksiry.

Z epoki melancholii wyrwała poetę znowu miłość, tym razem do młodziutkiej contessy Franceski Giovio, nad jeziorem Como, miłość platoniczna, którą starał się wybić sobie z głowy czytaniem Alkoranu. W młodzieńczych latach w Wenecyi studyował biblię; teraz chciał poznać zasady moralności Mahometan, a gdy hrabia Giovio, trochę zdziwiony, zaczął z niego żartować, iż radby sobie przyswoić mahometańskie zwyczaje, Foscolo odpowiedział, że czyta Alkoran z wielkiem przejęciem, gdyż i ta księga, równie jak religia Abrahama, ma to samo źródło, Arabię, pisana jest tym samym stylem i opiera się na tym samym dogmacie o stwórcy, który będzie karał winy, a wynagradzał cnotę.

Życie swe jednak urządził Foscolo przecież trochę na podstawie zasad Mahometa, gdyż tyle miał stosunków z kobietami, że się w ilości jego ideałów już dziś rozeznać trudno. Próżności dogadzała młodziutka contessa, ale koniec końcem widział, że to romans bez przyszłości, bo rodzice panny byli najzupełniej przeciwni temu małżeństwu; to też, jak się zdaje, bez wielkiej boleści rozstał się z wiotkim ideałem, zwłaszcza, że równocześnie serce jego biło ku Lucyi Frappoli, żonie Gaetana Battaglii w Medyolanie, a nadto namiętną pałał miłością ku Maddalenie Bignami, czarującej bankierowej. Jak świadczy list, pisany złą francuszczyzną, znaleziony w jego papierach, nie wystarczały szerokiemu sercu włoskie kobiece ideały, gdyż nie pogardzał nawet Paryżankami, które ze zwycięską armią przybyły do Lombardyi. Do wszystkich tych pań, z wyjątkiem zapewne tych ostatnich, pisywał listy, pełne namiętnych zwrotów, w których zdaje się kipieć żar południowego serca; ale widocznie Foscolo wie-



Ugo Foscolo.
Według współczesnej ryciny.

Do str. 479.

rzył w te słowa tak długo, jak długo dyktowało mu je poetyczne usposobienie.

Owa miłosna korespondencya na wielkie rozmiary przeszkadzała jego autorskiej pracy; czuł to dobrze i skarżył się Brunettemu, że »głupi, głupi, bo nic nie robi, mało czyta, a dnie przechodzą mu w ten sposób, iż żadnej pamiątki po sobie nie zostawi«.

Gdy rząd francuski zniósł katedrę wymowy w Pawii, trzeba było zarabiać na życie i nastąpiło otrzeźwienie. Pisał więc krytyczne artykuły do »Giornale di Scienze, lettere ed arti«; gwałtowny jednak, jak zawsze, poruszył ostremi krytykami przeciw sobie cały świat literacki i z tego powodu zerwała się burza. Naśmiewano się, że Foscolo:

Con barba incolta e tutto rabbuffato:
Sospirava, torcea gli occhi traversi
Insomma egli facea de' brutti versi.

Do owej epoki odnosi się zapewne jego portret, rozpowszechniony w drzeworycie, na którym poeta wychudły, schorowany, z zapadniętemi oczyma i rozczochraną brodą, szuka widocznie natchnienia, aby wiersze pisać.

Tak źle jednak nie było; Foscolo rozpoczął wtedy swe »Gracye«, poemat, o którym jeszcze mówić będziemy i skończył w połowie roku 1810 »Ajaksa«, długą tragedyę w 1750 wierszach, która została wystawiona piętnastego października tego samego roku w teatrze »La Scala«. Teatr był przepełniony świetną publicznością, pomiędzy nią kilka pań, z któremi poeta miał stosunki. Treścią tragedyi była niezgoda, która wybuchła pomiędzy Grekami pod murami Troi. Pierwszy i drugi akt dość chłodno zostały przyjęte, tak, że Foscolo cichaczem wyszedł z teatru, aby się nie pokazywać publiczności. I dobrze, że opuścił salę, bo nieprzyjaciele poety skorzystali z jednego wyrażenia w tragedyi, aby autora okryć śmiesznością. W Medyolanie sprzedawano od dawien dawna rodzaj kiełbasek, które zwano »Salamini«; kiedy się więc arcykapłan grecki ukazał na scenie i zwrócił do publiczności, deklamując wiersz, zaczynający się od słów »Oh, Salamini«, »Och, mieszkańcy Salaminy!« — powstała taka wesołość w tea-

trze, że podczas następnych przedstawień tragedyi musiano opuścić fatalne słowo.

Gorzej było wszakże z czterowierszem, który dał powód do wyszukania w tragedyi rozmaitych aluzyi politycznych, wymierzonych przeciw Napoleonowi. Bonaparte przygotowywał właśnie rosyjską wyprawę, a Ajax deklamował:

A traverso le folgori e la notte
Trassero tanta gioventù, a giacersi
Per te in esule tomba, o per te solo
Vive devota la morte.

W postaci Ajaxa dopatrzono jenerała Moreau, który popadł w niełaskę u Napoleona, w najwyższym kapłanie Piusa VII, wygnanego do Francyi, w dumnym Agamemnonie samego Napoleona, a w zdradzieckim i złośliwym Ulissesie ministra policyi Foucheta.

Podejrzenie, że Foscolo miał na myśli te osobistości, rzucili nieprzyjaciele autora, literaci, a rząd, rozpatrzywszy się bliżej w tragedyi, przyszedł rzeczywiście do przekonania, że są w niej ustępy nieprzyjazne Francuzom i Napoleonowi. Foscola czekało albo uwięzienie, albo dobrowolne wygnanie. Wybrał to ostatnie, a odwiedziwszy jeszcze rodzinę w Wenecyi i hrabinę Albrizzi, udał się do Florencyi, gdzie zamierzał stale zamieszkać. Ale jak zwykle, czekały go w drodze przeszkody, piękne kobiety. W Parmie musiał się pożegnać z panią Bignami, a w Bolonii poznał czarującą donnę Martinetti, która była tak dziwnie podobną do bladej Bignami, że trudno się było w niej nie zakochać. Gdy przybył do Florencyi, obiecywał pani Martinetti wieczną miłość, zapewniając ją, że każdy nowy pocałunek na jego ustach byłby zbezczeszczeniem jej pamięci.

We Florencyi odwiedził przedewszystkiem hrabinę d'Albany, która pozwoliła mu korzystać z biblioteki zmarłego już wówczas Alfierego i bardzo uprzejmie go przyjęła, zapraszając na wieczorne zebrania w swoich salonach.

Pomiędzy sześćdziesięcioletnią hrabiną a Foscolem zawiązał się ciekawy stosunek. Rozum mówił hrabinie, że już nie może robić nowych zdobyczy, ale żal jej było przeszło-

ści, więc przynajmniej rada była się łudzić, piastować w swem sercu jakiś cień namiętności. Foscolo nadawał się do takiej »retrospektywnej« miłości, bo był sławnym poetą, pisał tragedye w duchu Alfierego, można było nad nim rozciągnąć niemal macierzyńską opiekę, a przytem kołysać się w swych snach sercowych. Charakterystycznym jest w tej mierze list, który pisała hrabina do Foscola później, gdy wyjechał z Florencyi. »Je vous regrette d'autant plus, skarżyła się, que vous ayant connu, je vous estime et je puis dire sans crainte que je vous aime; a mon age l'amitiė est un sentiment si pur qu'on ne doit pas rougir d'aimer celui qui merite d'ėtre. Ne croyez pas que je puisse vous oublier, mon amitiė pour vous est fondėe sur vos belles qualitėes, et je vous aimerai jusqu' au tombeau; je voudrais vivre dans la meme ville que vous, et que les jours que vous consacriez à votre amie (la Bignami) vous les donniez à moi«.

W tem ostatniem życzeniu czuć lekki odcień zazdrości. A podczas pobytu Foscola we Florencyi miała hrabina d'Albany dużo powodów do tego niemiłego uczucia, musiała ciągle walczyć pomiędzy swą rolą macierzyńską a ukrytą miłością do Foscola. Poeta, mimo bardzo nadwątlonego zdrowia, gdyż zapadał często na febrę, bezustannie zawiązywał nowe, lub odnawiał dawne stosunki i rzeczywiście należy zaliczyć do psychologicznych zagadek to nadzwyczajne szczęście, jakie miał u kobiet. Z licznego pocztu piękności, uprzyjemniających mu pobyt nad Arnem, wymienić trzeba Quirinę Magiotti, odgrywającą ważną rolę w jego życiu. Quirina, z domu Mocenni, była rodem z Syeny, gdzie jej matka, bardzo wykształcona kobieta, miała otwarty salon, w którym bywało dużo znakomitych Włochów i cudzoziemców. Już jako niezbyt młoda panna dała się nakłonić, aby wyjść za mąż, a właściwie zostać opiekunką bogatego idyoty, Magiottego we Florencyi. Ciężki ten obowiązek wykonywała z wielkiem poświęceniem, zajmowała się zarządem majątku męża; ale gdy poznała Foscola, nie mogła się oprzeć jego urokowi i zawiązała z nim stosunek. Po raz pierwszy zobaczyła poetę, idąc z Ponte Vecchio na Mercato Nuovo, a już wtedy, jak się później wyraziła, serce zaczęło jej bić gwałtownie na jego widok. Odwie-

działa go w chorobie, wspierała pieniężnie i na całe życie została mu wierną, oddaną przyjaciółką, pomimo że Foscolo nie oszczędzał jej uczuć i dawał jej ciągłe powody do zazdrości. »Gdybym mogła być mężczyzną i zamiast kochać być ci tylko przyjacielem!« powtarzała z goryczą.

Wpływ Quiriny na poetę był we Florencyi bardzo zbawienny; ukończył swą tragedyę »Ricciarda« i pracował dalej nad poematem »Le Grazie«, do którego nową pobudką była dlań marmurowa grupa trzech bogiń, rzeźbiona wówczas przez Canovę na zamówienie cesarzowej Józefiny. Foscolo mieszkał w willi Albrizzich, na lewym brzegu Arna, w przepysznem położeniu, w tym samym domu, »gdzie ongi Galileusz rozmawiał z gwiazdami«. W swych »Gracyach« zamierzał on skupić i upoetyzować wszystkie metafizyczne idee o pięknie. Zabierał się do tej pracy z całą sumiennością badacza filozofii i gromadził do niej materyały, jakby do metafizycznej rozprawy. Magiotti zachęcała go, aby połączył fragmenty poematu, które już w różnych czasach napisał, w jedną całość, i znacznie się do tego przyczyniła, że część wierszy została uratowana. Po śmierci Foscola nabyła jego rękopisy, pomiędzy którymi znajdowały się ułamki »Gracyi«, starała się je złożyć w całość; ale była to praca nad jej siły, dokonał jej natomiast poeta Orlandi, wydał »Carmen« w roku 1848 i tak umiał się w żyć w ducha autora, że w budowie poematu nie brakuje prawie cegiełki. Wielu włoskich krytyków stawia nawet »Gracye« wyżej nad »Sepolcri«. Zanadto śmiałe orzeczenie w tej mierze nie zdaje mi się właściwem; jeden i drugi poemat zawiera wiersze, a zwłaszcza opisy pierwszorzędnej piękności.

Możnaby pomyśleć, że »poważna miłość« signory Magiotti uspokoiła serce i ruchliwość Foscola. Rzecz miała się wręcz przeciwnie; różne powody skłaniały go, aby opuścić Florencyę. Przedewszystkiem tamtejsze plotkarki bardzo mu dokuczały; »każda z nich, pisał, ma sto oczów i trzysta języków«, a nadto dowiedział się, że w sierpniu r. 1812 umarł pułkownik Gaetano Battaglia, mąż Lucietty Frappoli, jednej z jego dawnych miłości. Więc czemprędzej pojechał do Medyolanu, aby się starać o jej rękę. Ale przybył za późno; Lu-

cietta wybrała już następcę po Battaglii, jenerała Fontanellego, który jej zapewniał lepszą przyszłość, aniżeli poeta. Zaczynały się w miłości zawody; Lucietta zapisała się jednak głębiej w pamięci Foscola, aniżeli wiele innych pań, z któremi miał stosunki, gdyż mu posłużyła do wykończenia charakteru »Ricciardy« w tragedyi tej samej nazwy, o której była już mowa.

Po katastrofie napoleńskiej pod Lipskiem powołał francuski minister wojny wszystkich wojskowych, którzy byli na urlopach, do czynnej służby, wskutek czego musiał Foscolo na stałe opuścić Florencyę, z żalem za Quiriną Magiotti, a z rozpaczą za jakąś młodziutką pięknością, którą porównywał do Wenery, uważając siebie za Marsa.

Wyjechał do Medyolanu i tam zastał nadzwyczaj smutny stan rzeczy. Paolo Bignami, bogaty bankier, zbankrutował, co Foscola bardzo obeszło. Małżonka bankiera, z domu Maddalena Marliani, była jedną z najpiękniejszych kobiet w Medyolanie, a przytem pełna wdzięku i rozumu. Wyszła za mąż za Paola w r. 1805; salony jej stały się wkrótce jednem z najcelniejszych ognisk umysłowego ruchu stolicy, mówiono, że Napoleon starał się o jej łaski, ale napróżno. Szczęśliwszym był Foscolo; we dwa lata po ślubie Magdaleny zawiązał z nią stosunek, piękna bankierowa odwiedzała go nawet w Pawii, gdy tam był profesorem uniwersytetu. Ale Bignami spostrzegł, że poeta za nadto się zaprzyjaźnił z jego żoną, i dom mu w r. 1809 wypowiedział. Po bankructwie Bignamiego odwiedził Foscolo donnę Maddalenę, aby się nie zdawało, że jej znać nie chce w nieszczęściu, jakie ich spotkało. Ale w Paolu na nowo się zazdrość obudziła; oświadczył w sposób przyjacielski poecie, że wprawdzie uważa uczucie zazdrości za »irragionevole«, ale nie może przezwyciężyć tej brzydkiej namiętności, i prosił go, aby w jego domu nie bywał.

Foscolo musiał się poddać temu wyrokowi, ale korespondencya pomiędzy nim a Maddaleną nie ustawała, lecz toczyła się dalej z pomocą wiernej pokojowej. Poeta nie mógł się jednak pocieszyć, a z listu, który pisał 8 stycznia 1814 r. do hrabiny d'Albany, wypadałoby, że Bignami była jedyną miłością w jego życiu. »Ta miłość, pisał do hrabiny, nie jest

już raną, ale zastarzałym wrzodem, nie dającym się wyleczyć. Wiem, że moje uczucie beznadziejne, zgubne, zwalczam je, ale gorączka wraca z tem większą siłą. Ta namiętność przygłusza wszystkie nadzieje i marzenia o ojczyźnie, o sławie, o niepodległości...«

Nie koniec na bankructwie Bignamich; dekret rządowy ogłaszał, że procenty od kapitałów, złożonych w Monte Napoleone, nie będą nadal wypłacane obywatelom weneckim, a tem samem tracił Foscolo dochód z swego majątku i pozostawała mu tylko pensya dwu tysięcy lir. Polityczne wypadki przyczyniały się jeszcze bardziej do melancholii poety; olbrzymie napoleońskie państwo rozpadało się, w Medyolanie zapanowała anarchia, skrajne żywioły wszczęły rewolucyę, która dała powód austryackim wojskom do wkroczenia do Lombardyi.

W tych czasach rozum i doświadczenie hrabiny d'Albany wielką były dlań podporą. Korespondencya pomiędzy Foscolem a hrabiną bardzo się ożywiła. »Czyś nareszcie zastanowił się nad tem, pisała, że ostatecznie trzeba się wyrzec cudzej żony? Oddaj się najzupełniej literaturze, studyom i nie trać czasu, a licz zawsze na moją szczerą przyjaźń i wyrozumiałość na wybryki twojej wyobraźni«.

Zrażony anarchią i gospodarstwem demagogów, powitał Foscolo z nieudanem zadowoleniem ład, jaki zapanował, gdy głównodowodzący austryacki, jenerał Bellegarde, człowiek zacny i spokojny, objął rządy. »Nie tylko ja, donosił hrabinie, ale wszyscy rozsądni ludzie błogosławią ojcowskie umiarkowanie austryackiego rządu«. O swoich współziomkach tak złe miał wyobrażenie, iż powiedział: »Stu Likurgów, dziesięć tysięcy Timoleonów, sto tysięcy Washingtonów z milionem spartańskich rycerzy nie znalazłoby sposobu utworzenia z Włochów jednego narodu«.

Nie dziw więc, że gdy cokolwiek ochłódł, do czego niemało przyczyniły się uwagi hrabiny d'Albany, powziął myśl, aby swojego talentu literackiego użyć na uspokojenie umysłów i doprowadzenie ich do równowagi. Przedłożył więc marszałkowi Bellegarde projekt gazety, któraby zgromadziła około siebie poważne umysły i działała w tym duchu. Po-

mimo bardzo niekorzystnej opinii policyi o Foscolu, która go uważała za zapaleńca, ateusza, nie uznającego zasad obyczajności i moralności, za próżniaka, włóczącego się z kawiarni do kawiarni, zgadzał się Bellegarde na skorzystanie z jego talentu, gdy w tej mierze nieprzewidziana zaszła przeszkoda.

Władze wojskowe zażądały, aby 1 kwietnia 1815 r. wszyscy oficerowie rozwiązanej armii włoskiej złożyli przysięgę wierności nowemu panującemu. Foscolo miał przed sobą wybór: albo objąć redakcyę dziennika, o który się układał z rządem, albo emigrować. Udał się do policyi, aby go uwolniono od przysięgi ze względu, że odmówił podobnej przysięgi rządowi włosko-francuskiemu. Prośba ta zdawała się policyi bardzo podejrzana, zaczęto śledzić Foscola, czy nie należy do jakiego sprzysiężenia przeciw Austryi. Poeta dowiedział się o tem i dość lekkomyślnie, gdyż nie był członkiem żadnego spisku, uciekł potajemnie do Szwajcaryi.

Marszałek Bellegarde wyraził się później przed bratem Uga, Giuliem Foscolo, że poeta źle postąpił, bez zastanowienia gdyż we dwa dni po jego ucieczce nadeszło z Wiednia pozwolenie, aby objął redakcyę nowego dziennika.

IV.

Swym wyjazdem z Włoch ściągnął Foscolo na siebie gniew i wyrzuty hrabiny d'Albany; przebaczyła mu przelotne romanse, ale sądziła, że zanadto jest do niej przywiązany, aby bez koniecznej potrzeby zamykał sobie powrót do Florencyi. »Il faut des fortes raisons, pisała do niego, pour habiter Suisse, quand on est né au Zante«. Bardzo zabolało Foscola, gdy mu zarzuciła, że chce uchodzić za człowieka oryginalnego, i dała do zrozumienia, że dla tej próżnostki opuścił kraj rodzinny. Poeta odpowiedział jej na to posądzenie listem, pełnym goryczy i rzec można, że od tego czasu wzajemne ich sympatye bardzo oziębły.

Foscolo zamieszkał na razie w kantonie Graubünden, ale wkrótce spostrzegł, że policya szwajcarska, chcąc się przysłużyć Austryi, śledzi go na każdym kroku. Zaraz na wstępie do

»wolnego« kraju o mało że nie wpadł w pułapkę. Swoim zwyczajem zaczął romansować z jakąś ładną właścicielką gospody, do której zajechał; na nieszczęście kochał się w niej także oficer miejscowej załogi i zadenuncyował cudzoziemca policyi. Obawiając się uwięzienia, przeniósł się poeta do Hottingen koło Zurychu, gdzie wynajął pokój u protestanckiego pastora. Było mu tam bardzo zimno i samotnie, a co gorsza, fundusz podróżny się wyczerpał i gdyby jego gwiazda opiekuńcza, Magiotti, »La donna gentile«, jak ją nazywał, nie wybawiła z pieniężnych kłopotów, to początek wygnania byłby był bardzo smutny.

Poeta opisywał Szwajcarki, że wszystkie są blondynkami o czerwonej cerze i mają rybie oczy, ale mimo to zaraz się w jednej z nich zakochał, w żonie bankiera Pestalozza z Zurychu, do którego miał przekaz na pieniądze z Włoch. Ale pani Pestalozza uczyła się po włosku od jakiegoś Toskańczyka i młodzieniec miał u niej większe powodzenie, aniżeli poeta. Foscolo wpadł w szał zazdrości, napisał bardzo nieroztropny list do bankiera, w którym mu niemal wyznawał swą miłość do jego żony i zwracał uwagę na niebezpiecznego Toskańczyka. Na szczęście Pestalozza nie wierzył, aby mu żona była niewierną i zazdrość Foscola nie narobiła tyle nieszczęścia w rodzinie bankiera, ileby narobić mogła.

Mimo tych miłosnych »intermezzów« Foscolo przygotowywał wydanie swych poezyi, czytywał książki w bibliotece w Zurychu, gdzie odnalazł jeden z rękopisów Syeneńczyka Socina, i pisał dużo prozą. Ale policya szwajcarska nie dawała mu spokoju; poeta obawiał się, aby go nie wydano Austryi, postanowił więc przenieść się do Anglii. Na podróż potrzebował jednak znacznych funduszów; napisał więc do swego przyjaciela, Silvia Pellica, aby sprzedał jego bibliotekę. Zacna Quirina Magiotti dowiedziała się o tem, kupiła potajemnie owe książki za dużo wyższą cenę, aniżeli były warte, i w ten sposób umożliwiła poecie podróż do Anglii.

Foscolo przybył do Londynu dwunastego września 1816 r., a znajomy Anglik Rose zapoznał go z wyższem towarzystwem. Poeta zaczął więc żyć na dość szeroką skalę, sądząc, że to się przyda do wyszukania jakiego korzystnego stanowi-

ska. Potrzebował na swe utrzymanie 12.000 lir rocznie, a przywiózł ze sobą zaledwie kilka tysięcy. Na domiar złego zachorował i jakiś czas nie zarabiał piórem, a wyzdrowiawszy, znowu zaczął żyć w wielkim świecie, gdzie go polubiono, gdyż umiał być bardzo miłym w towarzystwie i zadziwiał swoją erudycyą. To bywanie w domach arystokratycznych schlebiało jego miłości własnej, ale zamiast przynosić mu materyalne korzyści, coraz więcej go kosztowało. Jedynym ratunkiem było pisywanie bardzo poszukiwanych rozpraw i artykułów do »Edinburg Review« i do »Quarterly Review«, a osobliwie rozprawa o Dantem wyrobiła mu głośne imię w Anglii. Ale artykuły te, pisane po włosku, musiał dawać tłómaczyć na język angielski, co pochłaniało znaczną część jego honoraryów.

Nie umiał się zastosować do swego stanowiska ubogiego emigranta w Anglii i zdawało mu się, że nie tylko zdoła żyć na wielką stopę, ale i potrafi się ożenić z jaką piękną i zamożną wyspiarką. Czytając i tłómacząc sonety Petrarki w rodzinie Russel, gdzie były cztery córki, zakochał się, oczywiście w najpiękniejszej, w Karolinie, zaczął pisywać do niej miłosne listy, starał się ją przekonać, że dusza potrzebuje miłości i doprowadził do tego, że panna uciekła przed jego afektami do Szwajcaryi, do siostry. Tej nieszczęśliwej miłości zawdzięcza jednak literatura nadzwyczaj piękną książkę »Saggi sul Petrarca«, najcenniejszą, jaką napisał w Anglii.

Na chwilę zabłysła mu jeszcze w Londynie nadzieja lepszej przyszłości. Jak tylko przybył do Anglii, zaczął się wypytywać o ową blondynkę, z którą miał romans, służąc w armii napoleońskiej we Francyi. Po dłuższych poszukiwaniach dowiedział się, że owa Angielka wyszła za mąż, a córkę, miss Florianę, oddała swej matce na wychowanie. Zdaje się, że Foscolo bliżej się zapoznał z babką swej córki; gdy bowiem staruszka umarła, egzekutorowie testamentu powierzyli dziewczynkę poecie i oddali mu zarząd jej posagu, wynoszącego trzy tysiące funtów szterlingów.

Opiekunowie miss Floriany nie wiedzieli nic o lekkomyślności poety. Z ich zezwoleniem zadzierżawił on dla córki na lat 99 jakieś grunta w pobliżu Londynu, na których wy-

stawił trzy czynszowe wille. Ale jednę z nich wynajął dla siebie i tak urządził, aby, jak się wyrażał, mieszkać w ziemskim raju. »Pragnę, pisał do jednego z przyjaciół, umrzeć jak gentiluomo, w łożu, otoczonem popiersiami Wenery, Apollina, trzech Gracyi i wielkich mężów starożytności. Wokoło willi zasadzę kląby kwiatów, a jeżeli los pozwoli, będą mnie dochodziły tony muzyki, gdy będę wydawał ostatnie tchnienie. Za życia jeszcze wybuduję sobie grobowiec pod wschodnim platanem, który zasadzę w przyszłym listopadzie i będę go pielęgnował do końca życia«. Ten swój mniemany raj nazwał Foscolo »Digamma Cottage«.

Wkrótce jednak wierzyciele obudzili go ze snu poetycznego; jeszcze nie zdołał ukończyć urządzenia willi, a długi wynosiły już przeszło 600 funtów szterlingów. Wtedy jakaś starsza Angielka, Lady Dacre, która mu dobrze życzyła i ceniła jego talent, namówiła go, aby dawał lekcye języka i literatury włoskiej. Foscolo uważał ten projekt zrazu jako uwłaczający jego godności; ale praktyczna lady rozwiała jego skrupuły, pisząc mu, że zawsze, czy chodząc za pługiem, czy naprawiając trzewiki, będzie Ugiem Foscolem.

Poeta posłuchał dobrej rady, a jedną z pierwszych jego uczennic była młodziutka Matylda Hobhouse, krewna Hobbousa, przyjaciela Byrona. Niepoprawny, zakochał się znowu w panience i pisywał do niej czułe listy, dopóki mu matka uczennicy nie zamknęła drzwi swego domu.

Wykłady o literaturze włoskiej nie przynosiły tyle, aby Foscolo mógł mieszkać w Digamma Cottage, zwłaszcza, że zdrowie jego bardzo się pogorszyło i melancholia tak go opanowała, że czytał ciągle starożytnych autorów, aby z nich zaczerpnąć siłę i odwagę do przezwyciężenia fizycznych i moralnych cierpień. Musiał sprzedać ulubioną willę, przenieść się do miasta i żyć w najuboższej części Londynu, gdzie, jak pisał, mężczyźni biją się pomiędzy sobą od piątej z rana, a wieczór wracają do domu pijani, gdzie regularnie co roku każda kobieta wydaje na świat przynajmniej jednego potomka, a starsze dzieci biegają i wyprawiają wrzaski po ulicy, aby za to otrzymać w domu krwawe nieraz cięgi.

Poeta wychodził z domu tylko w niedzielę, gdyż w dzień

świąteczny nie mogli go aresztować wierzyciele; ale mimo to kilka dni był zamknięty za długi i dopiero go wykupił Sir Hudson Gourney, któremu był poświęcił swą książkę o Dantem.

Pomoc pana Gourney pozwoliła poecie wziąć trochę lepsze mieszkanie, gdzie »miał przynajmniej czyste łóżko i dobrą wodę«; ale chory, nadzwyczaj mało mógł piórem zarabiać i ciągle mu na myśl przychodził wiersz Dantego:

....Nessun maggior dolore
Che ricordarsi del tempo felice
Nella miseria.

Wyobraźnia jednak jeszcze go nie opuszczała, marzył o tem, aby otrzymać jaką posadę na angielskich wówczas wyspach jońskich, zamieszkać w Zante, tam, gdzie stała jego kolebka. Ba, nawet tak wierzył w te piękne marzenia, że prosił jednego ze znajomych Anglików, który miał właśnie udać się na Zante, aby mu wyszukał mieszkanie z ogrodem i winnicą, skądby mógł spoglądać na morze i żyć jeszcze w tym raju. Marzenia się jednak nie spełniły, Foscolo nie otrzymał żadnej posady od rządu angielskiego, a zresztą był już tak chory, że nie mógłby przedsięwziąć dalekiej podróży. Pocieszał się w jednym ze swych listów, że ostatnie trzy lata utrapień i nędzy były pokutą za błędy, które w życiu popełnił.

W tej ostatniej, smutnej epoce życia znalazł Foscolo wszakże podporę, której się mieć nie spodziewał. Córka jego Floriana, mimo że dawniej o niej nie myślał i majątek jej przetrwonił, była teraz jego jedyną pociechą. Pielęgnowała go w chorobie i była przytomną jego śmierci.

Wydawcy, którzy mu byli jeszcze winni nieznaczne kwoty, dowiedziawszy się o smutnych stosunkach poety, podsyłali mu część pieniędzy, tak, że nie potrzebował w ostatnich chwilach cudzej pomocy, pomimo że Hudson Gourney ofiarował mu pożyczkę.

Foscolo umarł 10 września 1827 r. na wodną puchlinę szukając ukojenia w czytaniu biblii, dopóki jeszcze był przytomny. Został pochowany na cmentarzu wiejskim Chiswick, a w r. 1871 popioły jego zostały przeniesione do Florencyi.

Głównym jego nieszczęściem było, że nie umiał pohamować swych namiętności; zgubiła go miłość. Czuł tak dalece jej panowanie nad sobą, że zakończył jeden z sonetów zapewnieniem, że nieśmiertelna, wszechwładna miłość pójdzie za nim, choćby pomiędzy cienie piekielne.

....Amor fra l'ombre inferne
Sequirami immortale, omnipotente.

Trzysta wierszy poematu »Sepolcri« zmazało winy Foscola.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

LORD BYRON WE WŁOSZECH.

I.

Romantyzm powstał na Północy, po części w Niemczech, po części w Anglii i we Francyi, gdzie się rozwinął pod wpływem indywidualizmu Rousseau'a. We Włoszech objawił się dopiero wtenczas, gdy Cesarotti przetłómaczył Ossiana. Cesarotti był w literaturze umysłem rewolucyjnym, ale obalić nowoklasycyzm i dawne bogi nie należało do łatwych zadań. Monti skarżył się, że zuchwała szkoła północna, skazując na śmierć Wenery, Junony, Proserpiny, które w pięknych baśniach ozdabiały literaturę grecką i łacińską, rozsiała postrach w wielkiem królestwie Muz.

Audace scuola boreal, dannando
Tutti a morte gli dei, che di leggiadre
Fantasie già fiorir le carte argive
E le latine, di spaventi ha pieno
Delle muse il bel regno.

Nowoklasycyzm miał takich przedstawicieli, jak Alfieri, jak Parini i Foscolo, a ci poeci nieśli w swych wierszach odrodzenie Włoch. Ale ataki na nowoklasyków zaczynały być w początkach XIX wieku coraz potężniejsze, zwłaszcza, że przedstawiciele romantycznego kierunku w literaturze upodo-

bali sobie włoską ziemię, aby kąpać swą wyobraźnię w południowem słońcu.

Ma divine Italie, oh! mere de beaute,
Terre de grand savoir et de simplicité,
Ou le mourir est calme e le vivre facile

śpiewał jeszcze Antony Deschamps, a teraz odbywał się formalny najazd apostołów romantyzmu, osobliwie Francuzów i Anglików. Chateaubriand, Mme de Stael, Lord Byron, Shelley, Lamartine, Keats i wielu pomniejszych czerpali swe natchnienia we Włoszech, stykali się z przedstawicielami tamtejszej literatury, a dzieła ich, jak »Genie du Christianisme«, »Corinne«, »Méditations«, »Pielgrzymki Childe Harolda«, »Cenci« mogły tylko schlebiać Włochom i okazywać zalety romantyzmu.

Bez właściwego powodu zaczęto łączyć romantyzm z patryotyzmem i odrodzeniem narodu, jak gdyby Alfieri lub Parini, pomimo, że byli klasykami, nie działali w tym samym kierunku. Dość, że romantyzm i patryotyzm stały się prawie synonimami, a w Medyolanie najskłonniejszych do politycznych i literackich nowości nawoływano najprzód do usunięcia dawnych nałogów i zabobonów, do odrzucenia zużytej mitologii i napuszystej poezyi. Młodzi literaci, jak Silvio Pellico, Giuseppe Borzieri, Camillo Ugoni, i kilku innych założyło w r. 1818 czasopismo »Conciliatore«, którego hasłem było popularyzować literaturę i obudzać ducha narodowego. Pismo to z powodu trudności, jakie mu stawiała cenzura, istniało tylko kilkanaście miesięcy; ale myśli zostały rzucone, powstali nowi pisarze pod hasłem romantyzmu. Na czele ich stał wnuk po matce słynnego prawnika Cesara Beccaryi, Alessandro Manzoni. który swym romansem »I promessi sposi«, pokrewnym powieściom Walter-Scotta, uzyskał zaraz nadzwyczajny rozgłos.

W chwili, kiedy w Medyolanie zaczęto staczać walkę ze starą literacką szkołą, zstąpił z Alp na lombardzkie równiny arcyromantyk angielski, Lord Byron, jakby przybywał na pomoc włoskiej młodzieży. Wpływ jego był wielki już tem sa-

mem, że w Byronie poznano zaraz przyjaciela Włoch, który pragnie odrodzenia rozbitego dotąd narodu.

Anglię opuścił poeta w towarzystwie swego przyjaciela Johna Hobhouse, późniejszego lorda Brougton, 8 marca 1816 r. przygnębiony, pełen żalu i troski. Jego stosunek z matką, bo ojca stracił w dzieciństwie, był przykry. Mrs. Byron gwałtowna, gniewliwa, kochała syna z daleka; ale gdy się z nim znalazła pod jednym dachem umiała mu dokuczać w najboleśniejszy sposób, już to z powodów majątkowych, już to z innych, jakie się właśnie nastręczały. Zażarte walki trwały nieraz godzinami, a młody lord czuł się szczęśliwym, jak tylko mógł uciec od matki. Mrs. Byron nie mogła darować synowi, że był cokolwiek ułomny, że utykał na jedną nogę, pomimo, że sama była tego przyczyną, gdyż przez nieodpowiednią wstydliwość nie użyła przy narodzeniu się dziecka potrzebnej pomocy i przycisnęła mu lewą nogę przy kostce, tak, że w tem miejscu noga zawsze była osłabiona. Później chciała błąd ten koniecznie naprawić i kazała męczyć malca prowincyonalnym lekarzom, którzy jeszcze bardziej nogę osłabili, tak, że poeta przy dłuższem chodzeniu uczuwał mocny ból w nodze. Gdy Byron przedsiębrał w r. 1809 swą podróż na Wschód, matka na kilka dni przed wyjazdem syna rzuciła mu w twarz wstrętną obelgę, życząc, aby jego umysł stał się tak koszlawym, jak ciało. Pani Byron nie mogła synowi darować, że wiersze pisze, uważała takie zajęcie za niegodne angielskiego lorda.

Małżeństwo przyniosło mu cały szereg nieszczęść. Miss Anna Milbanke, którą właściwie pojął bez wielkiej miłości, była umysłem niesłychanie realnym, suchym, kobietą, której najbardziej ulubioną umiejętnością była matematyka. Nie mogła zrozumieć swego męża, który nie jadł, nie spał o tej samej godzinie, co wszyscy przyzwoici Anglicy; zaczęła przypuszczać, że lord jest niespełna rozumu. Nim poszła do ślubu, żądała od niego wyznania wiary, żyła w obawie, aby nie został Metodystą. Wpływ teściowej, pieniężne kłopoty, oszczer-

stwa, które na niego rozsiewała rodzina Milbanków, znane groźby skandalicznego procesu zmusiły go do wyjazdu z Anglii, pomimo, że zostawiał tam córeczkę, małą dziecinę, owoc krótkiego pożycia małżeńskiego.

W czasach tych najcięższych przejść w życiu, w ostatnich chwilach pobytu w Londynie zbliżyła się do niego Jane Clairmont, pasierbica filozofa Godwina, młoda dziewczyna, a zakochawszy się w poecie, chciała mu swe życie poświęcić. Nie mogąc jednak w nim obudzić głębszych dla siebie uczuć, popadała prawie w szaleństwo. Byrona ujęła ta wulkaniczna miłość dziewczyny, objawiona właśnie w najsmutniejszych dlań chwilach, więc nie miał dość hartu, aby pannę odepchnąć. Zawiązał z nią stosunek, Clairmont pojechała za nim do Szwajcaryi, gdzie w towarzystwie swej siostry przyrodniej, Mary Godwin, i poety Percy Bysshe Shelleya stanęła w tym samym hotelu w Genewie, w którym Byron zamieszkał. Dwaj najwięksi poeci angielscy znaleźli się na ziemi szwajcarskiej w zupełnie podobnych okolicznościach. Shelley porzucił żonę, aby połączyć się w wolnej miłości z Mary Godwin; Byrona zniechęciła do siebie i odepchnęła lady Anna, a los rzucił w objęcia Joanny, której nie kochał.

Byron przepędził lato nad jeziorem genewskiem, »dusza jego piła promienie słoneczne«, jak się w »Śnie« o sobie wyraża; zetknięcie się z Shelleym, umysłem bardziej, aniżeli on, zagłębionym w ścisłych umiejętnościach, wywarło korzystny wpływ na niego. Poeta rzucał na papier przepyszne rzeczy: trzecią księgę »Wędrówek Harolda«, »Więźnia z Chillon«, »Sen«, »Śmierć Sheridana«, rozpoczął »Manfreda« i napisał sporo innych mniejszych poezyi; zakochana Clairmont odpisywała te utwory do druku, gdyż poeta nienawidził tej żmudnej roboty.

Związek jednak z Joanną ciężył mu; w liście, pisanym do siostry w początku września, żalił się, że tej dziewczyny kochać nie może. Tłumaczy się zarazem, że trudno mu udawać stoika wobec kobiety, która odbyła podróż ośmiusetmilową, aby się z nim widywać. Wreszcie jednak zrzucił ten ciężar ze siebie, zdołał namówić Joannę do powrotu do Anglii, a później, jak zobaczymy, zajął się wychowaniem »Alle-

gry«, córeczki, którą Joanna powiła. Jak wogóle w zrywaniu stosunków z kobietami, tak i w tym razie był dość twardym, wyzyskał wrażenia, zapragnął nowych.

Z panią de Staël, która wtedy mieszkała w Coppet, zaprzyjaźnił się Byron, ale jej gadatliwość trochę go nudziła; wyrażał się o niej, że »pisze tomy w ósemce, a mówi tomy in folio«. Francuska namówiła go, aby przedsięwziął jeszcze ostatnią próbę pogodzenia się z żoną, lecz o tych staraniach, które wobec usposobienia »matematyczki« skutku mieć nie mogły, nic bliższego nie wiemy.

Byronowi nie dość było słońca nad jeziorem genewskiem, pragnął jak najprędzej dostać się do Włoch, a przedewszystkiem do Wenecyi. Piątego października 1816 r. wyjechali przyjaciele Byron i Broughton z willi Diodati na Południe, a odjeżdżającym rzuciła jeszcze pani de Staël te słowa na pożegnanie: »Dieu vous conduise! Attendez moi en Italie«.

Byron miał dwa powozy, Broughton dostarczył koni; w jednym jechali przyjaciele, w drugim kamerdyner Fletscher i reszta służby. Zbliżając się ku Lago Maggiore, wjeżdżali Anglicy w osławione wówczas krainy bandytów; uzbroili się też, jak na wojnę, ponabijali pistolety i dwa karabiny Byrona, porozdawali pomiędzy służbę dwie szpady, dwie laski ze szpadami i sztylet, z którym się poeta nie rozłączał. Broughton schował swe napoleondory w najbardziej ukrytą szufladkę powozu, była nawet chwila, że furman drugiego powozu wymówił słowo: »ruszница!« gdyż zobaczył sześciu oberwusów biegnących za nimi; okazało się wszakże, że to byli wioślarze, którzy im chcieli ofiarować swe barki do Pallanzy i do wysp Borromejskich. Dwaj Anglicy należeli zresztą do najodważniejszych ludzi, Byron dowiódł tego kilkakrotnie w swej podróży na Wschód. W chwilach wielkiego niebezpieczeństwa dziwnie umiał zachować zimną krew. Raz znajdował się na okręcie »Turk«, gdy straszna szalała burza i rozbicie starego statku stawało się nieuniknione. Na pokładzie słychać było tylko płacze, rozpaczliwe narzekania i modlitwy. Byron chodził zrazu spokojnie pomiędzy marynarzami, starał się żartami podnieść ich ducha, a gdy widział, że wszelkie

starania, aby odwrócić niebezbieczeństwo, były daremne, zawinął się w albańską burkę, położył na pokładzie i zasnął.

W Medyolanie zbliżył się Byron po raz pierwszy do literackiego świata włoskiego; zapoznanie się z ważniejszemi osobistościami ułatwił mu monsignor Lodovico de Brême, Sabaudczyk, dawniej kapelan Eugeniusza de Beauharnais, a później literat. Brême nosił włosy w tył zaczesane i starał się być podobnym do Alfierego. Zajął on bardzo Byrona, albowiem opowiadał mu rozmaite anegdotki o Napoleonie, o pani de Staël i Wilhelmie Schleglu, który wyzyskiwał Francuskę w niemożliwy sposób w Szwajcaryi i miał wielką ochotę, aby mu słynna autorka oddała swoją rękę. Schlegel, hołdujący wszelkim osobistościom zajmującym wysokie stanowiska, nie mógł darować pani de Staël, że »ne se mettait pas en quatre«, gdy zobaczyła przed sobą księcia Meklemburg-Schwerin!

Tak Byron, jak Broughton, byli czcicielami Napoleona. Broughton pojechał w r. 1814 umyślnie do Paryża, aby zobaczyć nadzwyczajnego wodza, a Byron utrzymywał, że Napoleon byłby uwolnił wszystkie ludy Europy od tyraństwa despotycznych monarchów, gdyby nie Anglicy, i nikogo tak nienawidził, jak lorda Castlereagh, którego uważał za najszkodliwszego dyplomatę, za naprawiacza łańcuchów, krępujących ludy Europy.

Byron nie omieszkał zwiedzić w Medyolanie biblioteki Ambrozyańskiej, gdzie szczególnie zwróciły jego uwagę listy Lukrecyi Borgii do Piotra Bembo. Jako pamiątkę wyniósł stamtąd jasny włos Lukrecyi, który zachował, napisawszy na kopercie, że »piękność zdoła nas uwięzić jednym tylko włosem«. W Medyolanie był poeta przedmiotem powszechnej ciekawości i szczerych hołdów. Monsignor de Brême dał dla niego obiad w Casa Roma, dużym pałacu, który zamieszkiwał wraz ze swym bratem markizem. Wielki bankier medyolański Mirabeau zaprosił się umyślnie na ten bankiet, aby widzieć słynnego Anglika. Pomiędzy gośćmi znajdował się i zawsze milczący Silvio Pellico; lecz najbardziej zajął Byrona poeta Monti, stary już i rozgoryczony, ale mający jeszcze dość namiętności w sobie, aby powstawać przeciw wszystkim

i przeciw wszystkiemu, co nowe i co się oddala od starożytnych wzorów. Monsignor de Brême, chcąc niejako przed cudzoziemcami usprawiedliwić, że nie wszystko, co teraz Monti utrzymuje, godnem jest wielkiego poety, powiedział piękne słowo, że »czci tego starca jako portret Montego«.

Byron poznał tam pomiędzy innymi i pana de Beyle, Stendhala, dawnego sekretarza Napoleona, który cesarzowi towarzyszył w wyprawie rosyjskiej. Zajmujący człowiek opowiadał poecie różne anegdoty o cesarzu, a pomiędzy innemi, że Napoleon, po jednej z klęsk tak na chwilę stracił głowę, że dekrety awansów podpisywał imieniem »Pompée« i Beyle musiał mu zwrócić uwagę na ten »lapsus«. Napoleon porozdzierał dekrety i kazał inne napisać. Nie chciał także nigdy wymówić słowa »Kaługa« i nazywał tę rosyjską miejscowość raz »Kaligulą«, to znów »Salamanką«. Sekretarze jednak wiedzieli, co te nazwy mają znaczyć, i nie zwracali mu uwagi na pomyłki.

Całe wyższe towarzystwo widywał Byron w operze; uderzyło go, że w lożach grają w karty, rozmawiają, jedzą, a wogóle zrobił to spostrzeżenie już w Medyolanie, że obyczaje we Włoszech bardzo rozluźnione i że pomiędzy kobietami z ludu jest daleko więcej piękności, jak w klasach wyższych.

Dwaj przyjaciele bawili dziesięć dni w Medyolanie, poczem pojechali na Weronę i Wicenzę dalej ku Wenecyi. Zdaje się, że największe wrażenie na naszym poecie w tej podróży zrobił amfiteatr i stary most na Adydze w Weronie. Trzeba jednak dodać, że czas był brzydki, deszczowy.

II.

Jedenastego listopada 1816 r. przybyli nasi dwaj Anglicy do Wenecyi i stanęli przy Canal Grande, w hotelu Wielkiej Brytanii, przerobionego z pałacu jakiejś znakomitej rodziny, uderzyły ich bowiem wspaniałe schody i pokoje ozdobione gobelinami i złoconą rzeźbą. Właściciel hotelu mówił, podobnie jak dzisiejsi dyrektorzy wielkich domów zajezdnych, po

angielsku i dał swym gościom wszelkie możliwe wyjaśnienia. Wenecya zrobiła na Hobhousie wrażenie zalanego powodzią Kadyksu, Byron odrazu był nią zachwycony i nie zawiódł się w swych oczekiwaniach.

Nazajutrz popłynęli nasi podróżni pooddawać listy polecające, ale po większej części nie zastali znajomych, gdyż rodziny zamieszkałe w Wenecyi były jeszcze na wsi i wracały dopiero po świętym Marcinie. Byron spotkał jednak dawną swoją znajomą, panią de Blaquière, którą widywał jeszcze jako miss White, przyjaciółkę Williama Smitha, i poznał także słynnego uczonego greckiego Mustoxidi. Pierwszym Włochem, który Anglików odwiedził, był lekarz, profesor Aglietti, redaktor »Dziennika medycznego«, człowiek bardzo szanowany. Jego opiece oddawał się Byron, ile razy zasłabł, pomimo, że nie lubił lekarzy i nic a nic nie wierzył w ich sztukę.

Zaledwie po trzydniowym pobycie w Wenecyi pisał Byron do Moora, że »nabył już dwa przedmioty: gondolę i przyjaciółkę«. Z ową przyjaciółką rzecz się tak miała. Poeta wynajął mieszkanie w domu kupca materyi wełnianych Segatego, przy Spezzeryi. Segati miał lat pięćdziesiąt i dwudziestodwuletnią, bardzo piękną żonę. Maryanna, bo tak jej było na imię, rada się była bawić, błyszczeć, zwłaszcza, że ślicznie śpiewała; poczciwy kupiec musiał z nią bywać w towarzystwach dużo wyższych, aniżeli na to pozwalało jego skromne stanowisko, wskutek czego wydawał dużo i zaniedbywał swoje interesa.

Maryanna była według wyrażenia się Byrona w liście do A. M. Moora zupełnie podobną do antylopy. Miała duże, czarne wschodnie oczy i ten szczególny w nich wyraz, który się rzadko widuje u kobiet w Europie, a nawet we Włoszech. Turczynki wywołują go zwykle, malując sobie powieki, Maryanna ma zaś tego rodzaju wzrok z natury, co sprawia takie wrażenie, że je opisać trudno. Rysy jej regularne, nos raczej orli, małe usta, płeć piękna bez skazy, z pewnym rodzajem matowego odcienia i czoło dziwnie piękne. Włosy o ciemnym połysku, ruchy zgrabne i lekkie, głos w rozmowie nadzwyczaj harmonijny, zwłaszcza, że naiwność weneckiego na-

rzecza zawsze jest czarującą w ustach kobiety. Maryanna śpiewa doskonale, a nawet ma umiejętną metodę.

W kilka dni później donosił Byron Moorowi, że coraz bardziej zadowolony ze swej Wenecyanki, że jednak ta kobieta zaczyna go zajmować na prawdę, więc będzie w dalszych listach o niej milczał.

Ale i Maryanna zakochała się w Byronie, co zresztą nie było tak trudnem, bo według licznych świadectw poeta należał do najpiękniejszych ludzi swej epoki, a szczególnym urokiem podbijał każdą kobietę. Współcześni utrzymywali, że żaden z malarzy, którzy go portretowali, ani Sanders, ani Phillipo, Holmes lub Westall nie umiał oddać wyrazu jego twarzy. Najlepszy jeszcze ma być obraz Westalla, ale tylko słabe daje wyobrażenie o tym wyjątkowym człowieku. Byron był średniego wzrostu, szczupły, miał małą głowę o wysokiem czole i ciemno-brunatne włosy, układające się w faliste kędziory. Jego ucho było tak piękne i małe, że wezyr turecki w Albanii, zobaczywszy poetę, wyraził się do swego otoczenia, że ten cudzoziemiec musi należeć do znakomitego rodu, gdyż zgrabne ucho bywa cechą arystokratycznego pochodzenia. Kobiety unosiły się nad białością zębów Byrona, nad zajmującą bladością jego twarzy i zgrabnością ręki. Nad wszystkiem jednak górowało oko poety, prawie czarne, ocienione brunatnemi brwiami. Zresztą właściwej barwy oka Byrona pochwycić nie było można, tak dalece zmieniało swój blask stosownie do usposobienia, w jakiem dusza poety się znajdowała. Mała Eliza Smith pytała się raz siostry Mrs. Spencer Smith, owej »Florence« z Childe Harolda, jakiego właściwie koloru są oczy Byrona; na co Mrs. Smith odpowiedziała, że nie wie, zdaje się, iż są ciemne; to pewna, że mają jakiś blask prawie nadludzki. Natomiast pani Albrizzi, u której Byron bywał częstem gościem, zauważyła, że poeta ma oko niebieskie, które od nieba pożyczyło barwy. Moore, przyjaciel poety zapewniał, że jego oczy dziwnie umiały wyrażać najsprzeczniejsze uczucia i namiętności, począwszy od chłopięcej wesołości aż do najgłębszego smutku, lub od promieniejącej uprzejmości do pogardy i strasznego gniewu. Zmiany w wyrazie jego twarzy były tak szybkie, niespodziewane i gwałtowne,

że zdawało się, jakby burze i najpiękniejsze pogody słoneczne ciągle jego duszą miotały. Czasami myśl jakaś rozlewała niezwykłą bladość na twarzy Byrona, zdawał się być człowiekiem nie z tego świata. Pułkownik Wildeman, towarzysz młodości i przyjaciel poety, utrzymywał, że Byron jest jedynym, którego można nazwać rzeczywiście pięknym człowiekiem. Lekkie utykanie na nogę zupełnie go nie szpeciło; hrabina Albrizzi utrzymywała, że gdy Byron wchodził do salonu, zaledwie można było spostrzedz, że idzie trochę inaczej, jak wszyscy, co przyczyniało się nawet do podniesienia oryginalności jego postaci. Anglik Galt, autor żywota Byrona, opowiada, że poznawszy poetę na okręcie, spędził z nim kilka dni, nie spostrzegłszy, że utyka na nogę. Wreszcie najbardziej wiarogodny w tej mierze świadek Wiliam Swift, szewc z Southwell, który robił lordowi buty przez dwa lata od r. 1805—1807, zapewniał, że Byron miał obydwie nogi zupełnie równe i tylko musiał lewą nogę mocniej w kostce sznurować, aby wzmocnić jej odporność.

W ubiorze lubił Byron pewną oryginalność. Chętnie odkrywał szyję tak daleko, jak tylko salonowa przyzwoitość na to pozwalała, a na Wschodzie i we Włoszech przybierał rozmaite, dość dziwaczne stroje, które zresztą wówczas nie raziły, bo mężczyźni, przyzwyczajeni do napoleońskich wojskowych mundurów, mnóstwo jaskrawych przyswoili sobie naleciałości. I tak podczas swego pobytu w Konstantynopolu nosił Byron na uroczyste wizyty szkarłatny mundur, złotem bogato haftowany, i kapelusz z piórami w rodzaju adjutantów armii angielskiej. Były to czasy, w których wojskowi mody nadawali.

Byron zawsze dbał o swoją »duchowość«, nie chciał zmarnować talentów, którymi go natura obdarzyła; aby więc w czasie romansu z Maryanną nie zniewieścieć, wyszukał sobie zajęcie, które miało utrzymywać energię jego umysłu. Praca była dość oryginalna, ale wynikająca z nadarzającej się sposobności; rozpoczął uczyć się po ormiańsku, zaznajomiwszy się z mnichem z klasztoru św. Łazarza, który układał gramatykę angielsko-ormiańską. »Zdawało mi się«, pisał do Moora, »że umysł mój potrzebuje zająć się czemś bardzo su-

chem, i zabrałem się do nauki tego języka, do najtrudniejszej rozrywki, jaką tutaj znaleść mogłem, zmuszam się do natężenia uwagi rodzajem tortury«. Wkrótce jednak spostrzegł, że owe tortury nastręczają chwile przyjemności, gdyż język ormiański był bardzo bogaty i w klasztorze znajdowały się zajmujące księgi autorów ormiańskich, tudzież tłumaczenia greckie z oryginałów perskich, syryjskich i innych. Do chwilowej przynajmniej wytrwałości w tej nauce zachęcił go brak podobnej cnoty u dwudziestu młodzieńców Francuzów, którzy przyjechali do Wenecyi w zamiarze oddania się ormiańskim studyom, zaczęli jednak naukę w poniedziałek, a we czwartek piętnastu z nich zaniechało dalszej pracy: stanęli przy dwudziestej szóstej literze alfabetu i odjechali napowrót do Francyi. Było to Waterloo, dodaje Byron, w którem alfabet ormiański zwyciężył Francuzów.

Co rano więc udawał się poeta gondolą na naukową pogadankę do mnichów ormiańskich, a wieczorem szedł do teatru albo na »conversazioni«, które go jednak nudziły, gdyż według weneckiego zwyczaju kobiety zasiadały w półkole przy pani domu, a mężczyźni grupami stali w salonie, tak, że do ożywionej rozmowy przyjść nie mogło. Byron jadąc do Włoch, umiał już dość dobrze po włosku, ale teraz mając taką nauczycielkę, jak Maryanna, w kilka tygodni nauczył się wybornie narzecza weneckiego, które mu się wydawało dziwnie śpiewnem i pięknem. Najlepiej się też bawił z Maryanną, która była »jego ogrzewającem płomieniem, a on jej... czem zechce«, a po kilku tygodniach tej znajomości chwalił się, że nie spotkał jeszcze nigdzie tak miłej, jak ona, i tak oryginalnej kobiety.

Wkrótce jednak nastąpiły wielkie zmiany w życiu weneckiem Byrona, podzielonem dotąd pomiędzy Maryannę a mnichów ormiańskich. Nadszedł karnawał; Wenecyanki poznały bliżej Byrona na balach, w ridottach, w teatrze i pozazdrościły Maryannie pięknego, a może i bogatego Anglika. W połowie stycznia przyniósł poecie gondolier bezimienny list, w którym jakaś Wenecyanka wyrażała życzenie rozmówienia się z nim na wyspie św. Łazarza, albo w gondoli. Byron odpowiedział, że najlepiej, jeżeli owa nieznajoma przyj-

dzie do niego o dziesiątej wieczór, kiedy sam jest w domu, albo odszuka go zamaskowana w Ridotto, o północy. Wieczór, kiedy Maryanna była z mężem u znajomych, przyszła rzeczywiście do Byrona kobieta młoda, piękna, może dziewiętnastoletnia i przedstawiła się mu jako bratowa jego przyjaciółki. Mówiła nie tylko po włosku, ale i po nowogrecku, gdyż matka jej była Greczynką z Korfu. Zaledwie się jednak zaczęła przyjemna rozmowa, drzwi się otwarły, wbiegła Maryanna i nie mówiąc ani słowa, rzuciła się z niewidzianą furyą na bratowę, obsypała ją gradem policzków, porwała za włosy i wypchnęła z mieszkania. Byron chciał ratować bezbronną, ale ta już uciekła, a Maryanna leżała zemdlona w ramionach poety. Byron zaczął ją nacierać wodą kolońską, octem, wyjął całą apteczkę podróżną, ale najmocniejsze środki nic nie pomagały. Zjawił się kamerdyner Fletscher, ułożono chorą na dywanie, gdzie leżała blada, jakby bez duszy, i dopiero po północy się obudziła. Na tę scenę nadszedł Segati, a widząc żonę prawie bez zmysłów, z rozburzonymi włosami, kapelusz jej i chustkę na ziemi, pytał, co się stało? — Byron odrzekł, że teraz nie czas do opowiadań, trzeba ją ratować. Wyniesiono omdlałą do jej mieszkania.

Nazajutrz rano dowiadywał się Fletscher imieniem Byrona, czy pani już zdrowa? — Poeta spodziewał się, że nastąpi jaka gwałtowna rozprawa pomiędzy mężem a żoną, był przygotowany na to, aby ją uwolnić ze szponów tyrana, ale ku wielkiej jego radości, Maryanna zupełnie ochłonęła z nocnej kampanii i małżeństwo było w zgodzie. Kupiec podał później Byronowi rachunek; sąsiedzi zauważyli, że sklep bławatny znowu się z upadku podnosi, i mówili, że dotąd był »pod jeleniem«, »al cervo«, a teraz zmienił godło i nazywa się »pod rogiem angielskim«, »al corno inglese«.

O zajściu w mieszkaniu Anglika dowiedziała się wkrótce cała Wenecya i rzec można, że od tej chwili stał się Byron jedną z najpopularniejszych osobistości w mieście. Lud witał go wszędzie z wielką sympatyą, tem bardziej, że poeta, zawsze dobroczynny, zasłynął ze swej hojności, a gdy Shelley wsiadłszy z Fusine do gondoli, aby popłynąć do Wenecyi, zapytał gondoliera, czy zna lorda Byrona, usłyszał odpowiedź:

»A to ten młody cudzoziemiec, który ma dziwne nazwisko, a dużo pieniędzy rozdaje«.

Maryanna dzierżyła berło miłości nad Byronem przez cały karnawał r. 1817. Poeta pełną piersią oddychał wenecką swobodą, może brał nawet za wiele udziału w zabawach, bo po balu w ostatni wtorek w Fenice czuł się bardzo zmęczonym i prawie się cieszył, że wielki post nadchodzi. Rozpoczynał zresztą rok dwudziesty dziewiąty życia, co go pobudzało do pewnych rozmyślań. Pisał też do Moora:

Nie będziem się już wałęsać
W późną noc wenecką,
Choć serce zawsze miłością płonie
I księżyc swym blaskiem przyświeca.
Gdy jednak szpada pochwę,
A dusza zdrową pierś zużywa,
Serce musi odpocząć, aby dalej biło,
Bo nawet miłość pragnie wytchnienia.

Odpoczynek jednak przyszedł za późno; hulanka karnawałowa odbiła się na zdrowiu poety, który z początkiem marca ciężko zachorował na febrę, a pomimo nalegań Maryanny nie chciał przywołać lekarza i sądził, że go wyleczy jęczmienny kleik. Miał zresztą słuszność, bo niebawem młodość wróciła mu siły.

Przywiązanie jego do Maryanny prawie się zwiększyło; »antylopa« nie opuszczała poety, a gdy pisał, siedziała przy nim spokojnie, wpatrując się w jego oblicze, albo czytała Boccacia. Byron miał zamiar wyjechać z Wenecyi, ale Maryanna chciała mu towarzyszyć, co rzecz utrudniało, zwłaszcza, że miała synka i trudno się jej było z nim rozłączyć. »To dziecko słońca, pisał Byron o niej, nie myśli o niczem, tylko o miłości, muszę więc myśleć za dwoje«. »Moralność włoska jest najdziwaczniejsza, jaką kiedykolwiek napotkałem. Przewrotność nie tylko w praktyce, ale i w rozumowaniu bardzo u kobiet zabawna. Potępiają one sam fakt małżeńskiej niewierności, ale za wytłumaczenie służy im miłość, którą czują dla kochanka, ba, nawet uważają to uczucie za prawdziwą cnotę, zwłaszcza jeżeli miłość jest bezinteresowną i połączoną

z wiernością dla jednego mężczyzny. Czego jednak cierpieć nie mogę, to ich wyobrażeń o stałości. Pokazywano mi stare pary, po ośmdziesiąt lat mające, uchodzące za »amorosi« od czterdziestu, pięćdziesięciu, a nawet od sześćdziesięciu lat. Coś podobnego się gdzieindziej nie zdarza«.

Gdy Byron pisał te słowa, Maryanna koniecznie chciała wiedzieć treść listu, a gdy jej przetłumaczył swoje uwagi o włoskiej miłości, oburzyła się, wyrzucając mu, że gdyby ją prawdziwie kochał, toby nie pisał takich uwag przydatnych do »forbirsi i scarpi«, to jest, »do czyszczenia butów«, jak mówi weneckie przysłowie.

Maryanna była zresztą rozsądną, a Byron miał dość własnej woli. Z porozumienia tych dwóch właściwości charakterów poety i kupcowej wynikło, że poeta mógł na krótki czas wyjechać do Rzymu, ale »musiał« powrócić do Wenecyi. W Rzymie oczekiwał go Broughton, który już piątego grudnia 1816 r. opuścił Wenecyę.

Byron wstąpił po drodze do Ferrary; udał się tam zaraz do szpitala św. Anny, gdzie zwiedził celę, w której chory Tasso siedm lat przepędził. Byron wyrył tam na murze swoje nazwisko głębiej, aniżeli inni podróżni, i wkrótce napisał mały poemat »The Lament of Tasso«, opierający się jeszcze na podaniu, że ferrarski poeta był tam uwięziony, ponieważ śmiał prześladować swoją miłością Leonorę d'Este.

We Florencyi zatrzymał się Byron tylko dzień jeden, a przez ten czas osądził bardzo słusznie, że Wenus medycejska, gdyby żyła, obudziłaby raczej podziwienie, aniżeli miłość, a o kaplicy Medyceuszów wyraził się, że to ładna wystawa płyt marmurowych, mających za cel uwiecznienie pamięci pięćdziesięciu zbutwiałych i zapomnianych kościotrupów. »Jest ona nie skończona«, powiada Byron, »i taką na zawsze zostanie«.

Rzym zachwycił poetę; utrzymywał on, że wieczne miasto bije Grecyę, Konstantynopol i wszystko to, co kiedykolwiek widział. Mimo to nie został tam długo, bo był nieszczęśliwy w oddaleniu od Maryanny. Dwudziestego ósmego maja 1810 r. wrócił do Wenecyi i wynajął willę Foscarinich »La Mira«, na lewym brzegu Brenty, aby w niej lato przepędzić.

Jeden ze starych Foscarinich kazał wmurować tam kamienną tablicę z napisem, że w tym domu można będzie przetrwać krótkie życie, wertując stare księgi, śpiąc i próżnując i zapomnieć o wesołej przeszłości. Byron nie trzymał się wszakże tej sentencyi, gdyż mało spał, a dużo pracował, o wesołej przeszłości zaś niezupełnie chciał zapomnieć, gdyż sprowadził tam Maryannę i oddał w jej ręce domowe rządy. Ale kupcowa nadużywała swej władzy, prześladowała Byrona swą zazdrością, a służbie także dawała zanadto uczuwać swoje panowanie. Musiała zapewnie narazić się Fletscherowi, którego poeta bardzo lubił, ponieważ był w Newstead świadkiem jego urodzin. Uważał go z tego powodu za rodzaj żyjącego amuletu, z którym się nigdy nie rozłączał.

Szczęście też Maryanny w Mirze nie trwało długo. Byron nie był stałym w romansach, a najlepsza przyjaciółka nie powinna była nadużywać jego cierpliwości.

W sierpniu przyjechał do Byrona Hobhouse, wracając z Rzymu i z Neapolu. Obydwaj przyjaciele wyjechali jednego dnia konno drogą nad Brentą, ku Dolo. Tam spotkali dwie wieśniaczki niezwykłej urody i zaczęli z niemi rozmowę. Byron hojnie wspomagał wtedy lud w Mirze i w okolicy, gdyż rok był nieurodzajny i prawie głód panował pomiędzy rolnikami. Jedna więc z zagadniętych kobiet odpowiedziała poecie w weneckiem narzeczu: »Elo che'l xe cosi bon, che'l fa del ben a tutti n'l fa guente par unaltre?« »To ty, co jesteś taki poczciwy i czynisz wszystkim tyle dobrego, ale dla nas nic nie uczyniłeś«. Na co Byron jej odrzekł, że zanadto ładna i młoda, aby potrzebowała pomocy. Wtedy druga, młodsza, wmięszała się do rozmowy, zapewniając, że gdyby zobaczył czarny chleb, jakim teraz muszą się żywić, toby tak nie żartował.

Dwie wieśniaczki były krewne; jedna zamężna, Margherita, druga jeszcze dziewczyna. Anglikom tak się podobały, że nazajutrz podążyli znowu ku Dolo, a po kilku spacerach skończyło się na tem, że Margherita umówiła się o schadzkę z Byronem. Nie uszło to uwagi sąsiadek; doniesiono Maryannie, że poeta ją zdradza, co ją w taki gniew wprowadziło, że wyszła raz drogą ku Dolo, naprzeciw rywalce, a spotkawszy

ją, wyłożyła jej w bardzo dobitnych słowach swe prawa do Anglika. Tym razem nie mogła tak postąpić, jak z bratową, ponieważ Margherita była silniejszą i nie dałaby się mieszczce poniewierać. Na razie rzecz się na słowach skończyła; Byron wyprowadził się znowu z Maryanną do Wenecyi, do dawnego mieszkania, ale stosunki jego z kupcową już oziębły, a Magherita znalazła się w mieście, oczywiście w innym domu, gdzie ją Byron mógł swobodnie widywać.

Tymczasem signor Segati, spostrzegłszy, że Anglik opuszcza jego żonę i że przestaje mu dawać hojne podarunki w gotówce, zemścił się na nim i w jakiś »bezwstydny sposób oszukał poetę«. Oszustwo musiało należeć do bardzo ważnych i wyrafinowanych, gdyż Byron był zmuszony pozwać kupca do sądu, który wydał wyrok korzystny dla cudzoziemca. Wyrok był nader przykry dla Segatego, lecz Byron wstawił się za skazanym, którego wskutek tej instancyi zamknięto tylko na jeden tydzień w więzieniu. Z procesu wynikało, jak się zdaje, że kupiec odstąpił żonę Anglikowi tylko na rok jeden, w sposób zupełnie formalny.

III.

Powróciwszy z Rzymu, zaczął Byron pisać czwartą pieśń Child Harolda, różniącą się bardzo co do sposobu ujęcia rzeczy od pieśni trzeciej, ułożonej w Szwajcaryi. Podczas gdy w tej ostatniej, więcej filozoficznej, czuć wpływ panteistyczny rozumowań Shelleya, w którego towarzystwie żył Byron w Genewie, staje się poeta w pieśni czwartej raczej opisowym, bardziej rzeczowym. Wpływ to wrażeń, wyniesionych z Wenecyi i z Rzymu, a może i uwag Hobhousa w La Mira, człowieka o trzeźwej, praktycznej myśli, dla którego i świat zewnętrzny wielką miał wagę. Byron omawiał na spacerach z przyjacielem treść oktaw, które właśnie pisał, a Hobhouse, bardziej w historyi oczytany, jak poeta, zwracał mu uwagę na wiele rzymskich zabytków. Wynika to z komentarza, który Hobhouse wydał do czwartej księgi Child Harolda, pod tytu-

łem »Historicae illustrations to the fourt canto of Childe Harold«.

W czwartej pieśni Harolda przebija się w całej potędze ów zachwyt, który w poecie obudził Rzym, i występuje ta niezmierna obfitość przepięknych spostrzeżeń i myśli, do których dzieje wiecznego miasta dały powód. »Rzym, miasto duszy, opuszczona matka państw, które upadły«. »Nioba Narodów!« woła Byron i nie opowiada już o stolicy państwa, jak ów rycerz angielski, który w pierwszych pieśniach poematu występował, ale zrzuca ze siebie niepotrzebne więzy i staje się samym sobą, poetą Byronem. A pozbywszy się tych pęt, korzysta z każdej sposobności, aby wypowiadać wszystko, co mu leży na sercu, aby rzucać przekleństwa, na tych, którzy mu życie złamali. Gniew swój wywiera nawet na lady Carolinie Lamb, która w świeżo wtedy wydanym romansie »Glenarvon« starała się podburzyć przeciw niemu opinię publiczną w Anglii.

Byron był łagodnego usposobienia, z natury wesołym, umiał się bawić z naiwnością dziecka, śmiać się z każdego dowcipu, ale potrafił być i groźnym wrogiem. Do żony miał żal niezatarty, teściowej nienawidził. Przed jednym z przyjaciół zwierzał się, że nieraz myślał o tem, aby sobie życie odebrać, ale nie uczynił tego, aby lady Noël Milbanke nie sprawić radości.

Hobhouse bawił w La Mira aż do jesieni i zabrał ze sobą do Londynu gotowy już rękopis czwartej pieśni Childe Harolda, a Byron tworzył tymczasem z romansu swego z Maryanną ściśle włoski, wenecki poemat, który nazwał »Beppo«. Treść tam bardzo prosta, dawno znana, o mężu, o którym słuch zaginął. Pozostała żona Laura ma go za zmarłego, ale to przekonanie po niejakim czasie okazuje się nieprawdziwem, mąż wraca i zastaje na swem miejscu innego. Bohaterką jest Maryanna, oczywiście trochę zmieniona, mężem gondolier Byrona, Tito, silny, dzielny mężczyzna o herkulicznych kształtach, dużej czarnej brodzie, »dobry chłopak«, pomimo że już podobno zasztyletował trzech ludzi. Towarzyszył on poecie wiernie od Wenecyi aż do Missolonghi. Napisawszy »Beppa« ubrał Byron Tita z turecka, aby niejako

zaznaczyć, że myślał o nim w swoim poemacie. Do trzeciej nareszcie osobistości w »Beppie«, do »hrabiego«, który zastępował przy Laurze przez długi czas męża, służył za model znany w Wenecyi »viveur«, hrabia Rizzo Pattarol, przyjaciel domowy konsula angielskiego Hoppnera. Hrabia bywał w całem wyższem towarzystwie weneckiem i prawie na żadnym większym obiedzie go nie brakowało.

»Beppo« stał się poematem prawie włoskim, bo oprócz treści, wziętej z weneckiego życia, z ridottów i forma oktaw i humorystyczny sposób przedstawienia rzeczy zbliża się do wierszy Bernego, po Pulcim najznakomitszego humorysty włoskiej literatury. Byron wyraził się nawet o swoim utworze, że Berni jest właściwym ojcem tego rodzaju poetycznej literatury. Co więcej, w »Beppie« poeta po raz pierwszy hołduje wyobrażeniom włoskiem o moralności. Dotąd następowała zawsze w jego poematach ciężka kara za grzech popełniony, tutaj przeciwnie, moralność staje się bardzo wiotką, wenecką, zadawalniającą się humorystycznem rozwiązaniem rzeczy. Pomiędzy powracającym po kilku latach z Turcyi mężem Laury a hrabią nie przychodzi bynajmniej do walki, owszem cała historya załatwia się w bardzo prosty sposób. Beppo uznaje, że Laura przecież nie mogła przez dłuższy czas żyć w niewinności, a hrabia nie byłby chyba Wenecyaninem, gdyby nie korzystał ze sposobności zawiązania miłego stosunku. Wszyscy się więc rozumieją. Beppo wprawdzie wraca do żony, ale i hrabia zostaje nadal przyjacielem domu.

W końcu roku 1817 stosunki majątkowe Byrona nadzwyczaj się polepszyły; rodzinne jego dobra Newstead zostały bardzo korzystnie sprzedane, nabył je przyjaciel szkolny poety, pułkownik Tomasz Wildmann i zapłacił za nie wysoką sumę 94.500 funtów szterlingów, tak, że poeta mógł pospłacać długi i jeszcze pozostał mu dochód, pozwalający w tanich wówczas Włoszech żyć prawie po magnacku. Prócz procentów z uzyskanego kapitału zaczął Byron mieć duże zyski ze sprzedaży dzieł swoich. Mieszkając w Anglii, uważał za niegodne lordowskiego stanowiska brać honorarya od wydawców. Przeznaczał zatem te pieniądze na rozmaite dobroczynne cele; gdy jednak w pierwszym roku pobytu w Wene-

cyi nadzwyczaj szczupłe miał dochody, uległ namowom przyjaciół i robił, jak inni autorowie, kazał sobie przysyłać honorarya. Okazało się, że te zyski były znaczne.

Zerwawszy z Maryanną, nie mógł Byron mieszkać w jej domu, więc wynajął na Canal Grande palazzo Mocenigo, gdzie się urządził na stałe mieszkanie i tam sprowadził swoją Fornarinę, Margheritę Cogni, która objęła zarząd domu i bardzo energicznie go prowadziła.

Byron zajął pałac Mocenigów w maju r. 1817, a wkrótce przywiozła tam angielska bona dwuletnią dziewczynkę o niebieskich oczach i jasnych lokach, Allegrę, córkę Joanny Clairmont. Miss Clairmont przyjechała z Anglii z dzieckiem do Włoch, do Mary Godwin, bawiącej w Bagni di Lucca, spodziewając się, że za pośrednictwem Schelleya potrafii skłonić Byrona, aby ją przyjął w swój dom. Ale poeta już nie chciał stanowczo widzieć Joanny. Mimo to wybrała się miss Clairmont z Shelleyem do Wenecyi, aby przynajmniej zobaczyć Allegrę. Gdy płynęli gondolą z Fusine, zerwała się straszna burza, a Shelleyowi ukazała się po raz pierwszy Wenecya przy blasku błyskawic. Miss Clairmont mogła u Hoppnerów uściskać dziecinę, ale Byron był niewidzialnym. Nazajutrz popłynął z Schelleyem na Lido, gdzie mu recytował strofy z Child Harolda.

Oprócz weneckiego pałacu wynajął wtedy Byron także willę »I Cappuccini« koło miasteczka Este, od angielskiego konsula Hoppnera, położoną wśród gór Euganejskich, otoczoną winnicami i ogrodem owocowym. Z willi widać było dawny zamek Estów [1]). Byron odstąpił ją gościnnie na lato Schelleyowi, którego stosunki materyalne nie pozwalały na taki zbytek. Shelley sprowadził więc zaraz swoją rodzinę z Bagni di Lucca do owej willi, ale mała córeczka poety, Clara, przyjechała już bardzo chora. Rodzice zawieźli ją 24 września do Wenecyi, dziecko przybyło wszakże do hotelu nieżywe. W kilka dni później zamieszkali Shelleyowie w willi

---

[1]) Willa ta należy obecnie do rodziny Künkler i pokazują tam jeszcze stół, na którym Byron pisywał, odwiedzając na krótki czas Shelleya.

»Cappuccini«. Shelley odwiedzał stamtąd kilkakrotnie Byrona w Wenecyi i zastawał go daleko swobodniejszym i weselszym, aniżeli w Szwajcaryi. Co więcej, zdawało mu się, że Byron »zolbrzymiał« od czasów genewskich, że dopiero w Wenecyi rozwinęły się w nim wszystkie zasoby jego geniuszu; nawet bawiąca się w pałacu Moceniego Allegra zrobiła na nim jak najmilsze wrażenie. Jeżeli Shelley wpływał na Byrona w Szwajcaryi, to tutaj Shelley był pod urokiem Włoch i twórcy Child Harolda. W willi Cappuccini rozpoczął pisać »Prometeusza«, »Cenci«, a przedewszystkiem poemat »Giulian i Maddala«, gdzie dał prawie dokładny portret Byrona.

Natomiast w Byronie obudziło obcowanie z Shelleyem znowu wszystkie żale i gniewy na Anglię.

Bardzo go wówczas zajmowało wychowanie Allegry; widział on, że dziecko nie może pozostać w domu, gdzie rządziła piekarka Margherita. Pomogła mu w tej mierze pani Izabella Hoppner, żona konsula Ryszarda Hoppnera. Byron zapoznał się z konsulem zaraz po przyjeździe swym do Wenecyi na jakiemś przyjęciu u austryackiego namiestnika, hrabiego de Goëss, i bardzo go polubił. Pani Hoppner, pomimo że wielkiej cnoty kobieta i dobra żona, była bardzo wyrozumiałą na wesołe życie Byrona i nie dąsała się na niego, jak większa część Angielek, purytanek. Z jej poradą i za jej pomocą umieścił poeta swoją córeczkę w jednym z żeńskich klasztorów w Wenecyi, gdzie się nią zakonnice szczerze opiekowały. To też, gdy pani Izabella powiła w styczniu r. 1818 syna Williama, wywdzięczył się jej Byron następującym epigramem, pomimo że okolicznościowych wierszy pisać nie lubił:

His father's sense, his mother's grace
In him, I hope, wil always fit so,
With (still to keep him in good case)
The health and appetite of Rizzo [1]).

---

[1]) Ojcem jego rozum, a matką wdzięk, spodziewam się, że i w nim połączą się te zalety, wraz ze zdrowiem i apetytem Rizza.



ISABELLA TEOTOCHI ALBRIZZI

Rysował G. Bufalo, rytował L. Paradisi.

Do str. 511.

Rizzo był tak uszczęśliwionym, że kazał ten czterowiersz przetłomaczyć na dziesięć języków, na grecki, łaciński, włoski, niemiecki, francuski, hiszpański, illiryjski, hebrajski ormiański i samarytański (?). Miał jednak tyle przezorności, że wyraz »appetite« zastąpił słowami »buon gusto«. Fałszerstwo to spostrzegł wszakże Ancillo, aptekarz di San Luca, najzjadliwszy wówczas dowcipniś wenecki i ośmieszył hrabiego w całem mieście, zwłaszcza gdy przy tej sposobności wyszło na jaw, że Rizza nigdzie nie braknie, gdzie dają dobre obiady. Aptekarz wiedział także o wszystkich romansach Byrona, ale go nie zaczepiał, gdyż poeta angielski należał do najlepszych jego klientów, potrzebował bowiem mnóstwo toaletowych przyborów, pachnideł i pomad do utrzymania miękkości skóry.

Rizzo wyglądał z utęsknieniem zwłaszcza dnia 29 września; był to bowiem dzień imienin pani Hoppner i wtedy zbierało się w domu konsulów większe towarzystwo. W r. 1819 zasiedli tam do stołu Byron, contessa Albrizzi, lekarz Francesco Aglietti, konsul rosyjski, trzech przejezdnych Anglików i naturalnie hr. Rizzo-Patarol. Obiad był, jak zawsze, wyborny.

Oprócz u Hoppnerów bywał Byron częstym gościem u hrabiny Albrizzi, którą nazywał włoską panią de Staël, co oczywiście niemałem było pochlebstwem dla weneckiej contessy. Albrizzi, wcale jeszcze ładna, starała się podbić Byrona; ale poeta nie lubił »lwic« i »savantek« i miał się wobec pani Izabelli na baczności, nie przeczuwając może, że hrabina napisze kiedyś w swych »Ritratti« jedną z jego najbardziej udanych sylwetek. Przyjmował on wszakże czasem u niej zaproszenia na obiady, a nawet chodził na »conversazioni«, lecz spotykając tam dużo Anglików, przejeżdżających przez Wenecyę, o ile możności stronił od jej salonów. Natomiast lubił dom hrabiny Benzon, gdyż tam bywało prawie wyłącznie towarzystwo włoskie, które poetę bardziej zajmowało, aniżeli cudzoziemcy. Mimo to zeszedł się i tam raz z rodziną angielską, która się zapisała w bardzo nieprzyjemny sposób w jego pamięci. Pułkownik Montgomery, adjutant Wellingtona, bawiący od kilku dni w Wenecyi z młodą żoną Hiszpanką i siostrą swoją, dwudziestokilkuletnią Maryą, po-

szedł z temi paniami na »conversazione« do hrabiny Benzon. Jak zwykle, zasiadło towarzystwo w półkole, a obok miss Montgomery dostało się miejsce panu Mengaldo, którego niebawem poznamy. Otóż Mengaldo, wiedząc, że miss Montgomery jest w przyjaźni z lady Byron, zapytał się jej, czy zna poetę.

— Bardzo mało – odpowiedziała.

W tej samej chwili podniósł się Byron z krzesła i szedł w kierunku rozmawiającej pary.

— Oto idzie Byron — rzekł wtedy Mengaldo do swojej sąsiadki — zapewne się chce pani przypomnieć.

— Nie będzie śmiał — odrzekła gniewnie miss Montgomery.

Byron jednak nie zamierzał bynajmniej zbliżać się do przyjaciółki swej żony, a dowiedziawszy się nazajutrz o jej odpowiedzi Mengaldowi, chciał szukać zaczepki z pułkownikiem. Mr. Scott wszakże, członek ambasady angielskiej w Wenecyi a przyjaciel Byrona, rzecz załagodził.

Zajście to dowodzi, jak dalece wyższe towarzystwo angielskie było rozdrażnione przeciw Byronowi; porównywano go tam do Nerona i Heliogabala, bądź co bądź ani dowcipnie, ani stosownie.

Ów cavaliere Angelo Mengaldo, który niechcący był powodem nieprzyjemnej dla Byrona uwagi panny Montgomery, stał się niebawem prawie nierozłącznym towarzyszem poety w Wenecyi. Mengaldo, urodzony w Bassano w r. 1787, poświęcił się zrazu studyom prawniczym, następnie służył w armii napoleońskiej i kilka razy odznaczył się jako odważny, dzielny oficer i wyborny pływak. Napoleon, przechadzając się raz po obozie, zastał Mengalda czytającego Tacyta; od tego czasu miał o nim bardzo dobre wyobrażenie, które się utwierdziło, gdy młody oficer okazał pod Wagram wiele zimnej krwi i odwagi. Swą wprawą w pływaniu ocalił pułkownika Moroniego pod Berezyną, który nie umiejąc pływać, byłby utonął, gdyby nie zręczność Mengalda. Po upadku Napoleona zamierzał młody wojskowy zostać prawnikiem w Wenecyi, ale do osiągnięcia adwokatury nie mógł uzyskać pozwolenia od rządu austryackiego, stał się więc salonowcem,

próżniakiem, jak wiele innej weneckiej młodzieży, i pisał pamiętnik w języku francuskim, zawierający po większej części miłosne wspomnienia. Czasem nawet układał wcale udatne sonety, poświęcone pięknym kobietom.

Byron widywał się z Mengaldem co najmniej dwa razy na dzień, raz u konsulów Hoppnerów, wieczorem zaś w salonach, w ridotto, albo w teatrach Fenice, S. Benedetto, S. Luca. Byron wynajmował lożę w Fenice. Dwóch towarzyszów łączyła pewna wspólność losów i wyobrażeń. Obydwaj byli właściwie ludźmi wykolejonymi, którzy musieli zerwać z rodziną i żyć od niej w oddaleniu, obydwaj czcili dawniej Napoleona, jako oswobodziciela ludów Europy od tyranii monarchów, a gdy w tej mierze doszli do odmiennych przekonań, stali się republikanami, obydwaj nareszcie, może nazbyt wiele, korzystali z wdzięków Wenecyanek. Jedna wszażże wspólność o mało że ich nie poróżniła: wprawa w pływaniu. Byron był, może więcej, jak na swój talent poetycki, zarozumiały na zręczność we wszystkich ćwiczeniach ciała, a mianowicie na jazdę konną i na umiejętność pływania. Od chwili, jak mu się majątkowo dobrze powodzić zaczęło, wynajął, korzystając z uprzejmości austryackiego gubernatora, nieużyteczny już fort wojenny na Lido, w stronie ku Malamocco, przerobił go na stajnię dla kilku wierzchowców i tam, zamiast do zakonników ormiańskich, udawał się co rano gondolą ze swym Titem, aby po kilka godzin jeździć konno. Obok tej rozrywki pływanie na morzu było jego ulubioną przyjemnością, utrzymywał, że oprócz szkolnego kolegi w Cambridge, Mattewsa, nie znał nikogo, ktoby się z nim mógł mierzyć w pływaniu. Biedny Mattews jednak utonął, zaplątawszy się raz w roślinach wodnych Tamizy. Gdy raz w salonie hrabiny Benzon zeszła rozmowa na zręczność w pływaniu i Byron wspomniał, że za czasów swego pobytu w Hiszpanii przepłynął Tag, a w Konstantynopolu Hellespont w przeciągu trzech godzin, opowiedział i Mengaldo o swych sztukach pływackich na Dunaju i na Berezynie. Towarzysze mieli ochotę zmierzyć swe siły na weneckiej lagunie. Ośmnastego czerwca r. 1818 postanowili więc popłynąć z Lido laguną i Wielkim Kanałem, jak można będzie, najdalej. Przy-

łączył się do nich sekretarz angielskiego konsulatu, Aleksander Scott, a Hoppner towarzyszył im w gondoli. Według umowy nie wolno było inaczej odpoczywać, jak płynąc na plecach. Pierwszy w tym wyścigu ustał Mengaldo; dopłynął tylko do Wenecyi, gdzie koło Piazetty schronił się na gondolę. Scott dotarł aż do Rialto, Byron zaś wyszedł z morza dopiero przy Santa Chiara i był w wodzie cztery godziny i minut dwadzieścia.

Nazajutrz o niczem nie mówiono, jak o tym pływackim wyścigu, a Byrona nazywano odtąd w salonach rybą angielską »il pesce inglese«. Przypomniano sobie zresztą przy tej sposobności różne pływackie »brawury« Byrona. Raz chciał się dostać do swego pałacu z przeciwnego brzegu Wielkiego Kanału, a nie widząc nigdzie w pobliżu gondoli, rzucił się do wody tak, jak był, ubrany i przepłynął ku wielkiej zabawie widzów na drugą stronę. Innym razem odbył w ten sam sposób ową podróż wszerz Kanału w nocy, a obawiając się, aby go jaki przepływający gondolier wiosłem nie uderzył, płynął, pracując tylko prawą ręką, w lewej bowiem trzymał latarnię

Porażka, którą poniósł Mengaldo w wyścigu pływackim, była mu przykrą; ale Włoch wkrótce o niej zapomniał i stosunki pomiędzy nim a Byronem były tak dobre, jak przedtem. Zepsuł je chwilowo pobyt w Wenecyi pani Pallerini, sławnej tancerki, w której Mengaldo się zakochał, pomimo jej stosunku z jednym z impresariów teatru Fenice, Benedyktem Valmarana. Ale o łaski Pallerini zaczął się starać i Byron, a stąd oziębienie przyjaźni z Mengaldem. W jednej z ostatnich strof drugiej pieśni Don Juana wspomniał o niej Byron w sposób, który każe się domyślać, że poeta tym razem nie chciał lub nie mógł zwyciężyć, mówi bowiem:

A przecie przed kilkoma dniami, na reducie
Ujrzałem gościa, jakąś cudną Medyolankę,
Która wznieciła we mnie hultajskie uczucie,
. . . .
Lecz w tejże chwili ku mnie filozofia kroczy
I »pilnuj się« zawoła, »grzech się płaci piekłem!«
»Wiem o tem, moja droga Filozofio«, rzekłem,
»Lecz jej ząbki, jej usta, i, o nieba! oczy!

»Chcę tylko wiedzieć, czy jest panną, czy mężatką
»Lub ni jedną, ni drugą, moja pani matko!«
— »Wstrzymaj się« wykrzyknęła znowu z miną grecką
Filozofia (przebrana za damę wenecką).
(Tłomacz. Baworowskiego).

Ponieważ filozofia zazwyczaj nie miała wpływu na Byrona, jeżeli chodziło o miłosne stosunki, więc przypuszczać trzeba, że tym razem wzgląd na przyjaciela Mengalda kazał poecie zapomnieć o wdziękach Pallerini.

Mengaldo bywał częstym towarzyszem Byrona w konnych przejażdżkach na Lido. Raz, 28 lutego 1819 zapuścili się obydwaj przyjaciele aż do Malamocco i dotykali z jednej strony brzegów Adryatyku, z drugiej Laguny. »Tutaj chciałbym być pochowanym«, odezwał się Byron, »aby na wieki słyszeć głos oceanów, gdyż każdy zakątek ziemi podlega niewoli, a jedno tylko morze jest przybytkiem wolności«. Tej miłości do morza dał później poeta swój wyraz, mówiąc: »Kochałem cię, oceanie! największą moją rozkoszą w młodości było kołysać się na twojej piersi, tak, jak się kołysze piana morska; od dzieciństwa igrałem z wodami, a gdyś był gniewny i fale stawały się straszne, tem większej doznawałem rozkoszy, gdyż wierząc twoim bałwanom, trzymałem się ich grzywy«.

Konie, które Byron miał na Lido, a później przewiózł do Rawenny, stanowiły niemały przedmiot zajęcia w życiu poety. Lubił on bardzo zwierzęta, przywiązywał się do nich, a słynny jest napis, umieszczony przezeń jeszcze w młodości na nagrobku ulubionego psa, którego stracił na wściekliznę. Oto słowa Byrona:

»Tutaj w pobliżu złożone są resztki istoty, która była piękną, a przecież nie próżną; posiadała siłę bez buty, odwagę bez okrucieństwa i wszystkie zalety człowieka bez jego błędów. Ta pochwała byłaby brzydkiem pochlebstwem, gdyby była umieszczona nad zwłokami człowieka, jest wszakże tylko słusznym hołdem, poświęconym pamięci psa, który nosił imię Boatswain, był urodzony w Terre-Neuve w maju r. 1803 i zmarł w Newstead Abbey 18 listopada 1808 r.«.

IV.

Wróćmy jednak do pałacu Mocenigo, gdzie rządziła piekarka Margherita Cogni. Byron właściwie jej tam nie sprowadził, ona sama wymusiła sobie mieszkanie w pałacu. Jednego dnia, w czerwcu 1818 r. przyszła późnym wieczorem do poety, prosząc o schronienie, bo mąż ją bije, trwoni pieniądze i najzupełniej ją zaniedbuje. Nie było rady, Byron pozwolił, aby została do rana; ale nazajutrz słońce już było wysoko na niebie, a Margherita mieszkania poety opuścić nie chciała. Po południu przybył małżonek-piekarz, zaczerwieniony z gniewu, krzyczał, płakał, prosił Margheritę, aby do domu wróciła. Kobieta się uparła, odpowiadała zawsze jedno, że się z miejsca nie ruszy. Piekarz pobiegł po policyę; zwrócono się do Byrona, który odpowiedział, że niech mąż i policyanci robią, co chcą, on przecież kobiety przez okno do kanału wyrzucić nie może. Cogni, nie wiedząc, co dalej począć, udał się do sądu, który Margheritę oddał mężowi. Lecz po kilku dniach pobytu pod domowym dachem, piekarka znowu przybiegła do pałacu i rozgościła się tam bez pozwolenia poety. Byronowi było za wiele tego kłopotu; w dobry sposób zaczął ją namawiać, aby powróciła do męża, ale Margherita umiała go zawsze wprowadzić w dobry humor jakąś wenecką »pantalonadą« i żadne rozsądne gadania na nic się nie przydawały. Co więcej, Margherita umiała trafić do hrabiny Benzon, z którą, jakeśmy wspomnieli, poeta był w przyjaźni, tak, że pani Benzon otoczyła piekarkę swą opieką. Byronowi zresztą podobała się Margherita ze swych dzikich namiętności, niecierpliwił się tylko, że zamiast chodzić w chustce w »faciola« zaczęła się z miejska przebierać i stroić w kapelusze z piórami. Pierwszy taki kapelusz rzucił poeta w ogień; Margherita rozpłakała się jednak z rozpaczy i do tego stopnia zmiękczyła serce poety, że jej kupił inny, bardziej zastosowany do twarzy. Po kapeluszu zachciało się piekarce długiej sukni, jak miały panie weneckie. Byron przystał powoli i na takie przeobrażenie Margherity, zwłaszcza że była smukła i wcale dobrze wyglądała w długich fałdach. Ale wyma-

gania piekarki były coraz większe i humory coraz gwałtowniejsze. Do wszystkiego się mięszała, objęła najzupełniej zarząd domu, biła sługi, gdy nie chciały słuchać jej rozkazów, a co gorsza, przejmowała listy Byrona, które jej się wydawały podejrzane, gdyż miotała nią zazdrość, jak prawdziwą Włoszką. Raz zastał ją Byron nad sylabizowaniem listu do niego pisanego; ale to ją zupełnie nie zmieszało, owszem oświadczyła, że się będzie uczyła czytać, aby otwierać wszystkie jego listy i wiedzieć, co zawierają. W ostatni wtorek karnawału stało się jeszcze coś gorszego. Byron był na maskowym balu w Fenice, zwanym »La Cavalchina« i podał rękę hrabinie Contarini, należącej do najwyższego towarzystwa weneckiego. Margherita się tam znalazła, a poznawszy Byrona, zerwała maskę jego towarzyszce i zrobiła scenę, która, jak sobie można wyobrazić, była w najwyższym stopniu nieprzyjemną poecie. W jednym też z listów skarżył się Byron na tę waryatkę, ale mimo to był zadowolony z odpowiedzi, którą mu dała, gdy jej wyrzucał, że przecież owa pani zamaskowana należała do patrycyatu i nie godziło się z nią tak brutalnie postąpić. »Se ela xe dama, mi so'Veneziana«. »Jeżeli ona jest wielką panią, to ja jestem Wenecyanką!« odrzekła Margherita z dumą, co się Byronowi bardzo podobało.

Razu pewnego w jesieni popłynął Byron na Lido z Titem i jeszcze drugim gondolierem, a gdy wracał, zerwała się groźna burza, tak, że wiosła się połamały, wiatr pozrywał wszystkim trzem kapelusze i zaledwie z wielkim wysiłkiem potrafili dopłynąć do Kanału. Margherita biegała tymczasem po deszczu z rozburzonymi włosami od jednej stacyi gondolierów do drugiej, chcąc Byronowi popłynąć na pomoc, lecz żaden nie podjął się niebezpiecznego zadania. Gdy nareszcie, dzięki herkulesowej sile Tita łódź dobijała do pałacu Mocenigów, zobaczył Byron Margheritę, stojącą na platformie zapłakaną, zrozpaczoną, nie zważającą na to, że ją fale moczyły i rzucającą spojrzenia, które swym ogniem zdawały się iść w zawody z błyskawicami.

»Can de la Madonna, to była pora puszczać się na Lido!« wołała Byronowi na przywitanie, a następnie użyła wszystkich marynarzom znanych środków, aby przeziębienie nie za-

szkodziło poecie. A gdy już nie groziło żadne niebezpieczeństwo, kazała mu iść spać, żegnając go pięknem, weneckiem powiedzeniem: »Benedetto ti e la terra che ti fara«.

Byron też pisał o niej z rozczuleniem: »Znalazłbyś ją pełną wdzięku, gdybyś spojrzał w te wielkie, czarne, błyszczące oczy, gdybyś widział tę kobietę o wyrazie Faustyny i postaci Junony. Wysoka, smukła, energiczna, jak Pitonessa, o czarnych, falistych włosach, iskrzących się przy blasku księżyca. Dla miłości poszłaby do piekła i jestem pewny, że utopiłaby puginał w piersi każdego, kogobym jej wskazał, a nawet w mojem sercu, gdybym ją obraził. Kocham się w takiego rodzaju zwierzęciu i z pewnością przeniósłbym Medeę nad wszystkie kobiety świata«.

Ale to piękne zwierzę zaczęło zawadzać Byronowi, ciążyło na jego wolności, prześladowało go zazdrością. Poeta nie był wiernym Margherycie, w tajemnicy przed nią wynajął inne małe mieszkanie, jakieś »Cassino«, do którego zapraszał nowe przyjaciółki. Dobrzy znajomi namawiali go zresztą, aby odesłał Margheritę piekarzowi, o tej kobiecie zanadto bowiem już mówi cała Wenecya. Margherita spostrzegła, że jej panowanie nad sercem Byrona się kończy i gdy pewnego wieczora, w zimie 1818—1819 r. zdobył się poeta na to, aby jej oświadczyć, że musi pałac opuścić, odpowiedziała, że nim wyjdzie z tych murów, jego i siebie zamorduje. I rzeczywiście, nazajutrz, gdy Byron był przy obiedzie, wpadła tłukąc drzwi szklanne, rzuciła się na poetę, wydarła mu z ręki nóż, raniąc go trochę w palec, ale służący przyskoczyli i rozbroili wojowniczą piekarkę. Tego już było Byronowi za wiele; rozkazał swoim gondolierom wsadzić ją do gondoli i odwieźć do domu.

Margheritę energia opuściła; zdawało się, że się poddała z boleścią, ale i z zupełną rezygnacyą temu wyrokowi. Gdy wsiadła do gondoli, która ją miała na zawsze rozłączyć z Byronem, zachowywała się na razie spokojnie; gdy jednak łódź była już na środku Wielkiego Kanału, zerwała się jak tygrysica i jednym skokiem rzuciła się w morze. Gondolierzy potrafili ją wszakże wyciągnąć z wody, poczem zmoczona, zziębnięta, dała się już odwieźć do męża.

Po rozłączeniu się z Margheritą scharakteryzował ją Byron już mniej entuzyastycznie, aniżeli dawniej. Utrzymywał wprawdzie, że piekarka o nadzwyczajnej piękności i energii, miała niektóre dobre właściwości, ale była fałszywa, jak demon, publicznie się chwaliła swym wpływem, jaki miała na niego, i opowiadała o sposobach, którymi nad nim panować potrafi. Została też ofiarą własnej głupoty

Późniejszy romantyzm, który idealizował Byrona, nie mógł znieść, aby Margherita Cogni była pospolitą kobietą, a nie bohaterką, godną genialnego poety. Literat Gian Battista Cipro wystawił w r. 1837 w jednym z teatrów w Wenecyi dramat pod tytułem »Lord Byron a Venezia«, w którym dzika piekarka występuje jako geniusz pokoju i godzi Byrona z »matematyczką«. Lady Byron przyjeżdża do Wenecyi, przypadkowo poznaje się z Margheritą, dowiaduje się, że poeta obie zdradza, więc wspólny los je łączy. Szlachetna Margherita wychodzi za mąż, lady wraca do Londynu, a Byron, chcąc wynagrodzić złe, które wyrządził, zapisuje jej cały majątek, sam zaś jako pokutnik jedzie na grecką wyprawę. Wszystko się kończy jak najlepiej.

W czasie trwania stosunku z Margheritą powziął Byron myśl napisania dużego poematu satyrycznego, do którego »Beppo« był niejako wstępem. Z włoskich poetów Odrodzenia najwięcej przemawiał Luigi Pulci do usposobienia i wyobraźni Byrona. »Morgante« Pulcego cenił on może wyżej, aniżeli na to ów poemat zasługiwał, a nawet przetłomaczył w r. 1820 pierwszą pieśń »Morganty« na język angielski i uważał ten przekład obok »Pielgrzymek Harolda« za swe najcelniejsze dzieło.

»Potrzeba mi bohatera!« wołał teraz Byron i znalazł go w starym Don Juanie, gdyż postać ta szczególnie się nadawała do wypisania wrażeń poety z jego licznych romansów. Formę znalazł Byron częścią w swych własnych utworach, częścią w Morgancie, w poemacie, w którym autor zerwał z wszelkiemi regułami poetyki i stał się, jak się wyraża jeden z włoskich pisarzy, najzupełniejszym literackim anarchistą. Taki anarchizm dogadzał i Byronowi, który obok bohatera potrzebował wypowiedzieć wszystkie swoje gniewy do żony,

do społeczeństwa angielskiego, do lorda Castlereagh i do krytyków, którzy jego utwory szarpali. Do pierwszego romansu Don Juana mógł poeta znaleźć typów poddostatkiem, może i Maryanna w niejednej charakterystyce służyła mu za model. Trudniejszy do spotkania w życiu był typ Haidey, ale świeże doświadczenia z Margheritą rzecz mu szczególnie ułatwiały. Sporo rysów charakterystycznych tej kobiety, którą jakiś wulkan wyrzucił na powierzchnię ziemi, wplótł poeta w postać Haidey, zwłaszcza tam, gdzie córka piraty staje się furyą, kobietą dziką, wyzwalającą się ze wszystkich więzów kultury, kobietą, powodującą się tylko instynktem i namiętnością.

Pierwsza pieśń Don Juana, wydana 15 lipca 1819 r., wywołała w Anglii burzę; przyjaciele odradzali Byronowi ogłoszenia tego poematu, głównie ze względu na niesłychanie ostre obejście się jego z lady Byron, której portret każdy mógł odgadnąć w Hiszpance, w donnie Inez. Pomiędzy innemi mówi tam Byron o niej:

Matematyka była jej nauką lubą,
A z cnót wspaniałomyślność jej największą chlubą;
Jej dowcip (byle chciała) był czysty atycyzm,
Styl jej rozmowy był tak mglisty jak mistycyzm;
Zgoła, bez omówienia, nazwać ją musimy
Dziwowiskiem . . . .
. . . .
Jej swada była istnym odczytem wszechnicy,
Na jej czole był morał, kazanie w źrenicy;
Była pewną, że zdanie nigdy jej nie myli.
(Tłom. Baworowskiego).

I mnóstwo innych dostało się jej tam złośliwych przycinków. W luźnych ramach poematu mogła wyobraźnia Byrona hulać swobodnie, powstało też dzieło, w którem poeta wznosi się gdzieniegdzie na najwyższe szczyty ducha, kreśli przepyszne opisy, gdzieniegdzie zaś wysypuje cały róg obfitości już nie kwiatów, ale złośliwych uwag o ludziach i o społeczeństwie, pełnych jednak bystrości w spostrzeganiu ułomności ludzkich i dziwnie pięknych porównań.

Byron podobnie, jak Shakespeare, lubił brać gotowe tematy i zapożyczać się w tej mierze u innych średniej miary

pisarzy. Takie tombakowe dzieło przetapiał w swej wyobraźni na czyste złoto, które swym blaskiem nas zadziwia. Włoską literaturą często się w tym celu posługiwał, niektóre reminiscencye z »Żywota Celliniego« znajdują się w jego poematach, a do epizodów »Don Giovanniego« w Rosyi, wziął sporo treści z satyrycznego poematu »Poema Tartaro« Gianbattisty Casti'ego. Casti był nadwornym dramaturgiem cesarza Józefa II w Wiedniu po Metastasiu. Ale właśnie owym poematem naraził się cesarzowi i musiał posady swej ustąpić Wawrzyńcowi da Ponte.

V.

Marina Benzon miała obok pani Tron i hrabiny Albrizzi najbardziej uczęszczany salon w Wenecyi. Pochodziła ze znakomitej rodziny Quirinich, po której pozostało cenne muzeum i publiczna biblioteka. Panią Benzon nazywano pospolicie La Benzona, albo la bionda Marina. Nazwę tę początkowo dał jej poeta Lamberti, nazwany »Anakreontem lagun«, który na cześć młodej jeszcze Benzony napisał barkarolę zaczynającą się od słów:

La Biondina in gondoletta
L'altra sera go mena...

Barkarola ta, do której dorobiono piękną muzykę, stała się jednym z najpopularniejszych śpiewów weneckich i obiegła całą Europę.

W czasie, kiedy Byron bywał w salonie Benzony, urocza blondyna dosięgała już lat sześćdziesięciu, lecz miała jeszcze wielką ochotę podobania się, a nawet myślała na prawdę o zdobyciu serca angielskiego poety. Cała Wenecya była zresztą przekonana, że poeta na chwilę uległ zwiędłym wdziękom Mariny, w co wierzyć można, gdyż Byron był w rzeczach miłości człowiekiem niesłychanie ciekawym, a przelotny stosunek z »jasną Mariną« otwierał mu nowe horyzonty, których dotąd nie znał.

Że uczucia Benzony były gorętsze, jak u zwykłej Wenecyanki, to dziwić nikogo nie mogło, gdyż Marina urodziła się w Corfu, gdzie ojciec jej Pietro Antonio Quirini piastował wysokie godności Rzeczypospolitej Weneckiej. W dwudziestym roku życia poszła za mąż za patrycyusza Piotra Benzon i miała syna Wiktora, który już wówczas, kiedy go znał Byron, był cenionym poetą.

Wiktor, blondyn, jak matka, ale blady, chorowity, kaszlący, był, jak mówiono, synem swego rodzonego wuja, Alwisa Quiriniego, a romanse w rodzinie zdawały się tam być smutnem dziedzictwem, gdyż Wiktor miał stosunek ze swoją zamężną już siostrą. Kazirodcze te węzły posłużyły Stendhalowi, bawiącemu wówczas w Wenecyi, do napisania nowelli »Vie de Henry Brulard«. Mimo to słynny Francuz tak był zachwycony panią Benzon i towarzystwem, jaki u niej spotykał, że według niego salony paryskie były mdłe i nudne w porównaniu z »Conversazioni« Mariny.

Wiktor nie lubił Byrona, co może przemawia za tem, że wiedział o zbytnich zapałach swej matki do angielskiego poety. W poemacie »Nella«, napisanym w r. 1820, uderza on zupełnie niesłusznie na Byrona, że tenże w »Haroldzie«, w »Beppie« i w »Odzie do Wenecyi« dotknął uczuć patryotycznych Wenecyan. Chyba żadnemu innemu Włochowi nie przyszło na myśl, aby w poezyach Byrona odkryć tę obrazę. Żal Wiktora do Byrona musiał mieć inne powody.

La bionda Marina stała przez długi czas na czele kobiet używających życia; na męża nie wiele zważała, był on od niej niższy umysłem i postacią. Nie należała do wielkich piękności; rysy miała niezbyt regularne, lecz w wyrazie twarzy, w ruchach, tyle się malowało życia i zręczności, że w hołdowaniu sobie mężczyzn żadna inna kobieta nie mogła się z nią równać. Zresztą nie była bynajmniej brzydką: płeć miała białą, mały orli nos, brwi pięknie zagięte i obfite, włosy o złotawym połysku. Nadzwyczaj naturalna w obejściu, wesoła, nie krępowała się żadnymi towarzyskimi względami, mówiła, robiła, co się jej podobało, ubierała się nawet według własnej mody. Gdyby czarne gondole nie były takie milczące, mogłyby były dużo opowiadać o miłosnych wycieczkach Mariny,

a gdyby maski nie zakrywały w karnawał zakochanych postaci, toby wenecki świat dowiedział się o niejednej intrydze, której Benzona była bohaterką. Wielkim romansem jej życia stał się jednak stosunek z markizem Giuseppem Rangonim, do którego pisywała listy pełne miłosnego zapału, nazywając go czasem »seduttore«, »uwodzicielem«. Mąż jej Pietro umarł późno, ale dość wcześnie, aby się mogła jeszcze na krótki czas przynajmniej połączyć z swym Beppem. Zapewniała też Rangoniego w listach, że Madonna, do której się modli co godzinę, o niej nie zapomni. I Madonna, w jej rozumieniu, wysłuchała kochającą duszę, Marina i Beppo połączyli się węzłem małżeńskim, ale markiz miał już wtedy lat sześćdziesiąt, a wdowa po Benzonie o dziesięć lat więcej. Nie dziw też, że będąc tak pewną siebie, w sześćdziesięciu latach myślała jeszcze o Byronie, pomimo że pomiędzy nią a piewcą Don Juana była tak wielka różnica wieku. Byron chętnie uczęszczał na jej »conversazioni«, tem bardziej, że spotykał tam towarzystwo wierne tradycyom Rzeczypospolitej.

Równocześnie bywał Byron w innem, więcej artystycznem towarzystwie, u państwa Perucchinich, gdzie można byto także spotkać bardzo piękne kobiety. Girolamo Perucchini był prezydentem Najwyższego Trybunału, a począwszy od roku 1815, poświęcił się adwokaturze. Człowiek wielkich zdolności, miał syna Giambattistę, także adwokata, słynniejszego jednak z talentu muzykalnego, aniżeli z obron przed sądami. Młodzi państwo Perucchini przyjmowali u siebie dość często, a duszą towarzystwa był sam Giambattista, który po mistrzowsku grał na fortepianie i komponował pieśni weneckie. Jego barkarole: »La note xe bela«, »Sentite qua Catina«, »Erbe per te migliori« i »Nice dorme« stały się rozgłośne w całej Europie. Car Aleksander tak się zachwycił melodyami Wenecyanina, że kazał go sobie przedstawić i okazywał mu dużo życzliwości. Podczas kongresu w Weronie czekał Perucchini z bijącem sercem na cara u schodów sali, w której się odbywały dyplomatyczne konferencye. Aleksander I obiecał mu bowiem, że dyplomacya rosyjska będzie walczyła o niezawisłość Lombardyi i Wenecyi. Po skończeniu obrad car wyszedł, chwycił rękę Perucchiniego i miał mu powie-

dzieć: »Przyjacielu, wszelkie nadzieje nas zawiodły; udziel tej smutnej wiadomości swoim znajomym i załaczmy z głęboką boleścią nad losem twojej ojczyzny«.

W salonie państwa Perucchinich gromadzili się wszyscy cudzoziemcy, których zajmowała muzyka. Z wielkości artystycznych bywali tam Rossini, Gabussi, Bellini, Mayerbeer, Wolf, Leidesdorf z Wiednia; z Polaków Poniatowski żył w wielkiej przyjaźni z Perucchinim.

Ważny zwrot wszakże w życiu Byrona nie rozstrzygnął się w salonie Perucchinich, lecz u Mariny Benzony, na jednej z »conversazione« w kwietniu r. 1819. Pomiędzy gośćmi był tam hr. Alessandro Guiccioli z bardzo młodą żoną, która dopiero przed rokiem opuściwszy klasztor, gdzie ją wychowywano, wyszłą za mąż za sześćdziesięciopięcioletniego hrabiego. Giuccioli był jednym z najzamożniejszych właścicieli ziemskich w okolicy Rawenny, a że należał do liberalnego obozu, więc go wybrano do ciała prawodawczego Cisalpiny, gdzie zresztą nie odegrał był ważniejszej roli. Po śmierci pierwszej żony, Placydy Ginnani, bardzo posażnej, ale chorowitej kobiety, ożenił się ze swoją pokojową, która także umarła r. 1817. Niespełna w rok poźniej prowadził do ołtarza siedmnastoletnią hrabiankę Teresę Gamba, którą wydano za niego jako za człowieka zamożnego, pomimo, że Giuccioli znany był z bardzo rozwiązłego życia. Na owym wieczorze u Benzony zobaczyła Teresa po raz pierwszy Byrona; że jednak było już bardzo późno, a hrabina, nie przyzwyczajona do nocnych zabaw, czuła się nadzwyczaj zmęczoną, więc nie miała ochoty poznawać się ze sławnym Anglikiem. Byron także nie lubił robić nowych znajomości kobiecych, utrzymywał bowiem, że go romanse już nudzą i że nie chce się narażać na nowe nieprzyjemności, które z nich zazwyczaj wynikają. Tak się jednak złożyło, że hrabina Guiccioli i poeta znaleźli się tuż obok siebie i że musiał się jej przedstawić, nie chcąc być niegrzecznym. Słysząc głos harmonijny Byrona i widząc przed sobą szlachetną postać mężczyzny, jakiego jeszcze nigdy nie spotkała, zapomniała Guiccioli o zmęczeniu, mówiła dłużej z cudzoziemcem i wyszła pod jego wrażeniem. Byron także zapomniał wobec uroczej kobiety o swych przysięgach,

że już zerwie raz na zawsze z niebezpiecznym niewieścim rodem, i odtąd co wieczór widywał się w Wenecyi z hrabstwem Guiccioli.

Po dzikiej Marghericie kobieta młoda, wiotka, o żywem spojrzeniu, długich, jasnobrunatnych lokach rudawego połysku, raczej północna, aniżeli południowa piękność, przytem nieszczęśliwa z mężem, zdawała mu się prawdziwym ideałem wdzięku [1]). Byron nie lubił, żeby kobieta dużo jadła; gdy zobaczył w towarzystwie jaką markizę, smacznie spożywającą baranie kotlety, natychmiast się do niej zrażał. Teorya głodzenia się, którą dawniej wymyślił dla siebie, aby się uduchownić, chciał zastosować do istoty, którą sobie wyidealizował. A pani Guiccioli żywiła się, jakby nie była ziemianką i nie z ziemi rodem. Pani Albrizzi zauważyła, że Byron, który był zawsze pod panowaniem jakiejś kobiety, rad był czemś usprawiedliwiać wobec siebie samego tę wykonaną nad nim władzę i chętnie widział w owej pięknej despotce jakąś uduchowioną istotę. Taką mu się odrazu wydała hrabina Guiccioli.

Kilka dni wystarczyło, aby i Teresa tak dalece zakochała się w Angliku, że pierwszego dnia po wyjeździe z Wenecyi do Rawenny, gdzie hrabstwo mieszkali, po rozłączeniu się z poetą trzy razy zemdlała z rozpaczy. Z drogi pisała do Byrona list za listem, wynurzając mu swoje uczucia, a do Rawenny przybyła zupełnie wyczerpana. Dopiero otrzymany list, w którym Byron obiecywał, że przyjedzie w maju do Rawenny, wrócił jej, rzec można, życie. Byron zwlekał jednak z podróżą, obawiając się, że swą obecnością zaszkodzi dobrej sławie młodej kobiety i że przez jej rodzinę bę-

---

[1]) Słynny niemiecki historyk Reumont pisał w r. 1847 (Neue römische Briefe von einem Florentiner. 2-ter Teil. Leipzig F. A. Brockhaus 1844), że od wiosny r. 1834 nie widział hrabiny Guiccioli, ale że w tych ośmiu latach bardzo mało się zmieniła, tylko że trochę utyła. Jej portret, który w r. 1833 wyrysował Brockedon jest najpodobniejszy, jaki Reumont widział, pomimo że cokolwiek zmanierowany. Podobiznę tę zamieściły »Landscape Illustrations« do dzieł Byrona. Według Reumonta miała wtedy Guiccioli najwięcej podobieństwa do niektórych kobiet Tycyana.

dzie źle przyjęty. Gdy mu jednak Guiccioli doniosła, że cała rodzina już przygotowana na jego przyjazd, a jego obecność w Rawennie nie obudzi żadnych niemiłych podejrzeń, opuścił pierwszego czerwca Wenecyę. Mengaldo przyszedł go pożegnać do pałacu Mocenigów i dał mu list polecający do swego przyjaciela Ercola Trotti-Mosti w Ferrarze. Byron wyjął ze swej torby podróżnej krzyż legii honorowej i przytwierdził go na piersi przyjaciela, mówiąc, że na godniejszej piersi nie może się znaleść ta honorowa odznaka. A ów krzyż miał swoją historyę. Angielski żołnierz znalazł go na polu bitwy pod Waterloo i podarował Byronowi. Poeta nosił ową pamiątkę długi czas przy sobie, miał ją w ręku, zwiedzając miejsce tryumfów Wellingtona, a gdy przybył do Genewy, napisał słynną odę »On the star of Legion of Honour«. Gdy się Ludwik XVIII dowiedział o losach owego orderu, zapytał się lorda Steward, ambasadora angielskiego w Paryżu, czy zna lorda Byrona? — a gdy Steward odpowiedział, że jest krewnym Sir Ralpha, ojca miss Milbanke, małżonki Byrona, prosił go, aby napisał poecie, że mu ofiaruje podobny order. »Niech nosi legię honorową na piersiach, dodał król, którą dotąd chował w kieszeni«. Zdaje się, że Byronowi pochlebił ten zaszczyt, gdyż, o ile wiadomo, przypiął go dwa razy na piersiach, raz na balu, który później urządził dla hrabiny Guiccioli w pałacu Mocenigo, drugi raz, gdy przyjmował u siebie wysłańca ludu greckiego, proszącego o popieranie składek na rzecz greckiej wolności.

Order legii honorowej z pod Waterloo, którym Byron obdarzył swego przyjaciela, zapisał Mengaldo po śmierci (1869) opatowi Bernardemu, a ten pozostawił cenną pamiątkę muzeum Correr w Wenecyi. Tamtejszy literat Nazzareno Meneghetto napisał o tym orderze całą broszurę.

W Rawennie zastał Byron Teresę w gorączce, wyrzucającą krew z płuc, prawie śmiertelnie chorą. W towarzystwie jednak poety młoda kobieta szybko odzyskała zdrowie. Mimo to Byron radził, aby sprowadzić doktora Agliettego z Wenecyi; gdy jednak małżonek Guiccioli na to nie przystawał, zapewne obawiając się kosztów, stanęło na tem, że Byron ofiarował hrabinie na dłuższy pobyt swą willę Foscarini, gdzieby

mogła być pod opieką weneckiego lekarza. Mąż chorej na wszystko się zgodził, nawet na to, aby ją Byron z Rawenny do Wenecyi odprowadził, co się poecie tak dziwnem wydawało, że się obawiał jakiego podstępu i czuł już sztylet za sobą. Później jddnak rzecz się wyjaśniła; Włoch był człowiekiem praktycznym i z czasem zażądał od Anglika pożyczki w kwocie tysiąca funtów szterlingów, o puginale nie myślał. Za zgodą męża i rodziny Byron został cavalierem servente hrabiny Guiccioli, chociaż niezbyt mu to pochlebiało, że go uważano w towarzystwie za pełniącego tę słodką, często nawet nudną funkcyę. Osobliwie gniewał się, gdy go hr. Guiccioli obwoził karetą zaprzężoną w sześć koni po Rawennie i niejako przedstawiał publiczności za przyjaciela swego domu. »Jestem funkcyonaryuszem u hrabiny Guiccioli, pisał Byron z humorem do przyjaciela Murraya, ale tutaj moralność jest wszędzie ta sama. W Faenzy mieszka lord... ze śpiewaczką opery, a w tem samem mieście jakiś książę neapolitański służy małżonce tamtejszego gonfaloniera. Cosi fan tutti e tutte«.

Hrabina Guiccioli nie była pięknością; zdobiła ją pewna gracya w ruchach, podobały się jej niebieskie oczy i złocisto jasne włosy. Była raczej typem angielskim, aniżeli włoskim. Bardzo wątłego zdrowia, wiecznie kaszlała i często zapadała na febrę. Nie odznaczała się wielką inteligencyą, natomiast sentymentalizm górował u niej nad wszelkiemi innemi zaletami i wadami charakteru. Doświadczenia życia trudno było u niej szukać w czasach stosunku z Byronem; wychowana w klasztorze nie znała świata. Po śmierci poety wydała rodzaj pamiętnika o lordzie Byronie, pod nazwą Teresy de Boissy. W tym pamiętniku przebija czułostkowość autorki, a prawdę powiedziawszy, i wielka konfuzya. Hrabina ciągle się powtarza, a gdyby była zamiast dwóch dużych tomów napisała jeden, jak można, najmniejszy, byłaby się przysłużyła potomności. Gdy później mieszkała w Genewie, znał ją tam Krakowianin, hrabia Henryk W. i także wyniósl to wrażenie, że nie była kobietą wyższego umysłu. Hrabia W., młodzieniec pełen dowcipu i niezwykłych towarzyskich zalet, korespondował z nią przez jakiś czas, ale i te listy pani Guiccioli podobno nie odznaczały się szczególną werwą.

Jak tylko hrabina mogła w Rawennie wychodzić po przebytej chorobie, udała się z Byronem na grób Dantego, do Franciszkanów. Ona ubrana czarno, poeta, który lubił pozę, w mundurze wojskowym angielskim. Byron złożył w kaplicy pamiątkowej wielkiego poety tom dzieł swoich, zapewne Child-Harolda, którego najwyżej cenił, i stał tam długo zamyślony, z założonemi rękami na piersiach. Hrabina modliła się przed kaplicą. Następnej nocy napisał Byron swoją »Prophety of Dante«, poświęcając wiersz nowej swej Muzie, która go namówiła, aby podobnie, jak w Ferrarze zwracał swą poetyczną duszę do Tassa, tutaj w Rawennie szukał natchnienia we wspomnieniach Danta. »Proroctwo Danta« miało być wstępem do wielkiego poematu, który Byron zamierzał kiedyś napisać po włosku i wlać weń całą swą miłość do nowej ojczyzny. Wczesna śmierć przeszkodziła wykonaniu tego zamiaru.

Po hołdzie, złożonym Dantemu, wyjechał Byron ze swą Beatryczą w połowie września do Wenecyi; hrabia Guiccioli odprowadził poetyczną parę tylko do Bolonii, gdzie zapewne szukał także na swój sposób miłosnych wrażeń. Hrabia był wielkim zwolennikiem teatru i artystek, miał nawet pewne zasługi w rozpowszechnianiu tragedyi Alfierego, na własny koszt bowiem urządzał przedstawienia dzieł poety-patryoty i w tej mierze nie szczędził wydatków.

Byron urządził hrabinie willę La Mira na mieszkanie i tam przepędził z nią blizko dwa miesiące w samotności. Tych słodkich chwil było mu wszakże za wiele. Teresa nudziła go swym sentymentalizmem i gdy hrabia w początkach listopada przyjechał po małżonkę, a raczej po pożyczkę, której nie otrzymał, byłby Byron chętnie przystał na rozłączenie się z kochającą go hrabiną. Rzecz była jednak trudna; z Teresą nie można było tak postąpić, jak z piekarką Cogni, nie można jej było wsadzić do powozu i dalej się o nią nie troszczyć. Na szczęście hrabia Guiccioli, nie zdobywszy angielskich szterlingów, zaczął się sierdzić, żądał, aby Teresa wracała do Rawenny; być może, że pragnął uniknąć ubliżających mu pogłosek, że żonę sprzedał Anglikowi. Teresa jednak nie chciała wyjeżdżać z La Miry i dopiero sam Byron ją do tego

nakłonił. Po jej wyjeździe zdawało się poecie, że ma już dość tych włoskich awantur, i postanowił wrócić do Anglii. Napisał bardzo czuły list z pożegnaniem do Guiccioli, kazał rzeczy zapakować, ubrał się nawet już po podróżnemu; ale w ostatniej chwili zawahał się, żal mu było włoskiego, swobodnego życia, nienawidził swej ojczyzny, a może miał i wyrzuty sumienia, że w niewdzięczny sposób porzuca młodą kobietę, która dla niego zmarnowała całą swą przyszłość. Zaczął więc snuć plany dość fantastyczne, zamierzał zabrać Teresę, pojechać z nią do Francyi lub do Ameryki, zmienić nazwisko i tam żyć cicho i spokojnie.

Tymczasem jednak Teresa po powrocie do Rawenny ciężko zachorowała, a Byron otrzymał od jej ojca, który dotąd był przeciwny jego stosunkowi z córką, list błagalny, aby przybył do Rawenny, bo hrabina bez niego żyć nie może. Stary Gamba zapewniał poetę, że i mąż Teresy zgodzi się na jego powrót.

Zamiast więc do Ameryki pojechał Byron do Rawenny, tym razem na stały pobyt. Hrabia Guiccioli wynajął mu mieszkanie w swoim pałacu i Byron został uznanym przez rodzinę i przez męża kochankiem Teresy, która niebawem przyszła do zupełnego zdrowia. W liście do Moora utrzymywał Byron żartobliwie, że cała jej choroba pochodziła z czytania »Corinny«.

Z końcem grudnia 1819 r. towarzyszył już Byron Teresie na bal u markiza Cavalli, gdzie było ze trzysta osób i tyle pięknych kobiet i dyamentów, jak jeszcze nigdy nie widział w stosunkowo nie tak wielkiem towarzystwie. Jego obecność przy Teresie uważano, jak zapewnia Byron, za coś zupełnie naturalnego, a markiz Gamba i jego wuj obchodzili się z nim jakby z blizkim krewnym.

Właśnie w chwili, kiedy poeta znajdował się w pełni swych obowiązków cicisbea, prosił go Murray, aby napisał książkę o obyczajach i o towarzystwie włoskiem. Byron uważa się w liście do wydawcy wprawdzie za zupełnie »kwalifikowanego« do tego rodzaju zadania, gdyż żył w rodzinach włoskich, już to jako »amico di casa«, już to jako »amico di cuore« pani domu, ale rozpraw o tym przedmiocie by nie pi-

sał, gdyż Anglicy nie zrozumieliby jego uwag. Moralność włoska nie jest moralnością północnych narodów, życie Włochów nie jest życiem Anglików, Francuzów lub Niemców. Wychowanie klasztorne, instytucya cicisbeów, zwyczaje, sposób myślenia, wogóle całe życie jest tak dalece odmienne we Włoszech, że publiczność północna trudnoby je pojęła. Naród to wstrzemięźliwy, a zarazem rozwiązły, poważnego charakteru, a błazeński w swych zabawach, porywczy, a zarazem stały, nie znający towarzyskości w północnem tego słowa znaczeniu, i dlatego nie ma prawdziwej komedyi, ponieważ nie ma towarzystwa, z któregoby ją można czerpać. Nawet Goldoni nie stanowi w tej mierze wyjątku. Ich conversazioni nie są wynikiem towarzyskości. Idzie się do teatru, aby rozmawiać, a do salonów, aby milczeć. Kobiety siadają w półkole, mężczyźni tworzą grupy albo grają w nudne »faro«, albo też w »lotto reale« małemi stawkami. Ich akademie muzyczne są naszymi koncertami z lepszą muzyką i większemi formalnościami. Co mają od nas lepszego, to bale i maskarady w czasie karnawału, w epoce, w której każdy jest przez sześć tygodni waryatem. Po obiedzie improwizują wiersze i ośmieszają się nawzajem, ale dzieje się to w sposób, któregobyście nie zrozumieli na Północy. W domowem ognisku inaczej. Mógłbym o tem coś powiedzieć po mojem doświadczeniu z kobietami, począwszy od rybaczki, aż do tej »nobile dama«, której teraz służę. Ich system ma swe reguły, swe konwenanse, tak dalece, że tworzy pewien rodzaj dyscypliny albo gry serc, od której nie wolno odstąpić pod karą przegranej. Kobiety są nadzwyczaj czułe, ale zazdrosne, jak furye, nie pozwalają nawet żenić się swoim ukochanym i jeżeli tylko mogą, przeszkadzają im w matrymonialnych zamiarach, chcą kochanków mieć przy sobie na ulicy, w domu, wszędzie i zawsze, kiedy się tylko da. Krótko mówiąc, przemieniają niewierność w małżeństwo i unieważniają zakaz siódmego przykazania; idą za mąż dla rodziny, a kochają się dla samych siebie. Wymagają od swoich ulubieńców wierności jako sprawy honorowej, podczas gdy męża uważają za dostawcę rzeczy w domu potrzebnych. Wogóle we Włoszech nie sądzi się charakteru mężczyzny lub kobiety według ich zachowania się wobec

żony lub męża, lecz według stosunku do kochanka lub kochanki. Podczas gdy kobiety tak sobie życie urządzają, okazują na zewnątrz jak największe uszanowanie dla mężów, zwłaszcza jeżeli mąż nie jest w usługach jakiejś innej kobiety. Servente, wydaje się, jakoby był członkiem rodziny. Zdarzają się i kobiety, które zakochawszy się, biorą na kieł, uciekają od męża, albo się z nim rozłączają, czasem robią mu domowe sceny; ale to dzieje się tylko w początkach małżeństwa, kiedy nie mają jeszcze doświadczenia. Takie zachowanie się wszakże bywa zawsze uważane za coś niepotrzebnego, ekscentrycznego.

Tego zdania była i Teresa; ale rzecz szczególna, że po blizko całorocznym stosunku jej z Byronem zaczął się hrabia Guiccioli buntować (z wiosną r. 1820) i rozgłaszać, że hrabina ma stosunek z Anglikiem. Śledził zakochaną parę, ale hrabina była zręczniejsza od męża i Guiccioli nie mógł znaleźć »dostatecznych« powodów do wdrożenia przeciw niej skargi rozwodowej. Wreszcie jednak chciał rozpocząć sprawę, ale tem samem poruszył przeciw sobie całą Rawennę z przyległościami, pomimo bowiem, że źle żyjące pomiędzy sobą małżeństwa często się rozchodziły, strzeżono się wypowiedzieć głośno, jaki jest właściwy powód separacyi. Mężowie żon niewiernych dbali o honor familii. Od dwustu lat, jak zapewnia Byron, nie było w Rawennie wypadku, aby mąż otwarcie oskarżał żonę o niedozwolony stosunek. Rodzina więc Teresy była w najwyższym stopniu oburzoną na hrabiego, że kala dobre imię Gambów, że działa przeciw zwyczajom przyzwoitości małżeńskiej. Ojciec Teresy wyzwał go na pojedynek, ale napróżno; Guiccioli oświadczył, że się bić nie będzie. Zaczęto ostrzegać Byrona, aby się miał na baczności, gdyż teraz gotów hrabia załatwić sprawę sztyletem, w co był wprawny, gdyż miał już dwa skrytobójstwa na sumieniu. Teresa błagała poetę, aby nie jeździł konno na spacer do »Pinety«, gdzie łatwo było strzelić do niego z ukrycia. Byron nie słuchał ostrzeżeń, nie wychodził jednak inaczej, jak z dwoma pistoletami i sztyletem, a zresztą rozumował, że Guiccioli zanadto skąpy, aby wydać dwadzieścia skudów na wynajęcie brawa.

Ten stan wojenny między hrabią a Byronem przeciągał się, gdyż żaden adwokat nie chciał się podjąć sprawy rozwodowej, ażeby sobie nie narazić opinii publicznej. Mówiono, że Guiccioli jest albo głupcem albo łotrem, jakich mało, gdyż robi skandal i okrywa Rawennę śmiesznością. Hrabia tłumaczył się, że uważał stosunek pomiędzy Teresą a Byronem za ściśle przyjacielski, a nawet sądził, że Anglik ma do niego więcej sympatyi, aniżeli do hrabiny. Na co mu odpowiedziano, że »ignis fatuus«, »błędny ognik«, jak Włosi Byrona nazywali, nie był osobistością nieznaną i nie słynął bynajmniej z czystości obyczajów, co więcej, brat hrabiego pisał mu już przed rokiem z Rzymu o pogłosce, że Teresa zdradza małżonka.

Wreszcie sama rodzina Gambów, chcąc bronić swego honoru, zajęła się sprawą na seryo. Teresa wniosła do Rzymu skargę separacyjną, opierając się na podłem wobec niej postępowaniu męża. Hrabia starał się wszelkimi sposobami przeszkodzić rozłączeniu się z żoną, ze względu na pensyę alimentacyjną, którąby musiał jej wypłacać; ale rodzina Gambów rzecz prowadziła energicznie, mając w Rzymie znajomych kardynałów.

Dwunastego czerwca 1820 r. przybył dekret separacyjny »z Babilonu«, jak się Byron wyraża w jednym z listów do przyjaciela; Guicciolego skazano na płacenie hrabinie pensyi, wydanie wszystkich dóbr do niej należących, na zwrot ruchomości i klejnotów. Dekret postanawiał, że hrabina ma wrócić do swej rodziny, a Byron może się z nią widywać tylko pod pewnymi warunkami. Hrabina wyjechała więc 16 lipca 1820 r. na wieś do willi odległej o piętnaście mil od Rawenny, a Byron pozostał w Rawennie, oczekując dalszych wypadków.

Tymczasem zajął się poeta losem swej czteroletniej, nieślubnej córeczki Allegry. Sprowadził ją z Wenecyi do Rawenny; nie mogąc jej jednak po wyjeździe Teresy wychowywać u siebie, oddał dziecinę do klasztoru św. Anny w Bagna Cavallo, odległego o kilka godzin od Rawenny, gdzie było zdrowe powietrze i zakonnice słynęły z dobrego opiekowania się dziećmi. W liście do Hoppnera tłumaczył się, że nieślubnej córce nie może dać wychowania angielskiego, gdyż w Anglii

napotkałaby w życiu na wielkie trudności, we Włoszech zaś z posagiem pięciu albo sześciu tysięcy liwrów będzie mogła bardzo dobrze wyjść za mąż. Taki posag nie miałby w Anglii znaczenia. Zresztą Byron życzył sobie, aby córka została katoliczką, uważał bowiem tę religię za najstarszą i najlepszą z różnych gałęzi chrześcijaństwa.

Jane Clairmont gwałtownie się temu sprzeciwiała; ale Byron nie zważał na jej listy i dziecka nie chciał pod żadnym warunkiem powierzyć matce.

Po wyjeździe Teresy opustoszał pałac Guicciolich, który poeta zamienił w formalną arkę Noego. Psy, koty, małpy zapełniały piękne podwórze, ptaki rozmaitego rodzaju latały swobodnie po dużych komnatach, a Shelley, który tam odwiedzał Byrona w sierpniu r. 1821, pozostawił barwny opis tej włosko-angielskiej siedziby. Shelley znalazł Byrona w lepszem cokolwiek zdrowiu, aniżeli w Wenecyi, ale mimo to lord ciągle jeszcze zapadał na febrę i miał zepsuty żołądek. Zdaniem jednak Shelleya dużo zyskał na humorze i moralności. Stosunek z Teresą jest wielkiem dla niego szczęściem. Żyje wprawdzie zbytkownie, ale nie wydaje rocznego dochodu, wynoszącego około 100.000 franków. Czwartą część dochodu poświęca na cele dobroczynne.

Byron dużo pracował; pisał dalej »Don Juana«, skończył »Marina Faliera« i »Kaina«, czytał tragedye Alfierego, któremi się zachwycał. Zmienił także »Sardanapala« a to wskutek uwag Teresy. Raz utrzymywał wobec niej, że miłość nie koniecznie powinna być głównym tematem tragedyi, czemu była Giuccioli przeciwna i o tyle go przekonała, że pozwolił w »Sardanapalu« odgrywać miłości większą rolę, aniżeli początkowo zamyślał.

Zresztą nie nudził się w Rawennie. Mylą się ci, co utrzymują, że hrabina Guiccioli stała się owym aniołem stróżem, który poetę zupełnie wyrwał z rąk pospolitych kobiet, z drapieżnych objęć piekarki i podobnych jej »pięknych zwierząt«. Poeta i w Rawennie zdradzał poczciwą Teresę. Zatęsknił za Margheritami, a sposobność do zastąpienia Wenecyanki łatwo się znalazła. Byron jeździł do willi Castinelli w Casanello, aby strzelać do celu z pistoletu. Tam zobaczył młodą dzie-

wczynę, Martę, ogrodniczkę z zawodu, która mu się bardzo podobała. Wprawny w podbijaniu serc niewieścich, szybko zawiązał z nią stosunek, a gdy wyjeżdżał z Rawenny, chciał ją zabrać ze sobą do Pizy. Dziewczyna obawiała się jednak niepewnych losów i pozostała w swoim ogrodzie. Literat włoski, Feliks Tribolati, posiadał, o ile mi wiadomo, w Livorno, portret Marty, rysowany ołówkiem. Dziewczyna była »fresca e frasca«, »świeża i hoża«, miała włosy rozdzielone nad czołem i loki spadające po obu stronach głowy, na szyi nosiła łańcuszek z krzyżykiem, jak inne wieśniaczki z okolicy, i robiła wrażenie zabawnej filutki.

VI.

Byron nie był politykiem, nienawidził ówczesnych dyplomatów, których nazwał kramarzami, sprzedającymi narody po kawałku; tem więcej jednak umiłował wolność, sprawiedliwość i stał zawsze po stronie pokrzywdzonych. W pierwszej swej mowie w angielskiej Izbie wyższej ujął się za robotnikami, którzy przez zaprowadzenie maszyn popadali w najstraszniejszą nędzę, a nie znając jeszcze Włoch, tak bolał nad politycznymi więzami, którymi skrępowano Lombardyę i Wenecyę, że w Londynie przystąpił w r. 1816 do klubu włoskich Carbonarów, a w Genewie napisał poezye polityczne »From the french«, które nazwano manifestem powstania przeciw cesarzom i królom. To też gdy przybył do Włoch, policya austryacka, a następnie papieska nie spuszczały go z oka. Jako angielskiego para nie można go było bez bardzo ważnych powodów wydalić jako niewygodnego gościa, ale jak tylko urzędowa »Gazetta di Milano« dowiedziała się o przyjeździe poety, zaraz przedstawiła go publiczności wprawdzie jako człowieka wielkiego talentu, ale zarazem jako poetę niemoralnego, niereligijnego, piszącego rzeczy, które się nie zgadzają ze zdrowym rozsądkiem. Tego systemu trzymała się owa gazeta przez cały czas pobytu Byrona we Włoszech, a wtórowała jej »Gazzetta privilegiata« w Wenecyi, wytykając Anglikowi, że był największym wielbicielem Napoleona

i popiera idee wolnomyślne. Gdy w r. 1819 Michele Leoni przetłumaczył pierwszą księgę Child Harolda, policya nakład skonfiskowała[1]), zakazując rozprzedawania tej niebezpiecznej książki. Więcej może powodu do gniewu na poetę miała cenzura, gdy Byron w pieśni czwartej przypominał Wenecyanom, że obce ręce noszą teraz zardzewiały miecz dożów. Oda do Wenecyi (1818) również nie była miła rządowi; to też policye papieska i wenecka wymieniały sobie nawzajem wrażenia o niebezpiecznym lordzie. Książę Sciarra Colonna, dyrektor policyi papieskiej w Bolonii, donosił w r. 1819 austryackiemu koledze w Wenecyi, że »il nobile Inglese aveva opinioni libertine«, że trzeba śledzić niepostrzeżenie jego ruchy w Wenecyi i prosi o doniesienie, skoro tylko wyjedzie do Romanii »per una nuova inclinazione galante«. Książę Colonna, człowiek dobrze wychowany, nie wymienił przedmiotu owej miłosnej inklinacyi, hrabiny Guiccioli, domyślając się zresztą, że w Wenecyi dobrze o tem wiedzą.

Stosunki z ojcem Teresy, tudzież z bratem jej, hrabią Piotrem Gamba, zbliżyły Byrona do tajnego towarzystwa Illuminatów, odłamu Carbonarów w Romanii. W jesieni r. 1820 przyjechał właśnie z Neapolu do Rawenny Piotr Gamba, dwudziestoletni młodzieniec, pełen patryotycznego zapału, i przywiózł wiadomość o blizkiej walce, przygotowującej się pod wodzą króla Murata przeciw państwu papieskiemu i Austryi, celem wyzwolenia Włoch z pod obcej przemocy. Obydwaj hrabiowie Gamba przystąpili zaraz do towarzystwa Illuminatów, a z nimi i Byron. Gaetano Illuminati, właściwy twórca tego towarzystwa został niedawno, w r. 1819 uwięziony w Rzymie, a sądy tamtejsze starały się wszelkimi sposobami wydobyć z niego zeznania, mogące dopomódz do uwięzienia głównych przywódców spisku. Illuminati, człowiek dość słabego charakteru, obawiając się, aby przy badaniach nie wyznał niepotrzebnych rzeczy, zaprzestał przyjmować potraw w wię-

---

[1]) Wskutek sprawozdania rządu krajowego weneckiego zakazało Ministerstwo wiedeńskie 5 paźdz. 1819 r. sprzedawania broszury L'Italia. Canto IV, Pellegrinaggio di Childe Harold, scritto da Lord Byron e tradotto da Michele Leoni, Italia 1819«.

zieniu, chciał umrzeć, bolał tylko nad losem swojej kochanki, Matyldy Fabri w Wenecyi, która z dwojgiem dzieci nie miała żadnego utrzymania. Głodzenie się Illuminatego stało się jedną z najważniejszych kwestyi pomiędzy policyą papieską a austryackim rządem, a gdy zdołano nakłonić więźnia do wypicia pół szklanki limoniady, już o tem pisano z Rzymu do policyi w Wenecyi. Prałat więzienny i lekarz ciągle czuwali nad Illuminatim, obchodząc się z nim jak najlepiej, aby u osłabionego spiskowca pozyskać zaufanie. Gdy go raz lekarz koniecznie chciał skłonić do przyjęcia jakiego pożywienia, Illuminati odpowiedział: »Si Lei avesse sul suo stomaco e sull'anima sua cio che io, anche Lei non amarebbe di vivere«, »Gdybyś miał na swoim żołądku i na swej duszy to, co mnie cięży, tobyś także nie życzył sobie żyć«. Dobrem obchodzeniem się z więźniem skłoniono go do zeznania, że będąc w r. 1815 we Friulu, korespondował z Hieronimem Bonapartem i z księżną Elizą i miewał od nich tajemne polecenia co do zrewoltowania Romanii i Wenecyi [1]).

Z końcem r. 1820 aresztowała policya papieska niejakiego Luigiego Galassi, karabiniera z Imoli, jako podejrzanego o należenie do »sekty« Illuminatich. Galassi zeznał, że Byron jest jednym z najczynniejszych członków sprzysiężenia i jednym z jego przywódców, tudzież, że dużo pieniędzy daje na cele rewolucyjne. Karabinier miał słuszność, bo oprócz tych funduszów, które poeta dawał na wspieranie spiskowców w Romanii, posłał tysiąc ludwików rządowi konstytucyjnemu w Neapolu.

Pomimo, że przywódca tego ruchu, Illuminati, był uwięziony w Rzymie, sprzysiężenie rozwijało się dalej, tworzyły się osobne grupy rewolucyonistów, pomiędzy któremi najbardziej ruchliwem i energicznem było w Romanii stowarzyszenie »Amerykańskich strzelców«, »Cacciatori americani«. Byron wspierał ich pieniądzmi, w karnawale r. 1821 wezwał zamaskowanych do swego pałacu, gdzie ich ugościł, a oni nawza-

---

[1]) Rapporto del 26 at 29 Ottobre di M. le gouverneur de Rome a cardinal (Consalvi sur le cours de l'affaire d'Illuminati). Akt minist. spraw wewn. w Wiedniu L. 9814 z r. 1819.

jem zaprosili go dwudziestego lutego na bankiet rewolucyjny do Pinety (lasku piniowego). Gdy raz spotkali przejeżdżającego poetę, witali go okrzykami jako przyjaciela wolności, a Byron kłaniał się, dziękując za zaszczyt, ktory go w tej chwili bardziej cieszył, aniżeli literackie tryumfy. Byron utrzymywał bowiem często, lubując się w paradoksach, że stworzony jest do czynu, a nie do pisania.

Siódmego stycznia 1821 r. rozeszła się w Rawennie pogłoska, że rząd papieski zamierza następnej nocy wykonać niespodziewany zamach i uwięzić najgłówniejszych spiskowców. Hr. Pietro Gamba przybiegł do Byrona po radę, co robić? »Lepiej się bić, aniżeli pozwolić się po jednemu wtrącać do więzienia«, odpowiedział poeta i oświadczył, że daje swój dom na schronienie dla tych, którzy się obawiają uwięzienia. Dwudziestu ludzi może się tam bronić przez dwadzieścia cztery godzin przeciw temu wojsku, które rząd papieski potrafi zebrać na prędce, a w ciągu jednej doby rzecz się rozgłosi i ludność wiejska przyjdzie w pomoc oblężonym.

Bardzo zajmujące są zapiski Byrona kreślone owej nocy, kiedy spodziewał się, że spiskowi schronią się do jego pałacu.

»Brak jeszcze pół godziny do północy, notuje poeta, deszcz pada. Piękna noc dla ich przedsięwzięcia; piekielne ciemności, djabelski wicher... zrobię, co się da, jako walczący; sprawa dobra«.

»Nadstawiam uszu, spodziewając się od minuty do minuty odgłosu bębnów i strzelania, ponieważ poprzysięgli, że stawią opór, i mają racyę; ale nic nie słyszę, prócz deszczu, spadającego kropla po kropli, a niekiedy uderzenia wiatru«.

»Nie chcę kłaść się do łóżka, ponieważ nienawidzę, aby mnie budzono, i wolę być gotowym na ową »uroczystość«, jeżeli wogóle nastąpi«.

»Nakładam drzewo na kominek, mam broń blizko siebie i książkę do przeglądania. Nie wiem, ilu ich będzie; ale zdaje mi się, że Carbonari są dość silni, aby się tutaj wojsku obronić...«

Alarm był fałszywy, spiskowi nie przyszli schronić się do pałacu Byrona, a owej nocy rząd nikogo nie uwięził.

Niespełna w miesiąc później zapisywał Byron w swoim

dzienniku, że nadeszły najgorsze wiadomości; cały plan rewolucyi spełzł na niczem, przywódców zdradzono, a Neapolitańczycy nie tylko że się nie bili, ale oświadczyli władzom papieskim, że idąc na wyprawę, nie wiedzieli, o co chodzi. »Włosi zawsze upadali brakiem jedności i stanowczości«, dodaje Byron. Spodziewa się jednak, że sprawa wolności Włoch jeszcze nie przegrana i daje Carbonarom w Rawennie 1500 skudów i 100 luidorów, to jest, prawie całą gotówkę, jaką miał w domu.

Wkrótce jednak przekonał się, że sam naród nie wierzy w swą sprawę. Rządy zaczęły więzić naczelników stłumionego ruchu; obydwaj hrabiowie Gamba, ojciec i syn, zostali (21 lipca 1821 r.) skazani przez rząd papieski na wygnanie. Zrazu chcieli wyemigrować do Szwajcaryi, zwłaszcza że i Teresa ten plan popierała, ale Byron obawiał się, by mu w Alpach nie zatruwali życia Anglicy, których tam zawsze bez liku. Zresztą żałował Włoch, nie chciał opuścić kraju, do którego się bardziej przywiązał, aniżeli do własnej ojczyzny. Hrabiowie Gamba, Teresa, a z nimi i Byron postanowili zatem przenieść się do Toskanii, gdzie Ferdynand III ze swym ministrem Fossobronim sprawował łagodne rządy, pełne tolerancyi.

Z końcem więc października 1821 r. opuszczał Byron pałac w Rawennie. Miał febrę, nie poddawał się wszakże, a nawet utrzymywał, że te gorączki. które go często nawiedzały, raczej są pożyteczne dla jego zdrowia, aniżeli szkodliwe. Po ataku febry zdawało mu się, »jakoby się rozłączał z ciałem«.

Uboga ludność w Rawennie, której był dobrodziejem, podała prośbę do kardynała legata, aby go nakłonił do pozostania w mieście, gdzie tak go lubiano. Kardynał był innego zdania, pragnął się jak najprędzej pozbyć niewygodnego Anglika. Karawana poety, która opuszczała mury Rawenny, wyglądała dość dziwacznie: kilkunastu ludzi, dziesięć koni, ośm psów, pięć kotów, dwie małpy, kilka dużych klatek z ptakami, a tej zgrai przewodził kamerdyner Anglik i nierozłączny Tito, wenecki gondolier.

Byron osiedlił się na razie w Pizie, dokąd po krótkim

pobycie we Florencyi przyjechał pierwszego listopada i wynajął palazzo Lanfranchi, duży gmach, położony nad Arnem z piwnicami, w których można było pomieścić garnizon wojska. Byron pisał z humorem do Murraya, że w tym feudalnym pałacu pełno duchów, a Fletscher prosił go, aby mógł zmienić swój pokój na inny, gdyż tam »straszy«. Gdy jednak kamerdyner rozgościł się w nowej komnacie, czem prędzej powrócił do dawnego łóżka, bo tam jeszcze głośniej rozbijały się duchy. Byronowi powiedziano, że dom ten należał do rodziny Lanfranchich, których Ugolino wymienił jako swych prześladowców; może więc duchy tych okrutników tam pokutowały. Wspomnienia mniemanej poetycznej przeszłości pałacu tak przemawiały do wyobraźni poety, że kilka razy kazał sobie przynieść w nocy pościel do ugolinowskich piwnic i tam spoczywał. Miejscowi jednak archeologowie utrzymują, że pałac Lanfranchich, dzisiaj Toscanellich, ani był feudalnym, ani istniał za czasów Ugolina. Zbudowany był w XVI w., podobnie jak inne prywatne pałace w Pizie. Piwnice, w których Byron wywoływał sobie dantejskie wspomnienia, były po prostu suterynami, które nie mieściły nigdy więźniów, ale co najwięcej beczki z winem i butle z oliwą. Fletscher więc niepotrzebnie się niepokoił.

Hrabina Guiccioli bawiła już w Pizie z ojcem i bratem od dwóch miesięcy i mieszkała w pobliżu Byrona na Lungarno, w kamienicy Parra. Także i Shelleyowie z panną Clairmont przybyli tam dwudziestego piątego października; Teresa zapoznała się z Mary Godwin, która jej się bardzo podobała, gdyż była ładna, dobra i pełna prostoty.

Byron prowadził tam bardzo regularny tryb życia. Wstawał od dziesiątej zrana, śniadał pomiędzy jedenastą a dwunastą, a następnie jeździł konno w towarzystwie przyjaciół drogą do Bagni di San Giuliano albo za Porta alle Piagge. Na wolnem polu ćwiczył się w strzelaniu z pistoletu, a za cel służyła mu mała moneta (un paolo), którą przymocowywał do drzewa, albo nawet kazał rzucać w powietrze i starał się kulą w nią trafić. Ponieważ ludność wszędzie z ciekawością mu się przypatrywała, więc chcąc nieraz pokazać swą zręczność, wspinał się z koniem na groblę zabezpieczającą miasto

od wylewów Arna i na niej wracał do domu; tam wyjeżdżał po szerokich schodach pałacu na pierwsze piętro, ukazywał się na balkonie, pogłaskał dwa razy konia w nagrodę i wśród oklasków zgromadzonej publiczności znikał w głębi.

Wieczorem szedł Byron do pani Guiccioli, bawił tam do jedenastej, a około północy siadał do stolika, aby, jak się wyrażał, »bić monetę w swojej poetycznej pracowni«. Pisał do godziny trzeciej po północy i dopiero tak późno szedł do sypialni. Raz w tydzień urządzał u siebie bankiet, który gniewał wstrzemięźliwego Shelleya, nie jadającego mięsa i nie pijącego wina. Shelley skarżył się w liście do jednego z przyjaciół, że byronowskie obiady bywały straszną próbą dla jego nerwów, gdyż musiał się przypatrywać aż do trzeciej zrana, jak się współbiesiadnicy zamieniali w beczki Bordeaux.

Wogóle przyjaźń Shelleya dla Byrona bardzo się oziębiła głównie z powodu twardego postępowania lorda wobec Joanny, której zupełnie nie chciał widywać.

Joanna wyjechała więc do Florencyi. Towarzystwo angielskie było w Pizie dość liczne. Ściślej, aniżeli z Byronem, żył Shelley z p. Williams, który tłumaczył Spinozę, a przeto umysłowo zbliżał się do poety. Williams miał bardzo miłą żonę, około której grupowali się wszyscy wyspiarze, a do największych jej wielbicieli należał Mr. Trelawny, młody, piękny brunet z dużymi wąsami, podobny trochę do Araba. Zwano go błędnym rycerzem, bo błąkał się po lądach i morzach, szukając przygód. Do Pizy przyjechał, aby poznać Byrona i Shelleya, gdyż podzielał ich wolnomyślne zapatrywania, a nadto zamierzał polować z Williamsem na Maremmie. Do towarzystwa należeli nadto kapitan Roberts i Irlandczyk Mr. Taaffe, który tam tłumaczył Dantego.

Shelley zresztą bardzo się zajął contessiną Emilią Viviani, ofiarą cicisbeizmu. Ojciec jej, hr. Viviani, ożenił się po raz wtóry z młodą kobietą, mającą uznanego w rodzinie cicisbea, że zaś Emilia była dziewczyną niezwykłej piękności, więc macocha, obawiając się, aby jej cavaliere servente nie zakochał się w Emilii, skłoniła swego męża, aby ją umieścić w klasztorze. Shelley dowiedział się o tym oburzającym fakcie, chciał pomódz Emilii w jej opuszczeniu więziennem;

ale piękna Włoszka obudziła w nim »miłość mistyczną« i pod wrażeniem tej nowej Beatryczy napisał poemat »Epipsychidion«. W rok później wydano Emilię, »siostrę Westalkę«, jak ją Shelley nazywał, za właściciela ziemskiego na Maremmie, niejakiego Biondi; ale biedaczka była z nim bardzo nieszczęśliwą, a nadto zachorowała na malaryę i niezadługo umarła we Florencyi.

Spokój pobytu angielskiej kolonii przerwało nieprzyjemne zdarzenie. Wieczorem 24 marca 1822 r. wracała kawalkata, której Byron przewodził, ze spaceru drogą przez Porta alle Piagge do pałacu Lanfranchi. W towarzystwie Byrona znajdowało się jeszcze pięciu panów, pomiędzy którymi Shelley i Taaffe, w zamkniętej zaś karecie jechały hrabina Guiccioli i Mary Shelley. Naraz dał się słyszeć tentent konia za kawalkatą, pędził na nim sierżant milicyi »Reali cacciatori toscani« Ernesto Masi, któremu się widocznie bardzo śpieszyło do miasta. Sierżant potrącił p. Taaffe i nie przeprosiwszy go, jechał dalej. Byron myślał, że to oficer toskańskiego wojska i że z umysłu obraził Anglików; spiął więc konia i gonił za jeźdźcem wołając, aby mu dał swoją kartę. Sierżant nie rozumiał, czego chce od niego cudzoziemiec; ale widząc, że cała kawalkata za nim goni, zatrzymał się. Anglicy otoczyli go krzycząc i grożąc; sierżant chciał się bronić i uderzył rękojeścią od szabli tak silnie Shelleya, że poeta spadł z konia, ale się wkrótce podniósł. Działo się to już w pobliżu pałacu Lanfranchi; Byron zawołał na służbę, wypadło dwóch stajennych Włochów, a jeden z nich Wenecyanin, Giambattista Falcieri, widząc, co się dzieje, uderzył drągiem sierżanta z taką furyą w głowę, że żołnierz chwiejąc się na siodle, zaledwie dojechał do poblizkiej neapolitańskiej kawiarni i runął z konia, wołając: »Son morto!«. Uderzono w dzwon »Misericordii«, zaniesiono Masego do szpitala, ale tymczasem zebrało się mnóstwo ludu i studentów przed pałacem Lanfranchi, odgrażając się Byronowi i Anglikom i przysięgając zemstę. Poeta kazał zatarasować bramę; ale tłumy, dowiedziawszy się, że sprawcą nieszczęścia był Włoch, Wenecyanin, a nie Anglik, powoli się rozeszły. Poeta jednak nie dowierzał publiczności, a obawiając się, że nazajutrz atak na Anglików może

się ponowić, kazał zatoczyć do sieni dwie armatki i uzbroił całe otoczenie. Burza się jednak uspokoiła; rana Masego nie okazała się śmiertelną, Byron posłał mu do szpitala najlepszego chirurga w mieście. Wszystko skończyło się dobrze, tylko hrabina Guiccioli, która podczas całej awantury wołała: »O cielo! o cielo!«, zachorowała z przestrachu i musiano jej nazajutrz krew puszczać.

Sam Masi wyszedł bardzo dobrze na tej batalii, bo Ferdynand III, dowiedziawszy się, że sierżant niezdolny już do wojskowej służby, dał mu koncesyę na trafikę, na sprzedaż soli i tytoniu w Pizie, a Anglicy przychodzili do sklepiku malować bohatera, którego portret można było przez jakiś czas dostać we wszystkich księgarniach w Londynie. Masi żył długo, umarł dopiero w r. 1858.

Burzliwego Falcierego uwięziono; ale stangretowi źle się tam nie działo, bo Byron posyłał mu lukullusowe obiady. Po dwóch miesiącach wypuszczono go na wolność; wielki książę toskański kazał wszakże Wenecyanina wydalić ze swych granic, bo nie chciał mieć u siebie rozbijaczy głów, »Granduca non vuol grattacapi!«

Cięższy cios, aniżeli awantura z Masim, miał spotkać Byrona z końcem kwietnia w Pizie. Niespodziewanie otrzymał wiadomość, że Allegra zachorowała na febrę i po kilku dniach cierpienia umarła. Poeta bardzo ją kochał i szczerze bolał nad śmiercią dzieciny. Ciało pięcioletniej Allegry kazał przewieźć do Anglii, do Harrow, gdzie została pochowana u wejścia do kościoła. Zarząd kościelny nie pozwolił jednak umieścić nad grobem marmurowej tablicy, ażeby nie gorszyć purytańskiej ludności, że Byron miał córkę nieślubną. I, o ile mi wiadomo, dotąd niema tam śladu ni znaku, że córka Byrona leży przed kościołem.

Giuccioli zajęła się wysłaniem zmarłej Allegry do Anglii; ale awantura z Masim, tudzież śmierć córki Byrona tak wstrząsnęły jej wątły organizm, że lekarz kazał jej koniecznie brać morskie kąpiele. Wyjechała więc do Livorno, a raczej do Montenero, gdzie Byron wynajął willę, zwaną »Casa rossa«. Z hrabiną wyjechali także ojciec i syn Gamba, gdyż

rząd toskański dał im do zrozumienia, że ich dalszy pobyt w Pizie nie jest przyjemny Wielkiemu Księciu.

Zaledwie hrabiowie Gamba i Byron rozgospodarowali się w Montenero, aliści znowu przyszło do jakiejś bójki pomiędzy służbą młodego Gamby a lokajami Byrona, w której nawet Pietro Gamba, jako rozjemca, lekko został zraniony. Rząd florentyński, któremu widocznie pobyt niedawnych rewolucyonistów w państwie nie dogadzał, wydał nakaz, aby hrabiowie Gamba w przeciągu trzech dni opuścili terytoryum toskańskie. Byron z Teresą wrócił jeszcze do Pizy, gdzie został do września, a tych kilka miesięcy tam przebytych przyniosło mu jeszcze ciężkie chwile.

Zeszłej jesieni, gdy Shelley odwiedzał Byrona w Rawennie, powzięli obydwaj poeci myśl założenia pisma w Anglii, w któremby przedewszystkiem umieszczali własne utwory. Chcieli oni w ten sposób uwolnić się od wydawców, z którymi mieli częste nieprzyjemności. Jako redaktora tego pisma wyszukał Shelley literata p. Leigh Hunt, który teraz przyjechał do Włoch, aby się z Byronem porozumieć co do szczegółów wydawnictwa. Literat przybył nie w porę, właśnie w chwili, kiedy hrabiowie Gamba musieli opuścić Montenero, a co gorsza, przywiózł ze sobą żonę i siedmioro dzieci. Zakłopotany Byron umieścił to towarzystwo w pałacu Lanfranchi i czekał na przybycie Shelleya, aby powziąć dalsze postanowienia co do redakcyi pisma. Shelley mieszkał wtedy w Lerici pod Livornem i w pierwszych dniach lipca wybrał się łodzią żaglową »Ariel« do Pizy. Byron nie miał teraz ochoty wdawać się w to wydawnictwo, ale Shelley nalegał, aby rzecz rozpocząć; Hunt się rozgościł ze swoją rodziną, więc postanowiono plan przeprowadzić.

Jazda powrotna Shelleya do Lerici skończyła się straszną katastrofą; łódź »Ariel« się rozbiła i Shelley utonął wraz ze swym przyjacielem Williamsem 8 lipca 1822 r. Fale morskie wyrzuciły dopiero w dziesięć dni obydwa ciała na piasek w Viareggio, gdzie na razie zostały pochowane nad morzem. Shelley jeszcze za życia wyraził życzenie, aby spoczął w Rzymie, jeżeli umrze we Włoszech. Według przepisów sanitarnych toskańskich musiały być ciała pierwej spalone i tylko

popioły można było wywieźć. Szesnastego więc sierpnia złożono zwłoki na dwa stosy, wzniesione na brzegu morza w Viareggio, i oddano je płomieniom. Byron był przytomny smutnemu aktowi, a lubując się zawsze w ostentacyjnych formach, urządził ostatnią posługę przyjacielowi według starożytnego rytuału. Kazał na stos złożyć kawały drzewa cyprysowego, polać je wonnymi olejami i własnoręcznie łuczywo podpalił, odwracając wzrok w inną stronę. Przy tem starożytnym obrzędzie brakło tylko płaczek; na zakończenie zwrócił się poeta sam do żałobnych gości ze zwyczajowem: »Ilicet!« Gdy się publiczność rozeszła, Byron zrzucił suknie i popłynął do swego jachtu, który stał na morzu, w pewnem oddaleniu od brzegu.

Stosy paliły się dwa dni, poczem pozbierano szczątki wielkiego angielkiego poety, wsypano do urny i odwieziono do Rzymu, gdzie są umieszczone na owym poetycznym cmentarzu koło piramidy Cestyusza, jednym z najpiękniejszych zakątków starego Rzymu.

Trelawny, przytomny smutnemu aktowi palenia się stosów, zobaczywszy, że serce Shelleya się żarzy, wskoczył w płomienie i z niebezpieczeństwem życia, poparzywszy sobie ręce, wyniósł kawałek spalonego serca, aby smutną pamiątkę ofiarować wdowie.

Shelley przed śmiercią nosił się z ponuremi myślami. Pisał do Trelawnego, czyby nie znalazł jakiego chemika, którzyby mu mógł sporządzić trochę kwasu pruskiego albo ekstraktu z gorzkich migdałów; nie myśli wpawdzie na razie życia sobie odbierać, ale sądzi, że zawsze dobrze mieć przy sobie złoty klucz do komnaty wiecznego spokoju.

Po owych ciężkich przejściach Byron coraz bardziej stawał się nerwowym i skłonnym do melancholii. Stan jego zdrowia pogorszył się jeszcze bardziej, gdy poeta, pływając jednego dnia długo w morzu, przeziębił się i dostał znów febry. Lady Blessington opowiada, że Byron teraz taki szczupły, że prawie ma postać chłopięcą; twarz jego nadzwyczaj blada, lecz ta bladość nie zdaje się być chorobliwą, gdyż pochodzi z białości skóry, właściwej brunetom. Jego włosy za-



Lord Byron.

Według szkicu hrabiego d'Orsay. British Museum.

Do str. 545.



Hrabina Guiccioli.

Według portretu West'a.

Do str. 545.

wcześnie siwiejące, bardzo ciemno-brunatne, z natury trochę kędzierzawe.

Z końcem września 1822 r. przeniósł się Byron z Teresą do Genuy, bo tam zamieszkali obydwaj hrabiowie Gamba. Za nim podążył Hunt z siedmiorgiem dzieci, nie chcąc opuścić dobrej sposobności korzystania z dochodów lorda. Mimo śmierci Shelleya wydawnictwo przyszło do skutku; pismo ukazało się w Londynie pod tytułem »Liberal«, ale na tak wielką napotkało opozycyę w stronnictwach konserwatywnych, że po czwartym numerze upadło.

Byron z Teresą, jej ojcem i bratem zamieszkał w wiosce Albaro, położonej tuż za bramami miasta. Wynajął duży pałac »casa Saluzzo« z ogrodem, skąd się otwierał przepyszny widok na morze i amfiteatralnie położone miasto. Gdy raz w większem towarzystwie poszedł zwiedzać willę, zwaną »Paradiso«, Genueńczycy zaraz wymyślili złośliwy dowcip, że »Il diavolo è rientrato in Paradiso«, żę »dyabeł wszedł napowrót do raju«. Widocznie byli pod wpływem opinii Anglików, których tam wtedy dużo mieszkało. Poeta zaczął prowadzić zwykłe swe pracowite życie, pod urokiem genueńskiej zatoki napisał poemat »Wyspę«, jeździł konno, jak w Pizie, a nawet dużo bywał w towarzystwach. Bawiła tam wówczas lady Blessington, z domu Margherita Power, która po śmierci pierwszego męża, kapitana Saint-Léger Farmer, wyszła za mąż za lorda Blessingtona. Była ona córką małego właściciela ziemskiego w Irlandyi, ale swą niezwykłą urodą i najwyższą elegancyą, na jaką tylko było stać angielską lady, wybiła się szybko w towarzystwie i zaczęła pisać romanse, w których uderzała mniej więcej w ten sam ton, co Byron, bo zdzierała maskę z hipokryzyi purytanów. Osobliwie powieść »Ofiary społeczeństwa« wywołała w Anglii burzę, a u Byrona sympatyę dla pięknej Irlandki.

Lady Blessington przyjechała do Genuy w towarzystwie męża i swego kochanka, hrabiego Alfreda d'Orsay, i przywiozła list poety Tomasza Moora do lorda Byrona. Piękna, rozumna, dowcipna, elegancka lady nadzwyczaj się podobała Byronowi i unieszczęśliwiała hr. Teresę, która widząc ją w towarzystwie poety, nie posiadała się z zazdrości. Równie jak

Guiccioli, i lady Blessington pozostawiła wspomnienia o Byronie w swych wrażeniach z podróży po Włoszech, którym dała tytuł »Próżniacy we Włoszech«. Później broniła lorda przeciw zarzutom kazirodztwa, które w r. 1869 podniosła przeciw poecie Henrietta Beecher-Stowe, w swej książce »Prawdziwa historya lady Byron«. Lady Blessington napisała »Dyaryusz rozmów z lordem Byronem«, będący barwną, chociaż powierzchowną illustracyą ostatnich chwil pobytu poety we Włoszech.

Towarzysz lady Blessington, hr. d'Orsay, światowiec, wielki gracz, pozostawił nam miłą pamiątkę po Byronie, jego portret ołówkiem zrobiony, który może najlepiej przedstawia »dojrzałego« Byrona. Lady zaś rozwiała w swych zapiskach tradycyę, że Byron pięknie jeździł konno; przeciwnie, zdawało jej się, że Byron źle siedzi na swym rumaku i ubiera się śmiesznie do jazdy.

Gdyby Byron trochę wcześniej poznał był lady Blessington, możeby był nie pojechał do Grecyi. Wyznał jej, że pomimo wielu zalet Teresy nie czuł się z nią szczęśliwym i robił sobie wyrzuty, że złamał jej życie. Utrzymywał, że tylko w chwili poetycznego uniesienia powziął postanowienie udania się na grecką wyprawę i napisał ten fatalny list do komitetu greckiego w Londynie, w którym oświadczył swą gotowość udania się na plac boju. Niema jednak wątpliwości, że stosunek z Teresą mu ciężył i że podróżą do Grecyi chciał przynajmniej na jakiś czas się od niej uwolnić. Wątpił, aby jego obecność w Grecyi przydała się do uwolnienia uciśnionego narodu i tylko bał się okryć śmiesznością, jeżeli się cofnie; honor już nie pozwalał pozostać w Genui. Gdyby miał był około siebie kobietę, którąby umiała wywierać większy wpływ, aniżeli hrabina Guiccioli, możeby nie było przyszło do tej tragicznej podróży; ale Teresa, zanadto słaba, za nadto bierna, nie zdołała zarzucić sieci na orła z Newstead Abbey [1]).

---

[1]) Hrabina Guiccioli mieszkała po śmierci Byrona w Genewie, poszła około r. 1848 po raz wtóry za mąż za markiza de Boissy, Francuza równie starego jak był hr. Guiccioli. Z markizem zamieszkała

Już w ostatnich dniach swego pobytu w Genui był Byron z lady Blessington na jakimś obiedzie i zupełnie nie robił wrażenia człowieka, który przeczuwa swą ostatnią podróż. Był bardzo wesoły, brał prawie z każdego półmiska, wypił trzy kieliszki szampana, mówiąc, że dzień ów będzie uważał za dzień świąteczny i będzie pił i weselił się. Ale te chwile dobrego humoru należały już u niego do bardzo rzadkich; miał smutne przeczucia, które się jeszcze wzmogły, gdy z wiosną roku 1823 wsiadł na okręt, mający go zawieźć do Missolonghi w towarzystwie hrabiego Piotra Guiccioli i Johna Trelawny.

Nie na polu chwały, ale w smutku, w febrze umarł Byron w Grecyi 18 kwietnia 1824 r. Wojennych czynów nie było mu potrzeba; sława genialnego poety wystarczyła, aby na jego grobowcu w wiejskim kościółku w Hucknall Torkard można było wyryć na marmurowej płycie to jedno słowo »Byron«.

VII.

Siedmnastego października 1829 r. pisał Edward Odyniec z Wenecyi do swego przyjaciela Korsaka, że był z Adamem Mickiewiczem na Lido i że wielki poeta pogrążył się w myślach nad Byronem, którego wszystko tam przypominało: »Mówił o Byronie i o Napoleonie«, donosił Odyniec, »o dwóch nazwiskach naszego wieku«. Mickiewicz utrzymywał, że obydwaj ci ludzie, olbrzymy poezyi i wojny, nie spełnili swojej misyi, gdyż pycha zabiła w nich miłość, jedyną siłę do zwalczenia złego.

Mickiewicz był wtedy jeszcze za blizki Byrona, aby zupełnie módz ocenić wpływ, jaki angielski poeta wywarł po swojej śmierci, a jeżeli narzucanie ludzkości swych zapatry-

w Paryżu, gdzie bywała w wielkim świecie. Opowiadano, że markiz w ten sposób przedstawił ją Ludwikowi Filipowi: »Marquise de Boissy ma femme, ci-devant maitresse de lord Byron!« Był to oczywiście żart. Umarła w póżnym bardzo wieku we Florencyi, nosząc zawsze kokieteryjne loki na skroniach.

wań, swych idei można nazwać powołaniem człowieka, to chyba Byron spełnił je najzupełniej, bo wybił piętno swego geniuszu na wszystkich literaturach Europy. Jakiego rodzaju była ta misya, dobra czy zła, nikt sobie jeszcze wówczas nie umiał zdać sprawy, ale wszyscy zostawali pod urokiem Byrona. To uczucie niepewności w ocenianiu wielkiego poety wybornie charakteryzuje ten wiersz Lamartina:

Toi, dont le monde encore ignore le vrai nom,
Esprit mistérieux, mortel, ange, ou demon,
Qui que tu sois, Byron, bon, ou fatal genie,
J'aime de tes concerts la sauvage harmonie,
Comme j'aime le bruit de la foudre, et des vents,
Se mêlant dans l'orage, à la voix des torrents.

A i my, spoglądający już z daleka na działanie Byrona, nie możemy sobie jeszcze dokładnie zdać sprawy, na czem polegała właściwie ta siła, którą on ujarzmiał poetyczne dusze przez całe dziesiątki lat i ujarzmia je jeszcze w znacznej części do dziś dnia. Taki olbrzym rozumu i piękna, jak Goethe, nie wywarł może poza granicami swego narodu takiego wpływu, jak Byron, który żył krótko, zaświecił, jak meteor, i wpadł w greckie wody.

Zagadkę tę rozwiązuje tylko szczera, potężna namiętność, jaką jego serce wrzało, i fakt, że czerpał charakterystyki osobistości i opisy natury z własnych wrażeń. »Nie byłbym w stanie pisać o czemś, utrzymywał, gdybym nie miał ku temu podstawy w jakiemś osobistem doświadczeniu«. Nienawidził też pustej, bezprzedmiotowej liryki, pogardzał sonetami Petrarki, a w »Boskiej Komedyi« Dantego porywały go tylko sceny namiętne, jak epizod o Francesce z Rimini. Filozofii jednak wielkiego Florentczyka nie rozumiał i nie starał się rozumieć, gdyż dla niego miało tylko to wartość, co w poezyi plastycznie uwydatnić się dało. Na dzieła też malarstwa, a nawet rzeźby i architektury patrzył zazwyczaj z wielką obojętnością. Że podczas swej podróży do Rzymu nie spostrzegł fresków z XIV i XV wieku, to nic dziwnego, ludzie bowiem ówcześni nie rozumieli piękności prymitywów; wszak Goethe, będąc w Asyżu, poszedł oglądać starożytną, niezbyt

zajmującą świątynię, a na malowidła Giotta w San Francesco nie zwrócił nawet uwagi. Ale Byron nie wspomniał i o freskach Michała Anioła i Rafaela w Watykanie, spisując swe wrażenia z Rzymu. Jedynie starożytne ruiny działały na jego wyobraźnię, gdyż były niejako bodźcem do poetycznych opisów. W galeryach podobały mu się nieraz obrazy, które najmniej na to zasługiwały, a bolońską szkołę malarską wynosił ponad inne. Ideałem jego w rzeźbie był Canova, pisał epigram o jego »głowie greckiej Heleny«, ale obok Sansovina przechodził obojętnie. Pomimo długiego pobytu w Rawennie nie spostrzegł prawie mozaik w San Vitale i w San Apollinare.

Wogóle Byron za mało znał dzieje średnich wieków i epokę Odrodzenia, aby się módz przejąć ówczesnemi ideami i rozumieć ówczesnych ludzi. Jego zajmowała najwięcej teraźniejszość, to, co bezpośrednio działało na wyobraźnię. Wskutek tego czasami sam się sobie sprzeciwiał, bo pisał to, co w owej chwili uderzało jego umysł. Ani zwykły człowiek, ani wielki poeta nie jest ze spiżu, umysł ludzki gnie się i chwieje, jak trzcina; zupełnej zatem konsekwencyi od najpotężniejszego geniuszu wymagać nie można. Każdy z nas chciałby być potężnym charakterem, ale być nim nie może; z przyjemnością więc spostrzega, że taki poeta, jak Byron, także nie był wyciosany z marmuru. Gdy mu robiono zarzuty, że za nadto źle ludzi przedstawia i za nadto czarno na świat patrzy, odpowiedział: »Czuję, że macie słuszność, ale również czuję, że jestem szczerym«. Ta szczerość podbija, a podbijała dawniej tem więcej, że Byron pisał w epoce, kiedy dyplomatyczne kłamstwo stało się niejako hasłem zbawienia ludów, kiedy idee zaborcze monarchów i ministrów pokrywały się także romantyzmem, kiedy krajano narody na kawałki, aby je uszczęśliwiać.

Każdy człowiek szlachetny nienawidzi fałszu; otóż Byron miał zawsze za sobą legion ludzi o zdrowem sercu, którzy mu przyklaskiwali, gdyż mówił prawdę. Toż samo w każdym rozumnym organiźmie jest spory podkład melancholii, tęsknoty, bo jużci trudno być zupełnie zadowolonym z siebie samego i z całego świata. W Byronie co chwila wyłania się owa melancholia, a tysiące ludzi z nią sympatyzuje.

Wreszcie ten głęboki oddech wolności, który czuć we wszystkich pismach Byrona, porywał za sobą świat cały, zwłaszcza że poeta tworzył najwięcej w czasach politycznej reakcyi, która zaciężyła nad całym kontynentem. A Byrona rozumiał może więcej Niemiec, Hiszpan, Włoch, Grek, Rosyanin, Polak, a nawet Amerykanin, niż Anglik, gdyż autor Child Harolda był wskutek zbiegu okoliczności poetą powszechnie ludzkim, międzynarodowym. Sam o sobie powiedział, że cały świat lepiej go pojmuje i wyżej ceni, aniżeli Anglia. Przyszłością narodów zdawały mu się rzeczypospolite, ale nienawidził ciemiężców, czy się nazywali królami, czy prezydentami republik; monarszy despotyzm był równie wstrętny, jak radykalna demagogia. Z rezygnacyą też powiedział, że jeżeli narody koniecznie muszą mieć tyranów, to niechże tym tyranem będzie »gentleman« z dobrej krwi, urodzony do tego zajęcia. I w tej mierze miał wiele słuszności, czego dowodem długi szereg rozumnych dożów Wenecyi.

LITERATURA.

LITERATURA.

Ademollo Alessandro. Corilla Olimpica, Firenze, 1887.

Ademollo Alessandro. Figuri e figure casanoviane. Fanfulla della Domenica 1882—83—84—85.

Albrizzi. Isabella Teotochi, Ritratti, Pisa, 1826.

Alfieri Victor. Mémoires. Paris, Firmin Didot, 1862.

Alfieri V. Tragedie. Trieste, 1857.

Alfieri Vittorio. Lettere edite ed inedite a cura di Mazzantini. Torino, Roux, 1890.

Alfieri Vittorio. Il Misogallo. London, 1799.

Algarotti F. Conte. Opere. Venezia, 1791—1794, 17 tomów.

Antona-Traversi, Camillo. Di un amore di Ugo Foscolo. Milano, Fratelli Dumolard, 1883.

Archenholz J. W. England und Italien, Carlsruhe, 1787, 5 tomów.

Baffo Giorgio. Raccolta universale delle opere di Giorgio Baffo Veneto, Cosmopolis, 1789, 4 tomy.

Bachet Armand. Les Archives de Venise, histoire de la chancellerie secrète. Paris, 1870.

Barthélemy. Voyage en Italie (1755—1757). Paris, 1801.

Barthold F. W. Die geschichtlichen Persönlichkeiten in Jakob Casanovas Memoiren. Berlin, 1846, 2 tomy.

Bazzoni Augusto. Giacomo Casanova confidente degl' Inquisitori di Stato di Venezia. Nuovo Archivio veneto. 1894.

Bernis Abbé de. Lettres et Mémoires du Cardinal de Bornis, pub. par F. Masson. Paris, 1878, 2 tomy.

Bertana Emilio. Vittorio Alfieri. II-a Edizione accresciuta. Torino, Loescher, 1904.

Bertolotti A. Divertimenti publici nelle feste religiose del secolo XVIII dentro e fuori delle porte di Roma. Roma, 1887.

Bertrand A. L'art français à Rome. Revue des Deux Mondes 1904.

Biliotti Cesare. Il Ridotto. Venezia, 1870.

Bonnefons André. La Chutte de la Republique de Venise. Paris, Perrin, 1908.

Bourgoing. Mémoires historiques et philosophiques sur Pie VI. Paris, an VII, 2 vol.

Bournet A. Venise, notes prises dans la bibliothèque d'un vieux Vénitien. Paris, 1882.

Brosses Charles de. Lettres familières écrites d'Italie en 1739 et 1740. Paris, Garnier.

Brun Friederike. Tagebuch über Rom. 1795—1796. Zürich, 1800.

Buisson Jnles. Les Tiepolo. Gazette des Beaux-Arts, 1895.

Byron lord. Mémoires publiés par Thomas Moore. Bruxelles 1830, 4 tomy.

Byron Lord. Lettres traduites par J. Delachaume. Paris.

Canova Antonio. Memorie scritte da Antonio D'Este. Firenze, Monnier, 1864.

Canova A. Lettere inedite. Padova, 1833.

Cantù Cesare. L'Abate Parini e la Lombardia nel secolo passato. Milano, Giacomo Gnoechi, 1854.

Cantù Cesare. La Lombardia nel secolo XVII Milano, 1854.

Carducci Giosue. Studi su Giuseppe Parini. Bologna, Nicola Zanichelli, 1907.

Carriera Rosalba. Diario degli Anni MDCCXX e XXI scritto di propria mano a Parigi, pub. G. Vianelli, Venezia, 1793. — Journal de Rosalba Carriera pendant son séjour à Paris, traduit, annoté et augmenté d'une biographie et de documents inédits par Alfred Sensier. Paris, 1865.

Currer Luigi. Anello di sette gemme a Venezia. Venezia, 1838.

Cagliostro conte. Compendio della vita, e delle geste di Giuseppe Balsamo. Roma, 1899.

Carletto. Casanova a Roma. Roma, 1899.

Casanova Jacques. Mémoires. Paris, E. Flammarion, 6 tomów.

Casanova Giacomo. Erinnerungen. Band XV. Casanovas Briefwechsel gesammelt und erläutert von Aldo Rava und Gustaw Gugitz. München und Leipzig bei Georg Müller, 1913.

Casanova Giacomo. Correspondance avec J. F. Opiz publiée par Fr. Khol et Otto Pick. Leipzig. Verlag Wolff Kurt, 1913, 2 tomy.

Castelnuovo Enrico. Una dama veneziana del secolo XVIII, Nuova Antologia, 1882.

Cesaroli P. Ricerche intorno agli alberghi di Roma dal sec. XIV al XIX. Roma, 1893.

Chetwood Eustace. A classical tour through Italy. Leghorn, 1818, 3 tomy.

Chiari Pietro. Commedie da Camera, Venezia, 1771, 2 tomy.

Cracas. Diario di Ungheria i Diario ordinario, 1716—1800.

Croce B. I teatri di Napoli, Secolo XV—XVIII. Pierro, 1891.

D'Ayla. Opere postume di abate Pietro Metastasio. Vienna stamp. Alberti 1795.

D'Albany comtesse. Une correspondance inédite de la Comtesse d'A. par Charvet. Nimes, Catelan, 1879.

D'Albany comtesse. Le portefeuille de la C. d'A. publié par Léon G. Pélissier. Paris, 1902.

D'Alméras Henri. Cagliostro. Paris, 1904.

Da Ponte Lorenzo. Memorie, Firenze, Le Monnier, 1871.

David J. L. Le peintre Louis David. Paris, 1880.

D'Azeglio Massimo. I miei ricordi. Firenze. Barbera, 1867, 2 tomy.

De Rossi G. G. Angelika Kauffmann. tłómaczył Weinhart. Bregencya 1814.

De Sanctis Francesco. Storia della letteratura italiana. Bari, 1912, 2 tomy.

Descamps. La vie des peintres flammands, allem. etc. Paris, 1753—1760, 4 tomy.

Dimier L. I paesisti Olandesi a Roma. Nuova Antologia, 16 Luglio, 1903.

Dotti Bartolommeo. Scritti del cavaliere Dotti. Genewa, 1767.

Duclos. Voyage en Italie 1767. Paris, 1791.

Dufourcq Albert. Le régime jacobin en Italie (1798—1799). Paris, Perrin, 1900.

Dupaty. Lettres sur l'Italie en 1785. Paris, 1788.

Edgcumbe Richard. Byron, The last phase. London, J. Murray, 1910.

Engels Eduard. Angelika Kauffmann. Bielefeld und Leipzig. Velhagen & Klassing, 1910.

Fabris G. A. Studi Alfieriani. Firenze. Paggi, 1895.

Falconi Luigi c-te. Pietro Metastasio. Discorso. Vienna, G. Frick 1883.

Féa C. Miscellanea. Roma, 1790.

Fernow K. L. Sitten- und Kulturgemälde von Rom. Gotha, 1802.

Fernow K. L. Das Leben des Künstlers A. J. Carstens. Lipsk, 1806.

Fernow K. L. Römische Studien. Zürich, 1806—1808.

Fiorelli. Pompeianarum antiquitatum historia. Napoli, 1858—1864, 5 tomów.

Firlin Rinaldo. Studi nell' Archivio degli Inquisitori di stato. Venezia, 1868.

Foscolo Ugo. Lettere a Isabella Teotochi-Albrizzi, wydał G. Chiarini. Roma, 1902.

Friedländer. Reisen in Italien in den letzten Jahrhunderten, Deutsche Rundschau, 1876.

Gazzetta di Roma. Roma, 1798—1799.

Gendry Jules. Pie VI, Sa vie, son pontificat. Paris, A. Picard & Fils, 1906.

Giesecke Albert. Giovanni Battista Piranesi. Klinkhardt & Biermann. Leipzig.

Goethe, Italienische Reise.

Goldoni Carlo. Opere. Venezia, 1788—95, 44 tomy.

Goldoni Carlo. Lettere, wydał E. Masi. Bologna, 1880.

Goldoni Carlo. Lettere inedite, wydał E. Maddalena, Flegrea, 1901.

Gorani Joseph. Mémoires secrets et critiques des cours, des gouvernements et des moeurs des principaux Etats de l'Italie. Paris 1793, 3 tomy.

Gorani. Rom und seine Einwohner. Riga, 1794.

Gozzi Carlo. Memorie inutili. Venezia, 1799, 3 tomy.

Gozzi Carlo. Opere edite e inedite non teatrali. Venezia, 1805.

Gozzi Carlo. Le Fiabe di C. G. Bologna, 1885, 2 tomy.

Gozzi Gasparo. Opera. Padova, 1818, 16 tomów.

Gozzi Gasparo. Gasparo e Carlo Gozzi e la loro famiglia. Archivio veneto, 1872.

Graf Arturo. L'anglomania e l'influsso inglese in Italia nel secolo XVIII. Torino. E. Loescher, 1911.

Gratarol Pier-Antonio. Narrazzione apologetica. Wenecya, 1797, 2 tomy i Memorie ultime. Wenecya, 1797.

Guiccioli hrabina de (późniejsza margrabina de Boissy). Lord Byron jugé par les témoins de sa vie. Paris, Amyot, 8 Rue de la Paix, 1868, 2 tomy.

Hamilton W. Account of the discoveries at Pompei. London 1777, in 4-to.

Harnack O. Deutsches Kunstleben in Rom im Zeitalter der Klassik. Weimar, 1896.

Hautecoeur L. Rome et la Renaissance de l'antiquité a la fin du XVIII siécle. Paris, 1912.

Hazard Paul. La Révolution française et les lettres italiennes, 1789—1815. Paris, Hachette, 1910.

Heeckeren Emile de. Correspondance de Benoit XIV. Paris, 1912. Librairie Plon, 2 tomy.

Hirt und Moritz. Italien und Deutschland. Berlin, 1789—1790, 8 tomów.

Houbraken. De grote Schouburg der Nederlandsche Konstschilders. Niemieckie tłómaczenie Wurzbach. Wiedeń, 1880.

Justi K. Philipp von Stosch und seine Zeit. Zeitschrift f. b. K. 1872.

Justi K. Winckelmann und seine Zeitgenossen. Leipzig, 1898, II-ie wydanie, 3 tomy.

Justi K. Antiquarische Briefe d. Barons v. Stosch, Marburg, 1871.

Justi K. Kardinal Alexander Albani, Preussische Jahrbücher, 1871, XXVIII.

Justi K. Raphael Mengs. Preussische Jahrbücher, 1871, XXVIII.

Koch Joseph Anton. Moderne Kunstchronik oder die rumfordische Suppe. Innsbruck, 1905.

Kotzebue Aug. v. Erinnerungen von einer Reise aus Livland nach Rom und Neapol. Berlin, 1805, 3 tomy.

Landau M. Rom, Wien, Neapel während des spanischen Erbfolgekrieges. Leipzig, 1895.

Landau Marcus Dr. Geschichte der italienischen Litteratur im achtzehnten Jahrhundert. Berlin. Verlag von Emil Felber, 1899.

Landsberger Franz. Wilhelm Tischbein. Ein Künstlerleben des 18. Jahrhunderts. Leipzig, 1908. Klinkhardt & Biermann.

Lee Vernon. Countess of Albany. London, 1884.

Lee Vernon. Il Settecento in Italia. Milano Dumolard, 1882, vol. IV.

Leitschuh F. F. Giovanni Battista Tiepolo. Würzburg, 1896.

Lettere di donne a Giacomo Casanova. Raccolte da Aldo Rava. Milano, Fratelli Treves, 1912.

Loevinson E. La vita degli artisti tedeschi a Roma. Nuova Antologia, 1907.

Longo Antonio. Memorie della vita di A. L. Veneziano scritta e publicate da lui medesimo per umiltá. Venezia, 1820, 4 tomy.

Loret Maciej. Kościół katolicki a Katarzyna II. (Monografie w zakresie dziejów nowożytnych). Warszawa, 1910.

Lozzi C. Brigida Banti, Regina del teatro lirico nel secolo XVIII. Rivista musicale italiana, vol. XI, 1904.

Magnan P. D. La ville de Rome. Roma, 1778, 4 tomy.

Malamani Vittorio. Canova. Milano. Ulrico Hoepli.

Malamani Vittorio. Rosalba Carriera. Bergamo. Istituto italiano d'arti grafiche, 1910.

Malamani Vittorio. Isabella Teotochi-Albrizzi, i suoi amici, il suo tempo. Torino, 1883.

Malamani Vittorio. Il Settecento a Venezia. Torino, 1892, 2 tomy.

Malamani Vittorio. Giustina Renier-Michiel i suoi amici, il suo tempo. Archivio veneto, 1889.

Malamani Vittorio. La moda a Venezia nel secolo XVIII. Nuova Antologia, 1-o ottobre, 1895.

Malamani Vittorio. Nuovi appunti e curiosità goldoniane, Venezia, 1887.

Malamani Vittorio. Frammenti di vita Veneziana. Roma, Bontempelli, 1893.

Marchesan Angelo. Della vita e delle opere di Lorenzo da Ponte. Treviso, 1900.

Masi Ernesto. La vita, i tempi, gli amici di Francesco Albergati. Bologna, 1877.

Masi Ernesto. Parrucche e sanculotti nel secolo XVIII. Milano, Treves, 1886.

Masson Pierre-Maurice. Madame de Tencin (1682—1749). Paris, Hachette, 1909.

Masson F. Le cardinal de Bernis depuis son ministère. Paris, 1884.

Mengen Urbain. L'Italie des Romantiques. Paris, Plon, 1902.

Mengs A. R. Opere, wydanie Azary. Parma, 1780, 2 tomy, wydanie powiększone przez Fea. Rzym, 1787.

Metastasio P. Opere. Napoli. Rondinella, 1857.

Metastasio P. Lettere disperse e inedite a cura di G. Carducci, vol. I. Bologna, Zanichelli, 1883.

Meyer A. G. Canova. Rielefeld, 1898.

Meyer Rudolf. Die beiden Canaletto. Dresden, 1877.

Michelessi Domenico. Memorie intorno alla vita ed agli scritti del conte Francesco Algarotti. Venezia. G. Pasquali, 1770.

Michieli Augusto. Ugo Foscolo a Venezia. Nuovo Archivio veneto, 1903.

Modena a Carlo Goldoni, nel secondo centenario dalla sua nascita. Modena, 1907.

Modern Heinrich. Giovanni Battista Tiepolo. Wiedeń, 1902.

Molmenti Pompeo. G. B. Tiepolo. La sua vita e le sue opere. Milano. U. Hoepli, 1909.

Molmenti Pompeo. La Storia di Venezia nella vita privata dalle origini alla caduta della republica. IV edizione interamente rifatta. Bergamo, 1905. Istituto italiano d'arti grafiche.

Molmenti Pompeo. Un maldicente. La società veneziana sul finire della Republica veneta. Torino, 1892.

Monti V. In morte di Ugo Basse-Ville. Cantica. Verona, 1801.

Moschini Giannantonio. Della letteratura veneziana del secolo XVIII, fino a' nostri giorni, Venezia, 1806, 4 tomy.

Moureau Adrien. Antonio Canal dit le Canaletto. Paris Librairie de l'art, 1894.

Muoni Guido. La Legenda del Byron in Italia. Società editrice libraria, 1907.

Musatti Eugenio. La Donna in Venezia. Padova. Draghi, 1891.

Noack Friedrich. Deutsches Leben in Rom, 1700 bis 1900. Stuttgart und Berlin, 1907. Cottasche Buchhandlung Nachfolger.

Noack Friedrich. Piazza di Spagna. Deutsche Revue, 1903.

Nunziante Ferdinando. Metastasio a Napoli. Nuova Antologia III-a Serie, vol. 58 i 59. Roma, 1895.

Olivier J. J. i Willy Norbert. Barberina Campanini. Eine Geliebte Friedrichs des Grossen. Berlin. Marquardt u. Co. 1909.

Ortolani Giuseppe. Della vita e dell'arte di Carlo Goldoni. Venezia, 1907.

Ottmann Victor. Jakob Casanova. Sein Leben und seine Werke. Stuttgart, 1900. Gesellschaft der Bibliophilen.

Pascal Blaise. Les Provinciales. Paris. Charpentier, 1911.

Pikler Giovanni. Vita del cavaliere P. Roma, Stamperia Pagliarini, 1742.

Pindemonte Ippolito. Gasparo Gozzi etc. Sermoni. Milano, 1826.

Poniatowski, Prince Stanislas, Souvenirs publiés par J. Korzeniowski. W »Revue d'histoire diplomatique neuvième année«, Nr. 1, Paris, 1895.

Rappresentazione del Secolo XVIII. Milano, 1801. Tipogr. Milanese, 3 tomy.

Rava Aldo. Pietro Longhi. Bergamo, Instituto ital. d'arti grafiche, 1909.

Reumont Alfred von. Römische Briefe von einem Florentiner. Lipsk, 1840, 1844, 4 tomy.

Reumont Alfred von. Die Gräfin von Albany. Berlin, 1860. Verlag der Ober-Hofdruckerei, 2 tomy.

Roberti Giuseppe. La musica in Italia nel secolo XVIII secondo le impressioni de' viaggiatori stranieri, Rivista musicale italiana, 1900—1901.

Rolland Romain. La musique en Italie au XVIII siècle. Revue de Paris, 15 aout, 1905.

Romanin Samuele. Storia documentata della Republica di Venezia, 1853—1861, 10 tomów.

Rossi G. G. de. Vita di Angelika Kaufmann. Firenze, 1810.

Sanctis de Francesco. Storia della letteratura italiana. Bari. Laterza & figli. Nuova edizione, 1912, 2 tomy.

Schmidt Dr. H. Ein Jahrhundert römischen Lebens. Leipzig, 1904.

Schneider R. L'Esthétique classique chez Quatremere de Quincy. Paris, 1905.

Schram W. Die Malerin Angelika Kaufmann. Brünn, 1890.

Silvagni David. La corte e la società romana nei secoli XVIII e XIX. Roma, 1884, 3 tomy.

Simonson G. Francesco Guardi. Londyn, 1905.

Sommi-Picenardi Gianfrancesco. Un rivale del Goldoni, L'Abate Chiari e il suo Teatro comico. Milano, 1902.

Tassini Giuseppe. Curiosità veneziane. Wenecya, 1887.

Theiner Agostino. Storia del pontificato di Clemente XIV. Firenze. Tipogr. Luigi Niccolai, 1854, 4 tomy.

Tipaldo Emilio. Biografia degli Italiani illustri nelle scienza, lettere ed arti del secolo XVIII. Wenecya, 1834—1845, 10 tomów.

Tischbein J. W. Aus meinem Leben. Herausgegeben von Schiller. Braunschweig, 1861, 2 Bände.

Tomei Finamore R. La Contessa di Albany e il suo carteggio senesse, w Rivista Abruzzese di science e lettere. Teramo, 1892.

Urbani de Gheltof G. M. Le maschere in Venezia. Venezia, 1877.

Urbani de Gheltof G. M. Tiepolo in Ispagna. Venezia, 1881.

Urbani de Gheltof G. M. Carlo Goldoni a Chioggia.

Vigée-Lebrun M-me. Souvenirs. Paris, 1869, 2 tomy.

Vita italiana nel settecento. Conferenze tenute a Firenze nel 1895. Milano, Treves.

Vogel Julius. Aus Goethes römischen Tagen. Leipzig, 1905. Verlag E. A. Seemann.

Vogler. Der Bildhauer A. Trippel. Schaffhausen, 1892.

Winckelmann. Werke. Dresden, 1808—1825, 11 tomów.

Winckelmanns Briefe an seine Freunde. Dresden, 1777. Waltherische Hofbuchhandlung.

Winckels de F. Gilbert. Vita di Ugo Foscolo. Verona, Libreria Münster, 1885, 1892, 1898, 3 tomy.

Zambler Gemma. Gasparo Gozzi e i suoi giornali. Ateneo veneto, 1896 i lata następne.

INDEKS.

SPIS RYCIN.

SPIS RZECZY.





